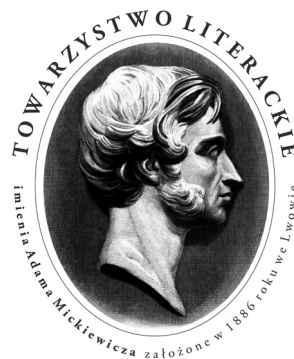


Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk

PAMIĘTNIK LITERACKI

CZASOPISMO KWARTALNE POŚWIĘCONE HISTORII
I KRYTYCE LITERATURY POLSKIEJ

Rocznik CXIII, zeszyt 1



Z A Ł O Ż O N Y W R O K U 1 9 0 2
P R Z E Z T O W A R Z Y S T W O L I T E R A C K I E
I M I E N I A A D A M A M I C K I E W I C Z A

Komitet redakcyjny: GRAŻYNA BORKOWSKA (redaktor naczelny), TERESA KOSTKIEWICZOWA (zastępca redaktora naczelnego), ANNA CZABANOWSKA-WRÓBEL, ADAM DZIADEK, LUIGI MARINELLI, ALEKSANDRA OSZCZĘDA, ANDRZEJ SKRENDÓ, AGATA STANKOWSKA, PAWEŁ STĘPIEŃ, KRZYSZTOF TRYBUŚ

Sekretarz redakcji: AGNIESZKA MAGREL

Projekt okładki i grafika: JOANNA MUCHO

Opracowanie redakcyjne i korekta: INEZ KROPIDŁO,
MICHAŁ KUNIK, AGNIESZKA MAGREL, JOANNA
NOWAK, ZOFIA SMOLSKA, DOROTA UCHEREK

Tłumaczenie streszczeń: TOMASZ P. GÓRSKI

Opracowanie typograficzne i łamanie: **erte**

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

© Copyright by Instytut Badań Literackich PAN
and Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza,
Wrocław–Warszawa 2022

Objętość: ark. wyd. 20,50; ark. druk. 16,75
Nakład: 400 egz.

TREŚĆ ZESZYTU

	Str.
ZJAZD POLONISTÓW WARSZAWA 2022	
Hanna Gosk, Michał Kuziak, Ewa Paczoska, Słowo wstępne od organizatorów	5
Hanna Gosk, Słowo na otwarcie Zjazdu Polonistów (który miał się odbyć w 2020 roku) ..	7
Ewa Paczoska, „Tu i teraz”?	11
Jacek Popiel, Czy humanistykę można jeszcze uratować?	13
Tomasz Majewski, Przeciw racjonalizacji niemocy. Uniwersytet – scenariusze przyszłości	21
Michał Kuziak, Cóż po polonistce w czasie marnym... Między polityką a praktyką społecz- ną – w punktach	33
Magdalena Rembowska-Płuciennik, Wprowadzenie do dyskusji w panelu „Stan dyscypliny”	41
Ewa Szczęsna, Cyfrowe i dyskursywne transgresje. Pre-tekst do dyskusji nad polonistyką w świecie nowych mediów i nowych tendencji kulturowych	51

1. ROZPRAWY I ARTYKUŁY

Maciej Mycielski, „O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej”. Kazimierz Bro- dziński w obronie uniwersytetu	61
Marta Rakoczy, Przemilczana cielesność druku – Balzak, nowoczesność, literatura	81
Piotr Pietrych, Przepisywanie Różewicza (w połowie lat pięćdziesiątych XX wieku)	101
Zbigniew Kloch, Hasła Strajku Kobiet i języki wernakularne	117
Mikołaj Jazdon, Marek Kaźmierczak, Film jako forma apokryficzna? O „Komunii” i „Bożym Ciele” – uwagi nie tylko filmoznawcze	131

Zagadnienia języka artystycznego

Arkadiusz Sylwester Mastalski, O naturze refrenu poetyckiego	155
Joanna Piechura, O dwujęzycznym archiwum Jana Brzękowskiego w perspektywie gene- tycznej	167

2. MATERIAŁY I NOTATKI

Monika Bednarczuk, Miłość, przyjaźń i milczenie (biografów). Wokół korespondencji Edwarda Abramowskiego i Emilii z Andronowskich	181
Andrzej Karcz, O powojennej działalności i wzajemnych relacjach Manfreda Kridla i Wikto- ra Weintrauba. Publikacje – listy – dokumenty	205
„Przyczyny melancholii” Barbary Hłakowicz. Do druku podał Marcin Wołk. Uwagami inter- pretacyjnymi opatrzyła Ewa Owczarz	227

3. RECENZJE I PRZEGLĄDY

Marcin Kula, Humanistyka uniwersytecka w Warszawie dawno temu, coraz dawniej... Rec.: Joanna Schiller-Walicka, Nauki humanistyczne na Uniwersytecie Warszaw- skim. Pierwsze stulecie 1816–1915. – Nauki humanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Drugie stulecie 1915–2016. Warszawa 2020. „Monumenta Universitatis Varsoviensis. 1816–2016”	241
Beata Śniecikowska, Filologiczne (ite)racje, czyli rzecz o „wieloczynnikowych zadaniach poznawczych” i sposobach na ich rozwiązywanie. Rec.: Krzysztof Skibski, Poezja jako literatura. Relacje między elementami języka poetyckiego w wierszu wolnym. Poznań 2017. Seria „Filologia Polska”. Nr 184	252
Bartłomiej Kuczkowski, Polonistyka chaotyczna? Rec.: Marek Pieniążek, Poloni- styka performatywna. O humanistycznych technologiach wytwarzania światów. Kraków (2018)	258

CONTENTS OF THE FASCICLE

	Page
CONGRESS OF POLISH STUDIES WARSAW 2022	
Hanna Gosk, Michał Kuziak, Ewa Paczoska, Introduction from the Organisers	5
Hanna Gosk, A Word for the Opening of Congress of Polish Studies (Planned for 2020) ..	7
Ewa Paczoska, "Here and Now"?	11
Jacek Popiel, Can the Humanities Still Be Saved?	13
Tomasz Majewski, Against Infirmary Rationalisation. University—Future Scenarios	21
Michał Kuziak, What with a Polish Scholar in Worthless Time... Between Politics and Social Practice in Some Points	33
Magdalena Rembowska-Pluciennik, Introduction to Panel Discussion "State of the Discipline"	41
Ewa Szczesna, Digital and Discursive Transgressions. Pre-Text to the Discussion on Polish Studies in the World of New Media and New Cultural Tendencies	51
1. TREATISES AND ARTICLES	
Maciej Mycielski, "O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej" ("On Vocation and Duties of University Students"). Kazimierz Brodziński in Defence of University	61
Marta Rakoczy, Silenced Physicality of Print: Balzac, Modernity, and Literature	81
Piotr Pietrych, Rewriting Różewicz (in the Mid-1950s)	101
Zbigniew Kloch, The Slogans of Strajk Kobiet (All-Poland Women's Strike) and Vernacular Languages	117
Mikołaj Jazdon, Marek Kaźmierczak, The Film as an Apocryphal Form? On "Komunia" ("Communion") and "Boże Ciało" ("Corpus Christi")—not only Film Studies Remarks	131
Problems of Artistic Language	
Arkadiusz Sylwester Mastalski, On the Nature of the Poetic Refrain	155
Joanna Piechura, The Bilingual Archives of Jan Brzękowski. A Genetic Approach	167
2. MATERIALS AND NOTES	
Monika Bednarczuk, Love, Friendship, and Silence (of Biographers). The Correspondence between Edward Abramowski and Emilia née Andronowska	181
Andrzej Karcz, On the Postwar Activity and Mutual Relations of Manfred Kridl and Wiktor Weintraub. Publications—Letters—Documents	205
Barbara Hlakowicz's "Przyczyny melancholii" ("Reasons of Melancholy"). Edited by Marcin Wołk. Interpretive notes by Ewa Owczarż	227
3. REVIEWS AND SURVEYS	

Z J A Z D P O L O N I S T Ó W W A R S Z A W A 2 0 2 2

Pamiętnik Literacki CXIII, 2022, z. 1, PL ISSN 0031-0514

DOI: 10.18318/pl.2022.1.1

SŁOWO WSTĘPNE OD ORGANIZATORÓW

Pomysł zorganizowania kolejnego Zjazdu Polonistów na Uniwersytecie Warszawskim pojawił się w 2018 roku. Nad projektem Zjazdu członkowie Komitetu Organizacyjnego i Rady Programowej pracowali przez cały następny rok. Pod koniec 2019 r. gotowy był szczegółowy program i większość tekstów referatów, które niebawem zostały zresztą zamieszczone w Sieci. Zjazd miał odbyć się 26–28 marca 2020. Dzień 10 marca, kiedy dotarły do nas wydrukowane zaproszenia, okazał się jednak początkiem lockdownu. Próbowaliśmy przesunąć termin na listopad 2020, potem – na marzec 2021, ale naszymi projektami rządził kalendarz pandemii. Można by więc powiedzieć, że ten Zjazd stał się najdłuższą planowaną imprezą polonistyczną nowoczesnej Europy...

Proponując temat Zjazdu – *Polonistyka „tu i teraz”* – chcieliśmy się skoncentrować na sprawach najbardziej aktualnych, gorących i dla naszego środowiska, i dla życia naukowego w Polsce po wejściu w życie Ustawy 2.0. Dziś, niemal po półtora roku od zamknięcia programu Zjazdu, mamy świadomość, że uwagę polonistów (i Polaków w ogóle) zajmują inne, nowe sprawy: te związane z działaniem uniwersytetów po wprowadzeniu reformy, te wynikające z rzeczywistości pandemii, w końcu te łączące się ściśle z istotnymi zmianami pejzażu społecznego i politycznego. Do wszystkich tych zmian na pewno będą musieli się odnieść uczestnicy Zjazdu, który, jak mamy nadzieję, odbędzie się w dniach 23–25 marca 2022.

Tymczasem jednak zdecydowaliśmy się opublikować teksty referatów przygotowywane na przełomie 2019 i 2020 r., w których zapisane zostały niepokoje i pytania tamtego czasu (tak innego niż ten przeżywany przez nas dzisiaj). Autorzy nie dokonali w nich niemal żadnych korekt; kształt referatów dobrze zatem obrazuje zmiany, które zaszły w ciągu minionego roku i te nadal zachodzące. Zamieszczamy tu także dwa teksty przeznaczone do wygłoszenia na otwarciu Zjazdu, powstałe w styczniu 2021.

Warszawa, kwiecień 2021

Hanna Gosk Uniwersytet Warszawski
ORCID: 0000-0002-9336-6889

Michał Kuziak Uniwersytet Warszawski
ORCID: 0000-0002-7926-5268

Ewa Paczoska Uniwersytet Warszawski
ORCID: 0000-0001-6815-2359

HANNA GOSK Uniwersytet Warszawski
ORCID: 0000-0002-9336-6889

SŁOWO NA OTWARCIE ZJAZDU POLONISTÓW (KTÓRY MIAŁ SIĘ ODBYĆ W 2020 ROKU)

„Polonistyka »tu i teraz«” to w dużej mierze polonistyka między polityką a praktyką społeczną. Co więc oznacza hasło tematyczne naszego spotkania? Oto dotyczy ono filologii narodowej „tu”, w naszym w kraju – światowym centrum wiedzy o języku i literaturze polskiej. (O czym warto pamiętać, uwzględniając przy różnych okazjach autorytety zagranicznych polonistów.) „Teraz”, a zatem w wymiarze temporalnym łączącym pamięć o przeszłości z planami na przyszłość. Pamięć o przeszłości pozwala nie powtarzać minionych błędów i upowszechniać wiedzę na temat wielogłosowej, wielowątkowej opowieści o przodkach przechowaną w przekazie literackim świadkującym polskiej nieprostej historii z jej heroicznymi i nieheroicznymi, chlubnymi i niechlubnymi doświadczeniami. Zarysowanie perspektyw na przyszłość wiąże się z obowiązkiem i przywilejem budowania narracji prospektywnych, które pozwalają wspólnocie polskiej lepiej rozumieć szybko zmieniający się świat. Jak ważna jest opowieść o rzeczywistości, zapewniająca odbiorcom poczucie bezpieczeństwa egzystencjalnego, a czasem również dumy i godności, przekonujemy się każdego dnia, słuchając przekazów medialnych, analizując kryteria, dzięki którym dokonuje się czasem wyborów, nagradza zaufaniem podmioty aspirujące do miana autorytetów lub karze utratą zaufania tych, których sposób opisywania rzeczywistości do nas nie przemawia.

Czy refleksja nad polonistyką „tu i teraz” komponuje się z hasłem „filologia narodowa w służbie ojczyźnie”? Wydaje się, że tak brzmiąca fraza doskonale łączy się z dyskursem dominującym w Polsce, z prawomocnym krajobrazem czy światoglądem naszego „tu i teraz”. Jakie więc treści należałoby umieścić w polu semantycznym frazy „służba ojczyźnie”? Filologia polska nie wpływa bezpośrednio na wzrost dochodu narodowego, nie ma na swoim koncie odkryć, które mogłyby zdobyć wysoko punktowany rozgłos w prestiżowych czasopismach naukowych, nie przyspieszy prawdopodobnie podboju kosmosu ani nie pomnoży liczby opatentowanych wynalazków. Ale – i tu pozwolę sobie przypomnieć oczywistości, o których nierzadko się zapomina – to ta filologia uczy Polaków (i innych zainteresowanych tematem) rozumienia świata poprzez jego nazywanie, komunikowania się dzięki precyzyjnemu opanowaniu języka, w którym zawieramy nasz obraz rzeczywistości. Problemy z komunikacją czy z poruszaniem się w symbolicznym imaginariusium wspólnoty, przechowywanym i kształtowanym za pośrednictwem literatury, skutkują porażką, gdy mówimy o próbach budowania i umacniania więzi społecznych

między ludźmi. Inwestowanie w filologię narodową to inwestowanie długoterminowe, które gwarantuje zysk z wysokim procentem. Zaniedbania w tej materii, nieumiejętność operowania trafnie diagnozującymi stan rzeczy opowieściami o nas samych, co potrafi wartościowy tekst literacki, publicystyczny, internetowy (każdy dysponujący sobie właściwymi środkami), mogą sprawić, że oto wyłaniają się z kulturowego niebytu podmioty słabo przygotowane do rozpoznawania gier językowych i narracyjnych, odróżniania półprawd i przekłamań od przekazów wiarygodnych. Milcząca większość najczęściej poddaje się urokowi opowieści apelujących do emocji – od poczucia upokorzenia, przez rozgoryczenie, żal, zawiść, aż po gniew i wrogość. Taka większość, jak długo nie ma swojej opowieści i godnego miejsca w polu symbolicznym, bywa podatna na perswazję zdolnych *storyteller*ów, którzy potrafią do owych emocji przemówić, a nawet dokonać zgrabnej translacji opowieści niekoniecznie chlubnych na heroiczno-martyrologiczne, jeśli takie mogą zaspokoić potrzeby emocjonalne odbiorców.

Filologia narodowa pracuje na bardzo delikatnym materiale, dotyczącym wrażliwości polskiej wspólnoty, jej poczucia krzywdy i dumy, jej świadomości, poczucia tożsamości, jej sposobów nawiązywania relacji z innymi wspólnotami w wymiarach zewnętrznym i wewnętrznym, a więc nie tylko z narodowymi, lecz także religijnymi, sąsiedzkimi, rodzinnymi, seksualnymi, a zatem społecznymi, kulturowymi. W swoich działaniach owa filologia współpracuje z historykami, socjologami, psychologami, filozofami, kulturoznawcami – wymieniam najbardziej oczywistych sojuszników. Wszystkie te dyscypliny posługują się językiem, budują opowieści wykorzystujące środki literackie, o czym przekonują rozpoznania współczesnych badaczy z kręgu teorii historiografii czy antropologii kulturowej.

Polonista uczy zainteresowanych polską specyfiką tego, jak Polacy rozumieją rzeczywistość, kim są, jeśli tworzą na swój temat – i na temat tego, co na zewnątrz ich własnego świata – takie, a nie inne opowieści. Marginalizowanie nauk humanistycznych, w tym również filologii polskiej, nie służy wspólnocie, bo przecież nie chcemy, by składała się ona z bezwolnych podmiotów, którymi łatwo manipulować, okazują się bowiem podatne na urok opowieści pozornie zdających się obiecywać im dobrostan, nie wymieniając ceny tak naprawdę płaconej za świadomą czy mimowiedną zgodę na ograniczenie wolności wyboru, pola swobodnej decyzji co do tego, kogo uznajemy za godnego zaufania, czyją historię za trafnie przedstawiającą coraz bardziej skomplikowaną rzeczywistość. Umiejętność opowiedzenia świata czasem pozwala skonstruować przepis na ten świat, w którym dostrzegamy to, co wiemy. Tylko tyle i aż tyle.

Rozumienie komunikatów prezentujących rzeczywistość, zdolność do zanalizowania ich rozmaitych interpretacji, umiejętność wskazania mechanizmów, zgodnie z którymi zostały skonstruowane, skonfrontowania ich ze swoją wiedzą, pozwalającą akceptować jedne, odrzucać zaś inne interpretacje, a wreszcie nazwanie kryteriów własnego wyboru – to wszystko formy aktywności, do jakich przygotowuje filologia polska. Przyswojenie sobie tej wiedzy, swoboda poruszania się w królestwie języka, świadomość konstrukcyjnego charakteru opowieści ustanawiającej określoną wersję rzeczywistości są trudnymi do przecenienia zaletami w wyposażeniu intelektualnym współczesnego podmiotu.

Wiadomo, że świat coraz szybciej się zmienia, zmiany zaś często podążają

w nieoczekiwanych kierunkach. Jako literaturoznawczynie zajmująca się opowieściami powstałymi w wiekach XX i XXI mogę stwierdzić, iż literatura towarzysząca sytuacjom fundamentalnych zmian, które zaszły i zachodzą w tych czasach, a więc literatura starająca się korespondować z horyzontem oczekiwań odbiorców, porusza się tematycznie oraz językowo w ramach habitusu własnej epoki, wypracowanego przez daną wspólnotę kulturową. Kondensuje w sobie wiedzę o strukturach poznawczych sterujących procesami naszej racjonalizacji świata, które w tekstach przybierają postać językowych porządków znaczenia i kształtują zarówno konstrukt zwany rzeczywistością, gdy zostaje on pomyślany lub zakomunikowany, jak i przekaz literacki na temat owej rzeczywistości. Wiedzę o tym zapewnia polonistyka.

A jeśli uwierzyć Nelsonowi Goodmanowi, że „tożsamość bądź stałość w świecie jest tożsamością zrelatywizowaną do struktury tego świata”, z obszaru zaś „prawdziwych percepcji i wspomnień, jako złudnych czy pozbawionych znaczenia, wy mazujemy to, czego nie udaje się zharmonizować z architektoniką świata, jaki tworzymy”¹, to owo konstruowanie rzeczywistości staje się problemem pierwszorzędnej wagi. Warto więc zadawać jej konstruktorom pytania o narzędzia pracy i o materiał, którego używają. Tym bardziej że znajdujemy się w sytuacji, w której – w obrębie jednego społeczeństwa (nie wspólnoty definiującej się jako naród Polaków-katolików) – to samo podstawowe uniwersum symboliczne jest interpretowane na różne sposoby w zależności od grupowych doświadczeń oraz interesów², lecz w narracji dominującej dochodzi do jego ideologizacji faworyzującej „bezpieczne”, tradycyjne imaginarium narodowe. To poloniści – literaturoznawcy i językoznawcy – już na lekcjach szkolnych, a potem na ćwiczeniach uniwersyteckich wskazują, jak formułować trafne pytania prowadzące do zrozumienia tekstu epoki, kształtują umiejętność budowania jego samodzielnych interpretacji. Powtórzę: samodzielnych interpretacji.

¹ N. Goodman, *Jak tworzymy świat*. Przeł. M. Szczubiałka. Warszawa 1997, s. 17, 24.

² Więcej pisali o tym P. L. Berger i Th. Luckmann w pracy *Społeczne tworzenie rzeczywistości* (Przeł., wstęp J. Niżnik. Warszawa 1983).

EWA PACZOSKA Uniwersytet Warszawski
ORCID: 0000-0001-6815-2359

„TU I TERAZ”?

Warto by chyba na początku wyznaczyć przestrzenny i czasowy punkt, który określać ma sens i pożytek naszych obrad. Gdzie zatem jesteśmy w miejscu nazwanym „tu i teraz”?

1. W kraju wciąż przeżywającym i definiującym swoją transformację ustrojową, a co za tym idzie: także społeczną i kulturową, która tylko na pozór odbyła się bezboleśnie i również na pozór nie pozostawiła po sobie ofiar, cieni i bolesnych powidoków.

2. W kraju rozdartym przez sprzeczne diagnozy jego stanów gospodarczego, społecznego, politycznego, zawieszonego pomiędzy opozycjami: „tygrys Europy” – europejski zaścianek; nowoczesne państwo na drodze efektywnych przemian gospodarczych – „Polska w ruinie”; zbiorowość obdarzona darem wolności i wykorzystująca najlepszą od stuleci koniunkturę polityczną – naród niewolony przez europejskie spiski i toksyny nowoczesności.

3. W sytuacji psychospołecznej, która jest efektem „wstrząśnięcia i zmieszania” – to ona stanowi ramę narodowych nadziei, ale także kompleksów, nieoczekiwane odzywających się lęków i psychoz.

4. W sytuacji wspólnoty, która nie przepracowała (a często nie chce przepracowywać) traumatycznych i trudnych kart swojej historii, godząc się na jednowymiarową wykładnię polskich dziejów.

5. W sytuacji wspólnoty, która na nowo określa swoje relacje z Kościołem katolickim i polaryzującą się wciąż sferą doświadczeń religijnych.

6. W społeczeństwie głęboko podzielonym politycznie, a nawet wręcz tymi podziałami rozrywającym, tkwiącym w impasie komunikacyjnym.

7. W świecie zglobalizowanym, poddanym nieprzeżywanemu dotąd, jeśli chodzi o intensywność i szybkość zmian, transferowi informacji i wzorców kulturowych.

8. W świecie, któremu trudno dokonać bilansu efektów rewolucji technologicznej, zwłaszcza tych związanych z pojawieniem się sztucznej inteligencji oraz „przemocy” nowych mediów.

9. W momencie, gdy ludzkość na nowo musi zdefiniować swoje zobowiązania wobec planety i innych gatunków.

10. W czasie, gdy pytanie o przyszłość świata w ciągu najbliższych 20 lat przestaje być abstrakcją czy zadaniem dla twórców utopii, lecz wejść musi w obszar codziennej praktyki społecznej.

Do tych wstępnych 10 punktów określających „tu i teraz” w perspektywie narodowej i globalnej koniecznie trzeba dodać pytania dotyczące optyki nam najbliższej:

1. Co z uniwersytetem i polem jego zadań w sytuacji tak gwałtownie zmieniającego się świata? Czy pora zerwać z XIX- i XX-wiecznym wyobrażeniem Alma Mater jako ideowego i intelektualnego centrum życia społecznego? Czy uniwersytet ma pozostać tylko trzymanym „dla honoru domu” reliktem dawnych tradycji w sytuacji, gdy modele edukacji ulegają ciągłym przekształceniom?

2. Co z polskim uniwersytetem po Ustawie 2.0, która w dużym stopniu usiłuje podporządkować jego funkcjonowanie i podejmowane działania regułom korporacyjnym?

3. Co z polonistyką rozbitą na odseparowane od siebie na mocy decyzji administracyjnych sektory „literaturoznawczy” i „językoznawczy”? Co wynika dla naszego środowiska z tego rozczłonkowania?

4. Jak uczyć literatury i języka polskiego w sytuacji nowych wyzwań komunikacyjnych z jednej, a przemian globalizującego się świata – z drugiej strony?

5. Jak rozkładać akcenty i problemy węzłowe tej edukacji, wplecionej ściśle w rytmy przemian politycznych i kulturowych?

Nasz Zjazd nie wpłynie zapewne na losy polonistyki, a tym bardziej – na losy świata, bo te rozstrzygają się daleko od miejsca naszych debat. Ale może wpłynąć na nas samych – na sposób myślenia o naszej profesji i o przedmiocie, którym się zajmujemy. Może pozwoli nam bliżej określić miejsce, które, jako poloniści właśnie, chcielibyśmy zająć w wielkiej narodowej debacie o naszej przeszłości i przyszłości, a zwłaszcza – o teraźniejszości.

Większości z nas nie odpowiada rola urzędnika od literatury i języka, bo czujemy się nauczycielami, czyli tymi, którym wyjątkowo zależy nie tylko na pogłębianiu wielowymiarowej wiedzy o świecie, ale także – na kierunku przemian wyobrażeń społecznych. Ponieważ jako badacze dziejów rodzimego języka i literatury czujemy się też szczególnie odpowiedzialni za interpretację dziedzictwa tych, którzy ową historię tworzyli. Rezygnując z anachronicznego już (a czasem, w praktyce społecznej, niebezpiecznego) pojęcia misji, chcemy i musimy określić nasze miejsce na dynamicznej mapie życia społecznego, kulturowego i politycznego. Również – odpowiedzieć na oczekiwania i potrzeby naszych studentów.

JACEK POPIEL Uniwersytet Jagielloński, Kraków
ORCID: 0000-0002-8790-2757

CZY HUMANISTYKĘ MOŻNA JESZCZE URATOWAĆ?

Z wielkim trudem przychodzi mi zapisywanie przemyśleń związanych z sytuacją polonistyki, szerzej: humanistyki, przy okazji kolejnych polonistycznych zjazdów. Niełatwo mi uwolnić się ze stanu rozgoryczenia, spowodowanego faktem, że wiele ze słów wypowiedzianych przy okazji spotkań polonistów – słów nawet aprobowanych przez przeważającą część naszego środowiska – trafia w pustkę i jedynym ich świadectwem pozostają drukowane tomy pozjazdowe. To moje rozgoryczenie jest tym głębsze, że od kilkudziesięciu lat sprawując różne funkcje w strukturze uniwersyteckiej, mam teoretycznie większe szanse, żeby od stawianych diagnoz przechodzić do działań, które byłyby okazją do zmiany aspektów życia naukowego krytycznie ocenianych zarówno przeze mnie, jak i przez znaczącą część społeczności polonistycznej. Może ten stan rozgoryczenia byłby mniejszy, gdyby nie fakt, że zastanawiając się nad tym, co mógłbym powiedzieć o sytuacji polonistyki/humanistyki na początku lat dwudziestych XXI wieku, przeczytałem swój tekst wygłoszony na ostatnim Zjeździe Polonistów (*Przyszłość polonistyki. Koncepcje – rewizje – przemiany*, Katowice, 25–27 października 2011) w ramach panelu – „Integracja środowiska polonistycznego – rozwiązania praktyczne”. Żadna z wypowiedzianych wówczas uwag nie utraciła aktualności, a niektóre przemyślenia związane z zagrożeniami czyhającymi na nasze polonistyczne/humanistyczne środowiska nabrały wręcz dramatycznego wymiaru.

Odnotowuję te słowa na parę tygodni przed zamknięciem kolejnego okresu naszej naukowej pracy, podlegającego w 2022 roku tzw. ewaluacji, od której nie tylko teoretycznie, lecz zapewne także praktycznie (naukowo i finansowo) będzie uzależniona polonistyczna/humanistyczna egzystencja. Oczywiście, wiem, że nasza polonistyczna duchowa formacja jest na tyle wolna od zewnętrznych uwarunkowań, iż – obojętnie, jakie decyzje ministerialne ostatecznie zapadną – będziemy nadal pracować, czytać, pisać, wyklądać, bo to stanowi naszą misję, powołanie i wymierzony sens życia (przepraszam za górnolotne słowa, ale taka jest prawda o nas polonistach). Pozostając w tym oczekiwaniu na efekty wspomnianej ewaluacji, warto przywołać spostrzeżenia wypowiedziane 10 lat temu na katowickim Zjeździe Polonistów:

Co robią obecnie dziekani wydziałów humanistycznych, dyrektorzy instytutów, co robią profesoremie zasiadający w różnego rodzaju ciałach powoływanych przez uczelnie, ministerstwo. Dniami i nocami liczą punkty za publikacje, czytają, opiniują, próbują zrozumieć, by następnie wcielać w życie setki mniej czy bardziej absurdalnych dokumentów, zarządzeń, decyzji. Wypełniają dla przeróżnych komisji akredytacyjnych raporty samooceny, objętością przypominające książki, których w tym czasie nie na-

piszą, chyba że w tym orwellowskim świecie za chwilę te raporty ktoś im zaliczy do życiowych osiągnięć naukowych. Następnie odpowiadają na mniej czy bardziej sensowne uwagi pokontrolne, piszą odwołania od absurdalnych decyzji. A wszystko to wykonują z sumiennością godną przymusów szkolnych, mając pełną świadomość faktu, że od ich biurokratycznej pracy zależy byt całych jednostek naukowych, którymi kierują, możliwości kształcenia studentów, doktorantów. A później przychodzi im tylko szukanie nieszkodliwych sposobów rozładowania złych emocji, które rodzą się w chwili zapoznawania się z pismami urzędników¹.

Cóż dzisiaj można dodać do tamtego przerażającego obrazu. Chyba tylko to, że do listy dziekanów wydziałów humanistycznych i dyrektorów instytutów należy dopisać przewodniczących rad dyscyplin naukowych, o których wspomnę w dalszej części mojej wypowiedzi.

Obecne refleksje snuję 3 lata po wejściu w życie nowej ustawy *Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce* z 20 lipca 2018, czyli Ustawy Gowina, dumnie określanej jako *Konstytucja dla nauki* (często pojawia się również nazwa Ustawa 2.0). Po doświadczeniach uczestnictwa w referowaniu polskiej nauki i szkolnictwa wyższego w końcówce lat dziewięćdziesiątych², kiedy to po miesiącach dyskusji podjęto decyzję, iż nie ma tzw. woli politycznej do wprowadzenia nowej ustawy, postanowiłem, że już nigdy nie będę udzielał się w gremiach, które mają reformować polską naukę i szkolnictwo wyższe. Przeglądałem się natomiast uważnie pracom poszczególnych zespołów, całej rozpisanej na miesiące procedurze konsultacji, w której istotnie każdy chętny mógł się wypowiedzieć. Konsultacje projektu ustawy *Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce* rzeczywiście były, a co z nich w efekcie wynikało, to powinno stać się tematem osobnej rzetelnej analizy, ukazującej pierwotne założenia reformy oraz ostateczne sformułowania, które znalazły się w wersji podpisanej przez Prezydenta RP. Główni autorzy Ustawy 2.0 powiedzą, że wiele sensownych projektów wypaczyli politycy na ostatnim etapie pracy, kiedy trzeba było się zgodzić na polityczne ustępstwa, żeby ustawa przeszła przez tryby Sejmu, Senatu i uzyskała podpis Prezydenta.

Ale z perspektywy 3 lat stwierdzam, że sama Ustawa 2.0 jest mniejszym złem. O wiele poważniejsze problemy zrodziło związane z nią rozporządzenie Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z 20 września 2018 w sprawie dziedzin nauki i dyscyplin naukowych oraz dyscyplin artystycznych. W myśl tam wprowadzonych nowych zasad (ograniczono w sposób istotny listę dyscyplin i zmieniono w niektórych przypadkach ich nazwy i zakresy badań) zobowiązano każdego naukowca do zgłaszania swej przynależności do danej dyscypliny. Mając świadomość, że ktoś może funkcjonować na pograniczu dyscyplin, zezwolono na wybór dwóch i jednocześnie procentowe określenie skali tego przyporządkowania. Co więcej, w trakcie tej wiel-

¹ J. Popieł, *Polonistyka – czy jesteśmy jeszcze potrzebni?* W zb.: *Przyszłość polonistyki. Koncepcje – rewizje – przemiany*. Red. A. Dziadek, K. Kłosiński, F. Mazurkiewicz. Katowice 2013, s. 433.

² Byłem wówczas rektorem krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego (obecnie Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego) i jako wiceprzewodniczący Konferencji Rektorów Uczelni Artystycznych nie tylko z obowiązku, ale i z autentycznego przekonania angażowałem się w prace reformatorskie, wierząc, że po transformacji 1989 roku można polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu, także artystycznemu, nadać nowy wymiar.

kiej akcji definiowania naszej „tożsamości naukowej” stwierdzono, że dla dobra rad dyscyplin i samych instytucji/uczelni lepiej wskazać jedną dyscyplinę, a jeśli już dwie, to w proporcji 75% przynależności do jednej i 25% do drugiej³.

Trzeba wyraźnie powiedzieć, że aktualnie obowiązujący podział na dyscypliny jest tworem, który na pewno nie służy rozwojowi humanistyki. Poza całym trudem łączącym się z przeprowadzeniem pierwszej ewaluacji ani nie przyczyni się do rozwoju polonistyki/humanistyki, ani bynajmniej nie będzie sprawdzianem poziomu uprawianych badań w poszczególnych jednostkach naukowych. I to nie tylko dlatego, że cały ten proces przestał być w jakimkolwiek wymiarze obiektywny wskutek kolejnych (wielokrotnie niezgodnych z wcześniejszymi prawnymi ustaleniami) ingerencji Ministra Edukacji i Nauki w wykaz punktacji czasopism. Poważniejsze konsekwencje ma w rozwoju polonistyki jako sfery badań interdyscyplinarnych. Każdy z nas, niezależnie od miejsca, w którym pracuje, może obecne rozwiązania odnosić do przeszłości. Ja odwołam się do czasów, kiedy w Uniwersytecie Jagiellońskim byliśmy oceniani jako Wydział Polonistyki. Na wynik naszego wydziału w świetle aktualnie istniejącej klasyfikacji dyscyplin pracowali: literaturoznawcy, językoznawcy, badacze zajmujący się naukami o sztuce, naukami o kulturze i religii, naukami o komunikacji społecznej i mediach, a nawet – w pojedynczych przypadkach – filozofia, historia, naukami teologicznymi. Członkowie Rady Wydziału, która miała uprawnienia zarówno doktorskie, jak i habilitacyjne i związane z postępowaniem o nadanie tytułu profesora nauk humanistycznych, mogli wywierać realny wpływ na ten interdyscyplinarny dorobek.

Reforma sprawiła, że nasze środowisko zostało rozparcelowane na kilka rad dyscyplin: literaturoznawstwo, językoznawstwo, nauki o kulturze i religii, nauki o sztuce. To były dla wielu z nas bardzo trudne decyzje. Z dnia na dzień dowiadaliśmy się, że w zależności od indywidualnych wyborów w dyscyplinach, które wskazaliśmy, oprócz koleżanek i kolegów z naszego wydziału znaleźli się przedstawiciele niekiedy czterech czy też pięciu innych uniwersyteckich jednostek. Nie było szans, żeby się zacząć spotykać i próbować pracować nad jakąś całościową wizją rozwoju danej dyscypliny. I to nie tylko dlatego że nagle okazało się, iż do danej dyscypliny przypisało się ponad 200 (językoznawstwo, nauki o kulturze i religii), niekiedy nawet ponad 300 (literaturoznawstwo) pracowników Uniwersytetu. Główną przeszkodą stał się niezależny od tej strukturalnej reformy fakt, że zmiany zbiegły się w czasie z pandemią COVID-19. I zamiast realnych spotkań zaczęliśmy rozwijać dyscypliny poprzez ekrany urządzeń elektronicznych. I tak dobrze, iż w Uniwersytecie Jagiellońskim zdecydowaliśmy, że maksymalnie rada dyscypliny może liczyć 25 osób. Są to jednak ciała (tzw. organy) uprawnione do przeprowadzania doktoratów i habilitacji, składające się wyłącznie z profesorów i profesorów uczelni (a co z opiniami asystentów, adiunktów w sprawie rozwoju dyscypliny?). Nie zazdroszczę przewodniczącym rad, którzy w pandemicznej (i w dodatku wirtualnej) rzeczywistości odpowiadają za przyszłość danej dyscypliny nauki.

Na domiar złego Ustawa 2.0 wykluczyła z tych rad profesorów, którzy ukończy-

³ Jeszcze przed zakończeniem ewaluacji fachowcy od tej sfery działalności naukowej po wstępnej analizie osiągniętych efektów uważają, że wybór dwóch dyscyplin był zdecydowanie niekorzystny dla instytucji zatrudniającej danego badacza.

li 67 rok życia. Gdy do mnie dotarła owa wiadomość, to uważałem, że to największy skandal tej reformy. Potrafię zrozumieć decyzję, iż rektor w chwili rozpoczęcia kadencji nie może liczyć więcej niż 67 lat. Ale dlaczego profesor ma być wyłączony z uczestnictwa w procesach prowadzonych przez radę dyscypliny tylko z tej przyczyny, że wkroczył w 68 rok życia? Należę do pokolenia, które za świętość uznawało sytuację, że profesorowi tytularnemu przysługują do 70 roku życia (w niektórych uczelniach nawet dłużej) pełne uprawnienia akademickie.

Wróć do klasyfikacji dyscyplin. Rozumiem, że jednostki badawcze trzeba oceniać. A czy nie sensowniejszym rozwiązaniem byłoby ocenianie dziedziny nauk? Szczególnie w przypadku nauk humanistycznych taka decyzja byłaby bardziej uzasadniona. Opieram to przekonanie na wieloletniej obserwacji polskiej nauki, na doświadczeniu w spoglądaniu na życie uniwersytetu nie z perspektywy jednego instytutu czy wydziału, ale całości uczelni. Ten problem jest ważny nie tylko w aspekcie rozwoju humanistyki jako ze swej istoty sfery badań interdyscyplinarnych, lecz także dla bardziej obiektywnej oceny w ramach ewaluacji nauki. Musimy również pamiętać, że ta ocena przekłada się na decyzje w sprawie finansowania badań i przyznawania uprawnień do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego oraz prowadzenia szkół doktorskich. Świat współczesny pokazuje, z jednej strony, daleko idącą specjalizację, ale z drugiej – wartość badań interdyscyplinarnych. Nawet czas pandemii jeszcze dobitnie udowodnił wagę wykorzystania wiedzy z różnych dziedzin w rozwoju nauki, np. w zwalczaniu wirusa.

Wprowadzone na podstawie nowej ustawy podziały jeszcze większy problem stworzyły w przyporządkowaniu/przypisaniu poszczególnych periodyków do określonych dyscyplin. Nie warto już wspominać o całych, niekiedy dramatycznych zawirowaniach z tym przyporządkowaniem. Najsmutniejsze jest to, że przyjęte zasady zaprzeczają w praktyce istocie interdyscyplinarności badań i wymianie wiedzy pozyskiwanej przez naukowców. Czy nie nazwiemy chora rzeczywistością takiego świata, w którym badacz, podejmując decyzję o opublikowaniu efektów swej pracy, dokonuje weryfikacji, po pierwsze: czy na liście dyscyplin przyporządkowanych do danego czasopisma znajduje się ta dyscyplina, do której zgłosił swój akces, i po drugie – ile punktów uzyska za druk w tym właśnie periodyku (a częstokroć badacz jeszcze do 2019 roku publikację tekstu na tych właśnie łamach uważał za wyróżnienie). Już teraz na końcowym etapie prac nad danymi, jakie będą podlegały ewaluacji, wielu humanistów, którzy przed złożeniem artykułu do druku takich „sprawdzianów” nie wykonali, dowiaduje się, że ich tekst mógłby, co prawda, uzyskać nawet 100 punktów, ale np. literaturoznawstwo, wybrane przez naukowca jako jego dyscyplina, niestety, nie jest przypisane do periodyku, w którym ogłosił swój artykuł. W związku z tym w systemie ewaluacyjnym pojawia się przy publikacji pomarańczowy wykrzyknik informujący o niezgodności zachodzącej między dyscyplinami przyporządkowanymi do czasopisma a tą, którą badacz wskazał do systemu informatycznego POL-on. W takiej sytuacji naukowiec może tylko liczyć na to, że ewaluator, dostrzegając zgodność tematu pracy ze wskazaną dyscypliną, nie zakwestionuje artykułu i uwzględni go w procesie ewaluacji. W przeciwnym przypadku artykuł nie znajdzie się na liście osiągnięć i wskutek tego „straci” nie tylko sam naukowiec, ale przede wszystkim ośrodek badawczy, w którym jest on zatrudniony.

Relacjonując wspomniane tu ewaluacyjne uwikłania, czuję się nieco zażeno-

wany faktem, że w wypowiedzi o stanie współczesnej humanistyki zwracam uwagę na tego rodzaju problemy. Jestem jednak zdania, że odpowiedzialność za przyszłość nauk humanistycznych – mimo wewnętrznej niezgody na poruszanie takich formalnych aspektów nauki – nakazuje nam o tym mówić i walczyć o zmianę tych absurdalnych zapisów.

We współczesnym świecie, wypełnionym różnymi zagrożeniami, szczególne zadanie – nadal mam takie przekonanie – mogliby wypełniać humaniści, w tym poloniści. I to nie tylko w przekazywaniu wiedzy, ale przede wszystkim w edukacji społeczeństwa, uświadamianiu, że niezależnie od zmieniającego się oblicza świata warto w życiu zachowywać podstawowe wartości, takie jak prawda, wolność, równość, dialog, piękno⁴. Znamienne, iż w gronie stałych interpretatorów wydarzeń w stacjach telewizyjnych, radiowych, prasowych trudno dostrzec przedstawicieli nauk humanistycznych. Trochę lepiej jest w mediach społecznościowych. Czy nie mamy niczego do zaoferowania ogółowi społeczeństwa, czy nie świadczy to o marginalizacji naszego środowiska? Ale mnie najbardziej martwi fakt, że w życiu uczelni także niełatwo zauważyć humanistów, których wykłady byłyby adresowane do szerszego kręgu słuchaczy. Ileż razy namawiałem, aby dla studentów, doktorantów kierunków ścisłych, przyrodniczych, medycznych nasi humaniści zaproponowali ciekawe wykłady. Nawet w grupie kierunków humanistycznych i społecznych sporadycznie pojawiają się tego typu przedsięwzięcia. Czy na pewno nie myli się jeden z uniwersyteckich profesorów stwierdzając, że mamy wielu wybitnych uczonych, ale niewielu znakomitych wykładowców – prawdziwych osobowości, które potrafią wciągnąć w poruszane przez siebie tematy swoich słuchaczy i tym samym zapełnić sale audytorialne. Czy nie powrócą już czasy z historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, kiedy na wykłady prof. Jana Błońskiego, ks. prof. Józefa Tischnera, prof. Piotra Sztompki przychodziły tłumy ludzi z różnych kierunków studiów, także asystenci, a nawet adiunkci (zajmowano miejsca na schodach, często też otwierano drzwi i słuchano wykładu na korytarzach). Jeśli nie przekonamy w pierwszej kolejności naszego wielodzielnego środowiska naukowego, to jeszcze bardziej zostaniemy odsunięci na margines życia naukowego i społecznego. Uważam, że oprócz systematycznego, w wielu przypadkach w pełni uzasadnionego narzekania, musimy być bardziej aktywni, nawet ekspansywni zarówno w domaganiu się swoich praw, ale i w przypominaniu, jakie miejsce mają wartości humanistyczne w życiu społeczeństwa.

Kolejny problem, który za chwilę może stać się poważnym zagrożeniem nie tylko dla humanistyki (lecz chyba dla tej dziedziny nauki szczególnie), to sposób rozumienia wolności badań i dydaktyki uniwersyteckiej. Nie ukrywam, że jako rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego mam wiele refleksji na ten temat, które może

⁴ Dyskusja na temat znaczenia humanistyki trwa od wielu lat. Istotną rolę odegrał w niej numer specjalny „Znaku” z października 2009, noszący znamieny tytuł: *Bankructwo humanistyki?* Wówczas w dyskusji zainspirowanej przez redakcję pisma głos zabrali m.in. profesorowie Michał Głowiński, Zdzisław Łapiński, Henryk Markiewicz. Zob. późniejsze publikacje, m.in. *Rozmyślania nad humanistyką*. Red. J. Witkoś. Poznań 2015. – *Sens humanistyki dzisiaj*. Red. J. Brzozowski, A. Hennel-Brzozowska, M. Lenart. Kraków 2016.

przy innej okazji przedstawię. Boję się jednak, iż pewne zagrożenia, już w tej chwili istniejące, rzutują na postawy polonistów/humanistów i przesadzają o wyborze takich a nie innych tematów badawczych. Ileż razy słyszę, że określone zagadnienia warto poruszać, znajdują bowiem uznanie u decydentów przyznających granty, że trzeba uważnie analizować składy gremiów mających wpływ na finansowanie. To przerażające, jak przyszłość humanistyki została uzależniona od zewnętrznych, nie chcę wprost powiedzieć – politycznych, względów. Podobne uwikłanie dostrzec można w sposobie oceniania/recenzowania ukazujących się prac, książek – w sytuacji, kiedy pragniemy wygłaszać zarówno pochwały, jak i uwagi krytyczne. Zaskakująco aktualnie brzmi tu słowa Jana Błońskiego, który w 1965 roku pisał o tych dylematach w liście do Czesława Miłosza (w tym przypadku refleksję zrodziły wątpliwości związane z pragnieniem ogłoszenia tekstu o Marku Hłasce):

Ale napisać o nim w Polsce – niemożliwe, chyba żebym go mocno krytykował i potępiał, tego zaś nie zrobię, abym nie wyszedł na fagasa. Oto dramat krytyka: nie to, że nie można chwalić, ale także, że nie można krytykować rzeczy szkodliwych, bo staje się w jednym szeregu z dławicielami wszelkiej myśli i twórczości: miałem już takie przykrości, na przykład kiedyś napadłem na nihilistów naszych warszawskich, pocziwych, potem Gomułka zrobił to samo; efekt: ach, ty świnió, chciałeś się przylizać wydziałowi kultury, wiedziałeś, skąd wiatr powieje itd.⁵

Dzisiaj w praktyce oznacza to, że uruchamiamy mechanizm obronny, zarówno wówczas, gdy chcemy krytykować pracę, napisaną w duchu naszych przekonań (żeby, broń Boże, autorowi nie zaszkodzić i nie dać się zaliczyć do grona krytyków z drugiej strony politycznej), jak i wtedy, gdy nie piszemy o pewnych książkach, znajdujących się po przeciwnej stronie ideowej, żeby przypadkiem ktoś nie kojarzył nas z tym środowiskiem. To jest zabójcze z punktu widzenia prawdziwej wymiany myśli. W praktyce prowadzi do sytuacji tworzenia się dwóch światów narracji humanistycznej. Kiedyś okoliczności zewnętrzne skłaniały polonistów do zajmowania się z konieczności literaturą krajową i emigracyjną, dziś podobne dwa obiegi zaczynają funkcjonować w tej samej przestrzeni geograficznej⁶. Oczywiście, nie można przemilczeć faktu, że kto w danym momencie sprawuje władzę polityczną, ten ma też, poprzez dostęp do środków finansowych, większą możliwość wspierania badań (zapewne naukowcy powinni w przyszłości napisać poważne studium poświęcone kreowaniu w dziedzinie humanistyki, nauk społecznych nowych instytutów, otrzymujących w chwili startu bez żadnych kryteriów znaczące finansowanie, warto prześledzić także ustanawianie nowych nagród literackich, naukowych itd.).

⁵ J. Błoński, Cz. Miłosz, *Listy 1958–1997*. Zebrał, przepisał i opatrzył przypisami A. Puchejda. Gdańsk 2019, s. 85.

⁶ Te dwa obiegi obserwujemy w różnych dziedzinach współczesnej humanistyki, m.in. w badaniach historycznych, dotyczących np. rozumienia tradycji polskiej, wartości naszej kultury, w tym również znaczenia dorobku literatury polskiej. Zob. choćby spór wokół kolejnych tomów *Dziejów Polski* A. Nowaka czy *Ludowej historii Polski* A. Leszczyńskiego. Ocena wielu publikacji w znacznym stopniu uzależniona jest nie tylko od preferowanej postawy badawczej, metodologii, ale i od poglądów politycznych. Niezwykle inspirujące dla środowiska humanistów będzie ocenienie sporu choćby wokół tych dwóch przywołanych monografii historycznych. Zob. m.in. *Zatruta humanistyka. Ludowa historia Polski – o pochwałach rabacji w lewicowej publicystyce historycznej*. Rozmawiają B. Gancarz, H. Głębocki, A. Nowak, M. Urbanowski, A. Waśko. „Arkana” nr 160 (lipiec–sierpień 2021). Wydaje mi się jednak, że potrzebna tu będzie pewna perspektywa czasowa.

Te wszystkie szkicowo zarysowane problemy, w znacznym stopniu uwikłane w sytuację społeczno-polityczno-ekonomiczną świata, w jakim funkcjonujemy, nie powinny zwalniać nas z obowiązku rzetelnego oceniania stanu badań polonistycznych. Trudno wskazywać właściwe cezury, które uprawniałyby co jakiś czas do stwierdzenia: dokonajmy diagnozy dorobku środowiska polonistycznego. Łatwiej nam wyznaczać hasła będące przewodnią myślą kolejnych spotkań polonistów. Marzy mi się zjazd polonistów, gdzie przedstawiono by naprawdę gruntowną ocenę dotychczasowych rezultatów w badaniu poszczególnych aspektów historii polskiej literatury, od dorobku w zakresie pisania syntez historii literatury, podręczników akademickich i szkolnych, monografii najważniejszych twórców, aż po badania i edycje tekstów źródłowych. Taka diagnoza osiągnięć i zaniedbań polonistyki/humanistyki powinna być także sposobnością do ewaluacji obowiązujących zasad finansowania tej dziedziny nauki przez instytucje do tego powołane, m.in. Narodowe Centrum Nauki, Ministerstwo Edukacji i Nauki, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Przy okazji poprzedniego Zjazdu Polonistów wspomniałem:

Ustanowienie Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki – to jeden z największych sukcesów, jakie w ostatnich latach odniosła polska humanistyka. Czy poloniści na tym skorzystają? Przecież tym razem w niewielkim stopniu zależy to od urzędników. W pierwszej edycji – mówię to w swoim imieniu, jako jeden z członków Rady – poloniści nie w pełni wykorzystali swoją szansę. Za mało było projektów, o których można by powiedzieć, że mają fundamentalne znaczenie dla polskiej humanistyki⁷.

Dziesięciolecie funkcjonowania Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki jest także znakomitą okazją nie tylko do oceny tego sposobu finansowania humanistyki, ale i do określenia realnych efektów badań realizowanych w ramach zakończonych już grantów⁸.

Ponieważ raz odwołałem się do niesłuchanej inspirującej korespondencji Błońskiego i Miłosza, posłużę się jeszcze jednym cytatem z 1965 roku. Na pewno ówczesne narzekania Błońskiego nie wydają się dziś w pełni uzasadnione, ale warto, żeby poloniści odpowiedzieli sobie, czy w wielu przypadkach nie są one oskarżeniem naszego współczesnego środowiska:

Upadek historii literatury jest szczególnie uderzający, nikt nie ma prawie odwagi zajmować się głównymi autorami, tymi pięcioma czy siedmioma, którzy stworzyli polską literaturę... ja sam o Sępie piszę, nie o Kochanowskim, ale Sęp to jeszcze ktoś w porównaniu z Zapolskimi i Kaczkowskimi, którzy najchętniej są opracowywani. [...] Jeśli nie ma monografii solidnych (ani jednej poważnej o Kochanowskim, Norwidzie, o innych stare) ani syntez epok, trudno o żywe historie, które by łączyły erudycję ze swobodą traktowania materiału [...]⁹.

Pamiętam, jak lata temu, projektując wspólnie z Janem Błońskim, Januszem Deglerem, Dobrochną Ratajczakową serię wydawniczą „Dramat w Teatrze – Teatr w Dramacie”, zadaliśmy sobie trud, żeby tomy poświęcone epokom w historii pol-

⁷ Popiel, *op. cit.*, s. 434.

⁸ Zob. „Forum Akademickie” 2021, nr 6. Tu m.in. wypowiedź pierwszej przewodniczącej Rady NPRH G. Borkowskiej (*Pat. O grantach badawczych dla humanistów*. Jw., s. 16–17) i rozmowa z obecnym przewodniczącym W. Boleckim (*NPRH zintegrował środowisko humanistyczne*. Jw., s. 20–25).

⁹ Błoński, Miłosz, *op. cit.*, s. 84.

skiego dramatu rozpoczynały się od diagnozy¹⁰. Pamiętam, jak ciężka i odpowiedzialna to była praca. A jednak udało się. Od czasu, kiedy przygotowywaliśmy te stany badań, minęło ponad 30 lat. I nie zauważyłem, żeby ktoś zrobił następne diagnozy (jeśli czegoś nie dostrzegłem, będę wdzięczny za uzupełnienie mojej wiedzy). A przecież ocena naszych dokonań winna być punktem wyjścia w wytyczeniu celów, jakie mają przyświecać każdemu poloniście, który wierzy jeszcze w szczególne znaczenie polonistyki jako narodowej filologii i ważnej części współczesnej humanistyki.

¹⁰ Zob. M. Bułanowski, *Stan badań nad dramatem okresu Młodej Polski*. W zb.: *Dramat i teatr modernistyczny*. Red. J. Popiel. Wrocław 1992. – J. Popiel, *Stan badań nad dramatem polskim Dwudziestolecia międzywojennego*. W zb.: *Dramat i teatr Dwudziestolecia międzywojennego*. Red. J. Popiel. Wrocław 1992. – Z. Poznański, *Stan badań nad dramatem polskim okresu pozytywizmu*. W zb.: *Dramat i teatr pozytywistyczny*. Red. D. Ratajczak. Wrocław 1992. – Z. Przychodniak, *Badania nad dramatem polskim okresu 1795–1830 (dokonania i perspektywy)*. W zb.: *Dramat i teatr postanistawowski*. Red. D. Ratajczak. Wrocław 1992; *Stan badań nad dramatem polskim okresu romantyzmu*. W zb.: *Dramat i teatr romantyczny*. Red. D. Ratajczak. Wrocław 1992. – L. Kośka, *Stan badań nad polskim dramatem współczesnym (1945–1989)*. W zb.: *Dramat i teatr po roku 1945*. Red. J. Popiel. Wrocław 1994.

TOMASZ MAJEWSKI Uniwersytet Jagielloński, Kraków
ORCID: 0000-0003-0048-022X

PRZECIW RACJONALIZACJI NIEMOCY UNIWERSYTET – SCENARIUSZE PRZYSZŁOŚCI

Proteusz, „nieomylny dziad morski ukrywający się pod grzywą fal wzburzonych”, uosobienie procesu metamorfozy i dynamiki, musiał być pochwycony w trakcie cyklu przemian, zanim jeszcze jedna z postaci-wcieleń ostatecznie się ustabilizowała, bo tylko tak zechciał on odsłonić pytającemu, co kryje przyszłość. „Nie zapomniał dziad sztuki podstępów, najpierw stał się lwem bujno-grzywym, potem smokiem, panterą, odyńcem. Stawał się wodą płynącą i drzewem rozłożystym, a myśmy trzymali go mocno” – opowiadał Menelaos w pieśni IV *Odysei*¹. Do fragmentu tego nawiązał Francis Bacon, ojciec nowożytnej nauki, upatrując w opisanym scenie alegorię procesu poznawczego dokonującego się w ramach nowej metody naukowej, która pragnie pojęciowo „pochwycić” polimorficzność świata, w tym wypadku – całościowo rozumianej przyrody w wielkiej liczbie jej materialnych przejawów². Współczesny humanista być może zatrzymałby się już tutaj, na progu, przed podjęciem się takiego lub podobnie wielkiego zadania. Nie bardzo wie, jak nazwać wielopostaciowy czas, jak zwięźle scharakteryzować poliwalentną współczesność, a co dopiero – jak „chwycić ją w swoje ręce” i skłonić do profetycznego mówienia o tym, co może się zdarzyć.

Wchodząc w obszar niepewności, tracimy poczucie bezpieczeństwa, jaką oferują główne języki teoretyczne, bardziej przydatne humanistom jako alibi i racjonalizacje poznawczej niemocy niż w roli narzędzi eksploracji świata społecznego i kultury³. Wyzwania, z jakimi się mierzymy i mierzyć się będziemy jako członkowie wspólnoty uniwersyteckiej – takie będzie moje rozpoznanie wstępne – dotyczą czterech obszarów problemowych, z których dwa pierwsze są od dawna znane, a trzeci i czwarty właśnie dostrzegamy. Dopiero ich splot, zachodzące pomiędzy nimi sprzężenia, określają możliwe usytuowanie uniwersytetu i stojące przed nim zadania.

Uniwersytet – dyscyplinowanie procesu poznawczego

Mam świadomość, że uwagi, które za chwilę wypowiem, mogą spotkać się ze sprzeciwem i oskarżeniem o anachronizm. Otóż sądzę, że potrzeba nam dzisiaj

¹ Homer, *Odyseja*. Przeł. J. Parandowski. Warszawa 1959, s. 98.

² Zob. K. Sabolius, *Proteusz i radykalna wyobraźniowość*. Przeł. K. Pecela, J. Tabor. Wstęp, konsult. meryt. A. Rostkowska. Kraków 2015, s. 164–165.

³ Zob. B. Readings, *Uniwersytet w ruinie*. Przeł. S. Stecko. Warszawa 2017, *passim*.

przynajmniej „regionalnego” ograniczenia implikacji radykalnego relatywizmu poznawczego, w ramach instytucjonalizacji efektów sceptycyzmu metodologicznego (po poststrukturalizmie), w naukach społecznych i humanistycznych. Podkreślam, chodzi jedynie o korektę, a nie o powrót na utarte szlaki scjentyzmu. Temat jest zbyt obszerny, abym mógł się nim tu szerzej zająć. Chodzi o zachowanie maksimum dotychczasowych zdobyczy refleksji krytycznej, w tym pogłębionej świadomości wielorakich zależności naszych wglądów poznawczych od kontekstu kulturowego przy jednoczesnej obronie pozakonwencjonalnego charakteru kryteriów ogólnoracjonalnych. Bez prawa negacji, niesprzeczności, tożsamości jako logicznej infrastruktury każdej uporządkowanej myśli nie poradzimy sobie w obecnej sytuacji, kiedy trzeba nam zarówno bronić skumulowanej, wartościowej wiedzy naukowej przed społeczną kontrofensywą negacjonistów Holokaustu, antyszczepionkowców, płaskoziemców, jak i bronić się na forum publicznym przed zorganizowaną dezinformacją, przed rozszerzającą się w internetowych bańkach „postprawdą”. Bez popadania w nowy dogmatyzm można, jak sądzę, przyjąć, że to od tej logicznej infrastruktury zależy w znacznej mierze sama zdolność rozumienia cudzych argumentów, ustalania na drodze dociekań, na ile zbliżone lub oddalone od siebie są określone przekonania i wnioski. Dzięki tym kryteriom możemy dokonywać sensownych porównań zawartości przedmiotowej twierdzeń naukowych i publicystycznych, a także odnosić się krytycznie do ich roszczeń prawdziwościowych.

Nie jest to miejsce na dłuższy wywód z teorii poznania i filozofii nauki, ale uważam, że „relatywność wszystkich pojęciowych systemów, włącznie z naszymi, [...] do danego języka”, tzn. przyjmowana w humanistyce po zwrocie lingwistycznym i interpretatywnym hipoteza Sapira–Whorfa, sama zdaje się zakładać minimalną podstawę wspólną dla dokonywanych porównań systemów pojęciowych, struktur gramatycznych i kategorii klasyfikacyjnych wskazywanych jako „relatywne do odmiennych języków”⁴. Nawet jeśli analiza przedmiotowej zawartości określonych twierdzeń nie prowadzi nas ku tym samym wnioskom (bo uniwersalne kryterium prawdy nie istnieje lub nie jest nam dostępne), to sam fakt, że analizę taką możemy podjąć, różne typy dociekań ze sobą porównać, świadczy, że co najmniej analiza pojęć i ich implikacji logicznych jest wciąż możliwa.

Sugeruję jedynie to, co Steven Lukes określa jako antyrelatywistyczne minimum poznawcze⁵. Jest ono niezbędne i wtedy, gdy chcemy prowadzić na Uniwersytecie dyskusje porównując jakość naszych argumentów, i wówczas, gdy przechodzimy w obszar edukacyjnych zastosowań humanistyki, przede wszystkim dydaktyki uniwersyteckiej, w której ramach powinniśmy formować racjonalne (w podanym tu znaczeniu), zdolne do sensownej deliberacji i poprawnej logicznie argumentacji osoby, zasilające następnie sferę publiczną. Jeśli zgodzimy się co do tego, niezbędna będzie oczywiście także odwaga, by czynić z tej idei użytek i nie cofać się przed publicznym wypowiedzianiem tezy, które wynikają z naszych badań. Pozostawiam do rozważenia, czy przyjęcie takiego stanowiska nie wspiera pośrednio normy postę-

⁴ B. L. Whorf, *Language, Thought and Reality*. Cambridge, Mass., 1964, s. 214.

⁵ S. Lukes, *Relatywizm: poznawczy i moralny*. W zb.: *Racjonalność i styl myślenia*. Wybór, wstęp, posł. E. Mokrzycki. Warszawa 1992 (przeł. M. Grabowska).

powołania nakazującej nam – w ramach szerzej ujętej etyki profesjonalnej – ujawniać i nagłaśniać odkryte mankamenty analizowanego przez nas stanowiska innego badacza, publicysty lub polityka. Jak bowiem wiadomo, idee nie oddziałują na świat społeczny same, własną siłą (w jeszcze mniejszym stopniu dałoby się to powiedzieć o poprawności logicznej). Oddziaływanie idei wymaga rozumiejących je osób. Jak słusznie zauważa Susan George: „Ci, którzy odmawiają działania w oparciu o świadomość, że idee mają swoje konsekwencje – marnują je”⁶.

Teza o minimalnej wspólnej infrastrukturze myśli, która ma charakter ponadkulturowy, jest mi bliska także dlatego, że umożliwia jednostkom „transindywidualizację” (termin Bernarda Stieglera), tzn. wspiera proces usamodzielnienia się i wyodrębnienia z grupy światopoglądowej przez zapytywanie i kwestionowanie tego, co stanowi wytwór własnej kultury (wektor wyodrębnienia myślącej i poszukującej osoby jest tutaj przeciwny do indywidualnej idiosynkrazji, zakłada on uniwersalność jako horyzont⁷). W tym sensie minimum antyrelatywistyczne stanowi też przesłankę Uniwersytetu, legitymizuje ono proces uczenia się, rozumiany jako „uznanie problematyczności obiegowych przekonań na temat świata”, i umożliwia „dostrzeżenie sensu w pytaniu o sprawy, które w potocznym myśleniu wydają się oczywiste”⁸.

Tej przesłanki nie da się, rzecz jasna, odnieść bezproblemowo do tego, co dotyczy przedmiotowej zawartości naszych twierdzeń jako opierających się również na kulturowo względnych opozycjach pojęciowych i na wytworzonych w toku historii klasyfikacjach – czerpiących swoją „moc oczywistości” z kontekstu przekonań, w jakich jesteśmy zanurzeni. To jednak infrastruktura logiczna myśli jest tym, co pozwala zakres przekonań i twierdzeń podawanych przez otoczenie społeczne jako oczywistych – badać i kwestionować⁹. Miękki antyrelatywizm poznawczy jest zatem potrzebny, aby podtrzymać racjonalność nauki – zwłaszcza tej szczególnej dziedziny, jaką stanowi humanistyka, zajmująca się wartościami, waloryzacjami i w szerokim zakresie także irracjonalnymi źródłami symbolicznych ekspresji człowieczeństwa.

Przypomnienie o tej różnicy ma istotne znaczenie nie tylko z powodów naukowych. Warto pamiętać, że wyrzucenie za burtę „antyrelatywizmu poznawczego” nieprzypadkowo zbiegło się z utratą społecznego autorytetu wiedzy naukowej, z utratą szacunku badaczy do samych siebie (zanikaniem poczucia sensu konstytuującego ich badania)¹⁰, wreszcie z obniżeniem rangi profesji akademickiej w oto-

⁶ S. George, *How to Win the War of Ideas: Lessons from the Gramscian Right*. (1997). Na stronie: <https://www.dissentmagazine.org/article/how-to-win-the-war-of-ideas-lessons-from-the-gramscian-right> (data dostępu: 17 II 2022).

⁷ Zob. H. Arendt, *Filozofia i socjologia*. W: *Salon berliński i inne eseje*. Przedm., wybór tekstów P. Nowak. Przeł. M. Godyń, S. Szymański. Warszawa 2008, s. 154–159.

⁸ A. Pobojevska, *Edukacja do samodzielności. Warsztaty z dociekań filozoficznych. Teoria i metodyka*. Łódź 2019, s. 81–82.

⁹ Drugi taki instrument stanowi od wczesnej nowożytności horyzont porównawczy obejmujący obyczaje innych kultur.

¹⁰ Zob. M. Weber, „Obiektywność” poznania w naukach społecznych. W zb.: *Problemy socjologii wiedzy*. Wybór A. Chmielecki, S. Czerniak, J. Niżnik, S. Rainko. Warszawa 1985 (przeł. M. Skwieciński).

czeniu społecznym. Ten proces dewaloryzacji działań akademicko-profesjonalnych uczynił nas jako środowisko w dużej mierze bezbronnymi w zderzeniu z technokratyczną logiką reformy szkolnictwa wyższego (Ustawy 2.0), która w sposób niezgodny z aksjologią Uniwersytetu pragnie tenże „racjonalizować” z zewnątrz – odmawiając komukolwiek prawa do kwestionowania przesłanek i wartości stanowiących zaplecze tej brutalnej „racjonalizacji”. Choćby z tego powodu należy wątpić, czy obecna „racjonalizacja Uniwersytetu” oznacza też przyrost racjonalności akademików i absolwentów Uniwersytetu jako jednostek.

Uniwersytet – kształtowanie kompetencji komparatywnego rozważania odmiennych wartości oraz ich konsekwencji

Cofnę się jeszcze o jeden krok i zajmę się teraz uniwersytetem jako „instrumentem treningowym” wyjątkowej sprawności, jaką jest zdolność do rozumnego radzenia sobie z pluralizmem niewspółmiernych, niesprowadzalnych do siebie wartości występujących w ramach jednego społeczeństwa. Najpierw wszakże dwa zastrzeżenia. Po pierwsze, nie podzielam poglądu, że aksjologiczna lub normatywna wielość to dla nas w Polsce „wielkie nieszczęście”, „kulturowy chaos” i winna być zredukowana, jak twierdzą np. zwolennicy dyskursu spod znaku „bezpieczeństwa kulturowego”¹¹ czy prawnicy z *Ordo Iuris*. Po drugie, nie podzielam przekonania, że kultury przednowoczesne i nowoczesne, istniejące w dawnych, dobrych czasach „przed postmodernizmem”, nie znały sytuacji występowania niewspółmiernych wartości bądź odwoływały się do „nadrzędnych norm” religijnych lub prawnonaturalnych na tyle skutecznie, że oferując partycypującym w nich jednostkom „bezpieczeństwo ontologiczne”, nie narażały ich na podobne dylematy. Pluralizm (pogłębiona świadomość wielości wzorów życia i norm moralnych) jawi się jako unikalne zjawisko kryzysowe wyłącznie tym z nas, którzy bez zastrzeżeń wierzą w „mit integralności kulturowej”¹², rozumiejąc wszelkie kultury (swoje i cudze) jako hiperspójne i odseparowane, albo sami dążą do wprowadzenia takiego stanu rzeczy, widząc w nim pewien ideał.

W życiu musimy raczej nawigować, wybierając na własną odpowiedzialność, jaką regułę uznać za nadrzędną oraz kiedy i w jakim przypadku. Co więcej, jako humaniści opisujemy i analizujemy „zarchiwizowane kulturowo” bardzo ważne przypadki takich aksjotycznych dylematów (np. spór starożytników i nowożytników, klasyków i romantyków, pisma i polemiki różnowierców). Poza znaczeniem erudycyjnym udostępnianie tej przeanalizowanej „wielości norm” ma ogromne znaczenie edukacyjne, szczególnie gdy rozpatrujemy wpływ Uniwersytetu na otoczenie społeczne (*social impact* – trzecie kryterium naszej ewaluacji, jeżeli rozumiemy je szerzej niż „technokratycznie”). Znajomość owych dylematów uczy nas pośrednio takiej „komparatystyki norm i wartości”, która nie musi odbywać się według reguł współczesnej wojny kulturowej. To ostatnie pokazuje, że autonomia Uniwersytetu nie

¹¹ J. Gierszewski, K. Drabik, A. Pieczywok, *Bezpieczeństwo kulturowe w trakcie zmian społecznych*. Warszawa 2020, *passim*.

¹² M. S. Archer, *Mit integralności kulturowej*. W: *Kultura i sprawczość. Miejsce kultury w teorii społecznej*. Przeł. P. Tomanek. Warszawa 2019.

polega także na tym, iż jest on odizolowany od otoczenia w tym sensie, że społeczne spory światopoglądowe na temat wartości mogły go po prostu omijać. Może Uniwersytet ustanawiać wzorce cywilizowanej dyskusji w tym zakresie i kształtować nimi swoje otoczenie. Z doświadczenia wiemy jednak, że częściej dochodzi do czegoś wręcz przeciwnego – to walka światopoglądów przenosi się na Uniwersytet w postaci, która osłabia mediacyjny charakter uniwersyteckiej „komparatystyki”, czyniąc z badań humanistycznych kolejną scenę powszechnej walki o kulturową hegemonię.

Potrzebne jest tutaj jeszcze doprecyzowanie o kluczowym znaczeniu dla humanistów, które poczyniła Ruth Chang, a rozwinął Lukes¹³. Otóż nieporównywalność wartości ujawnia się częściej, gdy porównania nie dokonujemy w abstrakcji intelektualnej, ale „pomiędzy »konkretnymi nosicielami wartości« – między dobrami, działaniami, zdarzeniami, obiektami i stanami rzeczy, które konkretyzują lub mają wartość (też wartość negatywną)”¹⁴, a także wówczas, kiedy uświadamiamy sobie dopiero w trakcie dokonywanych porównań szczególne racje związane dla nas (albo dla naszych oponentów) z sytuacją, gdy pewne porównania wydają się nam całkowicie niewłaściwe czy niestosowne. Niewspółmierność taka ujawnia się w akcie aksjotyczno-mierniczej pracy, podczas poszukiwania uniwersalnej skali gradacji wartości, której uzyskać przecież nie możemy. Jak wskazuje Will Kymlicka, jest to możliwe jedynie dla nas prywatnie jako wyznawców pewnego światopoglądu, tzn. w obrębie partykularnej logiki aksjologicznej, jaką dana perspektywa filozoficzna, polityczna lub religijna nam oferuje. Przeskok między jednym a drugim to przejście od „publicznego” do „prywatnego użytku z rozumu”¹⁵.

Pamiętając o tym, że jako prywatne jednostki jesteśmy wyznawcami określonych światopoglądów, musimy umieć się dystansować, kształcić się akademicko i badając symboliczny wyraz aksjologii niewspółmiernych. Lukes dodaje, że sama metaforyka „ważenia dóbr, równoważenia racji” towarzyszy nam, kiedy mówimy „o kompromisach, które muszą być wypracowane, gdy dochodzi do zderzenia wartości”¹⁶.

Dzieje się tak w sytuacjach, gdy trzeba dokonać wyboru między alternatywnymi opcjami [...], które konkretyzują różne i niezgodne wartości. W istocie wszelki sposób myślenia o tego typu kwestiach – który opiera się na lub pozostaje pod wpływem myślenia ekonomicznego – zwykle przyjmuje za daną z góry ideę (nigdy niepoddaną analizie), że *kompromis* jest (jedyną) adekwatną charakterystyką tego, na czym polega dokonywanie wyborów między alternatywnymi opcjami wartościującymi¹⁷.

Tymczasem handlowej metaforyce „kompromisu” (wymiany czegoś wartościowego na coś innego po oszacowaniu i uzyskaniu godziwej ceny) przeciwstawia się metafora *poświęcenia* (z porządku wyobrażeń religijnych)¹⁸. Ta zmiana semantyczna sygnalizuje zupełnie inny poziom waloryzacji, gdy mówimy, że nie możemy

¹³ S. Lukes, *O porównywaniu nieporównywalnego: kompromis i poświęcenie*. W: *Liberałowie i kani-bale. O konsekwencjach różnorodności*. Przeł. A. Dominiak, Ł. Dominiak. Toruń 2012, s. 108–109.

¹⁴ *Ibidem*, s. 109.

¹⁵ W. Kymlicka, *Politics in the Vernacular: Nationalism, Multiculturalism, and Citizenship*. Oxford – New York 2001.

¹⁶ Lukes, *O porównywaniu nieporównywalnego: kompromis i poświęcenie*, s. 113.

¹⁷ *Ibidem*.

¹⁸ *Ibidem*.

badź „nie wolno nam” czegoś „poświęcić”¹⁹. Każdy światopogląd – niezależnie od tego, czy religijny czy świecki – ma taki poziom ostatecznej waloryzacji, gdzie pewien rodzaj dóbr, wartości „zwornikowych” uznaje się za niezbywalny. Sprzedać owe dobra oznaczałoby „sprzedać się”²⁰. Należałoby dodać, że odkrywanie tego, co dla kogo jest rzeczywiście jego „nadrzędną wartością światopoglądową”, to długi proces zachodzący w „obecności” konkurencyjnych norm. Uniwersytet nie stanowi zatem obszaru indyferentnego wobec norm, pozwala natomiast uczestnikom debaty odzielić w ich własnych światopoglądach rzeczy istotne od drugorzędnych.

Uniwersytet nie staje się przez wyćwiczenie w nas kompetencji z komparatystryki wartości „obszarem indyferentnym”. Jasne jest też – przez analogię do poprzedniego zagadnienia – że normatywny relatywizm moralny nie może być „wartością zwornikową” Uniwersytetu, ponieważ łączy się z założeniem o „nieporównywalności” wszelkich norm i ich konsekwencji. A to czyniłoby niemożliwym lub bezcelowym prowadzenie debaty. Analogicznie zresztą kompetencja związana z rozważeniem moralnie odmiennych racji staje się nieosiągalna np. dla fundamentalisty odrzucającego *en globe* pluralizm wartości. Innymi słowy, trening w radzeniu sobie z niepewnością poznawczą, przygodnością norm i odwołujących się do nich ocen to dar Uniwersytetu dla ludzi dojrzałych, czyli mających odwagę samodzielnie myśleć. To zasób kompetencji rzadkich, wręcz deficytowych w naszym targanym przez gorące konflikty, atakowanym przez dezinformację i zarządzanym przez populistyczne narracje społeczeństwie.

Reforma edukacji i Ustawa 2.0: kształtowanie wiedzy i aparatu kształcenia (preludium entropijne)

Oceniając nową podstawę programową szkoły średniej, Dorota Klus-Stańska wraz z Zespołem ds. Dydaktyki przy Komitecie Nauk Pedagogicznych PAN pisała, że „siła inercji programocentryzmu wynika tu z tęsknoty za edukacją zapewniającą absolwenta, który samodzielnie nie myśli, lecz ślepo podąża tropem wyznaczonym przez zwierzchnika (nauczyciela), nie umie stawiać pytań ani kwestionować narzucanego mu obrazu świata”²¹. Zespół Klus-Stańskiej wspomina również o przyuczaniu do „jednej (jedynej słusznej) interpretacji świata” na podstawie zawężonej transmisji leksykalno-semantycznej oraz o faworyzowaniu jako celu nauki wyłącznie „osiągnięć formalno-poprawnościowych”. Edukacja szkolna nie jest zatem funkcjonalna wobec zadania obniżania lęku związanego z wyeksponowaniem na skonfliktowane systemy wartości, na mnogość światopoglądów w jednym społec-

¹⁹ *Ibidem*, s. 113–114. Na tej to zasadzie, jak przypomina Lukes (*ibidem*, s. 115), É. Durkheim „argumentował, że prawo Dreyfusa do uczciwego procesu nie powinno być [...] stawiane na [jednej] szali z tym, co przeciwnicy rzekomego zdrajcy uważali za wymogi związane z utrzymaniem pokoju społecznego czy istniejącego porządku”.

²⁰ Zob. ujęcie „nadrzędnej wartości światopoglądowej” w optyce społeczno-regulatywnej teorii kultury – A. Zeidler-Janiszewska, *Transformacje hermeneutyki a problem statusu wiedzy o sztuce*. W: *Bezinteresowna ciekawość... Humanistyka, kultura, sztuka*. Wybór M. Michałowska, A. Pałubicka, E. Rewers. Warszawa 2019, s. 14–22.

²¹ Wszystkie cytaty z tego raportu podaję za P. Sadurą (*Państwo, szkoła, klasy*. Warszawa 2017, s. 250–252).

czeństwie i na narastające wraz z globalnym obiegiem informacyjnym doświadczenie wielokulturowości. Mimo tego deficytu pojawił się pomysł pokierowania procesem edukacyjnym tak, aby jego efektem była jeszcze większa jednorodność normatywna jako ideał wychowawczy. W takim świetle należy bowiem rozumieć określenie gimnazjów, już w toku ich likwidacji, przez jednego z naszych kolegów, typowanego przez pewien czas na przyszłego ministra edukacji, mianem „bastionów postmodernizmu”.

Młode osoby tak kompetencyjnie uformowane przed wstąpieniem na Uniwersytet mogą sobie gorzej radzić z sytuacją „dysonansu poznawczego” opisanego przez psychologa Leona Festingera. Górę u nich bierze „dążenie do reedukacji niepewności”, domagają się oni wiedzy i ustaleń jednoznacznych. Jak przedstawia rzecz Peter L. Berger, działające tu mechanizmy na poziomie społeczno-behawioralnym „oznaczają unikanie źródeł rozbieżnych informacji” i rozwój umysłowych mechanizmów obronnych na rzecz „preferencji dla wyznawanych poglądów”²². Jednym z najczęściej występujących przystosowań obronnych tego rodzaju jest podważanie przekazu zaburzającego dotychczasowy obraz świata przez dyskredytowanie osoby głoszącej dany pogląd (rzecz to w naszej kulturze politycznej, ale także niestety akademickiej, łatwa do zaobserwowania)²³. Można ten wątek wstępnie podsumować mówiąc, że ostatnia reforma oświaty wskazuje na swoje faktyczne cele. Jak zauważa Mikołaj Herbst:

Z punktu widzenia edukacji nastawionej na ujawnienie indywidualnego potencjału uczniów i stwarzanie im szans rozwojowych, zmiana strukturalna zaproponowana przez rząd jest niespójna i nielogiczna. Natomiast z punktu widzenia realizacji wizji konserwatywnego społeczeństwa – ma ona głęboki sens²⁴.

Proponuję teraz rozpatrywać na jednej płaszczyźnie „przefunkcjonowanie” systemu edukacji (wyplukiwanie tego, co się wiąże z „niepewnością poznawczą”) oraz mechanizm kwantyfikowania efektów nauki, wymuszany bibliometrycznymi zasadami ewaluacji. Jedno i drugie opiera się na filozofii redukcji złożoności i waloryzacji jednego systemu norm. Obraz badań uniwersyteckich po takim dopasowaniu do logiki algorytmów wcale nie jest bardziej racjonalny. Na dodatek pozostaje zależny od przygodnych kryteriów partykularnej kultury gospodarczej i jej regulacji podawanych jako „uniwersalne”, modelowe, „postulowane przez OECD” nauce jako systemowi o odmiennych regulacjach. Zacytuję Andrzeja Mencwela: otóż ministrialni „decydenci przestali w ogóle rozumieć różnice pomiędzy kwantyfikacją a waloryzacją. Ocena wartości nauki musi być zawsze jakościowa, nigdy ilościowa i jest procesem tak złożonym, że nie mieści się on w obecnych procedurach”²⁵. Racjonalna treść regulacji oraz norm, możliwe ich konsekwencje w odmiennym instytu-

²² P. L. Berger, A. C. Zijderveld, *Pochwała wątpliwości. Jak mieć przekonania i nie stać się fanatykiem*. Przeł. S. Baranowski. Warszawa 2010, s. 43–47.

²³ Zob. *ibidem*, s. 48.

²⁴ Cyt. za: Sadura, *op. cit.*, s. 253.

²⁵ Podają za: K. Tarnowski, *Kilka słów w bardzo ważnej sprawie*. Na stronie: <http://kkhp.pl/dokumenty/dyskusje/dyskusja-o-stanie-nauki-universytetu-i-spolescenstwa-w-polsce/k-tarnowski-kilka-slow-w-bardzo-waznej-sprawie> (data dostępu: 17 II 2022).

cjonalnym kontekście polskiego Uniwersytetu nie są w ogóle rozważane – pozostają podane nam do wierzenia. Właściwa humanistyce niejednoznaczność efektów badań, odrębne perspektywy teoretyczne różnych dyscyplin (niektórych likwidowanych pod pretekstem „łączenia”) potraktowane są jako „balast”.

Wymuszaną przez to zmianę etosu Uniwersytetu²⁶ – przez odgórną legislacyjną funkcjonalizację aktorów „pomijającą” ich systemy wartości – jaka następuje obecnie pod znakiem funkcjonalizmu naukometrycznego, można uznać za najważniejszy efekt Reformy 2.0. Jeśli poszukać jej interesariuszy, to widać, że dobrze służy ona przede wszystkim korporacjom dokonującym komercjalizacji całych obszarów wiedzy (Elsevier i WoS oraz ich globalny podział stref wpływów), co łączy się jeszcze z zagrożeniem autonomii humanistyki. Nie jest to wcale jedna z pomniejszych konsekwencji reformy szkolnictwa wyższego. Czytelne są przecież powiązania stojących za reformą ekspertów od polityk publicznych, odwołujących się do New Public Management²⁷, kopiujących szereg przepisów tworzonych np. przez brytyjski Research Excellence Framework (a więc w innych warunkach, lecz pod te same podmioty komercyjne, takie jak Elsevier)²⁸. Bibliometryczne algorytmy platform potentatów wydawniczych, waloryzacje SCI (narzędzia należące do firmy Clarivate Analytics, przejętej przez Thomson and Reuters), zdaniem polskich bibliometrów, miały wymusić zmianę polskiej „kultury cytowań” (określenie Emanuela Kulczyckiego) i doprowadzić do rezygnacji z rozwijanego do 2014 roku projektu PWW (Polskiego Współczynnika Wpływu), słowem: oddziaływać na pole akademickie tak, aby „dyscyplinowanie akademików” i „stratyfikacja uczelni” pomogły skierować strumienie finansowe przeznaczone na ten system zupełnie gdzie indziej – do korporacji wymuszających na uczelniach publicznych zasadę „podwójnej płatności za dostęp” do opublikowanych u nich wyników badań²⁹.

Jeżeli spojrzeć na ostatnie przemiany polskiego Uniwersytetu wymuszane przez projekty rządowe, to fakt, że mający pozory racjonalności technokratyczny projekt sterowania nauką – sam stanowi bezwolne narzędzie w stosunku do celu, jakim jest przejmowanie zasobów „refleksyjnego społecznego podsystemu nauki” na rzecz niekoniecznie zawsze racjonalnego podsystemu rynkowego (opatrnościowa „nie-widzialna ręka” to raczej przedmiot wiary niż dowiedziona teza), nabiera cech dziejowej „ironii obiektywnej”.

Uniwersytet przyszłości, jeśli proces ten nie zostanie przez nas wyhamowany lub powstrzymany, upodobni się do korporacji, której zwornikową wartością jest optymalizacja zysku. Zacytuję socjologa bliskiego grupie koncepcyjnej tworzącej założenia projektu Ustawy 2.0:

²⁶ Jest ona postulowana wprost przez socjologów pracujących w zespole skupionym wokół M. Kwieka, twórcy koncepcji reformy szkolnictwa wyższego skonkretyzowanej w Ustawie 2.0. Zob. Ł. Sułkowski, *Od humanistycznej do neoliberalnej idei uniwersytetu*. W: *Kultura akademicka. Koniec utopii?* Warszawa 2016.

²⁷ Zob. M. Kwiek, *Wprowadzenie: Reforma szkolnictwa wyższego, jej wyzwanie. Jak stopniowa dehermetyzacja systemu prowadzi do jego stratyfikacji*. „Nauka i Szkolnictwo Wyższe” 2017, nr 2.

²⁸ Wcześniej: Research Assessment Exercise (RAE).

²⁹ J. Tennant, *Elsevier Are Corrupting Open Science in Europe*. Na stronie: <https://www.theguardian.com/science/political-science/2018/jun/29/elsevier-are-corrupting-open-science-in-europe> (data dostępu: 17 II 2022).

W działalności akademickiej miarami efektywności ekonomicznej będą: produktywność naukowa [w bibliometrycznym rozumieniu – T. M.], rentowność działalności, skuteczność rynkowa kształcenia. Rdzeniem organizacji staną się skuteczne rozwiązania nadzorcze obejmujące: system controllingu, nadzór i sprawozdawczość. W sferze normatywnej będą dominowały regulacje formalne, którym towarzyszy system skodyfikowanych sankcji. Kodeksy zachowań, regulaminy, standardy i procedury będą szczegółowo regulowały działania pracowników uczelni. Rdzeniem systemu będzie władza menadżersko-korporacyjna z kluczową rolą biurokracji [...]. Rytualizm i ceremonialność organizacji ulegnie ograniczeniu i pozostanie jedynie w sferze archaicznych uroczystości uniwersyteckich, które będą mogły spełniać funkcje integracyjne lub marketingowe³⁰.

Ten opis aksjologicznej i normatywnej treści „nowej kultury Uniwersytetu” z 2017 roku mógłbym zostawić bez komentarza, widać bowiem, że jest on zupełnym przewrotem w ramach akademickiego etosu streszczonego 60 lat wcześniej przez Stanisława Ossowskiego w zdaniu, że naczelnym obowiązkiem akademika jest „nieposłuszeństwo w myśleniu”³¹.

Dodam dwie uwagi: po pierwsze, analiza zapisów i regulacji ustawy, a także podobnych konceptualizacji „kultury Uniwersytetu” wywierają na mnie przemożne wrażenie, że nadrzędne wartości światopoglądowe przez nie się wyrażające są całkowicie zbieżne z ideałami „społeczeństwa audytu”. Michael Power widzi w tym ideale nowość w stosunku do Foucaultowskiego społeczeństwa nadzoru³², bo jego zdaniem nowe techniki kontroli sięgają na tyle głęboko w konstytucję umysłową jednostek, że kształtują „od wewnątrz” kryteria racjonalności, podnosząc je z poziomu instrumentalno-operacyjnego na normatywny.

I uwaga druga, którą opieram na rozmowie z jednym z ważnych polskich polityków. Usłyszałem od niego, że celowość reformy szkolnictwa wyższego nie sprowadza się wcale do celów zadeklarowanych. O wiele istotniejszym jej efektem ma być stopniowe ograniczanie liczby absolwentów kierunków humanistycznych i społecznych, bo wskutek uzyskanych tam kompetencji najczęściej „odnoszą się [oni] krytycznie do tradycyjnych wartości narodowych i religijnych”, którym rządzący chcą zapewnić kulturową hegemonię, stopniowo usuwając z pola widzenia alternatywne wzorce w imię „kulturowej spójności”. Absolwenci studiów wyższych na kierunkach społeczno-humanistycznych „przejawiają także aspiracje, których nasze społeczeństwo nie jest w stanie spełnić”, przez co – jako grupy kontestujące ustalony porządek i dysponujące wyobrażeniem odmiennego stanu rzeczy – mogą stać się załącznikiem rzeczywistej zmiany społecznej. I na koniec skierowanie części zainteresowanych ku szkołom zawodowym nie tylko skraca ich czas nauki (zmniejsza koszty), ale i szybciej pozwala opodatkować ich pracę. Ten ostatni argument współgra dobrze z wizją Uniwersytetu, którego „zwornikową wartością jest optymalizacja zysku”, a autonomię (która powinna być wykorzystana jako możliwość dana studiującym na formowanie postawy uważności i na analizę przekonań normatywnych m.in. własnej społeczności) zastępuje funkcjonalizacja badań pod kątem „współpracy z biznesem”.

³⁰ Ł. Sułkowski, *Od funkcjonalistycznego do wieloparadygmatycznego rozumienia kultury uniwersytetu*. W: *Kultura akademicka*, s. 186.

³¹ S. Ossowski, *Taktyka i kultura*. W: J. Karpíński, *Nie być w myśleniu posłusznym. (Ossowsky, socjologia, filozofia)*. Londyn 1989, s. 136.

³² M. Power, *The Audit Society: Rituals of Verification*. Oxford 1999, *passim*.

Kształtowanie uwagi – algorytmy i cyfrowy populizm jako „otoczenie noetyczne” Uniwersytetu

Rytm rewolucji technologicznych i upowszechniania się mediów komunikacyjnych – co można pokazać na przykładzie historycznej sekwencji oralności, piśmienności, druku, powszechnej szkolnej alfabetyzacji, masowych mediów – pociąga za sobą konsekwencje w postaci „cięć epistemicznych” w porządku ustabilizowanego korpusu wiedzy oraz rywalizacji odmiennych logik poznawczych. Wyłonienie się nowożytnej wiedzy naukowej w XVII wieku wymagało mocnego odgraniczenia tej domeny od tego, co miało status wiedzy potocznej i moc ewidencji w porządku doświadczenia codziennego. Rozważania Stieglera na temat „uniwersytetu uwarunkowanego” dotyczy już etapu kolejnego: usytuowania Uniwersytetu w sieci krzyżujących się transferów informacji i technologii, mających implikacje dla obrazu świata tworzonego na użytek zarówno grup, jak i jednostek – w ramach kontroli algorytmicznej i wymuszanej „dezindywidualizacji” jako formy uspołecznienia.

Dla dalszych rozważań podstawowe znaczenie ma to, że ostatnie dwa aspekty łączą się dzisiaj w to, co Stiegler nazywa „otoczeniem noetycznym” dla procesu myślenia. To otoczenie ma obecnie wektor przeciwny do potrzeby, na jaką odpowiada struktura Uniwersytetu. Wytwarza ono, po pierwsze, u odbiorców treści cyfrowych „uwagę pointylistyczną”, ponieważ czas poświęcony określonym treściom i uwaga są „kapitałem”, o który się stale zabiega i rywalizuje na internetowej agorze. Po drugie, skoro nie można już „wypierać roli techniki w konstytuowaniu się »duszy noetycznej« w sensie ogólniejszym oraz w formowaniu wiedzy”³³, jak pisze Stiegler, to technologii tej nie można także rozpatrywać jako „zewnętrzza” pracy naukowej.

Rozum jednostek, zawsze będący „formą wymagającą uwagi” (której deficyt dziś każdy odczuwa), kształtuje się obecnie na innej zasadzie niż w przypadku wyuczonej i wytrenowanej dyscypliny myślenia, obserwowalnej w ramach powtarzalnych ćwiczeń służących uzyskaniu biegłości w myśleniu, pisaniu, analizowaniu. Stiegler rozumie Uniwersytet jako aparat zbiorowej uwagi, który w nowoczesnym układzie społecznym decyduje, na kim lub na czym warto się skupić w największym stopniu, wobec jakiego rodzaju wartości „należy być pełnym uwagi”. Dyscyplina logosu i dziedzictwo logosu „formującego się w potencjalnie rozumnych umysłach” oznacza koncentrację na żywotnych zagadnieniach, do których trzeba powracać. Ten proces Stiegler nazywa „powtórna retencją”, wzbudzany celowo przypomnieniem, pożyczając termin od Edmunda Husserla. Rzecz jasna, taka „ekonomia uwagi” (Stiegler dostrzega paradoksalność metafory, w której zatarło się rynkowe odniesienie) jest czymś odwrotnym do reguł epoki, którą filozof określa mianem czasu „rozpraszenia oraz niszczenia uwagi” – słowem, charakteryzuje ją jako „dyzekonomię uwagi”. Ta dyzekonomia powoduje, że „szkole coraz trudniej zabiegać o uwagę uczniów”, bo uwaga ta jest paliwem dla nowego sektora gospodarki (jej pasy transmisyjne każdy ma na wyciągnięcie ręki – na ekranie swojego smartfona). Ta sama dyzekonomia uwagi stanowi podłoże neotrybalnego cyfrowego populizmu, mediów tożsa-

³³ B. Stiegler, *Wstrząs. Głupota i wiedza w XXI wieku*. Przeł. M. Krzykowski. Warszawa 2017, s. 28.

mościowych oraz polityki wyrażającej się w udostępnianiu niezweryfikowanych wiadomości:

Myślenie polega na uczestnictwie w wytwarzaniu form wymagających uwagi i przekazywaniu jej bądź wymyślaniu takiej formy. Tym, co trzeba nam dzisiaj pomyśleć i co jest cechą charakterystyczną naszych czasów, jest natomiast fakt, że uwaga stała się główną stawką światowej wojny ekonomicznej³⁴.

Konkludując, Steigler stawia w kontekście przepływu treści cyfrowych ponownie problem „myśli racjonalnej jako specyficznej formy wymagającej stałej uwagi”³⁵, a następnie łączy ten problem z nauką rozumianą w kategoriach przypomnień, powtórnych retencji. O ile pismo było technologią, która „utrzymywała efekty myślenia”, pozwalając w aktach refleksji wielokrotnie do nich powracać, nie zaczynać zatem wciąż od nowa (co tworzyło warunki możliwości pilnego studium i Uniwersytetu), o tyle transformacje statusu wiedzy powodowane przez technologie cyfrowe dają efekt całkowicie odmienny.

Proces „opracowywania i przekazywania wiedzy racjonalnej” nie wymaga już „obecności” samego Uniwersytetu. Jak pisze Michał Krzykawski:

ponowne odczytanie przez Stieglera Kantowskiego *Sporu fakultetów* i odniesienie go [m.in. do tego, co jest dziś prywatnym, a co publicznym użytkiem z rozumu – T. M.] do naszej cyfrowej rzeczywistości – obejmującej anonimową społeczność Wikipedii, twórców wolnego oprogramowania, internetowych czasopism *open access*, *whistle blowers* i tych wszystkich, którzy „pozostają poniekąd w naturalnym stanie uczoności i każdy z nich sam, bez publicznych przepisów i reguł, jako miłośnik trudni się rozwojem i upowszechnianiem nauk” – [...] słowem, wskazuje uniwersytetowi obszar jeszcze-nie-pomyślanego³⁶.

Obszar zdecydowanie istotniejszy od obowiązkowo dziś traktowanej „współpracy z gospodarką”. Może pilniejszym zadaniem niż ciągle przekazywanie wiedzy jest „przechwycenie infrastruktury cyfrowej” na użytek infrastruktury racjonalnego myślenia. To także zadanie formowania racjonalnych, uważnych i empatycznych osób w nowej sytuacji kulturowej. Aby jednak stanąć na wysokości zadania, nie możemy pozwolić, by Uniwersytet, podobnie jak my sami, został skolonizowany przez normy „społeczeństwa audytu” i podporządkowany dzisiejszej „ekonomii uwagi”. Jeśli na nic nie ma czasu i niczemu nie można poświęcić uwagi, być może jest to moment, aby rozpatrzyć jako jedną z możliwych strategii oporu powrót do studium: „*Science needs time*”³⁷. Nie może to jednak być już Uniwersytet, który poza polem uwagi i podejmowanych studiów pozostawia metadane kształtujące naszą „infrastrukturę myślenia” oraz procesy sterowania uwagą.

³⁴ *Ibidem*, s. 374.

³⁵ *Ibidem*, s. 375.

³⁶ M. Krzykawski, posłowie w: jw., s. 550 (wewnątrz cytaty: I. Kant, *Spór fakultetów*. Przeł. M. Żelazny. Toruń 2011, s. 201. *Dzieła zebrane*. T. 5).

³⁷ *The Slow Science Manifesto*. Na stronie: <http://slow-science.org> (data dostępu: 17 II 2022).

MICHAŁ KUZIĄK Uniwersytet Warszawski
ORCID: 0000-0002-7926-5268

CÓŻ PO POLONIŚCIE W CZASIE MARNYM... MIĘDZY POLITYKĄ A PRAKTYKĄ SPOŁECZNĄ – W PUNKTACH

Utrata normatywnej siły przyszłości [...] skazuje nas na alternatywę agresywnego pobudzenia i biernego zapadania się w siebie [...]. Albo inaczej, jest to opis miotania się między maniakalnym zawłaszczeniem świata i depresyjną zapaścią w siebie, stanami, które uniemożliwiają rozwój podmiotowy¹.

Sprawczość, głupcze

Zbyt szybko i zbyt łatwo przyjęliśmy po 1989 roku, że humanistyka – w tym też oczywiście, czy może: zwłaszcza, szczególnie silnie reprezentowana w kraju, polonistyka – jest czymś jeśli nie zbędnym, to mało liczącym się i mało sprawczym. Alegorią owej sytuacji stał się słynny *Dzień świra* Marka Koterskiego. Nie rozwinę tu tego wątku, choć, jak sądzę, warto by mu się przyjrzeć bliżej, analizując źródła słabości inteligencji polskiej, a także fałszywych klisz organizujących naszą logosferę. Skoro jednak ktoś ma rozterki związane z tą kwestią, niezbędności i sprawczości, proponuję przypatrzeć się, jak została skonstruowana – czy może lepiej: jak była przekonstruowywana przez ostatnie 20 lat – sfera dyskursu publicznego w Polsce. Przede wszystkim chodzi mi o umocowanie się w niej prawicy z jej polityką historyczną. Ale też o wielu autorów lewicowych (i liberalnych), którzy wprowadzili nowe języki mówienia o historii – wspomnę tu tylko Jana Sowę czy Andrzeja Ledera². A to przecież poloniści dysponują kluczem, jednym z kluczy, do dyskursu – uczą czytać, pisać, mówić oraz, do czego jeszcze powrócę, interpretować. Co więc jest nie tak?

Problem wydaje się inny: nie chodzi o to, czy polonistyka sprawcza jest możliwa, ale o to – jak jest możliwa? Sytuacja zastana (z grubsza rzecz ujmując) okazuje się taka: mamy, z jednej strony, polonistykę, która rządzi się, albo raczej chce się rządzić, wiarą w autotelizm i dystansowaniem się wobec polityczności; z drugiej – taką,

¹ A. Leder, *Pole symboliczne, przemieszanie, niewczesność. Humanistyka jako wybór między pamięcią a nadzieją*. „Teksty Drugie” 2016, nr 4, s. 246.

² J. Sowa, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*. Kraków 2011. – A. Leder, *Prześlona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*. Warszawa 2014.

która uczestniczy w konserwowaniu literatury i historii polskiej, najczęściej również deklarując dystans do polityczności. O znaczeniu pojęcia polityczności w odniesieniu do humanistyki pisałem w innym miejscu³, tu tylko podkreślę, iż chodzi mi o odmienne rozumienie polityki niż to dominujące u nas obecnie – a więc nie o partyjność, i raczej o wytwarzanie polityki niż poddawanie się tej istniejącej. Dodam też, że nie ma, wbrew wspomnianym deklaracjom, humanistyki niepolitycznej. Wystarczy tu przywołać XIX-wieczne początki polonistyki i filologii – właśnie – narodowych, by pozbyć się wątpliwości związanych z ich politycznością. Deklaracje apolityczności świadczą głównie o wsparciu, mniej lub bardziej świadomym, dla istniejącego *status quo*.

Oprócz wspomnianych dwóch stron osobno wymienię Marię Janion i jej *Niesamowitą Słowiańszczyznę*⁴. Książkę, która nie została przyjęta, zgodnie z deklaracjami autorki, jako performatywny projekt; książkę tę poddano natomiast krytyce o charakterze historycznym, wytykając badaczce potknięcia źródłowe. To znamienne niedoczytanie owej pozycji, pokazujące nasze nieprzygotowanie do dyskursu, który chce nie tylko poznać, ale i wykreować rzeczywistość. Osobno, w pobliżu Janion, umieszczę też Przemysława Czaplińskiego oraz jego lekturę Polski zapisywanej i wytwarzanej w literaturze, co przekłada się na pisanie i wytwarzanie jej przez Czaplińskiego – ostatnio w związku z polską „poruszoną mapą” imagologiczną⁵.

Joker i sprawa polska

Kiedy myślę o dzisiejszej sytuacji humanistyki, a zwłaszcza polonistyki, przychodzi mi najczęściej do głowy fragment z *Nieśmiertelności* Milana Kundery – ten poświęcony dziennikarzom, wierzącym w objawienia PR-owców i przez to stającym się sojusznikami własnych grabarzy. Teraz chciałbym jednak odwołać się do innego kontekstu, do filmu Todda Phillipsa *Joker* z 2019 roku. Żyjemy wszak w świecie globalnym, obraz ten trudno więc traktować jako obcy; jeśli ktoś ma wątpliwości związane z globalnością, przypomnę tylko mapę epidemii koronawirusa.

Film przedstawia niepokoje społeczne i lęki dzisiejszej Ameryki. Kraju rozczarowanego swoim „snem o sobie”, pełnego frustracji i przemocy, niszczonego przez polityków. Rzecz dzieje się u początków kadencji prezydenckiej Ronalda Reagana, inicjującego czasy neoliberalizmu, cięć wydatków społecznych, pozostawiania osób potrzebujących bez opieki. W sposób mniej lub bardziej zamierzony film pokazuje również niezdolność do zawiązania się wspólnoty oporu i nieskuteczność buntu. Jeśli pamiętamy Theodora Adorna⁶, powinniśmy przyjąć, że to w sumie banalna obserwacja, jednak warto ją dzisiaj powtórzyć – kultura popularna nie daje możliwości emancypacyjnych. Atomizuje, pogrąża w idiosynkrazjach, skazuje na marginalizację. Kwestię tę podkreśla kreacja Jokera – bohatera przede wszystkim

³ M. Kuziak, *W sprawie polityczności polskiej humanistyki*. „Teksty Drugie” 2017, nr 1.

⁴ M. Janion, *Niesamowita Słowiańszczyzna. Fantazmaty literatury*. Kraków 2006.

⁵ P. Czapliński, *Poruszona mapa. Wyobrażenia geograficzno-kulturowa polskiej literatury XX i XXI wieku*. Kraków 2016.

⁶ Th. W. Adorno, *Przemyśl kulturalny. Wybrane eseje o kulturze masowej*. Przeł. M. Bucholc. Warszawa 2019.

chorego, zmagającego się ze sobą, choć w warunkach coraz bardziej „parszywiejącej” rzeczywistości; bohatera, dla którego stawką staje się program rozrywkowy. Rodzący się bunt jest tylko naśladownictwem clownów multiplikujących się i niszczących miasto. Krytycy, zwłaszcza lewicowi, potraktowali takie ujęcie jako słabość filmu. W moim przekonaniu, to raczej rozpoznanie słabości świata, w którym egzystujemy. Owa przestroga jest bardziej istotna w związku z tym, że – jeśli rację ma Jacek Dukaj, twierdząc, iż żyjemy w kulturze „po piśmie”⁷ – w szczególnie sposób wydani zostaliśmy na pastwę popkultury, kształtującej nowe tożsamości.

Nawiasem mówiąc, nie chodzi mi tu o konserwatywną jeremiadę, że „nie czytają, ale oglądają”. A nawet jeśli tak, to raczej o tę w stylu Franka Furediego, dającego analizę problemu i pytającego o jego rozwiązania, niż Piotra Nowaka, konstruującego własną wyższościową postawę⁸. Nie chcę też egzorcyzmować popkultury, stanowiącej znakomite źródło poznania naszego świata. Pragnę bronić modelu literaturocentrycznego – polityki/polityk wspólnot lekturowych. Polityczność oparta na piśmie, a w efekcie na refleksji i uwzględnieniu szerszego horyzontu czasowego (zarówno doświadczenia, jak i jego rozumienia), daje nam większe nadzieje na przyszłość, większą możliwość odzyskania/wytworzenia sensu niż ta oparta na przeżyciu podsuwanym przez kulturę popularną i władającego nią demona ekspresji oraz na związanych z tym pułapkach.

Nauka historyczna – tak, ale...

Jak już wspomniałem, geneza filologii narodowych jest zanurzona w początkach kształtowania się formuły nowoczesnych państw narodowych. To oczywiste, że polonistyka powinna utrzymywać kontakt ze swoją przeszłością – czyni to zresztą raczej rzadko..., chodzi mi tu o poważny kontakt, związany z przemyśleniem dawnych języków interpretacyjnych i konstruowaniem solidnych archiwów – oraz z przeszłością kultury i literatury kraju. Problemem jest wszakże niemożliwy i bezrefleksyjny rekonstrukcjonizm, widoczny w często powtarzanym postulatcie interpretacji „adekwatnej historycznie”, którego autorzy zapominają o lekcjach nowoczesnej hermeneutyki (tak jakby każda lektura nie miała jednak charakteru modernizującego, nie była usytuowana w czasie odmiennym od czasu powstania tego, co czytane), oraz pominięcie drugiego biegunu czasu – teraźniejszości i przyszłości. Historia daje potencjał krytyki współczesności (jako to, co inne i możliwe), ale też najczęściej kusi iluzją retrotopijną. Nie lekceważę historyków (nieświadomość genealogii współczesności, na co zwracał uwagę już Stanisław Brzozowski, jest istotnym problemem⁹), domagałbym się jednak przesunięcia hermeneutycznego ku miejscu i momentowi, w których żyjemy.

Na gruncie teatru kwestia ta ujawniła się w dyskusji przeprowadzonej w ro-

⁷ J. Dukaj, *Po piśmie*. Kraków 2019.

⁸ F. Furedi, *Gdzie się podzieli wszyscy intelektualiści?* Przeł. K. Makaruk. Warszawa 2007. – P. Nowak, *Hodowanie troglodytów. Uwagi o szkolnictwie wyższym i kulturze umysłowej człowieka współczesnego*. Warszawa 2014.

⁹ S. Brzozowski, *Legenda Młodej Polski. Studia o strukturze duszy kulturalnej*. Kraków-Wrocław 1983.

ku 2014 przez Joannę Krakowską i Pawła Wodzińskiego¹⁰, którzy poddali krytyce teatr skierowany w stronę przeszłości, poruszający się w kręgu problemów już znanych, bezradny wobec nowoczesności, współczesnych wyzwań – globalizacji, kapitalizmu, migracji czy kultury masowej. Krakowska postulowała zwrot ahistoryczny, ale jednak ku historii, mający szczególny potencjał redefiniowania świata, w którym istniejemy. Domagała się kontrhistorycznego chuligaństwa, eksperymentu antagonizującego i dynamizującego debatę publiczną, prowadzącego do zmiany świata dzięki uruchomieniu wyobraźni. Co ciekawe, oboje autorów dostrzegało przy tym wyczerpanie się potencjału sztuki krytycznej.

Tak, potrzebujemy tradycyjnej polonistyki. Jest wiele pracy do wykonania (edycje i nowe historie literatury). Tak, mamy zobowiązania wobec przeszłości, ale – według mnie – powinny one łączyć się z zadaniami dla przyszłości, a nie jedynie z archiwizowaniem. Poza tym, jak wspomniałem, niebezpiecznie ciążyśmy ku retropopii czerpiącej energię z rezerwuaru nacjonalizmu. Nasz język coraz częściej „odkleja się” od otaczającej rzeczywistości (czy jesteśmy pewni, że potrafimy się komunikować z naszymi uczniami – ponad i poza katedrą...?), być może pielęgnujemy imaginarium wspólnotowe, które objaśnia już tylko samo siebie. Na myśl przychodzi związana z tym problemem gorzka fraza z *Utworu o Matce i Ojczyźnie* Bożeny Keff:

Nie rozumieją własnej historii i tożsamości nie mają,
współczuć nie umieją, empatii nie znają ci po-niewolnicy szlachty,
a wszyscy podobno szlachcice. Plemię skłajstrowane mitem,
indywidualność tutaj zabroniona¹¹.

Przekleństwo zwrotów – logika późnego kapitalizmu

Nie będę – jak tradycyjny polonista – mówił o modach, sytuowanych na dodatek w opozycji do „rzetelnej” historii literatury. Uważam, że zaletę części humanistyki polskiej stanowi czerpanie inspiracji od badaczy ze świata. Problem widzę wszakże we wzmożonej dynamice zwrotów. Jeśli bowiem jeden następuje po drugim w cyklu kilku lat, czy też częściej, to badacze nie mają czasu nawet na przetestowanie narzędzi poznawczych, a także – problem okazuje się większy, gdyż korzystamy na peryferiach z języków wypracowanych w centrach – na dogłębne skonfrontowanie ich ze zjawiskami wywodzącymi się z kultur różnych od tych, na gruncie których powstały owe narzędzia.

Logika wymiany języka badawczego (kiedyś dokonująca się jako zmiana paradygmatu w cyklu kilkudziesięcioletnim bądź jeszcze dłuższym; mieliśmy więc w literaturoznawstwie dwie takie wymiany i jedno wejście w okres postparadygmatyczny) zdaje się dominować dzisiaj nad logiką stawiania problemu i rozwiązywania go. Oczywiście, znajdziemy wiele przykładów prac, w których nowe (coraz nowsze...)

¹⁰ J. Krakowska, *Ahistoryczne, krytyczne*. 2014. Na stronie: <https://www.dwutygodnik.com/arttykul/5138-ahistoryczne-krytyczne.html> (data dostępu: 6 III 2020). – P. Wodziński, *Teatr zwrócony w przeszłość*. 2014. Na stronie: <http://www.e-teatr.pl/pl/arttykuly/177961.html> (data dostępu: 6 III 2020).

¹¹ B. Keff, *Utwór o Matce i Ojczyźnie*. Warszawa 2008, s. 31.

narzędzia pozwalają widzieć coś w nowy sposób bądź nawet zobaczyć coś nowego. Logika humanistyki, dobrej humanistyki, to jednak nie tylko logika inwencji i zmiany oraz związanego z tym szybkiego zysku, ale i żmudnej pracy – czasochłonnej, polegającej na konfrontacji różnych języków i rozmaitych perspektyw, przegryzaniu się przez ogrom archiwów. I po raz kolejny muszę dodać zastrzeżenie: chodzi mi wszakże nie tyle o odrzucenie różnorodności, Lyotardowskiej paralogii, wokół której Michał Paweł Markowski zbudował kiedyś swój projekt polityki wrażliwości¹², ile o zdystansowanie się wobec jej autotelicznego wariantu.

Rok z życia codziennego w Europie Środkowej

Najnowszy, pochodzący z 2019 roku, spektakl *Rok z życia codziennego w Europie Środkowej* duetu Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego w Teatrze Starym – rozpoczyna długa i groteskowa, stylizowana ludowo, tyrada Anny Dymnej o tym, jak jesteśmy rozbici, enumerująca typy podziałów i podkreślająca niechęć do innych: „Dzieli się bowiem ludzie między sobą na dwa gatunki, na dwa plemiona [...]”. Spektakl przedstawia los polskiej wspólnoty, czy też raczej niemożność jej zaistnienia, po 1989 roku; to, jak nie umiemy być tym, kim powinniśmy być (oczywiście, problem szczególnie – co typowe dla Strzępki i Demirskiego – dotyka klasę średnią), i jak rozczarowujemy się swoim losem. Nie chcę tu, idąc tropem Mickiewiczowskim, a później Sienkiewiczowskim, wygłaszać tyrady potępiającej podziały, choć przecież nie trudno zaobserwować w naszej codzienności rozszalały narcyzm wynikający z małych różnic, performujący wielkie podziały. Wprost przeciwnie, uważam, że lepsze są uświadomione i wypowiedziane różnice niż iluzja jedności, wspierająca populizm, utrudniająca rozumienie siebie i wyrażenie prawdziwie własnych racji.

Polonistyka może być platformą toczonych sporów – także aktywności krytycznej – negocjacji między przedstawicielami odmiennych stanowisk, poznawania świata i siebie w perspektywie różnicy, a nie wyłącznie monolitycznej iluzji, jaką często wytwarza, operując głównie pojęciem narodu i argumentem tradycji oraz związanymi z nim konstruktami tożsamościowymi. Powstałymi i zasadnymi w sytuacji opresji politycznej, ale co najmniej kłopotliwymi w dzisiejszym świecie. Również platformą kształtowania uczuć moralnych, empatii, otwarcia na dialog z innymi, umiejętności pytania i myślenia o dobru wspólnym oraz o Kantowskim państwie celów; ponadto – wyobraźni, która pozwala zobaczyć świat w sposób odmienny i poszukiwać rozmaitych form jego istnienia. Taka polonistyka może stanowić wsparcie dla polityki demokratycznej. Już na krakowskim Zjeździe Polonistów w roku 2004 mówił o tym – zresztą odosobniony w swoich poglądach – Tadeusz Sławek, zajmując się nowoczesną komparatystyką i nawiązując do formuły Jacques'a Derridy dotyczącej przyjaźni oraz gościnności¹³.

Wizja historii codziennej, którą proponuje literaturoznawstwo, może stanowić „odtrutkę” na dominującą u nas wizję historii politycznej, skupiającej się na wielkich

¹² M. P. Markowski, *Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki*. Kraków 2013.

¹³ T. Sławek, *Literatura porównawcza. Między lekturą, polityką i społeczeństwem*. W zb.: *Polonistyka w przebudowie. Literaturoznawstwo – wiedza o języku – wiedza o kulturze – edukacja. Zjazd Polonistów, Kraków, 22–25 września 2004*. Red. M. Czermińska [i in.]. T. 1. Kraków 2005.

postaciach i wielkich wydarzeniach, nastawionej na antagonizowanie, a nie na naukę wspólnego życia.

Późny antropocen. Koniec świata, jaki znamy...

Odwoływałem się tu do różnych tekstów, wywodzących się również spoza Polski, szeroko pojmowanych, kulturowych, starając się wyjść poza literaturocentryzm, którego zresztą zarazem broniłem. To bowiem nie tylko literatura ma dziś monopol na diagnozowanie rzeczywistości; przestaliśmy być lokalni, choć rzadko sobie to uświadamiamy, czy też powinniśmy przestać być lokalni (i nie chodzi mi w tym momencie o postulaty umiędzynarodowienia, w filologii narodowej i ono ma swoją specyfikę). Jesteśmy po prostu obywatelami świata – sytuującymi się wszakże na jego półperyferiach – co wiąże się z niebagatelnymi konsekwencjami dla naszego życia i co powinno być pokazywane przez polonistykę.

Kryzys uniwersytetu humboldtowskiego przeżywany przez nas (mimo że często usiłujemy go nie dostrzegać) wynika z procesów wpływających na rozpad nowoczesnego państwa narodowego, którego legitymizacji – zarówno w związku z nowoczesnością, jak i z tworzeniem kultury narodowej – miał służyć. Globalizujący świat kapitalizm w swojej neoliberalnej odsłonie nie potrzebuje już takiego uniwersytetu; w zamian proponuje uniwersytet podporządkowany celom rozumu instrumentalnego, zasadzie „doskonałości”, pojmowanej w zgodzie z logiką biurokratycznej korporacji¹⁴.

Problemy globalne mogą wszakże stać się dziś źródłem legitymizacji uniwersytetu autonomicznego – musiałoby to jednak wiązać się z mocnym gestem performatywnym, wystąpieniem przeciw logice dominującej ekonomii. Chodzi mi m.in. o późny antropocen, epokę, w której człowiek w krótkim czasie naruszył równowagę holocenu i która postawiła przed nami wyzwanie, jak wymyślić – i to także w krótkim czasie – projekt postwzrostu, co stanowi wyzwanie zarazem ekonomiczne i etyczne¹⁵.

I tu konieczne jest zastrzeżenie. Pisząc po raz kolejny o perspektywie globalnej, nie postuluję wyrzeczenia się własnej (cokolwiek to znaczy, a sprawa wydaje się skomplikowana) kultury, lecz pragnę postrzegać ją w horyzoncie globalnym. Takie wyrzeczenie się nie jest zresztą możliwe. Przede wszystkim to dzięki niej kształtuje się nasza specyfika, nawet jeśli stanowi grę śladów i pracę różnicy.

Interpretacja

„Świat jest tkanina, którą przedziemy codziennie na wielkich krosnach informacji, dyskusji, filmów, książek, plotek, anegdot”, powiada w mowie noblowskiej Olga Tokarczuk¹⁶. Stało się takie przedzalnictwo praktyką masową, nie zawsze odpowiedzialną, nie zawsze z miłością, nie zawsze dla życia i dobra, dodaje pisarka.

¹⁴ Zob. B. Readings, *Uniwersytet w ruinie*. Przeł. S. Stecko. Warszawa 2017.

¹⁵ Zob. E. Bińczuk, *Epoka człowieka. Retoryka i marazm antropocenu*. Warszawa 2018.

¹⁶ O. Tokarczuk, *Przemowa noblowska*, s. 3. Na stronie: <https://www.nobelprize.org/uploads/2019/12/tokarczuk-lecture-polish.pdf> (data dostępu: 6 III 2020).

Słowa tworzą nasz świat – ta obserwacja, można sądzić: banalna, jest przecież ciągle zbyt rzadko uświadamiana i zbyt rzadko wyciągamy z niej konsekwencje.

Noblistka konstatuje brak języka, metafor, punktów widzenia, jak również mitów i baśni, które zastąpiłyby dawne takie narzędzia, nie pasujące do nowego świata; zarazem dostrzega coś, o czym już tu pisałem – panowanie narracji pierwszoosobowych. Literatura, jak kiedyś zauważył Derrida, łączy idiom i instytucję; w ten sposób staje się interpretacją świata i wyzwala przy tym interpretacje. To absolutnie fundamentalna sprawa, co podkreśla w swojej ostatniej książce (*Wojny nowoczesnych plemion*) Markowski¹⁷. W epoce postprawdy, zalewu informacji, postpiśmiennej kultury przeżycia i jego ekspresji zatracamy umiejętność interpretowania – praktyki, którą określiłbym nie jako odznaczający się przemocą komentarz, ale jako negocjację sensów z otaczającym nas światem oraz z innymi ludźmi, która pozwala uwzględnić to, co poza nami, i w ten sposób budować polityczność wspólnotową, wyróżniającą się dzisiaj całym zestawem deficytów związanych z rozumieniem polityki w otaczającej nas coraz bardziej złożonej rzeczywistości.

Polonistyczne laboratorium

Nie używam tu języka, do którego przyzwyczaiła nas historia czy nawet teoria literatury. Sądzę, że największym wyzwaniem, jakie dzisiaj stoi przed polonistyką, jest wyjście do świata, poza kwestię naukowości, autonomii, ku sprawczości, a więc – ku laboratorium. Myślę o takiej jego formule, jaką kiedyś zaproponował Bruno Latour, zwracając uwagę na mechanizmy dźwigni pozwalającej poruszyć świat oraz przeskalować zewnątrz na wewnątrz (świat na akademie), a jednocześnie ciągle przechodzić między tymi wymiarami, co pomaga w uruchomieniu produktywności nauki¹⁸.

Laboratorium umożliwia wyjście poza wspomniany tu przeze mnie mechanizm autotelizacji dyscypliny – w myśl logiki problemu, który domaga się rozwiązania i któremu zostaje podporządkowany dobór narzędzi, również ponad dotychczasowymi podziałami dyscyplinarnymi i w połączeniu ze sztuką; w duchu, o jakim kiedyś pisał Artur Żmijewski w swoim manifestie stosowanych sztuk społecznych. Przyglądając się poprzedniemu Zjazdowi Polonistów – na Uniwersytecie Śląskim – miałem wrażenie, że to dopiero wtedy, a więc w 2011 roku, polonistyka, acz i tak w ograniczonym zakresie, zaczęła odkrywać świat zewnętrzny. Czyniła to, pytając o swoją użyteczność, która wcześniej wydawała się czymś oczywistym – wyzwaniem okazał się przy tym, co znamienne, rynek pracy.

Laboratorium polonistyczne mogłoby być bliskie projektowi „historii ratowniczej”, sformułowanemu przez Ewę Domańską – historii nastawionej na przyszłość, na rozwiązywanie problemów, które przynosi przeszłość; ich listę wolno nam już

¹⁷ M. P. Markowski, *Wojny nowoczesnych plemion. Spór o rzeczywistość w epoce populizmu*. Kraków 2019.

¹⁸ B. Latour, *Dajcie mi laboratorium, a poruszę świat*. Przeł. K. Abriszewski, Ł. Afeltowicz. „Teksty Drugie” 2009, nr 1/2. W tym kierunku zmierza R. Nycz w książce *Kultura jako czasownik. Sondowanie nowej humanistyki* (Warszawa 2017).

teraz zacząć tworzyć¹⁹. Przypomnę też, że Janion swego czasu pisała o humanistyce jako o poznaniu, a także jako o terapii²⁰.

Dyscyplina i niesforność

W latach trzydziestych XX wieku Edmund Husserl w *Kryzysie nauk europejskich i fenomenologii transcendentnej* stwierdzał, iż za tytułowym kryzysem stoi „wyraz radykalnego kryzysu życiowego ludzkości europejskiej” i „utrata doniosłości [nauki – M. K.] dla życia”²¹. Nie pierwszy raz okazuje się więc, że ważna jest, powtórzę: „doniosłość [nauki] dla życia”. Tak, w dużej mierze mówiłem tu o polonistyce przyszłości, polonistyce moich marzeń, inkluzywnej w stosunku do tej, która istnieje, choć oczywiście zarazem krytycznej wobec niej. Ów krytycyzm wyrasta wszakże z szerszych obserwacji dotyczących zbadania sytuacji, w której dotychczasowe narzędzia rozumienia i opisu świata przestają wystarczać. Nie pasują do przeżywanej rzeczywistości. Nie pozwalają na jej poznanie i kształtowanie. Podobnie jest z nowoczesnymi instytucjami związanymi z wiedzą i edukacją. Zarazem humanistyka – polonistyka – wydaje się coraz bardziej potrzebna (ratunkowo!), choć poddawana egzorcyzmom w świecie, w którym władza ekonomia neoliberalna bądź anachronizowana w przestrzeni wojny kulturowej, toczonej w imię odwiecznego narodu.

Oczywiście, mówiłem tu o ogólnych warunkach myślenia o polonistyce jako o polityce i praktyce społecznej, trzeba by je teraz wypełnić konkretnymi treściami; nie ukrywam, że szlak tego projektu wyznaczają według mnie publikacje Janion i Czaplińskiego. Empatia, wyobraźnia, myślenie i ich praca – to stawka w grze polonistycznej. Taką stawką jest też interpretacja jako zdolność rozumienia świata i pewien typ polityki, zakładającej istnienie tego, co zewnętrzne wobec podmiotu interpretującego, tego, co wymaga dyspozycji dialogicznej i negocjacyjnej.

Nie musimy bać się zatrąty odrębności czy naukowości, choć zarazem nie powinniśmy też dopuścić do takiej zatrąty. I ta sprzeczność wydaje się potrzebna do podtrzymywania istnienia naszej dyscypliny, podobnie jak i ukazywane tu napięcie między historycznością a ahistorycznością, zmianą a trwaniem, podziałami a jednością, lokalnością a globalnością.

Jeśli mamy się czegoś bać, to tego, że będziemy niepotrzebni, że będziemy zamieszkiwać ruiny przeszłości, że projekt Janion „do Europy tak, ale z naszymi umarłymi”, zmieni się w to, co opisał Jacek Dehnel w książce *Ale z naszymi umarłymi* – w paradę polskich *zombies*²². Tak, potrzeba nam czułości, jak mówiła noblistka, ale też broni przed zalewem nierozumu i związanej z nim przemocy. Niech polonistyka stanie się i czułością, i bronią.

¹⁹ E. Domańska, *Historia ratownicza*. „Teksty Drugie” 2014, nr 5.

²⁰ M. Janion, *Humanistyka. Poznanie i terapia*. Warszawa 1982.

²¹ E. Husserl, *Kryzys nauk europejskich i fenomenologia transcendentna*. Przeł. S. Walczewska. Toruń 1999, s. 5, 7.

²² M. Janion, *Do Europy – tak, ale z naszymi umarłymi*. Warszawa 2000. – J. Dehnel, *Ale z naszymi umarłymi*. Kraków 2019.

MAGDALENA REMBOWSKA-PLUCIENNIK Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa
ORCID: 0000-0002-8800-3550

WPROWADZENIE DO DYSKUSJI W PANELU „STAN DYSCYPLINY”

Kryteria naukowości

W wystąpieniach podczas ostatnich dwóch Zjazdów Polonistów dyskusja nad kryterium naukowości dotyczyła definiowania przedmiotu badań, ich zakresu, reguł konstruowania dyskursu czy zmieniających się relacji między teorią/teoriami literatury a interpretacją.

Aktualna debata ma sprofilować te kwestie w świetle Ustawy z 20 VII 2018 *Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce*. Kryterium naukowości, jakie powinniśmy w naszej dziedzinie spełniać, zilustruję zatem fragmentem wykładu prof. Marka Kwieka, inauguracyjnego dla Szkoły Doktorskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Miał on funkcję przesłania do przyszłych doktorów, ujawnia więc ustawowy projekt formacyjny:

Cały świat używa tego samego, nudnego, policzalnego i porównywalnego strychulca [...] naukowego sukcesu: najlepszych publikacji. Nie wszystkich – tylko w prestiżowych czasopismach. [...] Mówiąc „nauka” – mówię o naukach podstawowych uprawianych w sektorze uniwersyteckim. W pewnym stopniu o części nauk społecznych [...] i niemal wcale o humanistyce. (Humanistyka rządzi się własnymi prawami i własnymi tradycjami. To narodowa historia, krajowa literatura, polskie publikacje, polski jako język nauki – i polscy czytelnicy naukowcy. W krajach zachodnich to procentowy margines nauki uniwersyteckiej: 10% profesury, 10% finansowania na badania. W Polsce odgrywa dużą rolę – ponieważ tradycyjnie nie wymagała nakładów.) Będę więc mówił o nauce globalnej – jednej, wspólnej, uprawianej po angielsku¹.

Czy wobec ostentacyjnego poddania humanistyki kryteriom oceny nauk ścisłych, co postulują entuzjaści nowych regulacji, powinniśmy zajmować się własnymi planami przebudowy polonistyki lub swobodnie tworzyć koncepcje, rewizje i programy przemian?² Formuła „zjazd polonistów” nabiera złowieszczo sportowego znaczenia...

Eksmisja humanistów ze świata nauki pewnie jednych z nas ucieszy, innych

¹ M. Kwiek, *Globalna nauka: dlaczego jej istotą są nierówności (i co z tego wynika dla młodych naukowców)*. Na stronie: <http://cpp.amu.edu.pl/pl/new-amu-doctoral-school-for-600-phds-opened-inaugural-keynote-speech-by-marek-kwiek/?fbclid=IwAR0eA4WII3hmKA7j36iwV4Sabu3F9cI3qSbO-453319tm75I3c50PaOCMoY> (data dostępu: 31 I 2020). Podkreśl. M. R.-P.

² Nawiązuję tu do tematów poprzednich zjazdów polonistycznych i tytułów tomów, będących pokłosiem tych obrad.

zasmuci³. Po latach dyskusji nad kryzysem humanistyki, akademii, teorii podważanie naukowości tej dziedziny teraz właśnie może się okazać zbiorowym samobójstwem. Oznacza akceptację ekspansywnej definicji nauki promowanej w kulturze opartej na wiedzy i na działaniu algorytmów⁴ – fetyszyzującej parametry i największą wydajność w najkrótszym czasie. Sposoby na zneutralizowanie tego procesu już wskazywano. Jednym z nich jest obnażenie historyczności paradygmatu naukowego propagowanego przez „technouniwersytet”⁵. Pozwala to mówić o nauce jako o sieci praktyk, zwyczajów językowych, strategii maskowania ograniczeń poznawczych czy grze rozbieżnych interesów. Wzmocnieniu humanistyki służy nie tyle argumentacja, że jest ona „nauką” / że nie jest „nienauką”, ile promowanie epistemologicznej wspólnoty wszystkich nauk jako przejawów ludzkiej działalności symbolicznej. Nauki jednej, ponadnarodowej, ale uprawianej w wielojęzycznej społeczności. Wspólnoty języka (studiów polonistycznych, frankofońskich, anglistycznych) rodzą się wszakże wokół przedmiotów i tematów badań, nie wokół arbitralnie wskazanych czasopism anglojęzycznych, rzekomo dziedziczących swój prestiż⁶. W literaturoznawstwie i językoznawstwie polonistycznym to „Polacy są mistrzami świata” (jak dowcipnie wyraził się Krzysztof Kłosiński)⁷ i stanowią pierwszoplanową grupę specjalistów przyczyniających się do rozwoju tychże. Zadekretowana Ustawą wyższość obcojęzycznych publikacji w przypadku filologii narodowych może inspirować do koniunkturalnego podejmowania kwestii ogólnych, atrakcyjnych dla międzynarodowej społeczności. Skazuje natomiast na marginalizację badania ważne dla wspólnot regionalnych (np. kaszubistykę) czy studia nad dialektami polszczyzny (niemal wymarłymi wskutek kulturowej polityki Polski Ludowej). Proces badawczy (konceptualizacja, wybór terminologii i referencji, implikowanego odbiorcy) w przypadku polonisty odbywa się dzięki językowi polskiemu i nie można go domyślnie sytuować poza polszczyzną⁸. Rodzimy język badawczy jest osiągnięciem kulturowym, pomostem między językiem nauki, edukacji i samokształcenia. Rozwija się także jak żywe narzędzie do kreowania twórców przyszłych⁹.

³ Wokół tego zagadnienia krążyła dyskusja na temat *Polityki wrażliwości* M. P. Markowskiego (Kraków 2013) – zob. A. Skrendo, *Wyprowadzenie z humanistyki. O książce Michała Pawła Markowskiego „Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki”*. „Wielogłos” 2014, nr 1.

⁴ Zob. M. Szpunar, *Kultura algorytmów*. Kraków 2019.

⁵ Zob. A. Skrendo, *Literaturoznawstwo jako nauka. Nowe szanse, stare zagrożenia*. „Teksty Druge” 2017, nr 1. Zob. też A. Łebkowska, *Autorefleksyjność współczesnych nauk humanistycznych i co powinno z tego wynikać*. Jw.

⁶ Ciekawymi wnioskami kończy się opublikowany pod koniec stycznia 2020 bibliometryczny raport E. Kulczyckiego: „Wyniki analiz nas zaskoczyły. [...] W mojej ocenie wyniki badań pokazują, że środowisko polskich badaczy zajmujących się naukami społecznymi i humanistycznymi jest umiędzynarodowione” (!) – zob. Sz. Zdziebłowski, *Badanie: polscy humaniści bardziej wielojęzyczni, niż sądzono*. Na stronie: http://naukawpolsce.pap.pl/aktualnosci/news.80510_badanie-polscy-humanisci-bardziej-wielojezyczni-niz-sadzono.html (data dostępu: 10 II 2020).

⁷ K. Kłosiński, *Polonistyka w przebudowie*. „Gazeta Uniwersytecka UŚ” 2004, nr 3. Na stronie: <https://gazeta.us.edu.pl/node/224011> (data dostępu: 17 I 2022).

⁸ Z konsekwencjami takiego przeniesienia borykają się obecnie np. Finlandia i Norwegia.

⁹ Zob. J. Płuciennik, *Badawczy język ojczysty (BJO): Olga Tokarczuk i język „czulego narratora”*. Na stronie: <https://jaroslawpluciennik.com/2019/12/10/badawczy-jezyk-ojczysty-bjo-olga-tokarczuk-i-jezyk-czulego-narratora/> (data dostępu: 2 II 2020). Polszczyzna jest językiem diaspory i zagranicznych środowisk oraz instytucji, dla których publikacje w języku polskim to najpotrzeb-

Poważne zagrożenie dla samej istoty badań polonistycznych stanowi niezrozumiałe niska ocena ewaluacyjna żmudnych i kosztownych edycji źródłowych i krytycznych (wymuszających nieraz np. pobyty zagraniczne, kwerendy). Bez nich planowanie rozwoju polonistyki jest niczym innym niż rozpoczynaniem budowy od dymu z komina¹⁰.

Studia kulturowe i ich konsekwencje

Studia kulturowe wskazały literaturoznawstwu dwa główne problemy: przedmiotu badań i granic dyscypliny¹¹. Wsparły tendencje do rezygnacji z dookreślenia metodologicznego oraz do rozszerzenia badań literackich poza językową strukturę tekstu; osłabiły też tęsknotę do budowania systemowej wiedzy o literaturze¹². Pozytywnym efektem tej reorientacji było zdefiniowanie konkurencyjności literatury wśród innych praktyk kulturowych. Wobec wyzwań współczesności i nieprzewidywalnej przyszłości ten cel jawi się jako bardzo aktualny. Daje impuls do pozabawio-

niejsze źródło naukowe i popularnonaukowe oraz wyraz więzi kulturowej. Pokazują to losy np. Olimpiady Literatury i Języka Polskiego czy zakres cyfrowego projektu *Geopolonistyka* realizowanego w Instytucie Badań Literackich PAN.

- ¹⁰ Po roku od napisania tego tekstu projekt ewaluacji nauki promowany przez nowego ministra i nowo utworzone Ministerstwo Edukacji i Nauki uległ kolejnym zmianom. Opublikowano kolejne listy punktowanych czasopism i materiałów konferencyjnych (z 9 II 2021 i 1 XII 2021). Ich najbardziej zauważalnym efektem był w wielu przypadkach niezaskuszony czy niewytłumaczalny ewaluacyjny skok czasopism wydawanych przez konkretne ośrodki naukowe – np. KUL, macierzystą uczelnię ministra P. Czarnka – lub tak kontrowersyjne jak Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, reprezentująca popieraną przez rządzącą partię konserwatywny światopogląd religijny. Drastyczne naruszenie transparentności zasad oceny czasopism (w przypadku pierwszej listy punkty przyznano 73 pismom nieocenianym przez Komisję Ewaluacji Nauki, 237 czasopism otrzymało zawyżoną punktację w stosunku do rekomendowanej przez KEN, co wynika z oświadczenia Komisji wydanego po publikacji listy) nie tylko stanowi zmianę kryteriów oceny w trakcie ocenianego okresu, ale również jest manifestacją uznaniowości. Ma także obrazować przesunięcia ideologiczne poprzez utrzymanie minimalnej punktacji pism „nieprawomyślnych” czy reprezentujących niepożądane kierunki badań (np. „Zagłada Żydów”) na rzecz tych oficjalnie promowanych, jak periodyk IPN „Pamięć i Sprawiedliwość” (pozaproceduralnie dowartościowany już przez ministra J. Gowina), który dzięki ministrowi Czarnkowi osiągnął pułap 100 pkt. (!). Ile pism polonistycznych może się taką punktacją pochwalić? Najbardziej spektakularnym osiągnięciem polskiej nauki po znowelizowaniu listy będzie chyba imponujący wzrost punktacji dorobku naukowego samego ministra: ze 100 pkt. według dawnych zasad do 370 według nowych (zob. A. Żurawski, *Minister Czarnek i cudowne rozmnożenie punktów*. „Kultura Liberalna” 2021, nr 8). Nie dziwią więc głosy gremiów naukowych mówiące, że skompromitowana ręcznym sterowaniem ewaluacja może być podważona wskutek skarg kierowanych do sądów administracyjnych (zob. *Stanowisko Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego* z 24 II 2021).

- ¹¹ Pomijam spory kompetencyjne między tradycją rodzimej nauki o kulturze, angielskimi *cultural studies* spod znaku tzw. szkoły z Birmingham oraz młodo zmarłym polskim kulturoznawstwem jako autonomiczną dyscypliną naukową (2005–2018). Konsekwencje bezrefleksyjnej synonimizacji studiów kulturowych w Polsce i ich angielskiego prototypu omawia zwięźle np. W. Kałaga w artykule *Miedzy kulturami: cultural studies a konteksty ideologiczne* („Er⟨r⟩go” 2011, nr 1/2). Znaczenie *cultural studies* dla kształtowania tożsamości, profilowania badań oraz dorobku kulturoznawstwa po zmianach wynikłych z Ustawy prezentują autorzy artykułów zawartych w monograficznym numerze pisma „Relacje Międzykulturowe / Intercultural Relations” (2018, nr 1), zatytułowanym *Istota kulturoznawstwa*.

- ¹² Zob. G. Grochowski, *Blaski i cienie badań kulturowych*. „Teksty Drugie” 2005, nr 1/2.

nego kompleksów poszukiwania atrakcyjności literatury w świecie „bezpowrotnie utraconej literaturocentryczności”¹³ – w czasach piśmienności cyfrowej, wobec ekspansji rzeczywistości wirtualnej i nowych mediów.

Projekt od początku zawierał trudne do pogodzenia propozycje: od „przebijania ścianek” między literaturą a jej pozajęzykowym otoczeniem do redyscyplinaryzacji literaturoznawstwa w obronie przed polimorficznymi badaniami kulturowymi. Rozpoznanie, że spory reprezentantów różnych nurtów poststrukturalizmu marginalizują literaturoznawstwo jako dyscyplinę, było (jak można mniemać) słuszne. Twórcy kulturowej teorii literatury¹⁴ deklarowali profesjonalizację opartą na badaniu tekstów kultury i procedurze refleksji tekstologicznej rozszerzonej na nieliterackie praktyki dyskursywne.

Kulturowa teoria literatury wniosła kategorię „doświadczeniowości” literatury (i jej lektury) jako ekwiwalent współczesnego „apetytu na doświadczenie” (także w jego technologicznej, medialnej, medialno-społecznościowej odmianie). Dziś nasuwają się wątpliwości, czy tekstologiczna definicja „tekstu kultury” jako przedmiotu literaturoznawstwa (wywiedziona ze świata druku) jest aktualna w odniesieniu do zawartości interaktywnego środowiska cyfrowego. Destabilizuje ono bowiem pojęcia piśmiennej kultury i komunikacji literackiej: tekstu, lektury, pisania, czytelnika, i wymaga umiejętności po części niewywodzących się z obcowania z drukiem¹⁵.

Jeśli jednak rola literatury na tle innych tekstów kultury czy dyskursów zmalała, to możemy ją obronić w ramach (np. polonistycznej) kultury autotelicznego czytania¹⁶. Nie wszystkie dzisiejsze style czytania obejmują tekst drukowany (lub jego cyfrowe odwzorowanie), lecz jeden z nich wiąże się z historyczną formą książki jako kodeksu¹⁷. To umiejętność czytania dla samej tej czynności i ze świadomością jej pożytków: osiągnięcie cywilizacyjne, ale i specyficzna kompetencja kulturowa zarazem. Właśnie czytanie rozwija skupienie wewnętrzne, namysł, krytycyzm, metakognicję i separację od świata bodźców (inaczej niż dzisiejsze media interaktywne). Opiera się na imaginacji, wyobraźni narracyjnej i empatycznym rozumieniu opowieści innych dzięki mnożeniu perspektyw. Odwraca uwagę od czytającego podmiotu, którego narcystyczną naturę stymulują z kolei nowe technologie, a zmianę tożsamości oferują gry i rzeczywistość wirtualna. Czytanie

¹³ Zob. R. Nycz, *Kulturowa natura. Kilka uwag o przedmiocie poznania literackiego*. „Teksty Drugie” 2001, nr 5.

¹⁴ Zob. *Kulturowa teoria literatury*. T. 1 (Red. R. Nycz, M. P. Markowski); t. 2 (Red. R. Nycz, T. Walas). Kraków 2012.

¹⁵ Zob. A. M a n g e n, *New Narrative Pleasures? A Cognitive-Phenomenological Study of the Experience of Reading Digital Narrative Fictions*. Trondheim 2006.

¹⁶ Zob. F. F u r e d i, *Power of Reading: from Socrates to Tweeter*. London 2015, ebook, wersja Kindle. Autor sytuuje kulturę czytelnictwa epistemologicznie wyżej niż kulturową piśmienność, gdyż kompetencje z zakresu tej ostatniej jednostka nabywa później. Rekonstruuje on europejską kulturę czytelnictwa, analizując rozwój topiki strachu przed upadkiem czytelnictwa i zagrożeniami dla czytania ze strony nowego medium czy nowych technik czytelnictwa. To, co według niego pozostaje trwałe, to idea czytania jako najważniejszej czynności kulturotwórczej.

¹⁷ Zob. K. L i t t a u, *Theories of Reading: Books, Bodies, and Bibliomania*. Cambridge, Mass., 2006, s. 29–35.

autoteliczne realizuje się w lekturze wydłużonej, w przyswajaniu większych całości tekstowych, w otwarciu na językowe zróżnicowanie tekstów i niuansowanie znaczeń w lekturze wielokrotnej. Tym etosem nie zachwiały poprzednie rewolucje medialne, gdyż nawyk „czytania dla niego samego” stanowi niezmiennie jedną z najważniejszych technologii wytwarzania „ja”. Wydaje się, że społeczne zapotrzebowanie na doskonalenie czytania kreatywnego narasta (jak niegdyś rozwijała się potrzeba nauki pisania kreatywnego)¹⁸. Deficyty w tym zakresie często łączy się z upowszechnieniem nielinearnego trybu operowania na treści multimedialnej i multisensorycznej. W dobie cyfrowej autoreferencyjne czytanie współlistnieje ze skokowym „czytaniopisaniem” w Internecie i w mediach społecznych oraz z interaktywnym i interakcyjnym czytaniem literackiego hipertekstu¹⁹. Polonistyka, profilowana jako polonistyczna kultura czytania, jest w stanie objąć wszystkie te modusy i kultywować nawyk skupionej lektury na potrzeby dziedzictwa i wspólnoty użytkowników języka. Jak pisze Frank Furedi, „humanistyczny ideał roztropnego czytelnika zdolnego do samodzielnych sądów powinien wciąż służyć jako wzorzec kulturowy teraźniejszości”²⁰.

„Nowa” i „stara” historia literatury

Zbliżenie do studiów kulturowych, łatwiejsze na poziomie spluralizowanych teorii literackich, więcej podejrzeń wzbudziło w kontekście historii literatury. Wyjaśnianie tekstu literackiego, zwłaszcza z epok dawnych, bez przywołania staromodnie, po Winckelmannowsku nawet, rozumianego kontekstu w zasadzie możliwe nie było i wcześniej²¹. Natomiast użycie „uwpółcześnionego języka kategorialnego”²² do opisu długiego okresu w dziejach literatury skłania ku archeologii idei raczej niż do syntetyzującej narracji historycznoliterackiej. Kwestią niemal niewystępującą w studiach kulturowych jest wartościowanie estetyczne i hierarchizowanie zjawisk i praktyk literackich. Potrzeba zlikwidowania różnych form wykluczenia owocuje bowiem uznaniem całej produkcji piśmiennej grup marginalizowanych (ze względu na płeć, rasę, klasę) za istotną dla kultury i literatury. A na brak jakiegos kryterium wartościowania trudno się zgodzić.

Najlepiej obrazuje to *Historia literatury polskiej* Anny Nasiłowskiej (2019), synteza, w której badaczka stara się umknąć podziałom na „nową” i „starą” historię

¹⁸ Zwracają na to uwagę metodycy, np. A. Janus-Sitarz (*Uczeń na lekcjach (nieczytanej?) literatury*. W zb.: *Polonistyka dziś – kształcenie dla jutra*. Red. K. Biedrzycki [i in.], T. 1. Kraków 2014).

¹⁹ Zob. A. Ensslin, *Literary Gaming*. Cambridge, Mass., 2014.

²⁰ Furedi, *op. cit.*, ebook, wersja Kindle, poz. 190.

²¹ Zob. P. Bohuszewicz, *Po czy w ramach poststrukturalizmu? „Zwroty” badawcze wobec przełomów paradygmatycznych w najnowszym literaturoznawstwie polskim*. W zb.: *„Zwroty” badawcze w humanistyce. Konteksty poznawcze, kulturowe i społeczno-institutionalne*. Red. J. Kowalewski, W. Piasek. Olsztyn 2010. – M. Cieński, *Nowa humanistyka i odpowiedzialność za ciągłość (dawnej) tradycji*. „Teksty Drugie” 2017, nr 1.

²² T. Wałas, *Historia literatury w perspektywie kulturowej – dawniej i dziś*. W zb.: *Kulturowa teoria literatury*, t. 1, s. 133–134.

literatury²³. Fakt, że to pierwsza synteza narodowej literatury napisana przez kobietę, ma tu niepoślednie znaczenie. Decyzja, by zajmować się przede wszystkim (ale nie tylko) tym, co w literaturze poszczególnych epok utrwaliło się jako najważniejsze, afirmuje tradycjonalizm. Zawarte w monografii splecione ze sobą opowieści o kobietach, Żydach, innowiercach, praktykach wypierania z pamięci zbiorowej tego, co niewygodne, wyraźnie świadczą z kolei o wieloperspektywiczności tej narracji. Nasiłowska nie boi się też formułowania stanowczych sądów na temat tego, czy wybrany tekst mówi coś istotnego dzisiejszym czytelnikom. Znamienna jednak wydaje się proporcja: uprzywilejowanie literatury nowszej retroaktywnie tłumaczącej teksty przeszłości, które zachowały (z bardzo różnych względów) aktualność ideową. Nasiłowska świadomie profiluje wersję historii literatury na potrzeby wieku XXI (choć z reguły nie wybiega poza rok 1989!), w którym kultura literacka jest jedną z konkurujących praktyk wyrażania indywidualnego i zbiorowego doświadczenia. W książce widać nachylenie ku biografistyce, coraz popularniejszej w szerokich kręgach odbiorców, ale też zyskującej silniejszy status pośród naukowych gatunków pisanie o historii. Potwierdza to ranga, jaką miały opublikowane w ostatnim dziesięcioleciu biografie Ryszarda Kapuścińskiego, Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza czy Stanisława Lema.

Czytanie literatury narodowej na zasadzie punktowego oświetlania wybranych jej zjawisk z pozycji „tu i teraz” wciąż bywa w dydaktyce polonistycznej wartościowane negatywnie. Nauczanie (zwłaszcza szkolne) faworyzuje chronologię, wbrew kontekstowi rewolucji cyfrowej i kulturze uczestnictwa, które pojęcia linearności i kanonu kwestionują. Efektem tego jest ustawiczne „spóźnienie na współczesność”, z jakim borykają się nawet studenci polonistyki, nie wspominając uczniów szkół podstawowych i średnich. Skojarzenie literatury i anachroniczności (językowej, kulturowej, edukacyjnej), dominujące wśród młodego pokolenia, skutecznie przeszkadza kształtowaniu nawyku czytania dla niego samego, zwłaszcza na etapie wczesnej edukacji. Wszyscy nasi studenci i uczniowie są czytelnikami cyfrowymi – nawet jeśli nie wszyscy z nas są humanistami cyfrowymi.

Studia kulturowe wpisały w samoświadomość literaturoznawstwa odważne oczekiwanie na przyszłe teorie/zwroty/„studia”. W oglądzie z lekkiego oddalenia ujawnia się także wyrażana lub implikowana chęć od-(u-)zyskania sprawczości humanistyki w życiu społecznym²⁴. Ten postulat wypływa z „czynnościowej” koncepcji kultury, idei „pracy z tekstem i poprzez tekst”, „teorii w działaniu” w humanistycznym „laboratorium innowacji”²⁵. W rozmaitych praktykach interpretacyjnych (krytyce genderowej, postzależnościowej, ekokrytyce, w studiach nad Zagładą)

²³ Zob. A. Skrendo, *Historia literatury polskiej dla XXI wieku*, „Teksty Drugie” 2019, nr 4. – J. Drzewicki, *Między erudycją, pracowitością i odwagą*, „Twórczość” 2020, nr 2.

²⁴ Ten nurt humanistyki (na przykładzie pisarstwa A. Bielik-Robson, M. P. Markowskiego, J. Sowry, P. Czaplińskiego) omawia M. Kuziak w artykule *W sprawie polityczności polskiej humanistyki* („Teksty Drugie” 2017, nr 1), postulując akceptację decyzji aksjologicznych jako wymóg współczesności. Rewersem afirmowanej polityczności jest w Polsce głęboka niechęć do „upolitycznienia nauki”, która rzutuje nawet na sposób recepcji jawnie politycznych angielskich *cultural studies* – zob. A. Nyzio, *Brytyjskie studia kulturowe a polski strach przed polityką*, „Kultura Popularna” 2014, nr 1.

²⁵ To idee rozwijane przez R. Nycz a w pracach *Poetyka doświadczenia. Teoria – nowoczesność* –

wynika to z ich emancypacyjnego potencjału, podjętego tematu lub interwencyjnego zamierzenia²⁶, by przepracować w zbiorowej świadomości to, co wyparte lub wygumkowane. Polityczność (w zgodzie z greckim znaczeniem słowa „polis”) zmierza ku przeformułowaniu pojęcia profesjonalizacji: podtrzymując rygor naukowego badania, pisanie o literaturze nabiera znamion działania w coraz bardziej niepokojącej rzeczywistości społeczno-politycznej (polonista westchnie: znowu!)²⁷. Powołanie, powinność, użyteczność humanistyczna płyną z aktywizmu zakorzenionego w performatywności samego dyskursu – to też jest cenna lekcja o korzyściach z humanistyki oferowana przez studia kulturowe²⁸. Właśnie w publicznej przestrzeni, poprzez współtworzenie jej dyskursów, może (i powinna dzisiaj) ta postawa się realizować. W gestii polonistyki (literaturoznawstwa i językoznawstwa) leży danie odporu zjawiskom negatywnym kreowanym dyskursywnie w życiu społeczno-politycznym: populizmowi, mowie nienawiści, stygmatyzacji różnych grup współobywateli, propagandzie²⁹, rozmaitym manipulacjom, postępującej faszyzacji, wiadomościom sfalszowanym (*fake news*). Wobec tych zagrożeń musi znaleźć się polonistyka uniwersytecka jako potencjalny aktywny uczestnik procesu niwelowania zaniedbań edukacyjnych, które ujawniły się w Polsce w ciągu ostatnich kilku lat. To powołanie lapidarnie ujmuje etykieta „powszechności i elitarności” polonistyki³⁰. Przed nami bowiem, na nieodległym horyzoncie, są nieprzewidywalne koszty edukacyjne i psychospołeczne tzw. reformy oświaty (w wersji przygotowanej przez Annę Zalewską) oraz zmian forsowanych przez ministra Czarnka.

Interdyscyplinarność – transdyscyplinarność – postdyscyplinarność

Konsekwencją coraz silniejszego powiązania uniwersytetu z mechanizmami kultury wiedzy jest również dążenie do przekraczania granic międzydyscyplinarnych i międzydziedzinowych. Wyrasta ono z założenia, że postęp naukowy czy przyrost wiedzy (jakkolwiek je określać) następuje w wyniku wieloperspektywicznego oglądu problemów zbyt złożonych, by mogła je choćby zdefiniować jedna dyscyplina. Takie wyzwanie programowo podejmują projekty zbiorczo nazywane nową huma-

literatura (Warszawa 2012) oraz *Kultura jako czasownik. Sondowanie nowej humanistyki* (Warszawa 2017).

²⁶ O interwencji literaturoznawczej pisze R. Koziołek (*Humanistyka literaturoznawcza w dobie nowych konfliktów plemiennych. Próba wykonania ruchu*. „Teksty Drugie” 2017, nr 1).

²⁷ Nawet bez sięgania do tradycji odleglejszej w czasie (np. do S. Brzozowskiego), można zaobserwować przyspieszony rozwój tej tendencji w ostatnich latach – zob. G. Grochowski, *Polityczność, agon, reprezentacja*. Jw., 2012, nr 3.

²⁸ Zob. J. Pluciennik, *Odwaga poetyki. Aktywizm, opór, psalmy*. Łódź 2019. – I. Iwasiów, wykład: *Praktyka twórcza: między pisarstwem, nauką i aktywizmem*. Wydział Filologiczny UŁ, 5 XII 2019 (wcześniej to zagadnienie I. Iwasiów problematyzowała wielokrotnie – zob. np. *Granice. Polityczność prozy i dyskursu kobiet po 1989*. Szczecin 2013).

²⁹ Po klasycznych pracach M. Głowińskiego: *Nowomowa po polsku* (1990), *Marcowe gadanie* (1991), *Rytuał i demagogia* (1992), *Peereliada* (1993), *Mowa w stanie obłądzenia* (1996), krytykę manipulacji językowej i propagandy podjęli K. Kłosińska i M. Rusinek (*Dobra zmiana*. Kraków 2019).

³⁰ Zob. *Edukacja polonistyczna jako zobowiązanie. Powszechność i elitarność polonistyki*. Red. E. Jaskółowa [i in.]. T. 1–2. Katowice 2016.

nistyką. Eklektyzm metodologiczny stanowi dla nich zarazem „przejaw badawczej uczciwości”, jak i odpowiedź na heterogeniczność i hybrydyczność świata³¹. Uprzywilejowanie transdyscyplinarnych pojęć-soczewek sprzyja odejściu od niedawno jeszcze preferowanej interdyscyplinarności na rzecz relacji trans-/multi-/postdyscyplinarnych³². Wśród tych, którzy chcą umocnić status literaturoznawstwa (w tym polonistyki) jako samodzielnej dyscypliny, ruch ku coraz dalej idącej amalgamatyczności obszarów badawczych budzi niepokój. Interdyscyplinarność wzmacnia ostrzejszą profesjonalizację i wymaga dwustronnego wysiłku: wypracowania wspólnej siatki pojęciowej, procedur badawczych i zasad interpretacji wyników. Nieuchronnie uruchamia też proces rozsunień semantycznych czy powstanie naddatku kreatywnego właściwych mechanizmom szeroko rozumianej translacji. Możliwość taka tkwiła oczywiście w sposób naturalny w samej istocie polonistycznego kształcenia jako modułu obejmującego rozbudowane konteksty historyczne, socjologiczne, filozoficzne³³. Szersze, inkluzywne projektowanie własnego dyscyplinarnego pola cechuje polonistykę od kilku lat. Aby zapewnić atrakcyjność kształcenia, włączano w jej zakres komparatystykę (także intermedialną), studia nad komunikacją, gramy wideo, nowymi mediami i cyfryzacją, nad edytorstwem naukowym. Czy ten proces nadal powoduje zwiększone ryzyko rozszczelniania granic?

Zaktualizowana klasyfikacja dyscyplin naukowych wraz z koniecznością dyscyplinowej deklaracji pracowników utrudnia niepomiarne realne szanse na prowadzenie indywidualnych lub zespołowych badań „pomiędzy”. W strukturach uniwersyteckich polonistyka nie może wchodzić w relacje z kulturoznawstwem, które w ostatnich dekadach były najbardziej owocne. Z kolei jej funkcjonowanie w ścieżkach dyscyplinarnych, w różnych układach administracyjno-organizacyjnych wdrożonych przez polskie uczelnie, stwarza zagrożenia dla spójności edukacji polonistycznej, która obejmuje przyszłych nauczycieli polonistów wszystkich stopni kształcenia.

Zresztą przed dalekosiężnymi projektami interdyscyplinarnych czy (ambitniej!) ponaddziedzinowych koligacji skutecznie powstrzyma nas... wskaźnik kosztochłonności prowadzenia badań na poziomie 1.0. Konia z rzędem temu, kto reprezentując np. automatykę, elektronikę i elektrotechnikę, informatykę techniczną i telekomunikację (wskaźnik 4.0) czy choćby informatykę (3.0), chciałby wraz z literaturoznaw-

³¹ P. Czapliński, *Sploty*. „Teksty Drugie” 2017, nr 1. Zob. też tom *Nowa humanistyka* (Red. P. Czapliński, R. Nycz, D. Antonik. Warszawa 2017) i całą bogatą serię wydawniczą „Nowa Humanistyka”, publikowaną przez Wydawnictwo IBL.

³² Zob. W. Hofmański, M. Januszkiewicz, *Zwrot lingwistyczny a postdyscyplinarność*. W zb.: *Nowe zjawiska w języku, tekście i komunikacji*. T. 3: *Kontekst a komunikacja*. Red. I. Matusiak-Kempa, S. Przybyszewski. Olsztyn 2011. – R. Włodarczyk, *Transgresja – transdyscyplinarność – translacja*. W zb.: *Interdyscyplinarność i transdyscyplinarność pedagogiki – wymiary teoretyczny i praktyczny*. Red. R. Włodarczyk, W. Żłobicki. Kraków 2011.

³³ W sferze inspiracji taka możliwość leżała u podstaw nowoczesnej teorii literatury. Zob. T. Brzostowska-Tereszkiewicz, *Ewolucje teorii. Biologizm w modernistycznym literaturoznawstwie rosyjskim*. Toruń 2011. – D. Ulicka, *Autonomia – interdyscyplinarność – profesjonalizm (teoria literatury dawniej i dziś)*. W zb.: *Głosy w sprawie interdyscyplinarności. Socjologowie, filozofowie i inni o pojęciach, podejściach i swych doświadczeniach*. Red. J. Kurczewska, M. Lejzerowicz. Warszawa 2014, s. 228–241.

cami lub językoznawcami znad Wisły uprawiać badania typu „*humanics*”³⁴ i np. uczyć sztuczną inteligencję: rozumienia modalności językowej i kulturowej, rozpoznawania ironii, parodii, mowy nienawiści, gatunków wypowiedzi, stylizacji, mechanizmów kreatywności językowej. Kształcenie maszynowe tego nie uczy; dla rozwoju AI kamieniami węgielnymi są język i językowa oraz kulturowa komunikacja. To tylko przykładowe zakresy badań uprawianych na Zachodzie, a nieprawdopodobnych w świetle nowej Ustawy, która funduje humanistom drugiej dekady wieku XXI przysłowiowy kałamarz i pióro, ale już nie daje środków na pergamin.

³⁴ Zob. J. Aoun, *Robot-Proof: Higher Education in the Age of the Artificial Intelligence*. Cambridge, Mass., 2017.

EWA SZCZĘSNA Uniwersytet Warszawski
ORCID: 0000-0003-3708-8854

CYFROWE I Dyskursywne Transgresje pre-tekst do dyskusji nad polonistyką w świetle nowych mediów i nowych tendencji kulturowych

To, co nowe, okazuje się tak samo powtarzalne i cechuje się równie bogatą historią jak to, co ma status konwencji, co wpisuje się w tradycję i co – uznawane za powiązane z trwaniem opartym na nieustannym adaptowaniu do „tu i teraz” – jest w istocie modelowane. Powtarzalność nowego stanowi zresztą gwarant modyfikowania zasobu tradycji. Nowe określa się jako nowe do momentu, gdy nie zostaje nazwane i oswojone, gdy stopniowo nie zyskuje rozmaitych reprezentacji, które nadają nazwie status pojęcia. Bycie pojęciem oznacza, że doszło do odzwierciedlenia w nazwie cech istotnych danego zjawiska, wspólnych dla różnych reprezentacji i możliwych do wskazania w jednostkowych realizacjach, które dzięki temu zostają ze sobą spowinowacane. Prawo to ujął Friedrich Nietzsche w refleksji o tworzeniu pojęć. Pisał:

każde słowo staje się od razu pojęciem wskutek tego, że właśnie nie ma ono służyć jako przypomnienie jednorazowemu i całkowicie jednostkowemu praprzężyciu, któremu zawdzięcza swe powstanie, lecz musi też nadawać się do niezliczonych, mniej lub więcej podobnych, tzn., ściśle biorąc, nigdy nie jednakowych, a więc do czysto niejednakowych przypadków. Każde pojęcie powstaje przez zrównanie nierównego¹.

Problem z nowym polega na tym, że lokuje się ono całkowicie poza znanym i nazwanym. Nie jest jak po- czy post-, które pozostaje w jakiejś relacji do poprzedzającego, do którego się odwołuje, choć i od niego w pewnej mierze się odcina, ani jak inter-, które wprowadza w relacje rzeczy już rozpoznane, czy trans-, które z pozycji znanego wychodzi w inną przestrzeń.

Nowe domaga się rozpoznania i nazwania. Nowe to nieznanne, które może fascynować i intrygować, ale też wobec którego poznający umysł odczuwa niepokój obcowania z niewiadomym, z czymś, co prowokuje do podjęcia walki o nazwanie, a tym samym oswojenie, uczynienie własnym. W procesie asymilacji, „równania nierównego” nowe stopniowo poddawane jest konwencjonalizacji, włączane do dorobku dziedziny, dyskursu czy – szerzej – kultury.

Obecnie w przestrzeni nowej humanistyki przebiega proces asymilowania oraz

¹ F. Nietzsche, *O prawdzie i kłamstwie w pozamoralnym sensie*. W: *Pisma pozostałe (1862–1875)*. Przeł. B. Baran. Kraków 1993, s. 188.

aplikowania technologii i mediów cyfrowych, myślenia transdyscyplinarnego i nie-antropocentrycznego.

Technologie cyfrowe, które są narzędziem i miejscem rozwoju (dziania się) dyskursów (tu: dyskursu sztuki oraz dyskursu myślenia o sztuce), znacząco zmieniają sposób ich istnienia, a także relacje między nimi. U podstaw tych zmian leży wspólna dla wszystkich form cyfrowych budowa znaku i jego własności – niematerialność, programowalność, interaktywność. Efektem niematerialności i programowalności znaku są niematerialność i programowalność tekstów oraz dyskursów. Efektem interaktywności jest z kolei wpisanie działań użytkownika w dzianie się tekstu oraz dyskursu w ten sposób, że działania te stają się warunkiem ich zaistnienia. Wspólnota materii znaku pociąga za sobą także inne skutki. Chodzi mianowicie o transgresje czy wręcz wielokierunkowe migracje/wędrówki cech semiosfer przypisanych dotąd określonym formom sztuki i niesztuki; wielokierunkowe wędrówki cech gatunkowych, dyskursywnych, dziedzicznych; tworzenie form hybrydycznych, a przy tym nietrwałych – otwartych na zmianę; utekstowanie działań odbiorcy/użytkownika – uczynienie ich integralnym składnikiem tekstu. Cechy te, istniejące w sztuce przedcyfrowej eksperymentalnie, a przy tym częściowo, tu stają się w pełni realizowaną zasadą.

W literaturze cyfrowej architektura tekstu – warstwa słowna udźwiękowiona, ruchoma, ikoniczna, przekształcająca się na oczach użytkownika i współkształtowana przez jego działania – wchodzi w relacje figuralne, a w konsekwencji znaczeniowe z semantyką warstwy słownej jako kodu arbitralnego (np. Robert Kendall, *Faith*; Susan Gibb, *Czarne jagody*; Leszek Onak, *Młodość 1861 liter później*; Piotr Puldzian Płucienniczak, *Read more+*; cykl Katarzyny Giełżyńskiej *C(n Du It²)*. Tekst literacki jest współtworzony przez teksturę, czyli warstwę wyrażania tekstu literackiego (ruchomy obraz, dźwięk), oraz działania użytkownika (jego cielesność). Znaczenie tekstu powstaje w interakcji wszystkich tych czynników: semantyki warstwy słownej jako kodu arbitralnego, semantyki warstwy słownej jako kodu ikoniczno-dźwiękowego oraz tekstowych działań cielesno-mentalnych użytkownika (twórczego podmiotu nadawczo-odbiorczego). Co więcej, przemodelowania w sposobie istnienia literackości – przesunięcia w sferze miejsca jej dziania się – stają się przedmiotem mniej lub bardziej bezpośredniej refleksji literackiej, pojawiają się też na prawach motywów. Przykładu takiej metaformy dostarczają *Ars poetica* Zenona Fajfera, wspomniana już *Młodość 1861 liter później* Leszka Onaka, *Klikam* oraz *Kusiciel* Katarzyny Giełżyńskiej czy *Matrioszka* Marty Dzido³.

² R. Kendall, *Faith*. 2002. Na stronie: https://collection.eliterature.org/1/works/kendall_faith.html (data dostępu: 3 II 2022). – S. Gibb, *Czarne jagody*. *Hipertekst*. Przeł. M. Pisarski. 2011. Na stronie: http://archiwum.ha.art.pl/hiperteksty/czarne_jagody/czarne_jagody.html (data dostępu: 3 II 2022). – L. Onak, *Młodość 1861 liter później*. 2016. Na stronie: https://techsty.art.pl/m10/mlodosc_1861_liter_pozniej/ (data dostępu: 3 II 2022). – P. Puldzian Płucienniczak, *Read more+*. 2014. Na stronie: <http://archiwum.ha.art.pl/prezentacje/poezja/4026-read-more-i-nagroda-w-sierpniowo-wrzesniowym-itjw> (data dostępu: 3 II 2022). – K. Giełżyńska, *C(n Du It)*. 2012. Na stronie: <http://archiwum.ha.art.pl/wydawnictwo/katalog-ksiazek/2367-katarzyna-gielzynska-cn-du-it.html> (data dostępu: 3 II 2022).

³ Z. Fajfer, *Ars poetica*. 2004. Na stronie: <http://archiwum.ha.art.pl/prezentacje/poezja/1051->

Zmianie ulegają język literacki i literackość. Technologie cyfrowe pozwalają na twórcze wyzyskanie wszelkich sposobów kulturowego i medialnego istnienia słowa – uwalniają czy inicjują nową literackość, realizowaną w efekcie zderzenia wszystkich aspektów słowa artystycznego w procesie literackiego kreowania. W kreowaniu sensów literackich uczestniczą ruch słowa, jego transformacje, udźwiękowanie, działania użytkownika, które są na tym słowie dokonywane, wreszcie literackie zastosowania nieliterackich form językowych. Nowe technologie umożliwiają tworzenie nowych figur semiotycznych, semiotyczno-semantycznych i interaktywnych, takich jak np. redukcja, adiekcja, permutacja, transformacja, kumulacja; kreowanie narracji interpretacyjnej, alternatywnej; reinterpretację figur istniejących (inwersji, metafory, powtórzenia i wielu innych). Tym samym dają asumpt do rozwoju badań literaturoznawczych, w szczególności poetologicznych, idących w stronę semiopoetyki sprawczej – badającej utwory, które angażują działania użytkownika/czytelnika, dane o nim oraz otaczający go świat fizyczny i praktyki kulturowe w taki sposób, że stają się one koniecznym składnikiem tekstu.

W literaturze cyfrowej występują użycia estetyczne modelowanych medialnie dyskursów nieliterackich – ich tekstów, cech i struktur (przywołajmy tu choćby zabiegi animacyjne, growe, filmowe, algorytmiczne). Fabularyzacji poddawane są cielesne działania użytkownika oraz warstwa wyrażania tekstu (jej kinetyzacja, udźwiękowanie i umuzyycznienie). W powieści Semyona Polyakovskiego *Maginary*⁴ dmuchnięcie na ekran – stronicę tekstu – wywołuje wiatr w świecie przedstawionym; ruchem liter, ich barwą, światłem i dźwiękiem tworzy się ikoniczne reprezentacje tego świata. Faktem w literaturze światowej staje się angażowanie w literackość rozszerzonej i wirtualnej rzeczywistości, wykorzystywanie w utworze literackim personalizacji – danych dotyczących konkretnego czytelnika, jego otoczenia (np. pogody), wydobytych za pośrednictwem jego telefonu (za przykład niech posłuży powieść ambientowa Kate Pullinger *Breathe*⁵). W praktyce oznacza to możliwość przeniesienia opowieści w miejsce i czas jednostkowego odbiorcy, którego sytuuje się w centrum zdarzeń. Bieg tych zdarzeń zostaje uzależniony od działań użytkownika w świecie rzeczywistym i w świecie cyfrowym smartfonu, co angażuje czytelnika zarówno emocjonalnie, jak i intelektualnie oraz estetycznie⁶. Odbiorca może do-

-zenon-fajfer-ars-poetica.html (data dostępu: 3 II 2022). – Onak, *op. cit.* – K. Giełżyńska: *Klikam*. 2012. Na stronach: <http://archiwum.ha.art.pl/prezentacje/28-poezja/1389-katarzyna-gielzynska-klikam-nagroda-glowna-we-wrzesniowym-itjw.html>; <https://www.youtube.com/watch?v=WW0tNiHhszk> (data dostępu: 3 II 2022); *Kusiciel*. 2012. Na stronie: <http://archiwum.ha.art.pl/prezentacje/28-poezja/1501-katarzyna-gielzynska-kusiciel-nagroda-glowna-w-listopad-owym-itjw.html> (data dostępu: 3 II 2022). – M. Dżido, *Matrioszka*. Kraków 2013. Na stronie: <http://archiwum.ha.art.pl/wydawnictwo/nowe-ksiazki/2520-matrioszka> (data dostępu: 3 II 2022).

⁴ S. Polyakovsky, *Maginary*. 2019. Na stronach: <https://medium.com/@semyonpolyakovskiy/maginary-animated-immersive-book-for-ios-3aec8f5136bc>; <https://www.maginary.app> (data dostępu: 4 II 2022).

⁵ K. Pullinger, *Breathe*. 2019. Na stronie: <https://www.breathe-story.com> (data dostępu: 4 II 2022). Zob. też *Ambient Literature. Towards a New Poetics of Situated Writing and Reading Practices*. Ed. T. Abba, J. Dovey, K. Pullinger. London 2020.

⁶ Zob. J. Bizzocchi, *Ambient Art and Electronic Literature*. W zb.: *Electronic Literature as Digital Humanities. Contexts, Forms, and Practices*. Ed. D. Grigar, J. O'Sullivan. New York – London – Oxford – New Delhi – Sydney 2021, s. 113.

świadczać słów niczym awatarów, nabierających wartości bytów trójwymiarowych – ludzkich i nie-ludzkich (animizowanych, antropomorfizowanych, personifikowanych, reifikowanych). Hybrydyzacja świata tekstu literackiego jako dziejącego się w interakcji świata rzeczywistego i wirtualnego zostaje wzmocniona wykorzystaniem dorobku literatury tradycyjnej. Literatura cyfrowa nie abstrahuje bowiem od literatury drukowanej. Wręcz przeciwnie, kreatywnie przetwarza wypracowane przez nią strategie narracyjne, zabiegi artystyczne (kompozycyjne, stylistyczne). Konstytuuje swoją literackość w wyniku cyfrowej adaptacji literackości zastanej i wprawienia jej w interakcje estetyczne z nowymi, odkrytymi przez technologie cyfrowe sposobami istnienia literackości. Jest to odkrywanie, które ucieleśnia w literaturze Heideggerowskie rozumienie techniki jako sposobu wydobywania, uwalniania, przekształcania, dziania się *poiesis*⁷.

Utwory cyfrowe są dla literaturoznawców i językoznawców wyzwaniem, inicjują pytania nie tylko o istotę oraz granice literatury i języka artystycznego, ale też o wpływ technologii cyfrowych na kształt estetyczny literatury tradycyjnej (drukowanej), dla której dzieła cyfrowe stają się źródłem twórczej inspiracji. Wchodząc zaś w aktywne relacje z innymi przestrzeniami dyskursywnymi i formami internetowej komunikacji, dostają się w pole zainteresowań polonistycznego kulturoznawstwa i wiedzy o sztuce.

Badanie cyfrowej specyfiki literackości wymaga modyfikacji narzędzi opisu: uwzględnienia narzędzi myślenia semiotycznego, performatywnego, z zakresu komunikacji artystycznej, ale nie narzędzi gotowych – nie tych zastanych, lecz prze-modelowanych w efekcie zetknięcia z kinetyczną, modyfikowalną, interaktywną, programowalną postacią warstwy wyrażania tekstu cyfrowego.

Nowy sposób istnienia słowa literackiego – wtórnie piśmiennego, wtórnie oralnego, ikonizowanego, związanego z ciałem użytkownika i procesualnego – narzuca konieczność ustanawiania nowych kompetencji filologicznych. Wymaga kształtowania umiejętności krytycznego myślenia o tych tekstach oraz konceptualizowania tego myślenia; formowania świadomości badawczej. Wskazuje też na potrzebę zmiany myślenia o słowie literackim jako tym, które zyskuje wartość podmiotową lub przynajmniej tworzy reprezentację nowej formy podmiotowości – nie jest wyłącznie nośnikiem znaczeń ani szyfrem, którego znajomość pozwala na uruchomienie zinterioryzowanej interpretacji, ale zyskuje osobowość, cielesność, zdolność działania, w szczególności zaś angażowania użytkownika w aktywności tekstotwórcze i komunikacyjne. Lokuje się w pozycji partnera komunikacji. Ucieleśniona podmiotowość komunikacyjna słowa literackiego wzmocniona zostaje jego ożywieniem, zwłaszcza za pośrednictwem kinetyzacji, a także uprzestrzennieniem – zarówno nadaniem formy trójwymiarowej, jak i wprowadzeniem w rzeczywistość przestrzeni użytkownika, którą to słowo utekstowia oraz włącza w akt literackiej komunikacji i dziania się literackości (tu np. takie instalacje, jak: Romy Achituv, Camille Utterback, *Text Rain*; Bruno Nadeau, Jason E. Lewis, *Still Standing*⁸).

Cyfrowe słowo artystyczne korzysta z istniejącego języka literackiego i formy

⁷ M. Heidegger, *Technika i zwrot*. Przeł. J. Mizera. Kraków 2002, s. 16–21.

⁸ R. Achituv, C. Utterback, *Text Rain*. 1999. Na stronie: https://www.youtube.com/watch?v=f_u3sSffS78 (data dostępu: 4 II 2022). – B. Nadeau, J. E. Lewis, *Still Standing*. 2005.

literackiej. Wchodzi z nimi w dialog, polemizuje z tym, co uznane w zastanej literackości za oczywiste. Proponuje nowe sposoby realizacji tradycyjnych kategorii, jak chociażby intertekstualności czy tytułu. Tak więc np. w *Ars poetica* Fajfiera intertekstualna refleksja nad istotą poetyckości ulokowana zostaje w ruchomej teksturze słowa poetyckiego, z kolei w wierszu Onaka *Młodość 1861 liter później* sednem intertekstualnego nawiązania jest działanie na formie wyrażania przedmiotu odniesienia – odzie Mickiewicza. Zmieniający się tytuł polemizuje z przyzwyczajeniami do stałości tytułów, utwór oparty na zanikaniu, odejmowaniu z zastanego repertuaru tekstów – ściera się z nawykami postrzegania twórczości jako dodawania do istniejącego zasobu dzieł, namnażania tekstów. Sens rodzi się w interakcji semantyki działań użytkownika odpowiadającego na polecenie: „Naciśnij klawisz Esc lub kliknij tutaj, by doczekać starości”, zaniku liter tekstu i zmieniającego się nieustannie tytułu, ale i tradycji literackiej – wiedzy na temat polskiej poezji romantycznej, a zwłaszcza wczesnej i późnej twórczości Mickiewicza (reprezentowanych, odpowiednio, przez *Odę do młodości* i *Liryki lozańskie*). Działania intertekstualne przeprowadzane na poziomie wyrażania i użytkowania tekstu pierwotnego poddawanego resemantyzacji stają się dla warstwy znaczeń umownych równoprawnym partnerem kreowania literackości.

Semantyzacja podlegających transformacji wizualnej i dźwiękowej języka i tekstu, tworzenie form tekstowych programowalnych, opartych na algorytmicznym przekształcaniu form zastanych – wymagają takich zmian w sferze narzędzi myślenia filologicznego, które pozwolą na rozwój badań nad nowym sposobem istnienia zarówno języka literackiego oraz form literackich, jak i tekstowych form nieliterackich. Rozwój filologii cyfrowej wydaje się szczególnie uzasadniony wobec dziejącego się już tworzenia hybrydycznych form literatury cyfrowej. Łączenie, wprowadzanie we wzajemne relacje w przestrzeni utworu literackiego hipertekstu, grywalności, rzeczywistości rozszerzonej i wirtualnej, generatorów, haptyczności, lokalizacji, personalizacji, dźwięku binarnego oraz nowych jakości, dziś jeszcze nieodkrytych, ale dzięki dynamicznemu rozwojowi technologii cyfrowych, które wkrótce zaistnieją w literaturze, prowadzi i będzie prowadzić do pojawiania się coraz bardziej złożonych form literackich, domagających się filologicznego namysłu.

Brak osadzenia znaku w materii, wspólna dla wszystkich tekstów i dyskursów budowa znaku cyfrowego niezależna od ich statusu wizualno-dźwiękowego powodują również nasilenie istniejących w kulturze procesów transgresji języków i, szerzej, kodów odmiennych dyskursów, gatunków, form tekstowych. Języki oraz kody odrywają się od przypisanych im dyskursów. Dyskursy lokują się w pozycji użytkownika języków (kodów) innych dyskursów, swobodnego zapożyczania ich cech, elementów, przekształcania ich i dostosowywania do własnych potrzeb. Procesy te zachodzą zarówno w przestrzeni cyfrowej, jak też poza nią, przy czym opór stawiany przez materię znaku oraz tekstu w środowisku pozacyfrowym sprawia, że akty te – zwłaszcza w przestrzeni sztuki – demaskują zwykle jakiś rodzaj przemocy i ograniczenia wytwarzanych wskutek przypisania sztuki do danej materii i formy. W kategoriach buntu wobec – przeczącej istocie sztuki – kulturowej tendencji do wiąza-

nia sztuki z określoną materią i formą odczytywać można liberackie projekty uczynienia nośnikami tekstu literackiego przedmiotów innych niż książka czy nadania materii książki funkcji nośnika znaczeń literackich (literackie upodmiotowienie nośnika); a także malowidła wychodzące poza płótno na drewnianą ramę (np. Arthur Segal), malarskie kolaże włączające elementy trójwymiarowe (np. Max Ernst) czy rezygnujące z materii farby i płótna na rzecz światła (Arni Alberts, *Connections*, 1983, MoMA), *ready made* (np. Piet Mondrian, Marcel Duchamp). We wszystkich tych przypadkach sztuka demonstruje swoją istotę: przekraczanie granic dyskursywno-materiałowych ustanawianych przez kulturową teorię, zdolność do upodmiotowienia estetycznego innych dyskursów i ich przedmiotów – tu zwłaszcza dyskursu codzienności, przedmiotów użytkowych i pełniących funkcję medialną.

W środowisku cyfrowym transgresja dyskursywna nie napotyka oporu materii. Literackość może swobodnie przetwarzać cechy i tematy innych dyskursów sztuki i, szerzej, kultury. Podmiotowość słowa literackiego zostaje wzmocniona możliwą transdyskursywnością i transdziedzinością (np. Dan Waber, *Strings*); zyskuje status reprezentacji podmiotowości użytkownika, nigdy niebędącego w obcowaniu z różnymi dyskursami i ich tekstami bytem jałowym, ale nasyconym własnym doświadczeniem świata, w którym jest osadzony – wszystkim, w czym uczestniczy i czego stanowi element, a co w sposób konieczny konstytuuje jego poznanie interpretacyjne.

Elastyczność dyskursywną cyfrowego słowa literackiego i – mówiąc ogólniej – cyfrowych struktur literackich widać zwłaszcza w literaturze przeznaczonej dla młodego odbiorcy ukształtowanego w kulturze cyfrowej. Literacko wyzyskiwany jest w niej interaktywny w swej istocie dyskurs gry, który pozwala na tworzenie form literatury grywalnej. Kreowane są teksty dyskursywnie synkretyczne, łączące literackość z edukacją i rozrywką; naukę z popularyzacją i ekonomią.

W przestrzeni literatury transgresja odpowiedzialna za procesy transsemiotyzacji, transdyskursywizacji, transgatunkowości, angażujące i przekształcające literacko najrozmaitsze, wypracowane przez człowieka kulturowe kąty widzenia, tworzy dobry grunt do wykreowania owego czwartoosobowego narratora, o którym podczas wykładu w Sztokholmie mówiła Olga Tokarczuk – podmiotu myślącego jednocześnie wieloma, jeśli nie wszystkimi świadomościami.

Istotne jest, by zdolność myślenia wieloma świadomościami ujawniająca się w przestrzeni mediów i przestrzeni sztuki znajdowała swe reprezentacje w dyskursie nauki. Studia humanistyczne, w tym polonistyczne, nie powinny zamykać się w ramach dyscyplin, ale śmiało wykraczać poza ich granice, jeśli tylko wymaga tego przedmiot badań – kreować narzędzia poznawania możliwie najlepiej dostosowane do opisu i problematyzowania procesów zachodzących w analizowanych tekstach. Tymczasem przeprowadzona niedawno w Polsce reorganizacja nauki, eksponująca w przepisach prawa myślenie dyscyplinami (z uwzględnieniem badań interdyscyplinarnych i transdyscyplinarnych tylko w ramach jednej dziedziny i tylko na poziomie stopnia doktora⁹), zdaje się lokować w poprzek naturalnych tendencji rozwoju społecznego krajów wysoko rozwiniętych.

⁹ Zob. *Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce*. „Dziennik Ustaw”, poz. 1668, art. 177 n. Ustawa nie przewiduje nadania stopnia naukowego doktora w badaniach interdyscyplinarnych lub transdy-

Uczynienie kategorii dyscypliny elementem organizującym myślenie o nauce uświadamia ogrom zmian, jakie w praktyce dokonały się w sposobie istnienia dyscyplinarności i dziedzinowości – i to zmian nie instytucjonalnych: z narzucenia, odgórnego nadania, ale zmian ewolucyjnych, dyktowanych naturalnym rozwojem kultury. Zmiany te, będące efektem wolności i demokratyzacji życia społecznego, sztuki i nauki (wspartych i wzmocnionych nowoczesnymi technologiami cyfrowymi), wyrażają się w swobodzie transferów kulturowych, które wzmacniają wieloperspektywizm poznawczy, prowadząc do rozwoju i współpracy dyscyplin. Przepływ idei między dyscyplinami i między dziedzinami sprawia, że zyskują one nowe kąty widzenia i nowe narzędzia badawcze. Zamykanie granic między nimi prowadzi do izolacji, wsobności i zerwania dialogu, a w konsekwencji – do uwstecznienia. Wtłaczanie istniejącego stanu badań w ścisłe ramy dyscyplin (czy jednej dziedziny) daje efekt tworu sztucznego – przypomina trochę londyńską taksówkę, która pod karo-serią stylizowaną na dawność skrywa konieczną do zaspokojenia potrzeb pasażerów nowoczesność.

Transdziedzinowość badań polonistycznych, badań sztuki znajduje uzasadnienie w transgresyjnym, wieloaspektowym charakterze przedmiotu badań. Tak język, jak i literatura oraz, szerzej, kultura nie dbają o pozostawanie w wyznaczonych granicach gatunku czy dziedziny sztuki, typu dyskursu. Inspiracje artystyczne pochodzą zewsząd, oddają wieloaspektowość ludzkiego doświadczenia, które w akcie działania się nie pyta o przynależność dziedzinową i którego formy wiążane są na prawach swobodnego przepływu, ponadrefleksyjnego doboru. Niewykluczone, że tak jak twórczość Witkacego inspirowana była wizjami narkotycznymi, Joyce'a procesami myślenia, tak też impresjonizm mógł być inspirowany dalekowidzeniem, które czyni przedstawienia zamazanymi z bliska i wyraźnymi z oddali.

W poznawaniu zdarzeń i przedmiotów, które zaliczamy, zresztą umownie, do jednej dziedziny, nie izolujemy procesów myślowych od naszych doświadczeń w polu innych dziedzin (wiedzy o zdarzeniach i przedmiotach tych dziedzin), ale używamy ich (mniej lub bardziej świadomie) jako narzędzi poznania. Dlatego każde poznawanie – także humanistyczne – ma w sposób konieczny charakter transdziedzinowy (co nie wyklucza tropienia istniejących w nim dominant dziedzinowych). Korzysta z myślenia interpretacyjnego – metaforycznego, nieustannie wymykającego się dotychczasowym ustaleniom: pojęciom i narracjom, które ponazywały elementy świata i go na chwilę unieruchomiły. W nieustającym, zmiennym procesie poznawania interpretacyjnego kategorii dyscypliny w aktualnym stanie swego skatalogowanego istnienia są jedynie przystankami – chwilowymi, choć niewątpliwie pożytecznymi, bo porządkującymi, opisującymi dorobek poznawczy: zorganizowany zgodnie z ludzką logiką zbiór dóbr poznawania.

W poznawaniu interpretacyjnym nie dotykamy rzeczy samych, ale naszego wyobrażenia o nich. Zarówno pojęcia (których katalog i zakres nie jest stały), jak i struktury (zgodnie z którymi poznajemy i tworzymy świat) są konstruktami na-

scyplinarnych w sytuacji, gdy osiągnięcie naukowe wnosi równy wkład w dwie dyscypliny należące do różnych dziedzin. Nie przewiduje też nadania stopnia naukowego doktora habilitowanego w badaniach interdyscyplinarnych lub transdyscyplinarnych, gdy nie jest możliwe wskazanie dyscypliny dominującej.

leżącymi do naszego myślenia, a nie do jakiegoś niezależnego świata zewnętrznego. Posługując się nimi, utekstowiamy świat, nadajemy mu sens mnogi i zmienny, umieszczamy w opowieściach – ramujemy dziedzinami, dyscyplinami i dyskursami, które są w istocie alternatywnymi narracjami; czytamy, odczytujemy, a tym samym asymilujemy, czynimy ludzkim.

W tym sensie nie istnieją byty nie-ludzkie czy post-ludzkie – nie mamy dostępu do innego widzenia i poznawania niż nasze własne: ludzkie; wszystko, o czym myślimy, jest myślane na nasz ludzki sposób, przy czym włączamy w to myślenie wszelkie dostępne nam formy doświadczenia świata. Tak jest w przypadku twórców wygenerowanych przez maszyny cyfrowe czy byty biologiczne inne niż ludzkie, stających się tekstami w akcie interpretacji odbiorczej, ale i za sprawą intencji twórczej człowieka. Przykładu pierwszego z nich dostarcza tom poetycki *Transformer Poetry. Poetry Classics Reimagined by Artificial Intelligence*¹⁰, który jest zbiorem przekształconych przez program komputerowy utworów znanych poetów (Szekspira, Frosta i innych), czy *Sonet niezachodzący Onaka*¹¹ umożliwiający użytkownikom generowanie sonetów będących remiksami artykułów z gazet i portali internetowych w Polsce. Za sprawą intencji autorskiej (doboru utworów i programu – generatora tekstu) aktu tekstualizacji dokonuje czytelnik, angażując weń własną osobowość i doświadczenie odbiorcze (tu odpowiednio: wiedzę o poddanych przekształceniu dziełach konkretnych poetów czy znajomość prasy). Z kolei ilustracją drugiego przypadku może być obraz namalowany przez mieszkającą w ogrodzie zoologicznym w Warszawie szympansię o imieniu Lucy, malowidło, które swoją tekstualizację również zawdzięcza interpretacji odbiorczej widza (tu np. wiedzy na temat kierunków artystycznych), ale też intencji nadawczej dyrektora ogrodu – jego wyborowi ludzkich mediów sztuki (podobrazia i farb). Innego przykładu ramowania cywilizacją człowieka, ludzką perspektywą poznawczą działań istot nie-ludzkich (tu zwierząt) dostarcza książka Zhu Yingchuna *Bug Books*, w której „słowami” są atramentowe ślady zostawione przez poruszające się po kartkach owady¹². Oto intencją autora było zapewne zwrócenie uwagi na inną niż nasza perspektywę – świata zwierząt, który też tworzy swój tekst. Jednak posłużenie się elementami kultury człowieka, myśleniem kategoriami papieru, atramentu, pisania książki wprowadziło akt ramowania-wrabiania¹³, w którym świat zwierząt zamiast zyskać wartość podmiotową został uprzedmiotowiony – stał się narzędziem.

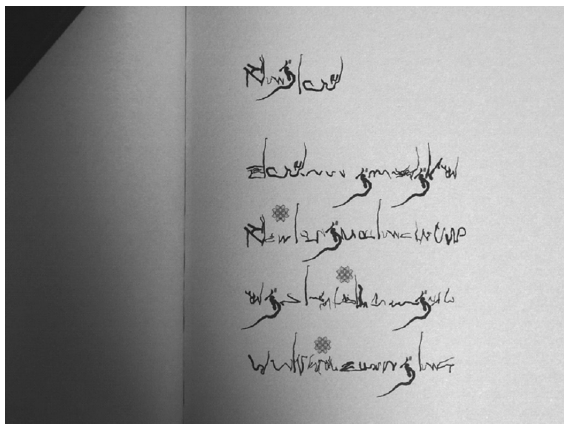
To, co określamy jako byty nie-ludzkie czy podmioty nieantropocentryczne, wciąż lokuje się w przestrzeni naszego – ludzkiego – wyobrażenia o istnieniu i myśleniu innym niż ludzkie, jest przypisywaniem im ludzkiej podmiotowości. Ma charakter fikcyjny, ale nie jest to fikcja oddalająca od prawdy, lecz jednocząca się z nią, gdyż oddająca nasze ludzkie myślenie. Kieruje naszą antropocentryczną

¹⁰ K. Hsieh, *Transformer Poetry. Poetry Classics Reimagined by Artificial Intelligence*. San Francisco 2019.

¹¹ L. Onaka, *Sonet niezachodzący*. 2011. Na stronie: <http://http404.org/sonetniezachodzacy> (data dostępu: 4 II 2022).

¹² Z. Yingchun, *Bug Books*. Woodbridge (Suffolk) 2018. Na stronie: <https://drive.google.com/file/d/10hYnM8xJdXtRWxcRnYkUtFrzcpKGXMXE/view?pli=1> (data dostępu: 4 II 2022).

¹³ Zob. M. Bał, *Wędrujące pojęcia w naukach humanistycznych*. Przeł. M. Bucholc. Warszawa 2012, s. 169.



Zhu Yingchun, *Bug Books*. Acc Art Books UK 2018

uwagę w stronę innych podmiotowości, do których nie mamy wprowadzić dostępu, ale na które oddziałujemy i które mają wpływ na nasze myślenie, język, literaturę i ogólnie – kulturę. Dlatego badania posthumanistyczne (np. *animal studies*, nieantropocentryzm) należy odczytywać bardziej w kategoriach poszerzania perspektyw poznawczych, wzbogacania myślenia wieloma świadomościami niż w kategoriach złudnej troski o upodmiotowienie bytów nie-ludzkich; bardziej w kategoriach poszerzania humanizmu niż w kategoriach odcinania się od niego czy przeciwstawiania się mu¹⁴.

Fakt i sposób tekstualizacji efektów działań kreacyjnych, w które angażowane są byty inne niż człowiek, potwierdzają ponadto, że kategorie takie jak interpretacja, narracja, fikcja, mit, fabuła, metafora są narzędziami mentalnymi, organizującymi nasze poznanie i doświadczenie świata, ale też blokującymi dostęp do tego, co poza-ludzkie. Narzędzia te leżą u podstaw takiego, a nie innego istnienia tekstów i nadbudowanych nad nimi dyskursów społecznych. Odpowiadają również za nieustanne transfery i interakcje, w jakie wchodzi ze sobą odmienne dyskursy i dziedziny. To owym narzędziom zawdzięczamy, że tendencje istniejące w jednych dziedzinach organizują kierunki i mody badawcze w innych (np. posthumanizm, *animal studies*, dyskursy klimatyczne wobec ruchu ekologicznego; e-art i humanistyka cyfrowa wobec rozwoju technologii informacyjnych; postkolonializm wobec kolonializmu). Widoczne w humanistyce nowe kierunki badań tworzone w efekcie przenoszenia na jej grunt tendencji występujących w innych dziedzinach i przestrzeniach życia społecznego nie świadczą o odchodzeniu humanistyki od samej siebie – wręcz przeciwnie, są wyrazem nastawienia dziedziny na pogłębianie świadomości krytycznej, wzbogacenie perspektywy poznawczej, stanowią zatem gest w swej istocie głęboko humanistyczny.

¹⁴ O zróżnicowanym rozumieniu posthumanizmu i różnym nastawieniu do niego pisze P. Zawoj ski w artykule *Posthumanizm, czyli humanizm naszych czasów* („Kultura i Historia” 2017, nr 2).

MACIEJ MYCIELSKI Uniwersytet Warszawski

„O POWOŁANIU I OBOWIĄZKACH MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ”

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI W OBRONIE UNIwersYTETU

Mowa Kazimierza Brodzińskiego *O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej* (1826) to jeden z ciekawszych polskich tekstów o uniwersytecie pochodzących z pierwszej połowy XIX wieku. Mało mamy równie obszernych i systematycznych omówień takich problemów dydaktyki akademickiej jak przejście od edukacji szkolnej do uniwersyteckiej, rola przedmiotów ogólnych i specjalistycznych, sposoby przyswajania wiedzy i umiejętności czy związki między kształceniem uniwersyteckim a przyszłymi karierami zawodowymi studentów. Ważnym wątkiem mowy jest też kształtowanie postawy etycznej studentów w czasie pobytu na uczelni.

Właśnie w kontekście dydaktyki uniwersyteckiej zajmowano się tą mową najczęściej. Autorzy piszący o Brodzińskim na przełomie XIX i XX wieku mieli poczucie jej niezwyklej aktualności. Ignacy Chrzanowski twierdził, że „do dziś dnia nie utraciła w wielu, jeśli nie we wszystkich swoich myślach świeżości i prawdy”¹. Piotr Chmielowski pisał: „Rady tu streszczone, oparte na znajomości natury ludzkiej, ożywione szlachetnym pojęciem celu wykształcenia, wypowiedziane poważnie a serdecznie, warte są rozważań i dzisiejszej młodzieży akademickiej”². Podobne podejście zdarza się też obecnie³. Nadawanie mowie Brodzińskiego rangi ponadczasowych rozważań o tematyce edukacyjnej sprzyjało wyjmowaniu jej z kontekstu historycznego. Jednakże dwoje badaczy – Józef Bieliński, autor historii Uniwersytetu Warszawskiego, oraz Alina Witkowska, autorka biografii Brodzińskiego – zauważyło, że tekst odnosił się do konkretnych wydarzeń: stanowił reakcję na opozycyjne zachowania studentów i na sytuację, w jakiej znalazł się warszawski uniwersytet w połowie lat dwudziestych XIX wieku⁴. Należy się zgodzić, że mowa była częściowo pokłosiem

¹ I. Chrzanowski, wstęp w: K. Brodziński, *Mowy i pisma patriotyczne oraz O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej*. Kraków 1926, s. X. BN I 94.

² P. Chmielowski, *Studia i szkice z dziejów literatury polskiej*. Kraków 1889, s. 176. Podobnie K. I. Arabażyn, *Kazimir Brodzinskij i jego literaturna diejatelnost (1791–1835)*. Kijew 1891, s. 352.

³ Zob. J. Suchmiel: *Kształcenie uniwersyteckie w koncepcji Kazimierza Brodzińskiego*. „Prace Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie. Pedagogika” t. 5 (1994); *Razem czy osobno, czyli refleksje nad tradycyjną koncepcją wykładu akademickiego Kazimierza Brodzińskiego i współczesny wykład on-line*. „Pedagogika Szkoły Wyższej” 2011, nr 2.

⁴ J. Bieliński, *Królewski Uniwersytet Warszawski (1816–1831)*. T. 1. Warszawa 1907, s. 193–194; t. 3 (1912), s. 449–450. – A. Witkowska, *Kazimierz Brodziński*. Warszawa 1968, s. 279–281.

tych wydarzeń. Ale uważam, że to przede wszystkim odpowiedź na politykę władz oświatowych i na płynące z niej zagrożenia dla uniwersytetu. Tego szerszego kontekstu wystąpienia Brodzińskiego dotychczas nie dostrzeżono.

Brodziński wygłosił mowę na posiedzeniu publicznym Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu w dniu 15 VII 1826. Uroczystość zamykająca rok akademicki odbyła się w uczelnianym Gmachu Audytoryjnym. Poprzedziła ją msza w kościele Wzytek (który był kościołem akademickim), a zakończyło odśpiewanie *Te Deum* w tymże kościele. Nazajutrz, zgodnie z tradycją uniwersytecką, wydano uroczysty obiad, w którym uczestniczyli wszyscy profesorowie oraz studenci nagrodzeni za rozprawy konkursowe⁵. Mowa została ogłoszona w broszurze razem z innymi wystąpieniami z posiedzenia publicznego⁶. Dostępna była również nadbitka z tej broszury zawierająca mowę Brodzińskiego, zaopatrzona w okładkę. Fragmenty tekstu wydrukowano w marcu 1827 w „Gazecie Korespondenta Warszawskiego i Zagranicznego”⁷. Drugie wydanie mowy, z niewielkimi poprawkami, ukazało się w postaci osobnej książeczki, trudno jednak ustalić datę tej publikacji⁸. Nie jest też jasne, jak szeroko dostępna była mowa, zwłaszcza dla studentów z roczników, które nie wysłuchały wystąpienia Brodzińskiego⁹.

Na podstawie dyplomu założenia z 1816 roku uniwersytet dostał prawo „utrzymywania osobnej cenzury na pisma swych członków”. W praktyce oznaczało to, że broszury z posiedzeń publicznych nie przechodziły przez cenzurę rządową, kierowaną przez Józefa Kalasantego Szaniawskiego, w latach dwudziestych XIX wieku

⁵ Zob. „Gazeta Warszawska” 1826, nr 110, z 11 VII, s. 1669. – T. Lipiński, *Zapiski z lat 1825–1831*. Oprac. K. Bartoszewicz. Kraków 1883, s. 38–39.

⁶ Zob. *Posiedzenie publiczne Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu na uczczenie pamiętki uczonych mężów, a mianowicie Polaków, odbyte dnia 15 lipca 1826*. Warszawa, b. r., s. 23–57.

⁷ Nadbitka ukazała się w okładce z tytułem *O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej* oraz z własną numeracją stron. Minimalna korekta, której dokonano (cztery poprawki interpunkcyjne na s. 4), pozwala stwierdzić, że właśnie nadbitka była podstawą prasowego przedruku fragmentów mowy („Gazeta Korespondenta Warszawskiego i Zagranicznego” 1827, nr 73, z 30 III, s. 638–640; nr 74, z 31 III, s. 644–646). Jak wspomina F. Skarbek (*Pamiętniki*. Oprac. P. Myślakowski. Warszawa 2009, s. 179), broszury z posiedzeń publicznych uniwersytetu „bardzo mało pomiędzy publiczność rozchodziły się”, jest więc zrozumiałe, że mowa Brodzińskiego – w założeniu skierowana do szerszej publiczności – wymagała dodruku.

⁸ Zob. *O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej. Rzecz czytana na publicznym posiedzeniu Królewskiego Uniwersytetu dnia 15 lipca 1826 roku przez Kazimierza Brodzińskiego, profesora i sekretarza tegoż uniwersytetu*. Warszawa, b. r. W stosunku do pierwodruku wprowadzono dużo poprawek interpunkcyjnych oraz trochę innych (np. zmieniono „bydź” na „być”, choć niezbyt konsekwentnie), żadna z nich jednak nie zmienia sensu tekstu. W najnowszym wydaniu mowy (K. Brodziński, *O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej*. Oprac. M. Wojaś, I. Barkowski. Wstęp K. Berto. Warszawa 2016 <do wydania tego odsyłam za pomocą skrótu B, po którym podaję numer stronicy>) znalazły się błędne informacje dotyczące pierwszych wydań: edytorzy nie zauważyli pierwodruku w broszurze z posiedzenia publicznego, nadbitkę z tej broszury datują na około 1829 rok i uznają, że było to wydanie korsarskie, a za pierwodruk przyjmują druk, który w rzeczywistości był drugim, poprawionym wydaniem (B 73).

⁹ Informacja W. Marrené (*Kazimierz Brodziński. Studium*. Kraków 1881, s. 41), że „zwierzchność uniwersytecka wydrukować ją [tj. mowę] kazała i wręczała każdemu zapisującemu się na uniwersytet jako rodzaj moralnego i umysłowego kodeksu”, nie znajduje potwierdzenia w innych źródłach. Może jednak jest to echo jakiegoś rozpowszechniania mowy przez władze uniwersyteckie.

bardzo ostrą¹⁰. Ma to pewne znaczenie, gdy przyglądamy się podtekstom politycznym zawartym w analizowanej mowie.

Rozpoczyna się ona silnym podkreśleniem publicznego charakteru edukacji akademickiej, odróżniającą ją od uznanej za archaiczną edukacji prywatnej czy kościelnej. Był to zresztą wątek często powracający w wystąpieniach władz uniwersyteckich, gdyż możliwość obejmowania funkcji publicznych po ukończeniu edukacji prywatnej postrzegano jako zagrożenie dla rangi wykształcenia uniwersyteckiego¹¹. Ale nadzieje, jakie kraj i ojcowie rodzin wiąza z edukacją publiczną – mówi Brodziński – przekładają się na oczekiwania wobec młodzieży akademickiej:

Wiek dzisiejszy, mylną rachubą rozumu zawiedziony, namiętnościami zakłócony, chciałby tobie przez wychowanie spokojniejszą zapewnić przyszłość. Ojczyzna, tylu skolatana burzami, w tobie chciałaby nagrodzić dawne nieszczęścia i błędy. Rodziny, za tobą w domach tęskniące, z ciebie się spodziewają podpory i uciech. [B 15]

Zaczynając edukację uniwersytecką, studenci stają przed wielkimi wyzwaniami:

Ci z sercem do wszystkiego bijącym wahają się nad wyborem nauk, innych przestrasza ich ogrom; jednym surowe ubóstwo stawia przed nimi zapory, drugich Fortuna płocho od nich odnęca; ci w szczęściu, jak owi w niedoli, bez doświadczenia, a często i bez przyjaciół puszczają się w drogę zarówno stanowczą, jak niebezpieczną. [B 15]

W podobnym tonie – towarzyszenia studentom w ich trudnej, samodzielnej drodze przez studia – utrzymana jest cała mowa.

Dalsze rozważania dotyczą systemu edukacyjnego w Królestwie Polskim, przy czym bardzo mocno zostaje zaznaczona różnica między sposobem nauczania w szkołach średnich a edukacją uniwersytecką. Brodziński omawia problem relacji wiary i rozumu, starając się wykazać, że możliwa jest tu harmonia. Polemizuje też z tezą o szkodliwości uprawiania nauk dla porządku społecznego. Następnie obszernie przedstawia rolę „nauk w ogóle kształcących”: filozofii, matematyki, historii, literatury pięknej. Końcowa część mowy to rady, jak należy korzystać z wykładów i lektur, ćwiczyć styl w pracach pisemnych, uczyć się wymowy przydatnej we współczesnym świecie itp. Stosunkowo krótki i dość ogólny fragment poświęcony jest kwestii przestrzegania uniwersyteckich przepisów.

W przeciwieństwie do innych tekstów Brodzińskiego – w których całe fragmenty są parafrazą lub wręcz kryptocytatem z niemieckich autorów (najczęściej z Johanna Gottfrieda Herdera) – analizowana mowa zawiera co najwyżej ogólne inspirowanie¹².

Czy można te rozważania potraktować jako tekst ściśle autorski, wyraz doświadczenia i przemyśleń Brodzińskiego? Formalnie było to wystąpienie we własnym imieniu – Brodziński przemawiał do studentów jako „bliski uczestnik i świadek” ich usiłowań i prosił, by jego uwagi uznać za „głos więcej doświadczonego przyjaciela” (B 16). Ale trudno sobie wyobrazić, by czerpał tylko ze swojej praktyki dydaktycznej. Co najmniej połowę słuchaczy jego mowy stanowili studenci prawa

¹⁰ Zob. Bieliński, *op. cit.*, t. 1, s. 23.

¹¹ Zob. *ibidem*, s. 124–127.

¹² Zob. C. Pęcherski, *Brodziński a Herder*. Kraków 1916, s. 116–117.

i administracji. Mówiąc do wszystkich studentów uniwersytetu siłą rzeczy musiał dostosować wywód do perspektywy studentów różnych kierunków. Rozważania o sposobie korzystania z wykładów, metodzie samodzielnego uczenia się itp. zapewne stanowiły efekt rozmów z innymi profesorami bądź dyskusji w Radzie Ogólnej uniwersytetu. Licząc od powstania Szkoły Prawa w 1808 roku, środowisko uniwersyteckie miało za sobą 18 lat gromadzenia doświadczeń i przemyśleń dotyczących nauczania. W mowie pojawiają się wątki, które znamy z wystąpień rektora Wojciecha Szwejkowskiego i z wewnętrznych dokumentów uniwersyteckich – np. mocne przekonanie o wartości i potrzebie publicznej edukacji, problem różnic między ubogimi a zamożniejszymi studentami czy obrona znaczenia teorii w edukacji uniwersyteckiej. Dodajmy, że mowy wygłaszane na „zgromadzeniach obchodowych” uniwersytetu recenzowali, zgodnie z uczelnianymi przepisami, dwaj lub trzej profesorowie¹³. Trzeba wreszcie zauważyć, że Brodziński był sekretarzem uniwersytetu, a więc najbliższym współpracownikiem rektora, co musiało nadawać jego mowie charakter oficjalnego wystąpienia władz uczelni.

Część z tego, co mówił Brodziński, może być więc traktowana raczej jako wyraz zbiorowej refleksji środowiska akademickiego. Za własny wkład profesora należałoby uznać słowa poświęcone retoryce, sztuce pisania, wyrabianiu stylu i roli tłumaczeń, a także rozważania o wpływie literatury na formowanie osobowości i umysłowości studentów. Były to kwestie bezpośrednio związane z jego doświadczeniem dydaktycznym. Ale odnajdziemy w tym tekście również szerszą perspektywę ideową charakterystyczną dla Brodzińskiego.

Aby zrozumieć mowę, trzeba sobie uświadomić, w jakiej sytuacji znajdował się uniwersytet latem 1826. Dymisja Stanisława Kostki Potockiego ze stanowiska ministra oświecenia i wyznań w 1820 roku i mianowanie na jego miejsce Stanisława Grabowskiego przyniosła zasadniczą zmianę polityki edukacyjnej. Nowy minister i jego najbliżsi współpracownicy działali pod patronatem Nikołaja Nowosilcowa, a kierunki zmian w edukacji wyznaczał Komitet Reformy, który powstał w grudniu 1821 i któremu przewodniczył Nowosilcow. Kluczową postacią w Komitecie był nie minister Grabowski, ale radca stanu Józef Kalasanty Szaniawski, który w Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego odpowiadał za sprawy edukacji oraz był szefem cenzury. Najważniejszy efekt prac tego komitetu stanowiło powołanie w 1823 roku Kuratorii Generalnej, mającej sprawować nadzór nad uczniami i studentami szkół średnich i wyższych. W szkołach tych oddzielono władzę „naukową” od podporządkowanej kuratorii władzy „dozorczej”. Na uniwersytecie pierwsza władza należała do rektora, a druga do inspektora generalnego, któremu podlegali inspektorzy wydziałów i podinspektorzy. Do kompetencji kuratorii należał nadzór nad postępowaniem studentów. Inspektorzy i podinspektorzy przychodzili na wykłady, kontrolując obecność i zachowanie słuchaczy. Odwiedzali stancje studenckie, by zbierać informacje o mieszkańcach, ale też np. sprawdzać, jakie książki posiadają. Interweniować mogli zresztą w dowolnym miejscu – również na ulicy. Od roku 1821 studentów obowiązywało noszenie mundurów, także poza

¹³ Zob. *Tymczasowe urządzenie wewnętrzne Uniwersytetu Królewsko-Warszawskiego*. W zb.: *Księga protokołów Rady Ogólnej Uniwersytetu Warszawskiego 1817–1819*. Oprac. R. Gerber. Warszawa 1958, s. 187.

terenem uczelni, co też było kontrolowane przez inspektorów. Kuratoria sprawdzała ponadto przestrzeganie wprowadzonego w tym czasie obowiązku praktyk religijnych – spowiedzi wielkanocnej, uczestnictwa w mszy uniwersyteckiej w kościele Wizytek i uczęszczania na wykłady z religii. Inspektor generalny miał prawo nakładać na studentów kary dyscyplinarne (choć najcięższe kary nadal leżały w kompetencji Rady Ogólnej uniwersytetu). W szerszym kontekście działania kuratorii wpisywały się w inwigilację młodzieży studenckiej przez różne struktury tajnej policji. Ale kompetencje tej instytucji wykraczały poza kontrolowanie studentów. Inspektor generalny i inspektorzy wydziałowi mieli wgląd w finanse uczelni i nadzorowali profesorów – treść ich wykładów i sposób wykładania. Wszystko to więc w sumie znacząco ograniczało władzę rektora; zresztą i wcześniej nie była ona duża, gdyż bardzo wiele istotnych decyzji należało do Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego¹⁴.

Zmiana polityki edukacyjnej dotyczyła też programów nauczania. Szaniawski był zwolennikiem tego, by minimalizować rolę filozofii i w ogóle przedmiotów humanistycznych w nauczaniu akademickim. Uważał, że kształcenie powinno mieć charakter czysto zawodowy, był entuzjastą nauk ścisłych i wiedzy technicznej. W Komitecie Reformy dyskutowano projekt podzielenia uniwersytetu na osobne szkoły zawodowe, częściowo ulokowane poza Warszawą¹⁵.

Bezpośredni kontekst mowy Brodzińskiego stanowiły wydarzenia pierwszej połowy 1826 roku – pogrzeb Stanisława Staszica (24 stycznia) oraz uroczystości żałobne po śmierci cesarza Aleksandra I (7 kwietnia). Podczas pierwszego wydarzenia studenci byli bardzo widoczni, przez całą drogę na Bielany nieśli trumnę Staszica. Podczas drugiego zakłócali uroczystość, celowo łamiąc szyszek żałobnego pochodu; wielu z nich pojawiło się w demonstracyjnie niedbałych strojach. Ich zachowania nie zmieniło nawet to, że wielki książę Konstanty przysłał adiutanta z reprimendą. Po uroczystości ku czci zmarłego cesarza uznano zachowanie studentów za skandaliczne i zwołano ich wszystkich do wielkiej auli uniwersyteckiej. Z przemówieniem skierowanym do nich wystąpił minister oświecenia Stanisław Grabowski. Kiedy zabrał po nim głos kurator generalny Dawid Oebchelwitz, studenci zaczęli szurać nogami po podłodze, zagłuszając go. Jak wspominał Jan Nepomucen Janowski, „stojący z tyłu za ministrem rektor Szweykowski to wznosił do góry ręce, to je załamywał, błagając uczniów tą mimiką i wyrazem twarzy, aby się uciszyli”¹⁶. Rektor, przemawiając na zebraniu, „ile się tylko dało, zmniejszał to uchybienie młodzieży [na uroczystościach pogrzebowych], składając winę na kilku niebacznych”¹⁷.

Tajna policja odnotowała w kwietniu, po uroczystościach pogrzebowych, że w mieście mówi się o zamknięciu na jakiś czas uniwersytetu w związku z zach-

¹⁴ Zob. A. Winiarz, *Szkołnictwo Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego (1807–1831)*. Lublin 2002, s. 40–48. – M. Mycielski, *Uniwersytet Królewski 1816–1831*. W zb.: *Dzieje Uniwersytetu Warszawskiego 1816–1915*. Red. T. Kizwalter. Warszawa 2016, s. 89–92, 270–285.

¹⁵ Zob. M. Manteufflowa, J. K. Szaniawski. *Ideologia i działalność 1815–1830*. Warszawa 1936, s. 95–104.

¹⁶ J. N. Janowski, *Notatki autobiograficzne 1803–1853*. Oprac. M. Tyrowicz. Wrocław 1950, s. 91–92. Zob. też Mycielski, *op. cit.*, s. 288–289.

¹⁷ Lipiński, *op. cit.*, s. 31.

waniem studentów¹⁸. Ale wiosną i latem 1826 na uniwersytecie pojawiły się i inne obawy o przyszłe funkcjonowanie uczelni. Komisja rządowa nie pozwoliła na przeprowadzenie w tym roku wyborów rektorskich, powierzając dotychczasowemu rektorowi dalsze pełnienie obowiązków. Tymoteusz Lipiński, opisując w dzienniku posiedzenie, na którym Brodziński wygłosił swoją mowę, zanotował: „Słysząc bardzo, iż od wakacji mają zajść zmiany jakoweś w uniwersytecie, że rektorem ma być Szaniawski, radca stanu przez komisję postanowiony itd.”¹⁹. A można się było spodziewać gorszego scenariusza – pozostawienie Szweykowskiego na stanowisku rektora mogło oznaczać, że uczelnia nie tyle będzie reformowana, ile zostanie zlikwidowana przez podział na kilka szkół specjalistycznych²⁰.

Atmosfera niepewności i zagrożenia wyjaśnia, dlaczego mowa Brodzińskiego znalazła się w programie posiedzenia publicznego na koniec roku. Zgodnie z przepisami uniwersytet miał dwa posiedzenia publiczne. Pierwsze odbywało się na początku roku akademickiego i upamiętniało założenie uczelni. Zaczynało się od sprawozdania rektora z poprzedniego roku akademickiego, a następnie odczytywano rozprawy naukowe. Drugie posiedzenie odbywało się na koniec roku akademickiego i miało za cel „uczczenie pamiętki uczonych mężów, a mianowicie Polaków”. Przedstawiano na nim biografie uczonych, zarówno tych z odległych czasów, jak i tych niedawno zmarłych, oraz różne rozprawy naukowe²¹. Bardziej logiczne wydawałoby się wygłoszenie mowy Brodzińskiego na inauguracji roku akademickiego – była wszak skierowana w naturalny sposób przede wszystkim do studentów rozpoczynających studia. Najwyraźniej jednak władze uniwersytetu uznały, że sytuacja wymaga szybkiej reakcji. Zresztą był już precedens – w lipcu 1819 właśnie na posiedzeniu kończącym rok akademicki minister oświecenia Stanisław Kostka Potocki miał wystąpienie adresowane do studentów, w którym prosił ich o zrozumienie dla polityki rządu i o spokojne zachowanie. I w tym przypadku była to bezpośrednia odpowiedź na opozycyjne wystąpienia studenckie²².

Józef Bieliński, autor monumentalnej historii uniwersytetu do 1831 roku (wydanej w latach 1907–1913), oceniał mowę Brodzińskiego raczej jednoznacznie. Uważał, że Brodziński nie tylko poparł działania kuratorii, ale także starał się ją „do energii pobudzić” w momencie wewnętrznego kryzysu tej instytucji. W mowie Bieliński dostrzegł próbę przekonania studentów i ich rodziców, że „wszelkie rozporządzenia władzy szkolnej dążą do zapewnienia młodzieży w przyszłości szczęścia”. Inicjatywę Brodzińskiego postrzegał jako nieskuteczną. „Zapewne władza dozorcza wdzięczna była profesorowi za takie podtrzymanie jej autorytetu; mimo to ani kredyt Dozoru nie powiększył się, ani też młodzież nie przeniknęła się tą myślą, że Dozór tylko dla jej dobra istnieje”²³. Ale w innym miejscu swojego obszernego

¹⁸ Zob. raport policji tajnej z 6/18 IV 1826. Archiwum Główne Akt Dawnych: Policja Tajna Wielkiego Księcia Konstantego, sygn. 72, s. 25.

¹⁹ Lipiński, *op. cit.*, s. 39.

²⁰ Zob. Bieliński, *op. cit.*, t. 3, s. 825.

²¹ Zob. *Tymczasowe urządzenie wewnętrzne Uniwersytetu Królewsko-Warszawskiego*, s. 187.

²² Zob. Mycielski, *op. cit.*, s. 261–262.

²³ Bieliński, *op. cit.*, t. 1, s. 193–194.

dzieła Bieliński twierdził, że Brodziński „mimo woli poparł dążenia ówczesnej reakcyjnej magistratury”. Uważał też, że:

radę i wskazówki pana radcy Szaniawskiego i jego kliki, w duchu reakcji poczęte i licznymi rozporządzeniami upowszechniane, znajduwały w przemówieniu Brodzińskiego pewne uzasadnienie i sankcję. Lecz na tym tylko polegało ich podobieństwo; głęboka natomiast przepaść dzieliła poglądy pedagogiczne Brodzińskiego i komisji oświecenia²⁴.

Bieliński, tak jak inni badacze piszący o tej mowie, nie dostrzegł jednej sprawy. Otóż wymieniając obowiązki młodzieży akademickiej i dotyczące jej przepisy, Brodziński demonstracyjnie nie zauważał całego systemu nadzoru nad młodzieżą wprowadzanego od początku lat dwudziestych. Niewątpliwie aula była obstawiona inspektorami i podinspektorami czuwającymi nad zachowaniem studentów. Ale mówca nie wspominał ani słowem o kuratorii i jej inspektorach, o obowiązku noszenia mundurów, o przymusie praktyk religijnych itp. Było to zresztą zgodne z polityką władz uczelni. Rektor w swoich sprawozdaniach o stanie uniwersytetu wygłaszanych na rozpoczęcie roku akademickiego raz poinformował o powołaniu kuratorii (w 1823 roku)²⁵, a w następnych latach nic nie mówił o tej instytucji i o przepisach dyscyplinujących studentów. Rektorskie sprawozdania kończyły się rozważaniami o konieczności szanowania przepisów akademickich, ale, tak jak w mowie Brodzińskiego, były to bardzo ogólne refleksje. W gruncie rzeczy w uniwersyteckich wystąpieniach publicznych podtrzymywano fikcję trwania sytuacji sprzed zmian wprowadzonych przez Grabowskiego i Szaniawskiego. Było to tym bardziej ostentacyjne w wystąpieniu Brodzińskiego, które w samym tytule miało słowo „obowiązki”.

Jeden fragment mowy zdaje się przeczyć takiej interpretacji – ten, w którym Brodziński wyraża się z aprobatą o zakazie „schadzek”, czyli tworzenia stowarzyszeń studenckich i odbywania zebrań bez zgody rektora. Trzeba jednak zauważyć, że ów zakaz został wydany przez władze uniwersyteckie w 1819 roku, a więc kilka lat przed powstaniem kuratorii²⁶. Jeśli Brodziński go przywoływał, to zapewne dla pokazania, że rektor i Rada Ogólna mogą sami sobie poradzić z dyscyplinowaniem studentów. Wymienienie tego akurat postanowienia, przy milczeniu o wszystkich późniejszych, jest kolejnym przejawem demonstracyjnego niedostrzegania kuratorii i rygorów dyscyplinarnych przez nią narzucanych.

Ogólne pouczenia Brodzińskiego dotyczące „obowiązków” były również dalekie od oficjalnej polityki dyscyplinowania studentów. Działania kuratorii studenci odbierali jako degradujące ich do statusu uczniów szkół średnich i jako zanegowanie ich dorosłości – tak traktowano obowiązek noszenia mundurów, przymus praktyk religijnych i inne formy kontroli. Podobnie widzieli to profesorowie. W samych początkach rządów Grabowskiego władze uniwersyteckie sprzeciwiły się jego poleceniu kontrolowania obecności studentów na wykładach, argumentując następująco:

²⁴ *Ibidem*, t. 3, s. 449–450.

²⁵ Zob. W. Szwejkowski, *Sprawa o stanie Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu z roku 1822/23. W zb.: Posiedzenie publiczne Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu na pamiątkę założenia jego przy rozpoczęciu nowego kursu nauk odbyte dnia 18 września 1823 roku*. Warszawa, b. r., s. 9.

²⁶ Zob. Bieliński, *op. cit.*, t. 1, s. 260–261.

młodzież dojrzała nie może być szkolnym sposobem strzeżona i doglądana, lecz w tym wieku powinna się sama doświadczać i dozorować [...]. Jeżeli w 18-tym, 20-tym roku młodzianowi ma być potrzebny dozorca i pilny stróż jego kroków, taki nie obejdzie się bez niego i w dalszym wieku²⁷.

Tak jest też w mowie Brodzińskiego. Bardzo silnie podkreśla on różnice między nauką w szkole średniej a studiami uniwersyteckimi. W jego mowie studenci są ukazani jako ludzie dojrzały, odpowiedzialni za swoje decyzje edukacyjne i zdolni do przewidywania skutków tych decyzji. „Akademik jest na wstępie rządzenia się samym sobą” (B 40). Rygory uniwersyteckie są przedstawiane jako zetknięcie się z twardymi regułami dorosłego życia. Chodziło tu nie tyle o wychowanie, ile o wdrożenie w dorosłe życie, w obowiązki zawodowe i obywatelskie. Konsekwentne egzekwowanie przepisów uniwersyteckich wynikało w tym ujęciu właśnie z tej „dorosłej” relacji z instytucją, a nie z konieczności poskramiania niesfornej, nieuformowanej młodzieży i narzucania jej szkolnej dyscypliny. Taka była ogólna konwencja mowy – towarzyszenie młodym ludziom w ich drodze do dorosłości.

Alina Witkowska postrzegała mowę przede wszystkim jako próbę wpłynięcia na postawy studentów po wydarzeniach pierwszej połowy 1826 roku:

Pozornie Brodzińskiego nie interesują realia historyczne. Zdawałoby się, że po prostu kreśli normatywny wzór studenta, wylicza naukowe obowiązki słuchacza uniwersytetu, wyjaśnia technikę pracy naukowej, wskazuje na wagę i znaczenie lat spędzonych w salach wykładowych. [...] Wszakże okoliczności historyczne każą widzieć ów idealny model studenta jako opozycyjny i polemiczny wobec czegoś, o czym się nie mówi, ale co było równie dobrze znane wygłaszającemu przemówienie, jak jego młodym słuchaczom. To negatywny wzorzec studenta rozpolitykowanego, pełnego zapalów opozycyjnych, skłonnego do manifestowania swoich niechęci. Z tym to widmem akademika, krążącym od pewnego czasu nad uniwersytetem, walczy Brodziński, pragnąc przywrócić wszelkie powaby podstawowym, naukowym i moralnym obowiązkom studenta²⁸.

Witkowska uważała, że władze uniwersytetu, w tym Brodziński, były dotknięte „nerwicą strachu o przyszłość uczelni” i skłonne do daleko idących kompromisów, aby zapobiec jej likwidacji²⁹. Mowę widziała jako część narastającego konfliktu Brodzińskiego z romantyczną młodzieżą. Konfliktu, który – jak wiadomo – osiągnął kulminację w polemice wokół wydanych w 1830 roku *Pism rozmaitych* poety, a zwłaszcza zawartej w nich rozprawy *O egzaltacji i entuzjazmie*.

Jest to zasadniczo uprawniona interpretacja – rzeczywiście Szweykowski i Brodziński bali się zaangażowania politycznego studentów i na pewno chcieli ich skłonić do poważnego zajmowania się nauką. Wydaje się jednak, że przyglądanie się poglądom Brodzińskiego w kontekście jego sporów z romantykami daje dość jednostronny obraz. Rzeczywistość ideowa lat dwudziestych była bardziej złożona. Lokując mowę w kontekście narastających obaw Brodzińskiego związanych z egzaltacją romantycznej młodzieży, nie trzeba zapominać, że środowisko uniwersyteckie miało od kilku lat do czynienia z inną „egzaltacją” – z koncepcjami wprowadzanymi w życie przez władze oświatowe, przede wszystkim przez Szaniawskiego. Był to program edukacyjny oparty na założeniu, że niewłaściwe kształcenie musi doprowadzić do rewolucyjnych wstrząsów. Ten lęk przed destabilizacją społecznego

²⁷ *Ibidem*, s. 144. Zob też Mycielski, *op. cit.*, s. 279–281.

²⁸ Witkowska, *op. cit.*, s. 279–280.

²⁹ *Ibidem*, s. 276, 278.

i politycznego porządku prowadził do ograniczenia roli przedmiotów humanistycznych w edukacji i do oparcia całego kształcenia na podstawach religijnych. Inspiracją były tu pisma francuskich konserwatystów; wzorów konkretnych rozwiązań poszukiwano raczej w Austrii. Sam Szaniawski był postrzegany jako doktryner czy wręcz maniak. „Jedyny może i pamiętny przykład aberracji tak potężnego umysłu!” – oceniał Maurycy Mochnacki³⁰. A Niemcewicz w powieści z lat dwudziestych opisywał przewidywany koniec Szaniawskiego – podpalenie własnej biblioteki w napadzie „bibliofobii” i śmierć „w konwulsjach najwściekłego szaleństwa”³¹. Tak patrzyły na Szaniawskiego warszawskie elity. Warto jednak zauważyć, że był on przedstawicielem nurtu kontroświeceniowego, silnego wśród duchowieństwa, ale mogącego liczyć na oddźwięk w różnych środowiskach. Zwolennikom tego nurtu poglądy Szaniawskiego nie wydawały się już tak osobliwe³².

W celu zrozumienia tego kontekstu mowy Brodzińskiego trzeba się odwołać do wcześniejszego o kilka lat wystąpienia Szaniawskiego. W lipcu 1823 w Pałacu Kazimierzowskim odbyła się uroczysta „instalacja” kierującego kuratorią senatora Dawida Oeschelwitza. Najobszerniejsze wystąpienie miał Szaniawski³³. Wygłoszone do profesorów, studentów uniwersytetu i uczniów szkół średnich, było przedstawieniem nie tyle przyszłych działań „dozoru szkolnego”, ile całej polityki edukacyjnej³⁴. Mówca sceptycznie wypowiadał się o kształceniu w starożytności, roztaczał wizję prawdziwej edukacji, która nastąpiła wraz z chrześcijaństwem, by przejść do dramatycznego opisu jej upadku na skutek uroszczeń rozumu. Dla Szaniawskiego oświeceniowy model kształcenia był niebezpieczny jako prowadzący prosto do rewolucji. Zerwanie ścisłego związku edukacji z religią musiało, jego zdaniem, doprowadzić do dezintegracji osobowości, a przede wszystkim do entropii społecznej.

Rozum zostawiony własnym nieudolnym siłom, miotany wszechstronnymi popędami przemagających chuci, zwaśniony wewnątrznie, albo raczej zdziczały zjadł ich walką, domierza nareszcie ostatniego kresu szaleństwa, stawiając się w oplakany stan rokoszu względem Boga, a następnie (konieczną dalszych skutków kolejną) w stanie rokoszu względem wszelkich prawd wyższych, względem wszelkiej władzy, względem wszelkiego rodzaju wyższości, względem wszelkich w towarzyskim porządku ustaw i legalnych stosunków, które szanować był winien. [S 9]

³⁰ M. Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831*. Oprac. S. Kieniewicz. T. 1. Warszawa 1984, s. 169.

³¹ J. U. Niemcewicz, *Władysław Bojomir*. Oprac., wstęp I. Rusinowa, A. Czaja. Kielce 2009, s. 195–198. Brodziński, jak większość intelektualistów, nienawidził Szaniawskiego jako cenzora. W datowanych 26 I 1826 uwagach do planu powieści K. Tańskiej *Jan Kochanowski w Czarnolesie* (w: K. Brodziński, *Pisma estetyczno-krytyczne*. Oprac. A. Łucki. T. 2. Warszawa 1934, s. 295) pisał: „nas bowiem [Szaniawski] ze wszystkiego by obdarł, ten nożyczkowy rycerz, obcinacz wąsów, celnik Chrystusowy”.

³² Zob. M. Deszczyńska, *Polskie kontroświecenie*. Warszawa 2011.

³³ *Mowa radcy stanu Szaniawskiego, dyrektora jeneralnego wychowania publicznego*. W zb.: *Mowy przy instalacji kuratora jeneralnego instytutów naukowych w Królestwie Polskim na dniu 19 lipca 1823 roku odbytej*. B. m. r., s. 5–38 (do mowy tej odsyłam za pomocą skrótu S, po którym podaję numer stronicy).

³⁴ Mowa Szaniawskiego stanowiła skróconą wersję obszerniejszej rozprawy *Uwagi względem wychowania i nauk* (w zb.: *Płockie rękopisy Józefa Kalasantego Szaniawskiego*. Oprac. T. Kozanecki. „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej” t. 7 (1961), s. 284–290). Rozprawa pozostała w rękopisie.

Religia znajdowała się w centrum rozważań Szaniawskiego. Edukacja nie tylko nie powinna podważać prawd religijnych, ale niezależnie od dziedziny musi prowadzić do Boga, ma służyć „do wpajania uczuć bogobojności, do wkorzenia przeświadczeń religijnych i cnót chrześcijańskich” (S 10). Jednym z celów edukacji jest uświadomienie uczniom, że rozum powinien się ukorzyć przed Bogiem. Jeżeli następuje rozbrat religii i edukacji, ta druga staje się jałowa i podatna na „zgubne obłąkania” (S 13). Szaniawski jako dziedziny niebezpieczne, łatwo emancypujące się spod wpływu religii wymieniał historię, filozofię, etykę, literaturę, prawo i „polityczno-administracyjne umiejętności” oraz – co trochę zaskakuje – fizykę. Filozofia, nie mając „żadnej pierwotnej podstawy”, może łatwo sprowadzić młodego człowieka na manowce. Tak jak przedstawia się obecnie, prowadzi raczej do pychy niż do chrześcijańskiej pokory. „Nie będzie wskazywać uczniowi owej nieprzestępnej granicy, u której ustaje władza pewniejszych dociekań jego, a wschodzi konieczność żywej wiary razem z potrzebą wyższego światła prawd objawionych” (S 15). Historia jest niebezpieczna, gdy rezygnuje z szukania wpływu Opatrzności na dzieje. Groźne jest też czerpanie politycznych inspiracji z antyku bez zrozumienia różnic między światem starożytnym a współczesnym. Nowsza historia jest właściwie z definicji stronnicza, a piszący o niej historycy są nierzadko rzecznikami „bezbożnych i rewolucyjnych maksym” (S 14). Literatura to sztuka „zniewolenia serc i umysłów”. Powinna głosić chwałę Bożą, ale w rzeczywistości „nader rzadko pomagać zwykła sprawie religii, moralności, towarzyskiego porządku i gruntownej prawdy”. Źle nauczana literatura demoralizuje młodzież, powodując „lekkomyślność względem najdelikatniejszych materii, małoważenie wszelkiej nad poziomą zmysłowość wznoszącej się nauki, upajające zadowalnianie się czczym dźwiękiem trafnie szykowanych wyrazów, a razem także i ową z ubarwioną powierzchownością łączącą się zarożumiałość, przed którą znika wszelkie gruntowne dążenie w umiejętnym poznawaniu rzeczy i w pracowitym rozbiorowym dochodzeniu prawdy” (S 19–20). Z kolei nauki prawne, polityczne i administracyjne, jeśli oderwą się od zasad sankcjonowanych przez religię i od doświadczeń przeszłości, muszą „po większej części błąkać się pomiędzy martwymi abstrakcjami”, takimi jak teoria umowy społecznej. Oznacza to traktowanie od dawna istniejących społeczeństw, „jak gdyby były nowo zakładającymi się dopiero koloniami” (S 18). Nawet fizyka, „jeśli dawana jest pod wpływem ducha obcego religijnym przeświadczeniom”, może źle wpływać na religijność młodzieży (S 14–15).

Wystąpienie Szaniawskiego na „instalacji” kuratora generalnego zawierało w syntetycznej formie to, z czym władze uniwersyteckie miały na co dzień do czynienia w postaci szczegółowych decyzji, wskazówek czy pretensji władz edukacyjnych. Czy możemy uznać, że mowa *O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej* Brodzińskiego to polemika z wystąpieniem Szaniawskiego? Te dwie mowy są w dużym stopniu paralelne, poruszają te same problemy (choć rozważania Brodzińskiego są znacznie obszerniejsze). Dotyczy to zwłaszcza części, gdzie obaj mówcy analizują kolejne dziedziny nauki, pokazując, jak ich zgłębianie wpływa na moralność studentów. Trudno wszakże o jednoznaczne dowody, że Brodziński bezpośrednio dyskutował z tym tekstem. Natomiast na pewno polemizował z polityką edukacyjną komisji rządowej.

Spór z koncepcjami Szaniawskiego dotyczył przede wszystkim roli teorii i „nauk

w ogóle kształcących”, do których Brodziński zaliczał filozofię, nauki przyrodnicze, matematykę, historię i literaturę.

Nauczanie uniwersyteckie, mówił Brodziński, jest różne od szkolnego – w szkole uzyskuje się pewien zasób wiadomości, na uczelni przede wszystkim przygotowanie teoretyczne. Młody człowiek przybywa na uniwersytet, „ażeby wiadomości ogólne uzupełnił i one sobie jako zasady przyswoił” (B 20). Nabywanie umiejętności czysto profesjonalnych powinno następować po opanowaniu podstaw teoretycznych. Ale nabycie „zasad w obranych naukach” to tylko jeden, zresztą chyba nie najważniejszy cel studiowania. Najistotniejsza jest teoria w znaczeniu umiejętności ogólnego myślenia, „nabycie w ogólności zasad gruntownego myślenia i postępowania” (B 21). Ważne, „abyśmy odpowiadając powołaniu gruntownie oświeconych, kształcili się najprzód jako ludzie myślący i działający według zasad, i w tym dopiero ukształceniu nabywali obranej umiejętności” (B 22). Rozumowanie i działanie zgodnie z zasadami oznacza samodzielność w myśleniu – Brodziński nazywa to „myśleniem przez się”; o filozofii mówi, że „nas uczy samych przez się postrzegać i sądzić” (B 29, 38).

Na temat przejścia ze szkoły średniej do uniwersytetu Brodziński pisze:

W szkole wojewódzkiej, czyli w gimnazjum, rozwija w sobie młodzieniec dary natury i nabywa wiadomości danych (*cognitiones ex datis*), nabywa ich historycznie. W uniwersytecie dopiero rozwinięte już dary natury i wiadomości dane uzupełnia przez przyswojenie sobie nauk i umiejętności zasadnych (*cognitiones ex principis*). [B 20–21]

Jest to odwołanie do *Krytyki czystego rozumu* Immanuela Kanta, gdzie takie właśnie rozróżnienie pojawia się w kontekście studiowania filozofii. Kant negatywnie oceniał „historyczne” uczenie się, czyli pamięciowe opanowanie gotowego już systemu, i przeciwstawiał je prawdziwemu filozofowaniu. Brodziński używał tego rozróżnienia do opisu kolejnych etapów edukacji, ale uznawał, że dopiero ten drugi (*ex principis*) jest etapem umysłowej dojrzałości. Brał od Kanta podstawowe założenia dotyczące teorii poznania, a w szczególności tzw. sądów syntetycznych *a priori*. Chodzi o założenie, że poznanie naukowe dokonuje się dzięki istniejącym w rozumie zasadom i kategoriom, które nadają formę informacjom pochodzącym ze zmysłów. Jedynie dzięki tym apriorycznym zasadom i kategoriom dane wywodzące się z poznawania rzeczywistości (np. z eksperymentu naukowego) mogą uzyskać walor syntetyczny, powszechny. Tak jak u Kanta, oczywistym przykładem myślenia „według zasad” były u Brodzińskiego matematyka i przyrodznawstwo.

Natura tylko odgadywać się każe, bo w danych szczegółach każe szukać ogólnych prawideł i wzajem przez prawidła ogólne śledzenie szczegółów ułatwia. Daremnie się jej naucza, kto ją tylko historycznie w szczegółach odrębnych pojmuje – przegląda on tylko drukarskie litery, ale nie dzieło. [B 31]

Myślenie „według zasad” dotyczy jednak wszystkich nauk – do tych apriorycznych zasad należy też np. dobry smak literacki.

Nacisk na „nauki i umiejętności zasadne” powraca w całej mowie Brodzińskiego, głównie w zaleceniach dotyczących nabywania i utrwalania wiedzy. Dłuższe rozważania o tym, jak należy słuchać wykładów, robić z nich notatki i przygotowywać się do egzaminów, rozpoczynają się zdaniem: „W prelekcjach uniwersyteckich nie tak idzie o nabycie znajomości tej lub owej nauki, jak o sposób onej obje-

cia” (B 42). I konsekwentnie Brodziński zniechęca do mechanicznego notowania i zapamiętywania prelekcji, pokazując, jak można samodzielnie przyswajać sobie materiał z wykładów i uzupełniających lektur. Podobny sens miały rozważania o czytaniu dzieł naukowych, dyskusjach z innymi studentami, pisaniu tekstów i tłumaczeniu klasycznej literatury. Takie spojrzenie na dydaktykę uniwersytecką przesunęło akcent na ogólne kompetencje intelektualne studentów.

Zasady, o których mówi Brodziński, to również zasady moralne. Na uniwersytet przychodzimy, aby się w nich ugruntować przez ogólną refleksję i aby zmienić nasze skłonności moralne „w charakter i wolę” (B 21). Tu również mamy schemat wzięty od Kanta, u którego odpowiednikiem apriorycznych praw w poznaniu naukowym jest w etyce prawo moralne, czyli dobra wola, realizująca się w spełnianiu obowiązków. To właśnie nauki ogólne dają umiejętność życia i formują postawy etyczne. Prowadzą one „do zapatrywania się z wyższego stanowiska na życie, nauki, obowiązki i przyszłe zatrudnienia nasze” (B 38). Z kolei obojętność wobec nauk ogólnych, poprzestawanie na specjalistycznym wykształceniu usypia władze moralne człowieka i prowadzi do amoralizmu. Teoria ma tu wyraźny aspekt etyczny. Dostrzeżenie własnych ograniczeń i zrozumienie swojej relacji z Bogiem i z ludźmi jest efektem przyswojenia sobie myślenia ogólnego, teoretycznego, a nie poskromienia takiego myślenia. Lęk przed teorią wynika natomiast z defektu osobowości – z wewnętrznego pęknięcia, które nie pozwala na uzyskanie harmonii.

Ujęcie problemu teorii w kształceniu uniwersyteckim miało autorski charakter, wynikało z lektur Brodzińskiego, ale sam problem był ważny dla całej profesury warszawskiego uniwersytetu. Nacisk na kształcenie ogólne i na przedmioty teoretyczne wpisany był w tworzenie się uczelni, wiązał się z koniecznością walki z mocno zakorzenionymi przekonaniami: negowaniem potrzeby teorii w nauczaniu prawa, szerszej wiedzy medycznej w kształceniu chirurgów czy przedmiotów matematycznych w przygotowaniu przyszłych architektów i budowniczych. Walka o edukację opartą na teorii powodowała też niechęć profesury do nadawania stopni akademickich malarzom czy rzeźbiarzom; z tych powodów uniwersytet nie zgodził się na włączenie do struktury uczelni konserwatorium muzycznego, uznając je za „szkołę praktyczną” (ale zaakceptował wykłady z teorii kompozycji muzycznej)³⁵. Wydaje się, że właśnie aspekt teoretyczny w kształceniu wyznaczał dla profesury uczelni granice dydaktyki typu uniwersyteckiego.

W rozwinięciu tych generalnych uwag o roli teorii Brodziński omawia poszczególne „nauki w ogóle kształcące”.

Brodziński, podobnie jak Szaniawski, uważał, że filozofia łatwo schodzi na manowce. Jak pisałem, stosunek Brodzińskiego do owej nauki był mocno ambiwalentny, niechętny filozofii spekulatywnej i oderwanej od życia³⁶. Również i w tej mowie autor wskazuje, że filozofia może popaść w materializm i skrajny racjonalizm albo stać się ofiarą „obłędnej imaginacji”. Tym, co może ją ochronić przed takimi skrajnościami, jest z jednej strony religia, z drugiej – nauki przyrodnicze.

³⁵ Zob. Mycielski, *op. cit.*, s. 58, 160, 165–167, 208, 218–219, 224–227.

³⁶ Zob. A. Siomkajłówna, *O filozofii epigramatów Kazimierza Brodzińskiego*. „Pamiętnik Literacki” 1973, z. 4. – I. Bittner, *Brodziński – historiozof*. Wrocław 1981, s. 17–27.

Przy tych Boskich pomocach widzimy w filozofii prawdziwe pośrednictwo między nami a światem, między rozumem a czuciem i wtenczas tylko umiemy pokornie się wznosić i wzniośle upokarzać. Jak niebo i ziemia na życie ludzkie wpływają, tak filozofia zarówno być powinna celem moralnych i fizycznych nauk. Biada, gdzie jest tylko sługa potrzeb i zbytków zmysłowych albo tylko narzędziem lub igraszką umysłowych zamarzeń. W obydwu razach rozum zanadto zakocha się w sobie, ażeby słuchał głosu natury i doświadczenia. [B 30]

Właściwie rozumiana filozofia jest jednak najważniejszą z nauk ogólnych i jest ich „ogniskiem”, łączy uzyskane przez nie prawdy o świecie (B 29).

Warto zauważyć, że to, co Brodziński pisał o uniwersyteckim nauczaniu filozofii, miało silny kontekst bieżący. Otóż dwa lata przed wygłoszeniem mowy *O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej* nastąpiła zasadnicza zmiana w nauczaniu tego przedmiotu na uniwersytecie. Wraz z objęciem stanowiska profesora filozofii przez Krystyna Lacha-Szyrmę komisja rządowa wydała postanowienie, że wykład filozofii będzie się odbywał po łacinie. Po roku takiego wykładania sam Szyрма, a za nim Rada Ogólna uniwersytetu prosili komisję o cofnięcie tej decyzji, wskazując, że nie da się przedstawić współczesnej filozofii w języku łacińskim, a studenci nie znają tego języka w stopniu pozwalającym na zrozumienie wykładu. Co więcej, zwracano uwagę, że studenci mogą interpretować mało zrozumiałe treści w duchu nieprawomyślnym. Nic jednak te protesty nie dały. Wykład z filozofii był obowiązkowy dla zdecydowanej większości studentów uniwersytetu, centralna pozycja tego przedmiotu zwiększała wagę postanowienia komisji rządowej³⁷. Postanowienia, którego ewidentnym celem było pomniejszenie roli filozofii w dydaktyce akademickiej.

Brodziński, podobnie jak Szaniawski, uważał, że przekazy dawnych historyków wymagają krytycyzmu; czytelnik musi być „sędzią historyka i ludzi”. Historia to dzieje postępu ludzkości, ale żeby to odczytać, trzeba zrozumieć rolę Opatrzności w dziejach. Więcej było tu jednak oświeceniowego optymizmu:

na tej ziemi trwa zawsze odporna walka dobrego naprzeciw złemu, że to złe jest obcą, zaczepną stroną, które czasem częściowe zwycięstwa odnosi, lecz w ogóle się cofa; po wtóre, że tą walką kieruje zawsze ręka Opatrzności, której dobrzy są pomocnikami, a zli najczęściej ślepym narzędziem; że żaden czyn dobry nie ginie, lecz żyje i rozmnaża owoce; że gdy ludzie błędzą, słabieją i nikną, ludzkość się doskonali i żyje. [B 34]

Autor mowy podkreślał też, że bardzo ważną częścią historii są dzieje kultury, a także nauki.

Brodziński żywił przekonanie, że nauczanie literatury na uniwersytecie nie ma na celu kształcenia przyszłych pisarzy. Głównym celem jest wyrabianie dobrego smaku. A dobry smak to tak naprawdę sztuka równoważenia rozumu i uczuć, „uczy we wszystkim przyzwoitości i miary” (B 36). Jest więc, dopowiedzmy, tak jak właściwie pojmowana filozofia, warunkiem ukształtowania się prawdziwego obywatela. Dlatego także studenci nauk ścisłych powinni mieć zajęcia z literatury; podobnie zresztą jak ci z kierunków humanistycznych powinni uzupełnić swoje studia naukami ścisłymi. Z całości wywodów Brodzińskiego wynika bowiem, że wykształcenie tylko techniczne jest bardzo niekompletne i nie uformuje wzorowego obywatela.

³⁷ Zob. Bieliński, *op. cit.*, t. 3, s. 79–83.

Wydaje się, że odnosiło się to do innego aspektu polityki Szaniawskiego – mianowicie do faworyzowania nauk ścisłych i technicznych. Najważniejsze było tu tworzenie Instytutu Politechnicznego, do którego władze uniwersyteckie odnosiły się sceptycznie³⁸. W mowie Brodziński mówi o tym instytucie, że „razem jest szkołą główną przemysłu i rolnictwa oraz szkołą praktyczną dla ugruntowanych przez uniwersytet w teorii” (B 17). Takie ułożenie instytutu wobec uniwersytetu było jednak bardziej życzeniem władz uniwersyteckich niż zamiarem komisji rządowej.

Jak Brodziński widział miejsce religii w edukacji? Przede wszystkim odrzucał myślenie o religii, która powinna limitować rozum. „Jest ona [tj. religia] – przeciwnie – graniczeniem z Najwyższą Istotą jako części z całością, do której czucie, rozum i wola nasza zmierzać są przeznaczone”. Religia sprzyja rozumowemu poznaniu świata; Brodziński mówi o Chrystusie, że „rozumowi przyszedł w pomoc na jego granicy”. Wiara jest tu „miękka”, opiera się na osobistym zwróceniu się człowieka w radości, smutku, szukaniu pociechy do Najwyższej Istoty, „którą opiekuńczo zewsząd jest ograniczony” (B 23–24). Właściwa relacja z Bogiem wymaga równowagi między uczuciami a rozumem.

Najwyższą Istotę [...] pojmuje człowiek czuciem, śledzi rozumem, a w działaniu, jako wynikłości rozumu i czucia, pragnie ku Niej się zbliżyć. Zgodne tylko ku temu celowi dążenie uczuć i rozumu jest ostatecznym dla działań naszych zadaniem. Gdy te władze rozdzielone zostaną, nigdy granic swoich nie znajdą i zaślepione zawsze przekraczać je będą. Błogie uczucia wyrodzą się wtedy w namiętność, rozum w dumę, który nimi kierowany upornie mniema, że widzi, że sam prosto idzie do celu. [B 23]

Dalej pisze Brodziński, że jedynie rozum uznający ograniczenia wynikające z religii ma kontrolę nad uczuciami. „Rozum tylko jako sługa religii panem namiętności być może” (B 26). Brodziński wskazuje dwa elementy dydaktyki uniwersyteckiej, których zadanie polega właśnie na pogodzeniu rozumu i uczucia. Pierwszy to filozofia. Jeśli uprawia się ją w duchu religijnym, a zarazem jest ona otwarta na nauki przyrodnicze, daje „prawdziwe pośrednictwo między nami a światem, między rozumem a czuciem” (B 30). Drugi to nauka dobrego smaku: „Nauka piękności i smaku połączą zawsze wzajemną szkodą z sobą walczące czucie i rozum, uczy we wszystkim przyzwoitości i miary, a ogólnym zadaniem śmiertelnych nie jest najwyższosc, lecz środek” (B 36).

Ale nie każdy może łatwo uzyskać taką harmonię rozumu i uczuć:

Jeżeli tylu mędrców (lub mianych za takowych), śledziwszy samym tylko rozumem przeznaczenie wszystkiego, rychlej czy później na łono religii wracają, my, idąc za wrodzoną skłonnością i korzystając z doświadczenia, z nią zaczynamy, z nią żyjemy. Niech się rozum nasz nie błąka tak, by później po rozgrzeszeniu tylko do niej przychodził, ale niech pod jej błogosławieństwem szuka prawd użytecznych, niech używa drogiego daru rozumu, który nią kierowany tyle godności i szczęściu doczesnemu odpowiada. Jak zaślepieni rozumem, tak i ci, którymi zmysłowość i namiętności miały, wracają na łono religii jak marnotrawni synowie do macierzystego ogniska. Przyjmuje ich ona, kocha i cieszy jak matka, ale w nich samych nie ma-ż już rysów owej dziecinnej, niczym niezakłóconej miłości, rzewne łzy leją, ale już to nie są łzy rozkoszy, bo w pojednaniu, chociażby z ludźmi tylko obrażonymi, obok słodczy zawsze coś gorzkiego zostaje. Ona nie mówi nikomu „Niewdzięczny”, ale serce nasze nie przestaje tak mówić. Co gorsza, ludzie namiętnościami zużyci, w żadnych nadziejach świata zdradzeni, i Boga jeszcze

³⁸ Zob. Mycielski, *op. cit.*, s. 92–94.

samego namiętnie jeszcze kochają, nie widać w nich ducha pobłażania, rzewnego czucia, pogodnej rezygnacji i harmonii wszystkich władz duszy Boga dla Boga kochającej. [B 24–25]

Mamy więc wizerunek człowieka pękniętego, nie mogącego wrócić do harmonii ze światem i samym sobą, człowieka, który przez swoje ambicje i złudzenia sam się wygnał ze świata naturalnych uczuć oraz relacji z innymi ludźmi i Bogiem. A także obraz religii czekającej na marnotrawnego syna, przyjmującej go z otwartymi ramionami, ale nie mogącej już odwrócić skutków wewnętrznego chaosu wywołanego przez współczesną cywilizację. I postać człowieka rozczerowanego światem pozorów, ale w poszukiwaniu harmonii wpadającego w równie nienaturalne zachowania. Jeśli ktoś nie jest zdolny do uzyskania harmonii, to jest to efekt wewnętrznego pęknięcia wynikającego z biografii. Można sądzić, że krytykowany „mędrca” wracający do chrześcijaństwa to osoby, których dojrzewanie umysłowe i moralne nie przebiegło we właściwym porządku.

Ciekawy to fragment z dwóch powodów. Po pierwsze, przez widoczne analogie z innymi pismami Brodzińskiego. Mam tu na myśli zwłaszcza wspomnianą już rozprawę *O egzaltacji i entuzjazmie* (1830), przynoszącą całą galerię portretów ludzi biorących rozbrat z rzeczywistością – właśnie ofiar nierównowagi między rozumem a uczuciem³⁹. Tyle że „egzaltanci”, „zagorzalcy”, „zapaleńcy” i inni opisani w tej rozprawie to statyczne, uformowane osobowości, natomiast mowa *O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej* pokazuje, jak takie osobowości się kształtują (dotyczy to oczywiście nie tylko cytowanego fragmentu, lecz również całego tekstu).

Ale jest tu i druga warstwa – portret mniemanych mędrców, dawniej błakających się po manowcach racjonalizmu, teraz zaś fanatycznych w swojej religijności, wydaje się czytelną aluzją do osób kierujących edukacją, a przede wszystkim do Szaniawskiego. Powszechnie znana była radykalna ewolucja poglądów tego republikanina, wielbiciela filozofii Kanta, prowadząca w stronę skrajnego konserwatyzmu o silnym zabarwieniu religijnym. I znane było doktrynerstwo – Szaniawski jawił się jako swego rodzaju konserwatywny jakobin, człowiek, który zmieniając barwy ideowe, pozostał przy dawnym radykalizmie.

Polemika Brodzińskiego z Szaniawskim to zderzenie oświeceniowego optymizmu z bardzo pesymistycznym konserwatyzmem – wizja harmonii wewnętrznej człowieka i spójnego społeczeństwa przeciwstawiona była apokaliptycznemu scenariuszowi destrukcji ładu. Szaniawski w swojej mowie ukazywał świat, który się rozpadł i który może stać się na nowo spójny tylko przez ukorzenie się przed religią. Brodziński odwoływał się do oświeceniowych koncepcji postępu i ładu społecznego. Ale – co ważne – zanegowanie tej wersji konserwatyzmu, którą wyznawał Szaniawski, dokonywało się w dużym stopniu z pozycji religijnych.

W obu mowach – Brodzińskiego i Szaniawskiego – nauczanie uniwersyteckie postrzegane jest z perspektywy formowania się osobowości młodego człowieka, jego przekonań religijnych i etycznych. Obie mowy pokazują sposób, w jaki niewłaściwa edukacja może – czy nawet musi – prowadzić do dramatycznej demoralizacji. Sza-

³⁹ K. Brodziński, *O egzaltacji i entuzjazmie*. W: *Pisma estetyczno-krytyczne*. Oprac., wstęp Z. J. Nowak. Wrocław 1964.

niawski twierdzi, że obowiązkiem rządu jest czuwanie, by edukacja „nie wyradzała się w zgubny niejako nowicjat moralnego skażenia serc i ustalenia przewrotności umysłów” (S 23). Brodziński również widzi zagrożenie, iż edukacja stanie się takim „nowicjatem”. Szaniawski zajmuje się głównie potencjalną demoralizacją młodzieży, a tylko wspomina o skutkach tej demoralizacji w późniejszym życiu. Natomiast Brodziński skupia się na możliwych negatywnych skutkach edukacji uniwersyteckiej, ujawniających się z czasem – w zawodowym i obywatelskim funkcjonowaniu ludzi dorosłych. Akcent przesunięty jest na przyszłe samodzielne życie, a nie na funkcjonowanie w społeczności akademickiej. Brodziński cały czas mówi o pojedynczym studencie, nie zaś o zbiorowości studenckiej. Tytułowa „młodzież” jest tylko kategorią wiekową, pewnym etapem życia; nie pojawia się problem postaw studentów jako grupy, ich specyficznej mentalności i zachowań. Brodziński całkowicie ignoruje wyłonienie się młodzieży akademickiej jako środowiska o odrębnym etosie, jako odrębnego podmiotu politycznego i ideologicznego. A przecież było to zjawisko dobrze już widoczne po wielkim ożywieniu politycznym w warszawskich kręgach studenckich w latach 1819–1821. Brodziński wygłaszał swoją mowę kilka miesięcy po tym, jak młodzież wystąpiła w charakterze sumienia narodu na pogrzebach Staszica i Aleksandra I. Choć zachowanie studentów na uroczystościach żałobnych Aleksandra I było publicznym skandalem i wywołało ostrą reakcję władz, wydaje się, że to pogrzeb Staszica silniej uświadomił elitom, iż studenci stają się odrębnym środowiskiem politycznym. Po latach Kajetan Koźmian wspominał właśnie pogrzeb Staszica (i reakcje studentów na wygłoszone na nim mowy) jako moment, gdy on i jego przyjaciele uświadomili sobie, że młodzież komunikuje się niezrozumiałym dla starszego pokolenia językiem, za pomocą którego „rozumieją się niektóre umysły, co między sobą w jakąś tajemniczą zmwę weszły”⁴⁰.

Nie podejrzewam Brodzińskiego o nieświadomość tego, co działo się w środowisku studenckim. Ma tu rację Witkowska – wskazywanie słuchaczom drogi do dorosłości może być odczytane jako polemika z grupowymi wystąpieniami młodzieży. Było w tej mowie jakby symetryczne ignorowanie kuratorii z jej przepisami z jednej, a zbiorowych akcji studentów z drugiej strony. Niewykluczone zresztą, że Brodziński widział te zjawiska jako sprzężone ze sobą – dla wielu przedstawicieli elity Królestwa zaburzenia studenckie były zjawiskiem sprowokowanym przez represje władz i nadawanie wielkiej wagi zwykłym młodzieńczym wybrykom.

Mówił Brodziński:

Niech więc żaden, wstępując do szkoły głównej, nie sądzi, że przychodzi wprost po pieczęć na prawnika, lekarza, jeometrę itd. Gdyby wychowanie publiczne miało za cel kształcić tylko ludzi do tego lub owego stanu, uniwersytet w ogóle swoim nie byłby potrzebny – dość by było na specjalnych szkołach różnych umiejętności. [B 22]

W innym miejscu stwierdzał, że uniwersytet „podzielony jest na fakultety, z których żaden nie stanowi sam przez się oddzielnej szkoły, lecz wszystkie są tylko oddziałami ściśle z sobą połączonymi” (B 41). Nie poruszamy się tu w sferze rozważań teoretycznych o kształceniu. Jak pisałem, projekt rozbicia uniwersytetu na

⁴⁰ K. Koźmian, *Pamiętniki*. Przedm. A. Kopacz. Wstęp, koment. J. Willaume. Oprac. tekstu M. Kaczmarek, K. Pecold. T. 2. Wrocław 1972, s. 212.

osobne szkoły zawodowe był przygotowywany w Komitecie pracującym nad reformą edukacji. Część z tych szkół (na pewno Wydział Prawa i Administracji) miała być ulokowana poza Warszawą; podobno brano pod uwagę Lublin i Łowicz. Jako kroki w tym kierunku można było widzieć praktyczną likwidację Wydziału Teologicznego na rzecz ulokowanego poza uniwersytetem Seminarium Głównego, przeniesienie kształcenia nauczycieli do osobnej instytucji (Instytutu Pedagogicznego) oraz tworzenie Instytutu Politechnicznego⁴¹. Wzorcem był tu napoleoński system szkolnictwa wyższego, oparty właśnie na specjalistycznych szkołach.

Jeśli spojrzymy na mowę Brodzińskiego w kontekście tych planów, odsłania nam się jej ukryty w pouczeniach dla studentów sens. Otóż całość rozważań pokazuje, jak dramatyczne skutki musi mieć podział uniwersytetu. Brodziński opisuje moralne zwichnięcie osób, które otrzymały tylko specjalistyczne wykształcenie, nieuzupełnione „naukami ogólnymi”. Efektem ma być wypuszczanie absolwentów nieuformowanych do końca, osób niestabilnych w swoich poglądach i zachowaniach, będących w konflikcie z otoczeniem i sobą samymi, niepożytecznych dla ogółu. Skutkiem czysto fachowego wykształcenia będzie „zimny tylko świadek usiłowań społeczności, twardy egoista i przebiegły w rachubach dla siebie samego” (B 64). Z kolei studenci, u których najszlachetniejsze nawet uczucia nie są zrównoważone „ćwiczeniami rozumowymi”, wyjdą na „szkodliwych zapaleńców, a najczęściej ludzi bez męskiej stałości, bez charakteru, nieszczęśliwych dla siebie, szkodliwych dla drugich, którzy całe życie bez woli na wszystkie strony miotani jak meteor, dla gminu tylko tajemnicze zjawisko, pokazują się na scenę świata i nikną bez śladu” (B 63–64). Brak ogólnego, a nie tylko ściśle profesjonalnego wykształcenia kończy się w późniejszym życiu zabijaniem wolnego czasu pijaństwem i grą w karty, pieniactwem, sporami sąsiedzkimi, rozrzutnością itp.⁴² Ale zauważmy, że uniwersyteckie wykształcenie, oparte na „naukach w ogóle kształcących”, jest w tym tekście uznane za konieczne również dla właściwej formacji religijnej. A niewłaściwe ukształtowanie młodego człowieka w procesie edukacji nie tylko go unieszczęśliwia, lecz również ma poważne skutki społeczne.

Pytanie, kto miał być adresatem mowy. Brodziński twierdzi, że jest to jego „głos [...] wyłącznie tej młodzieży poświęcony, w którym wyluszczyć [...] [pragnie] jej powołanie i obowiązki” (B 15). Mowa Brodzińskiego rzeczywiście była skierowana do studentów; miała kształtować ich postawę wobec uniwersytetu i studiów. Ta warstwa tekstu nie była na pewno kamuflażem czy pretekstem do rozważań o innym charakterze. Ale tekst miał drugą warstwę, niekoniecznie już przeznaczoną dla studentów. Przypuszczam, że mowa adresowana była też do środowisk rządowych i można w niej odczytać konkurencyjną wobec pomysłów Szaniawskiego koncepcję pacyfikacji środowiska studenckiego. Polegała ona na silnym zaangażowaniu studentów w naukę i kształtowaniu w nich dojrzałości intelektualnej i obywatelskiej.

⁴¹ Zob. Bieliński, *op. cit.*, t. 1, s. 199–200. – Mycielski, *op. cit.*, s. 88, 92–94.

⁴² Ten fragment mowy Brodziński przepisał z wcześniejszego tekstu: z przedłożonego komisji oświecenia programu kursu historii literatury polskiej na rok akademicki 1823/24 – zob. Bieliński, *op. cit.*, t. 3, s. 429. Zgodnie z poleceniem komisji program miał pokazać, jak profesor „mógłby przy udzielaniu swojej nauki wspierać z swej strony ogólne zamiary religijno-moralnego wychowania i oświecenia” (*ibidem*, s. 427).

Mowa Brodzińskiego pokazywała, że oczekiwać spokojnego zachowania można od studentów tylko angażując ich w gruntowne studiowanie, traktując ich jak dorosłych i wyrabiając w nich postawy dojrzałych obywateli.

Czy był to zatem rodzaj publicznego protestu przeciwko polityce edukacyjnej Grabowskiego i Szaniawskiego? Protestu o jedynie moralno-symbolicznym znaczeniu w sytuacji braku autonomii uczelni i wobec faktu, że grupa kierująca komisją oświecenia cieszyła się protekcją samego Nowosilcowa? Wydaje się, że nie. Sens takiego posunięcia wynikał z tego, że powołanie kuratorii było bardzo kontrowersyjne w środowiskach rządowych. Duża część wysokich urzędników zgadzając się, że konieczne jest dyscyplinowanie studentów, nie była przekonana, iż rozdzielnie władzy „naukowej” od „dozorczej” da dobre rezultaty. Przeciwni tej formie nadzoru nad młodzieżą byli namiestnik Józef Zajączek, minister skarbu Ksawery Lubecki i reprezentujący w Petersburgu rząd Królestwa zastępca ministra sekretarza stanu Stefan Grabowski. I choć cesarz Aleksander rozstrzygnął kwestię po myśli Nowosilcowa i Szaniawskiego, niechęć do tego systemu nadal istniała⁴³. Także w środowiskach konserwatywnych – młody Władysław Zamoyski radził swojej matce w 1829 roku, aby w rozmowie z cesarzem Mikołajem powiedziała:

Zajścia z studentami dowodzą, że fałszywego systemu względem nich się trzymają. Profesorowie stracili wszelki wpływ. Chcąc młodzież ustrzec od politykowania, jedynie za pomocą poważnych nauk można by tego dokonać, a tego właśnie im nie dają. Przymusowe praktyki religijne tego sprawić nie mogą, budzą tylko nienawiść do religii⁴⁴.

Spór o sensowność takiej polityki wobec młodzieży powrócił właśnie w 1826 roku. Doświadczenia z funkcjonowaniem kuratorii nie były zachęcające. Sam kurator generalny Oeschelwitz pisał w marcu 1826 o młodzieży akademickiej:

widoczne i prawie co dzień wzrastające przed oczami naszymi opierania się uczniów i wszelkim ustawom, i rozporządzeniom zwierzchności szkolnej nie może jak tylko utwierdzać to mniemanie, iż młodzież uniwersytecka po większej części, natrząsając się z właściwych sobie praw, formuje potajemnie teorię postępowania na jakowejś zarozumiałości i wstrecie do posłuszeństwa opartą⁴⁵.

Była to opinia, zauważmy, sformułowana jeszcze przed symbolicznym pogrzebem Aleksandra I. Zniechęcony Oeschelwitz wystąpił z projektem reformy „dozoru szkolnego”, oznaczającym jego likwidację w dotychczasowej formie – kompetencje inspektorów mieli przejąć profesorowie⁴⁶. Informacje o tym dotarły do młodzieży studenckiej i, jak stwierdzał w lipcu 1826 inspektor generalny uniwersytetu, projekt „obudził w niej znowu nadzieję, że pod dozorem kuratorii szkolnej zostawać nie będzie”⁴⁷. Ostatecznie kuratoria przetrwała w pierwotnym kształcie do powstania listopadowego. Dla nas jest jednak istotne, że w momencie wygłaszania mowy przez Brodzińskiego przyszłość kuratorii wydawała się mocno niepewna.

Były więc powody, by właśnie wtedy wystąpić z alternatywną koncepcją postępowania wobec młodzieży. A trzeba wskazać na jeszcze jeden czynnik – w 1826 ro-

⁴³ Zob. Winiarz, *op. cit.*, s. 43, 46–47.

⁴⁴ *Generał Zamoyski 1803–1868*. T. 1. Poznań 1910, s. 287.

⁴⁵ Bieliński, *op. cit.*, t. 1, s. 183.

⁴⁶ Zob. Winiarz, *op. cit.*, s. 48–49.

⁴⁷ Bieliński, *op. cit.*, t. 1, s. 193.

ku, w sytuacji zmiany władcy, można było liczyć, że dotychczasowy układ sił w Królestwie, wpływający także na politykę edukacyjną, ulegnie zmianom. Na pewno wygłoszenie mowy w tym konkretnym momencie nie było przypadkiem.

Witkowska zastanawia się, dlaczego akurat Brodziński wygłaszał mowę, która „została przez władze uczelni zaplanowana jako ważne posunięcie ideologiczne i osoba prelegenta z pewnością poddana była również pod gruntowną rozprawę”. Przypuszcza, że decydowała o tym znana sympatia studentów do Brodzińskiego. Badaczka domyśla się też, że Brodziński sam mógł być inicjatorem mowy, jako zwolennik porozumiewania się z młodzieżą i posługiwania się perswazją, a nie groźbami. Podobne podejście miał rektor Szweykowski i jego widzi Witkowska jako współinicjatora. Zwraca też uwagę na bliską współpracę rektora z Brodzińskim. „Odnosi się wrażenie, że rektor i sekretarz uczelni współpracowali w tych latach nie tylko jako urzędnicy, ale także jako pedagodzy i – w jakimś sensie – taktycy”⁴⁸.

Na pewno istotna była sympatia, jaką cieszył się Brodziński wśród młodzieży. Ale można wskazać też inny powód wybrania właśnie jego. Myślę, że mowa miała przynieść koncepcję edukacji uniwersyteckiej zasadniczo inną od tej, którą forsował Szaniawski, lecz równocześnie mocno opartą na religii i odrzucającą skrajny racjonalizm. Musiała to przedstawiać osoba wiarygodnie reprezentująca taki sposób myślenia. Brodziński nie kojarzył się z oświeceniowym racjonalizmem czy sceptycyzmem religijnym. Nacisk na religijny i etyczny wymiar edukacji, na kształtowanie postaw moralnych studentów wynikał naturalnie z całego jego sposobu myślenia. Jego poglądy pedagogiczne były bardzo wygodne w polemice z konserwatywnymi władzami edukacyjnymi – ścierały się tym samym dwie koncepcje odwołujące się do religii.

Abstract

MACIEJ MYCIELSKI University of Warsaw
ORCID: 0000-0001-5210-0036

“O POWOŁANIU I OBOWIĄZKACH MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ” (“ON VOCATION AND DUTIES OF UNIVERSITY STUDENTS”) KAZIMIERZ BRODZIŃSKI IN DEFENCE OF UNIVERSITY

The paper is devoted to an analysis of a 1826 speech *O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej* (*On Vocation and Duties of University Students*) delivered by Kazimierz Brodziński (1791–1835), Polish literature professor at the Royal University of Warsaw. The speech intended to explain the students the system of studies and contained pieces of advice about the student's individual work and conformation to the University's rules and regulations. The paper additionally had another layer, unnoticed by scholars to this date, namely a voice in the dispute about the future of university. Facing the plans of the Department of Education that aimed to split the University into specialist schools, a part of which was to be located outside Warsaw, Brodziński stresses the unity of university teaching and the importance of general subjects as, for example, philosophy or literary history. Brodziński also kept clear distance from the then system of supervising university students. His views on university didactics are confronted with the conceptions of Józef Kasalanty Szaniawski (1764–1843), the State's Councillor and a conservative politician, who was in charge of education of the Kingdom of Poland.

⁴⁸ Witkowska, *op. cit.*, s. 278, 280–281.

MARTA RAKOCZY Uniwersytet Warszawski

PRZEMILCZANA CIELESNOŚĆ DRUKU – BALZAK, NOWOCZESNOŚĆ, LITERATURA

Stracone złudzenia Honoré de Balzaca rozpoczyna, jak wiadomo, następujący *passus*:

W epoce, gdy zaczyna się to opowiadanie, prasa Stanhope'a i rulony do farby drukarskiej niezna-
ne były jeszcze w małych drukarniach na prowincji. Mimo specjalności, dzięki której miasto to styka
się wciąż z typografią paryską, Angoulême posługiwało się wciąż prasą drewnianą, któremu to instru-
mentowi język zawdzięcza wyrażenie „jęczenie prasy”, obecnie przebrzmiałe. Zacołane drukarnie uży-
wały jeszcze poduszczek skórzanych napojonych farbą, którymi robotnik pocierał ręcznie czcionki.
Ruchoma płyta, na której spoczywa pełna czcionek forma z ułożonym na niej arkuszem papieru, była
jeszcze z kamienia i usprawiedliwiała nazwę marmuru.

Zachłanne dziś prasy mechaniczne [...] dalece wtrąciły już w zapomnienie ów system, któremu
mimo jego niedoskonałości zawdzięczamy piękne wydawnictwa Elzewirów, Plantynów, Aldów i Didotów...
[B 5-6]¹

Fragment ów nie służy jedynie budowie scenerii, w której rozpocznie się powie-
ściowa fabuła. Jeśli dzieło Balzaka mówi o doświadczeniu nowoczesności – o ka-
pitalizmie, industrializacji, wielkim mieście, rosnącej mobilności społecznej,
o awansie, rywalizacji, bankructwie i konkurencji w dziedzinie wytwórczości za-
równo symbolicznej, jak materialnej² – to drukarnia stanowi jego metaforę. Uka-
zuje ona, że kulturę nowoczesną konstituują przede wszystkim rzeczy i uwikłane
w nie ludzkie ciała, budujące za ich pomocą – a może raczej pod ich przymusem –
własne biografie. Rzeczy nie są tu, co istotne, wyłącznie narzędziami. W coraz
bardziej zmiennym i ulotnym świecie rozwijającego się przemysłu są jedynym re-
zerwuarem stabilności³. Ich konkretność – wyrażana w precyzji, z jaką Balzak
opisuje materiały i oprządkowanie pracy drukarza oraz doznania zmysłowe,
które im towarzyszą (młody Séchard wychodzi z drukarni, jakby „zapach papierów,
pras, czernidła i starego drewna był nie do zniesienia” <B 26>) – oraz powtarzalność
skoncentrowanych wokół nich działań fizycznych zapewniają ludzkiemu światu

¹ Skrótem B odsyłam do: H. Balzak, *Stracone złudzenia*. Przeł. T. Boy-Żeleński. Warszawa 2018. Ponadto stosuję skróty: D = R. Darnton, *Wielka masakra kotów i inne epizody francuskiej historii kulturowej*. Przeł. D. Guzowska. Warszawa 2012. – H = K. Houston, *Książka. Najpo-
tężniejszy przedmiot naszych czasów zbadany od deski do deski*. Przeł. P. Lipszyc. Kraków 2017. – I = T. Ingold, *Rysowanie, pisanie i kaligrafia*. Przeł. M. Rakoczy. „Teksty Drugie” 2015, nr 4. Liczby po skrótach wskazują stronicę.

² Zob. G. Lukács, *Balzak, Stendhal i Zola*. Przeł. R. Matuszewski. Warszawa 1951.

³ O roli rzeczowości i materialności w pisaniu i w literaturze zob. P. Rodak, *Rzeczy w kontekście pisania. O materialności dzienników osobistych*. „Kultura Współczesna” 2008, nr 3.

coraz rzadszą gdzie indziej stałość i solidność, sprawiając, iż więzi społeczne okazują się czymś więcej niż, zgodnie z wyrażeniem Michela Serresa, „eterycznymi [...] obłokami”⁴. A jednak to, że opowieść o karierze literackiej, będącej głównym tematem książki, zaczyna się od przedstawienia prowincjonalnej drukarni, nie jest oczywiste.

W przywołanym fragmencie drukarnia nie stanowi ośrodka kulturalno-intelektualnego tworzącego teksty. Okazuje się raczej manufakturą opisywaną głównie poprzez przestarzałe już sprzęty: dla młodszego pokolenia „graty” (B 13). „Życie stanhopów” – jak brzmi nauka udzielana synowi drukarza – „to śmierć czcionki” (B 14). Wejście w nowoczesność, co steoretyzował później Karol Marks, to u Balzaka przede wszystkim wejście w świat pośpiesznego starzenia się, w którym pojawienie się każdej nowości okupione jest ruiną i zniszczeniem tego, co było⁵.

Choć pryncypał drukarni – stary Séchard – nie potrafi ani czytać, ani pisać, zdobywa majątek dzięki sprytowi handlowemu i chęci zysku górującej nad więzami rodzinnymi: nawet przekazanie schedy synowi odbywa się poprzez bezwzględnie przeprowadzoną transakcję finansową. Fakt, że tworzenie książek przedstawiono tu poprzez jęk pras oraz rzemieślników zwanych „niedźwiedziami” lub „małpami”, jest znaczący. Znaczący jest także opis pracy w drukarni: jako czysto fizycznej, stanowiącej wysiłek ciała posłusznego wobec wymogów prasy i zaplanowanego efektu. Właśnie dlatego za „skarb” drukarni stary Séchard uzna Marynę: „tęą dziewczkę wiejską, nieodzowną w drukarni”, która „moczyła i obcinała papier, wyładowywała go, załatwiała posyłki, gotowała, prała, chodziła odbierać pieniądze i czyściła szczotki drukarskie” (B 18).

Balzakowska diagnoza – wyprzedzająca rozpoznania teoretyczne dotyczące kultury nowoczesnej – nie będzie, rzecz jasna, głównym przedmiotem tego tekstu. Będzie tylko kontekstem, ale o tyle kluczowym, że Balzak jest najdobitniejszym chyba krytykiem głęboko rozpowszechnionej później – w XX-wiecznej nauce – wizji związków druku i nowoczesności⁶. W *Straconych złudzeniach* prozaik podważa przekonanie o bezcielesności i czystej wizualności tekstu drukowanego, w tym literackiego, jako domeny językowych, niematerialnych znaczeń. Demistyfikuje powtarzany jeszcze przez Michela Foucaulta, Paula Ricoeura⁷ i teoretyków piśmienności obraz tekstu jako bezcielesnego, zwizualizowanego za pomocą prasy drukarskiej wyniku twórczości językowej. Pokazuje książkę drukowaną jako produkt – artefakt podporządkowany mechanizmom rynkowemu, a zatem potrzebom i możliwościom potencjalnego czytelnika.

W przeciwieństwie do późniejszych badaczy piśmienności i kultury druku, w rodzaju Waltera J. Onga i Marshalla McLuhana, Balzak myśli o książce druko-

⁴ Cyt. za: B. Olsen, *W obronie rzeczy. Archeologia i ontologia przedmiotów*. Przeł. B. Shallcross. Warszawa 2013, s. 217.

⁵ Zob. J. Liep, wstęp w zb.: *Locating Cultural Creativity*. Ed. ... London–Sterling, Va., 2001, s. 5.

⁶ O kulturowym podłożu koncepcji bezcielesnego pisania zob. M. Rakoczy, *Materia, ciało, wizualność, czyli jak lepiej zrozumieć pisanie*. „Teksty Drugie” 2015, nr 4.

⁷ M. Foucault, *Szaleństwo i literatura. Powiedziane i napisane*. Wybór, oprac. T. Komendant. Przeł. B. Banasiak [i in.]. Pośl. M. P. Markowski. Warszawa 1999, s. 69. – P. Ricoeur, *Teoria interpretacji: dyskurs i nadwyżka znaczenia*. W: *Język, tekst, interpretacja. Wybór pism*. Wybór, wstęp K. Rosner. Warszawa 1989 (przeł. K. Rosner).

wanej i o tekście drukowanym przede wszystkim z perspektywy nie tyle ich lektury, ile materialnego wytwarzania. Podejmuje w powieści kwestie takie, jak papier, technika jego produkcji i procesy jego starzenia się, a nawet rozpadu, technologie związane z udoskonaleniem prasy drukarskiej, w tym czcionki, z jej przemianami zasadzającymi się na wynalazkach poszczególnych jej krojów, odzwierciedlających procesy polityczne i ekonomiczne – krojów, których znaczenie nie wyczerpywało się wyłącznie w ich przejrzystej estetyce, służącej szybkiej lekturze. Jako pierwszy wydobywa materialno-cielesny proces produkcji twórczości literackiej⁸. I jako jeden z nielicznych odkrywa – jak będę starała się pokazać – że to właśnie zakorzeniona w określonym świecie społeczno-ekonomicznym technika maszynowej produkcji tekstów, która przesuwając proces wytwórczy książki w obszar nieuwagi społecznej, prowadzi do określonej wizji zarówno literatury, jak tekstu i pisania. Balzakovskie doświadczenie druku, podobnie jak doświadczenie literatury, jest doświadczeniem przede wszystkim somatycznym: angażującym nie tylko oko i rękę autora lub czytelnika, ale całe ciało. Dlatego w tekście tym postaram się dowiedzieć, że Balzak jest jednym z pierwszych analityków nowoczesności, który ujawnia w swej powieści nowoczesne dychotomie sztuki i rzemiosła, literatury i druku, symboliczności i materialności, ducha i ciała. A także – że jest jednym z pierwszych, który ujawnia cielesność druku, czyli fenomen o niebagatelnej randze dla późniejszych zwrotów w humanistycę.

Cielesność literatury: czytanie w salonie

Zrozumienie znaczenia rewolucji wywołanej przez druk wymaga prześledzenia rozmaitych praktyk społecznych towarzyszących temu medium. Powiedzenie, że druk jest narzędziem rewolucji społecznej, politycznej i kulturowej – zgodnie z myślą po raz pierwszy wyrażoną już przez Francisca Bacona w *Novum organum* – stanowi bezzasadne uproszczenie. Ciche, indywidualistyczne czytanie gazety w domu bogatego mieszczaństwa lub arystokracji, wspólnototwórcza lektura dyskutowanej na bieżąco prasy w XIX-wiecznej kawiarni zrzeszającej przede wszystkim uboższą inteligencję, której nie stać na codzienne kupno gazety, czy też głośnie jej odczytywanie podczas wiecu niepiśmiennemu ludowi na ulicach objętych rewoltą to niewspółmierne względem siebie praktyki kulturowe: mające różne funkcje i odmienne konsekwencje.

Szerokie spektrum praktyk związanych z drukiem widać także w *Straconych złudzeniach*, a Balzak ani przez moment nie zapomina o ich klasowej, historycznej i środowiskowej lokalizacji. W salonach prowincjonalnej arystokracji nowych autorów się nie czyta, lecz słucha poprzez publiczne odczytanie. Niechętnie wysłuchuje się dzieł wydanych drukiem, chętniej zaś – nieznanych rękopisów. Lektura dzieła zapoznanego już przez obcą salonowi publikę może uragać prestiżowi towarzystwa, które chce zachować rolę pierwszego arbitra. To dlatego w salonie pani de Bargeton padnie zdanie mające wyrażać lekceważenie: „jeśli jego wiersze są drukowane, możemy je sobie przeczytać sami” (B 86). Samotna, cicha lektura tekstów autora nieznanego czytelnikowi jest tu traktowana jako praktyka podrzędna wobec ustnej

⁸ Zob. A. Burzyńska, *Ciało w bibliotece*. „Teksty Drugie” 2002, nr 6.

recytacji twórcy danego rękopisu przed przyjaznym audytorium. Salon dba o własną hegemonię, chcąc być pierwszą instancją oceny instytucji literatury jako pola zdobywania awansu, prestiżu i rangi intelektualno-społecznej. W trakcie publicznej, salonowej lektury ocena ta podlega silnej kontroli: decydują przede wszystkim hierarchie rządzące towarzystwem. Samotna i analityczna percepcja poprzez oko jest tu marginalizowana na rzecz percepcji poprzez ucho, która czyni odbiorców uczestnikami sytuacji podlegającej znacznie silniejszej – niż w przypadku samotnej lektury – kontroli zbiorowej. Kontroli, dodajmy, podporządkowanej kryteriom pozatekstowym, mocno zaznaczonym przez jednostkowe przymioty osób: autorów, ich krytyków i zwolenników. Smak literacki – co wiemy już od Pierre’a Bourdieu – jest wynikiem nie tylko diagnoz i upodobań intelektualno-estetycznych, ale także obrony konkretnego kapitału kulturowego pozwalającego zachować określonym warstwom pozycję społecznie i politycznie dominującą⁹.

O złożonych praktykach komunikacyjnych towarzyszących kulturze druku – praktykach, których ślady odnajdujemy na kartach Balzakowskich powieści – opowiada m.in. historyczka Benedetta Craveri, pisząc o sztuce konwersacji salonowej we Francji doby przedrewolucyjnej¹⁰. Badaczka przedstawia świat, w którym istnieje rozwinięty przemysł druku, lecz w którym zarazem cały czas rolę hegemoniczną w typowaniu karier literackich i określonych dzieł pełnią salony, gdzie czyta się wspólnie rękopisy. Publikacja dzieła nie jest warunkiem kariery literackiej lub naukowej, ale jej ukoronowaniem. „Wszystkie kobiety będą cię wydzierają sobie. Piękny będziesz, Lucjanie, kiedy będziesz czytał swego *Świętego Jana na Patmos*” – mówi w powieści Ewa do swego brata w dniu jego debiutu towarzyskiego w prowincjonalnym, arystokratycznym salonie (B 67). Na „prowincji”, na której pokutują jeszcze praktyki sprzed wieku XIX, czytany rękopis ma być przepustką do wyższych sfer prowincjonalnego miasteczka. Jest on narzędziem, talent otwiera bowiem drzwi w sytuacji, kiedy urodzenie i status społeczny nie mogą tego zrobić. Literatura okazuje się tu ściśle funkcjonalna wobec stratyfikacji społecznych i towarzyskich, a druk cieszy się mniejszym wzięciem niż rękopis. To dzięki niej Lucjan ma być piękny i ma się podobać kobietom, które w ówczesnym świecie – co podkreślają takie powieści jak *Czerwone i czarne*, ponadto zaś takie badaczki jak Craveri – stają się często głównymi twórczyniami karier mężczyzn niżej urodzonych niż one. Tekst drukowany i czytany samotnie nie może uczynić tu tyle, ile rękopis performowany przez osobę o konkretnej aparycji, głosie, umiejętnościach wokalnych, interpretacyjnych, a przede wszystkim cielesnych (kluczowe jest tu właściwe, jak stwierdza Balzak, „dumne upozowanie” (B 88)) związanych z głośną lekturą. Dlatego Ewa i Dawid, zagrzewając Lucjana do debiutu literackiego, cały czas przypominają mu o tym, jak wygląda, co nosi i jak doskonale czyta.

Innymi słowy, w ramach wskazanych praktyk komunikacyjnych powodzenie wynika nie tyle z walorów samego tekstu, ile ze złożonej sytuacji społecznej, w której istnieje (lub nie) uprzednie porozumienie między mówiącym a słuchającymi, jeszcze zanim padną jakiegokolwiek słowa z jego ust. Kiedy Balzak wspomina o ko-

⁹ P. Bourdieu, *Reguły sztuki. Geneza i struktura pola literackiego*. Przeł. A. Zawadzki. Kraków 2001.

¹⁰ B. Craveri, *Złoty wiek konwersacji*. Przeł. J. Ugniewska, K. Żaboklicki. Warszawa 2009.

nieczności „religijnego skupienia”, by „oddać poezję głosem” (B 84), ma na myśli nie wewnętrzny stan ducha słuchających, lecz cielesnie widoczną sytuację zbiorowego rytuału¹¹. Literacki *performance* wiąże audytorium odgórną ramą, pozwalającą wspólnie odczuwać i interpretować¹²: właśnie taka bowiem praktyka odbiorcza okazuje się pożądana w salonie. „Musi się wytworzyć między czytającym a słuchającymi” – pisze Balzak – „porozumienie, bez którego elektryczne zetknięcie uczuć jest niemożliwe” (B 84). W *Straconych złudzeniach* porozumienie to lub jego brak artysta słowa wyczuwa błyskawicznie za pomocą rozwiniętych zmysłów. To jego ciało (Balzak przyrównuje je do „okrężnego wzroku ślimaka, węchu psa, ucha kreta, dzięki którym [poeci] widzą, czują i rozumieją wszystko wokół siebie”) pozwala mu dostrzec „znicięte oczy słuchających”, „czeluście szczęk rozwartych ziewaniem i urągających mu szeregiem zębów” (B 85). I dlatego też wiersze nie cieszą się wzięciem drukarzy.

Rzecz jasna, świat powieści Balzaka to nie tylko – o czym sporo pisał już György Lukács – świat materialistyczny, w którym ciało jest ważnym nośnikiem znaczeń społecznych. A także nie świat, w jakim literatura i podporządkowanie jej procesom rozwijającego się kapitalizmu opisana została poprzez ukazanie jej materialnej podstawy¹³. *Stracone złudzenia* przywołują świat historycznie istniejących praktyk kulturowych, w jakim ciało i ściśle z nim związany głos są ważnymi narzędziami kariery literackiej i społecznego funkcjonowania tekstów: świat wciąż żywy na prowincji i powoli ginący w Paryżu, gdzie zaawansowana kultura druku każe tekstom i ich autorom funkcjonować inaczej¹⁴. Pamiętajmy, że w tym samym czasie w stolicy – zgodnie z diagnozą Balzaka – drukowane artykuły czytane po cichu, choć potem po wielokroć omawiane w salonowych konwersacjach, zaczynają decydować o karierach nie tylko mieszczańskich, ale także arystokratycznych. Ich kamuflowane i odcyfrowywane znaczenia – ukrywane nazwiska i aluzje – wymagają, rzecz jasna, istnienia bogatego pozatekstowego życia: towarzyskiego i politycznego.

Świat ten jest, oczywiście, w coraz większym stopniu poddawany kontroli druku, który postrzegany zaczyna być jako przede wszystkim tekstowy. O paryskiej karierze Lucjana przesądza nie tylko przypadek (okoliczność nie do pomyślenia w salonie pani de Bargeton), ale też pierwszy, odczytany w redakcji, następnie zaś przez paryską elitę, artykuł. Uroda głównego bohatera wspiera jego karierę literacką, lecz zaczyna o niej decydować głównie to, jak i co Lucjan pisze. Balzakowi udaje się pokazać czas przemian polegających na tym, że kryteria oceny płów pióra lokowane są w coraz większym stopniu w tekście, a motorem tych przemian stają się wielkie miasto i towarzyszący mu przemysł drukarski.

¹¹ Zob. E. W. Rothenbuhler, *Komunikacja rytualna. Od codziennej rozmowy do ceremonii medialnej*. Przekł., red. J. Barański. Kraków 2003.

¹² Zob. R. Bauman, *Sztuka słowa jako performance*. Przeł. G. Godlewski. W zb.: *Literatura ustna*. Wybór tekstów, wstęp, kalendarium, bibliografia P. Czapliński. Gdańsk 2012.

¹³ Zob. Lukács, *op. cit.*

¹⁴ O tekstualizacji i nachyleniu piśmiennym oraz tekstowym związanym z technologią druku zob. G. Godlewski: *Druk a głos. W stronę antropologii literatury*. W: *Słowo, pismo, sztuka słowa. Perspektywy antropologiczne*. Warszawa 2008; *Poza nachylenie tekstowe, w stronę doświadczenia przedtekstowego. Wskazówki terapeutyczne*. „Teksty Drugie” 2018, nr 1.

Maszyny do „porządkowania myśli” – mentalne konsekwencje druku

W większości XX-wiecznych ujęć rekonstruuujących rangę kulturową druku opisyuje się tę technologię jako narzędzie przemian mentalnych mających fundamentalne znaczenie dla wszystkich właściwie instytucji modernizującej się Europy: przemian najdobitniej streszczonych w stworzonym przez Jamesa Burke’a sformułowaniu na temat prasy drukarskiej jako maszyny do „porządkowania myśli”¹⁵. Zgodnie z tymi narracjami – głównymi instytucjami kultury nowoczesnej jako kultury druku są, rzecz jasna, literatura i prasa, a zwłaszcza powieść i gazeta. Prasa staje się podstawą rozwijających się państw nowoczesnych. Ich czwartą władzą, zgodnie ze słynnym powiedzeniem Edmunda Burke’a, będą odtąd dziennikarze, cenzura zaś – nową instytucją państwa, zmuszonego do kontroli rosnącej liczby różnorodnych dyskursów, niekoniecznie sprzyjających jego spójności. Lektura gazet drukowanych zaczyna z kolei zaliczać się do elementarnych praktyk nowoczesnego obywatela. Dzięki niej przyuczany jest on zarówno do lojalności wobec narodu jako wspólnoty wyobrażonej, jak i do krytycznego stosunku wobec instytucji państwowych, stających się przedmiotem dyskursów publicznych¹⁶. Warto pamiętać o tym, że technologia druku unowocześnia się w XIX wieku tylko ze względu na potrzeby przemysłu prasowego (zob. H). Balzak nie pomylił się, wskazując w powieści rosnącą rolę dziennikarzy i malejącą rolę literatury w sprawowaniu kontroli społecznej, politycznej i estetycznej.

Rzecz jasna, także lektura powieści staje się wówczas politycznie i społecznie formotwórcza. Powieść jako gatunek zaczyna być postrzegana jako literatura należąca do wspólnot wyobrażonych: kształtująca je poprzez kanony i produkująca ich refleksywność. Książka drukowana, w tym powieść – jak twierdzili Benedict Anderson, Ernest Gellner i w końcu Eric Hobsbawm – staje się instrumentem kreacji nowoczesnych, zestandaryzowanych dyskursywnie narodów. Dzięki niej krystalizuje się poddany standardom grafolektu „artefakt kulturowy”¹⁷ w postaci języka narodowego i jednocześnie języka literackiego, czyli języka narodotwórczych elit. Ona też buduje „wspólnoty wyobrażone”, mówiąc – m.in. w powieściach lub poprzez opisywane w gazetach epizody – o samotnych, lecz typowych dla konkretnych społeczności bohaterach¹⁸, z którymi czytelnik może się utożsamić. Dzięki mechanizmowi identyfikacji czytelnik staje się zaangażowanym uczestnikiem konkretnych procesów społecznych i politycznych. „Druki” – jak zauważa Elizabeth Eisenstein – „skłaniają do milczącego uznania spraw, których obrońców nie da się umiejscowić w żadnej określonej parafii i którzy z oddali zwracają się do niewidocznej publiczności”¹⁹. Jednak coraz silniejsze w epoce nowoczesnej partykularyzmy narodowe –

¹⁵ J. Burke, *Drukarskie prasy, czyli o maszynach do porządkowania myśli*. W zb.: *Antropologia słowa. Zagadnienia i wybór tekstów*. Red. G. Godlewski, A. Mencwel, R. Sulima. Warszawa 2003.

¹⁶ Zob. B. Anderson, *Wspólnoty wyobrażone. Rozważania o źródłach i rozprzestrzenianiu się nacjonalizmu*. Przeł. S. Amsterdamski. Kraków 1997.

¹⁷ Określenie Einara Haugena. Cyt. za: E. Hobsbawm, *Narody i nacjonalizm po 1780 roku. Program, mit, rzeczywistość*. Przeł. J. Maciejczyk, M. Starnawski. Warszawa 2010, s. 120.

¹⁸ Zob. Anderson, *op. cit.*

¹⁹ Cyt. jw., s. 45, przypis 64.

powiązane z konkurencją rynkową i technologiczną między państwami – dotyczą nie tylko, jak przypomina Balzak, tekstów i ewokowanych przez nie znaczeń. Odnoszą się głównie do materialnej produkcji książek. To dlatego stary Séchard powie o prasach żelaznych: „Okrzykiwaliście cuda w Paryżu, widząc wynalazek przekłętą Anglika, wroga Francji, który chciał zapewnić fortunę odlewaczom. Och! Zachciało wam się stanhopów!” (B 14). Stosunki konkurencji – jak świadczy przywołany fragment – nie dotyczą zresztą tylko państw. Dotyczą także pokoleń.

Co ciekawe, animozje i sentymenty narodowe, pokoleniowe, społeczne kanalizują się już w samym kształcie czcionki, dla drukarzy oznaczającej przede wszystkim dzieło rytownictwa, a nie jedynie zgodny z określoną estetyką wizualną kształt litery. Liternictwo dla obu Séchardów to nie tylko estetyczność i funkcjonalność związana z czytelnością tekstów. To ważny i częściowo zapomniany nośnik sensów społecznych. Właśnie dlatego stary drukarz broni ceny własnych czcionek autorstwa firmy Gillé – „garmondów, borgiz, rond”, które nazywa „arcydziełami rytownictwa” (B 14), powołując się na to, że były „rodzicami angielskiego kroju Didotów” (B 15): wszystko po to, by syn zapomniał, że przestarzałe liternictwo implikuje dla czytelników prowincjonalny rodowód wydrukowanego tekstu. Estetyka typograficzna łączy się w XIX wieku m.in. z tradycjami narodowymi. Choć większość krajów liternictwa przeznaczonego dla druku tworzonych między 1500 a 1800 rokiem (z wyjątkiem niektórych regionów Europy Północnej) będzie nawiązywać do antykwy łączącej rzymską kapitałę kwadratową i minuskulę opartą na minuskule karolińskiej odrębnego pisma kodeksowego, Wielka Brytania i Francja będą miały osobne tradycje liternicze (antykwa brytyjska *versus* antykwa aldyńska oraz antykwa kontynentalna)²⁰. Te zaś będą nośnikami estetyk i uczuć uznawanych za narodowe.

Najistotniejsze jednak z punktu widzenia niniejszego artykułu wydaje się to, że w większości ówczesnych, w tym także XIX-wiecznych narracji dotyczących książki drukowanej fakt, iż jest ona – jak pisał we *Wspólnotach wyobrażonych* Anderson – „pierwszym nowożytnym towarem przemysłowym produkowanym w skali masowej”²¹, podlegającym przede wszystkim określonym tendencjom materialno-ekonomicznym, a nie jedynie symbolicznym, zostaje przemilczany. Narracje te są niezwykle trwałe: funkcjonują do dziś we wszelkich kampaniach społecznych i publicznych na rzecz rozwoju czytelnictwa²². Milcząco występują także w praktykach łączących się z prestiżem książki drukowanej: jej przechowywaniem, dbaniem o nią i szacunkiem do niej. Książka traktowana jest raczej jako dobro wyższe niż jako wartość materialna odzwierciedlona w cenie rynkowej. W świadomości potocznej, hołubionej przede wszystkim, choć nie tylko, przez środowiska wysoce piśmienne, odwołuje się ona do symbolicznej sfery kultury, czyli do domeny aksjologii i znaczeń uważanych za więzio- i kulturotwórcze, decydujące o przyszłości wspólnoty społecznej lub politycznej.

Przykładowo, gdy w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku w Warszawie rozpo-

²⁰ Zob. Ph. Baines, A. Haslam, *Pismo i typografia*. Przeł. D. Dziewońska. Warszawa 2010, s. 62–67.

²¹ Anderson, *op. cit.*, s. 44.

²² Zob. M. Rakoczy, *Polityki pisma. Szkice plenerowe z pądocentrycznej nowoczesności*. Warszawa 2018.

częła się wielka kampania przeciwko organizowanym przez polskich pozytywistów bezpłatnym czytelniom Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, jej celem było usunięcie – ze zbiorów – książek uznanych za społecznie i politycznie niebezpieczne (w tym powieści Émile’a Zoli, Honoré de Balzaca, Alexandre’a Dumasa ojca, Victora Hugo, z polskich zaś – Stefana Żeromskiego, Wacława Sieroszewskiego i Gabrieli Zapolskiej) oraz stworzenie jednej czytelnicy centralnej, pozwalającej lepiej kontrolować, kto i co czyta. W kampanii tej nie chodzi tylko o opisywaną przez Bohdana Cywińskiego „walkę o rząd dusz”²³ – o społeczne i polityczne przekonania czytelników inspirowane literaturą. Biblioteki i książki drukowane okazują się ważnym miejscem nowoczesnych batalii, traktowane są bowiem jako narzędzia podtrzymywania lub rewidowania ciągłości określonego porządku kulturowego. To dlatego wszelkie praktyki społeczne związane z książkami łatwo stają się przedmiotem – używając terminologii socjologicznej – panik moralnych²⁴.

Wspomniane już tworzenie państw i nowych form lojalności obywatelskiej stanowi, rzecz jasna, rewers procesu, którego awersem jest rozwój nowoczesnego indywidualizmu i jednostki refleksyjnej. Nie przypadkiem pierwsze powieści – choćby te analizowane przez Iana Watta w *Narodzinach powieści*, pisane przez Henry’ego Fieldinga, Samuela Richardsona czy Daniela Defoe – mówią przede wszystkim o udanym awansie społecznym (karierze mężczyzn lub intratnym zamażpójściu kobiet)²⁵. Późniejsze – jak *Czerwone i czarne* Stendhala czy *Stracone złudzenia* – o awansach przegranych, choć nie bez znaczenia są tu różnice dzielące powieść angielską od francuskiej, a także różnice społeczne dzielące konteksty kulturowe ich powstania. Narracje o życiu ludzkim i mechanizmach nim rządzących zaczynają koncentrować się na konkretnej jednostce o konkretnym zapleczu społecznym, które usiłuje ona przekroczyć: za pomocą cnoty (Klaryssa), przedsiębiorczości (Robinson Crusoe), zbrodni (Moll Flanders) lub talentów (Tom Jones, Julian Sorel, Lucjan Chardon de Rubempré). Historie tworzenia własnej biografii dzięki nietuzinkowej osobowości i świadomemu pogwałceniu tradycyjnych więzi rodzinnych, środowiskowych, obyczajowych, służącemu temu, by odkryć nieznane możliwości jednostkowego rozwoju, stają się narzędziem promocji procesów ściśle nowoczesnych: detradycjonalizacji i indywidualizmu.

Pamiętajmy, że opisane w *Straconych złudzeniach* dzieje walki o awans społeczny młodych pisarzy były dość wiernym odzwierciedleniem mechanizmów rządzących ówczesną „wspólnotą ludzi pióra” (D 169–217). Praca dziennikarza lub literata od XVIII wieku we Francji bywała źródłem najbardziej spektakularnych awansów społecznych (D 179). A jednocześnie stanowiła niejako alegorię rodzącego się, zwłaszcza w wielkich miastach, indywidualizmu. Przedstawienie nowoczesności poprzez środowisko dziennikarzy i literatów było ze strony Balzaka nie tyle opisem tego, co znał on najlepiej, ile tego, co uważał także za najbardziej symptomatyczne dla swej epoki. Nie przypadkiem etapy kariery Lucjana de Rubempré akcentowane są przez kolejne adresy – gorszych i lepszych mieszkań w Paryżu. Nie chodzi tu o proste

²³ B. Cywiński, *Walka o rząd dusz*. W: *Rodowody niepokornych*. Warszawa 2010.

²⁴ Zob. S. Cohen, *Folk Devils and Moral Panics: The Creation of the Mods and Rockers*. London 1972.

²⁵ I. Watt, *Narodziny powieści. Studia o Defoe’em, Richardsonie i Fieldingu*. Przeł. A. Kreczmar. Warszawa 1973.

unaocznienie związku zmiennej kondycji społecznej z równie zmienną, gorszą lub lepszą lokalizacją w przestrzeni miejskiej.

Wiemy, że w raportach XVIII-wiecznej tajnej policji francuskiej – żywo zainteresowanej ludźmi pióra jako tymi, których władza powinna mieć na oku – adres literata jest ważnym nosicielem znaczeń. Jeśli ktoś mieszka sam „w pokojach u praczki na trzecim piętrze przy ulicy des Cordeliers” (D 188), to zapewne należy do marginesu społecznego. Ale co istotniejsze, adres jest w tych raportach jedynym narzędziem klasyfikacji i biurokratycznego porządkowania literatów obserwowanych przez władzę. Ci ostatni stanowią ucieleśnienie nowoczesnego indywidualizmu: „Nie mają oni” – jak pisze Robert Darnton – „żadnego ustalonego statusu, żadnego zakonstytuczenia we własności, rodzinie czy powiązaniach sąsiedzkich” (D 188). O ich ocenie decyduje jedynie zasiedlane przelotnie miejsce.

Nie przypadkiem też po pracę pisarską sięgają ówczesznie wdowy lub kobiety będące w separacji z mężem, pozbawione wszelkiego zabezpieczenia finansowego. Ludzie pióra ucieleśniają zmienność życia nowoczesnego, które opiera się nie tylko na awansie, ale także, a może przede wszystkim, na upadku społecznym. W raportach przywoływanego przez Darntona inspektora policji roi się od karier rozpoczynanych w mansardzie i kończących się na bruku, zawierających często epizod w postaci więzienia, prostytucji i stręczycielstwa (D 179–181). Opisując „półświatek” i nędzę towarzyszące Lucjanowi, Balzak brutalnie odsłania coś więcej niż jedynie własną kreację literacką.

Przywołując prowincjonalną drukarnię, prozaik ukazuje także inne, niezwiązane ze „wspólnotą ludzi pióra” implikacje druku:

Właśnie było złożone jakieś zawiadomienie o ślubie, stary niedźwiedź opuścił ramię na dekę, dekę zaś na marmur, który puścił w ruch; wyciągnął sztabę, rozwinął sznur, aby przyciągnąć marmur z powrotem, podniósł dekę na ramię ze zwinnością godną młodego niedźwiedzia. Prasa zużyta w ten sposób wydała śliczny pisk, rzekłbyś: ptak, który uderzył głową w szybę, ucieka przerażony. [B 13]

Po pierwsze, drukarnia to, zgodnie z cytowanym opisem, przede wszystkim druki ulotne, raczej podtrzymujące niż podważające lub rewidujące tradycyjne – zorientowane na wspólnotę, nie zaś na jednostkę – instytucje kulturowe. Prasa nie jest tu narzędziem nowoczesnej refleksyjności, służy bowiem raczej reprodukcji rytuałów społecznych i religijnych²⁶. Prowincjonalne gusta mieszkańców Angoulême – prezentowane głównie w drukach ulotnych dotyczących ślubów, pogrzebów, spektakli teatralnych i kalendarzy „drukowanych na papierze do zawijania cukru” – a wraz z nimi „potworne winietki przedstawiające Hymeny, amory, zmarłych, którzy podnoszą kamień grobowy, opisując literę V lub M, olbrzymie ramy splecione z masek na afisze teatralne” – ukazane są w powieści jako „starzyzna” i „nawyki”, i to tkwiące tak głęboko, że „próżno by się kusił dać im ładniejsze rzeczy” (B 15).

Po drugie, zgodnie z przywołanym fragmentem druk to nie tyle jego treść, ile ukryte za nim działanie cielesne: przyciąganie kamienia, podnoszenie deki, rozwijanie sznura i wyciąganie sztaby. Praca rąk, przypominająca bardziej tradycyjne rzemiosło, opisywana jest tu jednak bez nadmiernego sentymentu, tak częstego

²⁶ Zob. L. Febvre, H. Jean-Martin, *Narodziny książki*. Przeł. A. Kocot, M. Wodzyńska-Walicka. Pośl. P. Rodak. Warszawa 2014.

w późniejszych nurtach estetycznych wieku XIX, począwszy od *Arts & Crafts movement*. Jednocześnie ciało i jego gesty ujawniają często u Balzaka więcej niż słowo narratora. Widać to dobrze we fragmencie, w którym stosunek starego Sécharda do własnej drukarni ukazany zostaje za pomocą sceny dostrzeżenia przez niego niedoczyszczonego przez ucznia miejsca i „czyszczenia [go] połą surduta, jak handlarz, który doprowadza do blasku sierść konia prowadzonego na sprzedaż” (B 14). „Dobre, stare, doświadczone narzędzia” (B13) nie budzą nostalgii i czułości. Znaczą tyle, ile można na nich zarobić. Porównanie pisku prasy do pisku ptaka przywołuje przemoc i strach: uczucia, które nie pozwalają mówić o kulturze druku jako o kulturze emancypacji. Zwłaszcza że awans społeczny w ujęciu Balzaka pociąga za sobą niezwykle wyrafinowane, trudne do rozpoznania, a tym bardziej do przezwyciężenia, formy zniewolenia.

Papiernicy i drukarze – przemilczani wytwórcy nowoczesności

Animalizacja towarzysząca przydomkom rzemieślników drukarskich – „małp” i „niedźwiedzi” – odpowiada wskazywanemu przez Balzaka charakterowi ich pracy: źle opłacanej, bardzo niestabilnej i budzącej silne, co wiemy z badań Darntona, antagonizmy społeczne (D 93–126). Już w XVII wieku większość francuskich drukarni nie przypominała małych, tradycyjnych warsztatów rzemieślniczych, w których mistrz wraz ze swymi czeladnikami tworzy niejako rodzinę spotykającą się w pracy i przy wspólnym stole. Zatrudniają one coraz więcej robotników na okoliczność konkretnych zleceń, zmuszając ich do ciężkiej, odbywanej kosztem snu, pracy, za którą karmi się źle, a płaci jeszcze gorzej. Ich kondycję dobrze oddaje przywołany przez drukarza z XVIII wieku, Nicolasa Contata, ówczesny żargon środowiskowy: „*ancien*” to ten, kto pracuje w jednej drukarni dłużej niż rok, ten zaś, który odchodzi po konflikcie z właścicielem, „*emporte son Saint Jean* [zabiera swoje zabawki]”. Frazeologizmy takie jak „*chèvre capitale* [napad wściekłości]”, „*se donner la gratte* [wdać się w bójkę]”, „*prendre la barbe* [upić się]”, „*faire la dérouté* [zrobić rundę po karczmach]”, „*promener sa chape* [rzucić robotę]”, „*faire des lous* [narobić długów]” (D 99), dobrze oddają atmosferę pracy, która coraz mocniej przypomina wysiłek robotników fabrycznych XIX wieku:

Wyobraźcie sobie tę wielką halę, jasną w dwóch krańcach, ciemną w środku, o ścianach pokrytych afiszami, szczerbami od dołu wskutek ocierania się o nie robotników, przewijających się tu od trzydziestu lat; ze zwisającymi u sufitu sznurami, z mnóstwem sznurów na podłodze, stertami papieru, starymi machinami, stosami kamieni do przyciskania zwilżonego papieru, szeregami kaszt i na końcu dwiema klatkami, w których, każdy po swojej stronie, siedzieli pryncypał i prot [...]. [B 26]

W opisie Balzaka, rzecz jasna, sporo jest świadomie zastosowanej przesady, polegającej na konsekwentnym porównywaniu prowincjonalnej, małej drukarni o względnie stałym i niezbyt obszernym zespole pracowników z „przemysłem”: jego „wielkimi halami” i „klatkami” dla nadzorujących pracę: tak samo wyalienowanymi jak nadzorowani robotnicy. Hiperboliczne wydaje się także przeciwstawienie żelaznej prasy Stanhope’a prasie drewnianej: wśród historyków druku panuje dość zgodne przeświadczenie, że pierwsza zasadniczo imitowała w metalu mechanizm działania drugiej (H 153–155). Radykalna mechanizacja druku – polegająca przede wszystkim

na zdjęciu z zecerów obowiązku ręcznego składania czcionek – następuje dopiero po śmierci Balzaka, w drugiej połowie XIX wieku. Przesada pojawia się także w imputowanym drukarzowi analfabetyzmie. Ze źródeł historycznych wynika, że już w XVIII-wiecznej Francji reprezentanci tej profesji raczej musieli czytać i pisać (D 96) – stary Séchard jest postacią karykaturalną.

O wartościowaniu społecznym drukarskiego fachu przypomina w powieści jego lokalizacja: w Houmeau na przedmieściach Angoulême. Te dwie nazwy, przypomnijmy, oddają w *Straconych złudzeniach* dwa odrębne światy, z których drugi, górny, to arystokracja, duchowieństwo, lokalna administracja i stare rody mieszczańskie, pierwszy zaś, dolny – nowe mieszczaństwo, przemysł, rzemieślnicy i robotnicy. Drukarze zamieszkują dolny świat. Pomysł Lucjana, zatrudnionego w drukarni, by posługiwać się szlacheckim nazwiskiem matki, zostaje uznany za skandal. „Skoro szlachcic” – powie jedna z bywalczyń salonu pani de Bargeton – „pracuje własnymi rękami, powinien wówczas zrzec się nazwiska” (B 86).

Odnotowana przez Balzaka niechęć do drukarzy wynika po części z procesu dziejącego się w nowożytnej Europie, do którego przekonująco nawiązuje m.in. Tim Ingold. W XVIII-wiecznej, podlegającej uprzemysłowieniu Europie konstytuuje się nowa definicja sztuki, głosząca, że – w przeciwieństwie do swego przednowożytnego odpowiednika – nie ma ona nic wspólnego z rzemiosłem. Traktowana jest jako synonim twórczości, będącej pracą umysłu w dziedzinie bezcielesnych sensów, dla których materia oznacza wyłącznie bierną i podatną formę ekspresji. Rzemiosło zaś zaczyna być postrzegane jako działalność zasadniczo fizyczna i odtwórcza, polegająca na mechanicznym konkretyzowaniu kreatywnej idei (I 375). Jak pisze Ingold:

rozwój kapitalizmu przemysłowego, połączony z towarzyszącymi mu przemianami w podziale pracy, doprowadził w wielu dziedzinach do rozdziału w obrębie każdej umiejętności na: z jednej strony, czynności związane z twórczą inteligencją i wyobraźnią, z drugiej zaś na te, które wiązano z powtarzalnością i nawykowymi technikami cielesnymi. Im bardziej dla tych pierwszych zastrzegano pojęcie sztuki, tym bardziej te drugie zaczęto redukować do tego, co obecnie uważa się za „zwykłe” czynności techniczne. Z chwilą gdy praktyka cielesna została oddzielona od twórczej pobudki, możliwa stała się budowa maszyn, które szybciej i skuteczniej robią to, co wcześniej wykonywało ciało. Samo pojęcie technologii zaczęło wówczas wiązać nie z umysłem, lecz z maszyną, z zasadami włączonymi w mechanizm samej produkcji, a nie z tymi, które służą jej systematycznemu badaniu. Odtąd przedmiot lub wykonanie będą uznawane za dzieło sztuki o tyle, o ile wymykają się ograniczeniom systemu technologicznego i wyrażają geniusz ich twórcy. Funkcjonowanie technologii zaczęło zaś oznaczać powiązanie z mechanicznym zastosowaniem obiektywnego i bezosobowego systemu sił produkcyjnych. Sztuka tworzy, technologia może tylko powielać. Artysta został odróżniony od rzemieślnika, a dzieło sztuki od artefaktu. [I 375–376]

Myślenie o bezcielesnej twórczości stojącej w opozycji wobec cielesnego rzemiosła jest u Balzaka wyraźnie przywoływane i komplikowane. Komentując powody niepowodzenia prowincjonalnej drukarni, narrator *Straconych złudzeń* zauważa nie bez ironii:

Ludzie czynni i przemysłni odnowiliby czcionki, kupili żelazne prasy, zdobyliby w księgarniach paryskich dzieła, podejmując się druku po niskiej cenie: ale pryncypał i prot, zatopieni w pracy duchowej, zadowalali się robotami doraźnymi i resztą dawnej klienteli. [B 25]

Praca ducha, czyli praca w dziedzinie myśli, stoi na antypodach pracy drukarza, zwłaszcza zaś czynności, które przesadzają o jego sukcesie. Działalność drukarska

i pisarska postrzegane są tu jako całkowicie rozłączne: podobnie jak rozłączne w nowożytności są umysł i ciało²⁷. Wkład różnorodnych zawodów związanych z drukarnią – mających wpływ na ostateczny kształt literatury – ulega przemilczeniu kulturowemu. Podobnie jak rzadko przywoływana jest w historii literatury drukarska przeszłość pisarzy: choćby samego Balzaka, który w tej branży zbankrutował, i, przykładowo, Marka Twaina, który ze względu na swe doświadczenia drukarskie i zecerskie utopił ogromny majątek w nieudanych próbach zrewolucjonizowania prasy drukarskiej (H 159–163). Nie mówiąc już o tym, że w historii literatury nie poświęca się uwagi intelektualistom i artystom w osobie drukarzy i badaczy dziejów druku, mocno zaangażowanych w tworzenie projektów i klasyfikacji typograficznych: postaci takie jak John Southward, Theodore Low De Vinne czy Daniel Berkeley Updike są wspominane jedynie w tekstach dotyczących historii typografii²⁸.

Oczywiście, rozłączne traktowanie sztuki (także literackiej) i technologii nie było, wbrew temu, co twierdzi Ingold, pomysłem całkiem nowożytnym. W świecie zachodnim technika i związane z nią zawody – postrzegane jako fizyczne, bo dziejące się w materii – już od greckiej starożytności nie cieszyły się szczególnym prestiżem kulturowym. Nowożytne wynalazki polegające na udoskonalaniu papieru oraz prasy drukarskiej, odpowiedzialnych za materialny aspekt książki, często pozostawały bezimienne. Ich autorstwo do dziś nie zaznacza się tak mocno w świadomości potocznej jak miana pisarzy. Trudno nie kojarzyć nazwiska Balzaka. Tymczasem nazwisko Louisa-Nicolasa Roberta, który, pracując dla wymienionej przez Balzaka drukarni Didotów, w 1798 roku zrewolucjonizował wytwórstwo papieru za pomocą maszyny produkującej go szybciej i lepiej niż robotnicy, mówi cokolwiek tylko wąskiej grupie specjalistów. Wiele o ówczesnym stosunku do technologii mówi zaś fakt, że Robert zmarł w nędzy, nie zyskawszy nic na swoim szybko rozpowszechnionym wynalazku. Papier, a dokładnie jego jakość – dodajmy – był istotny dla wzmiankowanej już estetyki typograficznej. Wspominane z nostalgią na początku *Straconych złudzeń* „piękne” wydawnictwo Didotów miało własny krój pisma (stworzony w 1784 roku i rozwijany przez kolejne pokolenia drukarskiej rodziny): kontynentalną antykę klasycystyczną. Wymagała ona nie tylko wielkiej pieczołowitości, ale też wysokiej jakości papieru²⁹.

Na wskazywaną przez Balzaka kondycję społeczną drukarzy miało także wpływ to, że już dla XVIII-wiecznego francuskiego mieszczaństwa robotnicy fabryczni – a do takich Balzak przyrównuje, choć nie wprost, zatrudnionych w drukarni – stanowią lud groźny i obcy. Zgodnie z dokonany przez anonimowego mieszczanina opisem Montpellier z 1786 roku – analizowanym w głośnej książce Darntona – pracownicy fizyczni, czyli „męty społeczne” (D 153) i „pospólstwo”, to główne zagrożenie porządku społecznego, gdyż „jest z natury swej złe, rozpustne oraz ma skłonności do wywoływania zamieszek i rabunków” (D 152). To właśnie ono symbolizuje zgniliznę moralną rozwijającego się dynamicznie miasta. Według mieszkańca Montpellier „przyzwoite rozrywki” przyzwoitych ludzi z dwóch pierwszych stanów – arystokracji i bogatego mieszczaństwa – w tym „Czytelnictwo dobrych książek, duch

²⁷ Zob. Olsen, *op. cit.*, s. 155.

²⁸ Zob. Baines, Haslam, *op. cit.*, s. 50.

²⁹ Zob. *ibidem*, s. 66.

filozoficzny rozszerzający swój zasięg z każdym dniem [...]” (D 156) – nie mają nic wspólnego z ówczesnymi drukarzami.

Ten stereotyp wykorzystuje później Balzak, czyniąc go sposobem opisu napięć społecznych zauważalnych we współczesnych sobie mechanizmach tworzenia książek. Druk – będący głównym motorem symboliczno-kulturowych przemian nowoczesności – ulega w owej prozie sprowadzeniu do materialno-cielesnego i niehumanicznego wymiaru, stając się metaforą alienacji rzemieślników oraz ich wytworów-tekstów, rzekomo należących do świata niematerialnych idei przetwarzanych przez elity parające się sprawami ducha. Nawet Marks nie był tak radykalny. W jego dziełach przemysł nie jest symbolizowany przez drukarnię, która dla myślicieli zachodniej nowoczesności symbolizuje to, co intelektualne i co świat przemysłu może nie tylko opisać, ale i zmienić. Balzakovska wizja postępującej alienacji towarzyszącej drukarniom – od ręcznego pocierania czcionek do druku coraz bardziej umaszynowanego – jest w powieści konsekwentna. Drukarnia, nawet ta, w której króluje jeszcze wyraźnie rękodzieło, stanowi świat materii, obcej człowiekowi niewtajemniczonemu w rzemiosło, w jakiej jego ciało porusza się niezgrabnie:

Na prowincji proceder drukarski jest zawsze przedmiotem tak żywej ciekawości, że klienci woleli raczej wchodzić przez oszklone drzwi zecerni, wiodące wprost z ulicy, mimo iż trzeba było schodzić w dół po kilku schodkach, ile że podłoga sali znajdowała się poniżej poziomu ulicy. Ciekawscy, oszołomieni, nie zważali na trudności przeciskania się przez zaułki pracowni. Wypatrując oczy na dziwne kołyski utworzone z arkuszy na zwisających z sufitu sznurach, potykali się o szeregi kaszt albo też zdzierali sobie kapelusz z głowy, zawadzając o sztaby żelazne pras. Śledząc zwinne ruchy zecera czerpiącego w stu pięćdziesięciu dwóch przegródkach kaszty, czytającego skrypt, odczytującego wiersz składu, wsuwającego międzylinię, wpadali na przyciśniętą ciężarami ryżę mokrego papieru lub uderzali o kant ławki; wszystko ku wielkiej ucieście małych i niedźwiedzi. [...] W głębi, opierając się o szerniały graniczny mur, wznosiła się przybudówka w nader oplakanyim stanie, gdzie się moczyło i przykrywało papier. Tam był ściek, gdzie się myło przed i po użyciu formy lub, mówiąc pospolitym językiem, płyty z czcionkami; spływały z nich popłuczyny farby, które, zmieszane z pomyjami, budziły w przybyłych na targ wieśniakach podejrzenie, że diabeł odbywa swoje ablucje w tym domu. [B 11–12]

Zauważmy, że w świetle tego opisu drukarnie, nawet prowincjonalne, wywołują w kulturze chłopskiej podobne wyobrażenia jak przemysł, odsłaniając i zarazem tworząc napięcia klasowe związane z akcesem lub niechęcią do kultury nowoczesnej, symbolizowanej przez prasę drukarską. Napięcia owe były wtedy silne. Jak wynika z badań nad zapleczem społecznym francuskiej literatury doby XVIII i XIX wieku, ówcześni literaci francuscy pochodzili z wszelkich możliwych warstw poza warstwą chłopską (zob. D 179). Wybór zawodu pisarza implikował zamieszkanie w mieście. Ponadto środowisko drukarzy już w XVIII-wiecznej Francji, choć ma długą tradycję, uchodzi za nietradycyjne. Liczne rytuały i praktyki pracowników drukarni – jak kocia muzyka wytwarzana przez uderzanie młotkami w ramy drukarskie i jeżdżenie wierszownikami po kasztach w celu zaatakowania kogoś, najczęściej pracodawcy, śmiechem i kpina – choć nawiązują do kultury ludowej, nie są do niej sprowadzalne. Bo wejście w świat tekstów, także ich produkcji materialnej, oznacza wejście w świat kontestacji władzy społecznej i politycznej. Druk dla Balzaka i jego współczesnych nie jest politycznie i światopoglądowo neutralny.

Jak wynika z relacji Contata:

Każdy pracownik, który zdradzi pozostałych, gdy drukowany jest jakiś tekst zakazany, [...] musi być sromotnie wyrzucony z drukarni. Jego koledzy umieszczają go na czarnej liście rozsyłanej do wszyst-

kich drukarni w Paryżu i prowincjach. <...> Oprócz tego wszystko jest dozwolone: pijarństwo uznaje się za dobrą cechę, waleczność i rozpisanie za przymioty młodości, zadłużanie się za oznakę sprytu, a niereligijność za objaw szczerości. Jest to wolne, republikańskie terytorium, gdzie wszystko jest dozwolone. Żyj, jak chcesz, ale bądź *honnête homme*, bez hipokryzji. [cyt. za: D 107]

Co ciekawe, ten aspekt rzemiosła drukarskiego ulega w *Straconych złudzeniach* przemilczeniu. Jeśli, zgodnie z relacjami Contata, pracownicy drukarni jako formacja kulturowa posiadają etos ściśle wiążący ich z kulturą nowoczesną, w jakiej utrwalona stratyfikacja społeczna i tradycje religijne podlegają rewizji, i to innej niż ta, którą reprezentuje ludowa kultura karnawału, u Balzaka są oni etosu pozbawieni. Ich polityczność – zwłaszcza unikanie za wszelką cenę neutralności, gdyż przestaje się ona opłacać, bo powoduje brak zaplecza dla drukarni w postaci konkretnych ośrodków władzy – wypływa jedynie z kalkulacji finansowych. Reprezentantów owej profesji nie łączą żadne rytuały cechowe ani tym bardziej wartości.

Przywołany w powieści ciekący na zewnątrz brud farby drukarskiej, budzący lęk i wstręt wieśniaków, jak każdy brud, jest – co wiemy już od Mary Douglas – czymś, co niezależnie od konceptualizacji kulturowych postrzega się jako zagrożenie dla kultury jako ładu³⁰. W przeciwieństwie do brudu tradycyjnego, popłuczyny farby drukarskiej nie są naturalną wydzieliną ciał – ludzkich lub zwierzęcych – lecz produktem maszyny. Dlatego uczestnicy kultury tradycyjnej traktują ściek jako demoniczny. To brud, który zagraża podwójnie, bo jego natura jest naturze obca. Rozwój drukarni zaś, zgodnie z opisami Balzaka, ma niewiele wspólnego z popytem na teksty oraz z potrzebami intelektualno-estetycznymi ich nabywców. Wiąże się przede wszystkim ze zmienną sceną polityczną i ekonomiczną oraz z rozwojem technologii maszynowej, wespół z nowymi formami pozyskiwania papieru. Potwierdzają to znawcy literatury. Przykładowo, według Erica Gilla o rozpowszechnieniu „nowoczesnych”, bardziej technicznych form liter drukowanych zadecydowało „Zapotrzebowanie komercji, a zwłaszcza druku gazetowego. [...] Szybko się one upowszechniły i wszystko zostało im podporządkowane”³¹.

Nie przypadkiem Balzak, opisując marzenia młodego Dawida Sécharda, który zajmuje się naukowo papiernictwem, nie omieszkuje przypomnieć czytelnikowi o jego ówczesnych kulisach. Przywołane przez autora *Straconych złudzeń* problemy nękające tę gałąź wytwórstwa są niemałe. Pod koniec XVIII i na początku XIX wieku zapotrzebowanie na papier oraz jego produkcja – w związku z jej doskonaleniem i mechanizacją – rozwijały się bardzo dynamicznie. Zbierane szmaty nie były w stanie zaspokoić ogromnego popytu. To dlatego młody Séchard myśli o rozwoju produkcji papieru z bezpośrednio pozyskiwanych materiałów roślinnych, spodziewając się w ten sposób rozwinąć rodzinny interes. Przykładowo, wiemy dziś, że w 1855 roku w USA zużyto na produkcję papieru 180 milionów ton szmat, w znacznej mierze importowanych (H 83). W wieku XIX w Anglii i w Niemczech chowanie zmarłych w lnianej odzieży uważane było za przejaw braku patriotyzmu, a periodyki wydawane zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych nakłaniały do oszczędzania łachmanów (H 79–80). Przełom nastąpił dopiero w 1844 roku, kiedy prowincjo-

³⁰ M. Douglas, *Czystość i zmaza*. Przeł. M. Bucholc. Wstęp J. Tokarska-Bakir. Warszawa 2007, s. 130.

³¹ E. Gill, *Esej o typografii*. Przeł. M. Komorowska. Kraków 2016, s. 42.

nalny wynalazca parający się na co dzień introligatorstwem – Friedrich Gottlob Keller – skonstruował maszynę do produkcji drzewnej pulpy. Jak mówi młody drukarz w powieści:

Gałganiarze zbierają w całej Europie szmaty, starą bieliznę i kupują szczątki wszelakich tkanin. [...] Te szczątki, przebrane i posortowane, gromadzą się u handlarzy szmat, hurtowników, którzy zaopatrują papiernię. [B 105]

Papier tworzy się ze szmat bawełnianych lub lnianych. Niższe ceny bawełny kupowanej przez biedotę i mieszczaństwo wpływają na jakość papieru, bo papier bawełniany jest mniej wytrzymały. Książki z niego wykonane po kwadransie moczenia przemieniają się – jak dowodzi Dawid Séchard – w „papkę”. „Koszule i książki staną się mniej trwałe, to wszystko. Rzetelność wytworów zanika na całej linii” (B 106). Książka dla drukarza, nawet jeśli jest on tak wykształcony i tak bardzo poświęca się dla kariery literackiej głównego bohatera jak przywołany młody Séchard, to rzecz pozyskiwana ze szmat i porównywalna do koszul. Podlega tym samym mechanizmom rynkowym co inne produkty, których rosnąca taniość i nietrwałość przeczą wizjom nowoczesnego postępu. Obszerny *passus* dotyczący piśmiennictwa – odsłonięcie podstaw materialnych literatury – wydaje się u Balzaka znaczący. Żaden z nowoczesnych pisarzy XIX wieku nie posunął się tak daleko w przekonaniu, że materia i ciało określają świadomość, bo żaden tak radykalnie nie ujrzał w literaturze jej fizyczności.

Cielesność druku: o Ingoldowskiej wizji pisania raz jeszcze

Jednym z pierwszych teoretyków, którzy dostrzegli fakt, że druk stanowi technologię nie tylko „umysłu”, ale przede wszystkim ciała, był, rzecz jasna, Ingold. Zwrócił on też uwagę (o czym już wspomniałam), iż koncepcja języka jako osobnej, „bezcieleśnej” domeny przedmiotowej jest dziełem nie tyle technologii pisma, ile późniejszego wynalazku Johanna Gutenberga – choć stwierdzenie to było u niego jedynie hipotezą. Ingold zakładał, że niewykluczone, iż także wynalazek stalówki, pozwalający odciążyć przy pisaniu ramiona na rzecz bardzo oszczędnych i niewymagających dużego wysiłku ruchów palców ręki spoczywającej na stole, przyczynia się do „złudzenia bezcielesności, w tym znaczeniu, że podczas pisania ręka wraz z narzędziem, które trzyma, jest posłuszna nakazom myśli zamieszkującej osobny świat, z dala od uruchamianych przez nią działań” (I 389).

A jednak w ujęciu Ingolda tworzenie tekstu drukowanego nie zawiera komponentu cielesnego, ale tylko fizyczny. Albowiem egemplifikacja cielesności pisania to dla brytyjskiego antropologa gest piszącej/kaligrafującej ręki: gest intencjonalny, niepowtarzalny, pozwalający w śladzie pozostawianym na papierze odzwierciedlić zmienny nastrój piszącego i niepowtarzalny dukt pisma. Zgodnie z tym myśleniem prasa drukarska, podobnie jak maszyna do pisania, „nie jest ani czuła, ani staranna w wykonywaniu znaków, które przez to nie noszą żadnych śladów ludzkiego odczuwania” (I 388).

Ingold nie przeczy, że „pisanie na maszynie jest czynnością wykonywaną odręcznie” (I 388), podobnie jak używanie prasy drukarskiej w czasach Balzaka. A jednak wykorzystanie maszyny posługującej się reprodukowaną na stronicy

zczionką powoduje, zdaniem uczonego, utratę ważnego narzędzia ekspresji – druk okazuje się raczej apoteozą fizyczności niż cielesności:

Wyłączany przez mechanizm urządzenia *ductus* ręki nigdy nie kreśli własnej ścieżki na stronie. Ręce osób piszących zawodowo na maszynie tańczą na klawiaturze, a nie na stronie, ich delikatne palce zaś nie zostawiają na twardych klawiszach żadnych śladów. [I 389]

Poczucie niematerialności druku wzmagane jest, według Ingolda, także przez fakt, że drukowane litery wytaczają na stronie, zgodnie z nomenklaturą badacza, „linie-ślady”³². Są to linie traktujące powierzchnię jako czysto wizualny kontekst, z którym litery, ich kształt, forma, rozmieszczenie, nie powinny interferować. W przypadku linii-śladów kartka to neutralna przestrzeń, na jaką nanosi się zapis w taki sposób, aby jej fizyczność zlekceważyć, a nie ją eksplorować. Papier ma idealnie wchłaniać farbę, być biały i gładki, fizycznie prawie niedostrzegalny.

Podobna wizja druku przyświecała wcześniej Balzakowi. Prasa drukarska nie nosi śladów tego rodzaju intencjonalności, jaką Ingold przypisuje ciału: improwizującemu, poszukującemu własnych rozwiązań, używającemu narzędzi tak, jakby były one przedłużeniem ekspresji i procesualnym odkrywaniem możliwości materii, w zespoleniu z którą pracuje osoba tworząca tekst. Jeśli stary Séchard uruchamia prasę ze „zwinnością godną młodego niedźwiedzia” (B 13), oznacza to, że w procesie druku liczy się bardziej siła fizyczna, właściwa mięśniom młodych rzemieślników, niż maestria cielesna osiągnięta dzięki intencjonalnym gestom ciała posiadającego określoną sztukę – rzemiosło, oraz niepowtarzalne doświadczenie. Znowu: maszynę traktuje się tu jako egzemplifikację kulturową czystej fizyczności. Ponieważ Balzak pisze o wynalazku – artefakcie, którego konsekwencje społeczne i polityczne noszą, zgodnie z diagnozą prozaika, wszelkie znamiona najbardziej radykalnej w epoce nowoczesnej rewolucji kulturowej, jest to dość zastanawiające. Dlaczego prasa drukarska w *Straconych złudzeniach* to tylko przemoc i fizyczność? I dlaczego technologia staje się wytworem materii przeciwstawianej temu, co duchowe? Jej produkty – teksty – są jej narzędziami, nie są bowiem – jak głoszą ideologie XIX-wieczne – dziełami ducha, lecz produktami materii, zaangażowanej w procesy władzy i wymiany handlowej. Jeśli Hannah Arendt twierdzić będzie później w słynnym eseju, że przemoc jest apolityczna, ponieważ rezygnuje z języka i rozmowy na rzecz działania fizycznego³³, Balzak odkrywa ją w literackim i dziennikarskim działaniu słowem, deprecjonując je poprzez wskazanie jego fizyczności.

U podstaw myślenia Balzaka, jak już ustaliliśmy, leży nowoczesna dychotomia tego, co fizyczne, i tego, co duchowe. Tyle że w *Straconych złudzeniach* nie ma ona charakteru ontologicznego i jest wyraźnie podważana. Świat literatury jako twórczości wybitnych umysłów to nie osobna domena przedmiotowa. Jej fizyczna geneza tkwi w materii poddawanej technologii, którą Balzak przywołuje i eksploruje jako samodzielny temat literacki. Jeśli, o ile Bruno Latour twierdzi słusznie, o europejskiej nowoczesności zadecydowało to, co określa on mianem „konstytucji nowoczesnej”, czyli podział świata na to, co społeczne/mentalne, i na to, co naturalne/fi-

³² T. Ingold, *Lines: A Brief History*. London – New York 2007, s. 39–71.

³³ H. Arendt, *O przemocy*. W: *O przemocy*. – *Nieposuszerstwo obywatelskie*. Warszawa 1998 (przeł. A. Łagodzka).

zyczne/cielesne – podział, dzięki któremu drugi człon tej triady może być kontrolowany, zarządzany, pozbawiony podmiotowości, sprawczości i dostosowany do celów społecznych jako celów nadrzędnych³⁴ – to Balzak w swojej powieści demonstrowa tę konstytucję. Z jednej strony, pokazuje społeczny, związany z mechanizmami fetyszyzmu towarowego, wymiar fizycznej i cielesnej produkcji książek. Z drugiej zaś, ujawnia fizyczność i łączącą się z nią przemoc wpisana w to, co przywykliśmy traktować jako symboliczne istnienie tekstów postrzeganych jako domeny bezcielesnych znaczeń. Na długo przed doświadczeniami awangardy, eksperymentującej z ciałem i materialnością tekstów³⁵, oraz przed Billem Brownem, ogłaszającym nurt zwany „materializmem tekstualnym”, który polegać ma „analitycznej obiektywizacji skoncentrowanej na fizycznych właściwościach tekstu”³⁶, Balzak postuluje zwrot cielesny i materialny w ujmowaniu literatury. A zarazem ani przez moment nie ma złudzeń, że ujawni on coś więcej niż społeczny wymiar ludzkiej cielesności i fizyczności: coś więcej niż towarzyszące im mechanizmy ekonomiczne i polityczne. Demaskowane w *Straconych złudzeniach* poczucie bezcielesności tekstu to nie, zgodnie z Balzakowską diagnozą, dzieło druku – technologii maszynowej reprodukcji tekstów – lecz ściśle powiązanego z nim kapitalizmu.

W większości XIX-wiecznych dyskursów, z którymi podejmuje polemikę Balzak, książka jest chyba jedynym przedmiotem niekojarzonym wprost z kapitalistyczną, masową i maszynową produkcją podporządkowaną mechanizmom rynkowym. Jest przedmiotem, którego kondycję „bycia produktem” i zarazem „obiektem wymiany handlowej” gorliwie wypiera się do niepamięci społecznej. Jako taka, stanowi książka część imaginarium kultur nowoczesnych – imaginarium, które rozumiane jest za konceptem Charlesa Taylora, zastosowanym niedawno w głośnej książce Andrzeja Ledera, jako „poziom świadomości i nieświadomości społecznej”, nadający sens praktykom społecznym, „ustalający normy i standardy” przyznające moc moralną i emocjonalną „obiektem, postaciom i sprawom”³⁷. W imaginarium tym wspólnoty wyobrażone, a także sfera symboliczna kultury, reprezentowana przede wszystkim przez teksty drukowane, nie są konstruktami. Nie mogą być zatem tworzone przez masową produkcję takich artefaktów kultury druku, jakimi są książki. Siła demistyfikacji zawartej w *Straconych złudzeniach* poprzez opis targu książek, na którym spotykają się intelektualisci i prostytutki, kupcząc porównywanymi do siebie tekstami i ciałami (B 241–246), jest niezrozumiała, jeśli nie pojmimy, z jak silnym, także dziś, mitem książki drukowanej rozprawia się Balzak.

Zrównanie tekstu z ciałem stanowi zarazem w omawianej powieści narzędzie jego deprecjacji. Ciało bowiem – wbrew nowoczesnym mitologiom przetwarzanym jeszcze przez sztukę XX-wieczną – nie jest tu rezerwuarem naturalności, sponta-

³⁴ B. Latour, *Nigdy nie byliśmy nowocześni. Studium z antropologii symetrycznej*. Przeł. M. Gdula. Warszawa 2011.

³⁵ Zob. A. Karpowicz: *Kolaż – awangardowy gest kreacji: Themerson, Buczkowski, Białoszewski*. Warszawa 2007; *Gatunki logowizualne: od krytyki języka do krytyki społecznej*. „Zagadnienia Rodzajów Literackich” 2011, z. 2.

³⁶ Zob. B. Brown, *Textual Materialism*. „PMLA” 2010, nr 1, s. 25. Cyt. za: B. Shallcross, *Materialność i codzienna logosfera*. W zb.: *Nowa humanistyka. Zajmowanie pozycji, negocjowanie autonomii*. Red. P. Czapliński [i in.]. Warszawa 2017, s. 198.

³⁷ A. Leder, *Prześlona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej*. Warszawa 2014, s. 11.

niczności i tego, co ostatecznie może odsłonić pozajęzykowe i pozaspołeczne aspekty ludzkiego doświadczenia. Nie jest także tym, co widzi w nim myśl ponowoczesna, dopatrując się w ciele potencjału emancypacyjnego: odzyskania „kreatywności” i „żywotności”, „ciepła czytelniczego i autorskiego”, „zmysłowości czytania” (wykraczającej poza „dyktaturę sensu”), „destrukcji autorytatywności rozumu”³⁸.

Ciała, podobnie jak książki, podlegają u Balzaka procesom utowarowienia i komercjalizacji, dokładnie zaś temu, co Marks nazwie później „fetyszyzmem towarowym”. Nadaje im się znaczenia dalekie od sensów związanych z ich bezpośrednim użyciem – znaczenia podporządkowane rynkowi, a zarazem wpisujące ich użytkowników w określone wspólnoty symboliczne oraz konkretne struktury społeczne i ekonomiczne. Jeśli – co wydobywał Paul Willis w swojej egzegezie Marksowskiej kategorii fetyszyzmu towarowego – w rozwiniętym kapitalizmie towar ukrywa stojące za nim mechanizmy produkcji oraz to, dla kogo, po co i dlaczego został stworzony – stając się „społecznym hieroglifem”³⁹, to książka drukowana okazuje się, mówiąc językiem Willisa, „towarem kulturalnym”, prezentującym siebie jako „hieroglif, którym nie wolno mu być”. Rangę symbolu fetyszyzmu towarowego u Balzaka – ściśle łączącym się z masową, uprzemysłowioną produkcją oraz konsumpcją, wprowadzającymi „dystans i wyzysk do związków międzyludzkich”⁴⁰ – uzyskuje książka drukowana. I dzieje się to, zauważmy, zanim Marks podda ten fakt namysłowi teoretycznemu.

Odnotujmy również, że – jak pisze Bożena Shallcross – problematyzowany i znoszony przez współczesnych teoretyków „Dualizm przedmiotu i tekstu, jeden z kilku ważniejszych w grupie dychotomii definiujących myślenie w kulturze zachodniej”, funkcjonujący „na zasadzie epistemy, poznawalnej pewności”, oraz związany z nim „binarny podział między słownym zapisem i jego materialnym podłożem”⁴¹, który nadal wytycza granice między dziedzinami nauki a kategoriami ich refleksji, nie jest wynikiem określonych zjawisk z dziedziny historii idei. Nie jest pokłosiem zachodniego idealizmu, łączonego najczęściej z Platonem i Kartezjuszem. Nie jest też efektem – jak twierdził Ong – schludnej, zorientowanej na czytelnika, a nie na wytwórcę, maszynowości druku. Jest dziełem tego, co stanowi ośrodek refleksji samego Balzaka: kapitalizmu przemysłowego, który ukrywa mechanizmy ekonomiczno-polityczne, nakazując myśleć złudzeniami „czystej”, odezwanej od ciała kreatywności, nagradzanej prestiżem społecznym i traktowanej – zgodnie ze sformułowaniem Homera G. Barnetta – jako mentalne „nowatorstwo polegające na łączeniu idei”⁴².

³⁸ Burzyńska, *op. cit.*, s. 25, 23–24.

³⁹ K. Marks, *Kapitał. Krytyka ekonomii politycznej*. T. 1, ks. 1: *Proces wytwarzania kapitału*. Przeł. E. Lipiński, J. Maliniak. Warszawa 1951, s. 79.

⁴⁰ P. Willis, *Wyobrażenia etnograficzna*. Przeł. E. Klekot. Kraków 2005, s. 85, 92.

⁴¹ Shallcross, *op. cit.*, s. 197. Jeśli chodzi o badawcze przekroczenie tego podziału, zob. np. P. Rodak, *Dziennik pisarza. Między codzienną praktyką piśmienną a literaturą*. „Pamiętnik Literacki” 2006, z. 4.

⁴² Cyt. za: Liep, *op. cit.*, s. 6.

Abstract

MARTA RAKOCZY University of Warsaw
ORCID: 0000-0002-7967-2939

SILENCED PHYSICALITY OF PRINT: BALZAC, MODERNITY, AND LITERATURE

The text refers to the diagnoses of relationships between the body, print, and modernity in Honoré de Balzac's *Lost Illusions*. As based on the cultural history of the book and the circles associated with its production, the author attempts to analyse how Balzac evokes and reformulates the modern division between the spiritual work of writers-creators and the physical work of printers-craftsmen, and reveals the physical and material production of texts as a process constituting the social background of modern literature. She assumes that the dualism of the body and text, materiality and semioticity of literature, is not only the result of specific phenomena in the field of the history of ideas, and not an effect—as Walter J. Ong claimed—of the very visibility of a massively reproduced, reader-oriented book. On the basis of the recognition of Balzac himself, she argues that this dualism is the work of processes of developing capitalism, which, through the material production of illusions of “pure,” detached from the body, creativity, conceals certain economic and social mechanisms, deciding, *i.e.*, on the formative function of modern literature.

PIOTR PIETRZYCH Łódź

PRZEPISYWANIE RÓŻEWICZA (W POŁOWIE LAT PIĘDZIESIĄTYCH XX WIEKU)

Tytuł zapożyczam od Andrzeja Skrendy, który w *Przepisywaniu Różewicza* przedstawił niebagatelną skalę zmian, jakie autor *Niepokoju* wprowadził do zbioru uznanego powszechnie, choć nie do końca ściśle, za jego debiut książkowy¹. Trudno nie doceniać wartości szczegółowych zestawień i faktograficznych uwag Skrendy, choć trudno jednocześnie zgodzić się z jego interpretacją działań Tadeusza Różewicza. Badacz dopatruje się w nich bowiem gestu godnego wizjonerskiego poety, który wyprzedzał swój czas i który już w połowie XX wieku przejawiał postmodernistyczną świadomość zasadniczej niestabilności tekstu literackiego². Interpretacja to tyleż efektowna, co nieprzekonująca – i na gruncie tekstów Różewicza, i na gruncie tekstów Skrendy³. Zdecydowanie lepiej broni się założenie, że Różewicz przeredagowywał swoje utwory – nie tylko poetyckie – przygotowując kolejne ich wydania, podobnie jak przed nim i po nim robili to i robią inni autorzy.

Oczywiście „przepisywanie” własnej twórczości, jakkolwiek nie jest zjawiskiem niezwykłym, nie jest też działaniem niewinnym. Może wpływać – i nierzadko wpływa w sposób znaczący – na możliwości interpretacyjne, które tekst otwiera.

Poszerzając obraz Różewiczowskiego „przepisywania”, postaram się je pokazać na przykładzie tekstów prozatorskich, wydobywając ważką motywację literackich i redakcyjnych decyzji autora *Niepokoju* podejmowanych przez niego w połowie lat pięćdziesiątych, działań, które w istotny sposób wpłynęły na późniejszą recepcję jego twórczości.

1

Początki aktywności literackiej Różewicza kojarzone bywają zazwyczaj z wierszami z wydanego w 1947 roku *Niepokoju*, ale to skojarzenie nie do końca uprawnione. Nawet jeżeli pominąć utwory napisane w okresie partyzanckim i wydane jako druk konspiracyjny w tomiku *Echa leśne*⁴, pozostaje faktem, że powojennym debiutem

¹ *Przepisywanie Różewicza* A. Skrendo po raz pierwszy ogłosił w tomie zbiorowym *Przekraczanie granic. O twórczości Tadeusza Różewicza* (Red. W. Browarny, J. Orska, A. Poprawa. Kraków 2007), a następnie przedrukował w swojej książce *Przodem Różewicz* (Warszawa 2012).

² Skrendo, *Przodem Różewicz*, s. 123.

³ Pisałem o tym szerzej przy innej okazji – zob. P. Pietrych, „*Niepokój*” – niemal zapomniany tom poetycki Tadeusza Różewicza z 1947 roku. „Pamiętnik Literacki” 2017, z. 2, s. 144.

⁴ Publikacja szerzej znana dopiero od „normalnego” wydania książkowego w 1985 roku.

książkowym młodego autora nie był zbiór wierszy zawierający *Ocalonego*, ale zbiór satyrycznych wierszyków zatytułowany *W tyżce wody*, wydany w Częstochowie w 1946 roku⁵. Faktem pozostaje także, że tuż po wojnie równocześnie z wierszami, które znajdą się potem w *Niepokoju* i następnie wejdą (albo nie) do kanonu wierszy Różewicza, drukował on utwory prozatorskie inspirowane w przeważającej mierze własnymi przeżyciami z okresu wojny. Początki twórczości Różewicza nie kojarzą się jednak z tekstami satyrycznymi czy z prozą zapewne dlatego, że o ile wiersze – których pisał on w tym okresie dużo – regularnie ukazywały się w kolejnych tomikach (w pierwszym powojennym dziesięcioleciu wyjątkowo licznych), o tyle jego utwory satyryczne miały wydanie książkowe dopiero w 1955 roku w tomie *Uśmiechy*. Podobnie rzecz się ma z pierwszymi opowiadaniem – ukazały się w książce także dopiero w roku 1955, w zbiorze zatytułowanym *Opadły liście z drzew*.

Niewielką w sumie książeczkę tworzyły dwie grupy tekstów: pierwszą stanowiły te, które miały pierwodruki w prasie literackiej w latach 1945–1948, drugą – opublikowane po raz pierwszy niedługo przed ukazaniem się całego zbioru, w latach 1954–1955⁶. Te dwie grupy różni nie tylko czas powstania, ale i stosunek do nich autora przygotowującego publikację książkową: opowiadania z lat czterdziestych Różewicz poddał zabiegom redakcyjnym, niekiedy bardzo zasadniczym i znaczącym, co sygnalizowała zmiana tytułów. Największe zmiany wprowadził do utworu, którym zadebiutował po wojnie jako prozaik, a który w pierwodruku nosił tytuł *Borem, lasem...*, natomiast w późniejszej o 10 lat wersji książkowej – *Ciężar*⁷.

Materiał tematyczny ma tu, podobnie jak w większości wczesnych opowiadań autora *Niepokoju*, charakter autobiograficzny: Różewicz, który przez kilkanaście miesięcy był członkiem partyzanckiego oddziału Armii Krajowej, zabrał do lasu egzemplarz *Króla-Ducha* Juliusza Słowackiego, ale spory tom okazał się w prymitywnych warunkach leśnego życia i w czasie licznych przemarszów przede wszystkim uciążliwym ciężarem i ostatecznie został przez młodego partyzanta wrzucony do ogniska na jednym z postojów⁸. W *Borem, lasem...* i w *Ciężarze* wrzucenie książki do ogniska to scena finałowa, poprzedzona kilkoma obrazkami z partyzanckiego życia: opisem wyczerpującego marszu w upale, a następnie postoju na leśnej polanie, który wypełniają prozaiczne czynności, takie jak pranie bielizny, zabijanie wszy, jedzenie „świniny”. Narracja w utworze jest trzecioosobowa, ale konsekwentnie prowadzona z punktu widzenia Gustawa, członka oddziału; trudno tej postaci, pierwszoplanowej także w większości pozostałych opowiadań Różewicza z tego okresu, nie utożsamiać z samym autorem.

Działanie redaktorskie Różewicza, który *Borem, lasem...* „przepisał”, przekształcając w *Ciężar*, można, poza zmianą tytułu, sprowadzić do jednego zabiegu: skró-

⁵ Inną sprawą, że jest to druk efemeryczny i praktycznie niedostępny, nie ma go w swoich zbiorach nawet Biblioteka Narodowa.

⁶ Zob. zestawienie pierwodruków dokonane przez J. Waligórę (*Proza Tadeusza Różewicza*. Kraków 2006, s. 11, przypis 2).

⁷ T. Różewicz: *Borem, lasem...* „Odrodzenie” 1945, nr 43, z 23 IX, s. 3; *Ciężar*. W: *Opadły liście z drzew*. Warszawa 1955, s. 15–21.

⁸ Zob. *Wbrew sobie. Rozmowy z Tadeuszem Różewiczem*. Oprac. J. Stolarczyk. Wrocław 2011, s. 21, 306–307.

cenia tekstu. Były to wszakże skróty nie tylko pokazne objętościowo, ale też istotne dla interpretacji obu utworów.

Zakres skrótów dobrze widać na przykładzie dwóch opisowych akapitów z fragmentu początkowego:

BOREM, LASEM...

Oddział posuwał się szybkim marszem. Chmura kurzu zasnęła maszerujących i tylko miarowy odgłos świadczył o tym, że pelzający obłok ma sto kilkadziesiąt podkutych gwoździami kończyn. Znużona, splątana droga rozwijała się mozolnie pod nogami piechurów. Wielogodzinny marsz osiadał ołowiem w całym ciele, usztynwione nogi grzebały w sypkim, miłkim piachu i miesiły go na ciasto. Ludzie maszerowali przygarbieni, na grzbietach nieśli plecaki, tornistry albo zgoła zwykłe parciane worki, na pośladkach kolebały się chlebaki, torby z amunicją, kwiliły metaliczne manierki, brzęczały łopatk, bagnety. Słońce na niebie rozpałało się coraz mocniej, jakby ktoś podrzucał niezmordowanie paliwa. Od fali gorąca spływającej z nieba schła ziemia, trawy mdlały i kładły się czarne w przydrożnych rowach. Po drodze nie było wsi, spalonego krajobrazu nie przecinał żaden strumień, świat czuć było w ustach jak garść miłkiego, suchego i gorzkiego pieprzu.

[...]

Słońce schodziło na drugą połowę nieba, skośne długie promienie przebijały gęstą, zieloną chmurę nad głowami maszerujących i fruwały jak lekkie, świetliste motyle, przysiadając na mchach i czerwonych pniach sosen. Z gęstej poręby, z ciemnego, niezgłębionego łona, z pachnących żywicą piersi lasu, zaczęła się saczyć przejrzystą, czystą strugą nuta jakiegoś leśnego ptaka. Śpiew to wzbijał się wysoko, to znów opadał jak cudowna srebrna sieć na głowy, drżał na gałęziach smukłych jasných brzózek, wsiąkał w ziemię.

CIEŻAR (s. 15–16)

Chmura kurzu zasnęła maszerujących. Wielogodzinny marsz osiadał ołowiem w całym ciele; usztynwione nogi grzebały w głębokim piachu, jakby miesiły go na ciasto. Ludzie maszerowali przygarbieni, na grzbietach nieśli plecaki, tornistry albo zgoła zwykłe parciane worki, na pośladkach kolebały się manierki, łopatk, bagnety. Od fali gorąca schła ziemia, trawy mdlały i kładły się czarne w przydrożnych rowach.

[...]

Słońce schodziło na drugą połowę nieba, skośne, długie promienie przebijały zieloną zasłonę nad głowami maszerujących i leciały jak świetliste motyle po mchach i czerwonych pniach sosen.

Różewicz w 1955 roku wykreślał epitety, ale przede wszystkim radykalnie przycinał tekst: w pierwszym z cytowanych akapitów z siedmiu zdań zostają trzy, w drugim – z trzech jedno. Przykład ten stanowić może uzasadnienie dla sądu Janusza Waligóry, że w *Cieżarze* Różewicz dążył do ograniczenia „młodopolskiej lirykacji opisu”⁹. Choć warto zauważyć, że skróty bywają czasem mechaniczne i nie zawsze prowadzą do ukonkretnienia narracji: zmiana tytułu i usunięcie pierwszego zdania w *Cieżarze* powoduje, że czytelnik może mieć początkowo problem z określeniem, kim są maszerujący, z kolei usunięcie zdania ze słońcem sprawia, że niejasne staje się pochodzenie „fali gorąca”, o której mowa w zdaniu następnym. Na-

⁹ Waligóra, *op. cit.*, s. 28.

tomiast zmiany w drugim akapicie dobrze pokazują, że jakkolwiek cięcia są radykalne, nie oznaczają całkowitej rezygnacji z „liryzacji opisu”.

Oczywiście skala skrótów bywa w całym utworze zmienna, niemniej *Ciężar* to tylko dwie trzecie tekstu *Borem, lasem...* Co istotniejsze, skróty, i to nawet niewielkie, mogą wprowadzać znaczące przekształcenia semantyczne zdecydowanie wykraczające poza redukcję „liryzacji”. Tak dzieje się w przypadku sceny finałowej; cytaty podaję w większości tylko za *Borem, lasem...*, bo istotne zmiany pojawiają się dosłownie w ostatnich zdaniach zakończenia:

Rozłożył koc koło Heńkowego i wywalił z plecaka i chlebaka wszystkie wnętrzości. Z deszczem metalowych, złocistych łusek, między brudnymi onucami i tłustymi szmatkami do czyszczenia broni, wypadła książka średniego formatu, w brązowej twardej okładce z wytłoczonym czarnym tytułem: *Król-Duch*. Gustaw wziął książkę i ważył ją w dłoni, jakby obliczał ciężar, wreszcie wstał i poszedł w stronę kuchni. W popiele tliły jeszcze rude główne. Obok ognia stał z rondelkiem Oset. Gustaw otworzył książkę i wydarł dwanaście kart pierwszego rapsodu.

– Co tam tak liczysz i medytujesz, Gustaw!

– A nie! Bo to tylko zawadza...

– Daj no, bracie, trochę tego papieru, jak ci zawadza, przecie i d...ie sprzykrzyło się to ucieranie listkami i ściółką!

Gustaw się nie odezwał. Z rozmachem cisnął w ognisko książkę; poleciała jak ptak, rozkładając w locie brązowe okładki. Za chwilę z popiołu buchnął jasny, wesoły płomień. Oset kucnął przy ogniu z rondelkiem, wbił trzy jajka i zaczął mieszać łyżką jajecznicę, przyspiewując:

BOREM, LASEM...

Stary dziaduś
z siwą bródką
włożył na kożę,
trzęsie d...a...

– posunął książkę dalej w ogień, karty zwijały się, skręcały czarne i rozpadały, Oset podniósł głowę do góry.

– Ech, Gustaw, bracie znasz to: „Nie czas żałować róż, kiedy płoną lasy”?... To też – Jego.

Po chwili znów podśpiewywał i mieszał jajecznicę. Z popiołu strzelał w górę jasny, radosny płomień.

CIEŻAR (s. 21)

Stary dziaduś
z siwą bródką
włożył na babcię,
trzęsie dupką.

Posunął książkę dalej w ogień, karty zwijały się, czerniały i rozpadały.

Z popiołu strzelał w górę jasny, radosny płomień.

Bardziej skrótowa narracja *Ciężaru* wydobywa kontrast między gestem spalania *Króla-Ducha* a trywialnością realiów, smażeniem jajecznicy i przaśną przyspiewką, wydobywając tym samym nieprzystawalność poematu romantycznego do partyzanckiej rzeczywistości. Można wręcz, jak dowodzi przykład Andrzeja Kijowskiego, upatrywać w tej scenie potencjał symboliczny. Recenzując w 1955 roku zbiór *Opadły liście z drzew*, Kijowski dostrzegł w *Ciężarze* „programowy akt pogardy dla sztuki” i konstruował znamionną paralelę: „Opowiadanie to przywodzi na pamięć *Pożegnanie z Marią* albo *Chłopca z »Biblią«* Tadeusza Borowskiego, który także niejednemu raz wygrażał kulturze za to, że w najcięższych chwilach okazała się zbędnym balastem”¹⁰; sugestię takiej interpretacji podjęli inni czytelnicy i badacze

¹⁰ A. Kijowski, *Źródło spokoju*, „Nowa Kultura” 1955, nr 38, z 18 IX, s. 6.

twórczości Różewicza, Waligóra pisze w tym kontekście o „swoistej demitologizacji” wzorców romantycznych¹¹.

W wersji *Borem, lasem...* scena finałowa wypada zdecydowanie mniej dramatycznie. Decyzja Gustawa nie oznacza, jak chciał Kijowski, aż „pogardy dla sztuki” – znamienne, że Gustaw nie zgadza się na praktyczne wykorzystanie książki romantycznego poety jako papieru toaletowego, szczegół, który pozostał także w *Ciężarze* – co nie mniej ważne, decyzja ta spotyka się z pełnym zrozumieniem. Wykazujący się nim Oset nie tylko bowiem smaży jajecznicę i śpiewa o „d...ce” (*nb.* normy obyczajowe w stosunku do słowa drukowanego, jak widać, w ciągu 10 lat zelżały), ale i przywołuje słowa wieszcz. To ważne z dwóch powodów: po pierwsze – słowa te bohaterowie przechowują w pamięci i materialny nośnik nie jest niezbędny, co osłabia wymowę faktu spalenia książki; po drugie – sytuacja nie tylko nie prowadzi do dewaluacji czy zakwestionowania słów poety romantycznego, ale też je właśnie potwierdza. Sam gest Gustawa ma w takim kontekście przede wszystkim walor pragmatyczny, a nie symboliczny, to decyzja pozbycia się ciężkiego przedmiotu utrudniającego życie partyzanta.

Zestawiając *Borem, lasem...* i *Ciężar* przywołać trzeba dwa znaczące opuszczenia będące efektem działań „przepisującego” Różewicza.

Pierwsze to krótka scenka z kapralem Koziółkiem mobilizującym do dalszego marszu, w *Ciężarze* w całości pominięta:

Koziółek latał już od grupki do grupki, od drzewa do drzewa – i krzyczał. Ludzie zrywali się i ustalali, niektórzy kleli i marudzili, kilku chrapało.

– Wstawaj! Wstawaj, byku! Widzicie go, jak się rozwalił. No dalej, jeszcze sto metrów.

Ale trzech czy czterech nie ruszyło się wcale.

– Cholera z nimi, zabrać tylko karabiny i jazda, jutro dołączą sami.

Dość zaskakująca jest ta pobłażliwość kaprała Koziółka dla członków oddziału, którzy ze zmęczenia posnęli na chwilowym postoju, lecz jakkolwiek ją oceniać, przynosi ona ważną informację: oddział najwyraźniej nie znajduje się w sytuacji bezpośredniego niebezpieczeństwa, skoro tak można postąpić ze zmęczonymi partyzantami, wędrówka jest wyczerpująca i nużąca, ale nie towarzyszy jej realne zagrożenie.

I wreszcie jedno z najobszerniejszych opuszczeń; Gustaw układa się do snu:

BOREM, LASEM...

Pod głowę wsadził chlebak, żeby było wyżej, zwinął się i leżał w ciemnościach nocy, w szumiącym łagodnie łonie lasu. Było mu coraz cieplej, ale zaczęła swędzić i palić skóra, najpierw pod pachami, a potem na udach, brzuchu i pośladkach. To świerz. Wiercił się i przewracał z boku na bok, wreszcie odrzucił koc i leżał pogrążony w chłodnej fali wiatru. Ugniatało go coś w głowę.

CIEŻAR (s. 19)

Okręcił się kocem, pod głowę wsadził chlebak, żeby było wyżej.

Było mu coraz cieplej, ale zaczęła swędzić i palić skóra, najpierw pod pachami, a potem na udach, brzuchu i pośladkach. Świerzb. Wiercił się i przewracał z boku na bok, wreszcie odrzucił koc i leżał pogrążony w chłodnej fali wiatru. Ugniatało go coś w głowę.

¹¹ Waligóra, *op. cit.*, s. 28. Zob. też Z. Majchrowski, „Poezja jak otwarta rana”. (*Czytając Różewicza*). Warszawa 1993, s. 196–197.

– Pewnie znów ten *Król-Duch* – pomyślał – trzeba go wsadzić pod szmaty, ciężkie to i twarde, i tylko tyle z tego pożytku! Wysoko się latało, niby do obozu niosło się w plecaku *Króla-Ducha* i *Słowo o bandosie*. *Król-Duch* leżał przez kilka miesięcy między pakułami, onucami i wiechetkami do butów. Trzeba go wyrzucić, tylko cięży w marszu. Przez te kilka miesięcy partyzantki te wszystkie górne i chmurne rzeczy tak twardniały, zamieniały się w ciężar niepotrzebny, trza było ciągle coś odrzucać.

Gustaw leżał i myślał, że to wszystko jest teraz takie szare i zwyczajne, że opisze kiedyś wszystko i będzie z tego długa i nieciekawa historia. Tak jak było, nie można pisać, będą o tym różnie pisali i różne historie z tego powychodzą, „pierdółki inteligenckie”, jak mówi szef.

W oddziale nikt nie używał wielkich słów, jakby nie istniały. Nie było tu bohaterów, pola chwały, obowiązku obywatelskiego, zaszczytnej służby, brakło ołtarza ojczyzny – jeśli ktoś zaczynał w ten deseń, bractwo robiło „śmichujaszki”, a Koziołek, jeśli był w pobliżu, mówił: – Ale bo, duperele, duperele! Może słusznie. Bo jakie tu bohaterstwo! Marsz, marsz, marsz, trochę strzelaniny i kogoś tam zabijają. Czyści się karabin, obiera kartofle, goni się Niemców, gniecie wszy, pierze gacie, gubi się świerzba, maszeruje się, strzela, zje szwininę – to jakby już wszystko, bohaterstwo, a może to właśnie! A ojczyzna taka ogromna i jest wszędzie, nie myśli się o niej i nie nazywa...

Gustaw owinał się w koc, zrobiło mu się znów ciepło.

„Pewnie znów ten *Król-Duch* – pomyślał – trzeba go wsadzić pod szmaty, ciężkie to i twarde... Wysoko się latało, do lasu niosło się w plecaku *Króla-Ducha* i *Słowo o bandosie*. *Król-Duch* leżał przez kilka miesięcy między pakułami, onucami i wiechetkami do butów. Trzeba go wyrzucić, tylko cięży w marszu”.

Gustaw owinał się w koc, zrobiło mu się znów ciepło.

To fragment ważny nie tylko w *Borem, lasem...*, ale w kontekście wszystkich późniejszych opowiadań partyzanckich Różewicza, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, wskazuje na tło aksjologiczne opisywanej sytuacji i, choć nie wprost, przywołuje je: patriotyzm, imperatyw walki z Niemcami. Gustaw rozmyśla o dystansie „bractwa” do „wielkich słów”, do patosu i utartych sposobów wyrażania tych wartości, co jednak nie świadczy o ich odrzuceniu. Inaczej można spojrzeć na gest spalenia *Króla-Ducha*, nawet jeżeli przypisywać mu wartość symboliczną: oznacza zakwestionowanie pewnego sposobu mówienia o rzeczywistości, ale nie – zakorzenionych w tradycji norm i wartości, które nadają sens trudom „szarego i zwyczajnego” życia partyzantów (o związku z tradycją świadczy też tytuł publikacji z 1946 roku, odwołujący się do znanej piosenki żołnierskiej). – W *Ciężarze* tego fragmentu brak, wartości, które stały zapewne za decyzją walki w partyzantce członków oddziału, zostały przeniesione do sfery miejsc niedookreślonych, w samym tekście nic nie równoważy i nie motywuje znoszonych trudów.

Druga istotna informacja, którą zawiera pominięty w *Ciężarze* fragment *Borem, lasem...*, to przywołanie wprost literackich aspiracji Gustawa, co jest wyraźnym tropem autobiograficznym, a w obrębie utworu – nadaje rozmyślaniom bohatera

charakter autotematyczny i pozwala czytać tekst jako próbę realizacji tych aspiracji. W efekcie – pozwala inaczej potraktować i sfunkcjonalizować jego cechę, która w pierwszym oglądzie wydawać się może stylistyczną i kompozycyjną niespójnością: zderzanie rubaszości w dialogach i naturalistycznych detali, np. w obrazie oczyszczania ubrań z wszy¹², z lirycznymi opisami czy kulturowymi skojarzeniami (nadzy partyzanci pławiący konie w leśnym stawie zostają porównani do centaurów). Wspólnym mianownikiem dla tych odmiennych rejestrów stylistycznych jest świadomość młodego człowieka o literackich ambicjach, który próbuje pokazać codzienne życie partyzantów poza patetycznymi stereotypami i frazesami, ale nie potrafi oprzeć się poetyzmom w ujmowaniu rzeczywistości; ta stylistyczna mieszanina wydaje się niezwykle autentyczną cechą tekstu w jego aspekcie autobiograficznym, pozwala w Gustawie zobaczyć Różewicza jako autora *Ech leśnych*. – W *Ciężarze* poetyckie opisy zostały radykalnie ograniczone, a wzmianki o literackich aspiracjach Gustawa brak.

2

Różnice między *Borem, lasem...* a *Ciężarem* są na tyle znaczące, że można się zastanawiać, czy mamy do czynienia z wariantami tego samego utworu, czy też z dwoma różnymi utworami opartymi na tym samym, jak by powiedział rosyjski formalista, autobiograficznym materiale. Można się też zastanawiać, który z dwóch sposobów jego prezentacji jest lepszy, tzn. bardziej interesujący i/lub bliższy do świadczeniu wojennemu autora.

Wątpliwości w tym względzie nie ma Waligóra, dla którego jest rzeczą bezdyskusyjną, że to jeden utwór i że *Ciężar* to „ostateczna”¹³, a także zdecydowanie lepsza wersja:

Utwór, dzięki wprowadzonym zmianom, niewątpliwie wiele zyskał. Pomogła zmiana tytułu, rezygnacja z młodopolskiej liryzacji opisu i naiwnego monologu bohatera. Autor wywikłał się z konstrukcyjnych sprzeczności, czyniąc wymowę tekstu bardziej dobitną i wyrazistą¹⁴.

Z sądami tymi trudno się jednak zgodzić. Arbitralne jest deprecjonujące potraktowanie monologu bohatera o wartościach jako „naiwnego”, tak jakby poczucie sensu musiało być nieuchronnie stłumione przez trudy partyzanckiego życia. Nie jest też bezdyskusyjną wartością radykalne ograniczenie liryzacji w opisach – w *Ciężarze*, mimo obszernych cięć, trochę tej liryzacji zostało, natomiast zabrakło dla niej umotywowania, skoro wypadła wzmianka o literackich aspiracjach bohatera, w efekcie to w *Ciężarze* bardziej jeszcze stylistyczne poetyzmy mogą sprawiać wrażenie „kompozycyjnych sprzeczności”.

Zatrzymałem się przy opiniach Waligóry, ponieważ autor *Prozy Tadeusza Różewicza* to bodaj jedyny badacz, który zestawiał *Borem, lasem...* i *Ciężar*, próbując

¹² Zob. Różewicz, *Borem, lasem...*: „Dużo tego było, małe i wielkie, czarne i żółte. Wybierał to złe nasienie, ziarnko po ziarnku, i puszczał niedbałym ruchem na wodę, pływały sobie gęsto jak żółte jagły. Jaja i gnidy trzaskały pod paznokciami”. Wyróżnione fragmenty nie weszły do *Ciężaru* (s. 17–18).

¹³ Waligóra, *op. cit.*, s. 24.

¹⁴ *Ibidem*, s. 28.

zaprezentować i zinterpretować zmiany wprowadzone przez „przepisującego” Różewicza. Te interpretacje, niekiedy zdumiewająco pośpieszne (Waligóra dostrzegł w początkowym opisie marszu aż „podawanie w wątpliwość celowości działań sprowadzających się do uciążliwego maszerowania”¹⁵), są jednak interesujące, paradoksalnie właśnie dlatego, że bywają arbitralne i nieprzekonujące. Jak się bowiem wydaje, sądy i interpretacje Waligóry w znaczącym stopniu motywowało aprioryczne przekonanie, że szczególnie cennym sposobem pisania o wojnie jest skupienie się na doświadczeniach tak elementarnych i dojmujących, że w konfrontacji z nimi wszelkie ideologie i wartości nieuchronnie ulegają, jeżeli nie podważeniu i kompromitacji, to przynajmniej „demitologizacji”.

Przekonanie to, traktowane przez Waligórę jako oczywistość, ma jednak, jak to z oczywistościami bywa, swoje historyczne korzenie. Krystalizowało się właśnie w połowie lat pięćdziesiątych, kiedy ukazał się zbiór opowiadań Różewicza *Opadły liście z drzew*. Zbieżność nieprzypadkowa, książkowe wydanie tych tekstów współtworzyło ważne zjawisko, które zachodziło wtedy nie tylko w polskiej literaturze, ale i w całej kulturze: „odwilżowego” powrotu do tematu drugiej wojny światowej po okresie jego marginalizacji w latach bezwzględnej obowiązywania doktryny realizmu socjalistycznego; w twórczości Różewicza otwarty powrót tego tematu zaznaczył się już w 1954 roku, w tomie poetyckim *Równina* i w publikowanych wtedy w prasie literackiej opowiadaniach, które wejdą następnie do wydanego rok później zbioru.

Motyw doświadczenia wojennego nie zniknął zresztą całkowicie nawet z socrealistycznych tomików poetyckich Różewicza z początku lat pięćdziesiątych. Ale jego stała obecność w twórczości autora *Niepokoju* była wtedy oceniana negatywnie jako „obsesja wojny” i krytykowana z perspektywy socrealistycznych pryncypiów za brak „spojrzenia klasowego na minioną wojnę”, poprzestawanie w kręgu „mieszczańskiej beznadziejności” na „ogólnie humanistycznym stanowisku”. Przywołuję tu określenia Andrzeja Brauna z artykułu opublikowanego w 1951 roku¹⁶, bo pozwalają one zobaczyć zmianę, którą umożliwiła „odwilż”: w połowie dekady Jan Błoński mógł już otwarcie polemizować z Braunem i wartościować dodatnio to, że –

Różewicz nigdy nie zaparł się swego wojennego doświadczenia. Bo też w świadomości narodu sięgnęło ono głębiej, niż zdaje się naszej literaturze. Wojna przeorała Polskę najgłębiej ze wszystkich krajów Europy; z wyjątkiem może Niemiec. Ruina i zmartwychwstanie pojęć moralnych; wywrócenie wiekowej tradycji ekonomiczno-społecznej; tragiczne rozdarcie narodu... Tam także biją źródła współczesności – zbyt gwałtowne, aby im literatura mogła podoląć¹⁷.

Cytat pochodzi z tekstu, który odegrał ogromną rolę w recepcji twórczości Różewicza. Błoński bowiem nie tylko dowartościowywał społeczne znaczenie doświadczenia wojny, a zarazem odrzucał socrealistyczną krytykę „obsesji” Różewicza, ale jednocześnie w tym obszernym artykule skodyfikował schematy interpretacyjne,

¹⁵ *Ibidem*, s. 24.

¹⁶ A. Braun, *O poezji Tadeusza Różewicza*. „Nowa Kultura” 1951, nr 16, z 22 IV, s. 4. Artykuł ten, z jaskrawym wątkiem odkrywania i napiętnowania u Różewicza wpływów „stylu szczurzo-beznadziejnej poezji angielskiego dekadenta”, czyli „barda imperializmu Eliota”, był najostrzejszą w okresie socrealizmu krytyką twórczości autora *Niepokoju*.

¹⁷ J. Błoński, *Szkic portretu poety współczesnego*. W: *Poeci i inni*. Kraków 1956, s. 224–225.

które już wtedy lekturze twórczości autora *Ocalonego* zaczęły towarzyszyć. Dwa takie schematy, ściśle zresztą powiązane ze sobą, zostały w *Szkicu portretu* szczególnie ekspresywnie wyrażone: pierwszy to traktowanie wczesnej poezji Różewicza jako „postkatastroficzej”, zdeterminowanej przez skrajne doświadczenie wojenne i w zakresie tematyki, i w zakresie poetyki („Poetyka Różewicza urodziła się z doświadczenia wojny, z przerażenia dosłownością spraw ludzkich”¹⁸); drugi – stosowanie paraleli Różewicz–Borowski, zgodnie z którą wiersze autora *Niepokoju* miały być poetyckim odpowiednikiem opowiadań oświęcimskich Borowskiego, obaj autorzy ukazali bowiem „katastrofę moralności”¹⁹ przyniesioną przez wojnę. Oba koncepty dobrze współbrzmiały z tym, co było w poezji Różewicza z drugiej połowy lat czterdziestych najwyrazistsze, i dla obu – co oczywiście wzmagало ich moc perswazyjną – bez trudu można było znaleźć efektowne egzemplifikacje, np. w odczytywanej metapoetycko deklaracji bohatera *Wyobraźni kamiennej*, który wskazywał na doświadczenie wojenne jako na źródło wyobraźni, ergo poezji, „małej kamiennej i nieubłaganej”, czy w motywie dogłębnej traumy zmuszającej do podejrzliwego traktowania wszystkich wartości – „są tylko wyrazami”, jak określił to bohater *Ocalonego*. Ujęcia sformułowane przez Błońskiego stały się w latach następnych krytyczno- i historycznoliteracką oczywistością, niekwestionowaną także dlatego, że ich wiarygodność sankcjonował wprost późniejszymi wypowiedziami sam Różewicz²⁰.

Ale choć Błoński do dziś uchodzi za „najlepszego komentatora twórczości młodego Różewicza”²¹, na schematy interpretacyjne efektownie zapisane w *Szkicu portretu* warto spojrzeć z dystansem. Z jednej strony, oparte zostały na uproszczonym obrazie tużpowojennej twórczości Różewicza, co zresztą niekoniecznie trzeba traktować jako zarzut wobec autora *Szkicu*, ponieważ – z drugiej strony – tekst ten mocno wiąże się z czasem, w jakim powstał: jest tekstem „odwilżowym”, w którym ważnym wątkiem była polemika z dogmatami socrealizmu.

Sama paralela Różewicz–Borowski wyraźnie Błońskiego fascynowała i pojawiła się już we wcześniejszych jego wypowiedziach poświęconych autorowi *Ocalonego*: w recenzji *Pięciu poematów*²², a następnie w referacie otwierającym dyskusję o twórczości Różewicza, której zapis wydrukowano w „Życiu Literackim” latem 1954²³; ta ważna publikacja, zapowiadająca odejście od socrealistycznego pryncypializmu, który wobec Różewicza zaprezentował trzy lata wcześniej Braun, wprowadziła paralelę Różewicz–Borowski do dyskursu krytycznoliterackiego, co widać w recenzji Kijowskiego z tomu *Opadły liście z drzew*.

Bardzo pouczające jest zestawienie referatu Błońskiego z 1954 roku ze *Szkicem portretu*, bo pokazuje to różne etapy odchodzenia od dogmatów socrealistycznych, czyli właśnie uwikłanie owych utworów w kontekst historyczny. Różnice są tym

¹⁸ *Ibidem*, s. 240.

¹⁹ *Ibidem*, s. 221.

²⁰ Chodzi tu zwłaszcza o dwa teksty z lat sześćdziesiątych: posłowie do przygotowanej przez Różewicza antologii wierszy L. Staffa *Kto jest ten dziwny nieznajomy* (1963) i esej-wspomnienie *Do źródeł* (1965); oba te teksty są nieodmiennie przywoływane i cytowane przez badaczy tużpowojennej twórczości Różewicza.

²¹ Skrendo, *Przedem Różewicz*, s. 17.

²² J. Błoński, „Pogłosy i zapowiedzi”. „Wiś” 1950, nr 25, z 25 VI.

²³ *Dyskusja o poezji Różewicza*. „Życie Literackie” 1954, nr 31, z 8 VIII.

wyrazistsze, że związek między nimi jest niewątpliwy, w obu pojawiają się identyczne sformułowania, zdania, koncepty; na związek wskazuje też data, którą Błoński opatrzył *Szkicu portretu*: 1954. Data to jednak niewiarygodna. Na poziomie faktografii – w *Szkicu* uwzględnione zostały jeszcze wydane w 1955 roku *Uśmiechy* Różewicza – ale przede wszystkim na poziomie interpretacji, ocen, a także, rzecz niebagatelna, frazeologii. W opublikowanym w 1954 roku referacie Błoński skrajne wnioski wyciągane przez autora *Wyobraźni kamiennej* z doświadczenia wojennego traktował jako cechę przeżycia pokoleniowego i pisząc o Różewiczu zasadniczo z uznaniem („jeden z najwybitniejszych liryków, jacy się po wojnie odezwali”), uwagi krytyczne wyrażał jeszcze z charakterystycznym socrealistycznym retuszem stylistycznym. Tak np. zestawiał Różewicza z „pacyfistą” Erichem Marią Remarkiem (*nb.* „pacyfista” to w słowniku socrealizmu określenie negatywne, bo obowiązywało hasło, cokolwiek oksymoroniczne, nieustającej walki o pokój), co więcej w zestawieniu tym Różewicz wypada gorzej ze względu na swój pesymizm („Remarque, ale gorzej niż Remarque, bo tamtemu pozostawała wiara w pokój, a tego kusi, żeby wszystko zobaczyć w czarnych barwach obozu”), znamieną dla socrealizmu jest też retoryka kolektywnego „my”, która uzasadniała formułowanie zarzutów troską o krytykowanego artystę („Zapewne, nie umieliśmy Różewiczowi pomóc”). I choć autor referatu wspomina o „nieprzemyślanych zarzutach”, jakie Różewiczowi stawiano, robiąc w ten sposób zapewne aluzję do artykułu Brauna, z tym ostatnim niejedno go łączy, np. właśnie zestawianie autora *Ocalonego* z Remarkiem czy retoryka kolektywnego „my”.

W późniejszym o kilka, a może kilkanaście miesięcy *Szicu portretu* już nie ma deprecjonującego zestawienia ani socrealistycznej retoryki, co więcej, Błoński polemizuje z Braunem otwarcie i określa jego artykuł jako „jawny dowód szaleństwa, jakie ogarnęło wówczas niektórych”²⁴. Ale zmiana zaszła przede wszystkim w ocenie skrajnych ujęć doświadczenia wojennego i jego konsekwencji: nie są już tylko sprawą pokoleniową, lecz stają się ważnym składnikiem doświadczenia całego społeczeństwa, którego świadomość wojna „przeorała”.

Zatrzymałem się przy *Szkicu portretu* Błońskiego, ponieważ daje on wyobrażenie o kontekście historycznoliterackim, w którym Różewicz dokonywał aktów „przepisywania” własnej tużpowojennej twórczości. Ale tekst Błońskiego jest niezwykle interesujący również dlatego, że pokazuje, skąd się brała w połowie lat pięćdziesiątych szczególnie „odwilżowa” atrakcyjność ekstremalnych wariantów doświadczenia wojennego, a tym samym i paraleli Różewicz–Borowski. Autor *Dnia na Harmezach* opisał graniczny wariant lagrowy tego doświadczenia, w którym ważne są już tylko „przejawy elementarnego buntu przeciw śmierci, wspólne każdemu ludzkiemu ciału, powszechne każdemu cierpiącemu człowiekowi”. Elementarny poziom egzystencjalny i fundamentalna uniwersalność ekstremalnych doświadczeń pozwalały zawiesić „spojrzenie z wysokości historii”, pominąć formuły interpretacji i oceny obligatoryjne w socrealizmie (czyli uciec od „spojrzenia klasowego na minioną wojnę”, którego domagał się Braun). Interpretacja ideologiczna zostaje w ten sposób nie tyle wprost zakwestionowana, ile wzięta w nawias, ponieważ – jak zdecydowa-

²⁴ Błoński, *Poeci i inni*, s. 273, przypis 14.

nie dopowiadał Błoński – „Cierpienia nie można oddać w wieczną dzierżawę »mieszczuchowi«”²⁵.

Egzystencjalna uniwersalność, którą oczywiście najłatwiej dostrzec w sytuacjach ekstremalnych, okazała się sposobem na wyjście z krainy socrealistycznych dogmatów, wyzwolenie spod władzy ideologii. „Odwilżowy” tekst Błońskiego, warto zauważyć, zapowiada modę na taką uniwersalność, która objawi się w literaturze polskiej w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, wspierana „odmrożoną” recepcją twórczości francuskich egzystencjalistów²⁶ czy przyswojeniem ówczesnej nowości: dokonań teatru absurdu; *Szkic portretu*, choć nazwiska Jeana-Paula Sartre’a, Alberta Camusa czy Samuela Becketta jeszcze się w nim nie pojawiają²⁷, pokazuje niejako gotowość polskiej literatury połowy lat pięćdziesiątych na przyjęcie takich inspiracji. Tę gotowość można dostrzec także w *Cieężarze* Różewicza, który w roku 1955 najwyraźniej nie chce już przedstawiać partyzanckiej codzienności jako „zwyczajnej” i wpisującej się w polską tradycję: zastąpienie aluzji do żołnierskiej piosenki tytułem metaforycznie niejednoznacznym, ogólnikowe wyretuszowanie początku, zacierające, przynajmniej na wstępie lektury, historyczną konkretność opisywanej sytuacji, czy usunięcie odniesień do wartości, które stały za decyzją bohatera, aby wstąpić do partyzantki, to zmiany wpływające na semantykę tekstu – sytuacja, w której znajduje się Gustaw, pokazywana jest nie tyle jako akceptowalna i akceptowana konsekwencja jego wyboru, ile jako pewna sytuacja egzystencjalna, z którą zmuszony jest się zmagać.

Jak jednak można przypuszczać, pojawianie się egzystencjalnego retuszu to (jeszcze) w *Cieężarze* efekt uboczny, głównym zamysłem Różewicza „przepisującego” *Borem, lasem...* była zapewne próba udratyzowania wcześniej opublikowanego obrazka z partyzanckiego życia tak, aby zbliżyć go do wyrazistej w swej skrajności wizji wojny i jej skutków zawartej w najbardziej znanych, a napisanych później wierszach; *nb.* dokonując tego aktu „przepisywania”, Różewicz znał już zapewne koncept Błońskiego zestawiania go z Borowskim. Wyrazistości i jednolitości oczekiwali od utworów Różewicza również odbiorcy, z czego autor *Borem, lasem...* zapewne także zdawał sobie sprawę. „Ze zrozumiałym zainteresowaniem sięga czytelnik po prozę znakomitego poety, tym bardziej że wszystkie te opowiadania dotyczą okupacji, a więc tematu, który ukształtował twórczość Różewicza i stanowi jego twórczą obsesję” – rozpoczynał swoją recenzję Kijowski, który, podobnie jak Błoński w *Szkicu portretu*, widział już w drugiej wojnie światowej doświadczenie traumatyczne dla całego „narodu”, nie tylko dla pokolenia Różewicza²⁸.

Kijowski pisał o prozie autora *Niepokoju* z uznaniem, nie było to jednak regułą.

²⁵ *Ibidem*, s. 223.

²⁶ Pierwsze przekłady utworów Sartre’a i Camusa ukazywały się w prasie literackiej już w drugiej połowie lat czterdziestych, wtedy też zapowiadano wydanie w Polsce książek tych autorów, do czego jednak przed wprowadzeniem socrealizmu nie doszło.

²⁷ Choć, warto odnotować, Błoński będzie w latach następnych ważnym propagatorem dzieł Becketta w Polsce.

²⁸ Zob. Kijowski, *loc. cit.*: „W żadnym zaś razie nie może i nie powinien zestarzeć się temat okupacji, która stanowi najcięższe doświadczenie naszego narodu na przestrzeni wieku. Okupacja zrodziła i wychowała kilka pokoleń, a na pokolenie tych, co byli za młodzi lub za starzy, by podlec jej bezpośredniemu wychowaniu, rzuciła w każdym razie cień. Nie wolno więc zapomnieć o okupacji

Inni czytelnicy oceniali tom *Opadły liście z drzew* bardziej wstrzemięźliwie, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że – jak to ujął Michał Głowiński – „wiele wierszy Różewicza było głębszych, dosadniejszych, bardziej namiętnych w formułowaniu prawdy o wojnie”²⁹. Jeszcze wstrzemięźliwszy był Błoński. Prozę i utwory satyryczne Różewicza autor *Szkicu portretu* odnotował w swoim obszernym tekście bardzo oględnie i zdawkowo, wieńcząc kilka zaledwie zdań na ich temat kategorycznym stwierdzeniem: „Jasno trzeba powiedzieć, że zarówno opowiadania, jak humorystyczne felietony Różewicza nie pozostają w żadnym artystycznym stosunku do jego poezji”³⁰.

Nie jest moim celem całościowe omawianie tomu opowiadań Różewicza z roku 1955 i ich ówczesnego odbioru, chciałbym natomiast – na przykładzie *Ciężaru* – wydobyć pewną ich cechę, która mogła wpływać na poczucie niewspółmierności między poezją a prozą Różewicza i która każe z dystansem spojrzeć na paralełę Różewicz–Borowski.

Cokolwiek może paradoksalnie, problem z tą paralełą dobrze widać u Kijowskiego, który z przekonaniem użył jej w odniesieniu do *Ciężaru*. Bardziej to jednak świadczy o nastawieniu krytyka, niż jest wyważonym opisem omawianego utworu³¹: to, że Gustaw/Różewicz zabrał do lasu opasły tom z mistycznym poematem romantycznego wieszczą, było przede wszystkim dowodem młodzieńczej egzaltacji, trudnej do obrony, nie nadającej się też do radykalnych generalizacji – *Król-Duch* to jednak nie *Biblia*. Trudno także zgodzić się z Kijowskim, że uciążliwy marsz, dokuczliwe wszy, bąble na nogach wystarczają, aby uznać, że los partyzantów uzasadnia podobnie skrajne wnioski jak los ofiar hitlerowskich więzień i obozów.

Kijowski mimowolnie sygnalizuje zasadniczą wadę paraleli Różewicz–Borowski: sugeruje ona bowiem nie tylko porównywalną siłę artystycznej ekspresji doświadczenia wojny w twórczości obu autorów, ale też – porównywalność samych tych doświadczeń. Warto tu odnotować, że Błoński, który wprowadził to zestawienie do obiegu krytycznoliterackiego, biograficzną faktografię traktował dość swobodnie. Przypisywał Różewiczowi spojrzenie „w czarnych barwach obozu” i stwierdzał wręcz – w referacie z 1954 roku – że to Borowski jest podobny do Różewicza, retorycznie odwracając w ten sposób faktyczną zależność, bo ważnym źródłem perswazyjnej mocy zestawiania obu twórców było, jak wskazuje chociażby zacytowany zwrot, odwołanie do biografii Borowskiego, nie Różewicza. Wydaje się jednocześnie prawdopodobne, że niewiarygodna data umieszczona pod *Szkicem portretu* to unik ze strony autora, który odsuwał od siebie konieczność skonfrontowania własnych konceptów z opowiadaniem Różewicza³². Opowiadania te bowiem, czytane jak

człowiekowi, któremu dane było ją przeżyć, jak nie wolno zapomnieć np. o śmierci rodziców. Nie wolno pomijać jej pisarzem w swej twórczości – pisarze nie mogą pozwolić, by ludzie zapomnieli”.

²⁹ M. Głowiński, *Proza Różewicza*. „Życie Literackie” 1956, nr 1, z 1 I, s. 3.

³⁰ Błoński, *Poezi i inni*, s. 258.

³¹ We fragmencie poświęconym *Ciężarowi* Kijowskiemu (*loc. cit.*) przydarzył się zresztą lapsus, który każe podejrzewać, że ten fragment recenzji pisał już bez zaglądania do tekstu opowiadania: według recenzenta Gustaw wrzucił *Króla-Ducha* do ogniska „zmęczony nocnym marszem”.

³² Można zresztą w *Szkicu portretu* doszukać się śladów lektury tych opowiadań, gdy np. Błoński stwierdzał, że autor *Ocalonego* dokonywał „odbrazowania” partyzantki (zob. s. 225), wiersze z *Niepokoju* i *Czerwonej rękawiczki* nie stanowiły wystarczającej podstawy do takich uogólnień.

poezja autora *Ocalonego* w trybie autobiograficznym, realistyczne, siłą rzeczy opierające w większym zakresie niż poezja detalami i realiami, mogły prowokować pytanie, czy wojenne doświadczenie Różewicza było aż tak traumatyczne i skrajne, aby uzasadniać zestawienie z Borowskim. Warto podkreślić – choć to akurat pozostawało poza świadomością czytelników Różewicza z połowy lat pięćdziesiątych – że *Ciężar*, utwór specjalnie „przepisywany” na potrzeby wydania w 1955 roku, jest ważkim argumentem za odpowiedzią negatywną. Z zasadniczego powodu: mimo radykalnego przeredagowania i skrócenia potencjał autobiograficznego materiału okazał się zbyt mały, aby odbierając migawkom z partyzanckiego życia „zwyczajność”, nadać im rangę zapisu doświadczenia, jeżeli już nie traumatycznego i skrajnego, to przynajmniej jednoznacznie dramatycznego.

Ciężar nie tylko bardziej podważa, niż potwierdza zasadność paraleli Różewicz–Borowski. Podważa również drugi ze schematów interpretacyjnych skodyfikowanych przez Błońskiego: przekonanie o deterministycznym „postkatastrofizmie” twórczości Różewicza, prostym związku między doświadczeniem wojennym autora a tematyką i poetyką jego tużpowojennej twórczości – podważa samym faktem swojego istnienia. Aby w 1955 roku „odzwyczajnić” autobiograficzny materiał, Różewicz musiał ingerować w jego zapis już przecież „postkatastroficzny”, w tym sensie, że *Borem, lasem...* prawdopodobnie powstało, a na pewno zostało opublikowane, gdy wojna, a więc i doświadczenie wojenne, należały już do zamkniętej przeszłości. Mówiąc wprost: to *Borem lasem...*, a nie *Ciężar*, pokazuje, jak niedawny partyzant opisywał swoje doświadczenie bezpośrednio po „katastrofie”. Wątpliwości, jakie budzi *Ciężar*, nieobce były zresztą samemu Różewiczowi, skoro nie włączył tego utworu do kanonu swoich tekstów prozatorskich i po 1955 roku go nie przedrukowywał.

Nie znaczy to jednak, że z „przepisywania” swojej wczesnej powojennej twórczości Różewicz zrezygnował. Przeciwnie. To właśnie w okresie „odwilży” i Października, kiedy temat wojny powracał jako jeden z najistotniejszych dla polskiej kultury, autor *Borem lasem...* dokonał aktu dla recepcji swej twórczości najważniejszego i najbardziej brzemiennego w skutki: „przepisał” *Niepokój*. Stało się tak przy okazji przygotowywania *Poezji zebranych* (opublikowanych w 1957 roku), których tytuł, podobnie zresztą jak tytuły wszystkich późniejszych formalnie kompletnych edycji utworów Różewicza, jest mylący.

„Przepisując” swój tom poetycki z 1947 roku w połowie lat pięćdziesiątych, Różewicz usunął sporo tekstów i przeredagował większość pozostałych, dążąc do zniwelowania śladów silnego wpływu Przybosa na swoje pierwsze powojenne wiersze i, co okazało się ostatecznie ważniejsze, do ujednolicenia sposobu pisania o doświadczeniu wojennym. Z *Niepokaju* zniknęły znacząco odmienne warianty ujmowania tematu wojny, występujące w oryginalnej wersji tomu – w efekcie tych zmian za oczywiście „różewiczowskie” mogło uchodzić potem „sprozaizowane” prezentowanie owego doświadczenia jako źródłowego dla poety, traumatycznego i skrajnego; ujęcie, dla którego emblematyczny stał się czytany w trybie autobiograficznym wiersz *Ocalony*.

Tak przeredagowany *Niepokój* mógł jedynie wzmacniać przekonanie o prostym „postkatastrofizmie” poezji Różewicza, czego rewersem było wyrugowanie ze świadomości czytelników tej poezji, także profesjonalnych, że pisanie o wojnie w szero-

ko rozumianej poetyce *Ocalonego* to daleki od oczywistości efekt tużpowojennych prób i poszukiwań młodego poety, a nie formuła narzucająca się mu i spontanicznie przyjęta jako reakcja na niedawne przeżycia i doświadczenia. Były to poszukiwania, których nieoczywisty rezultat wykrystalizował się pod wpływem lektur lagrowych, relacji Rudolfa Redera z obozu zagłady w Bełżcu, a zapewne także od początku głośnych, bo bulwersujących pierwszych czytelników, opowiadań oświęcimskich Borowskiego – co każe oczywiście inaczej spojrzeć na relację Różewicz–Borowski: nie w kategoriach paraleli, ale relacji intertekstualnej³³.

Natomiast w kontekście prozy Różewicza o jeszcze jednym akcie „przepisywania” trzeba koniecznie wspomnieć, akcie bardziej osobliwym, ale niewątpliwie ważnym. W roku 1956 Różewicz napisał *Nową szkołę filozoficzną*³⁴, tekst – wydawać się może przy pobieżnej lekturze – wspomnieniowy, poświęcony okresowi, gdy tuż po wojnie poeta zaczął studiować w Krakowie i zamieszkał w słynnym domu literatów na Krupniczej. Różewicz jednak w szczególny sposób wystylizował tu swoją biografię i „wspomnieniowość” *Nowej szkoły* w pełni zasługuje na cudzysłów. Wiarygodność tego tekstu jako autobiograficznego świadectwa jest bowiem ograniczona, skoro w obrazie życia bohatera pogrążonego w depresji, zmagającego się z poczuciem braku sensu, skrajnie wyalienowanego i mizantropicznego – konsekwentnie została pominięta ożywiona działalność literacka Różewicza, której efektem był i obszerny zbiór wierszy składających się na *Niepokój*, i utwory prozatorskie, w tym *Borem lasem...*, a także utwory satyryczne i po prostu humorystyczne³⁵. A jednocześnie uderzające jest podobieństwo bohatera *Nowej szkoły* do bohaterów prozy Camusa i Sartre’a. Utwór Różewicza z 1956 roku może być dowodem na szybkie rozprzestrzenianie się w okresie Października mody na „czarną” literaturę w stylu francuskich egzystencjalistów, autor bowiem niejako odświeżył postać *Ocalonego*, poddając go aktualizującemu egzystencjalistycznemu retuszowi³⁶. A jednocześnie odniesienia autobiograficzne umacniały tendencję do utożsamiania Różewicza z *Ocalonym*,

³³ Kwestie te tylko sygnalizuję, bo zarówno różne warianty przedstawiania tematu wojny w tużpowojennych wierszach Różewicza, jak i tezę o wpływie literatury lagrowej na ukształtowanie się poetyki „różewiczowskiej” prezentowałem szerzej w innych tekstach – zob. P. Pietrych: *op. cit.*; *Prowokacja i autokreacja we wczesnej poezji Tadeusza Różewicza*. W zb.: *Widma „przeklętego”. Pisarki i pisarze w kulturze XX i XXI wieku*. Red. G. Pertek, B. Przymuszała. Poznań 2019.

³⁴ Pierwodruk: „*Twórczość*” 1957, z. 2; data powstania znajduje się pod tekstem.

³⁵ Szczególny sposób, w jaki Różewicz potraktował w *Nowej szkole* materiał biograficzny, dobrze pokazuje wzmianka o lekturze, która wzmacnia niechęć bohatera do świata i ludzi. W szerokim znaczeniu jest to lektura lagrowa – nie chodzi jednak o opowiadania Borowskiego czy relację Redera, ale o autobiograficzne zapiski komendanta Oświęcimia, Rudolfa Hössa. Szczegół ten potwierdza znaczenie tużpowojennych lektur w biografii Różewicza, ale jednocześnie myli tropy, naznaczony jest bowiem jaskrawym anachronizmem. Höss spisał swoją autobiografię w czasie pobytu w polskim więzieniu (1946–1947), nikt oczywiście nie mógł jej czytać tuż po wojnie – lecz Różewicz zapewne czytał ją pisząc *Nową szkołę filozoficzną* w 1956 roku, wtedy ukazało się pierwsze książkowe wydanie polskiego przekładu autobiografii Hössa.

³⁶ Sam Różewicz skłonny był traktować *Nową szkołę filozoficzną* jako ważny, pionierski a niedoceniony utwór „odwilżowy” i kojarzył go z *Upadkiem Camusa* – zob. notatkę z dziennika T. Różewicza z 14 II 1958 (*Kartki wydarte z „dziennika gliwickiego”*. W: *Proza*. 3. Wrocław 2004, s. 332–333. *Utwory zebrane*).

utożsamienia, które stało się ważnym składnikiem interpretacyjnych stereotypów, w jakie obrosła recepcja jego tużpowojennej twórczości.

Warto na koniec zauważyć, że pod pewnym względem to właśnie *Nowa szkoła filozoficzna*, a nie nieprzedrukowywany *Ciężar*, zastąpiła *Borem lasem...* w korpusie utworów prozatorskich Różewicza. Chodzi o motyw metaliteracki: Gustaw z partyzanckiego opowiadania był *in spe* autorem utworów w rodzaju *Ech leśnych* Różewicza, bohater *Nowej szkoły filozoficznej* to nie tyle nawet autor *Ocalonego*, ile po prostu Ocalony. W kontekście pytania o wojenne doświadczenie samego Różewicza, które wcześniej postawiłem, znaczące wydaje się też przesunięcie czasowe: Różewicz w *Nowej szkole* zrezygnował z próby pokazywania jakiegos fundamentalnego dla siebie doświadczenia wojennego, ale przedstawia siebie już w okresie powojennym jako kogoś, kto zmaga się z bagażem dramatycznych i traumatycznych (w domyśle, bo nieopowiedzianych) doświadczeń.

Przepisywanie Różewicza w połowie lat pięćdziesiątych to jeden z przełomowych momentów w dziejach jego twórczości, która, ambiwalentnie oceniana w okresie socrealizmu, wyraźnie zyskała na uznaniu wraz z „odwilżowym” powrotem tematu drugiej wojny światowej. Znaczące cięcia i zmiany redaktorskie wprowadzone wtedy przez autora zwłaszcza do *Niepokoju* sprzyjały utrwaleniu kluczowych dla recepcji jego tużpowojennych utworów schematów interpretacyjnych, które praktycznie funkcjonują do dziś, traktowane zazwyczaj jako oczywistości nie wymagające krytycznej refleksji. Natomiast *Nowa szkoła filozoficzna* pokazuje, że Różewicz owe schematy nie tylko aprobował, ale gotów był je sam utrwaląć, co potwierdziły w pełni jego późniejsze wypowiedzi programowe. Choć, rzecz jasna, otwarte i chyba nierozstrzygalne pozostaje pytanie, do jakiego stopnia były to działania podejmowane przez autora *Ciężaru* świadomie, a w jakim – poddanie się atmosferze przełomowych dla polskiej kultury przemian zachodzących w połowie lat pięćdziesiątych.

Abstract

PIOTR PIETRYCH Łódź

REWRITING RÓŻEWICZ (IN THE MID-1950S)

The paper juxtaposes *Borem, lasem...* (*Through Forest and Woods...*, 1945) and *Ciężar* (*Burden*, 1955), two Tadeusz Różewicz's prose publications that recollect his experience as a member of a partisan unit of Armia Krajowa (Home Army) at the time of World War II. Formally, the pieces are variants of the same text reedited in the year 1955 in connection with book publication (in the collection *Opadły liście z drzew* *The Leafs Have Fallen from Trees*), but the changes are so profound and meaningful in the semantic sphere that the versions ultimately give a dissimilar image of the war. In the mid-1950s literary critics of Różewicz express the opinion that the poet reedited his piece in a way that harmonises with the then changes—linked to post-Stalinist thaw—in perceiving World War II and in appraising its literary accounts. Różewicz supported the changes and co-created them with the then literary choices of his, including the crucial one: “rewriting” his own pieces composed shortly after the war.

ZBIGNIEW KLOCH Uniwersytet Warszawski

HASŁA STRAJKU Kobiet I JEZYKI WERNAKULARNE

Pod koniec 2020 i na początku 2021 roku przez Polskę przetoczyła się pokaźna fala protestów przeciwko orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego, który stwierdził, że przerywanie ciąży w przypadku ciężkiego lub śmiertelnego uszkodzenia płodu jest działaniem nielegalnym, niezgodnym z Konstytucją. Orzeczenie, opublikowane z dużym opóźnieniem, wywołało w wielkich i małych miastach wystąpienia przeciwko poczynaniom władzy. Manifestacje koordynowane były przez Ogólnopolski Strajk Kobiet, choć, co warto podkreślić, miały charakter spontaniczny, nie podlegały sterowaniu przez jakąkolwiek instytucję. Strajk Kobiet (dalej: SK) to ruch w obronie praw kobiet i mniejszości różnego rodzaju, a nie organizacja polityczna. Pomimo tego protest z czasem obrastał dyskursem i komentarzami wpisującymi go w porządek aktualnej polityki, zgodnie z obserwowanymi od lat w naszym kraju podziałami, polaryzacją społeczną, kulturową i ideologiczną. Przytaczam znane dość dobrze fakty, aby wyraźnie stwierdzić, że polityka interesować mnie będzie w tym szkicu jedynie marginalnie. SK to bowiem wydarzenie o charakterze kulturowym, które w dużym stopniu modyfikuje obowiązującą przez lata poetykę protestu społecznego. SK, podobnie jak wcześniejsze protesty dotyczące zasad i legalności aborcji, organizowały przede wszystkim młode kobiety, choć w manifestacjach niezgody brali też udział mężczyźni i ludzie starsi. Można zatem powiedzieć, że protest realizowany był w głównej mierze przez młodych i wykształconych, co miało z pewnością wpływ na specyfikę haseł i sloganów oraz na ich szeroki adres społeczny.

SK obrósł szeregiem wypowiedzi, interpretacji i „tekstów” strajkowych, takich jak zamieszczane w Internecie piosenki, komentarze na forach internetowych, afirmatywne lub skrajnie krytyczne. Hasła i slogany używane w czasie protestu wpisywały się, z jednej strony, w ogólne konwencje manifestacji różnego rodzaju i o rozmaitych celach, z drugiej zaś – znacząco odbiegały od typowych sloganów strajkowych manifestacji społecznego niezadowolenia, np. z czasów NSZZ „Solidarność”. Używanie wulgaryzmów w wypowiedziach liderów SK i eksponowanie ich jako haseł na transparentach jednych oburzało, a innych inspirowało (głównie uczestników) do kolejnych modyfikacji zwyczajów socjolingwistycznych, typowych dla tradycyjnych konwencji związanych z ekspresją niezadowolenia społecznego. SK towarzyszyły znaki, emblematy, filmy w Internecie, komentarze, używane jako symbole poparcia lub przynależności, które umieszczano w oknach domów, na samochodach, na maskach pandemicznych, na stronach internetowych. Wszystko to sprawia, że SK może być potraktowany i opisany jako specyficzny tekst kultury,

towarzyszący mniej lub bardziej skutecznym działaniom społecznym. Tekst zbudowany ze znaków różnego rodzaju, semiologicznie heterogeniczny, funkcjonujący na pograniczu kultury masowej, wysokiej i swoście rozumianego folkloru (głównie internetowego). Ale SK można też przedstawić jako praktykę komunikacyjną, a więc konstelację wypowiedzi, na którą składa się wiele werbalnych tekstów (haseł, wywiadów, komentarzy prasowych), rozumianych ściśle filologicznie. Taki sposób podejścia do kultury sugeruje, że aby zorientować się w sposobie jej funkcjonowania, trzeba najpierw pojąć wartości, także znakowe, które wewnątrz tego systemu kultury obowiązują. W odniesieniu do mnogości i różnorodności dzisiejszych podejść badawczych i interpretacyjnych te, dość dawne, przekonania metodologiczne wydają mi się warte przypomnienia¹.

Manifestacja jako widowisko i spektakl

Formy protestu społecznego mogą być opisane w kategoriach ich symbolicznego wyposażenia oraz z perspektywy antropologii wizualnej. Znałe są też inne ujęcia naukowe, budowane na metodach socjologicznych lub odwołujące się do wiedzy z psychologii zbiorowej. Protest jako praktyka społeczna ma być przede wszystkim widzialny, im się wyraźniej zaznacza, tym lepiej. Takie wystąpienia przybierają różnorakie formy. W każdym przypadku są demonstracją, ekspresją dążeń, przekonań i poglądów manifestujących. Manifestowanie ujawnia, demonstrowanie coś pokazuje. W dzisiejszej polszczyźnie te określenia są w zasadzie synonimiczne, szczególnie w polszczyźnie potocznej. Słownik polszczyzny współczesnej definiuje słowo „demonstrować” określeniem „uczestniczyć w manifestacji”, a przy słowie „manifestacja” wyjaśnia, że chodzi o „pochód lub zebranie ludzi w celu wyrażenia stanowiska w jakiejś sprawie”. Jerzy Bralczyk zwraca uwagę, że w dawnej polszczyźnie manifestacja oznaczała ‘ujawnianie’, demonstrowanie zaś zawiera komponent znaczeniowy ‘pokazywania’, ‘dowodzenia’². Manifestowanie i demonstrowanie różnią się w świadomości społecznej od strajku, który jest z pewnością także formą protestu, nacisku na władzę, realizowaną zwykle w dłuższym interwale czasowym. Protesty SK przez niektórych komentatorów nazywane były właśnie strajkiem, prawdopodobnie z powodu utożsamienia nazwy ruchu z żywiołowym charakterem demonstracji. Miały przede wszystkim służyć wyrażaniu niezgody na posunięcia władzy i manifestowaniu podmiotowości protestujących.

Antropologowie kultury zgodnie twierdzą, że demonstrowanie w przestrzeni miejskiej wiąże się głównie z widzialnością³. Skuteczność protestu jest pochodną tego, czy zostanie on zauważony przez władze, media, sympatyków i przeciwników.

¹ Zob. S. Żółkiewski, *Kultura – socjologia – semiotyka literacka. Studia*. Warszawa 1979. – F. Znaniecki, *Wartości jako produkty kulturowe. Wybór pism*. W: J. Szacki, Znaniecki. Warszawa 1986. – J. M. Łotman, *Siemiosfiera*. Sankt-Pietierburg 2000.

² *Nowy słownik poprawnej polszczyzny PWN*. Red. A. Markowski. Warszawa 1999, s. 135, 423. – J. Bralczyk, *Manifestacja/demonstracja*. „Gazeta Wyborcza” 2016, nr 3 III.

³ Zob. R. Sulima, *Demonstracja w krajobrazie kulturowym miasta. Zapiski z warszawskiej ulicy. „Konteksty”* 2016, nr 3/4. Tam też znajdują się odesłania do innych prac z zakresu antropologii miasta, m.in. do rozprawy E. Rewers *Post-polis. Wstęp do filozofii ponowoczesnego miasta* (Kraków 2005).

Widzialność jako konstruktywny czynnik demonstrowania i manifestowania zbliża te praktyki społecznego komunikowania do rozmaitych widowisk i sprawia, że podlegają teatralizacji. Demonstracja mieści się w świecie takich widowisk publicznych, jak defilada czy pokaz, które w mniejszej lub większej mierze są steatralizowane. Mają właściwości swoistego spektaklu⁴. Demonstrowanie zakłada istnienie aktorów i widzów, tych na ulicy i tych zgromadzonych przed telewizorami. Role spektatora odgrywają w tym przypadku przedstawiciele różnych grup społecznych i politycznych. Widzowie akceptujący lub negujący potrzebę demonstracji, spośród których rekrutować się mogą jej przyszli uczestnicy, uwiedzeni hasłami manifestujących, albo kontestatorzy, potencjalni kontrmanifestanci. Demonstrowanie ma więc potencjał procesualny. Widzami manifestacji są także przedstawiciele władzy, do której protest jest adresowany, wreszcie sami demonstrujący – główny podmiot zbiorowy spektaklu. Demonstracja jest spektaklem, który tworzy skomplikowane relacje osób, miejskiej scenografii i różnego rodzaju przedmiotów. Można opisywać demonstrację w kategoriach jednego z wielu widowisk albo teatru życia codziennego Ervinga Goffmana⁵. Można również odnieść się do niej za pomocą odwołania do kategorii i pojęć używanych przez Bruna Latoura w Teorii Aktora-Sieci (ANT), modyfikując je na potrzeby opisu analizowanego zjawiska⁶.

Wolno zatem powiedzieć, że w nowoczesnej demonstracji biorą udział aktorzy, aktanci i przedmioty pozaludzkie (nie-ludzie). Ci pierwsi to główne postaci manifestacji, spośród których na plan pierwszy wysuwają się liderzy. Aktantami chcę tu nazywać wykonawców czynności wymuszonych przez sam fakt pojawienia się demonstracji czy manifestacji: reporterów, kamerzystów, fotografów, dziennikarzy, wreszcie – policję. Manifestowanie czy protestowanie może być zasadniczo konstytuowane przez czynnik statyczny (manifestacja przed Pałacem Prezydenckim w Warszawie). Demonstrowanie dokonuje się raczej w ruchu, towarzyszy mu przemieszczanie się w przestrzeni („Demonstranci ruszyli w stronę siedziby PiS na Nowogrodzkiej”⁷).

W społeczeństwach demokratycznych trasę demonstracji ustala się z władzami miasta, SK był wszakże pod tym względem szeregiem manifestacji dość specyficznych. Po pierwsze, odbywał się w czasie pandemii, na co wskazuje też jedna z wersji logo protestu: profil kobiety z czerwoną błyskawicą, bez maski, albo widok *en face*, w masce – czarnej z czerwoną błyskawicą lub czerwonej z czarną błyskawicą. Po drugie, strategia demonstrujących opierała się w dużej mierze na tym, że ruch w przestrzeni miasta nie był z góry wytyczony, gdyż zależał w znacznym stopniu od działań policji, początkowo stosunkowo łagodnych, z czasem coraz bardziej agre-

⁴ Zob. Z. Raszewski, *Teatr w świecie widowisk. Dziewięćdziesiąt jeden listów o naturze teatru*. Warszawa 1991.

⁵ E. Goffman, *Człowiek w teatrze życia codziennego*. Przeł. H. Datner-Śpiewak, P. Śpiewak. Wstęp J. Szacki. Warszawa 1977.

⁶ Jak wiadomo, ANT odnosi się przede wszystkim do teorii wiedzy, funkcjonowania laboratorium – zob. B. Latour, *The Pasteurization of France*. Cambridge, Mass. – London 1988. Na potrzeby tego artykułu można więc użyć jedynie stosowanych tam kategorii zmodyfikowanych tak, aby stały się w tym przypadku poręcznym narzędziem opisu. ANT omawia wnikliwie K. Abriszewski w pracy *Teoria Aktora-Sieci Bruno Latoura* („Teksty Drugie” 2007, nr 1/2).

⁷ Drobnie cytaty, których nie lokalizuje, pochodzą z relacji prasowych, telewizyjnych i internetowych.

sywnych. Trasa przemarszu zmieniała się więc w zależności od sytuacji, choć w zamierzeniu miała osiągnąć pewne punkty docelowe (siedziba PiS, siedziba Trybunału Konstytucyjnego czy dom prezesa Kaczyńskiego na Żoliborzu). Specyfika SK polegała również na tym, że nie wytworzył on swoistego „centrum” – ani zakotwiczonego przestrzennie, ani decyzyjnego. Manifestacje odbywały się w wielu miastach, gdzie przebieg demonstracji nie był ustalany odgórnie czy też narzucany przez „centralę”. Na ten fakt zwracała uwagę w wywiadach jedna z liderek ruchu, Marta Lempart. Protesty SK były więc konstruowane jako ruch spontaniczny, w dużym stopniu oparty na improwizacji.

Scenografią spektaklu demonstracji jest miasto. Rzadko kiedy bywa tak, że demonstruje się w lesie, chyba że w grę wchodzi protesty ekologów, które np. organizowano w związku z wycinką Puszczy Białowieskiej, gdy przestrzenią lasów państwowych zajmował się minister rządu PiS Jan Szyszko. Scenografia manifestacji miejskiej pomimo elementów stałych, które można przypisać miastu jako zorganizowanej przestrzeni, zmienia się w czasie, wraz z przemieszczaniem się głównych aktorów spektaklu. Demonstranci idą, kluczą, unikają blokad policji, są przez nią otaczani (jedna ze strategii działań wobec SK), obezwładniani, aresztowani i przewożeni do odległych komisariatów (przypadek Babci Kasi⁸). Spektakl demonstrowania ma zwykle dwóch głównych grupowych protagonistów: demonstrantów i reprezentantów władzy, czyli policję. Okazjonalnie do działań mogą się przyłączyć inni aktorzy: bojówki atakujące manifestantów, osoby, które znalazły się na trasie. Demonstrowanie i manifestowanie ograniczone jest przy tym przestrzennie i czasowo. W przypadku SK można mówić o dość dużej płynności granic przestrzennych, spowodowanych ciągłymi korektami ruchu, wymuszonymi przez sytuację.

W dyskursie dotyczącym protestów SK ruch demonstrantów był bardzo często i w sposób znaczący pseudonimowany. Ponieważ protesty odbywały się w okresie obowiązywania zakazu zgromadzeń, w czasie pandemii, pochód protestujących demonstrantów nazywany był, także w niektórych komunikatach medialnych, „spacerem”, „wycieczką”, a telewizje związane z obozem władzy, prezentując zdjęcia z ulicy, mówiły o chmurach „zarazków koronawirusa unoszących się nad demonstrantami”.

Spektakl protestów SK należy potraktować jako demonstrację nowego typu, bliższą z pewnością protestom „ludzi sieci ACTA” – poprzez skład społeczny protestujących i wyposażenie semiotyczne oraz techniczne (fora internetowe jako miejsce informacji o działaniach, filmy „wrzucane” do Internetu, towarzyszące działaniom SK) – niż tym z okresu NSZZ „Solidarność”, które przeszły już do historii. Jednak pewne nawiązania do tamtych i ich graficznego wyposażenia w przypadku wizualnej oprawy SK pojawiły się, gdy grafik Jarek Kubacki zaprojektował aktualną wersję plakatu (z 1989 roku) „Solidarności” z Garym Cooperem, którego miejsce zajęły postaci kobiece, Ellen Ripley i Sarah Connor. Stylizacja liter na nowej wersji plakatu pozostała ta sama, lecz hasło, nazwę związku zawodowego zmieniono na słynny już wulgaryzm towarzyszący SK⁹. Widziany z tej perspektywy SK stał się

⁸ *Miła już byłam. Z Katarzyną Augustynek, Babcią Kasią, aktywistką, rozmawia Monika Tutak-Goll. „Wysokie Obcasy”. Dodatek do „Gazety Wyborczej” 2021, nr z 20 II.*

⁹ *Zob. na stronie: <http://www.fakt.pl/wydarzenia/polska/strajk-kobiet-jest-nowa-wersja-kultowego-plakatu-z-1989-roku/eyfv46> (data dostępu: 21 II 2021).*

tekstem kultury o dość skomplikowanej strukturze, grą sił aktorów (policja, demonstranci), aktantów (reporterzy) i bytów pozaludzkich (telefony komórkowe utrwalające demonstracje, hasła ręcznie wypisywane na kartonach, maski z logo SK, plakaty, odesłania do dawnych i aktualnych obrazów graficznych). Jako ruch protestu był manifestacją ludzi, którzy sami chcą wyznaczać kształt rzeczywistości oraz eksponować własne dążenia i przekonania. Te znajdowały odzwierciedlenie w hasłach, sloganach, wypowiedziach i komentarzach. SK funkcjonował równocześnie w porządku działań przestrzennych, medialnych i dyskursywnych. Opatrywanie mieszkań i samochodów (co widoczne też było w komunikacji internetowej) emblematami związanymi ze SK rozszerzało przestrzenie i czasowo obszar spektaklu. To instrumentarium semiotyczne wyznaczało przy tym strefę poparcia i solidarności, dzieliło przestrzeń miejską na „naszą” i „obcą”, zatem nacechowaną znaczeniowo, zgodnie z klasycznymi podziałami porządku kultury.

Hasła strajkowe i wyposażenie semiotyczne protestów

Teatralizacja manifestacji polega w dużej mierze na jej komunikacyjnej ekspresji, na demonstrowaniu, a więc ujawnianiu i pokazywaniu tego, co jakaś społeczność ma do powiedzenia, skomentowania. Bywa, że w grę wchodzi też ekspresja gniewu lub nawet pogardy. Demonstracja tworzy pewien rodzaj narracji na temat aktualnych działań tych, którzy mają władzę.

Stałe komponenty scenografii protestów SK to ruch (rozumiany jako ważny czynnik widzialności manifestacji), maska i transparenty z hasłami wypisywanymi na tekturze. Ruch był tu, jak w każdej demonstracji, nakierowany na konkretny cel, lecz trajektorie przemieszczania się należało w wielu przypadkach, w związku z działaniami policji, korygować, czyli zmieniać trasę, a to wprowadzało element improwizacji. Protestujący idąc, zachowywali pewne odstępy, konieczne w sytuacji manifestowania w okresie pandemii. Z jednej strony, taki sposób poruszania się wskazywał na świadomość protestujących co do czasu, w jakim demonstrowano w przestrzeni miasta, z drugiej zaś – świadczył o determinacji społecznej i potrzebie wyrażenia własnego stanowiska wobec aktualnych posunięć władzy. Demonstranci (w ogromnej większości) nosili pandemiczne maseczki chroniące twarze, takie przynajmniej wrażenie odnosiło się, oglądając relacje w telewizji oraz w Internecie, a także bezpośrednio obserwując ulicę.

Maska jest tym, co zakrywa i zabezpiecza (jak maski używane przez chirurgów podczas operacji). Twarz stanowi „wizytówkę” osoby, nadaje jej cechy indywidualne, konstruuje podmiotową tożsamość. „Zamaskowany” świat w czasie pandemii stał się w dużym stopniu światem anonimowym. Maska zasadniczo pozbawia osobę indywidualności i nie zmienia tej sytuacji fakt, że pandemiczne maseczki są różne. Funkcję różnicującą, a więc indywidualizującą, przejmuję w tym przypadku strój (ubiór), kształt ciała, sposób poruszania się. Zamaskowany tłum jest w tym sensie grupą ludzi anonimowych, a przy tym tworzących wspólnotę, gdyż jednoczoną m.in. celami protestu. Wielu uczestników manifestacji SK używało przy tym emblematów (czyli oznakowania protestu), widniejących na transparentach, maskach i ciele: czerwona błyskawica, o której tu mowa, stała się głównym logo protestu, nadającym demonstrantom tożsamość grupową. Przenosiła też informacje o wydarzeniu w prze-

strzeń miasta, poza trasę demonstracji, gdyż symbol ten umieszczano w oknach i na samochodach sympatyków ruchu. SK i jego logo szybko doczekały się często skrajnie sprzecznych komentarzy, współtworzących dyskurs strajkowy. Przeciwnicy widzieli w błyskawicy nawiązanie do emblematów z czasów nazizmu (znak na kołnierzach formacji SS z okresu okupacji hitlerowskiej). Ale logo strajku to nie tyle błyskawica w kolorze czerwonym, co czarny profil kobiety z błyskawicą na policzku. To projekt graficzki Oli Jasionowskiej, wcześniejszy niż demonstracje z października 2020 i kolejne. W intencjach autorki bardzo daleki od przypisywanej mu semantyki nazistowskiej. Projekt ewoluował, powstał w 2016 roku w związku z Międzynarodowym Strajkiem Kobiet, wersję używaną w protestach z lat 2020–2021 nieco zmodyfikowano. Jasionowska wyraźnie wskazuje, że przysłonięcie profilu kobiety maseczką to odwołanie do epidemii. W znak wpisana jest przejrzysta symbolika buntu i świadomości sytuacji, w jakiej protestowano. A sam znak, powielany w przestrzeni miejskiej, jest prosty i komunikatywny. Jasionowska wyjaśnia:

Jej [tj. błyskawicy – Z. K.] ostrzegawczy charakter jest czytelny dla wszystkich ludzi na świecie, niezależnie od kraju czy języka, jakim się posługują. Muszę przyznać, że kiedy w 2016 roku powstawały pierwsze plakaty do Strajku, nie miałam zbyt wiele czasu na szukanie rozbudowanych znaczeń, nie odwoływałam się ani do mitologii, ani do religii, odwoływałam się do symbolu ostrzeżenia i był to zabieg mocno graficzny. Czerwona błyskawica miała kontrastować ze statycznym profilem kobiety, którą narysowałam¹⁰.

Znak konstytuujący logo SK jest więc na tyle pojemny, że może być różnie interpretowany, zależnie od przyłożonej świadomości i intencji interpretującego. Jako symbol SK miał też różne mutacje graficzne i semantyczne w Internecie, sama zaś błyskawica to symbol o wielu funkcjach, głównie ostrzegawczych, znanych kulturze doświadczenia potocznego (np. informacja o groźbie porażenia prądem). Logo w całości (profil, maska i błyskawica) jest dość jednoznaczne i silnie osadzone w sytuacyjnym kontekście protestów, co wiąże je z czasem i przestrzenią demonstracji. Logo służy przede wszystkim do identyfikacji marki towarowej, w tym zaś konkretnym przypadku można chyba powiedzieć, że grafika Jasionowskiej przekształca w sensie semiotycznym SK w markę rozumianą (po części) jako kulturowy produkt („Plakaty z 2016 roku stały się podstawową identyfikacją Międzynarodowego Strajku Kobiet. Ich symbolika inspirowała feministki na całym świecie”¹¹). Powielenia i powtórzenia logo SK w Internecie, na maskach, policzkach, rękach, tablicach ze sloganami i twarzach wyznaczają symboliczną przestrzeń protestów. Określają przy tym wspólnotową tożsamość protestujących i sympatyków wydarzenia.

Hasła, slogany używane podczas demonstracji ulicznych oraz manifestacji strajkowych są informacją o protestujących i ich stosunku do adresata protestów. Stanowią przy tym również informację o proteście, kierowaną do wszystkich tych, którzy demonstracje oglądają, celowo lub przypadkowo, na ulicy albo w telewizji. Hasła i slogany SK różnią się dość zasadniczo od typowych haseł z innych protestów. Te są zwykle postulatami i żądaniem, wyrażanymi w sposób kategoryczny i jedno-

¹⁰ E. Stawikowska, *Czerwona błyskawica – symbol protestów – nawiązuje do nazistowskich źródeł? „Zarzut prawicowców jest absurdalny”*. Na stronie: <https://newseek.pl/polska/ogolnopolski-strajk-kobiet-autorka-blyskawicy/ph9d2xk> (data dostępu: 21 II 2021).

¹¹ *Ibidem*.

znaczny. Choć hasła SK właściwie ten warunek spełniają, to ich postulatywność wzięta bywa często w nawias i w zasadzie nie jest możliwa do realizacji. To slogany w dużym stopniu oparte na koncepcie. Są postulatywne raczej werbalnie, przede wszystkim oceniają władzę, która doprowadziła do ustanowienia prawa nie do zaakceptowania dla kobiet, prawa pozbawiającego je podmiotowości („Jarek, adoptuj chore dziecko, Andrzej się nie liczy”; „Mniej księży więcej księżniczek”; „Kobiety to nie ludzie. To ideologia!”¹²). Komunikacyjnie odnoszą się zazwyczaj do aktualnego kontekstu sytuacyjnego i dyskursu publicznego: ostatnie z przywołanych haseł nawiązuje w sposób oczywisty do sformułowań środowisk prorządowych w rodzaju „będziemy walczyć z ideologią *gender*”. Slogany używane w trakcie demonstracji SK wyróżnia także fakt osadzenia ich w przestrzeni intertekstualnej kultury popularnej: filmów, gier, sposobów spędzania wolnego czasu („Nawet hawajska jest lepsza niż PiS”; „PiS myśli, że *in vitro* to pizzeria”, „Nawet Shrek nie chciałby żyć w takim bagnie”, „Jesteście gorsi niż piosenki Dżemu!”). I (być może) własnych negatywnych doświadczeń autora sloganu: „Nawet mefedron ma lepszy skład niż rząd”; „PiS działa gorzej niż USOS”. Większość haseł SK zbudowanych jest na lepszym lub gorszym pomysle, z substancji, którą ma się w głowie. Hasła wypisywane były na kartonach, czyli materiale powszechnie dostępnym, co sprawia, że możemy tu mówić o konstrukcji na zasadach *bricolage*’u. W warstwie wypowiedzeniowej cechuje je mniej lub bardziej widoczna hiperbolizacja.

Hasła z kartonów SK zawierają przede wszystkim kpinę, ocenę władzy, jej posunięć, są próbą obnażenia jej rzeczywistych intencji. Jest to praktyka dobrze znana z szeroko rozumianego folkloru, wpisująca się w klasyczne podziały kulturowe na to, co „nasze”, i to, co „obce”, ze sporą dozą dystansu wobec przeciwnika, podobnie jak w powszechnie znanych żartach na temat sąsiadów z okolicy czy ościennych narodów. Praktykę ośmieszania przez napaść dobrze opisali badacze kultury. Hasła SK stanowią z pewnością rodzaj napaści, lecz warto także pamiętać, że „Napaść jest również formą komunikacji, swoistym szukaniem kontaktu. Napaści podlega każdy, kto podpadnie”¹³. Trzeba zaznaczyć, że analogia z praktykami klasycznego folkloru jest jednak w dużym stopniu ograniczona. Jeśli daje się utrzymać w podejściu funkcjonalnym, to SK i jego hasła egzystują w zupełnie innym porządku komunikacyjnym, zapośredniczonym przez media, znaki i symbole kultury masowej, podczas gdy w tradycyjnych systemach folkloru dominowała relacja *face to face*. Być może, w przypadku SK należałoby mówić o swoistym folklorze internetowym, funkcjonującym na pograniczu komunikowania ustnego (plotka, opowieści o strajku, komentarze internetowe), oficjalnych dyskursów o wydarzeniu oraz praktyk subkulturowych (szeroko rozumianych) i tych związanych z językiem potocznym. Lempart w wystąpieniach wiecowych posługuje się właśnie tą odmianą

¹² Analizę haseł opieram na własnych obserwacjach, na doniesieniach i fotografiach zamieszczanych w prasie („Polityka”, „Gazeta Wyborcza” – „Wysokie Obcasy”, „Tygodnik Powszechny”) i w Internecie (zob. strony: www.miaستokobiet.pl/strajki-kobiet-najlepsze-hasla-z-transparentow <data dostępu: 29 I 2021> oraz <https://polskatimes.pl/najlepsze-hasla-na-transparentach-te-banery-to-prawdziwe-memy-ulicy...> <data dostępu: 29 I 2021>).

¹³ M. Pankowski, *Polska poezja nieokrzesaana. Próba określenia zjawiska*. „Teksty” 1978, nr 4, s. 33.

polszczyzny, co wolno traktować jako świadome posunięcie służące przeciwstawianiu języków protestu oficjalnemu sposobowi wypowiedzania się reprezentantów władzy, które osadzone jest w aktualnie obowiązujących matrycach komunikacyjnych. Można dodać, iż hasła strajkowe wpisują się również w konwencje internetowych memów, zakotwiczonych przecież w praktykach językowej potoczności. Ośmieszenia i kpiny. Hasła SK od innych znanych protestów przeciw władzy odróżnia fakt, że nie zawierają one w zasadzie postulatów socjalnych, co wynika z genyzy ruchu. Są za to wyraźnie nacechowane ekspresją podmiotowości – świetnie to widać m.in. w rozpowszechnianym w Internecie i powielanym zdjęciu fotografowanej z wysokości wielotysięcznej manifestacji, przez które, na środku obrazu, z góry do dołu, umieszczono dwuznaczny i ironiczny napis: „Podmiot nie zgadza się z orzeczeniem!”¹⁴. Prawo do podmiotowości jest jednym z niezbywalnych elementów wartości demokratycznych. Hasła SK silnie to eksponują („Moja macica należy do mnie”). Z szeroko rozumianym folklorem łączy slogany także specyficzna dla jego niektórych gatunków forma zrytmizowania. Pozbawianie możliwości decydowania o sobie niszczy podmiotowość, podobnie jak pozbawianie praw („Kradnij księżyc, a nie prawa”). Postulatywność tego typu komunikatów wiąże się w sposób oczywisty z odrzuceniem prawnych praktyk władzy, z wykluczeniem jej samej („PiS *off*, *duck off*”). Silnie eksponowana podmiotowość haseł nadaje im cechy wypowiedzi indywidualnej, niemetrycowanej, a ich postulatywność czy też często stosowana forma aktu mowy, który jest kategorycznym życzeniem, wprowadza do tego rodzaju komunikacji społecznej aspekt wspólnotowy. Widać to przede wszystkim w komentarzach internetowych: „Pamiętajcie, że zawsze znajdą się ludzie, którzy staną obok was, kobiety i mężczyźni”.

Głównym adresatem sloganów i haseł jest prezes PiS, Jarosław Kaczyński, traktowany jako synekdocha wszelkich działań aktualnej władzy. A szerzej – prawica („Bosak ogląda porno do końca, bo myśli, że będzie ślub”). Hasła sugerują wykluczenie skrajnych prawicowych przekonań, wypchnięcie, wyrzucenie ich z obszaru myślenia wspólnotowego („Umykajcie chyżo”). Wyobrażanego raczej i postulowanego, gdyż w działaniach SK uczestniczyli przedstawiciele różnych grup społecznych i przedziałów wiekowych, choć dominowały w zasadzie młode kobiety i osoby dalekie od przekonań prawicowych. Wspólnotowy charakter miało także skandowanie podczas niektórych demonstracji rzeczownika „solidarność” i formuły „Chodźcie z nami”, co poza podobieństwem werbalnym nie miało raczej wiele wspólnego z hasłami ze strajków z lat osiemdziesiątych XX wieku. Sądzę tak, gdyż demonstrowali przede wszystkim ludzie młodzi, dla których czasy strajków i protestów NSZZ „Solidarność” to już historia, okres buntu ich rodziców i dziadków. Postulat solidarności dotyczy w tym przypadku podobieństwa postaw i sposobów myślenia o świecie, a więc budowaniu wspólnoty, która nadaje grupie tożsamość. Wspólnotowość tak rozumiana stanowi rodzaj tożsamości mentalnej tych, którzy podobnie myślą i czują, bez odwoływania się do uprzednich założeń i konkretnych przekonań politycznych czy intencjonalnych. W tym rozumieniu jest czymś archaicznym, przedkomunikacyjnym. Odwołuję się w tym miejscu do ustaleń Zygmunta Baumana:

¹⁴ Fotografia: B. Staszewski, grafika: M. Czarna.

Pojmowanie, na którym opiera się wspólnota, poprzedza wszelkie porozumienia i nieporozumienia. Taki sposób pojmowania to nie linia końcowa, lecz punkt wyjścia wszelkiej więzi. To „wzajemnie wiążące uczucie” – właściwa i prawdziwa wola tych, co podążają razem; i właśnie dzięki takiemu, i tylko takiemu pojmowaniu ludzie „pozostają zasadniczo w zgodzie pomimo wszelkich dzielących ich momentów”¹⁵.

O wspólnotowości można zatem myśleć w kategoriach podobieństwa celów i wyobrażeń, a także aktualnych kontekstów politycznych, społecznych („Chcesz bronić życia, finansuj psychiatrię dziecięcą”), kulturowych i przekonań na temat możliwych użyć języka. Chociażby społecznej dopuszczalności sytuacyjnego posługiwania się wulgaryzmami.

Kłątwa, przekleństwo, wulgaryzm w funkcji sloganu

Demonstracjom różnego rodzaju towarzyszą hasła i slogany. Pierwsze określają zazwyczaj istotę dążeń tych, którzy protestują, mają uogólniać cele ruchu, wskazują na główną zasadę postępowania, dewizę. Wiadomo, że francuskie „*devise*” to ‘godło’, ‘zawołanie’, łacińskie „*sententia divisa*” to ‘myśl wydzielona’. Slogan z kolei definiowany bywa właśnie jako sformułowanie, które powinno wytwarzać więź, a zatem budować wspólnotę, przyciągać uwagę, streszczać istotę przedsięwzięcia i określać jego cel. Hasło i slogan mają kształt formuły wypowiedzeniowej, głoszonej werbalnie lub w postaci pisanej¹⁶. Z perspektywy efektów oddziaływania hasło może pełnić funkcję sloganu, a slogan – formalnie być hasłem. W roli sloganu występuje też niekiedy przekleństwo traktowane jako rodzaj klątwy, nawet takie, które uważane jest za wulgaryzm. To nieczęste sytuacje, lecz jednak tak się zdarzyło w przypadku hasła SK. Wśród analizowanych haseł nie znalazłem zbyt wielu wulgaryzmów i przekleństw, ale właśnie te, które można klasyfikować jako wulgarne lub obraźliwe, stały się przedmiotem komentarzy na różnych poziomach dyskursu dotyczącego SK. Mowa o hasle „Wypierdalać”, wypisywanym na dyktach i większych transparentach, także powtarzanym podczas wystąpień liderów, oraz o sloganie „LIBERTÉ, EGALITÉ, WYPIERDALAJTÉ”, wyraźnie odwołującym się do haseł Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Wulgaryzm i przekleństwo są traktowane jako rodzaj obelgi, nic zatem dziwnego, że ten typ haseł skrytykował Jerzy Bralczyk (a na jego krytykę odpowiedział Jerzy Owsiak)¹⁷. Na innym piętrze związanego z SK dyskursu język protestujących krytykowały w opiniotwórczym czasopiśmie „Pauza Akademicka” Anna Cegiela i Alina Nowicka-Jeżowa – właśnie z powodu wulgaryzmów, uważanych za przejaw pogardy dla „całej reszty społeczeństwa” i „stygmatyzujących zabiegów językowych”. W tym samym periodyku na ten sam temat wypowiadali się też, polemicznie wobec przytoczonych opinii, Adam Głaz, który wskazywał na fakt, że „istnieje wyraźna

¹⁵ Z. Bauman, *Wspólnota. W poszukiwaniu bezpieczeństwa w niepewnym świecie*. Przeł. J. Margański. Kraków 2008, s. 17.

¹⁶ Zob. O. Reboul, *Kiedy słowo jest bronią*. Przeł. J. Arnold. W zb.: *Język i społeczeństwo*. Wybór, wstęp M. Głowiński. Warszawa 1980.

¹⁷ *Jerzy Owsiak do prof. Bralczyka: „Gdzie Pan był, gdy Lichocka pokazała f*cka?”*. Na stronie: <https://www.antyradio.pl/News/Jerzy-Owsiak-do-prof-Bralczyka-Gdzie-Pan-był-gdy-Lichocka-pokazala-f-cka-44449> (data dostępu: 29 XII 2020).

różnica między wulgarnością przekazu i języka a używaniem wulgaryzmów”, i Michał Głowiński:

Etyka mówienia może łączyć się z problemem wulgaryzmów, ale nie musi tego czynić. Wulgaryzmy pełnią rozmaite funkcje w komunikacji społecznej i w wielu wypadkach są psychologicznie, sytuacyjnie, retorycznie, jeżeli nawet nie uzasadnione, to przynajmniej ich występowanie jest godne aprobaty i daje się wytłumaczyć okolicznościami. Ponadto w sferze wulgaryzmów ujawnia się swoisty ruch: to, co w pewnym czasie traktowane jest jako wulgaryzm, po latach wulgaryzmem być przestaje¹⁸.

Klasyfikacja wypowiedzi lub jednostki językowej jako wulgarnej łączy się ze środowiskowymi ocenami, które odnoszą się do potencjalnych użyć języka, a także z interpretacją celu wypowiedzi i po części intencji osoby wypowiadającej się. Przekleństwa i wulgaryzmy wiążą się przy tym ze sferą kompetencji językowej użytkowników języka, można powiedzieć: niepożądaną, niewłaściwą lub nadmiernie „oswojoną”, zależnie od środowiska i wzorców kultury przez nich reprezentowanych. Trudno to stwierdzenie zanegować, skoro dzieci, ucząc się języka etnicznego, zwykle przechodzą przez etap przekleństw i wulgaryzmów, powtarzanych bez zrozumienia, pozbawionych zatem ich podstawowych funkcji. Przekleństwa i wulgaryzmy używane są w dzisiejszej polszczyźnie „z ogromną częstotliwością w tzw. żywej mowie przez niemalą część społeczeństwa. Są to użycia spontaniczne, często stanowią przejaw całkowitego braku samokontroli mówiącego”¹⁹. Maciej Grochowski uważa, że w pewnych sytuacjach wypowiedzeniowych wulgaryzm czy przekleństwo to wyrażenia semantycznie puste – wówczas, gdy stanowią przerywniki lub werbalne natręctwa. Tak używany wulgaryzm traci rolę ekspresji emocjonalnej przypisywanej przekleństwu. Leksykalizuje się i przestaje cokolwiek znaczyć. W niektórych środowiskach zaczyna pełnić funkcję fatyczną. W mniejszym lub większym stopniu pozostaje jednak naruszeniem zakazów kulturowych, dotyczących akceptowanych społecznie sposobów wypowiadania się, mniej lub bardziej restryktywnych, zależnie od środowiska. Pomimo wyrazistej ewolucji zwyczajów językowych kultury współczesnej w kierunku łagodzenia restrykcyjności stylów wypowiedzi wulgaryzm i przekleństwo odczuwane są jako obraźliwe, a wypowiadane pod czyimś adresem – jako zniewaga. Warto dodać (za Grochowskim), że kategorie przekleństw i wulgaryzmów nie do końca się pokrywają, i odnotować znany fakt (już poza ustaleniami Grochowskiego), iż można wypowiadać się skrajnie wulgarnie, nie używając wulgaryzmów, czego dowodów dostarcza polskie życie parlamentarne.

Etymologicznie przekleństwo wiąże się z kłutwą, ta zaś z przekonaniem o sprawczej mocy słowa i magicznych funkcjach języka²⁰. Przekląć kogoś to tyle, co życzyć mu czegoś złego: „bodajby ci język kołkiem stanął”. Kłutwa jest więc swoistym życzeniem, werbalnym aktem o charakterze rytualnym i magicznym zarazem. Z bogatego przeglądu koncepcji badawczych dotyczących kłutwy oraz z rozważań Anny

¹⁸ M. Głowiński, *O języku protestu z końca roku 2020*. „PAUza Akademicka. Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności” nr 540 (2021). Pozostałe przytoczenia opinii o języku haseł SK pochodzą z numerów 532 i 533 (2020), z następujących wypowiedzi: A. Cegieła, *Język protestu* (nr 532). – A. Nowicka-Jeżowa, *Ad vocem artykułu „Język protestu”* (nr 533). – A. Głaz, *O języku protestu, ale inaczej* (nr 533).

¹⁹ M. Grochowski, *Słownik polskich przekleństw i wulgaryzmów*. Warszawa 1995, s. 7.

²⁰ Zob. A. Engelking, *Kłutwa. Rzecz o ludowej magii słowa*. Wyd. 2, popr. i uzup. Warszawa 2010.

Engelking odnosi się do tych ustaleń, które łączą klątwę z koncepcją aktów mowy Johna L. Austina. Klątwę można rozpatrywać jako akt mowy, którego celem jest wywołanie zmian w rzeczywistości za pomocą sprawczej siły słowa. Stanowi ona zatem akt perlokucyjny, ma rzucić urok, przestraszać, prowadzić do skutków zdrowotnych – karać tego, kogo dotyczy. Lecz aby był to fortunny (w terminologii Austina) akt mowy, musi być realizowany w kulturowych środowiskach, gdzie istnieje przeświadczenie o sprawczej mocy słowa, w dawnym i współczesnym folklorze, w społecznościach subkulturowych. Trzeba mieć przekonanie, że klątwa działa, aby w istocie mogła zadziałać i wywołać pożądany (z punktu widzenia nadawcy) skutek w rzeczywistości. Klątwa zatem wyklucza, usuwa poza nawias społeczności. W środowiskach, gdzie słowo nie ma tej mocy sprawczej, klątwa może stanowić co najwyżej przekroczenie zwyczajów komunikacyjnych, pełnić funkcję przekleństwa, które nie musi być wcale realizowane poprzez użycie wulgaryzmu. Pozostałości dawnych praktyk „wyklinania” czy „przeklinania” kogoś występują w dzisiejszej polszczyźnie i w szerokim rozumieniu mogą być uważane za jeden z przykładów mowy nienawiści, mają bowiem zwykle funkcje emocjonalne i służą wykluczaniu²¹. I taką też rolę odgrywa „Wypier...”, hasło-slogan SK, używane w kilku wariantach podczas demonstracji.

Jako akt mowy slogan ten stanowi obelgę, a zarazem życzenie, podobnie jak większość frazeologizmów kwalifikowanych jako wulgaryzmy. To przykład wyraźnie środowiskowego posłużenia się językiem, gdzie przekleństwo jest stosunkowo niewielkim naruszeniem czy dopuszczalnym sytuacyjnie sposobem wyrażania silnych emocji, gniewu, pogardy, oburzenia. W mowie tego rodzaju nie obowiązuje w zasadzie dokładna synonimia, gdyż zastosowanie innego, bliskoznacznego słowa pozbawia wulgaryzm przypisanej mu środowiskowo funkcji²². Użycie słowa „precz” albo „wynocha”, a więc kategorii z innego porządku socjolingwistycznego, osłabiałoby ekspresję buntu protestujących (taką przynajmniej motywację im przypisuje). Hasła SK odwzorowują potoczny język ich autorów, poprzez nawiązania do kontekstów środowiskowych, doświadczanej codzienności: zawołań kibiców, komentarzy do wydarzeń ze świata popkultury („Nasz rząd jest opóźniony bardziej niż premiera *Cyberpunka*”) i języka wystąpień sejmowych, który też uległ silnej wulgaryzacji („Z człowieczeństwa został wam już tylko palec przeciwny” – aluzja do szeroko komentowanego gestu posłanki PiS). Tendencje, o jakich mowa, natychmiast odnotowano w dyskursie prasowym dotyczącym hasła SK²³. Wulgaryzmy są rozpowszechniane przez współczesne kino i współczesną literaturę, a w obu tych przy-

²¹ Pisze o tym E. Rudnicka w pracy *Co nam zostało z nienawistnych klątw? – mowa nienawiści we współczesnych polskich przekleństwach formułacyjnych*. Maszynopis.

²² Na tę sprawę zwrócił w zasadzie uwagę J. Bralczyk w wywiadzie na temat hasła SK: „To słowo w pewnym sensie znaczeniowo zastępuje słowo »precz«. Jednak w tym przypadku nie podaje, o kogo chodzi. W moim mniemaniu to słowo oderwane od istoty protestu, które przenosi protest na wyrażenie sprzeciwu wobec określonych ludzi”. Cyt. za: Jerzy Owsiak do prof. Bralczyka: „Gdzie Pan był, gdy Lichocka pokazała f*cka?”

²³ Zob. B. Chaciński, *Teraz k... wy... Ten protest ma swój język*. „Polityka” 2020, nr 45, z 4–8 I, s. 22: „Publiczny język [...] dokumentują już nawet stenogramy sejmowe – pamiętne »Spierdaj!« padło osiem lat temu z ust posłanki Krystyny Pawłowicz, dziś, o ironio – członkini tak zwanego Trybunału Konstytucyjnego, po którego orzeczeniu Polki wyszły na ulice”.

padkach stanowią odwzorowanie świata, o którym się opowiada. SK – ruch konstruowany przez ludzi młodych – może być traktowany jako efekt działań radykalnych, co widać w radykalizacji języka. Komentowana i analizowana w tym miejscu obelga stała się w zasadzie etykietą ruchu. Ekspresją gniewu i pogardy. Ten pierwszy pojawia się w relacji społecznej (a więc i w relacji komunikacyjnej), która zakłada możliwość zmiany cudzego zachowania, ta druga – w sytuacji, gdy takiej możliwości się nie zakłada²⁴. Choć prymarnie kierowane do aktualnej władzy, hasła SK mają jednak adres znacznie szerszy. Skoro protesty SK można traktować jako ruch pokoleniowy, obiektem krytyki stają się także ludzie uważani za reprezentantów odrzucanego porządku społecznego, któremu odpowiada pewien repertuar przekonań światopoglądowych: „dziady” i „dziadersi”. Nawiązuję do rozbudowanej eksplikacji tych kategorii, której dokonał Mariusz Janicki:

„Dziady”. To głęboko konserwatywni mężczyźni, zwolennicy „naturalnego” patriarchalizmu, tradycyjnej rodziny z podziałem ról płciowych, podkreślający swoją religijność i związki z Kościołem katolickim, tańczący i śpiewający z ojcem Rydzykiem. Opowiadający się za całkowitym zakazem aborcji, przeciwko związkom jednopłciowym, często także przeciw *in vitro*. [...]

[...]

Dziaders [...] to mężczyzna mniej konserwatywny od „dziada”, proeuropejski, zachowujący demokratyczne standardy, broniący konstytucji i praworządności, ale zarazem tkwiący, nawet nieświadomie, w patriarchalnej mentalności. Uważa się za umiarkowanego centrystę, przedstawiciela głównego nurtu, ale zdaniem krytyków takiej postawy nie zauważa on własnych ideowych uwikłań, tkwienia w obyczajowych stereotypach, tego, że postrzega dzisiejszą rzeczywistość kategoriami lat 80. i 90. [...] ²⁵.

Symboliczne wykluczenie dokonuje się zatem również w płaszczyźnie światopoglądowej, obejmując i grupy niekoniecznie związane z aktualną władzą, do których także adresowane jest sztandarowe hasło SK. „Wypier...” można więc traktować jako akt mowy, którego rolą ma być bezwarunkowe odrzucenie, pełniący też funkcję symbolicznego przekleństwa, a cały ruch – jako dążący do zmiany pokoleniowej, choć kategoria wieku nie jest w tym przypadku najważniejsza. Złagodzone językowo wersje głównego sloganu również posługiwały się trybem rozkazującym, adresowanym do władzy, która przez nadawcę wypowiedzi nie zawsze była nazywana wprost: „Umykajcie chyżo!”, „Murem za babami, jazda z pisiurami”.

Wnioski końcowe

Hasła SK dokonują istotnych przesunięć w opozycji mówienie publiczne – mówienie prywatne, która jest najbardziej istotną matrycą generującą aktualne style komunikowania, dopuszczalne w wypowiedziach publicznych. Mamy tu do czynienia z eskalacją pewnego procesu, od lat zachodzącego w potocznej polszczyźnie i towarzyszących jej sytuacjach komunikacyjnych. Procesu znanego także z polskich

²⁴ Idę tu za ustaleniami P. Górskiej i M. Napiórkowskiego (*Niepodległość nieparlamentarna*, „Tygodnik Powszechny” 2020, nr 46, z 25 XI). Autorzy odwołują się do prac N. Tausch – zob. m.in.: N. Tausch [i in.], *Explaining Radical Group Behavior. Developing Emotion and Efficacy Routes to Normative and Nonnormative Collective Action*, „Journal of Personality and Social Psychology” nr 101 (2011, July).

²⁵ M. Janicki, *Dziady i dziadersi*, „Polityka” 2020, nr 47, z 18–24 XI, s. 20–21.

dysput parlamentarnych i zwyczajów mówienia w szeroko rozumianych grupach subkulturowych. W tym obszarze kultury wulgaryzm, jak też przekleństwo zaczyna się dopuszczać, a nawet niekiedy akceptować. To, co bywa akceptowane w sferze prywatnej, spotyka się z krytyką w kulturze oficjalnej. Językoznawstwo anglojęzyczne do opisanie pewnych funkcjonalnych stylów komunikowania używa pojęcia rejestru (ang. „register”), raczej rzadko stosowanego w polskiej literaturze przedmiotu, chętniej posługującej się kategorią: styl funkcjonalny. Rejestr jest jednak kategorią upowszechnioną na tyle, że jako hasło trafił do *Wikipedii*²⁶. To kategoria opisująca pewne właściwości stylu komunikacyjnego, oznaczająca relacje między rozmówcami i ich poziom społeczno-kulturalny. Jest zatem kategorią socjolingwistyczną, która charakteryzuje komunikujących się. Rejestry przedstawiają sposoby mówienia grup mniejszościowych, a więc style, które w odniesieniu do powszechnie obowiązujących konwencji pozostają w mniejszości: dialekty, różne odmiany „języka ulicy”. Hasła SK wprowadzają rejestry tego rodzaju stylów komunikowania do dzisiejszej kultury, m.in. za sprawą medialnych relacji z protestów, gdzie hasła były filmowane, a wypowiedzi liderów przytaczane, transmitowane. To pozwala na zmianę wyobrażeń społecznych na temat tego, co w komunikowaniu publicznym jest dopuszczalne. Hasła SK eksponują zatem różne odmiany używanego w kontaktach codziennych języka wernakularnego, który jest nośnikiem świadomości potocznej i przeciwstawia się językowi oficjalnemu. Języki wernakularne wraz z typowymi dla nich rejestrami są najczęściej językami mniejszości, pozostającymi w opozycji do innych, trwałych porządków kulturowych.

Protesty SK rozpatrywane jako swoisty tekst kultury skłonny jestem w całości lub w dużej części przyporządkować kulturze wernakularnej, funkcjonującej na styku tego, co oficjalne, systemowe, i tego, co indywidualnie doświadczane. Charakteryzują ją działania spontaniczne, konstruowanie wydarzeń „naprędce”, z tego, co się znajduje „pod ręką”. Jej sens ujawnia się w odniesieniu do oficjalnego porządku kulturowego, który jest negowany:

Kultura wernakularna składa się z tych samych elementów co kultura systemowa, są one jednak ułożone według innych zasad. Kultura wernakularna przytacza mowę cudzą, podszycia się pod inne gatunki, parodiuje je, reinterpretuje. Wszystkie działania organizowane są przez nadrzędną zasadę: działania w złożonym świecie tak, jakby był on prosty²⁷.

Kultura wernakularna funkcjonuje na zasadzie *bricolage*’u Claude’a Lévi-Straussa i w kontekście potocznego doświadczenia jej uczestników. Widać tę prawidłowość w przypadku haseł SK (choćby tych już tu przytaczanych: „Nawet hawajska jest lepsza niż PiS”, „Jesteście gorsi niż piosenki Dżemu!”). Kultura wernakularna wykorzystuje podstawowe kody kapitalizmu rozumianego jako system kulturowy, generujący znaki zasiedlające wyobraźnię zbiorową, pomimo tego, że

²⁶ Rejestr (językoznawstwo). Hasło w: *Wikipedia*. Zob. też A. Wilkoń, *Typologia odmian językowych współczesnej polszczyzny*. Katowice 2000. – H. Kurkowska, S. Skorupka, *Stylistyka polska*. Zarys. Wyd. 5, uzup. Warszawa 2001.

²⁷ M. Napiórkowski, A. Szarecki, P. Dobrosielski, P. Filipkowski, O. Kaczmarek, *Kultura wernakularna. Antropologia projektów nieudanych*. „Kultura Współczesna” 2015, nr 3, s. 21.

często protestuje przeciw kapitalizmowi jako systemowi ekonomicznemu²⁸. Jest oparta na improwizacji w działaniu i w posługiwaniu się swoim semiotycznym wyposażeniem, lecz funkcjonuje w obrębie zastanego porządku systemowego. Warto w tym miejscu dodać, że o ile ogromna część haseł strajkowych wypisywana była na tekturze, o tyle jednak oficjalne strajkowe logo zostało zaprojektowane profesjonalnie, a o miejscach protestu chętni do manifestowania uczestnicy wydarzeń dowiadawali się za pomocą portali społecznościowych, więc przy użyciu zaawansowanych systemów komunikacyjnych. Dodać też warto, że SK jako ruch protestu nie mieści się w nowoczesnym rozumieniu zjawisk folkloru, chociażby ze względu na zróżnicowanie społeczne uczestników ruchu²⁹.

Wolno zatem powiedzieć, że protesty SK wprowadzają niejakię przegrupowania w traktowaniu tradycyjnej taksonomii kulturowej i w ustalonym porządku komunikowania publicznego. Można też, oczywiście, krytykować język tego protestu, ale można także próbować protesty opisać i zrozumieć jako pewien typ działań symbolicznych.

Abstract

ZBIGNIEW KLOCH University of Warsaw
ORCID: 0000-0002-7832-0368

THE SLOGANS OF STRAJK KOBIET (ALL-POLAND WOMEN'S STRIKE) AND VERNACULAR LANGUAGES

The article is an insightful description of demonstrations organised in many Polish cities by Strajk Kobiet (The All-Poland Women's Strike) at the end of the year 2020 and at the beginning of 2021 viewed as a cultural phenomenon. The demonstrations and manifestations were shows and performances in their nature, and made use of the language that was severely criticised in political discourse connected with these events, primarily by the commentators who negated the assumptions of the protests (public television, right-wing press). The use of the slogan in the demonstrations and communicative aspect of the protests brought about substantial groupings cultural taxonomy and public communication. Using slogans of vulgar character, swear-words as well as postulate and wish formulas aimed at a symbolic exclusion of the present political power that shortly before the protests of Strajk Kobiet (The All-Poland Women's Strike) introduced to the Polish law a complete ban of abortion. Communicative and semiotic aspects of demonstrations can be included into the order of vernacular culture as they retain the features and properties attached to it. The analysis of the protests was carried out with semiotic tools and the methodology applied to public communication sociology.

²⁸ Zob. M. Napiórkowski, *Kod kapitalizmu. Jak „Gwiezdne wojny”, Coca-Cola i Leo Messi kierują twoim życiem*. Warszawa 2019.

²⁹ Nawet dobrze osadzone w tradycji praktyki kulturowe, dawniej należące do systemów folkloru, dziś silnie ewoluują. Zob. K. Smyk, *Obrzęd jako tekst kultury. Przykład Bożego Ciała w Spycimierzu*. Lublin 2020.

MIKOŁAJ JAZDON Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Poznań
MAREK KAŻMIERCZAK Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Poznań

FILM JAKO FORMA APOKRYFICZNA? O „KOMUNII” I „BOŻYM CIELE” – UWAGI NIE TYLKO FILMOZNAWCZE

Cel badawczy i teza

Celem artykułu jest analiza i interpretacja dwóch filmów – dokumentalnej *Komunii* (2016) Anny Zameckiej i fabularnego *Bożego Ciała* (2019) Jana Komasy¹, jako przykładów na istnienie, w kinie współczesnym, formy artystycznej, którą nazywamy formą apokryficzną. Używamy tego pojęcia, aby wskazać na funkcjonowanie wciąż żywej tradycji apokryficznej w kulturze XXI wieku, w tym w literaturze, w malarstwie, ale również w filmie. Nie zamierzamy utożsamiać formy apokryficznej z apokryfami z powodów historyczno-religijnych oraz genologicznych².

- ¹ *Komunia* A. Zameckiej to dokumentalny portret zbiorowy rodziny nastoletniej Oli i jej młodszego brata Nikodema, którzy mieszkają razem z ojcem. Ola marzy, by do domu powróciła mama, żyjąca w innym związku. Dziewczynka zabiega, żeby jej brat, pomimo niepełnosprawności (cierpi na autyzm), przystąpił do pierwszej komunii. Organizacja uroczystości to także sposób na przyciągnięcie mamy, która przyjeżdża, by towarzyszyć synowi w tym wyjątkowym wydarzeniu. Zamecka i jej ekipa filmowa przez kilka miesięcy przyglądała się życiu rodziny, w której 14-letnia Ola coraz bardziej wchodziła w rolę przewidzianą dla dorosłych, stając się dla brata jakby drugą matką. *Boże Ciało* J. Komasy opowiada historię Daniela, młodego penitencjariusza domu poprawczego, angażującego się tam w praktyki religijne i zafascynowanego postacią ks. Tomasza, który pełni w ośrodku posługę kapłańską. Daniel, wysłany do zakładu pracy z dala od poprawczaka, na skutek zbiegów okoliczności, a przede wszystkim własnych decyzji, przebiera się za księdza i wchodzi w jego rolę w parafii w miasteczku, gdzieś na południowo-wschodnim krańcu Polski. Zaangażowanie bohatera, niekonwencjonalny sposób komunikowania się ze społecznością lokalną, śmiało ingerowanie w trudne i bolesne dla niej problemy, sprawiają, że „kapłańska” posługa Daniela ożywia i uzdrawia traumatyczne „zawieszenie”, w jakim trwają bliscy siedmiorga osób, które zginęły w katastrofie samochodowej. Ostatecznie główny bohater – zdemaskowany i usunięty z parafii – nie mając wyboru, wraca do poprawczaka. Konfrontacja ze współwzięciem chcącym się zemścić na Danielu za to, że ten nieumyślnie spowodował przed laty śmierć jego brata (i za to odbywał karę), doprowadza do kolejnej tragedii. Daniel w walce na śmierć i życie zabija przeciwnika i zmuszony jest uciekać.
- ² W *Nowym leksykonie teologicznym* (Przekł., oprac. T. Mieszkowski, P. Pachciarek. Wstęp do wyd. pol. A. J. Skowronek. Konsultacja nauk. J. Salij. Warszawa 2005, s. 17) H. Vögrimera czytamy, że apokryfy (gr. ἀπόκρυφος – „ukryty”) to „zbiory powstałych między około 200 przed Chr. i 400 po Chr. pism żydowskich względnie chrześcijańskich, które nie zostały włączone do kanonu *Pisma Świętego* albo których przynależność do niego budzi kontrowersje. Zbiorowe określenie »apokryfy« należy tłumaczyć zapewne ich pochodzeniem bądź uprzywilejowaną pozycją niektórych z nich w ezoterycznych kregach (tajemna wiedza gnozy itd.). Problematyka

Używamy pojęcia formy apokryficznej, aby podkreślić, że muszą być spełnione pewne warunki, by dany przekaz – w tym przypadku film – mógł funkcjonować jako tego typu forma artystyczna. Po pierwsze, formą apokryficzną według nas jest film, który odnosi się do doświadczenia religijnego. Po drugie, forma apokryficzna służy wyjaśnieniu, uzupełnieniu i aktualizacji treści (ponadhistorycznych) wynikających z przekazów źródłowych (jak np. *Ewangelie* lub apokryfy), wpisanych jednak w konteksty współczesne. Po trzecie, forma apokryficzna obrazuje albo świat, który wyraża tęsknotę za czymś, co jest religijnie uwarunkowane, choć zarazem nieuchwytnie (*Boże Ciało*), albo postawę mogącą uchodzić za (hipertekstualne) powielenie jakiegoś kanonicznego wzorca, jak np. naśladowanie Chrystusa (*Komunia*). Po czwarte, film traktowany jako forma apokryficzna stanowi nośnik znaczeń, wzorców, zachowań, wartości, które angażują widza, wszak w jakimś sensie odzwierciedlona w nich jest postawa uznawana za normatywną w sensie tekstowym i religijnym, choć na pewno nie instytucjonalnym. Po piąte, forma apokryficzna jest przepisywaniem na nowo doświadczeń i praktyk religijnych, które skrywano (!), pomijano, bagatelizowano i o których zapomniano w praktykach kościelnych, czyli powszechnych. Zakładamy więc, że formy apokryficzne stanowią przykłady „czynnego rozumienia”³ tekstów kultury, są „religią” w działaniu, a nie tylko tekstami kultury odnoszącymi się do religii, mają charakter palimpsestowy; zresztą film traktujemy, nawiązując do studiów rozwijanych przez Wernera Faulsticha, jako medium literatury⁴.

Badanie formy apokryficznej opiera się na tekstualności, przyjmujemy, że myślenie apokryficzne stanowi funkcję aktywności kulturowej, zachowującej ciągłość, choć zmieniają się media, za pomocą których tę aktywność się wyraża. Formy apokryficzne transmitowane były przy wykorzystaniu słowa mówionego, pisma, ale obecnie dzieje się to również przy wykorzystaniu mediów audiowizualnych, w tym właśnie filmu. Zakładamy, wprowadzając pojęcie formy apokryficznej, że człowiek współczesny ma predylekcję do myślenia apokryficznego, czyli wciąż dopowiada, wciąż dopisuje, wciąż obrazuje sobie te treści, których albo nie znajduje w źródle kanonicznym, lecz ich nie rozumie, albo ich po prostu brak, albo są, jednak, jej/jego zdaniem, ich przekaz (tu: krytyczny stosunek wobec Kościoła w perspektywie rzymskokatolickiej) jest zniekształcony. Człowiek współczesny dopowiada, bo nieustannie poznaje, tłumaczy i projektuje. Myślenie apokryficzne ma swą podstawę kognitywną w myśleniu potocznym i w różnych doświadczeniach składających się na codzienność. Forma apokryficzna stanowi dowód na to, że myślenie religijne jest domeną, w której tradycja zderza się z nowoczesnością, kanon normatywny z potrzebami indywidualnymi, a instytucja z osobą.

związana z apokryfami wymaga ścisłego rozróżnienia między apokryfami ST i apokryfami NT. Żydzi nie mówią o apokryfach, lecz o »księgach pozostających na zewnątrz«.

³ Pojęcie zaczerpnięte z książki R. Nycza *Poetyka doświadczenia. Teoria – nowoczesność – literatura* (Warszawa 2012, s. 56). Rozważania autora tej monografii zainspirowały nas do myślenia o formie apokryficznej jako o formie poznawczej.

⁴ W. Faulstich, *Estetyka filmu. Badania nad filmem science fiction „Wojna światów” (1953/1954) Byrona Haskina*. Przeł. M. Kasprzak, K. Kozłowski. Przedm., oprac. K. Kozłowski. Poznań 2017, s. 5–47.

Konteksty (możliwe)

W *Ewangelii św. Mateusza* czytamy m.in. o tym, jak Jezus uczy apostołów modlitwy. Uwrażliwia ich na to, aby nie mówili zbyt wiele, aby nie „paplali”, licząc, iż zostaną wysłuchani: „Modląc się, nie bądźcie gadatliwi jak poganie. Oni myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani” (Mt 6, 7)⁵. Chcielibyśmy wyeksponować cztery istotne w kontekście naszych rozważań słowa⁶: βαττολογῆσατε (*battologēsēte*), πολυλογία (*polylogia*), ἐθνικοὶ (*ethnikoi*), εἰσακουσθήσονται (*eisakousthēsontai*). Słowo „*battologēsēte*”, odnoszące się do „gadatliwości”, można też tłumaczyć jako „paplaninę”, jako „mówienie słów bez treści”, „powtarzanie w kółko tych samych słów”. Przyjmujemy, że „paplanie”, gadatliwość wiąże się z automatyzmem, a więc i w kontekście współczesnego odczytania – z nieobecnością w działaniu komunikacyjnym, nieobecnością w rozmowie, dlatego formy apokryficzne stanowią reakcję na paplaninę – są dopowiadaniem, rozszerzaniem, uzupełnianiem tego, co nieobecne. Słowo „*polylogia*” (wielomówstwo) rozumiemy jako „rozproszenie słów”, którymi się nie dzielimy, jak w przypadku dialogu, ustanawiającego między ludźmi, jak pisał Józef Tischner, „wspólny wątek dramatyczny – nasz dramat”⁷. „*Ethnikoi*” – „poganie”, w innych tłumaczeniach „nieżydzi” lub „inne narody” (w sensie: „ludy”), oznaczają kontekst społeczny, obojętny na możliwość spotkania poprzez modlitwę rozumianą jako prośba, jako błaganie. To są jednak ci, którzy przestrzegają zasad, wszakże, jak to się mówi współcześnie w języku potocznym, wyróżniając własną religijność opartą na wypełnianiu określonych zadań i przestrzeganiu reguł: chodzi się do kościoła, przystępuje się do komunii, modli się, klęka się, księdzę się słucha. A przecież celem człowieka, który się modli, jest bycie wysłuchanym – *eisakousthēsontai* (w tym przypadku mamy do czynienia z czasownikiem w trzeciej osobie liczby mnogiej, trybie orzekającym, czasie przyszłym), nie przez kapłana, ale przez Boga. W zacytowanym fragmencie *Ewangelii* znajduje się ostrzeżenie, że ci, którzy paplają, gadają – liczą, iż z tego powodu będą wysłuchani. Jezus zaś twierdzi, że jest inaczej. Przytoczony fragment *Ewangelii św. Mateusza* zawiera zatem istotne elementy, które stanowią i stanowiąc będą klucze interpretacyjne do filmów *Komunia* i *Boże Ciało*.

Czy Daniel z *Bożego Ciała* zostaje wysłuchany, a może to on ma wysłuchać; kim on jest w filmie, zderzając się z normatywnym, ale też represywnym się, trafiając na rąfę *battologēsēte*? Aleksandra Kaczanowska (*Komunia*) znajduje wiele „dowodów” na Bożą „miłość”, gdyby słowa księdza skierowane z ambony, że „kogo Bóg miłuje, tego chłoscze” – potraktować literalnie jako granice poznawcze, teologiczne i komunikacyjne; w tym sensie film *Komunia* jest filmem o „chłostaniu” nadającym osobliwy sens kruchej egzystencji bohaterki, podobnie jak i egzystencji jej brata, o „chłostaniu” paplaniną przez dorosłych, w tym przez księdza. Widz

⁵ Cytaty z Biblii, które pojawiają się w artykule, podajemy według następującej edycji: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych*. Oprac. Zespół Biblistów Polskich [...]. Biblia Tysiąclecia. Wyd. 5, na nowo oprac. i popr. Poznań 2000.

⁶ Wszystkie znaczenia zaczerpnęliśmy z materiałów dostępnych na stronie interlinearnego tłumaczenia Biblii: <https://biblia.oblubienica.eu/interlinearny/index/book/1/chapter/6/verse/7/param/1/version/TR> (data dostępu: 3 III 2020).

⁷ J. Tischner, *Filozofia dramatu. Wprowadzenie*. Kraków 1998, s. 20.

oglądający cierpienie Oli i jej brata oraz bezradność rodziców wzbrania się przed teologią cierpienia narzucaną z ambony, depersonalizującą i uwłaczającą prawdzie o dramacie dziecka, zniekształcając ją, „zachwaszczając” doświadczenie bólu i lęku wyrażeniem, które w kontekście tego, co wiemy o losach dzieci w dokumencie, jest rozbudowanym eufemizmem umocowanym w arbitralnie (w znaczeniu: „instrumentalnie”) rozumianym przesłaniu ewangelicznym.

W zacytowanym fragmencie z *Ewangelii św. Mateusza* czytamy jednak o skupieniu, o ciszy, które są potrzebne, by upodmiotowić własną perspektywę, uwalniającą z się. *Ethnikoi* są zaś automatem musztrującym doświadczenie religijne człowieka nakazami, regułami, ich wszechobecnością – na poziomie norm, symboli, wyobrażeń społecznych i praktyk.

Pojawia się zatem pytanie: co by się stało, gdybyśmy potraktowali Daniela (uwzględniając fikcyjność postaci) i Aleksandrę Kaczanowską jako metaforyczną realizację *Ewangelii* lub nawet jej uzupełnienie, wszak film jako medium literatury jest w takim rozumieniu poznaniem w działaniu tego, co albo zakryte, albo zgubione? Losy postaci, choć splatają się tu dwie perspektywy – fikcyjna i rzeczywista, w pewnym sensie wpływają na rozumienie tekstów kanonicznych, ewangelicznych, a więc odnoszą się nie tylko do tego, co współczesne, ale też do tego, co przeszłe. W takim przypadku można założyć, że obydwa filmy odzwierciedlają apokryficzną wrażliwość na poziomie ich zależności od kontekstów, w których są oglądane (uwzględniając nadrzędność tzw. interpretacji inspirującej nad interpretacją metodyczną)⁸. Film jako forma apokryficzna, w ujęciu pragmatycznym, proponowanym przez Richarda Rorty’ego, stanowiłby przykład interpretacji inspirującej, która pozwala na to, by w chrześcijaństwie znaleźć coś nowego – i to nie tylko w chrześcijaństwie instytucji i doktryn, ale również w chrześcijaństwie codziennie ucieleśnianym. To zaś wydaje się konieczne, aby można było zmienić coś w sobie lub pośród tych, od których oczekuje się zdecydowanie więcej. Film jako forma apokryficzna modyfikuje i dopełnia współczesny odbiór tekstów religijnych, postaw ludzkich, rytuałów, przedstawiając to, co w nich nie wystarczające (np. terapia jako nowe medium dialogu religijnego w filmie *Boże Ciało*), skryte (miejsce na człowieczeństwo nieformularne⁹, jak w przypadku filmu *Komunia*, wszak główna bohaterka ucieleśnienia treści *Ewangelii* synoptycznych bez mówienia o tym, dlatego film może pokazać to, czego nie wyraża słowo, widzimy więc tu odejście od perspektywy logocentrycznej i uwolnienie interpretacji filmu od refleksji sprowadzającej to medium do interpretacji opowiadania¹⁰) lub potrzebne (wspólne bycie, czas na rozmowę, na spotkanie, na inność – stosunki Daniela z parafianami, relacje Aleksandry z bratem,

⁸ R. Rorty, jak pisze A. Szahaj (*Granice anarchizmu interpretacyjnego*, „Teksty Drugie” 1997, nr 6, s. 11), wprowadził podział na interpretację metodyczną i inspirującą, podkreślając, że: „W ramach tej pierwszej czytelnik kieruje się chęcią potwierdzenia tego, co już wcześniej o tekście sądzono (chęcią potwierdzenia jego »prawdy«), w ramach tej drugiej zaś »odnajduje« w nim coś nowego (używa dowolnie tekstu), albowiem chce zmienić siebie”.

⁹ Człowieczeństwo nieformularne to człowieczeństwo przejawiające się w całej swojej ontologicznej, egzystencjalnej, poznawczej, etycznej, aksjologicznej złożoności, nie poddające się banalizacji opartej na narzucanych normach.

¹⁰ Zob. A. Helman, *Problemy interpretacji dzieł filmowych*. W zb.: *Interpretacja dzieła. Konferencja w Instytucie Sztuki PAN, 5–7 listopada 1984 roku*. Red. M. Czerwiński. Wrocław 1987,

ojcem, z matką). Zamiast „paplania” rozpraszającego sensy, widzimy działania, nawet bez uprzednio wyrażonej intencji, jak w przypadku filmu *Komunia*, praktyki, które scalają na nowo to, co rozproszone i pogubione, odświeżają w sposób nieoczywisty, a także zaskakujący i przekonujący znaczenia oraz przekazy (za sprawą formy i narracyjnej treści).

Proponujemy, pytając o to, co łączy odbywa filmy, potraktować je jako formy apokryficzne, wszak uzupełniają one – w sensie metaforycznym – w naszym myśleniu o religii te doświadczenia, które zostały „przegadane” z powodu powtarzania w kółko takich samych słów, słów bez treści. Analizowane filmy pokazują, że skoro słowa są bez treści, to tym bardziej jedni ludzie – *ethnikoi* – pozostają ślepi na los drugich. Gdy natomiast słowa zaczynają przylegać do rzeczywistości, sytuacja powoli się zmienia. *Ethnikoi* to stan ducha kogoś, kto jest gadatliwy. *Ethnikoi* to coraz częściej ksiądz „klepiący formułki” (3 min 46 s filmu *Boże Ciało*), matka, ojciec, parafianin, ktoś, kto chce coś „odbębnić” (słowa wypowiedziane przez ks. Tomasza w 3 min 59 s filmu *Boże Ciało*). Ich „paplanina”, modelowana przez mówienie i myślenie potoczne, paradoksalnie otwiera miejsca w czasoprzestrzeni filmowej na słowa/działania kogoś, kto mówi, dając świadectwo prawdzie (Daniel z filmu *Boże Ciało*), lub doświadcza prawdy, mówiąc (Aleksandra z filmu *Komunia*). W modlitwie ważna okazuje się przyszłość, ważne jest, że zostanie się wysłuchanym – a co, jeśli przyszłość to zbyt intensywnie przeżywana teraźniejszość, a co, jeśli Daniel i Aleksandra Kaczanowska to uwspółcześnione, apokryficzne dopowiedzenia ewangelicznych obrazów Jezusa albo znaki służące dekonstruowaniu katechetycznych klisz, które odnoszą się do Jego osoby? Są to dopowiedzenia nacechowane metaforycznie, do czego jeszcze wrócimy. Filmy jako formy apokryficzne uświadamiają nam, że doświadczenie religijne zredukowane do logocentrycznej perspektywy naraża każdego człowieka na przewartościowanie słów, na paplaninę, ograniczając złożoność doświadczenia religijnego do klisz teologicznych i duszpasterskich. Współczesność traktuje się w tym kontekście jako coś ontologicznie i teologicznie wtórnego wobec przeszłości usankcjonowanej przez tradycję. Forma apokryficzna jest w takim rozumieniu nadaniem ucieleśnianej aktualnie religijności statusu tożsameskiego lub niemal identycznego z tradycją (mówioną i pisaną) chrześcijaństwa, a zarazem okazuje się uzupełnieniem perspektywy logocentrycznej o ucieleśnienie. *Boże Ciało* i *Komunia* są filmami o ciele, i to nie tylko w sensie teologicznym bądź symbolicznym, lecz także o ciele ludzkim po prostu – o ciele Daniela, o ciele Aleksandry, jej brata czy ojca, a więc o ciele, które istnieje, które ma udział w doświadczeniu religijnym, ale też cierpi, raduje się, tańczy, jest pijane, umożliwia zbliżenie się do drugiego człowieka. Ciało w tym kontekście staje się medium relacji społeczno-kulturowych, ekranem religijności, „zwojem codzienności”.

Pomysł, aby zestawić filmy *Komunia* oraz *Boże Ciało*, wynika z kilku jeszcze powodów. Są to filmy, które zdobyły uznanie poza Polską jako utwory o wysokiej randze artystycznej i wymowie uniwersalnej. *Komunia* i *Boże Ciało* reprezentują dwie odmienne tendencje we współczesnym kinie. Z jednej strony, dzieło Komasy akcentuje swój związek z (polską) rzeczywistością społeczną, opatrzone jest przecie-

s. 165. Cyt. za: R. Koschany, *Zamiast interpretacji. Między doświadczeniem kinematograficznym a rozumieniem filmu*. Poznań 2017, s. 5.

adnotacją „oparte na faktach”, z drugiej, buduje swoją strukturę dramaturgiczną przy wykorzystaniu rozmaitych „mocnych” efektów w inscenizacji, kategorii zaczerpniętych z kina (film kryminalny, obyczajowy, sensacyjny, dramat więzienny – by przywołać choćby kilka najbardziej rozpoznawalnych odniesień do gatunków, jakie wymienia w swoim leksykonie Marek Hendrykowski¹¹). Jeśli nawet osoba głównego bohatera, Daniela, ma jakiś odpowiednik w rzeczywistości i wiąże się z faktami, które zainspirowały scenarzystę filmu, to w dziele Komasy osoba ta staje się na tyle wyrazista, iż przykuwa uwagę widza na wzór kinowy. Rozgłos, jaki film zyskał w Polsce, dowodzi też, że jego twórcy wzięli na warsztat temat aktualny, wręcz „łatwopalny” społecznie, jeśli tym terminem określić jego potencjalną skuteczność we wzniecaniu dyskusji wykraczających poza plan zdarzeń z filmu. Z pewnością posłużenie się w tym przypadku słowem „publicystyczność” byłoby przesadne, ale także przydatne do zestawienia (skontrastowania) filmu Komasy z *Komunią* Zameckiej, filmem dokumentalnym, jaki ze swej natury gatunkowej jest oglądany właśnie pod kątem ewentualnych odniesień publicystycznych. Aczkolwiek *Komunia* reprezentuje tę odmianę współczesnego kina faktów, które podąża zarówno w doborze tematyki, jak i przede wszystkim w swym kształcie formalnym w kierunku przeciwnym niż ten, ku któremu zmierza karmiący się aktualnościami reportaż telewizyjny. Kino faktów, jak też *Komunia*, chce być bardziej „jak fabuła”, co mu się udaje coraz częściej, jeśli weźmiemy pod uwagę niespotykaną w poprzednim stuleciu, udaną ekspansję filmu dokumentalnego w przestrzeni dystrybucji kinowej (z wszelkimi konsekwencjami). Jednakże *Komunia* to innego rodzaju „fabuła”. Nie tylko dlatego, że nie występują w niej aktorzy, ale ludzie „grający” swe role tak dla kamery (choć przed nią), jak i dla „samego życia”, lecz również ze względu na subtelność struktury opowiadania, pozbawioną „mocnych” scen i obrazów. *Komunia* nie jest filmem akcji opartym na faktach (tak trzeba by chyba określić – z zachowaniem proporcji – *Boże Ciało*). Należy do nurtu kina autorskiego tworzonego na granicy kina faktów i fikcji. Można by ją umieścić blisko dzieł włoskiego neorealizmu (takich jak np. *Umberto D.* Vittoria de Siki), czeskiej Nowej Fali (obok *Czarnego Piotrusia* czy *Miłości blondynki* Miloša Formana), filmów Ermanna Olmiego (*Posada*), Kena Loacha (*Kes*), debiutanckich dzieł Krzysztofa Kieślowskiego (*Personel*) lub bardziej nam współczesnych filmów braci Jeana-Pierre’a i Luca Dardenne’ów.

Filmy te pozostają „na brzegu” kina fabularnego ze swoimi aktorami i scenarzystami, „przyobleczone” w dokumentalny styl opowiadania (filmowania, inscenizacji, naturalnych wnętrz i plenerów). W tym kontekście *Komunia* funkcjonuje jednak odwrotnie: autentyczne postaci i z życia wzięte zdarzenia „ubiera” w obrazy, które naśladują wzorce istniejące w filmach fabularnych (dotyczy to stylu zdjęć, kompozycji kadrów czy kolorystyki). Nikt tu nie patrzy w kamerę, nie mówi do niej, nie jest skrepowany jej obecnością. Nie ma tu zatem wielu elementów tak dobrze znanych z filmu dokumentalnego. Jest też inna skala zdarzeń. Wystarczy porównać początek i koniec *Komunii*. W pierwszej scenie Nikodem (brat Aleksandry) mocuje się bezskutecznie z paskiem do spodni. Mówi do siebie: „Źle, źle, źle”. Chwilę potem siostra wyrzuca z jego torby – według niej – zbędne podręczniki, wyrzywa kartki

¹¹ M. Hendrykowski, *Leksykon gatunków filmowych*. Poznań-Wrocław 2001.

z rysunkami z zeszytu do religii, karci brata za niedobre zachowanie w szkole. W finale filmu chłopiec wstaje i bez problemu, odruchowo, zakłada spodnie, zapina pasek. Siostra podgrzewa posiłek dla brata. Pakuje podręczniki. Wszystko odbywa się bez słowa, w ciszy, w harmonii, która, jak się może wydawać, zaistniała (w pewnej mierze) w życiu bohaterów. Oczywiście podobne zdarzenie, jak zapinanie paska do spodni, nie mieści się na skali znaczących scen pokazywanych w *Bożym Ciele*, na której wychylenia osiągają bardziej skrajne, by nie rzec: alarmujące, wartości.

Proponujemy w tej sytuacji podział formy apokryficznej na dwie odmiany: na formę ostentacyjną i formę dyskretną. Uważamy, wychodząc od tak zakreślonej różnicy w tonacji i specyfice obu omawianych filmów oraz zestawiając tę różnicę z podjętą w nich tematyką, że film Komasy reprezentuje formę ostentacyjną („mocne” sceny korespondują z równie „mocną” wymową religijną czy ewangeliczną), a dzieło Zameckiej formę dyskretną (to film, w którym kontekst nie jest „niemy”, siła ekranowych przedstawień wynika z intensywności przeniknięcia filmowców do świata autentycznych – nie odgrywanych – doświadczeń osobistych, wręcz intymnych, głównych bohaterów tego dokumentu).

W historii chrześcijaństwa starożytnego pojawił się nurt religijny uznany już podczas Soboru Nicejskiego I za herezję, a mianowicie doketyzm. Według tej doktryny ciało Jezusa Chrystusa było tylko pozornie ciałem ludzkim, nie miało swej fizycznej natury, lecz w jakimś sensie było ponadfizyczne, astralne. Doketyści podważali realność cierpienia Jezusa i Jego śmierci na krzyżu. Dodać by należało, że kwestionowanie cielesności Jezusa wiązało się z negowaniem Jego udziału w historii człowieka. Odrzucono tezy doketystów, a jednak ten sposób myślenia paradoksalnie zainfekował religijność chrześcijańską – uznano fizyczną naturę Jezusa, ale w jakimś sensie odrealniono ciało ludzkie i jego udział w doświadczeniu religijnym. A przecież ciało wnosi codzienność w sferę *sacrum*, przynajmniej tyle.

Wielu badaczy, krytycznie ustosunkowując się do apokryfów, podkreśla, iż nie mają one żadnego wpływu na kanoniczne teksty religijne¹², nie oddziałują więc na swe historyczne prototypy. I prawdopodobnie tak jest, jednak inaczej się dzieje, jeśli chodzi o ich rozumienie i wykorzystanie. Przyjmujemy, że filmy jako formy apokryficzne nie spowodują, iż teksty kanoniczne przestaną obowiązywać, przecież nie mogą mieć, z naturalnych powodów, wpływu na przeszłość, ale na pewno przyczyniają się do uzupełniania współczesnych wyobrażeń na temat źródeł chrześcijańskiej duchowości oraz, jako „czynne rozumienie” tekstów kultury¹³, do szukania alternatyw – także na poziomie działania – dla tego, co jest paplaniną, która odrywa religijność od codzienności, a cielesność od *Ewangelii*. Ani Aleksandra (ktoś rzeczywisty, mający przedfilmową i pofilmową, w obu przypadkach tożsamą podstawę ontologiczną)¹⁴, ani Daniel (postać fikcyjna, której podstawą ontologiczną są scenariusz i film) nie używają słów bez treści, jeśli pojawia się jakieś działanie komunikacyjne uznane przez nas za modlitwę, to najprawdopodobniej nie będzie miało ono charakteru paplaniny. Oboje chcą być wysłuchani (*eisakousthēsontai*).

¹² Zob. M. Michalski, *Antologia literatury patrystycznej*. T. 1. Warszawa 1975, s. 42–43.

¹³ Nycz, *Poetyka doświadczenia*, s. 56–57.

¹⁴ Zob. uwagi na temat różnic między dokumentem a fabułą w książce M. Przyłipiaka *Poetyka kina dokumentalnego* (Gdańsk 2000, s. 21–33).

Forma apokryficzna służy wzięciu w nawias polilogii i paplaniny oraz wprowadzeniu w ich miejsce alternatywy podpowiadającej, jak można być wysłuchanym bez pewności, iż się będzie wysłuchanym.

Nie zamierzamy wszakże traktować Daniela czy Aleksandry jako figur Chrystusa¹⁵. Chcemy tu podkreślić, że w ich doświadczeniu występuje to, co nie do końca mieści się w schematach uznawanych przez instytucję Kościoła i tradycję, choć akceptowane i przetwarzane jest, najczęściej potocznie, przez człowieka pragnącego przeżyć coś, czego – mimo iż zawiera się to w granicach audiowizualnego przekazu – jednak nie udaje się uchwycić w tekście kanonicznym i w postawie, która powinna być ucieleśnieniem tego tekstu. Leszek Kołakowski w eseju *Jezus ośmieszony* stwierdzał: „O Jezusie przeczytać można, co tylko się chce”¹⁶; dodajmy: pokazać też. Lecz to, co proponujemy w niniejszym artykule, dotyczy czegoś fundamentalnego, a mianowicie filmoznawczo istotnej konstatacji, że formy apokryficzne są formami remediacyjnymi, które migrują między różnymi mediami literatury realizowanej za pośrednictwem tego, co napisane (książka), dostępne audialnie (radio) czy właśnie audiowizualnie (film)¹⁷, w przekazie zyskując wartości poznawcze i komunikacyjne, które pozwalają przedstawić to, o czym wcześniej można było jedynie mówić, np. w ukryciu. To, co wydaje się ważne w niniejszym kontekście, to założenie, iż forma apokryficzna stanowi stałą modalność myślenia potocznego potrzebną w tłumaczeniu tajemnic wiary na misterium codzienności i *vice versa*, choć ta odwrotność tylko językowo okazuje się symetryczna. *Komunia* i *Boże Ciał*o są zagarniane przez różne dyskursy, promieniując obrazami, które mogą projektować inne, alternatywne, a w powszechnej religijności – skrywane interpretacje chrześcijaństwa.

Hipoteza: założmy, że filmy *Komunia* oraz *Boże Ciał*o stanowią apokryficzne formy służące zaprezentowaniu postawy chrześcijańskiej, uzupełniające w taki sposób przestrzeń dramatu religijnego o te treści, których nie udaje się lub nie można już znaleźć w zinstytucjonalizowanej religii rzymskokatolickiej bądź które są w niej ukryte. Zauważmy np., że ksiądz jest albo nieobecny w życiu protagonisty jako naśladowca Chrystusa, a istnieje jedynie jako reprezentant Kościoła (*Komunia*), albo nieprawdziwy oraz nieobecny w tym sensie, że prawdziwy chowa się pod maską oczekiwanego (w filmie *Boże Ciał*o). Ksiądz, którego spotyka wspólnota w filmie *Komun*asy, nie jest przecież księdzem, choć ucieleśnia ideał kapłański w mniemaniu tej wspólnoty. Wiele możemy wybaczyć Danielowi jako księdzu, liczymy, że jego przygoda skończy się szczęśliwie i dla niego, i dla wiernych. Obraz prawdziwego księdza podporządkowanego instytucji Kościoła, ufego, rozmawiającego, ale skądinąd pilnującego podziału na to, co kościelne oraz świeckie, broniącego integralności struktury instytucji (proboszcz i ksiądz z poprawczaka), będącego obrońcą „jedynej” prawdy, skonstrastowany zostaje z obrazem księdza, lekarza duszy, „szamana”, który nie będzie powtarzał „oklepanych formułek” (choć naśladuje przecież styl mówienia ks. Tomasza), a jako rozgrzeszenie zada matce przejażdżkę rowerową w to-

¹⁵ Zob. M. Lis, *Figury Chrystusa w „Dekalogu” Krzysztofa Kieślowskiego*. Wyd. 2, rozszerz. Opole 2013.

¹⁶ L. Kołakowski, *Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny*. Pośl. J. A. Kłoczowski. Przeł. D. Zańko. Kraków 2014, s. 7.

¹⁷ Zob. Faulstich, *loc. cit.*

warzystwie syna – czyli z obrazem księdza oczekiwanego. Ów kontrast nie jest jednoznaczny ani schematyczny, wszak odczuwamy sympatię i do proboszcza z wiejskiej parafii właśnie dlatego, że ucieleśnia on *Ewangelię* (rozmawia, ufa, ale też widzimy jego pijane leżące ciało, jego upadek, który go ucłowiecza), i do ks. Tomasza wchodzącego w sytuację dialogu z wychowankami poprawczaka i troszczącego się o nich, w tym o Daniela (widzimy wątpliwości księdza, gdy ogląda dowody wdzięczności parafian za posługę Daniela, który udawał kapłana – 1 h 36 min 37 s filmu)¹⁸. Daniel jako ks. Tomasz staje się „bliźniakiem” rzeczywistego ks. Tomasza¹⁹, w sensie semiotycznym Daniel jako ks. Tomasz jest Danielem skrywanym w ks. Tomaszu. Filmy te nie są tendencyjnymi obrazami religijnymi, nie funkcjonują jako dzieła katechetyczne.

Odwołania

Zakładamy, że kontekst religijny jest istotny w tych filmach. *Komunia* i *Boże Ciało* zostały życzliwie przyjęte przez odpowiednio dużą publiczność (jeśli się uwzględni dysproporcje liczbowe wynikające z różnic gatunkowych, roku produkcji i form dystrybucji)²⁰. Tytuły filmów konotują odniesienia religijne powiązane z Eucharystią, hostią, transsubstancją. Słowo „Komunia” użyte w tytule filmu dokumentalnego dotyczy praktyki religijnej powiązanej z inicjacją umożliwiającą dziecku uczestniczenie w pełni w Eucharystii; w odniesieniu do tego znaczenia uruchamiamy porządek interpretacji odwołujących się do dzielenia się hostią w trakcie Mszy św. lub np. doświadczeniem (nadzieją, bólem itp.). Tytuł *Boże Ciało* to potoczna nazwa uroczystości ku czci Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa (*Sollemnitās Sanctissimi Corporis et Sanguinis Christi*)²¹ obecnego pod postacią Najświętszego Sakramentu. Obydwa tytuły filmów odnoszą się więc do tajemnicy transsubstancjacji i pobożności eucharystycznej, do osoby Jezusa Chrystusa i Jego obecności w Najświętszym Sakramencie.

W świecie przedstawionym *Komunii* i *Bożego Ciała* znajdujemy jednoznaczne odwołania do religii – są to: przygotowanie do pierwszej komunii, uroczystości re-

¹⁸ Miejsca w filmie podawane są na podstawie wersji *Bożego Ciała* znajdującej się na płycie DVD rozpowszechnianej przez „Kino Świat” Sp. z o.o.

¹⁹ W *Ewangeli* św. Jana wyraźnie podkreślono znaczenia aramejskiego „toma”, czyli „bliźniak”, poprzez wprowadzenie w tekst greckiego słowa „*didymos*” (δίδυμος): „Byli razem Szymon Piotr, Tomasz, zwany Didymos, Natanael z Kany Galilejskiej, synowie Zebedeusza oraz dwaj inni z Jego uczniów” (J 21, 2). Zob. na stronie: <http://biblia.oblubienica.eu/interlinearny/index/book/4/chapter/21/verse/2/param/1/version/TR> (data dostępu: 3 III 2020).

²⁰ *Komunię* obejrzało w kinach od dnia premiery 11 270 widzów, dzieło było dostępne w 18 kopiach. Zdobyło w różnych kategoriach na licznych festiwalach w sumie 28 nagród (w tym za najlepszy film dokumentalny – 7 nominacji oraz 3 wyróżnienia). *Boże Ciało* obejrzało od dnia premiery 1 363 031 widzów, obraz rozpowszechniono w 306 kopiach. Dzieło Komasy otrzymało (dane: 8 III 2020) w sumie 48 nagród i 9 nominacji. Dane pochodzą z Boxoffice PISF (na stronie: <https://pisf.pl/box-office> (data dostępu: 15 III 2020)). Ciekawe, że w przypadku filmu *Boże Ciało* aż 11 spośród 48 nagród przyznanych dziełu zebrał B. Bielenia, czyli odtwórca głównej roli. Należy przyjąć, iż nagrody potwierdzają kunszt aktora, można jednak założyć, że te nagrody „otrzymała” postać wykreowana przez aktora.

²¹ Zob. M. Kunzler, *Liturgia Kościoła*. Przeł., oprac. L. Balter. Poznań 1999, s. 680–683.

ligijne, księży, rytuały, przestrzenie takie jak kościoły czy cmentarz, wierni powtarzający modlitwy, itp. Kościoły, plebanie, nauka katechizmu, obrazy, figury świętych, krzyż, strój liturgiczny, a także język bohaterów konotują rzeczywistość religijną w filmach dokumentalnym i fabularnym. Znaki religijne wzmacniają na poziomie socjosemiotycznym kontrast między tym, co konstytuuje zbiorowe doświadczenie religijne, również paplaninę, wielomówstwo, a tym, co stanowi ekspresję lub próbę ekspresji indywidualnie przeżywanego doświadczenia; ów kontrast jest „ekranem” dramatu.

Egzystencję głównych postaci obydwu filmów, mimo ich odmiennego estetycznie i ontologicznie statusu, należałoby traktować jako dynamiczne medium religijności wpisanej w codzienność doświadczenia potocznego. Mówimy o medium, które kieruje widza ku temu, co skryte albo po prostu nie istniejące w zastanych porządkach religijnych, albo też prawdopodobne, weryfikujące powszechną i w tym sensie kanoniczną religijność; wszak można odnaleźć w obrazach Daniela i Aleksandry apokryfy o naśladowaniu Chrystusa, przy czym to nie Chrystus jest obecny w centrum naszej refleksji, lecz człowiek. Mamy tu bowiem poziom, na którym postawy protagonistów są odzwierciedleniem postaw ucieleśniających idee chrześcijańskie.

Forma apokryficzna pokazuje doświadczenie religijne, stanowiące połączenie dążenia (prefiks „do-”) oraz świadectwa, które wynikają ze spotkania z innym²². Skoro zakłada się obecność Chrystusa w hostii (oczywiście na podstawie *Ewangelii*, tradycji i dogmatów), to dlaczego nie byłaby możliwa teza (w sensie niesakramentalnym, choć na pewno eucharystycznym), iż w osobach Daniela czy Aleksandry (na tych bowiem postaciach się koncentrujemy) „przepisuje się” Chrystusa kanonicznego na Chrystusa współczesnego, codziennego, będącego na powrót człowiekiem, a nie tylko abstrakcją? Być może „Danielem”, być może „Aleksandrą”, być może „Nikodemem” powinno się obecnie rozmawiać o religii, szczególnie gdy zawodzi pośrednik, czyli kapłan. I Daniel, i Aleksandra to pośrednicy (on – udając księdza; ona – przygotowując brata do komunii), którzy nie chępią się, że są wszechmocni, to ich przybliża do człowieczeństwa, wynikającego nie z doktryny, lecz z ciała. Swoistego rodzaju walka wzmacnia funkcję pośrednika w obydwu przypadkach. Echa myślenia doketystycznego przejawiają się w odcieśnieniu osoby księdza, stąd tak hierarchiczne i nacechowane wartościująco przedstawienie relacji wierni–kapłani. Każda z głównych postaci o coś walczy, stara się coś/kogoś obronić (Aleksandra walczy o rodzinę, broni brata, Daniel broni wdowy, walczy na śmierć i życie). Walczący pośrednik szuka języka, wspólnych doświadczeń, pragnie wejść w świat drugiego człowieka. Forma apokryficzna w tym kontekście jest zmaczoną modlitwą, choć czasami nie wiemy, do którego boga się modlimy, to przynajmniej wiemy, o co się modlimy, jak w przypadku sceny finałowej w filmie *Boże Ciało*. Wchodzimy w rolę pośrednika, bo inny pośrednik o nas nie zawalczy, nas nie obroni, a jedynie przemocą narzuca nam swoją paplaninę składającą się z teologicznych klisz mylonych z dogmatami, nie słyszy nas. Skoro nie walczy, to nie chce wziąć odpowiedzialności za to, co robi. Pojawia się tu więc kontekst etyczny. W obydwu filmach wiąże się on z odpowiedzialnością za drugiego człowieka. Filmy te jako

²² Tischner (op. cit., s. 27) pisze: „Polskie słowo »doświadczenie« składa się z dwóch elementów: »do« i »świadectwo«. Pierwszy wskazuje na dążenie, drugi na świadectwo”.

formy apokryficzne pokazują krytycznie, jak istotna i potrzebna jest walka o drugiego człowieka.

Piszemy o formach apokryficznych, a nie o apokryfach, które zostały omówione w badaniach naukowych jako odrębny typ wypowiedzi literackiej i religijnej²³, gdyż mamy na uwadze pewne treści w filmach, na których aktywność poznawczą wpływają kompetencje odbiorcze widza i jego oczekiwania wchodzące w interakcje z dziełem filmowym. Ani *Komunia*, ani *Boże Ciało* nie są zatem apokryfami, zakładamy jednak, że w tych filmach znajdują się treści, które należałoby traktować jako apokryficzne w sensie: komplementarne wobec oficjalnego nauczania, oficjalnej interpretacji i oficjalnego określania religijności, niekanoniczne, wpływające na codzienne myślenie i działanie. Są to obrazy przypuszczalnie (stąd znak zapytania w tytule eseju) uzupełniające ukryty bądź marginalny, bądź marginalizowany aspekt życia czy postawę osoby lub proponujące, aby uznać je za centralne, po prostu ważne. Forma apokryficzna umożliwia zatem spojrzenie na wybrane filmy, w tym przypadku na *Komunię* i na *Boże Ciało*, jako na opowieści odsłaniające takie strony chrześcijaństwa, które albo są przemilczane, albo skrywane, albo ich nie ma.

Często zakłada się, iż skoro powszechnie o czymś wiadomo, to nie warto o tym mówić. Oznacza to, że indywidualne oczekiwania wobec religii, księdza bądź Kościoła stanowią coś innego niż to, co oficjalnie podaje Kościół, reprezentuje sobą ksiądz czy sankcjonuje religia. Kościół dobrze ocenia swoją posługę, gdyż na taką ocenę wpływ ma norma wyznaczona przez tę instytucję – błędne koło. Forma apokryficzna jako forma krytyczna i komplementarna pokazuje jednak, iż na ocenę wpływa także to, co przekracza odgórnie przyjętą normę. Taką rozbieżność rejestruje nie tylko mowa potoczna, ale również komunikaty płynące z różnego rodzaju mediów – czy to audiowizualnych, czy też społecznościowych. W naszym przekonaniu filmy *Komunia* oraz *Boże Ciało* wypełniają luki teologiczne i religijne, stawiając przed nami pytania o znaczenie chrześcijaństwa²⁴ we współczesnym świecie. Traktujemy te filmy jako formy apokryficzne w sensie funkcjonalnym, a nie genologicznym:

Apokryfy stanowią nieocenione źródło poznania mentalności chrześcijan starożytnych i wczesnego średniowiecza. Pokazują, jak chrześcijaństwo odbierał przeciętny człowiek, niekoniecznie genialny teolog²⁵.

Oczywiście, naszym zdaniem „genialny teolog” jest taką samą figurą retoryczną jak „przeciętny człowiek”, zależy nam bardziej na tym, żeby zobaczyć, jak w *Komunii* i *Bożym Ciele* podjęte zostały pytania o wartość chrześcijaństwa w perspektywie codzienności stanowiącej – i to jest dla nas ważne – zasób form apokryficznych²⁶.

²³ Zob. różne ujęcia badawcze: M. Adamczyk, *Biblijno-apokryficzne narracje w literaturze staropolskiej do końca XVI wieku*. Poznań 1980. – M. Starowieyski, *Barwny świat apokryfów*. Poznań 2006. – M. Medekka, *Apokryf rodzinny jako odmiana dwudziestowiecznej powieści historycznej*. Lublin 2007. – E. Szybowski, *Apokryfy w polskiej prozie współczesnej*. Poznań 2008. – *Apokryficzność (w) filozofii: nie/anty/pozaortodoksyjne dyskursy filozoficzne*. Red. M. Woźniczka, M. Perek. Częstochowa 2017.

²⁴ Oczywiście, apokryfy są tekstami występującymi nie tylko na gruncie chrześcijaństwa.

²⁵ Starowieyski, *op. cit.*, s. 48.

²⁶ Wprowadzamy pojęcie zasobu w znaczeniu zaproponowanym przez Th. van Leeuwen (Introducing Social Semiotics. London – New York 2005, s. 3), który, nawiązując do badań

Filmy takie jak *Boże Ciało* czy *Komunia* to przykłady teologii potocznej, czyli teologii przeciętnego człowieka, teologii spragnionej świadectwa, które jest wolne od gadaniny i wielomówstwa, stanowiących kakofonię religijnych klisz wypowiedzianych przez duchownych i świeckich, nie skrepowaną hagiograficznymi uproszczeniami i normatywnymi ramami, lecz bogatą w zmysłowe, prawdopodobnie niedoskonałe, emocjonalne lub też fizjologiczne obrazy przedstawiające, jak może działać wiara w codzienności, nawet jeśli jest oparta na złudzeniu (*Boże Ciało*) czy na tęsknocie za szczęśliwą rodziną, za matką (*Komunia*).

Luki

Donald Jason Slone we wprowadzeniu do książki *Theological Incorrectness. Why Religious People Believe What They Shouldn't* pisze, że w myśleniu o religii wciąż fascynują go dwa zagadnienia: iż jest na świecie więcej niż jedna religia, a także – iż wierzenia religijne są niekompletne, co nie wiąże się z tym, że wyznawcy religii przestają sobie usurpować prawo do wykładania prawd absolutnych²⁷. To oczywiście, iż na świecie istnieje wiele religii, ale w ramach każdej z nich mieści się znów wiele form i rodzajów wierzeń. Są one niekompletne, a skoro tak, to znaczy, że często staramy się je uzupełniać o elementy z jakiegoś powodu dla nas ważne, potrzebne. W ten sposób – na miarę naszych kompetencji i pragnień – wykorzystujemy myślenie potoczne, którego stałą modalność stanowi forma apokryficzna, umożliwiająca wypełnianie luk, aby siebie skolonizować religijnie i religię dostosować do naszych potrzeb duchowych i lęków egzystencjalnych. A zatem współcześnie również film służy uzupełnianiu wierzeń, projektując teologie „niepoprawne” (lepiej pisać: komplementarne) dla określonej wspólnoty interpretacyjnej, być może potoczne z perspektywy dogmatyki i kanonów, ale dające ten ogład, który jest czymś więcej niż powtarzaniem w kółko takich samych słów, czymś więcej niż paplaniną usankcjonowaną władzą instytucji, autorytetem księdza i tradycji.

Poręczność terminu „apokryficzność” tkwi w jego „poliwalencji aksjologicznej”, a „niejednoznaczne wartościowanie dotyczy przede wszystkim walorów poznawczych tekstów określanych jako apokryfy”²⁸. Podejście do treści kanonicznych religijnie powoduje, iż zatrzymuje się, unieważnia, odrealnia lub po prostu deprecjonuje ich transtekstualną „naturę”. Oznacza to, że obok tekstów kanonicznych funkcjonują teksty marginalne, marginalizowane czy na marginesach, które – w zależności od dominanty medialnej i potrzeb wspólnoty komunikacyjnej – są transmitowane przy wykorzystaniu różnych kodów komunikacji:

M. A. K. Hallidaya, twierdził, że „gramatyka języka nie jest kodem, nie jest zbiorem reguł służących wytwarzaniu poprawnych zdań, ale zasobem potrzebnym do wytwarzania znaczeń”. Autor książki *Introducing Social Semiotics* rozszerzył znaczenie pojęcia zasobu w kontekście semiotycznym, pisząc, że „zasoby semiotyczne” są „działaniami i wytworami”, z jakich korzysta się w komunikacji międzyludzkiej. Pojęcie zasobu semiotycznego, zdaniem van Leeuwena (*ibidem*), pozwala uchwycić dynamiki znaczeniowotwórcze, których nie udaje się dostrzec w tradycyjnych koncepcjach znakowych.

²⁷ D. J. Slone, *Theological Incorrectness. Why Religious People Believe What They Shouldn't*. Oxford, Miss., 2004, s. VII.

²⁸ Medecka, *op. cit.*, s. 7.

Współczesny apokryf, pozostając w binarnej opozycji wobec *Biblii*, księgi, kanonu i prawdy, uniecznia tę różnicę, wskazuje na względność ocen, na bliskość przeciwstawnych sobie członów opozycji, ma walor derridiańskiej „tożsamości”²⁹.

Można by tę opozycję binarną rozważać uwzględniając kolejne odniesienia: Kościół jako instytucja, klerykalizm, paplanina występuje w kliszach religijnych będących zbanalizowanymi i zinstrumentalizowanymi interpretacjami dogmatów, treści ewangelicznych oraz wypowiadanych modlitw – ks. Tomasz w filmie *Boże Ciało* w trakcie liturgii zwraca się do chłopców z poprawczaka, mówiąc im, że nie przyszedł do nich po to, by „klepać formułki” podczas modlitwy (3 min 46 s filmu). Paplanina jest działaniem komunikacyjnym represyjnym wobec prawdy człowieka o jego egzystencji (scena z filmu *Komunia* w kościele w trakcie mszy komunijnej, gdzie widać różne – w sensie: rozbieżne – losy i potrzeby poszczególnych postaci). Paplanina w tym rozumieniu służy uchylaniu się od obowiązku dialogu człowieka z człowiekiem, a być może ukrywa po prostu zwątpienie i przemoc pod powierzchnią religijnie nacechowanych automatyzmów.

Codziennność jako zasób form apokryficznych pozwala „wynaleźć” chrześcijaństwo na miarę własnych potrzeb, to dlatego Jezus w Świebodzinie jest tak samo realny jak indywidualnie wytworzony Jego obraz. Wspomniana figura służy nie tyle nawet podtrzymywaniu wyobrażeń, ile ich kreowaniu i przetwarzaniu, a w ten sposób – stopniowemu, powolnemu, ale rzeczywistemu „przepisywaniu” teologicznych prawd. Obrazoburcze skojarzenie? Z perspektywy teologicznej zapewne tak, gdyż zrównuje się w tym kontekście odmienne teologicznie i ontologicznie porządki, przez które przejawia się *sacrum*. Jednak z perspektywy myślenia potocznego obrazoburczość poprzednich zdań znika, gdyż trudny do przyswojenia semicki charakter nieprzedstawialności bóstwa przeniknięty został wyobrażeniami, które na mocy interpretacji, rytuału i społecznej akceptacji umożliwiają wypełnianie luk w myśleniu i wierze. Formy apokryficzne są neutralne aksjologicznie, dopiero ich użycie pozwala na wartościowanie i związane z nim dyskursy wykluczenia. Formy apokryficzne promieniują alternatywnymi, często zastępczymi lub nawet nowymi znaczeniami i odniesieniami. Jezus w Świebodzinie stanowi formę apokryficzną akceptowalną w Polsce, gdyż właściwie jako zasób semiotyczny uruchamia następującą substytucję: figura i jej wielkość konotują majestat instytucji, wtórne jest w tym kontekście odniesienie do Jezusa z *Ewangeli*³⁰.

Zakładamy, że formy apokryficzne:

odchodzą od zracjonalizowanej pełni dzieła odtwarzającego w sposób mimetyczny świat postrzegany jako kosmos, zmierzając ku konstrukcjom hybrydalnym, wykorzystującym inne rodzaje piśmiennictwa i nie ukrywającym tych zapożyczeń³¹.

²⁹ *Ibidem*.

³⁰ W tym, co piszemy, nie odkrywamy mechanizmów, które nie byłyby przedmiotem krytycznej refleksji w różnych sytuacjach i kontekstach: czy to w twórczości F. Dostojewskiego (w poemacie *Wielki Inkwizytor*), czy L. Buñuela (w filmie *Nazarin*). Formy apokryficzne w naszym rozumieniu nie są zdeterminowane logocentrycznie, mogą być rozpowszechniane przy wykorzystaniu różnych mediów literatury.

³¹ M. Woźniakiewicz - Dziadosz, *Obrzeża formy powieściowej*. Lublin 1998, s. 7.

Apokryfy, jak pisał ks. Marek Starowieyski, to raczej literatura prowincji, rzadziej spotyka się je w centrach kulturalnych, w Rzymie, Antiochii czy Konstantynopolu³². Przyjmujemy określenie „prowincja” i traktujemy je nie tyle jako termin historyczny i geograficzny, ile jako metaforę pokazującą, że to właśnie na prowincji religijności oficjalnej istnieje opowieść o człowieku, który naśladuje, przetwarza i wynajduje opowieści i interpretacje, że to prowincja „przepisuje” *Ewangelię* (poprzez liczne zapośredniczenia w różnych kontekstach), zarazem wprowadzając do niej swoje treści, komentarze, „świętych”, podobnie do tego, co robili skrybowie przepisujący teksty religijne w czasach, gdy formował się podział na to, co kanoniczne, i na to, co trzeba było ukryć, a co znalazło się w apokryfach. Właśnie film jako medium literatury staje się re-medium dla dominujących dyskursów religijnych.

Oczywiste wydaje się, że Zamecka i Komasa nie są reprezentantami jakiegoś centrum religijnego w sensie instytucji czy doktryny, oboje zresztą wybrali prowincję jako czasoprzestrzeń dla swoich filmów – miejsca, które nie są ani Antiochią, ani Rzymem. „Doktrynę” reżyserów stanowi jednak człowiek pokazany, lecz nieprzegadany, człowiek, który przekracza własnym doświadczeniem mur zbudowany z powtarzanych w kółko formuł, z paplaniny. I to właśnie człowiek jako indywiduum przedstawione w obydwu filmach jest nośnikiem tego, co niekanoniczne. *Komunia* czy *Boże Ciało* jako formy apokryficzne stają się więc filmową egzegezą chrześcijaństwa. Można nawet przyjąć bardziej radykalną hipotezę, w myśl której zakładamy, że w kulturze popularnej mamy do czynienia z licznymi apokryficznymi egzegezami³³.

Nurt krytyczny

Od kilku lat obserwujemy rozwój krytycznego religijnie nurtu w polskim kinie. *W imię...* (w reż. M. Szumowskiej, 2013), *Komunia* (w reż. A. Zameckiej, 2016), *Kler* (w reż. W. Smarzowskiego, 2018), *Tylko nie mów nikomu* (w reż. T. Sekielskiego, 2019), *Boże Ciało* (w reż. J. Komasy, 2019) czy *Zabawa w chowanego* (w reż. T. Sekielskiego, 2020) zaliczamy do tego nurtu³⁴. Są to filmy różne stylistycznie i gatunkowo, a jednocześnie łączy je krytyczny namysł nad religijnością rzymskokatolicką w Polsce, pojmowaną instytucjonalnie (*Kler* i *Tylko nie mów nikomu*) oraz „praktycznie”³⁵ (*Komunia* i *Boże Ciało*), choć oczywiście obydwa porządki są względem

³² Starowieyski, op. cit., s. 48.

³³ Dzieje się tak czy to w piosence zespołu Lao Che *Hydropiektłowstąpienie*, czy też w *Modlitwie B. Okudżawy* (na stronie: <https://www.musixmatch.com/lyrics/Булат-Окуджава/Молитва> [data dostępu: 28 II 2020]), wszak skoro „zielonooki Bóg” („Gospodi moj Boże, Zielenogłazujy moj!”) tchórzowi może dać konia („Trusliwomu daj konia”) – nawet jeśli tylko na poziomie metafory, to znaczy, że wchodzi z człowiekiem w dialog, w którym On staje się poznawalny, zrozumiany i widzialny poprzez działanie tak samo, jak człowiek jest słyszany przez Niego z powodu swych prośb, bo będzie wysłuchany jak mądry, który otrzymuje głowę („Mudromu daj gołowu”).

³⁴ Na ten temat zob. P. Zwierzchowski: *Ritual and Family: Preparation for First Communion in „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił” („Remember to Keep Holy the Lord’s Day”) by Maciej Cuske and „Komunia” („Communion”) by Anna Zamecka*, „Studia Religiologica” 2018, nr 2; „Clergy” („Kler”) by Wojciech Smarzowski – *The Image of Catholic Priests in Polish Movies After 1989*. Jw., 2021, nr 1.

³⁵ Piszemy „praktycznie” w cudzysłowie, gdyż w języku potocznym mówi się często o katolikach wierzących i praktykujących oraz o katolikach wierzących i niepraktykujących, uznaliśmy więc, że

siebie komplementarne. Najpewniej krytyczny religijnie nurt w polskim kinie – w powiązaniu z polską sztuką krytyczną odnoszącą się do religijności – stanowi zapowiedź narastającego w duchu postoświeceniowym krytycyzmu, który wcześniej nie był działaniem wolnym od zapośredniczenia katolickiego. Reżyserzy prowokują dyskusję nie będącą kalkulacją polityczną, lecz dialogiem, chcą być wysłuchani artystycznie przez widza, niemal tak, jak człowiek religijny pragnie zostać wysłuchany w modlitwie przez Boga. Formułują pytania o człowieka skrzywdzonego (wszak filmy Smarzowskiego i Sekielskich dotyczą pedofilii, źródło zła stanowią księża i chroniąca ich instytucja) oraz o człowieka poszukującego dobra i doświadczającego cierpienia (filmy Szumowskiej, Zameckiej czy Komasy). Namysł krytyczny staje się kluczowy w świecie współczesnym, w którym człowiek religijny jest często bezradny wobec poznawanych prawd o ludziach Kościoła. Słowo „bezradność” nie ma jednak konotacji fatalistycznych, lecz zapoczątkowuje emancypację. Kino krytyczne religijnie odsłania horyzont nadużyć i zużyć, przecież religijność polilologiczna – będąca paplaniną – „zużywa” *sacrum*, sprowadzając je do banału władzy i przebóstwienia strachu, którym się zarządza duchowo i politycznie. Banał władzy oraz przebóstwienie strachu projektują dwa typy postaw – narcystyczną (z tej perspektywy oportunizm stanowi również odmianę narcyzmu) i pokutniczą (wierni wciąż się modlą o przebłaganie za grzechy tego świata, składającego się z innych ludzi, za których modlić się trzeba). W tym kontekście „spodziewane” są reakcje przedstawicieli Kościoła na owe filmy. W dużej mierze to następstwo instytucjonalnie umotywowanej refleksyjności, na którą wpływ miały konsekwencje społeczne i poznawcze zamętu lat czterdziestych XX wieku w polskim rzymskim katolicyzmie – wraz z tym, co wynikało z procesów regresywnych, powodujących odnalezienie się Polaków „w prostszych i bardziej związanych z emocjami formach – bliskich archaicznej wyobraźni ludowej, z jej magicznym charakterem, niezwykle silnym naciskiem na dobro i zło w postaci sił opiekuńczych i wrogich, a także »amoralnym familizmem«, przesyconym jednocześnie buntem i mściwością”³⁶.

Poziom dyskursu zaproponowany w omawianych filmach właściwy był dla imaginariu mieszczańskiego, w którym potrzeba krytyki nadużyć władzy kościelnej jest konieczna, podobnie jak konieczna okazuje się potrzeba oddzielenia tego, co świeckie, od tego, co religijne. Dlatego rozwijający się nurt krytyczny religijnie w polskim kinie wprowadza perspektywę, która w dominującej – a uwarunkowanej historycznie – rzeczywistości katolickiej stanowi coś nowego, bo opartego na modelu konfrontacji z innym niż ludowy, innym niż dotychczas praktykowany. Wspomniane filmy pokazują, jak było i jak może być, ale też uczą, jak patrzeć na to, co przedstawione, choć w rzeczywistości pozafilmowej wciąż ukrywane. Są bowiem obrazami skonstruowanymi w idiomie krytycyzmu, dla którego szuka się najlepszego tłumaczenia w języku potocznym, a jednocześnie – z powodu oddziaływania kodów audiowizualnych – ekwiwalentu.

Uważamy, że formy apokryficzne służą sprowokowaniu myślenia alternatywnego, którym jest odwzorowanie komplementarnego, czynnego rozumienia tekstów

słowo „praktyka” jest synekdochą postaw reprezentujących różne poziomy doświadczenia religijnego w wymiarach indywidualnym i zbiorowym.

³⁶ A. Leder, *Prześlona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*. Warszawa 2014, s. 152–153.

funkcjonujących oficjalnie lub za oficjalne uznawanych. W działaniach i zachowaniach oraz motywacjach, jakże różnych, Aleksandry i Daniela należy szukać tych postaw i znaczeń, które, choć niekanoniczne i niekoniecznie prawdziwe, są istotne religijnie, gdyż zmuszają widza do reakcji, do wyboru, do formułowania pytań, do przynajmniej potencjalnej transformacji oczekiwań, wierzeń i wiedzy³⁷. Formy apokryficzne służą więc uzupełnieniu, przepisaniu i wyjaśnieniu tego, czego w paplaninie usłyszeć już nie można lub się nie udaje. W tym sensie forma apokryficzna, choć niezgodna z wykładnią kanoniczną, pomaga jednak przybliżyć takie prawdy, na które instytucja jest najpewniej głucha.

Apokryfy uzupełniały wiedzę, wyjaśniały tajemnice, jako fabuły katechetyczne zaś wzmacniały wyobrażenia na temat ziemskiego obrazu Jezusa, a zatem z perspektywy religijności potocznej funkcjonowały komplementarnie wobec tekstów, które uznano za wzorcowe³⁸. Apokryfy były zazwyczaj zrozumiałe i zarazem użyteczne. Formy apokryficzne pełnią podobne funkcje, są faktycznie obrazami, a jednocześnie wciąż, niczym historyczne apokryfy, modelowane są przez ciekawość i potrzebę wypowiedzi typowe dla myślenia potocznego – powszechnego filtra najtrudniejszych prawd religijnych i prawd o religii. Formy apokryficzne pokazują, jak mogłoby być, gdyby religia nie gubiła człowieka w przepisach prawnych, instytucjonalnych, rytualnych (*Boże Ciało*), lub jak jest, gdyż nawet jeśli słysząc słowa skierowane do człowieka, to choć je rozumiemy, przecież nie czujemy się ich adresatami, jakby wypowiadano je w świecie równoległym semiotycznie i teologicznie. Przykładowo – w filmie *Komunia* ksiądz nie pomaga Aleksandrze, tylko ją sprawdza, a właściwie sprawdza jej brata, egzaminując i wymagając przestrzegania reguł. Filmy traktowane przez nas jako formy apokryficzne zaliczamy do kina krytycznego religijnie.

Zmacona teologia

Formy apokryficzne funkcjonują w formach hybrydalnych gatunkowo. Zwróćmy uwagę, że zarówno *Komunia*, jak i *Boże Ciało* stanowią „zmacone” gatunkowo i stylistycznie filmy³⁹. *Komunia* okazuje się daleka od tych konwencji filmu dokumentalnego, które pokrewne są formom publicystycznym. Dzieło Zameckiej realizowane „na sposób fabularny” (co nie oznacza stosowania inscenizacji), stanowi pełną niuansów opowieść nakręconą w trybie dokumentu obserwacyjnego. W tego rodzaju filmie dokumentalnym, jak pisze Bill Nichols, autor „przyjmuje szczególnie tryb obecności »na planie«, w którym wydaje się niewidoczny i nieuczestniczący”⁴⁰. I dalej Nichols dodaje słowa dobrze pasujące do istoty *Komunii*:

³⁷ Film, jak stwierdził reżyser *Bożego Ciała*, „jest inspirowany prawdziwymi wydarzeniami, a nie na podstawie prawdziwych wydarzeń. [...] Tylko środkowy element, czyli udawanie księdza, sposób, w jaki zareagowali na to ludzie i jak zostało to ujawnione, wzięty został z rzeczywistości” (*Dopiero ucze się polskiej widowni*. Z J. Komasa rozmawia J. Moryc. „Kino” 2019, nr 10, s. 35).

³⁸ Zob. Michalski, *op. cit.*, s. 43.

³⁹ W naszej interpretacji proponujemy potraktowanie tych filmów jako form apokryficznych, choć w innym kontekście mogłyby być one uznawane za dzieła wpisujące się częściowo w krytyczny namysł nad religijnością w Polsce, który widzimy wyraźnie w pracach chociażby R. Rumasa.

⁴⁰ B. Nichols, *Typy filmu dokumentalnego*. W zb.: *Metody dokumentalne w filmie*. Red. D. Rode, M. Piętkowski. Łódź 2013, s. 25 (przeł. M. Heberle, D. Rode). Zob. też *ibidem*, s. 24:

Filmy obserwacyjne tworzą silne poczucie trwania faktycznych wydarzeń. Zrywają z dramatycznym tempem mainstreamowych filmów fabularnych i nierzadko pośpiesznym gromadzeniem obrazów, typowym dla dokumentów objaśniających czy poetyckich⁴¹.

W *Komunii* „zwykli” ludzie zmagający się ze swoją codziennością działają jak aktorzy „grający” samych siebie w tym subtelnym dramacie, który trwa również wtedy, gdy nie ma kamery „na planie”. Dramaturgia wyprowadzana ze szczegółów podpatrzonych aparatem filmującym, uchwyconych mikrofonem, zyskuje w omawianym filmie charakter uniwersalny. Także za sprawą stylistyki zdjęć i montażu film nabiera cech tego rodzaju fabuły, jaką odznaczały się w pamiętnym okresie historii kina poruszające siłą autentyzmu utwory włoskiego neorealizmu.

Boże Ciało „dryfuje” w stronę kina sensacyjnego: jest tajemnica, jest zbrodnia⁴². Każda forma znaczenia stylistycznego czy gatunkowego w tych filmach uwalnia je bodaj od najmniejszego dydaktyzmu i w związku z tym – od tendencyjnej wizji świata, w której chrześcijaństwo, nawet jeśli nie jest centrum poznawczym i moralnym, ba! duchowym, to jednak przecież jako kontekst oddziałuje na postawy protagonistów, na ich „odchylenie” od normy, każde takie „odchylenie” zostaje „spoliczkowane” przez tych, którzy mają przewagę nad protagonistami.

Obydwa filmy łączy w tym kontekście istotne przesunięcie – są one jakby fabularne. Osoby występujące w dokumencie są ludźmi, dla których fotografowanie się, bycie filmowanym stanowi coś codziennego, oczywistego, przecież „wszyscy się filmują, więc nie ma bariery”. W filmie *Komunia* dominuje tzw. adresowanie trzecioosobowe, postaci zachowują się bowiem tak, jakby nie było kamer, jakby nikt nie był filmowany⁴³. Jak pisze Mirosław Przyłipiak: „W tego rodzaju filmach dokumentalnych sytuacja komunikacyjna jest fikcyjna i zbliżona do tej, jaka panuje w kinie fabularnym”⁴⁴.

Niejednoznaczność gatunkowa, balansowanie między fikcją a rzeczywistością⁴⁵ oraz perspektywa apokryficzna uwalniają te filmy od jednoznaczności i dosłowności. To, co nazywamy balansowaniem między fikcją a rzeczywistością, w przypadku obydwu filmów charakteryzuje się dwuwektorowością: aby film był fikcyjny, musi

„W filmie fabularnym sceny są w całości skonstruowane w taki sposób, byśmy mogli je podsłuchiwać i podglądać, podczas gdy sceny w filmie dokumentalnym prezentują przeżywane przez rzeczywistych ludzi doświadczenia, których zdarza nam się być świadkami”.

⁴¹ *Ibidem*, s. 25.

⁴² W recenzjach wpisuje się ten film w różne konteksty, podważając głębię jego wymowy religijnej. Zob. A. Szpula k, *Sen prowincjonalny i American Dream*. Na stronie: <https://nowynapis.eu/tygodnik/nr-36/artukul/sen-prowincjonalny-i-american-dream> (data dostępu: 14 VI 2020).

⁴³ Zob. Nichols, *op. cit.*, s. 26: „Obecność kamery »na planie« poświadcza jej obecność w rzeczywistości. Potwierdza to wrażenie zaangażowania we wszystko, co natychmiastowe, intymne i prywatne w bieżącej chwili. Potwierdza to również wrażenie wierności temu, co się dzieje, które sprawia, że wydarzenia są nam przekazywane tak, jakby po prostu się zdarzyły, podczas gdy faktycznie zostały skonstruowane, by takimi się jawić”.

⁴⁴ Przyłipiak, *op. cit.*, s. 23.

⁴⁵ F. Zippel (*Fiction across Media: Toward a Transmedial Concept of Fictionality*. W zb.: *Storyworlds across Media. Toward a Media-Conscious Narratology*. Ed. M.-L. Ryan, J.-N. Thon. Lincoln, Nebr., 2014, s. 105) twierdzi, że o fikcyjności dzieła decyduje m.in. pewien stopień odchylenia od tego, co znamy z realnego świata („some degree of deviation when compared to the real world”), elementy fikcyjne w dziele nie mają przedmiotu odniesienia.

zawierać elementy niereferencyjne, które stanowią odchylenie od tego, co znane lub doświadczane jest w realnym świecie, jednocześnie zaś, jeśli film ma być realnym obrazowaniem problemu – powinien w naszym przekonaniu być odchyleniem od tego, co fikcyjne, a więc zaprezentowane zdarzenia muszą być zobrazowane tak, jakby działy się w realnym świecie. *Komunia* zmierza ku efektowi filmu fabularnego, pozostając autentykiem, w którym nikt nie gra i nie udaje. *Boże Ciało* zmierza ku urealnieniu chociażby dlatego, że świat przedstawiony składa się z historii ukazujących prawdopodobne sytuacje, w tym przypadku ważna jest kamera naśladująca np. zdenerwowanie bohaterów, szczególnie w scenach przemocy – można odnieść wrażenie, iż wykonuje ona pracę kamery reporterskiej.

Dwuwektorowość w kontekście form apokryficznych otwiera widza na dialogiczność – wyobrażamy sobie, że film wprowadza nas w świat, w którym spełnia się to, czego oczekujemy (np. kapłan wchodzący w życie wiernych poprzez język, ból i rytuały zrozumiałe dla nich i przez nich przyswojone, jak to czyni Daniel udający księdza w relacji z parafianami będącymi w żałobie), lub obiektywizuje się to, czego nie chcemy (kiedy oglądamy postawę Aleksandry, wydaje się nam, że jest to XXI-wieczny hipertekst o naśladowaniu Chrystusa⁴⁶, gdzie bohaterka ani razu nie zwraca się do Niego, a jednocześnie doznaje cierpień i upokorzeń, które możemy widzieć na ekranie, ale których nie mamy ochoty doświadczać, nawet jeśli się to wiąże z rezygnacją z naśladowania Chrystusa).

Chrześcijaństwo nie przekształca życia protagonistów, nie daje pokrzepienia, jest duchowo nieprzedstawialne, personalistycznie zaś oślepione przez instytucję. Ta ostatnia gwarantuje ciągłość doktryny i spójność zbiorowości, jeśli wypełnia się odgórnie narzucone zasady, ale okazuje się nieprzydatna albo przynajmniej bezradna wtedy, gdy dotyka sfery indywidualnego doświadczenia religijnego. Instytucja upodmiotawia reguły i sankcjonuje powinności odtwarzane przez zbiorowość, która „wie lepiej”, bo przecież w paplaninie znajduje schronienie niczym Jonasz w brzuchu Lewiatana. Dominacja tekstów konstruowanych, powielanych i rozpowszechnianych przez instytucje kościelne jako „źródłowych” dla konfesji, będących alternatywą dla form apokryficznych, wynika z instrumentalizacji oraz banalizacji własnych tekstowych (i w tym sensie kanonicznych) źródeł i redukuje je do treści zrozumiałych w ramach myślenia potocznego, wszak „udają” one, że są wciąż takim samym źródłem.

Oto ciało moje, oto ja

W *Komunii* przedstawia się przemoc, jakby była realna, nieuchronna; choć istnieje poza kadrem, widzimy jej skutki. Dostrzegamy oczywiście emocje różnych postaci, napięcia między nimi, w tym kłótnie. To wszystko zostaje w pewnym sensie zneutralizowane z powodu nadrzędnego marzenia protagonistki – scalenia rodziny, chęci podzielenia się codziennością z najważniejszymi dla niej osobami. Film budują semiotycznie nacechowane symetrie, np. kiedy matka Aleksandry składa łóżeczko, wiemy, iż jej się to nie uda. Owa porażka stanowi odwzorowanie porażki

⁴⁶ Podczas oglądania filmu odnieść można wrażenie, że postawa Aleksandry jest bliska ideałowi opisanemu w traktacie Thomasa à Kempis *O naśladowaniu Chrystusa*.

Aleksandry chcącej „poskładać” rodzinę. Przyjmujemy, że rodzice protagonistki, ona sama i inne osoby (tutaj przebitki z nagrań VHS mamy Oli) byli u pierwszej komunii, a jednocześnie ten fakt nie ma znaczenia, jest przeszłością, może wspomnieniem obowiązku, ale w żaden sposób to doświadczenie ich nie uformowało, nie przekształciło, nie uodporniło.

W filmie *Boże Ciało* stykamy się z narastającą przemocą i rozumiemy, że jej intensyfikacja prowadzi do tragicznego rozwiązania. Dostrzegamy, jak życie *Ewangelii* oplecione jest agresją, skrepowane nią, dlatego w tym filmie ostatecznie dochodzi do zabójstwa. W scenach przemocy widzimy liczne zbliżenia na ciało, to ono staje się medium bólu, medium cierpienia, to ono istnieje jako medium upadku, wreszcie śmierci. Ciało stanowi obraz Boga w osobie Jezusa Chrystusa. Nie głosimy żadnych tez filozoficznych i teologicznych, lecz odnosimy się do konkretnych epizodów z filmu *Boże Ciało*: 1) Daniel spogląda w lustro, w którym dostrzegamy jego oblicze kapłańskie, protagonista ma koszulę z koloratką, w tym samym odbiciu widzimy fragment obrazu przedstawiającego Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus na ręku. Zbliżenie ustawiono na osobę Daniela, tło ukazujące tylko część obrazu – tzn. Dzieciątko Jezus, jest rozmazane (22 min 38 s filmu); 2) kadr odzwierciedla moment, gdy Daniel przebrany za księdza wychodzi z pomieszczenia, ostrość kamery ustawiona jest na drzwi odbijające się w lustrze, w którym widać plecy protagonisty oraz fragment obrazu z Dzieciątkiem Jezus, to samo ujęcie, tylko zmiana ostrości (22 min 46 s filmu); 3) scena prezentuje Daniela odwróconego tyłem do wiernych, zapatrzonego w krucyfiks zawieszony nad ołtarzem (1 h 40 min 19 s filmu); 4) kadr przedstawia Daniela rozebranego do połowy (kamera ustawiona z tzw. żabiej perspektywy), który unosi ręce w geście ofiarniczym, jakby z siebie składał ofiarę, ujęcie jest tym bardziej przejmujące, że ołtarz z nawy głównej wydaje się aureolą, znak ofiary konotują zaś dwie świece ustawione na ołtarzu, jedna po lewej, a druga po prawej stronie (1 h 40 min 29 s filmu); 5) scena prezentująca Daniela w tej samej co poprzednio postawie, ale od tyłu, kamera pokazuje jego plecy, widać wiernych, protagonista wciąż trzyma ręce w geście ofiarniczym, lecz najważniejszy – w naszym oczywiście przekonaniu – centralny element tego kadru stanowi tatuaż Daniela, przedstawiający Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus.

Daniel jako ksiądz jest zestawiony z obrazem Jezusa – i jako Dzieciątko, i jako Chrystusa wiszącego na krzyżu. To zestawienie nazywamy hermeneutyczną transpozycją, która nie polega na utożsamieniu Jezusa z Danielem. Protagonista filmu *Boże Ciało* został scharakteryzowany przy wykorzystaniu obrazu Jezusa, aby uruchomić relację interpretacji jednej z tych osób w odniesieniu do drugiej i odwrotnie, lecz obydwa te porządki zaczynają funkcjonować dzięki Danielowi, który najpierw przebiera się za księdza, a następnie siebie składa w ofierze (gest rąk, pójście ciała, ołtarz). W kontekście przybliżania widza do tajemnicy Wielkiej Soboty można by więc stwierdzić, że hermeneutyczna transpozycja formułuje pytanie, na które odpowiedź są poszczególne kadry: jakiego chcecie kapłana? W kadrach 1–4 Daniel ma na sobie sutannę, a w kadrze 5 widzimy Daniela obnażonego, sutanna spoczywa na ołtarzu. Hermeneutyczna transpozycja jest możliwa z dwóch powodów: medialnego (medium obrazu jako medium Bóstwa, ciało jako medium obrazu Bóstwa) oraz symbolicznego, w ramach którego kolejny raz ciało zostaje złożone w ofierze, choć podstawa ontologiczna różni się od tej drugiej ofiary (kadr 5).



Tym, co łączy *Komunię* i *Boże Ciało*, jest bezradność wobec przemocy, w kontekście poetyki omawianych filmów stanowiącej rubikon *Ewangelii*, a właściwie ucieleśnienie jej bez-podmiotowości. Forma apokryficzna w tym przypadku przedstawia to, co kryło się w oficjalnych przekazach religijnych i co należałoby nazwać „fenomenologią milczenia”. Można bowiem zostać świętym męczennikiem, można sens życia sprowadzić do doświadczenia bólu, lecz to wszystko w żaden sposób nie uwalnia człowieka od nieuchronnego. Forma apokryficzna objawia fakt, że chrześcijaństwo nie przekształca, nie oswobadza, oparte jest przy tym na usankcjonowaniu własnej bezradności. Jeśli zgodzimy się z taką interpretacją, to warto ją prze-myśleć w perspektywie intensywnie nobilitowanego cierpienia, jego przebóstwienia. Ów dolorystyczny aspekt zdaje się dominować w kontekście chrześcijaństwa.

Georg Wilhelm Friedrich Hegel twierdził, że chrześcijaństwo to „spekulatywny Wielki Piątek”, jak dodaje Agata Bielik-Robson: „śmierć Śmierci”⁴⁷. Parafrazując tę myśl, chcielibyśmy powiedzieć, iż filmy *Komunia* i *Boże Ciało* przesuwają naszą refleksję w stronę Wielkiej Soboty, nie tylko dlatego, że w owych dziełach cierpienie

⁴⁷ A. Bielik-Robson, *Erros. Mesjański witalizm i filozofia*. Kraków 2012, s. 59.

nie przynosi ukojenia i cierpiąc wcale nie jest się bliżej Jezusa, przeciwnie: dalej od Niego (zobaczmy, jak części parafian oplakujących śmierć najbliższych w wypadku samochodowym zależy na uwolnieniu się od traumy, a jednocześnie – z jaką niechęcią i nienawiścią odnoszą się oni do żony sprawcy wypadku), ale także dlatego, że tytuły filmów konotują myśl o Zmartwychwstaniu. W obydwu filmach pokazane są bezcelowość i bezsens bólu, choć właściwie dolorystyczny wymiar chrześcijaństwa, szczególnie w perspektywie polskiej, projektuje teleologię cierpienia przenosząc wyjaśnienie sensu tego doświadczenia na poziom naddoświadczenia ludzkiej egzystencji, mający swą podstawę w porządku transcendentnym. Przecież nie chcemy cierpienia Aleksandry, nie chcemy bólu Daniela, choć w jego przypadku wielokrotnie widzimy uosobienie figury Męża Boleściwego – Vir Dolorum, który niczym Chrystus z XV-wiecznych obrazów Brata Franckiego wskazuje na swoje rany, pamięta je, podkreślając tym samym ofiarę z siebie i wpisane w nią cierpienie. Wspominaliśmy tu, że doketyzm odbił się echem w funkcjonowaniu instytucji Kościoła, wszak udział ciała w doświadczeniu religijnym został podważony jako pozytywny. Ciało jest posłuszne, klęka, składa ręce, kłania się w prawo i w lewo, ale właściwie nie jest obecne, gdyż – wbrew tomistycznym psychosomatycznym rozważaniom – stanowi przecież siedzibę grzechu. Uznajmy to za swoisty paradoks: doryzizm jest możliwy na skutek konstruowania tożsamości religijnej w cieniu doketyzmu (mamy tu wszakże świadomość, iż pojęcie to traktujemy jako metaforę, nie zaś jako termin związany z historią Kościoła).

Forma apokryficzna jako symbioza sztuki i religii – w takiej właśnie kolejności – zawiera w sobie potencjał emancypacyjny. Formy apokryficzne nie tylko uzupełniają wiedzę religijną, pokazują alternatywne ścieżki doświadczeń religijnych, konstytuują wyobrażenia o Bogu, człowieku i religii, pomagają ośwoić tajemnicę lub znieść jej fundamenty, umożliwiają stopniowe, niepewne jeszcze przekształcenie dominującej perspektywy – przejście od narcystycznie usposobionego doryzmu jako rewersu bezradności i afirmacji pasywności do pytania o człowieka w sytuacji dialogu, lecz także są reakcją na to, o czym się nie rozmawia, choć się powinno. Daniel składając się w ofierze, swym ciałem niejako wyraża prawdy: oto człowiek, oto Daniel, oto moje ciało, oto moja bezradność, oto ja. Vir Dolorum.

Brudnopis

Życie w przypadku Daniela i Aleksandry staje się „otwartą hagiografią”, w której nadrzędne wobec domniemanej świętości, będącej introjekcją religijnego nad-Ja (stanowiącej jedną z przyczyn rozwoju perfekcjonizmu w kulturze zachodniej), okazuje się samo medium – brudnopis *Ewangelii*, czyli codzienność wypełniana przez „małe życie” Aleksandry, Nikodema czy w niektórych sytuacjach Daniela. Napisaliśmy „w niektórych sytuacjach”, gdyż chcemy się zastanowić nad złożonością tej postaci.

Oczywiste jest, iż Aleksandra, bohaterka filmu *Komunia*, to ktoś rzeczywisty i w ten sposób ontologicznie jednoznaczny. Ale przecież dokument, jeśli jest prowadzony narracją trzecioosobową, wcale nie okazuje się jednoznaczny ontologicznie. Wikłamy się więc w zagadnienia z obszaru teorii dokumentu, fikcji i *mimesis*. Proponujemy wszakże, aby myślarz o ontologicznej jednoznaczności, mieć na uwadze,

iż scenarzystą w przypadku kreacji postaci powinien się odnieść do kogoś, kto jest rzeczywisty i istnieje przed powstaniem filmu oraz będzie istniał po zakończeniu jego produkcji (o czym pisaliśmy wcześniej). W tym sensie Daniel jest ontologicznie wtórny, czyli jego status zależy od filmowej ramy (fikcji, fabuły, gry aktora); gdybyśmy chcieli znów zobaczyć bohatera, musielibyśmy albo nakręcić następną część filmu, albo obejrzeć *Boże Ciało* ponownie. Jednoznaczność ontologiczna nie jest natomiast tak uwikłana symbolicznie jak ontologiczna wtórność. Daniel może więcej uczynić w świecie przedstawionym niż Aleksandra. Tym bardziej zatem jego zachowanie, działania, wybory będą nacechowane figuratywnie, tym bardziej jego postać będzie upodabniała się funkcjonalnie do różnych elementów świata przedstawionego. To dlatego oglądamy historię chłopaka z poprawczaka, a równocześnie dostrzegamy istotną hermeneutyczną transpozycję, protagonista ma podwójną naturę w świecie przedstawionym⁴⁸.

Daniel jest więc młodzieńcem, przestępcą, łotrem, ale staje się też, udając, ks. Tomaszem, apostołem Chrystusa. W osobie bohatera spotykają się prawdziwy łotr z nie-p prawdziwym Chrystusem. Piszemy „nie-p prawdziwy”, gdyż podwójność Daniela/Tomasza osadzona jest w języku i poprzez język – w rzeczywistości. Po obejrzeniu filmu czujemy się gotowi, by powiedzieć: Daniel to fałszywy ksiądz. Jednak taka konstatacja zostałaby zbyt szybko wyrażona. Fałsz w tym rozumieniu podważałby realność oddziaływania Daniela – jego pracy duszpasterskiej, która stała się formą terapii zbiorowej. Daniel przyjmuje imię Tomasza, bo dla parafian chce być tym, kim był ks. Tomasz dla niego i jego kolegów w poprawczaku, dlatego modlitwa staje się terapią, aktywnością pokazującą w konfrontacji z doświadczeniem traumy, że człowiek, który się modli, cierpi, tęskni, może być wysłuchany – w sensie: ujrzany, wydobyty i ważny. Forma apokryficzna w tym kontekście przekierowuje wektor modlitwy z wertykalnego (relacja: człowiek–Bóg) na horyzontalny (relacja: człowiek–człowiek). Jest to istotne przewartościowanie. Filmy jako formy apokryficzne obrazują współcześnie potrzebę postawienia człowieka w centrum religii, zarazem zastępując paradygmat teologiczny etycznym, więc choć są to filmy o tematyce religijnej, pokazują przecież ważny moment przejścia od religijności powierzchownej do sekularyzacji pogłębionej. To nie oznacza, iż formy apokryficzne mówią o niedziałaniu Boga lub o Jego nieistnieniu, raczej o wejściu w świat człowieka widzialnego i słyszalnego.

Podwójna natura Daniela/Tomasza dowodzi, że jako zły człowiek nie jest do końca złem wcielonym, a jako dobry człowiek – nie jest tylko dobry czy naiwnie dobry. Ta podwójna natura postaci w sensie moralnym nie wskazuje na żadną relatywizację, lecz służy uzasadnieniu wyborów i zachowań protagonisty, który poprzez własny dramat rozumie dramat drugiego człowieka, poprzez życie w świecie pełnym

⁴⁸ Biblijny Daniel ma podwójne imię, gdyż nadzorca służby dworskiej króla Nabuchodonozora nadał mu, a także innym znamienitym synom judzkim – czyli Chananiaszowi, Miszaelowi i Azariaszowi – nowe imiona. Daniel stał się Belteszassarem. Warto nadmienić, że Daniel był zmuszony do podwójnego życia, ponieważ znajdował się w niewoli. Zachował jednak swoją żydowską tożsamość, natomiast za zdolność interpretowania snów król Nabuchodonozor kazał złożyć u jego stóp „wiele bogatych darów” i wonne kadzidła oraz „uczynił go zarządcą całej prowincji babilońskiej i zwierchnikiem nad wszystkimi mędrkami Babilonu” (Dn 2, 48).

przemocy – dostrzega różne jej odcienie w rzeczywistości tzw. normalnych ludzi (postawa bohatera zbiorowego wobec wdowy po kierowcy; warto pomyśleć o relacji: córka-matka, czy o stosunku wójta). Podwójna natura protagonisty wzmocniona jest metonimiczną przyległością dwóch światów, w jakich on funkcjonuje. Tę podwójną, bliźniaczą naturę obrazują dwa imiona, którymi w zależności od sytuacji posługuje się główny bohater. Świat Daniela i świat Tomasza przeplatają się, podważając uniwersalność pierwszego i autentyczność drugiego (np. w sytuacji odwiedzenia Daniela/ksiedza na plebanii przez kolegę z poprawczaka, tj. Pinczera, albo gdy policjant rozpoznaje w osobie ks. Tomasza kogoś, kogo spotkał wcześniej (chodzi o epizod w autobusie, kiedy doszło do konfrontacji między mężczyznami)). Tak rozumiana podwójność podkreśla złożoność i wielowymiarowość ludzkiej egzystencji. Imiona Daniela i Tomasza charakteryzują się jednoznacznymi konotacjami biblijnymi (staro- i nowotestamentowymi), są wektorami przekierowującymi uwagę widza z fabuły na jej odczytanie religijne. Jezus też ma podwójną naturę: ludzką i Boską. Gdybyśmy w tym kontekście potraktowali Daniela jako metaforę Chrystusa, powiedzielibyśmy, że finał filmu pokazuje wprost, iż podwójność natury bohatera stanowi konsekwencję sytuacji egzystencjalnej i społecznej, w której się on znalazł, lecz co do istoty Daniel jest tylko człowiekiem. Film *Boże Ciało* uznany za formę apokryficzną wpisuje się w tym przypadku w wielowiekowy spór na temat ontologii Jezusa – to konsekwencja hermeneutycznej transpozycji.

Widz chciałby pozytywnego zakończenia, licząc na to, że sytuacja w parafii wpłynie także na postawę protagonisty, ale jest to niemożliwe. Daniel, wracając do poprawczaka, musi się dostosować do warunków obowiązujących w zakładzie karnym. Zastanawiamy się, dlaczego chłopak morduje. Na pierwszym poziomie odbioru reakcja protagonisty wydaje się uzasadniona: zaatakowany musi się bronić, a narastające w nim gniew i adrenalina powodują, że zaczyna się znęcać nad pokonanym przez siebie przeciwnikiem, aż go uśmierca. Daniel zabija w drugim człowieku siebie jako tego, o kogo walczył najdłużej. To paradoks. Daniel zabił, bo był odpowiedzialny, śmierć stanowi symbol końca pewnego snu – przecież zabił w sobie Tomasza. „Otwarta hagiografia” zapisuje „czcionką” apokryfu tylko brudnopisy.

Tytuł eseju zaczyna się od pytania: Film jako forma apokryficzna? Odpowiemy twierdząco, jeśli potraktujemy *Komunię* i *Boże Ciało* jako dzieła, które wpływają na myślenie religijne, stając się alternatywną wykładnią wiary, dopowiedzeniem, które ma być uchwycone, uzupełnieniem, które ma być widziane, ukojeniem, które wprowadza względność ocen tam, gdzie narzucana instytucjonalnie, rodzinnie, społecznie, za każdym razem „jedynie słuszna” religijność musztruje różnorodność pragnień, postaw, praktyk. *Boże Ciało* nie jest ewangelią według Komasy, *Komunia* nie jest ewangelią według Zameckiej, lecz wciąż są to filmy, w których – na przekór panującej w rzeczywistości pozafilmowej wszechobecnej paplaninie (*battologēsēte*) – wyłania się opowieść o innym jako tym, który chce być wysłuchany (*eisakousthēsontai*), rzeczywisty.

Abstract

MIKOŁAJ JAZDON Adam Mickiewicz University, Poznań
ORCID: 0000-0002-8709-3179

MAREK KAŻMIERCZAK Adam Mickiewicz University, Poznań
ORCID: 0000-0002-4913-2149

**THE FILM AS AN APOCRYPHAL FORM? ON “KOMUNIA” (“COMMUNION”)
AND “BOŻE CIAŁO” (“CORPUS CHRISTI”)—NOT ONLY FILM STUDIES REMARKS**

The authors of the article introduce the apocryphal form as a useful tool in analysis and interpretation of the film. *Komunia* (*Communion*) (a documentary directed by Anna Zamecka, 2016) and *Boże Ciało* (*Corpus Christi*) (a feature film directed by Jan Komasa, 2019) are the examples of the apocryphal form in contemporary culture. The authors are of the opinion that the apocryphal forms change medium but even so they reflect the will of creation alternative forms of thinking about religion. The film, treated as a medium of literature, is a source of hidden or forgotten representations of dominant religious discourses. Colloquial thinking is a dominant form of cognition in this context.

ARKADIUSZ SYLWESTER MASTALSKI Prywatne Akademickie Centrum Kształcenia,
Kraków

O NATURZE REFRENU POETYCKIEGO

*Herr Mannelig, herr Mannelig trolofven I mig
För det jag bjuder så gerna
I kunnen väl svara endast ja eller nej
Om I viljen eller ej.*

(refren średniowiecznej ballady
skandynawskiej)¹

1

Niniejszy artykuł poświęcony jest problematyce refrenu jako składnika utworu poetyckiego (epickiego bądź lirycznego), składnika, który mimo wieloletniego i powszechnego występowania w rozmaitych formach literackich (od ludowych, przez popularne, po tzw. wysokie czy kunsztowne) rzadko bywa przedmiotem głębszego zainteresowania teoretyków poezji, literaturoznawców i lingwistów².

W potocznej świadomości refren jest powtórzeniem. Jest powrotem, iteracją, repetycją. I rzeczywiście: gdy spojrzeć na jego kształt melodyczny³ i prozodyjny, na rozkład sylab, akcentów i intonemów (a więc na jego wersową naturę) oraz na ukształtowanie leksykalne, czyli na postać syntaktyczną frazy tekstowej nań przypadającej, następstwo wyrazów, z jakim mamy do czynienia w refrenie, i zachodzące między nimi relacje (scil. treść), wówczas ta zwyczajowa, intuicyjna (i ogólnie ak-

¹ *Herr Magnus og bjærgtrolden*. W zb.: *Naturmytisk visa „Ballads of the Supernatural”*. Ed. B. R. Jonsson, M. Jersild, S.-B. Jansson. Stockholm 1983, s. 381. *Sveriges Medeltida Ballader*. T. 1.

² Brak opracowań językoznawczych nie dziwi, skoro jedyne, co bez wątpienia da się powiedzieć o refrenie *en masse*, to że jest on wypowiedzeniem lub grupą wypowiedzeń. Nie ma jednak gruntownego studium z zakresu wersologii poświęconego refrenowi, a i w pracach znanych badaczy poezji nieczęsto pojawia się ten temat. Wspomnę tylko kilka publikacji różnego typu, choć oczywiście przykłady można by mnożyć – zob. D. Attridge, *Poetic Rhythm: An Introduction*. Cambridge, Mass., 1995. – J. Culler, *Theory of the Lyric*. Cambridge, Mass., 2015. Z polskich prac zob. np. A. Kulawik, *Wersologia. Studium wiersza, metru i kompozycji wersyfikacyjnej*. Kraków 1999. – D. Korwin-Piotrowska, *Poetyka. Przewodnik po świecie tekstów*. Kraków 2011.

³ Gdy mówimy o refrenie, nie sposób nie wspomnieć o jego aspekcie muzycznym. Na ten temat zob. J. Chomiński, K. Wilkowska-Chomińska, *Pieśń*. Kraków 1974, s. 217–221. – *The Concise Oxford Dictionary of Music*. Ed. M. Kennedy, J. Bourne. Wyd. 4. Oxford 2004, s. 596–597.

ceptowana) obserwacja wydaje się pewna i niekwestionowana: refren to literalne powtórzenie jakiegoś fragmentu utworu poetyckiego⁴. A jednak owa intuicyjna definicja jest niekompletna czy nawet – rzekłbym – myląca. Będąc bowiem w jakimś stopniu nawrotem tego, co już znane⁵, refren ma przynajmniej dwie cechy stanowiące – a to istotne – jego *sine qua non*.

Słowo „refren” pochodzi od łacińskiego „*refringere*”, oznaczającego ‘przełamywać’, i od późniejszego, starofrancuskiego „*refraindre*”. W języku angielskim czasownik „*refrain*” (‘powtarzać się, powracać’)⁶ jest równie powszechny jak choćby „pisać” lub „kupować” w języku polskim; i w tym sensie koresponduje z istniejącym w polszczyźnie zwrotem „powracać jak refren”⁷. *Słownik języka polskiego* PWN podaje, że refren to:

1. ‘odcinek melodii i tekstu powtarzający się po każdej zwrotce piosenki’
2. ‘wers lub kilka wersów w utworze poetyckim, wyodrębnionych kompozycyjnie, powtarzających się w określonych odstępach’
3. ‘powtarzające się obrazy, dźwięki lub wypowiedzi’⁸.

Jak wynika z definicji słownikowych, kluczowe dla konceptualizacji refrenu jest to, co dotyczy jego pojawiania się w strukturze tekstu, a więc mechanizmu repetycji, nie zaś samej formy. To, że podmiot liryczny znanego wiersza Cypriana Norwida w zakończeniu każdej zwrotki mówi „Tęskno mi, Panie...” (powtarza to samo)⁹, wydaje się egzemplifikacją nie tylko powtórzenia, ale też powrotu – o czym za moment. A że nie sposób powtarzać czegoś innego (jest to fizycznie i semantycznie niemożliwe), repetycji ulega wciąż to samo.

⁴ Zob. np. M. Arct, *Słownik ilustrowany języka polskiego*. T. 2. Warszawa 1916, s. 492 n. – J. Krzyżanowski, *Słownik folkloru polskiego*. Warszawa 1965, s. 345–346. – T. Kostkiewiczowa, *Refren*. Hasło w: M. Głowiński, T. Kostkiewiczowa, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński, *Słownik terminów literackich*. Wrocław 1989. – A. Kulawik, *Poetyka. Wstęp do teorii dzieła literackiego*. Wyd. 2. Kraków 1997, s. 295. – S. Jaworski, *Podręczny słownik terminów literackich*. Wyd. 2, popr. i uzup. Kraków 2007, s. 181. – *Refrain*. Hasło w: *The Princeton Handbook of Poetic Terms*. Ed. A. Preminger, F. J. Warnke, O. B. Hardison Jr. Princeton, N. J., 2014, s. 227. – S. Burt, *Refrain*. Hasło w: *The Princeton Handbook of Poetic Terms*. Wyd. 3. Ed. R. Greene, S. Cushman. Princeton, N. J., 2016, s. 290–291.

⁵ Jak zauważa D. Nowacka (*Słowa nawracające – somantyczność w poezji Jerzego Ficowskiego. Pisane pożydowskim oksymoronem*. „*Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria*” t. 16 (2016), s. 109), „refren wiąże się z melodycznością, swoistą ludycznością [...], a także [z] kontekstem, w którym powtórzenie jest możliwe i oczekiwane”.

⁶ Zob. E. Miodońska-Brookes, A. Kulawik, M. Tatara, *Zarys poetyki*. Warszawa 1978, s. 439. – *Refrain*. Hasło w: *Oxford Dictionary of English*. Wyd. 3. Ed. A. Stevensons. Oxford 2010.

⁷ J. Roszak (*Refreny uchodźcze w poezji Nelly Sachs*. „*Polonistyka. Innowacje*” t. 6 (2017), s. 61) pisze np. o „uchodźczych refrenach”, czyli o powracających tematach, motywach i wątkach. R. Nycz (*Język modernizmu. Prolegomena historycznoliterackie*. Wyd. 2. Toruń 2013, s. 311) używa z kolei formuły „refrenowe powtórzenia”.

⁸ *Refren*. Hasło w: *Słownik języka polskiego* PWN. Na stronie: <https://sjp.pwn.pl/sjp/refren.html> (data dostępu: 22 VI 2018). Podkreśl. A. S. M. Zob. też *Refrain*. Hasło w: *Online Etymology Dictionary*. Na stronie: <https://www.etymonline.com/word/refrain> (data dostępu: 21 VI 2018).

⁹ C. Norwid, *Moja piosnka [III]*. W: *Wiersze*. Wybór, wstęp, koment. S. Sawicki. Lublin 1991, s. 102–103.

Powtarzać się mogą pojedyncze słowa, wersy lub nawet grupy wersów, znajdujące się na początku segmentu, w jego środku albo na końcu, między jednym segmentem a drugim, pojawiające się sporadycznie bądź stale¹⁰. Czasem dla zaistnienia refrenicznego powtórzenia wystarczy swoista klamra kompozycyjna, jak w XIX-wiecznym wierszu Anne Spencer:

*Ah, how poets sing and die!
Make one song and Heaven takes it;
Have one heart and Beauty breaks it;
Chatterton, Shelley, Keats and I –
Ah, how poets sing and die!*¹¹

Poeta Paul Lawrence Dunbar zostaje zestawiony w topicznym *non omnis moriar* z innymi wybitnymi – i wcześniej zmarłymi – twórcami poezji, a także „zrymowany” z umieraniem. Niemniej refren właściwy (wydzielony z całego utworu jako osobna jednostka formalna) cechuje się strukturalną i prozodyczną odrębnością względem reszty tekstu, na co wskazuje bądź to wydzielenie w osobnym wersie czy w osobnej strofie, bądź też odmienna organizacja metryczna. Już jednak ten skromny przykład unaocznia, że treść poematu wpływa na semantykę refrenu: „die” z wersu inicjalnego różni się od „die” wygłosowego, gdzie istotną rolę odgrywają rym, asocjacja z wyliczeniem oraz to, że wieńczy ono tekst wierszowany, akumulując jego potencjał semantyczny. Wyraźnie rysuje się tu funkcja powtórzenia jako powrotu – do miejsca, osoby, sytuacji itp. Powraca się zaś do miejsc (gr. *tópoi*), w których się było, ale w których obecnie się nie jest.

Zwyczaj się postrzegać strofy jako nośnik treści, „posuwający” akcję naprzód, a refren jako coś statycznego¹², czasem wręcz nonsensownego, oderwanego od treści lub tylko jako komentarz do treści, czyli „właściwego” tekstu¹³. Nie do końca jednak sprawdza się to, gdy bliżej przyrzeć się ontologii i funkcji refrenu. Otóż stanowi on *przerwę*, a zatem aporię, swoistą barierę uniemożliwiającą przepływ epickiej narracji czy lirycznego *flow*¹⁴ (często wręcz zdarza się, że jest on przerwą fizyczną, czyli momentem, w którym solowy wykonawca może przerwać śpiew, by

¹⁰ Zob. Burt, *op. cit.*, s. 290.

¹¹ A. Spencer, Dunbar. W zb.: *The Norton Anthology of African American Literature*. Ed. H. L. Gates Jr., N. Y. McKay. New York – London 1997, s. 948.

¹² Zob. K. Pomorska, *Music as a Theme and a Constituent of Pasternak's Poem*. W zb.: *Slavic Poetics: Essays in Honor of Kiril Taranovsky*. Ed. R. Jakobson, C. H. van Schooneveld, D. S. Worth. The Hague – Paris 1973, s. 335.

¹³ Ilustracją tego, jak luźny bywa związek refrenu z pozostałymi częściami utworu, jest fakt, że w dawnej poezji jeden refren wykorzystywano w licznych tekstach, a jeden konkretny tekst mógł mieć rozmaite refreny. Co więcej, refren mógł być napisany w innym języku niż reszta utworu. Zob. Burt, *op. cit.*, s. 290.

¹⁴ Refren jest szczególnie silnym znakiem aporii mythosu, gdy spodziewamy się ciągłości melodii, następstwa wersu, kontynuacji wątku (narracji). Zob. M. Sokalska, *Pieśniowe portrety kobiety – prządk*. „Wielogłos” 2010, nr 1/2, s. 160. – J. Saltzstein, *The Refrain and the Rise of the Vernacular in Medieval French Music and Poetry*. Cambridge 2013, s. 2. – Culler, *op. cit.*, s. 23. – *Refrain (poetic form)*. Hasło w: *Encyclopaedia Britannica*. Na stronie: <https://www.britannica.com/art/refrain> (data dostępu: 21 VI 2018). – *Refrain*. Hasło w: *Online Etymology Dictionary*. Na stronie: <https://www.etymonline.com/word/refrain> (data dostępu: 21 VI 2018).

oddać głos chórowi)¹⁵, lecz zarazem – a jest to w moim mniemaniu nadrzędna zasada rządząca wszelką refrenicznością – in herentną różnicę.

Różnica ta zawiera się w geście powtórzenia jako takim i stanowi istotę sprzężenia zwrotnego między *novum* a *datum* jakiegokolwiek iteracji¹⁶. Refren można więc określić – niczym Derridiańską *différance* – jako tożsamość, która nie jest identyczna¹⁷. Powtórzenie refreniczne nie tylko uzupełnia i komentuje pozostałą część tekstu, ale także samo przez jej „obecność” jest modelowane. Treść ulega swoistej „sedymantacji”: odkłada się pod powierzchnią refrenu, a ten „obmywa” to, co pomiędzy. Refreniczny powrót stanowi zatem z konieczności również przerwę, ponieważ chcąc powrócić, przerywamy to, co aktualnie czynimy/mówimy, aby powtórzyć/przywołać coś lub powrócić do tego, co względem teraźniejszości uprzednie.

Każdy refren, o ile nie współtworzy innej, większej części tekstu, jest bezsprzecznie samodzielną strofą i, co za tym idzie, ma – podobnie jak każda strofa – pewne cechy konstytutywne, m.in kształt wersowy, układ rymów, jedność kompozycyjną, intonacyjną i tematyczną¹⁸. Ale refren to zarazem wysoce nieprototypowy przykład strofy, bo duplikuje się niejako zupełnie, podczas gdy pozostałe strofy podlegają duplikacji tylko jako kształt prozodyjny (wers, metr, intonacja) przy każdorazowej zmianie treści. Ponadto refren często różnicuje się względem innych strof – np. liczbą i/lub długością wersów, metrum, rymowaniem. Może się to wydać paradoksem, skoro sama strofa (od gr. „*strofē*” – ‘odwracać, zginać, skręcać’¹⁹) oznacza powrót tego, co uprzednie (warto przypomnieć, że wywodzi się ona z triady „strofa – antystrofa – epoda”, w której kluczową rolę odgrywała organizacja metryczna i muzyczna, ale też funkcjonalność poszczególnych składników, ich odmienność)²⁰. Strofa jako taka jest przeto powrotem tożsamego metrycznie, tymczasem refren – jako hiponim – to powrót doprowadzony wręcz do absurdu, gdyż niezależnie od tego, czy refren jest formalnie tożsamy ze zwrotkami, powtarza on nie tylko formu-

¹⁵ Zabawną – choć nie błędną! – uwagę znajdziemy w XIX-wiecznej pracy, której autor dowodzi, że „refren śpiewają [...] zawsze ci liczniejsi uczestnicy [obrzędu religijnego], którzy pieśni samej albo wcale nie umieją wykonać, albo też nie tak pięknie” (M. Kawczyński, *Porównawcze badania nad rytmem i rytмами*. Cz. I: *Teoryja o pochodzeniu i o rozwoju rytmiczności*. „Pamiętnik Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydział Filologiczny i Historyczno-Filozoficzny” t. 4/6 (1880), s. 52).

¹⁶ Zob. G. Deleuze, *Różnica i powtórzenie*. Przeł. B. Banasiak, K. Matuszewski. Warszawa 1997, s. 57. Komentarze do tekstu – zob. J. Hartmann, *Heurystyka filozoficzna*. Toruń 2011, s. 240. – E. Wojciechowska, *Dialektyka doczytywania i dopowiadania, czyli romantyzm jako styl lektury*. W zb.: *Tradycja współcześnie – repetycja czy innowacja?* Red. A. Jarmuszkiewicz, J. Tabaszewska. Kraków 2012, s. 108.

¹⁷ Zob. B. Banasiak, *Róż-ni(c)łość*. W: J. Derrida, *O gramatologii*. Przedm., posł., przekł. B. Banasiak. Wyd. 2, rozszerz. Łódź 2011, s. 9–10.

¹⁸ Zob. M. Dłuska, *O strofie – preliminaria (na materiale polskim)*. W: *Poezja wierszem i prozą*. Kraków 2001. *Prace wybrane*. T. 3.

¹⁹ Zob. T. Krier, *Strophe*. Hasło w: *The Princeton Handbook of Poetic Terms*, wyd. 3, s. 346.

²⁰ Budowa metryczna i muzyczna strofy i antystrofy były identyczne, a zarazem odmienne od epody – zob. *ibidem*. Zob. też M. L. West, *Muzyka starożytnej Grecji*. Przeł. A. Maciejewska, M. Kaziński. Kraków 2003, s. 228. – O. M. Freudenberg, *Poetyka fabuły i gatunku. Realizacje światopoglądu pierwotnego: formy rytmiczno-słowne*. W: *Semantyka kultury*. Red. D. Ulicka. Wstęp W. Grajewski. Kraków 2005, s. 190–191 (przeł. A. Pomorski).

łą metryczno-melodyczną, lecz także swoje wypełnienie leksykalne, czego strofy nie będące refrenami nie czynią²¹.

To oczywiste: refren nie stanie się sobą, dopóki nie ulegnie iteracji – wszak gwarantem jego statusu jest właśnie iterowalność (nie wiemy, co jest refrenem, nim nie zaistnieje on po raz drugi)²². A jednak żadne powtórzenie nie może być wyłącznie powtórzeniem, bo stanowiąc repetycję i interrupcję, włącza się w relacje tekstualne jako każdorazowe *novum* tylko z tej przyczyny, że występuje w intratekstualnej przestrzeni po raz kolejny, ale w innym momencie (*scil.* nie tam, gdzie było uprzednio). To, co zawarte w postaci materialnej refrenu (*datum*), różnicuje się względem tego, co nie jest dane, lecz jedynie konstruowane (znaczenia). Syntaksa poetyckiej dykcji oddala się od jej semantyki.

Jednym z lepszych przykładów może tu być *Ocalony* Tadeusza Różewicza, gdzie dwakroć czytamy:

Mam dwadzieścia cztery lata
ocalałem
prowadzony na rzeź²³.

Nigdy wszakże nie czytamy tego samego, choć forma jest taka sama. Nie istnieje bowiem żaden „most” zdolny połączyć b a n a l n e (w tym znaczeniu, że każdy, kto ocalał, mógłby je wypowiedzieć) wyznanie z pierwszej strofoidy wiersza z jego zakończeniem, czyniącym owo „banalne” wyznanie czymś zgoła odmiennym (bo wypowiada je poeta-filozof Zagłady)²⁴. Nie istnieje między nimi znak równości, tylko znak podobieństwa. Także Mickiewiczowska opozycja „wysoko–głęboko”²⁵, z natury refreniczna, nie jest wyłącznie iteracją, bo jej składniki mają odmienne znaczenie w zależności od tego, w jakim miejscu ballady je spotykamy²⁶. Jak zauważa Derek Attridge: „To, co inne, może się pojawić tylko jako wersja tego, co znane”²⁷, a mniemam, że uwaga ta dotyczy również struktury poetyckiej.

To, co znane, może zaistnieć jedynie wówczas, gdy już uprzednio było czymś nowym. Mówiąc krótko, powtórzenie nigdy nie jest semantycznie tożsame, ponieważ przekształceniu ulega sytuacja, w jakiej ono zachodzi. Zmienia się kontekst, a to pociąga za sobą zmianę sensu tego, co właśnie wypowiedziane, czyli – w naszym wypadku – sensu refrenu²⁸. Kiedy bodziec pojawia się powtórnie lub po raz kolejny, dochodzi do synchronizacji dwóch wzorców: aktywności dawnej oraz wzbudzonej tu

²¹ Zob. Burt, *op. cit.*, s. 290.

²² Zob. D. Attridge, *Jednostkowość literatury*. Przeł. P. Mościcki. Kraków 2007, s. 112.

²³ T. Różewicz, *Ocalony*. W: *Poezje zebrane*. Wrocław 1971, s. 20.

²⁴ Jeśli przypomnieć sobie wypowiedzi T. Różewicza z tego okresu (np. *Przygotowanie do wieczoru autorskiego II: Do źródeł*. W: *Proza*. Wrocław 1973, s. 492 n.), można wręcz stwierdzić, że nie istnieje – jeszcze! – most zdolny połączyć przeszłość i teraźniejszość.

²⁵ A. Mickiewicz, *Lilije*. W: *Dzieła poetyckie*. T. 1: *Wiersze*. Oprac. Cz. Zgorzeński. Warszawa 1982, s. 79–90.

²⁶ Zob. R. Jakobson, *Poetyka w świetle językoznawstwa*. Przeł. K. Pomorska. „Pamiętnik Literacki” 1960, z. 2, s. 460–461.

²⁷ Attridge, *Jednostkowość literatury*, s. 112.

²⁸ Nieco odmienną sytuację spotykamy, gdy refren migruje między różnymi tekstami na zasadzie cytatu, jak zdarzało się w literaturze starofrancuskiej. W takich wypadkach pierwsze pojawienie

i teraz, dlatego też – zauważa w swej pracy o narracji Jan Kordys – „odtworzenie przeszłości możliwe jest tylko w odniesieniu do doświadczenia chwili obecnej, lecz właśnie przeszłość kieruje percepcją teraźniejszości oraz konstrukcją przyszłości”²⁹. W wypadku refrenów mowa oczywiście o stosunkowo prostych bodźcach zgromadzonych w pamięci roboczej, niemniej i tutaj to, co doświadczone aktualnie, oddziałuje na przeszłość – i odwrotnie. Są one niczym słynna, wielokrotnie powtarzana fraza „Wolałbym nie” kopisty Bartleby’ego z dzieła Hermana Melville’a³⁰. Wydaje się, że bohater wciąż mówi to samo, ale dla nas – słuchaczy lub czytelników – nie jest to tym samym, gdyż kolejne wypowiedzenia obudowane zostają tym, co miało już miejsce; za każdym razem wiemy więcej i nieco inaczej to rozumiemy. Dlatego też dany refren jest jednocześnie własnym cytatem i parafrazą.

2

Aby to zilustrować, posłużę się przekładem ballady, z której zaczerpnałem motto otwierające artykuł. Nosi ona tytuł *Herr Magnus og bjærgtrolden* bądź po prostu *Herr Mannelig*, a brzmi tak:

- [1] [Pewnej nocy, nim nadszedł świt,
Nim pierwsze ptaki zaśpiewały,
Do pięknego młodzieńca przyszła, by oddać rękę mu,
córką trolla, (obłudna)³¹ czarownica z gór.]
- [r] [„Herr Mannelig, Herr Mannelig, czy poślubisz mnie?
Ja za to, ja oddam ci wspaniałe dary.
Usłyszeć chcę od ciebie jedynie »tak« lub »nie«,
Jeśli chcesz mnie bądź nie”.]
- [2] „Dwanaście pięknych ja rumaków tobie dam,
które pasą się w gaju cieniastym.
Nie poznał jeszcze siodła żadnego konia grzbiet
ni pysk żaden nie gryzł wędzidła”.
- [3] „Dwanaście murowanych młynów tobie dam,
Które stoją od Tillo do Terno.
Ich żarna tak czerwone jak ognie piekła są,
Ich koła aż świecą od srebra”.
- [4] „Piękny miecz złożony ja tobie jeszcze dam –
w boju nigdy cię on nie zawiedzie.
Gdy piętnastu złotych pierścieni zabrzmi klang,
wróg ucieknie z pola w popłochu”.

się refrenu w danym tekście nie stanowi jego pierwszego wystąpienia w ogóle, lecz nadbudowywane jest na uprzedniej jego znajomości. Zob. Saltzstein, *op. cit.*, s. 8.

²⁹ J. Kordys, *Kategorie antropologiczne i tożsamość narracyjna. Szkice z pogranicza neurosemiotyki i historii kultury*. Kraków 2006, s. 150.

³⁰ H. Melville, *Kopista Bartleby. Historia z Wall Street*. Przeł. A. Szostkiewicz. Warszawa 2009.

³¹ Wersje ballady różnią się w szczegółach i w formie. Zob. opracowania H. Aminsona *Bidrag till Södermanlands äldre Kulturhistoria, på uppdrag af Södermanlands Fornminnesförening* (t. 1. Stockholm 1877; t. 3 (1882)).

- [5] „Dodam też koszulę tak białą niby śnieg,
co z zamorskich jedwabów jest tkana.
Nie znajdziesz drugiej takiej, choćbyś świat cały zszedł.
Tobie tylko ją ofiaruję”.
- [6] „Dary te królewskie chętnie przyjąłbym,
gdybyś była córką Kościoła,
Lecz tyś jest córką trolla, starego czarta z gór,
siostrą diabła, dziedziczką Necka”.
- [7] I w ciemność precz odeszła córka trolla z gór.
W mroku lasów cichła jej skarga:
[„Jeśli bym mogła rycerza za męża wziąć,
Ma udreka by się skończyła”.]
- [r₂] [„Herr Mannelig, Herr Mannelig, czy poślubisz mnie?
Ja za to, ja oddam ci wspaniałe dary,
Usłyszeć chcę od ciebie jedynie »tak« lub »nie«,
Jeśli chcesz mnie bądź nie”.]³²

Ballada opowiada o czarownicy, córce górskiego trolla, która przychodzi do zamku możnego (a w niektórych wersjach również młodego) pana, ponieważ chce, by ten ją poślubił. Obiecuje mu bogate dary, lecz on odmawia, gdyż trollica nie jest chrześcijanką. Bohaterka odchodzi i tak oto treść się kończy³³. Nie wiemy, dlaczego doszło do tego zdarzenia ani co dzieje się potem³⁴. Może huldra chce uniknąć śmierci i wiecznego potępienia, czyli „zdobyć” duszę (ballada byłaby więc apologią religii chrześcijańskiej)³⁵, może zaś – skoro w niektórych wersjach pan jest młody i piękny – nie ma tu motywacji eschatologicznej, a zaślubiny Herr Manneliga i trollicy wynikałyby raczej z romantycznej³⁶ chęci pogodzenia dziedzictwa pogańskiej kultury z nową religią lub współtworzą historię „ciemnej” miłości³⁷. Udreka bohaterki nie jest bliżej opisana. Niezależnie jednak od tego, czy działa tutaj siła uczucia, czy chłodna kalkulacja, próba mariażu kończy się fiaskiem. Trollica odchodzi tam, skąd przyszła. Jak interpretuje to Tomasz Konatkowski: „Odrzucony potwór wraca do swojego świata. Tam, gdzie musi zostać, wraz ze swoim cierpieniem i odrzuconą hojnością”³⁸. Warto dodać, że cała fabułka zawiera się w precyzyjnej ramie

³² *Herr Mannelig*. Przeł. J. Dobrzyński. Na stronie: <http://herrmannelig.com.pl/index.php/herr-mannelig> (data dostępu: 18 VI 2018). W nawiasach kwadratowych znajdują się fragmenty, które zmieniłem na podstawie przekładu anglojęzycznego dostępnego na stronie: https://en.wikipedia.org/wiki/Herr_Mannelig (data dostępu: 12 VI 2018).

³³ Zob. T. Konatkowski, *Wilcza wyspa*. Warszawa 2008. Na stronie: <https://books.google.pl> (data dostępu: 23 VI 2018).

³⁴ D. Dugaw (*Ballad*. Hasło w: *The Princeton Handbook of Poetic Terms*, wyd. 3, s. 21) uważa, że wrzucanie czytelnika *in medias res* stanowi cechę ballady jako gatunku.

³⁵ Jak twierdził Paracelsus, bóstwa tego rodzaju (np. nimfy) nie mają duszy i pożądamy jej, żeby zdobyć nieśmiertelność. Zob. *Dictionary of Literary Themes and Motifs*. Ed. J.-Ch. Seigneuret. T. 1. Westport, Conn. – London 1988, s. 170.

³⁶ Ballada została spisana i opublikowana w drugiej połowie XIX wieku.

³⁷ Na temat miłości ludowej jako siły fatalnej w balladach zob. P. Pietrych, *Bolesława Leśmiana „Strój” – ballada (o) niejasności*. „Pamiętnik Literacki” 2001, z. 1, s. 60.

³⁸ Konatkowski, *loc. cit.*

czasowej: zaczyna się w nocy, przed świtem („Pewnej nocy, nim nadszedł świt”) i kończy się przed nastaniem dnia („I w ciemność precz odeszła córka trolla z gór”). Konstytuuje to opozycję eschatologiczną nocy (pogaństwa) i dnia (chrześcijaństwa), podkreślając granicę i zarazem tworząc opozycyjny układ, w którym dobro (Herr Mannelig) nie może istnieć tak jak zło (huldra).

Zauważmy, że we wspomnianej balladzie refren jako taki pojawia się dopiero po odejściu bohaterki, kiedy jej los jest już przesądzony. Choć teoretycznie mógłby się znaleźć w dowolnym miejscu, nawet po każdej ze strof (nie ma bowiem reguły nakazującej umieścić powtórzenie w takim czy innym miejscu), w aktualizacji tekstu pojawia się tylko raz: na końcu. Jak sądzę, nie dzieje się tak przez przypadek³⁹. W innej wersji ballady, znanej jako *Bergatrollets frieri*, refren następuje po każdej zwrotce. Z mojej perspektywy występowanie refrenu w wybranych miejscach kompozycji balladowej nie ma jednak większego znaczenia, gdyż nie piszę o oralno-formulicznej morfologii tekstów należących do tego gatunku⁴⁰, ale o refrenie jako takim. Zresztą gdyby pojawiał się on częściej, również nie miałoby to dużej wagi dla prowadzonych tu analiz. Sądzę jednak, że – podobnie jak w wypadku słynnego *Ströju* Bolesława Leśmiana⁴¹ – taki „klamrowy” układ refrenów jest tekstualnie najlepszy i najbardziej efektywny.

Za pierwszym razem narrator tylko oddaje głos trollicy i wcale jeszcze nie pozwala nam sądzić, że to właśnie fraza „Herr Mannelig, Herr Mannelig...” stanie się tym, co ulegnie refrenicznej repetycji. Trollica adresuje swą wypowiedź wprost do wybranka (interlokutora, adresata wewnętrznego), choć nie można zaprzeczyć, że zarazem zwraca się do nas (słuchaczy, adresatów zewnętrznych). Sens istnienia literatury zawiera bowiem element „podśluchiwania” czegoś, co w tekstualnej, wytworzonej rzeczywistości nie jest skierowane bezpośrednio do nas. Tymczasem pod koniec ballady bohaterka nie mówi już do Herr Manneliga, gdyż – jak wiemy – nie ma go z nią. Bez trudu zatem można skonstatować fabularną bezsensowność takiego zabiegu: odchodząca samotna huldra nie musi zwracać się do niedoszedłego kochanka, gdyż nie ma go tam! Jest to jednak bezsens tylko pozorny, a to dlatego, że nie zwraca się ona do niego. Mówi do siebie i do nas – słuchaczy.

Jeśli już wspomniany został Leśmian, nie sposób uciec od słów, jakie na marginesie lektury przywołanego wiersza zanotował Ryszard Nycz:

[Interpretant] odwołuje się z konieczności do czytelniczego „przedrozumienia”; do kompetencji językowo-kulturowej [...]; do znajomości właściwego kodu odbioru [...]. Nie można wszakże odczytywać tekstu bez pośrednictwa jakiegoś już poznanego wzorca, przyswojonego kodu czy kontekstowego układu odniesienia; rozpoznajemy coś – jak wiadomo – o ile wiemy lub spodziewamy się, co możemy zobaczyć⁴².

Jeżeli jednak autorowi *Sylw współczesnych* chodzi przede wszystkim o to, że

³⁹ Zob. Aminson, *op. cit.*, t. 1, s. 21–23; t. 3, s. 34–36.

⁴⁰ Na ten temat zob. *Ballad*. Hasło w: *A Glossary of Literary Terms*. Wyd. 10. Ed. M. H. Abrams, G. Harpham. Boston, Mass., 2012, s. 23. – Dugaw: *op. cit.*, s. 20–24; *Ballad meter, hymn meter*. Hasło w: *The Princeton Handbook of Poetic Terms*, wyd. 3, s. 25–26.

⁴¹ B. Leśmian, *Strój*. W: *Poezje*. Wybór, układ M. Baranowska. Kraków 1998, s. 100–102.

⁴² R. Nycz, *Tekstowy świat. Poststrukturalizm a wiedza o literaturze*. Wyd. 2. Kraków 2000, s. 135–136. Podkreśl. A. S. M.

w odczytaniach Leśmianowskiego *Stroju* są co najmniej dwa „plany” interpretacyjne – ludowy i gnostycki⁴³, to konstatację o konieczności istnienia pośredniczącego, uprzedniego wzorca zapewne można rozumieć nieco bardziej dosłownie: jako konieczność zaistnienia protorefrenu warunkującą zjawisko refrenicznego powtórzenia. Podobne spostrzeżenia czynią lingwiści, gdy piszą, że słowo w tekście artystycznym „często nabiera pełnego znaczenia stopniowo, w obrębie całego utworu, w pełnym otoczeniu semantycznym”⁴⁴, oraz badacze wersyfikacji, którzy trafnie zauważają, że wersy rozpoznajemy jako takie dzięki istnieniu powtarzalności wewnątrz tekstu bądź dzięki przywoływanemu z pamięci „modelowi” (czy – jak powiedzielibyśmy dziś – mentalnemu wzorcowi wersu)⁴⁵. Wszystkie te stanowiska, choć ich autorzy i autorki patrzą na literaturę z odmiennych perspektyw badawczych, dają się sprowadzić do wspólnego mianownika: to, co rozpoznawalne, wymaga zaistnienia wcześniejszego archetypu, a ten ze swej natury nie jest pełnoznaczny. Wobec tego – niezależnie od umieszczenia refrenu w tej czy innej pozycji, np. po pierwszej zwrotce, przed nią, po każdej ze zwrotek lub między zwrotkami piątą i szóstą – żaden z nich, poza ostatnim, nie jest kompletny znaczeniowo. Tylko ostatnie powtórzenie, abstrahując od tego, ile było ich wcześniej (choćby i 500!)⁴⁶, jest pełne, finalne, ostateczne. Zauważmy, że wersja ballady opublikowana w roku 1877 zawiera się jedynie w 7 strofach, późniejsza zaś w 12, a każda ma refren (choć w wariacie dłuższym jego ostatnia wersja nieco się różni)⁴⁷, co oznacza następujący kształt (przytaczam w oryginale ze względu na brak tłumaczenia; nie jest ono zresztą potrzebne, by zrozumieć, w czym rzecz):

*Bittida en morgon innan solen upprann
Innan foglarna började sjunga
Bergatrollet friade till fager ungersven
Hon hade en falskeliger tunga
Herr Mannelig herr Mannelig trolofven i mig
För det jag hjuder så gärna
I kunnen väl svara endast ja eller nej
Om I viljen eller ej:*

Daje to w sumie od 7 do 12 (a nawet i 13, jeśli liczyć, że przed pierwszą zwrotką też może on być wykonany lub w zakończeniu powtórzony) repetycji, z których każda ma odmienną semantykę. Oto dlaczego tak się dzieje: najpierw trollica zjawia się o świcie i mówi „czułym głosem” bądź „*mit en falskeliger tunga*”, później dowia-

⁴³ Nieco inną interpretację utworu Leśmiana proponuje Pietrych (*op. cit.*, s. 53–55, 58–63), który rozbudowuje perspektywę ludową i uzupełnia ją erotyczną czy nawet erotyczno-traumatyczną.

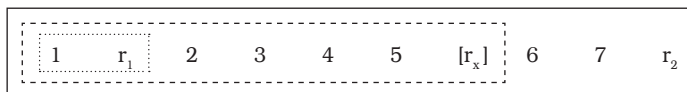
⁴⁴ D. Filar, *Tekst artystyczny: ramy interpretacyjne, semantyka słowa*. W zb.: *Semantyka tekstu artystycznego*. Red. A. Pajdzińska, R. Tokarski. Lublin 2001, s. 279.

⁴⁵ M. Dłuska, Wiersz. W: *Odmiany i dzieje wiersza polskiego*. Kraków 2001, s. 6–8. *Prace wybrane*. T. 1.

⁴⁶ Powtórzenia redundantne są w ogóle istotnym składnikiem oralnego stylu ballady, a umieszczenie refrenu tylko w początkowej partii i w zakończeniu świadczy o jej literackim opracowaniu. Zauważmy, że ballada Leśmiana ma jedynie „ramowy” refren, ale jej popularne wykonanie (M. Ku morek, *Śmierć*, 2014) już nie tylko. Ballada romantyczna i poromantyczna właściwie pozbawione są refrenów – zob. Dugaw, *Ballad*, s. 21.

⁴⁷ Zob. Aminson, *op. cit.*, t. 3, s. 36.

dujemy się o kolejnych darach (zależnie od wersji bywają one różne), dalej następuje odmowa, a w końcu odejście bohaterki. Za każdym razem więc wyznanie i pytanie huldry skierowane do wybranka oświetlone jest odmiennie – i inna musi być rama interpretacyjna. Co bowiem znaczy pytanie „Czy poślubisz mnie?“, zasłyszane za pierwszym razem, nocą, z ust nieznanej i w domniemaniu mrocznej siły, a co wtedy, gdy jako rękojmia i gratyfikacja obiecane zostaną kolejne dary niebagatelnej wartości? Z całą pewnością coś innego! Tym silniej widzimy więc przemianę zachodzącą między pierwszym pytaniem i po odmownej odpowiedzi, lecz jeszcze przed odejściem (nawiażuję tu do wersji wielorefrenowej). Podobnie fraza „Usłyszeć chcę od ciebie jedynie »tak« lub »nie«” brzmi zupełnie inaczej, kiedy pytanie pada po raz pierwszy, niż kiedy poszczególne dary zostaną już zaoferowane, a jeszcze inaczej w momencie, gdy znamy przeczącą odpowiedź. Zasięg retrospektywnego oddziaływania poszczególnych refrenów obrazuje następujący schemat.



Każdy refren jest zatem inny, lecz dopiero ten finalny, wygłosowy uzyskuje tekstualną pełnię semantyczną, pełną samoświadomość. Kolejne wystąpienia refrenu wzbogacają odczytanie o nowe denotacje, konotacje i asocjacje modulujące jego sens; aż dochodzimy do momentu, gdy, z jednej strony, otwiera się retrospektywnie na cały tekst, a z drugiej – wiemy, że już nic więcej się w nim nie wydarzy⁴⁸.

W znanej powieści Charlotte Brontë znajdujemy sytuację, gdy czytająca balladę bohaterka umyślnie różnicuje aktualizację refrenu względem wcześniejszych wykonani, nadając mu odmienne od pozostałych znaczenie; śpiewa go wolniej i ciszej, pokazując, że w jej przekonaniu ma on inną wagę emocjonalną niż wcześniejsze⁴⁹. Już sama zmiana tempa wypowiedzania lub śpiewania danego refrenu jest różnicą, bo z założenia każde powtórzenie refreniczne winno być prozodycznie i melodycznie tożsame, natomiast wynikający z niej odmienny koloryt emocjonalny świadczy o wpływie czynników afektywnych na decyzję wykonawczą⁵⁰. Oczywiście nie mówimy o cesze tekstu, tylko o cesze jego aktualizacji (będącej wszakże znakiem dyskretnego zmiany w samym materiale), lecz – jak starałem się pokazać – i bez takich „zewnętrznych” znaków materia refrenu różnicuje się względem samej siebie.

Jeśli chcemy zrozumieć, dlaczego refren – pozostając tożsamym – różnicuje się względem swojej materialnej postaci, musimy pamiętać, że stanowi on jednocześnie: 1) pewną całość kompozycyjną, prozodyjną (wers, strofa); 2) strukturę melodyczną; 3) wypowiedzenie lub grupę wypowiedzeń; wreszcie – 4) znaczenie tego wypowiedzenia lub grupy wypowiedzeń. A zatem tym, co ulega zróżnicowaniu w kolejnych

⁴⁸ Warto odnotować ogólną uwagę na temat teleologii liryki zawartą w pracy J. Trznadla *Ewolucja liryki* (w zb.: *Problemy teorii literatury*. Red. H. Markiewicz. Seria 1. Wyd. 2, poszerz. Wrocław 1987, s. 171).

⁴⁹ Ch. Brontë, *Jane Eyre*. New York 1864, s. 19.

⁵⁰ Zob. interesujące obserwacje empiryczne w nowej pracy A. Wagner *Rytm w mowie i języku w ujęciu wielowymiarowym* (Warszawa 2017).

iteracjach, nie jest ani forma melodyczna, ani wersowa (prozodyjna), ani w końcu leksykalno-składniowa, lecz semantyka danego wypowiedzenia lub grupy wypowiedzi wynikająca z intra- i intertekstualnych relacji, które wytworzone zostają w procesie odczytania tekstu jako całości. Istota samoróżnicującego działania refrenu – a więc istnienia refrenu w ogóle – polega wobec tego na wytwarzaniu się interpretacyjnie znaczącej luki między poetycką składnią a semantyką.

Przedstawione rozważania na temat refrenu poetyckiego opierają się na lekturze tekstu, który może się wydawać niezbyt typowym utworem poetyckim. Niemniej wybór nie jest przypadkowy ani arbitralny. Ballada należy bowiem do tzw. gatunków długowiecznych i choć niektórzy badacze skłonni są sądzić, jakoby jej korzenie sięgały samych początków istnienia literatury, powstanie ballady jako gatunku usytuować można w późnym średniowieczu⁵¹. Ów gatunek sięga jednak daleko wstecz nie tylko treścią, lecz także formą, wywodzącą się – jak pokazują liczne opracowania – z pieśni korowodowych⁵² oraz wielorako powiązaną z hymnodą łacińską⁵³ i z wszelkimi przedliterackimi narracjami pieśniowymi. Ballada ludowa, na nowo odkryta przez romantyków, stanowi obok powieści poetyckiej, romansu itp. istotny element rozwoju „wszelkiej fikcji narracyjnej”⁵⁴. Będąc nie tylko łącznikiem między „dawnymi i nowymi laty”, ale również ważnym składnikiem nowoczesnej świadomości literackiej, akumuluje rozmaite tradycje i nurty rozwojowe literatury (przedchrześcijańskie, ludowe, romantyczne itd.)⁵⁵.

W tym kontekście materiał balladowy jawi się jako idealny dla omówienia ontologii refrenu poetyckiego. Ten bowiem, choć istniał już w literaturach najdawniejszych, na dobre związał się z literaturą europejską w średniowieczu (podobnie jak ballada). Nie dość, że jest to typ poezji występujący właściwie w każdej z literatur naszego kontynentu i towarzyszy nam od setek, jeśli nie tysięcy lat, łącząc elementy wszystkich rodzajów literackich, jest zarazem nośnikiem dawniejszych, przedliterackich tradycji i motywów. Geneza refrenu łączy się z okresem w dziejach sztuki słowa, gdy nieustanne powtarzanie *verbatim* było wręcz nieodzowne i często warunkowało możliwość istnienia i przenoszenia treści zawartego w utworze doświadczenia. Samo zaś powtarzanie, (po)wracanie, stało się na tyle istotnym czynnikiem kształtującym tożsamość sztuki poetyckiej, że aż do XIX wieku włącznie zdefiniowało to, jak rozu-

⁵¹ Zob. L. Suchanek, *Zapożyczenie i adaptacja a dzieje gatunku literackiego. Na materiale rosyjskiej ballady romantycznej*. „Studia Russica Posnaniensa” t. 19 (1988), s. 3. – Dugaw, *Ballad meter, hymn meter*, s. 25.

⁵² Termin „ballada” pierwotnie oznaczał ludową pieśń taneczną. Zob. J. Jagiełło, *Polska ballada ludowa*. Wrocław 1975, s. 7. – Freudenberg, *loc. cit.*

⁵³ Dugaw, *Ballad meter, hymn meter*, s. 25. W grece jako *epihymnion*, a w łacinie jako *ephymnium* określano w poezji antycznej refren pieśni chóralnych – zob. Głowiński, Kostkiewiczowa, Okopień-Sławińska, Sławiński, *op. cit.*, s. 121.

⁵⁴ Parafraza określenia H. Markiewicza – cyt. za: P. Bohuszewicz, *Od „romansu” do powieści. Studia o polskiej literaturze narracyjnej (druga połowa XVII wieku – pierwsza połowa XIX wieku)*. Toruń 2016, s. 15.

⁵⁵ Wspomnieć tu mogę choćby M. Białoszewskiego *Balladę o zejściu do sklepu* (w: *Obroty rzeczy. – Rachunek zachciankowy. – Mylne wzruszenia. – Było i było*. Wyd. 2. Warszawa 2016. *Utwory zebrane*. T. 1).

miemy to, co literaturą piękną (*scil.* poezja) jest, a co nie, tj. nieustanne powtarzanie się mikroskładników utworu – układów metrycznych, wersów i strof.

Dziś istnienie takich kognitywnych matryc doświadczenia nie jest już konieczne, gdyż wynaleźliśmy rozmaite sposoby efektywnego i skutecznego przenoszenia oraz przechowywania treści; i stąd może nasze – wyrażane pośrednio, poprzez literaturę, jaką tworzymy i czytamy – przekonanie, jakoby powtórzenia w postaci refrenów były wyłącznie ładnym, lecz niekoniecznie użytecznym ozdobnikiem. Być może jednak zawarte w niniejszej pracy obserwacje o naturze refrenu pozwolą nieco łaskawiej spojrzeć na ten fenomen literacki i jego znaczenie jako składnika doświadczenia lekturowego, a także na samo zjawisko repetycji, będące zawsze czymś więcej niż tylko mechanicznym powtórzeniem.

Artykuł ten nie stanowi, rzecz jasna, monografii refrenu, lecz zaledwie próbę zrekapitulowania i przypomnienia tego, co w jego naturze jest niezmiernie istotne, a nie zostało – jak się wydaje – dość wyraźnie przedstawione w dotychczasowych pracach.

Abstract

ARKADIUSZ SYLWESTER MASTALSKI Private Academic Centre of Education Schools,
Cracow

ORCID: 0000-0003-4418-9370

ON THE NATURE OF THE POETIC REFRAIN

The paper reflects upon the nature of the poetic refrain, which in common understanding is mainly a repetition. The author of the paper is convinced that the refrain is not only a repetition or a return, but first and foremost a form of identity that is not identical. To illustrate the thesis, the author recalls and discusses one of common Scandinavian ballads and demonstrates that the semantics of refrain changes as the text develops.

JOANNA PIECHURA Uniwersytet Warszawski

O DWUJĘZYCZNYM ARCHIWUM JANA BRZĘKOWSKIEGO W PERSPEKTYWIE GENETYCZNEJ

Dwa archiwa w świetle *genetic translation studies*

Polsko-francuska spuścizna Jana Brzękowskiego znajduje się w zbiorach dwóch instytucji: warszawskiego Muzeum Literatury i Biblioteki Polskiej w Paryżu¹. Materiały, o których mowa, wciąż pozostają nieopracowane, a w przypadku archiwum warszawskiego katalog nadal ma status roboczego, choć papiery trafiły do ML w 1983 roku – tuż przed śmiercią Brzękowskiego. Pokróćce opiszę więc zawartość tych zbiorów, by przedstawić stan spuścizny poety i zarysować własny projekt odczytania jego autografów w świetle *genetic translation studies* (dalej skrót: GTS), czyli translatoryki genetycznej²: nurtu krytyki genetycznej, który ugruntował się jako odrębny obszar badawczy zaledwie kilka lat temu³. Krytyka genetyczna jest sprzężona z przekładoznawstwem od 1990 roku, kiedy to utwory Paula Valéry'ego trafiły do Instytutu Tekstów i Rękopisów Współczesnych, a Elmar Tophoven zajął się tłumaczeniem spuścizny Samuela Becketta. Jednak dopiero artykuł o translatoryce genetycznej autorstwa francuskich badaczy Chiary Montini i Anthony'ego Cordingleya, opublikowany w 2015 roku, przyjmuje się za założycielski dla owej dyscypliny. Z kolei pierwsza książka zbiorowa w całości poświęcona tej metodologii, monografia *Genetic Translation Studies*, ukazała się – o czym już była mowa –

¹ W artykule stosuję następujące skróty odnoszące się do najczęściej przywoływanych instytucji: BP = Biblioteka Polska w Paryżu. – ML = Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie.

² Jednym z nielicznych artykułów, które poruszają zagadnienie translatoryki genetycznej w kręgu literatury polskiej, jest tekst E. Kołodziejczyk: *Czesław Miłosz's Genetic Dossier in the Polish Translations of „Negro Spirituals”*, zamieszczony w monografii zbiorowej *Genetic Translation Studies. Conflict and Collaboration in Liminal Spaces* (Ed. A. Nunes, J. Moura, M. Pacheco Pinto. London 2020), wydanej przez „Bloomsbury” w październiku 2020. Translatoryka genetyczna jest pochodną *descriptive translation studies*, rzuca światło na przydatność krytyki genetycznej w pracy nad przekładem. Jako dyscyplina zaczęła kształtować się w drugiej dekadzie XXI wieku. Co ważne, badacze GTS najczęściej zajmują się poezją w ujęciu antropologicznym, tłumaczeniami autorskimi i pisarzami dwujęzycznymi, a wszystkie te kwestie są wyjątkowo istotne w kontekście dwujęzycznego dorobku Brzękowskiego. Zob. „Variants” 2012, nr 9. – „Genesis” 2014, nr 38. – A. Nunes, J. Moura, M. Pacheco Pinto, *What is Genetic Translation Studies Good For?* W zb.: *Genetic Translation Studies*.

³ A. Cordingley i Ch. Montini (*Genetic Translation Studies: An Emerging Discipline*, „Linguistica Antverpiensia, New Series: Themes in Translation Studies” 2015, nr 14) ogłosili zwrot genetyczny w badaniach nad przekładem w 2015 roku.

w październiku 2020. Narzędzia, jakie oferuje translatoryka genetyczna, wydają się obiecujące w przypadku Brzękowskiego, ponieważ brudnopisy autorskich przekładów na język francuski stanowią załączek jego dwujęzycznej twórczości: pięć francuskojęzycznych tomów poetyckich, opublikowanych w latach 1937–1973, powstało przede wszystkim dzięki temu, że w początkowym okresie pobytu na emigracji Brzękowski wprawiał się w tłumaczeniu własnych wierszy na język francuski, a na łamach dwujęzycznego rocznika „L’Art Contemporain / Sztuka Współczesna”, redagowanego wraz z Wandą Chodasiewicz-Grabowską, przekładał również artykuły publicystyczne i poezję innych pisarzy.

Badacze związani z GTS zakładają, że „przed-teksty” i „post-teksty” są nie mniej ważne dla odczytania tzw. tekstu stabilnego niż warunki przygotowane przez inne podmiotowości biorące udział w procesie kreowania i publikowania. Dlatego też skupiają się na przestrzeni granicznej, jaką jest „próg aktu twórczego”, którego materialny aspekt współtworzą teksty wyprodukowane przez autorów, tłumaczy, agentów, wydawców czy redaktorów⁴. Jeśli chodzi o dorobek Brzękowskiego, istotne okazuje się więc podkreślenie rangi Genette’owskiego perytekstu w badaniach nad przekładem: na genetyczne *dossier* utworu składają się nie tylko bruliony autoprzekładów czy kolejne wersje tekstu pisanego w języku macierzystym, lecz także prace autobiograficzne, pamiętniki bądź też uwagi autora dotyczące genezy przetłumaczonego dzieła⁵. Cordingley i Montini nazywają tę część *dossier* dzieła głównego właśnie „post-tekstami” – i w opozycji do klasyfikacji Pierre’a-Marca de Biasiego zaliczają je do endogenetycznej części *dossier*⁶. Co więcej, zdaniem redaktorek tomu *Genetic Translation Studies*, do *dossier* przekładu należy przyporządkować również *dossier* oryginału. Dzięki takiemu ujęciu genetyka autoprzekładów Brzękowskiego obejmowałaby chociażby bruliony wierszy polskojęzycznych oraz *W Krakowie i w Paryżu. Wspomnienia i szkice* wydane w 1968 roku.

Archiwa tego autora są szczególnie cenne nie tylko dlatego, że zbadanie ich pozwoli sformułować wnioski o „zaprawianiu się” polskiego poety w dwujęzyczności, wnioski wybiegające daleko poza ramy pojedynczych przełożonych utworów, lecz także dlatego, że mało kto pamięta o działalności Brzękowskiego jako tłumacza i animatora kultury polskiej w Paryżu⁷. Ważne z tej perspektywy są chociażby brudnopisy odczytów, które poeta wygłaszał z okazji jubileuszy i innych wydarzeń literackich we Francji. Większość zachowanych tekstów tego rodzaju stanowi próbę systematyzacji rozwoju polskiej awangardy na potrzeby odbiorcy francuskiego, a w znanych nam wariantach widać poprawki i uproszczenia, które pomagają zrozumieć, jak Brzękowski postrzegał związki między nową sztuką w Polsce i we Francji oraz jak dostosowywał wywód historycznoliteracki do obcojęzycznych odbiorców.

⁴ Nunes, Moura, Pacheco Pinto, *op. cit.*, s. 9.

⁵ Zob. *ibidem*, s. 2.

⁶ W polemice z P.-M. de Biasim powołują się też na klasyfikację D. Van Hullego, który wydzielił nano-, mikro-, makro- i megagenetykę tekstu (*Genetic Criticism: Tracing Creativity in Literature*, Oxford 2022, s. 173).

⁷ Brzękowski w Paryżu współpracował z Polską Agencją Telegraficzną i BP, był także *attaché* prasowym w ambasadzie polskiej.

Analogicznie do Samuela Becketta, Władimira Nabokowa czy Josifa Brodskiego był Brzękowski pisarzem biegle posługującym się co najmniej dwoma językami; tłumaczył z języka macierzystego i tworzył w języku L_2 , ponadto zaś czynnie uczestniczył w kulturze L_2 . Polski poeta tym różnił się od wymienionych autorów, często badanych w studiach nad przekładem autorskim i dwujęzycznością, iż obcojęzyczną działalność rozwijał poprzez tłumaczenie własnych tekstów; jednocześnie nauczył się zręcznie unikać poetyki języka macierzystego, gdy pisał po francusku. Podobnie jak Beckett – Brzękowski uważał, że każdy tekst musi mieć swój język, i krytykował raczej oryginał źle brzmiący w języku docelowym niż niewierność przekładu wobec oryginału⁸. Stosunek Brzękowskiego do tłumaczeń autorskich charakteryzował się wyjątkową samoświadomością, gdyż poeta od początku swojej działalności literackiej we Francji czuł konieczność dostosowania twórczości francuskojęzycznej do potrzeb tamtejszych odbiorców⁹. Brudnopisy tych tłumaczeń zachowane w ML składają się na ciekawy materiał porównawczy, pozwalają bowiem uchwycić dwuznaczny, performatywny status poety wobec francuskiej sceny literackiej, a przede wszystkim – artystów związanych z surrealizmem.

Autografy Brzękowskiego nie były, jak dotąd, przedmiotem analizy genetycznej. Wyjątek stanowią badania Iwony Boruszkowskiej i Aleksandra Wójtowicza nad odnalezionymi maszynopisami *Czarnego Paryża*, powieści popularnej z 1932 roku, stworzonej we współpracy z dziennikarką Jolantą Fuchsówną. Autorzy tak uzasadniają wykorzystanie krytyki genetycznej:

Zachowane maszynopisy powieści pozwalają na prześledzenie ostatnich etapów jej powstawania. Zawierają interesujący materiał analityczny, z którego można wyczytać sporo informacji na temat kompozycyjnego i koncepcyjnego domykania utworu, którego kształt miał być podporządkowany regułom wyznaczającym ramy popularnego wówczas gatunku¹⁰.

Badacze szczęśliwie zakupili maszynopisy w 2019 roku na aukcji antykwarycznej w Krakowie. Dzięki znalezisku powstały trzy artykuły o nich i o poetyce owej powieści¹¹, lecz Boruszkowska i Wójtowicz nie powiązali brulionów z archiwami Brzękowskiego i ograniczyli swoje rozważania do wątku genologicznego w kontekście pojedynczego utworu. Odnalezienie maszynopisów jest natomiast sprawą przełomową z tego względu, że dało początek pierwszym badaniom genetycznym nad twórczością Brzękowskiego.

⁸ Zob. R. Seaver, *Richard Seaver on Translating Beckett*. W zb.: *Beckett Remembering, Remembering Beckett. Uncollected Interviews with Samuel Beckett and Memories of Those Who Knew Him*. Ed. J. Knowlson, E. Knowlson. London 2006, s. 105.

⁹ Pod tym względem można by porównać załączki działalności francuskojęzycznej Brzękowskiego do losów rosyjskiej przeróbki powieści *Pałac Paryż* B. Jasieńskiego. Zob. E. Balcerzan, *Tłumaczenie autorskie. Drugie palenie Paryża*. W: *Literatura z literatury. (Strategie tłumaczy)*. Katowice 1998.

¹⁰ I. Boruszkowska, A. Wójtowicz, *Zapomniana powieść Joli Fuchsówny i Jana Brzękowskiego, albo o Dwóch maszynopisach międzywojennej powieści kryminalnej „Czarny Paryż”*. „Ruch Literacki” 2018, z. 5, s. 601.

¹¹ Oprócz przywoływanego już artykułu Boruszkowskiej i Wójtowicza (op. cit.) są to: A. Wójtowicz, „Czarny Paryż” – nieznaną powieść Jana Brzękowskiego i Jolanty Fuchsówny. „Pamiętnik Literacki” 2015, z. 4. – I. Boruszkowska, A. Wójtowicz, *Maszynopis w dobie „kultury przemysłowej”. O dwóch wersjach „Czarnego Paryża” Jolanty Fuchsówny i Jana Brzękowskiego*. „Sztuka Edycji” 2019, nr 2.

Jak wspomina w swoim artykule Paweł Bem:

Krytyka genetyczna zajmuje się czasem. Jest spekulacją na temat temporalnego przebiegu tworzenia. Bada dokumenty materialne, ale jej (postulowana) stawką jest uchwycenie, opisanie – a w pracach najbardziej ambitnych także zdefiniowanie – wydarzenia niematerialnego¹².

Tym „wydarzeniem niematerialnym” w przypadku wczesnych tłumaczeń poetyckich Brzękowskiego będzie więc nie tylko proces adaptacji kulturowej, którą przeszedł pisarz publikujący pierwsze wiersze w języku nabytym, ale także ewolucja światopoglądowa teoretyka, publicysty i poety, zaczynającego pod skrzydłami Tadeusza Peipera, a kończącego na metarealizmie¹³, niejako po drodze budującego zadziwiająco bogaty zbiór artykułów dotyczących francuskiego życia społecznego, kryzysów gospodarczych lat trzydziestych XX wieku czy rozwoju światowej branży filmowej. Temporalny aspekt tych przemian jest możliwy do prześledzenia dzięki zestawieniu „przed-” i „post-tekstów” tworzących system wariantów konkretnego dzieła, którego zrekonstruowanie stanowi najważniejsze zadanie genetyki. Co więcej, zainteresowanie Brzękowskiego-teoretyka toposem czasu, publikacja słynnego *Życia w czasie* (1963) i nacisk, jaki pisarz kładł w swojej twórczości na czasowość dojrzewania jednostki (stąd np. odejście od psychologizmu na rzecz poetyki czerpiącej z dyskursów nauk ścisłych), sprawiają, że metodologia krytyki genetycznej w dosłownym sensie koresponduje z procesualnością autorskiej doktryny poetyckiej Brzękowskiego. Jako nurt badawczy ukierunkowany na czasoprzestrzenne aspekty powstawania dzieła¹⁴ zdaje się odpowiadać głębokiej strukturze poetyki jego utworów.

Archiwa polsko-francuskie zostały po raz pierwszy opisane w jedynej monografii Brzękowskiego autorstwa Urszuli Klatki, *Wyobrażenia w czasie*, która dotyczy w głównej mierze jego dorobku poetyckiego¹⁵. Klatka stworzyła syntetyczne omówienie poezji polsko- i francuskojęzycznej Brzękowskiego, a zasługą badaczki jest uwzględnienie tekstów wierszy francuskojęzycznych, których nie wydano po polsku. Niemniej książka stanowi jednak szeroko zakrojoną analizę motywów i tematów, kładącą nacisk na toposy czasu i wyobraźni poetyckiej, i z tego powodu należy traktować ją wyłącznie jako wstęp do problemowego zarysu dwujęzycznej literatury Brzękowskiego. Dziś jego papiery są lepiej skatalogowane, mimo że wciąż znajdują się w opracowaniu. Możliwy jest też dostęp do wszystkich materiałów zebranych w ML i BP, co znacznie ułatwia badanie dwujęzyczności poety i jego działalności redaktorsko-przekładowej.

Rękopisy i maszynopisy przechowywane w Warszawie są w dobrym stanie,

¹² P. Bem, *Ton manuskryptu. Literatura – edycja – życie*. „Forum Poetyki” 2020, nr 21, s. 9.

¹³ Zob. J. Tuszewski, *Z Paryża do Krakowa po latach, czyli życie w czasie poety Jana Brzękowskiego*. „Hybryda” 2012, nr 20.

¹⁴ Zob. M. Antoniuk, „Kosmos” wzywa polską krytykę genetyczną! „Pamiętnik Literacki” 2020, z. 4, s. 94, przypis 5: „Tendencja, dająca się określić mianem »poststrukturalistycznej« (w znaczeniu: będącej już krytyczną rewizją zastanego, twardego paradygmatu strukturalistycznego), a od samego początku napędzająca projekt krytyki genetycznej, było (i nadal jest) przesunięcie uwagi z synchronii struktury na diachronię procesu strukturyzowania, przejście od wyobraźni spacialnej do temporalnej”.

¹⁵ U. Klatka, *Wyobrażenia w czasie. O poezji Jana Brzękowskiego*. Kraków 2012.

znajdują się w kilkudziesięciu zwięźle opisanych kartonowych teczkach, niekiedy opatrzonych tłumaczeniami fragmentów zawartości na język polski. Oprócz brudnopisów polskojęzycznych w ML zgromadzono przede wszystkim autoprzekłady Brzękowskiego na język francuski oraz brudnopisy francuskojęzycznych opowiadań, poezji i odczytów, które powstawały na przestrzeni kilkudziesięciu lat. W Warszawie można też obejrzeć polskojęzyczne *inedita*, wiersze publikowane w prasie, bruliony krótkich form prozatorskich i kilku powieści. W ML przechowuje się również maszynopisy słynnego londyńskiego cyklu zatytułowanego *Rozmowy z Sobowtorem*, szkice teoretycznoliterackie, bruliony słuchowiska i scenopisu, a także pokazną kolekcję listów Brzękowskiego do Danuty i Jana Józefa Szczepańskich, Danuty i Juliana Przybosiów czy Krystyny i Czesława Bednarczyków. Prócz tego w warszawskim archiwum znajdują się prywatne dokumenty Brzękowskiego i niezwykle cenne wycinki prasowe z artykułami poety o tematyce literackiej i polityczno-społecznej. Uwagę zwraca fakt, że twórca nie przekazał wszystkich francuskojęzycznych rękopisów i maszynopisów do archiwum paryskiego. Ze spuścizny w języku francuskim, poza autoprzekładami poetyckimi oraz brudnopisami wierszy wydanych w Paryżu, w ML przechowuje się maszynopisy wspomnień, które powstały w języku francuskim, finalnie opublikowanych pod tytułem *W Krakowie i w Paryżu*. Książka ta jest jednym z nielicznych źródeł informacji o początkach dwujęzycznej twórczości Brzękowskiego.

Do BP trafiły zaś głównie korespondencja poety, fotografie i odbitki szczotkowe wierszy i nowel, recenzje oraz wycinki prasowe dotyczące wierszy francuskojęzycznych. Nie był to przypadkowy podział – we Francji zostały raczej tylko ślady po życiu codziennym pisarza, a w Polsce przechowuje się *gros* jego twórczości literackiej. Wyjątek stanowią znajdujące się w BP maszynopisy dwutomowej powieści *Collegium Novum* i materiały na temat nowej poezji francuskiej, a także historii prasy francuskiej po drugiej wojnie światowej. Te projekty nie zostały nigdy ogłoszone w pełnej, zamierzonej formie – objętość zapisów sugeruje jednak, że Brzękowski planował wydanie francuskojęzycznej monografii nowej poezji polskiej. Teksty mogły ujrzeć światło dzienne wyłącznie jako odczyty (w paryskim *Union chrétienne de jeunes gens*) lub artykuły publicystyczne w rodzaju *Poezji prostej*, drukowanej na łamach paryskiej „Kultury” (i chwalonej przez Mariana Kisiela oraz Juliana Przybosa jako udana typologia poezji emigracyjnej¹⁶). Brzękowski proponował w niej własne rozumienie literatury emigracyjnej: nie w kategoriach geograficznych czy politycznych, lecz wyłącznie językowych¹⁷. Było to przede wszystkim motywowane doświadczeniem pisarza-emigranta, marginalizowanego przez polską krytykę literacką, a jednocześnie publikującego na dwóch rynkach wydawniczych.

Jak stwierdza Klatka:

rzeczywiście jest tak, że Brzękowski nie jest znany w naszym kraju jako poeta frankofoński. Jakby utknął w czasach Awangardy Krakowskiej. O ile wielu poetów emigracyjnych znalazło się ponownie na fali zainteresowania, Brzękowskiego niestety to ominęło¹⁸.

¹⁶ J. Brzękowski, *Poezja prosta*. „Kultura” (Paryż) 1957, nr 7/8.

¹⁷ Zob. M. Kisiel, *O nową typologię poezji polskiej na obczyźnie po roku 1939*. „Prace Naukowe. Filologia Polska. Historia i Teoria Literatury” t. 9 (2003).

¹⁸ U. Klatka, e-mail do J. Piechury, z 4 V 2020. Przykładem jest choćby wydana w 2020 roku mo-

Mimo że pisarz regularnie jeździł do Polski i utrzymywał kontakt z tutejszymi wydawcami, w latach powojennych pochłonięły go obowiązki zawodowe niezwiązane z literaturą – prawie 20 lat prowadził uzdrowisko na francuskiej prowincji, w Amélie-les-Bains, aż do 1964 roku. M.in. z tego względu nie został upamiętniony jako twórca, który przez długi czas miał wpływ na rozwój literatury emigracyjnej, a krytycy zwykle poprzestawali na omówieniu dorobku opublikowanego w kraju w pierwszej połowie wieku. Brzękowski sam często wracał do tej kwestii w wywiadach, szczególnie wtedy, gdy zarzucano mu neutralność czy bierność wobec reżimu komunistycznego, tłumacząc w ten sposób mało zaangażowaną, krajową recepcję jego twórczości:

ja się trzymam na uboczu. Na emigracji jest dużo różnych organizacji... Nie możemy przecież aprobować rządu w Warszawie, a równocześnie są pewne granice, poza które nie można wyjść. A pamiętam, jak to przed wojną raz było, jak ktoś był obok...¹⁹

I dalej:

Sytuacja emigracyjnej literatury jest bardzo zła, ponieważ tylko pewne osoby decydują o tym, co jest literaturą, a co nią nie jest. Poza tym termin „emigracyjna” jest trochę dwuznaczny, bo można przez literaturę emigracyjną pojmować twórczość zarówno ludzi przebywających faktycznie na emigracji, jak i tych, którzy w Polsce stoją w opozycji do rządu²⁰.

Jeszcze w 1954 roku Konstanty Jeleński wyrażał uznanie dla paryskiej działalności Brzękowskiego i podkreślał, że poeta to jeden z „twórców polskiej awangardy poetyckiej i – obok Tadeusza Peipera i Juliana Przybosa – jej główny teoretyk”²¹. Brzękowski wielokrotnie wspominał z żalem, iż osiedlenie się we Francji, choć właściwie przypadkowe, odbiło się negatywnie na całej jego powojennej karierze. Poczucie wyobcowania z dwóch środowisk literackich stało się trudnym doświadczeniem, na które często skarżył się w korespondencji. W roku 1968 pisał do Mieczysława Jastruna, że okres świetności ma dawno za sobą: „korzeniami tkwię w tamtych latach, w okresie młodości, w trzecim dziesięcioleciu, a teraz – jestem spychany do historii, zanim zdołam się w pełni wypowiedzieć”²² – tak jakby potwierdzał intuicję Klatki, że już dwie dekady przed śmiercią czuł się skrepowany przez widmo swojej twórczości międzywojennej. Nigdy nie wrócił jednak do kraju na dłużej i do lat siedemdziesiątych XX wieku wydawał teksty w językach polskim i francuskim.

nografia o francuskojęzycznej twórczości M. Pankowskiego. Zob. D. Walczak-Delanois, *Poetyckie podwojenie. Marian Pankowski – polski poeta języka francuskiego / Dédoublément poétique. Marian Pankowski – poète polonaise de la langue française*. Warszawa 2020.

¹⁹ Cyt. za: A. Włodarczyk, *Un Poète sans cesse nouveau (souvenir de Jan Brzękowski, entretiens avec le poète) / Poeta nieustannie nowy (wspomnienie o Janie Brzękowskim, z rozmów z poetą)*. „Wieloczas / Le Temps Pluriel” 1983, nr 3/4, s. 17. Na stronie: <http://perso.numericable.com/andre.wlodarczyk/Wieloczas/Wieloczas%20-%20Le%20Temps%20Pluriel%203-4%20%281983%29.pdf> (data dostępu: 22 XII 2020).

²⁰ *Ibidem*.

²¹ K. Jeleński, *Tłumaczyć poezję*. „Kwartalnik Akcent” 1988, nr 31, s. 45.

²² J. Brzękowski, list do M. Jastruna, z 2 IX 1968. Archiwum BP, sygn. BPP 1228. Cyt. za: A. Wójtowicz, *Start, czyli powrót. Wokół „Międzywojnia” Jana Brzękowskiego*. „Śląskie Studia Polonistyczne” t. 3 (2013), nr 1, s. 297–298.

Przytoczone wypowiedzi sugerują, że zachowane materiały archiwalne miały dla Brzękowskiego dużą wartość choćby dlatego, iż dokumentują rozwój pisarza zapomnianego, od pewnego momentu działającego poza głównym obiegiem. Wydaje się, że Brzękowski świadomie rozporządził spuścizną tak, by nie dopuścić do sytuacji, w której opracowywanie brudnopisów byłoby utrudnione. Dlatego tłumaczenia tekstów polskich znajdują się w Warszawie, a recenzje i artykuły dotyczące wierszy opublikowanych we Francji – w Paryżu. Kłopot polega na tym, iż ani BP, ani ML nie mogą rozporządzać prawami autorskimi do przechowywanych materiałów. Choć Brzękowski starannie podzielił swój majątek przed śmiercią²³, kwestia praw autorskich wciąż pozostaje nierozwiązana. Niejasny status prawny pism poety przyczynił się do tego, że rozpowszechnianie jego wierszy francuskojęzycznych w Polsce jest znacząco utrudnione bez dostępu do paryskich dokumentów. Cztery z pięciu oficyn, które drukowały teksty Brzękowskiego w Paryżu, dawno upadły. Wobec tego, za zgodą ostatniego działającego wydawcy paryskiego – oficyny „Caractères”, niegdyś należącej do Bronisława Kamińskiego, dziś prowadzonej przez jego żonę, Nicole Gdalię – udało mi się przetłumaczyć na polski tylko 13 wierszy francuskojęzycznych, które ukazały się po wojnie w formie drukowanej²⁴. Wspominam o tym, żeby podkreślić, że upublicznianie zbiorów poety pozostaje prawnie nieuregulowane. To jedna z przyczyn, dla których dwujęzyczność Brzękowskiego stanowi temat trudny do opracowania i głębiej niezbadany²⁵. Wyjątkiem są prace Marii Delaperrière – te wszakże powstawały, gdy archiwum poety nie było jeszcze uporządkowane, i dziś wymagają sprostowań i uzupełnień – oraz niedawne publikacje Boruszkowskiej, Wójtowicza i Agnieszki Rejniak-Majewskiej²⁶. Twórczością Brzękowskiego nie zajmowano się do roku 2000, kiedy garstka młodych badaczek zaczęła przyglądać się tekstom pisarza z perspektywy całościowej – a więc i dwujęzycznej – z różnym skutkiem²⁷. Niewiele też mamy informacji na temat ekspery-

²³ Klatka ustaliła, że w 1969 roku Brzękowscy (Jan wraz z żoną Suzanne z domu Lamer) złożyli w Muzeum Narodowym w Krakowie 31 prac plastycznych artystów awangardowych. Klatka (e-mail do J. Piechury, z 4 V 2020) pisze: „Wynika z tego, że JB pewne sytuacje dotyczące swej spuścizny przewidział i się do nich przygotował”.

²⁴ W porozumieniu z oficyną „Caractères”, ostatnią działającą instytucją, z którą J. Brzękowski (Trzy-naście wierszy. Przeł. J. Piechura. Na stronie: <http://magazynwizje.pl/jan-brzekowski-wiersze> (data dostępu: 22 XII 2020)) współpracował w Paryżu, przekłady francuskich wierszy poety zostały opublikowane w magazynie „Wizje” w numerze 3 w 2020 roku. Niestety, nie wiadomo, kto rozporządza prawami do czterech pozostałych zbiorów poetyckich wydrukowanych w Paryżu – wydawcy upadli pod koniec wieku.

²⁵ Wśród niewielu badaczy zajmujących się twórczością dwujęzyczną Brzękowskiego (ale nie jego twórczością francuskojęzyczną) znajdują się M. Delaperrière, A. K. Waśkiewicz, E. Sak-Grzelak oraz U. Klatka.

²⁶ M. Kolcara-Delaperrière, *Twórczość Jana Brzękowskiego w świetle francuskich tendencji konstruktywistycznych*. „Pamiętnik Literacki” 1976, z. 2. Zob. też M. Delaperrière: *Dialog z dystansu. Studia i szkice*. Kraków 1998; *Polskie awangardy a poezja europejska. Studium wyobraźni poetyckiej*. Przeł. A. Dziadek. Katowice 2004; *Pod znakiem antynomii. Studia i szkice o polskiej literaturze XX wieku*. Kraków 2006; *Literatura polska w interakcjach. Szkice porównawcze z literatury i kultury*. Warszawa 2010. – A. Rejniak-Majewska, „Pomiędzy izmami” – Jan Brzękowski jako krytyk i teoretyk nowej sztuki. „Acta Universitatis Lodzensis. Folia Philosophica. Ethica – Aesthetica – Practica” 2020, nr 36.

²⁷ Mam tu na myśli Rejniak-Majewską czy, m.in., E. Sak-Grzelak (*O francuskojęzycznych wier-*

mentalnych powieści i opowiadań Brzękowskiego, jedynym zaś zbiorem dającym wgląd w działalność publicystyczną twórcy są teksty programowe, recenzje i felietony zgromadzone przez Andrzeja Waśkiewicza w tomie *Szkice literackie i artystyczne 1925–1970*²⁸. We francuskojęzycznych badaniach literaturoznawczych Brzękowski również nie cieszy się powodzeniem: tylko Dorota Walczak-Delanois i Maria Delaperrière²⁹ pisały o nim dla francuskiej akademii, przy czym ich teksty nie skupiają się na twórczości samego poety, lecz stanowią szerzej zakrojoną syntezę związków Awangardy Krakowskiej ze sztuką francuską.

Od przekładu do dwujęzyczności

Dlaczego dwujęzyczny dorobek Brzękowskiego zasługuje dziś na uwagę? Poeta pisał dla dwóch narodów w dwóch językach, był wyjątkowo wyczulony na gusta krytyki i publiczności polskiej oraz francuskiej. Wiadomo też, że twórca nie tylko troszczył się o rozpoznawalność na gruncie polskim, lecz liczył także na to, iż poezję wydaną w Polsce po francusku będzie mógł rozpowszechniać we Francji³⁰, do tego zaś starał się np. o dwujęzyczne opublikowanie wierszy w „Czytelniku”. Po przeniesieniu się do Paryża zaczął funkcjonować w kulturze *de facto* transnarodowej, a powolne oddalanie się od doraźnych zmian zachodzących w literaturze krajowej popchnęło go w stronę tworzenia po francusku. Jak sam stwierdza:

na mojej decyzji pisanie w tym języku zaważyła w dużej mierze kosmopolityczna atmosfera, w jakiej przebywałem, znajdując się w ustawicznym kontakcie z poetami i artystami wszystkich narodowości. Odczuwałem wtedy potrzebę wypowiedzenia się w języku dostępnym także dla nich³¹.

Z punktu widzenia polskiej krytyki obcojęzyczna poezja Brzękowskiego była raczej eksperymentem niż poważną propozycją poetologiczną. W latach trzydziestych XX wieku polskojęzyczne publikacje pisarza często uznawano za zbyt hermetyczne lub śmiałe, a tomy wydane we Francji prasa lekceważyła. Przykładowo, w recenzji z 1934 roku autor krytykuje rebusowy charakter „wymyślnych” wierszy Brzękowskiego, pisząc: „wiersze wzorcowe, wymuskane w każdym szczegółliku, stają się w dużym stopniu bardzo sztucznymi kompozycjami, niemal igraszkami lub rebu-

szach Jana Brzękowskiego. „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Rzeszowskiego. Seria Filologiczna. Historia Literatury” 2008, z. 52), która w krótkim artykule o francuskojęzycznych wierszach poety oparła większość wyводу na własnych, wyjątkowo niestarannych tłumaczeniach.

²⁸ J. Brzękowski, *Szkice literackie i artystyczne 1925–1970*. Wybór, oprac., wstęp A. K. Waśkiewicz. Kraków 1978.

²⁹ D. Walczak, *L'Art poétique / l'art érotique, selon Jan Brzękowski*. „Slavica bruxellensia” 2013, nr 9. Na stronie: <https://journals.openedition.org/slavica/1348> (data dostępu: 18 VI 2020). Zob. też D. Walczak-Delanois, *Inne oblicze awangardy. O międzywojennej poezji Jana Brzękowskiego, Jalu Kurka i Adama Ważyka*. Poznań 2001. – M. Delaperrière: *Jan Brzękowski au carrefour des différentes tendances poétiques en France et en Pologne*. Paris 1975 (niepublikowana praca doktorska, obroniona na Université Paris Sorbonne – Paris IV); *Twórczość Jana Brzękowskiego w świetle francuskich tendencji konstruktywistycznych*.

³⁰ Zob. J. Brzękowski, *W Krakowie i w Paryżu. Wspomnienia i szkice*. Wyd. 2. Kraków 1975, s. 129.

³¹ Cyt. za: Klatka, *Wyobrażenia w czasie*, s. 93.

sami”³². Takie wypowiedzi o poecie przywodzą na myśl sądy niektórych recenzentów o „Linii”, piśmie, które Brzękowski współredagował z Jalu Kurkiem i Julianem Przybosiem; konserwatywny krytyk Teofil Syga stwierdzał: „kto lubi rozwiązywać trudne szarady, ten znajdzie je na ostatniej stronie jakiegokolwiek dziennika, a »Linia« nie zadowoli ani szaradzysty, ani tego, kto szuka w poezji piękna, wzruszenia, prawdy”³³.

Brzękowski siłą rzeczy znalazł się na przegranej pozycji w kraju, gdy oddalił się od programu Awangardy Krakowskiej i zaczął szukać własnego miejsca na literackiej scenie Paryża. Francuzi oczywiście nie czytali jego polskich tekstów, jako że tych nie przekładano, a literatura polska była w ogóle mało znana w Paryżu lat trzydziestych XX wieku – dopiero działalność Paula Cazina umożliwiła szerszą cyrkulację kompetentnych tłumaczeń naszych klasyków. Dlatego też Brzękowski z radością przyjął zamówienie Fernanda Marca, redaktora i wydawcy „Sagesse”, gdy ten poprosił o przekłady jego polskich wierszy. W końcu wysłał mu jednak teksty zupełnie nowe, od początku pisane po francusku (wydrukowane jako *Spéc-tacle métallique* w 1937 roku w serii „Feuillets de Sagesse”). Dzięki inicjatywie Marca w archiwach znajdują się dziś pokaźne foldery autografów i maszynopisów z różnymi wersjami niepublikowanych przekładów i adaptacji. O tym procesie i początkach tworzenia po francusku poeta wspominał tak:

Moja znajomość języka francuskiego nie była wówczas nadzwyczajna, ale wystarczająca, bym się zorientował, że próbka przekładu nie wypadła dobrze. Zdecydowałem się więc ponownie powrócić do tej pracy, lecz nie trzymać się zbyt dosłownie polskiego tekstu. Wypadło to nieco lepiej, postanowiłem więc jeszcze raz spróbować, rozluźniając dosłowność przekładu. Przy czwartej lub piątej próbie to rozluźnianie poszło tak daleko, że wiersz mało przypominał pierwowzór, ale był dobry. Pokazałem go jednemu ze znajomych poetów, który potwierdził moją opinię, i to mnie skłoniło do napisania jakiegoś oryginalnego wiersza po francusku. W ten sposób powstała *Boucherie* [Rzeźnia], z której byłem zadowolony. Zachęciło mnie to do napisania po francusku innych wierszy³⁴.

Utwór *Boucherie* ukazał się dopiero w 1956 roku w zbiorze *Les Murs du silence* (Mury ciszy), choć powstał zapewne w połowie lat trzydziestych XX wieku lub wcześniej. Warto zauważyć, że Brzękowski krytykuje tu przekład autorski, wbrew romantycznemu mitowi autora-tłumacza, z zasady nie mogącego sprzeniewierzyć się znaczeniu oryginału. Lepsze jest, jego zdaniem, dzieło niezależnie wyrastające z języka, w jakim powstaje, niż przekład, którego kształt bezwzględnie dyktuje poetyka oryginału. Od początku pisarz dbał więc o utrzymanie różnic stylistycznych i poetologicznych w dziełach polsko- i francuskojęzycznych. Choć uczestniczył w licznych inicjatywach przekładowych dotyczących literatury polskiej i francuskiej³⁵, był dosyć zachowawczy, gdy chodziło o tłumaczenie swojej twórczości. Jego zdaniem, niezależny tłumacz z zasady zachowuje bowiem to, co charakterystyczne dla każdego z języków, ale pisarzowi przekładającemu własne teksty trudniej jest

³² S. Czernik, rec.: J. Brzękowski, *W drugiej osobie. Poezje*, „Biblioteka Grupy »a. r.«” [1933], t. 4, „Zet” 1934, nr 23, s. 6.

³³ Cyt. za: T. Kłak, *Materiały do dziejów awangardy*, Wrocław 1975, s. 11.

³⁴ Brzękowski, *W Krakowie i w Paryżu*, s. 173.

³⁵ Zob. M. Pieszczałowicz, „Wędrowiec krajów dalekich”. W: *Wygnaniec w labiryncie XX wieku. Poetyckie rodowody z Dwudziestolecia*. Kraków 1994.

dokonać takiego rozdziału³⁶. Wierzył, że francuskojęzyczne utwory stracą na przekładzie autorskim, upodabniając się do wierszy polskich, i na odwrót – tłumaczenia na francuski będą obciążone polskimi kalkami. Stało się jednak inaczej, ponieważ autoprzekłady posłużyły poecie do wypracowania zupełnie odmiennego stylu francuskojęzycznego.

Powtórmy, że translatologiczne refleksje Brzękowskiego zrodziły się z działalności redaktorskiej prowadzonej przy piśmie „L'Art Contemporain” i chęci popularyzowania literatury polskiej w środowisku francuskim – był to obszar życia literackiego na emigracji, który artysta uważał za boleśnie niedorozwinięty jeszcze w Dwudziestoleciu międzywojennym. W artykule prasowym opublikowanym w „Kurierze Codziennym” w 1935 roku poeta podkreślał np. rolę praw autorskich w procesie wymiany międzykulturowej i przytaczał argumenty za intensyfikacją działań przekładowych, jednocześnie zastrzegając, że praca tłumaczy powinna być monitorowana przez związki zawodowe i instytucje literackie. W obliczu braku takiej odgórnej kontroli i mnogości chałturniczych przekładów – twierdził autor – literatura polska nie ma szans na zdobycie rozgłosu za granicą³⁷. Choć Brzękowski sam siebie oceniał jako miernego tłumacza, szczególnie w pierwszych latach pobytu we Francji, i nie opublikował większości swoich przekładów z dzieł rodaków³⁸, w archiwum ML zachowały się jego tłumaczenia wierszy Józefa Czechowicza, Jalu Kurka, Tadeusza Różewicza i Juliana Przybosa (Archiwum ML, sygn. 2795). Musiały mieć pewną wartość artystyczną, skoro Jeleński pisał z aprobatą:

Dopiero w naszych czasach udało się polskim poetom dwujęzycznym, takim jak Jan Brzękowski czy Marian Pankowski, przełożyć wiersze polskie na autentyczną poezję francuską. Niewielu Francuzów zna język polski, to oczywiste³⁹.

W świetle słów Jeleńskiego tym zasadniejsze jest potraktowanie przekładów i autoprzekładów Brzękowskiego jako zbioru tekstów wyznaczających genezę i rozmach jego francuskojęzycznych pism. Z jednej strony, działalność tłumaczeniowa umożliwiła mu tworzenie w języku francuskim, a z drugiej – pozwalała czynnie angażować się w życie literackie paryskiej emigracji.

Badacze GTS zwracają uwagę, że choć wiek XX sprzyjał rozwojowi literatury dwujęzycznej, to większość pisarzy dwujęzycznych w swoich ojczyznach była uznawana za twórców monolingwalnych⁴⁰. Zasadą stało się zatem zaniedbywanie przez krytyków i potomnych spuścizny dwujęzycznych autorów pisanej w drugim, „obcym”

³⁶ Klatka (*Wyobrażenia w czasie*, s. 93) przytacza następującą wypowiedź Brzękowskiego na ten temat: „Zdarzyło mi się nawet napisać prawie równocześnie wiersz polski po francusku lub francuski po polsku. Niewątpliwie jeden z tych tekstów był lepszy i dlatego jeden z nich niszczyłem. Wydaje mi się, że może lepiej wychodzi w pewnym języku niż w innym”.

³⁷ J. Brzękowski: *Zagadnienie literatury przekładowej. Czy możliwe jest skontyngentowanie przekładów*. „Ilustrowany Kurier Codzienny” 1935, nr 21; *Francuzi a literatura polska*. Jw., nr 70; *Cazin i de Monfort profesorami polonistyki*. „Kurier Poranny” 1935, nr 66. Archiwum ML, sygn. 2198.

³⁸ Brzękowski, *W Krakowie i w Paryżu*, s. 86.

³⁹ Jeleński, *op. cit.*, s. 47.

⁴⁰ Zob. D. Van Hulle, *Translation and Genetic Criticism: Genetic and Editorial Approaches to the „Untranslatable” in Joyce and Beckett*. „Linguistica Antverpiensia” 2015.

języku⁴¹ (m.in. Nabokova). Przyjęło się, iż dwujęzyczni pisarze zazwyczaj uprawiają tzw. styl transjęzykowy, a więc odtwarzają podobną dykcję poetycką w dwóch językach, ale istnieje wiele przykładów na to, że część autorów potrafiła posługiwać się różnymi stylami, w zależności od języka, w którym tworzyła. Widać tę płynność u Juliana Greena, piszącego po francusku w sposób suchy, precyzyjny, a po angielsku – potoczny i kolokwialny⁴². Podobnie zróżnicowane są językozależne dyskursy literackie Brzękowskiego, co da się zauważyć, porównując bruliony autoprzekładów z opublikowanymi utworami. Jednoznacznie wskazują na to też wypowiedzi samego autora, zachowane w wywiadach i wspomnieniach. Francja, szczególnie w pierwszych latach pobytu Brzękowskiego za granicą, stanowiła dla niego przestrzeń bezpieczną, obszar, w którym eksperymenty literackie służyły innym celom niż w Polsce. W artykule z 1932 roku pisze on wprost:

Podobnie jak klimat, warunki egzystencji są u nas o wiele cięższe niż za granicą. Pobyt we Francji wydaje mi się wtedy taką wycieczką w krainę marzeń, piękną bajką, w której nie istnieje cisnąca nas rzeczywistość życiowa. Wraz z przekroczeniem granicy czuje się inny klimat duchowy⁴³.

Z różnych względów przekłady na francuski i wiersze francuskojęzyczne Brzękowskiego będą bliskie temu marzycielskiemu „klimatowi” kulturalnemu, który autor tak silnie odczuwa na obczyźnie. Nie chodzi więc o to, by w badaniach genetycznych nad jego poezją powstała na emigracji ponownie wracać do dobrze opracowanych związków z awangardą francuską, lecz o ukazanie ewolucji pisarza, który dostosowywał się do obcojęzycznego otoczenia, wzbogacając język macierzysty, ale i język obcy dzięki rozwijaniu twórczości dwujęzycznej – tak jak w przypadku Mariana Pankowskiego, Piotra Rawicza czy Józefa Czapskiego. Zaistnienie w roli pisarza dwujęzycznego było dla Brzękowskiego i sprawą zawodową, i procesem autoterapii twórczej. Z tego względu translatoryka genetyczna powinna stać się podstawowym narzędziem w badaniach nad dziełami wielojęzycznych pisarzy polskiej emigracji, parających się przekładem, szczególnie jeśli obracali się w podobnych kręgach – tak się działo w przypadku Brzękowskiego i nieco młodszego Pankowskiego.

W ujęciu GTS ich dorobek tworzy ciekawy dwugłos – obaj uprawiali pisarstwo eksperymentalne, szukając własnej drogi między polskimi i francuskimi awangardami, całe życie czerpali inspirację ze sztuk wizualnych, po francusku zaś pisali przede wszystkim mową wiązaną (gdy nie chodziło o publicystykę). Uprawiali oni również prozę, proponując śmiało powieści pokoleniowe, i parali się autoprzekładem – znaczące, że w większości tłumaczyli tylko swoje utwory poetyckie. Choć Brzękowski był zakotwiczony w Paryżu, a Pankowski w Brukseli, obaj współpracowali ze wspomnianą oficyną paryską „Caractères”. Brzękowski wydał w niej *Les*

⁴¹ Chlubnym wyjątkiem są recenzje J. Kotta czy H. Michalskiego.

⁴² J. Green, *Le Langage et son double / The Language and its Shadow*. Paris 1985. Zob. też K. A. Jeleński [i in.], *Pisarz na wygnaniu a styl*, „Archiwum Emigracji. Studia. Szkice. Dokumenty” 1999, z. 2, s. 24. – R. Guldin, „I believe that my two tongues love each other cela ne m'étonnerait pas”: *Self-Translation and the Construction of Sexual Identity*, „Traduction, terminologie, rédaction” t. 20 (2007), nr 1.

⁴³ J. Brzękowski, *Łatwość życia*. Archiwum ML, sygn. 2190, k. 2.

Murs du silence w 1953 roku, Pankowski zaś – zaledwie rok później – *Poignée du présent* (Uścisk teraźniejszości). Obu zależało na tym, by ich wiersze francuskojęzyczne trafiły do polskiego czytelnika. Brzękowskiemu się to nie udało, Pankowski zaś w 1993 roku opublikował polskojęzyczny wybór wierszy złożony ze wszystkich wydrukowanych utworów, zatytułowany *Zielnik złotych śniegów*, w którym znalazły się też luźne autoprzekłady z dwóch jego tomów francuskojęzycznych – *Couleur de jeune mélèze* (Kolor młodego modrzewia, 1951) oraz wspomniana *Poignée du présent*. Najważniejsze jest zaś to, że w archiwach Brzękowskiego i Pankowskiego zachowały się brudnopisy autoprzekładów, przekładów i adaptacji na francuski i z francuskiego.

Monografistka i tłumaczka wszystkich francuskojęzycznych wierszy Pankowskiego, Walczak-Delanois, podkreśla w swojej książce, iż poeta uświadamiał sobie rozdwojenie, które wynikało z pisania oraz funkcjonowania w dwóch obszarach językowych, i uznawał je za element wzbogacający jego dorobek:

Okrzepienie w języku francuskim i jednocześnie pilnowanie – ćwiczenie języka polskiego w lekturze, redakcji, tłumaczeniu i nauczaniu, sprawia, że możliwe jest tworzenie coraz bardziej świadomej, pełnej formy [...] ⁴⁴.

Klatka i Walczak-Delanois zwracają też uwagę na to, iż obu polskich poetów po przyjeździe do Paryża czy Brukseli dopingowały tamtejsze środowiska literackie i za namową znajomych prędko próbowali oni sił w pisaniu po francusku. Kluczowa różnica między nimi polega jednak na tym, że Brzękowski nieco ostrożniej przeszedł do wierszowania w drugim języku, zaczynając od autoprzekładów i przesuując się ku twórczości niezależnej od języka macierzystego; Pankowskiego z kolei napędzała myśl o antologii poezji polskiej, którą chciał wydać jak najszybciej, więc z pozycji tłumacza dzieł obcych gładko przeszedł do pozycji pisarza francuskojęzycznego. Autoprzekłady na potrzeby *Zielnika złotych śniegów* zaczął zaś tworzyć w późniejszym wieku – dla czytelnika polskiego.

Walczak-Delanois nie poświęca wiele uwagi różnicom między dykcjami polskojęzyczną i francuskojęzyczną u Pankowskiego, ale zamieszcza w książce *facsimile* wybranych rękopisów i opatruje je krótkimi komentarzami, które sprawdziłyby się także w analizie porównawczej wierszy Brzękowskiego. Badaczka stwierdza np., że młodszy poeta stosuje autocenzurę w *Zielniku złotych śniegów*:

Pankowski, który przetłumaczy na polski część ze swych wierszy pisanych po francusku ponad trzy dekady później, dokona znaczących zmian, czyniąc jednak z młodszej, polskiej wersji wierszy, wersję bardziej archaiczna, mniej nowoczesna, bardziej stonowaną i nie do końca wierną oryginałowi ⁴⁵.

Badaczka w komentarzach, którymi opatrzyła swoje przekłady wierszy francuskojęzycznych, podkreśla zmiany stylistyczne i treściowe widoczne w polskich adaptacjach włączonych do *Zielnika złotych śniegów*.

Moje prace nad zachowanymi wersjami autoprzekładów Brzękowskiego z lat trzydziestych XX wieku potwierdzają, że on także pisał wiersze bardziej zmysłowe

⁴⁴ Walczak-Delanois, *Poetyckie podwojenie*, s. 83.

⁴⁵ *Ibidem*, s. 77.

i wieloznaczne w języku francuskim, chętniej traktując swoją twórczość obcojęzyczną jako przestrzeń laboratorium literackiego. Brudnopisy Brzękowskiego pokazują również, że dorobek w języku francuskim kształtował z myślą o autorskim programie teoretyczno-literackim, opartym na wspomnianym metarealizmie, pojęciu kontrasensu czy poezji integralnej. Zachowane autoprzekłady i wiersze francuskojęzyczne sugerują, iż w obcym języku łatwiej było Brzękowskiemu realizować nowatorską doktrynę poetycką, którą wyłożył w serii publikacji z lat trzydziestych⁴⁶, a po wojnie udoskonalił i scalił w tomie *Wyobraźnia wyzwolona* (1966). Szczegółowe badania archiwalne nad autoprzekładami obu pisarzy umożliwiłyby zestawienie specyficznego „rozszczelnienia”, jakiego Brzękowski dokonywał na oryginałach polskojęzycznych, ze stylistycznym „uszczelnieniem”, które przeprowadził Pankowski, gdy przygotowywał swoje wiersze francuskojęzyczne do polskiego wydania.

Szersze rozumienie *dossier* tekstu tłumaczonego proponowane przez badaczy i badaczki GTS – skłaniające do studiów nad dwujęzycznością z perspektywy archiwalno-genetycznej, socjologicznej i antropologicznej – znacznie by ułatwiło prześledzenie genezy hybrydycznych poetyk uprawianych przez polskich autorów emigracyjnych, którzy szukali sposobów na zadomowienie się w obcym kontekście kulturowym, skonstruowanie własnych programów literackich i wzbogacenie języka ojczystego. Zestawienie twórczości Brzękowskiego i Pankowskiego pod kątem działalności przekładowej to tylko jedna z możliwości, jakie oferują narzędzia GTS w pracach nad stylem pisarzy-wygnañców. Przypadek Brzękowskiego jest szczególnie fascynujący ze względu na pieczołowitość, z jaką poeta gromadził kopie wariantów swoich tekstów. Liczba zachowanych papierów dowodzi, że zależało mu na scaleniu dwujęzycznego, rozproszonego dorobku. Badanie archiwów zapomnianego teoretyka Awangardy Krakowskiej w świetle translatoryki genetycznej stanowi kolejny etap na drodze do ukazania jego twórczości jako spójnej i, co ważne, wciąż aktualnej całości.

Abstract

JOANNA PIECHURA University of Warsaw
ORCID: 0000-0003-3306-3641

THE BILINGUAL ARCHIVES OF JAN BRZĘKOWSKI A GENETIC APPROACH

The author presents the bilingual archives of Jan Brzękowski (1903–1983) from the perspective of genetic translation studies. Drawing upon the fields of genetic criticism and translation studies, this hybrid methodology allows the author to analyse the role of self-translation in the development of Brzękowski's French-language poetics. Moreover, it sheds light on the cultural context of bilingual creation often practised by émigré poets. The article includes detailed information about Brzękowski's archives and offers preliminary reflections on the relationship between translation and literary creation in the output of other Polish writers.

⁴⁶ J. Brzękowski: *Poezja integralna. Elementy i struktura. Budowa. Poezja stosowana a poezja proletariacka*. Warszawa 1933; *Integralizm w czasie*. „Pion” 1937, nr 39; *Wyobraźnia wyzwolona*. Jw., 1938, nr 18; *Czas poetycki*. Jw., 1939, nr 10.

2. M A T E R I A Ł Y I N O T A T K I

Pamiętnik Literacki CXIII, 2022, z. 1, PL ISSN 0031-0514

DOI: 10.18318/pl.2022.1.16

MONIKA BEDNARCZUK Uniwersytet w Białymstoku

MIŁOŚĆ, PRZYJAŹŃ I MILCZENIE (BIOGRAFÓW) WOKÓŁ KORESPONDENCJI EDWARDA ABRAMOWSKIEGO I EMILII Z ANDRONOWSKICH*

Na mapie dokumentów osobistych Polek i Polaków z drugiej połowy XIX i początków XX wieku nadal – mimo coraz systematyczniejszych i szerzej zakrojonych badań oraz inicjatyw publikacyjnych – istnieją białe plamy. Plamy o tyle znaczące, że powodują dotkliwie braki w naszej wiedzy zarówno na temat trajektorii losów pojedynczych postaci, jak i grup czy stowarzyszeń. Uwaga ta odnosi się także do osób powszechnie znanych, jak Edward Abramowski (1868–1918)¹. Pewne aspekty jego twórczości i życia prywatnego pozostają bowiem w sferze domysłów, które można częściowo zweryfikować na podstawie zachowanych źródeł. Interesujące światło na osobowość i sytuację życiową Abramowskiego rzuca np. jego korespondencja z drugą żoną, Emilią z Andronowskich², stanowiąca nie tak częsty w rodzimym piśmiennictwie przypadek stosunkowo obfitej epistolografii małżeńskiej.

* Artykuł opublikowany ze środków projektu finansowanego w ramach programu Ministra Edukacji i Nauki pod nazwą *Regionalna Inicjatywa Doskonałości* na lata 2019–2022, nr projektu 009/RID/2018/19, kwota finansowania 8 791 222,00 zł.

¹ O roli idei i osobowości E. Abramowskiego w twórczości S. Żeromskiego zob. S. Kawyn, *Edward Abramowski i jego idee w twórczości Żeromskiego*. „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego. Seria 1: Nauki Humanistyczno-Społeczne” 1959, z. 13: Filologia. – S. Pióroń, *Głosy do związku przyjaźni S. Żeromskiego z E. Abramowskim*, „Prace Polonistyczne” seria 20 (1964). – A. Mencwel, *Etos lewicy. Esej o narodzinach kulturalizmu polskiego*. Warszawa 1990, s. 70–74, 113–118, 133. O wpływie koncepcji Abramowskiego na ruch filarecki i poglądy M. Dąbrowskiej zob. T. Drewnowski, *Rzecz russowska*. Wyd. 2, przejrz. Kraków 1981, s. 47–74, 102–106, 178–181, 210–215, 359–370. – G. Borkowska, *Zaczarowana królowa. U źródeł publicystyki Marii Dąbrowskiej*. „Teksty Drugie” 2005, nr 6, zwłaszcza s. 7–9, 15.

² Cytując archiwalną korespondencję, posługuję się następującymi skrótami: LEA = *Listy Emilii z Andronowskich 1. v. Abramowskiej*, 2. v. Waryńskiej, do Anieli z Miłkowskich Samotyhowej. Bibl. Narodowa, rkps 11017 II, t. 1: 1897–1901; t. 2: 1902–1907; t. 3: 1908–1910; t. 4: 1911–1930; t. 5: 1931–1940. – LED = *Listy Edwarda Abramowskiego do żony, Emilii z Andronowskich*. Bibl. Narodowa, rkps 11050 II, t. 1: 1901–1905; t. 2: 1906–1915. – LEM = *Listy Emilii z Andronowskich do męża, Edwarda Abramowskiego*. Bibl. Narodowa, rkps 11054 II, t. 1: 1902–1910; t. 2: 1911–1915; t. 3: 1914–1915. Liczba rzymska oznacza numer tomu, a liczba arabska numer karty rękopisu; następnie po średniku podaję zwykle datację listu. Daty ustalone przez badaczy z Bibl. Narodowej opracowujących te materiały oraz przeze mnie umieszczam w nawiasach kątowych. Przytaczając fragmenty z archiwalnej korespondencji i innych źródeł, modernizuję w nich ortografię i interpunk-

Dwie żony Abramowskiego

Uprzywilejowane miejsce w biografii Abramowskiego zajmuje jego pierwsza żona oraz matka jego zmarłej córeczki – socjalistka Stanisława Motz-Abramowska (1867–1893)³. Zupełnie inaczej ma się rzecz z Emilią z Andronowskich (1877 lub 1878–1940). W monografiach i studiach poświęconych Abramowskiemu jej obecność jest sygnalizowana, ale niemal nikt nie zajmował się dotąd tą postacią⁴. Jedynie Maria Dąbrowska zauważa, iż w okresie 1907–1912 Abramowskiemu „towarzyszy [...] druga żona [...], której w tych latach pracy i szczęścia niewątpliwie dużo zawdzięczał, osoba wysokiej i niezmiernie dyskretniej natury”⁵. Brak zainteresowania historią tej pary dziwi o tyle, że wtedy powstała albo dojrzała niemąla część koncepcji społecznych i psychologicznych Abramowskiego. W owym czasie ukazały się bowiem *Socjalizm a państwo* (1904), *Zmowa powszechna przeciwko rządowi* (1905), *Idee społeczne kooperatyizmu* (1907), a nieco później *Le Subconscient normal. Nouvelles recherches expérimentales* (1914).

Kim była Emilia Andronowska? Urodziła się 8 III prawdopodobnie 1877 lub 1878 roku w Barnaule na Syberii, w zamożnej, podtrzymującej polskie tradycje kulturalne rodzinie zesłańca styczniowego Józefa Hipolita Andronowskiego (1841–1905) i Rosjanki Kataryny Czerdyncewej, którzy mieli 4 synów i 5 córek⁶. Emilia immatrykułowała się jesienią 1897 na Wydziale Medycyny Uniwersytetu Genewskiego⁷, a rok później przeniosła się na Wydział Humanistyczny i Nauk Społecznych⁸. W ostatnich dekadach XIX wieku Szwajcaria była ważnym celem wyjazdów eduka-

cję; w przypadku konieczności rozwinięcia skrótów, uzupełnieniach brakujących słów i przy lekcjach niepewnych stosuję nawiasy kwadratowe. Aby ułatwić czytelnikom orientację w relacjach między bohaterami artykułu, używam nazwiska panińskiego: Andronowska, mówiąc o Emilii, a w wypadku Anieli (Neli) – alternatywnie nazwiska Miłkowska i Samotyhowa.

- ³ Zob. M. Bohusz [właśc. J. K. Potocki], *Bez obłudy. (Czary w krainie niewiedzy. Wspomnienie pośmiertne)*. „Głos” 1892, nr 11, s. 127. – M. Dąbrowska, *Edward Abramowski. Życie i dzieło*. Warszawa 1925, s. 6. – K. Pietkiewicz, *Stanisława Motz-Abramowska. Kartka z dziejów polskiego ruchu socjalistycznego*. „Robotnik” 1925, nry 55–58, s. 2. – Cz. Hulanicki, *Ze wspomnień*. Warszawa 1929, s. 29–30. – L. Krzywicki, S. Szuman, *Abramowski Józef Edward (1868–1918)*. Hasło w: *Polski słownik biograficzny*. T. 1. Kraków 1935, s. 16. – B. Gądomski, *Motz-Abramowska Stanisława (1867–1892)*. Hasło w: jw., t. 22 (Wrocław 1977), s. 163–164. – W. Giełżyński, *Edward Abramowski. Zwiastun „Solidarność”*. Londyn 1986, s. 20–21, 30. – Mencwel, op. cit., s. 138–140.
- ⁴ Zob. K. Krzeczkowski, *Dzieje życia i twórczości Edwarda Abramowskiego*. Warszawa 1933, s. 40. – N. Samotyhowa, *Edward Abramowski i jego poglądy na znaczenie dobra i piękna w przebudowie życia. (Odczyt wygłoszony dn. 20 listopada 1928 r. w Kamienicy Ks. Mazowieckich na wieczorze poświęconym pamięci Edwarda Abramowskiego)*. Warszawa 1931, s. 12. – Giełżyński, op. cit., s. 69–70. Krzywicki i Szuman w hasle w *Polskim słowniku biograficznym* (loc. cit.) podają błędną datę ślubu (1897) i nieprawdziwą informację o rychłym rozwodzie.
- ⁵ Dąbrowska, op. cit., s. 9.
- ⁶ Informacje podają za: M. Andronowski, *Ze wspomnień ojca, powstańca 1863 r., Sybiraka*. „Sybirak” 1938, nr 1/2, s. 14, 21–22. O dobrej sytuacji ekonomicznej jej rodziny świadczą także podróże Andronowskiej po Europie.
- ⁷ Zob. *Liste des autorités, professeurs, étudiants et auditeurs de l'Université de Genève, Semestre d'hiver 1897–98*. Genève 1897, s. 29. W marcu 1901 na medycynę zapisuje się Abramowski (jako wolny słuchacz).
- ⁸ Zob. *Liste des autorités [...], Semestre d'hiver 1898–99*. Genève 1898, s. 18. – *Liste des autorités*

cyjnych Polaków i Polek, przy tym zaś schronieniem dla wielu działaczy niepodległościowych, i właśnie w środowisku tamtejszej młodzieży polonijnej Andronowska poznała Abramowskiego. Wiosną 1902 zapisała się na Wydział Nauk Przyrodniczych już pod nazwiskiem męża⁹. Wkrótce jednak przerwała kształcenie i chociaż wracała do myśli o kontynuowaniu edukacji, nie uczyniła tego¹⁰. Nie podjęła też żadnej aktywności zarobkowej ani społecznej, w przeciwieństwie do najbliższych sobie osób: przyjaciółki Anieli Miłkowskiej (1876–1966, znanej jako Nela Samotyhowa) oraz obydwu swoich mężów (drugim był Tadeusz Waryński)¹¹ – ludzi zasłużonych na polu polityki i kultury. Mimo to, a może również dlatego, wydaje się interesująca jako przedstawicielka pierwszych generacji polskich studentek i zarazem radykalnej inteligencji drugiej połowy XIX i początku XX wieku – podobnie jak Nela Samotyhowa, Teodora Oppman (Męczkowska), Gabriela Iwanowska (Balicka), Wanda Haberkant czy Rozalia Silberstein (Nusbaum) – wymieńmy tu tylko kilka słuchaczek Uniwersytetu w Genewie z okresu, kiedy studiowała tam Andronowska. O kobietach z tego pokolenia wiemy wszak znacznie mniej niż o ich kolegach, braciach i mężach¹². Chociaż różniły je poglądy, profesje, styl życia, status społeczny, potrafiły się przyjaźnić i współpracować ze sobą.

Dokumenty osobiste Emilii Andronowskiej a stan wiedzy o życiu i mentalności reprezentantek generacji „niepokornych”

W wypowiedziach Emilii uwagę zwraca pewna skłonność do egzaltacji, przede wszystkim jednak widoczny jest wstręt do banalnych, przyziemnych aspektów życia oraz marzenie o nowoczesnym związku, w którym partnerzy wsłuchują się wzajemnie w swoje potrzeby:

[...], *Semestre d'été 1899*. Genève 1899, s. 18. – *Liste des autorités [...]*, *Semestre d'hiver 1899–1900*. Genève 1899, s. 18. – *Liste des autorités [...]*, *Semestre d'été 1901*. Genève 1901, s. 12.

⁹ Zob. *Liste des autorités [...]*, *Semestre d'été 1902*. Genève 1902, s. 12. Nazwiska Andronowskiej brak zwykle w rejestrach studentów w semestrach letnich. Prawdopodobnie wyjeżdżała wtedy na dłużej do rodziców.

¹⁰ W czasie Wielkiej Wojny wyznawała: „gdyby mi było danym znowu powrócić wstecz – kto wie, czybym dużo zmieniła [...], oprócz jednej rzeczy – fachowego wykształcenia i tym samym łatwiejszej możliwości przyjmowania samodzielnego i bezpośredniego udziału w życiu” (LEA IV 162v; <1 VI 1915>).

¹¹ Emilia związała się uczuciowo z T. Waryńskim w 1913 roku, a poślubiła go 1 VII 1920, po śmierci Abramowskiego. Cezurę 1913 potwierdza A. Samotyhowa (*Artykuły i notatki o Edwardzie Abramowskim*. Bibl. Narodowa, rkps IV 11026, k. 65–69, 76–78) w swoim liście do redakcji „Nowej Kultury” z 15 V 1958, w którym prostuje nieprawdziwe i krzywdzące dla Abramowskiego informacje, przekazane przez Krzywickiego, a przedrukowane przez wspomniane czasopismo.

¹² Obecnie, po długim okresie, kiedy podejmowano raczej fragmentaryczne studia kontynuujące pionierskie prace, rozpoczęte w Dwudziestoleciu międzywojennym przez J. Hulewicza, ten stan rzeczy ulega zmianie dzięki wysiłkom takich badaczek, jak: N. Stegmanna, która w *Die Töchter der geschlagenen Helden* przebadła rodzinne i pokoleniowe uwarunkowania rozwoju polskiego ruchu kobiecego w drugiej połowie XIX wieku; A. Zawiszewska, która zrekonstruowała aktywność publicystyczną i społeczną P. Kuczalskiej-Reinschmit; K. Luksa, która przyjrzała się biografii i aktywności G. Balickiej; A. Siwiec, która przeanalizowała działalność dziennikarską i pisarską I. Moszczeńskiej, oraz J. Szyszko-Trojańska, która przygotowała monografię C. Walewskiej (wymieniam tylko autorki większych prac o charakterze monograficznym lub edytorskim; w dwu ostatnich wypadkach chodzi o rozprawy doktorskie powstałe pod kierunkiem Zawiszewskiej).

Boże, jak ja rozumiem Irenę Przybyszewskiego ze *Złotego Runa*. Ja chcę, mam żądzę wesela, śmiechu, słońca, siły, ja nienawidzę [...] smutku, spleenu, bezsilnych szarpań się [...]. Męczy mię towarzystwo Edwarda i po trosze nawet Neli. Te wzdychania, ciągłe skargi – niezadowolenia z siebie i ze wszystkiego otaczającego, bezpłodne, bo za sobą nie pociągają żadnego czynu, nic nie „tworzą”, męczą mię, nudzą – gnębia. [...] Widzieć ludzi, być wśród ludzi, którzy umieją żyć pełną piersią, wśród ludzi swobodnych i silnych. [...] jak ja tęsknię, tęsknię, tęsknię do słońca, jak mi ciąży ta szarzyzna więzienia, jak wszystkimi siłami mej duszy ja chcę się zeń wyrwać na swobodę, do wesela, życia!...¹³

Wróciłam przed chwilą od Ciotki. Dziwna rzecz, jak na mnie stamtąd zawsze *spleen* wieje. Ojej, że też ludzie tak żyć mogą, że się tak mogą kręcić w tym deptaku życiowym, bez żadnej myśli wychodzącej poza obręb karmnika, bez żadnego horyzontu. Brr, tam dopiero odczuwam całą nędzę istnienia ludzkiego. Och, Edam, my będziemy mieli życie pełne, nie takie zwyczajne, nie, nie – dla takiego to żyć nie warto. [LEM I 11; 19 XI 1902]

Och, my nie będziemy typową parą małżeńską filistrów, nie [...], przenigdy! Kochany mój, prawda – dalej, dalej odsuniemy od siebie to wstrętne nasze życie powszednie, wstrętne, brudne mydliny nie zaleją nas, wiem o tym, chcę tego i tak być musi! [LEM I 17; b. d. (listopad 1902 lub 1907)]

Przyczyn poczucia rozczarowania, wewnętrznego niepokoju i przygnębienia Andronowskiej szukać można z jednej strony w jej problemach zdrowotnych (wzmiankowane są w listach okresy złego samopoczucia, osłabienia, bóle głowy i brzucha, częste przeziębienia)¹⁴, z drugiej – w niezadowoleniu ze swoich dokonań. Zarówno w czasie małżeństwa z Abramowskim, jak i później, gdy na pierwszy plan wysunęło się uczucie do Waryńskiego, Emilia żywi pragnienie robienia czegoś, co będzie miało głębsze znaczenie. Intensywna aktywność publicystyczna, społeczna czy naukowa bliskich jej osób tym bardziej utwierdzać ją mogła w przekonaniu o własnej bezużyteczności, co jednak nie prowadziło jej do podjęcia nowych wyzwań:

Jestem okropnie zdenerwowana. [...] przyczyną główną tego stanu jest naturalnie moje życie wykołone, moja bezczynność chroniczna i po części przymusowa. [...] Przecież nie jestem osobą zupełnie szarą, przeciętną, a jakże bezpłodne jest życie moje. Straszne. [...] trafiłam w jakieś błędne koło. [...] Ambicja moja cierpi, że jestem niczym jeszcze – a przecież ja mogę być czymś! Stanowczo zrywam ze swoim dotychczasowym życiem – ono nas zjada. [LEM I 63–63v; 23 X 1904; zob. LEA II 20]

Idąc ulicą, myślałam sobie, że gdyby mnie zabili w tej chwili – nie ulękłabym się [...]. Ja się duszę w tym życiu moim obecnym, ja nie mogę, mnie się zdaje, że mnie zabierze błoto [...]. Trzeba, żebyś mi pomógł wstać [...]. [LEM I 66–68; 28 I 1905]

Tak bardzo pragnęłam wczoraj umrzeć. Wszystko, wszystko mię męczy, tak bym chciała gdzieś się schronić i stać się niewidoczną [...] i tak bardzo chcę umrzeć. Ja już na nic, na nic nie mam nadziei – a życie mię męczy. [...] Życie jest takie ciężkie jak kamień – przygniata, dławi. [...] Jestem młodą kobietą, a zdaje mi się, że już wszystko przeżyłam [...]. Nikomu ze mnie pożytku, ani mnie z niczego. [LEM I 69–69v; 4 II 1905]

Wiesz, ja bym chciała, żeby się stało coś, co by mię całkowicie mogło zaabsorbować, pochłonać. Ja się teraz ciągle to tym, to owym zajmuję – to francuskim, to trochę fizyka, naukami przyrodniczymi w ogóle, ale to nie to. Ciągłe mi różne rzeczy stają przed oczyma i sprawiają ból. Muszę sobie stworzyć jakieś własne, niezależne swoje życie. Ciekawam, co by to było, gdybym teraz wstąpiła na uniwersytet i zdała egzamina. Czy nie za późno? [LEM III 91v; 3 XI 1912]

¹³ *Dziennik oraz inne zapiski Emilii z Andronowskich 1. v. Abramowskiej, 2. v. Waryńskiej*. Bibl. Narodowa, rkps 11047 II, k. 17v–18v (2 II 1902).

¹⁴ Zob. LEA II 127v: „Sama [...] pewno wkrótce palnę sobie w łeb, bo dłużej tak w żaden sposób nie mogę [...]”. Jakieś licho mnie przesładuje z tymi drobnymi niedomaganiem (marzec 1905).

Przekonanie o mialkości własnej egzystencji szczególnie silnie dochodzi do głosu podczas Wielkiej Wojny. Osamotniona Emilia przebywa wtedy w Szwajcarii i pyta w listach, zaniepokojona brakiem wiadomości od bliskich, ale także przerażona swoim położeniem i przeszłością:

Czy ja będę zrujnowana? Napisz mi o tym koniecznie. [...]

Cóż to będzie, cóż ja będę robiła, jestem przecież nieprzyzwyczajona do walki o byt – i jeśli się znajdę na bruku... To mi też dużo chwil zatruwa. [LEM III 136v; 4 VIII 1915]

przeżywam wciąż przeszłość [...]. Takie mi się życie wydaje smutne, beznadziejnie szare to moje życie, i co gorsza, często beztreściwe, bez gruntu. [LEM III 137v; 11 VIII 1915]

Mnie się zdaje, że jest coś pokrewnego we mnie do niektórych typów Ibsena. Zdaje mi się, że jest coś we mnie pokrewnego do Heddy Gabler. To samo pragnienie rzeczy nadzwyczajnych i pięknych, które nie przychodzą. Ta sama atrofia nerwu życia. Ta sama nieumiejętność – nieprzystosowanie do życia. Ta sama nieumiejętność tworzenia życia. I tak przechodzi życie. [...] Ale czego nie mogę strawić, to to, że jestem obecnie nie w kraju. Mnie się zdaje, że się tam powinno być. Mnie się zdaje, że to jest ta chwila oczekiwana, niepowtarzalna, ta chwila opatrnościowa, kiedy się ma obowiązek pod każdym względem być w swoim kraju, u siebie, na swoich śmieciach. [...] to jest jakiś głos, który mi to powtarza. [18 XI 1915]¹⁵

Korespondencja Andronowskiej pozwala też zrekonstruować pewne stosunki towarzyskie z jej otoczenia. Miejsce szczególne przypada tutaj Anieli Miłkowskiej-Samotyhowej. Wątek ich przyjaźni, zasygnalizowany w ramach przywracania pamięci o piszących kobietach¹⁶, pojawia się również w kontekście historii polskich studentek w Szwajcarii w końcu XIX wieku¹⁷. Przywołam jedynie ważniejsze fakty i kilka wyinków z listów, aby wyeksponować pewne cechy tej relacji, której początki sięgają jesieni 1897¹⁸, a która przetrwała do czerwca 1940, kiedy to Samotyhowa¹⁹ otrzymała wiadomość o śmierci przyjaciółki w Kazachstanie²⁰.

Trudno stwierdzić, gdzie konkretnie w Genewie spotkały się Emilia i Nela²¹,

¹⁵ *Listy Emilii z Andronowskich 1. v. Abramowskiej, 2. v. Waryńskiej do męża Tadeusza Waryńskiego (1915–1925)*. Bibl. Narodowa, rkps 11063 II, k. 6v–7.

¹⁶ Zob. notatki na stronach projektu *Archiwum Kobiet*: <http://www.archiwumkobiet.pl/publikacja/dziennik-1897-1919>; <http://www.archiwumkobiet.pl/publikacja/pamietnik-pospiesznie-pisany-przez-nele-samotyhowa> (data dostępu: 1 VI 2021).

¹⁷ Zob. M. Bednarczuk, *Akademicka „międzynarodówka” kobieca? Solidarność, rywalizacja i samotność w Szwajcarii (1870–1900)*. „Wielogłos” 2020, nr 2.

¹⁸ Zob. A. Samotyhowa, *Dziennik 1897–1957*. Bibl. Narodowa, rkps 11005 I, k. 14.

¹⁹ Zob. N. Samotyhowa, *Dziennik „faktów” do odczytania Mili i Jankowi, grudzień 1939 – styczeń 1940* (część *Pamiętnika pośpiesznie pisanego przez Nelę Samotyhową*). Bibl. Narodowa, rkps 11007 II, k. 146v, 150v, 160, 162v, 167v.

²⁰ Emilia z częścią rodziny została wywieziona do Kazachstanu, do wsi w obwodzie akmolskim, gdzie zmarła 24 V 1940. Samotyhowa od jesieni 1939 poszukiwała jej za pośrednictwem rozmaitych instytucji i osób prywatnych. Od kwietnia do czerwca 1940 starała się także (bez skutku) o repatriację przyjaciółki. Zob. *Listy Anieli Samotyhowej do Emilii z Andronowskich, 1. v. Abramowskiej, 2. v. Waryńskiej*. Bibl. Narodowa, rkps 11052 III, t. 2: 1928–1940, k. 164–169. – LEA V 198–198v. – N. Samotyhowa, *Dziennik „faktów” do odczytania Mili i Jankowi*, k. 147v, 163. – *Korespondencja Anieli Samotyhowej z Miłkowskich 1. v. Jełowickiej*. Bibl. Narodowa, rkps 11021 III, t. 1: A, k. 21.

²¹ A. Miłkowska studiowała nauki przyrodnicze od jesieni 1895 do przełomu lat 1898–1899 (z przerwami). Zob. *Liste des autorités [...], Semestre d’hiver 1895–1896*. Genève 1895, s. 15.

ale zetknęły się raczej poza salami wykładowymi²². Znajomość rychło przerodziła się w głęboką zażyłość²³, a później w zbliżenie całych rodzin²⁴. Nela z matką, Idalią z Chodossowskich, często gościły u siebie Emilię lub oboje Abramowskich, oni zaś, gdy pozwalała im na to sytuacja materialna, zapraszali nawet przyjaciół do zagranicznych kurortów. Od Neli Miłkowskiej słyszy zresztą Emilia po raz pierwszy nazwisko Abramowskiego²⁵. W jednym z listów Abramowski pisze do żony: „Było mi ogromnie przykro żegnać się z Nela. [...] lubię ją ogromnie. I nie tylko przez Ciebie (bo mi się ona wydaje czasem jakby druga Ty), lecz i dla niej samej” (LED I 1v; b. d. <1901>). Jesienią 1902 tłumaczy się przed przyjaciółką żony:

Moja droga Nelu! Ogromną radość dała mi Wasza karta – tak często Was odczuwam jako kogoś bardzo bliskiego – i często też zjawia się u mnie jakieś ciemne uczucie żalu, że będąc z Wami tyle czasu, nigdy nie popatrzyłem na Was oczyma duszy; jakaś mgła nieśmiałości może, uprzedzeń [...] stawała pomiędzy nami²⁶.

Sympatia ta z czasem się pogłębi:

Wczoraj miałem sen o Was [...]: siedząc na drzewie w jakimś bogatym, zarośniętym burzami, ogrodzie, zobaczyłem Was idącą waziutką ścieżką, pomiędzy wysokimi trawami; zamyślona i spokojna bardzo, szliście wolno. Był to poranek słoneczny. Zawołałem na Was, coś zacząłem do Was mówić, nie pamiętam, ale zrobiło się mi bardzo radośnie i poczułem, że Was bardzo lubię. [...] Wiem, że jesteście w Nałęczowie. Napiszcie do mnie. Napiszcie, czy tam można byłoby teraz urządzić się, czy nie jest drogo. Mam zamiar bowiem przenieść się stąd do Nałęczowa na miesiąc – i namówić do tego Miłkę. [6 VIII 1906]²⁷

Zaniepokojony milczeniem żony Abramowski o informacje prosi właśnie Miłkowską. Bierze ona także udział w jego doświadczeniach psychologicznych²⁸. Emilia zaś ma w niej „najdroższą” osobę (LEA I 6), „dzieciaka” (LEA I 66) i „kociaka” (LEA I 11v), powierniczkę, towarzyszkę studiów i podróży: „Byłam dzisiaj z N[ela] w Zachęcie” (LEM I 4; 14 XI 1902), „jadę na Litwę, [...] pisz do Neli naturalnie” (LEM I 19; 30 VI 1903), „Chcę być w Brukseli [...], chciałabym się widzieć choć przez parę dni z Nela” (LEM II 28; 13 V 1911). Oprócz spotkań i wspólnych wyjazdów nie do przecenienia była wzajemna pomoc pieniężna. Z reguły to Emilia dysponowała większymi funduszami, lecz zdarzało się, że Nela wspomagała przyjaciółkę albo Abramowskiego, ten ostatni z kolei dyskretnie popierał jej starania o stypendium Kasy im. Mianowskiego²⁹. Co więcej, pierwszy mąż Neli, Zdzisław Jełowicki, i być może ona sama³⁰ włączyli się podobno w krótkotrwały eksperyment, jakim była

²² Jesienią 1897 obie mieszkały w Genewie przy Route Caroline: Emilia pod numerem 11, Nela – 16.

²³ Zob. A. Samotyhowa, *Dziennik 1897–1957*, k. 42.

²⁴ Samotyhowa aż do lat sześćdziesiątych XX wieku koresponduje z siostrami Emilii.

²⁵ Zob. LEA I 20v–21: „Będzie wychodził w Warszawie »Przegląd Filozoficzny«, czy już wychodzi. Ze znajomych nazwisk »Edward Abramowski«, nie wiem, czy ten, o którym opowiadałaś” – donosiła E. Andronowska z Barnaui 11 VII 1898.

²⁶ *Korespondencja Anieli Samotyhowej*, t. 1, k. 6; <20 X 1902>.

²⁷ *Ibidem*, k. 13.

²⁸ *Ibidem*, k. 6 (20 X 1902).

²⁹ Zob. *Korespondencja Anieli Samotyhowej*, t. 1, k. 3, 15, 18–18v.

³⁰ Krzeczowski (*op. cit.*, s. 39, przypis 2) wymienia tylko pierwsze litery imion członków i członkiń owej komuny, wśród nich „M. Miłkowską”. W Genewie studiowała wówczas jedna z córek

tw. genewska komuna, w której poza Abramowskim, jego żoną i jej siostrą Marią Andronowską³¹ znaleźć się miała grupka studentek oraz kilka osób ze środowiska polonijnego spoza uniwersytetu³².

Korespondencja Abramowskich a stan wiedzy o ich małżeństwie

Emilia Andronowska bliżej poznała swego przyszłego męża w drugiej połowie maja 1901³³, a wyszła za niego w sierpniu³⁴. Małżeństwo było rezultatem fascynacji, ale na decyzji Andronowskiej zaważył, być może, także jakiś rodzaj zazdrości o Miłkowską (wówczas już zamężną), wobec której żywiła głębokie uczucie, trudne do zdefiniowania dla niej samej. „Ach, jaka ja jestem Was ciekawa!” – zwraca się w niedatowanym liście z Krakowa do Jełowickich – „i Waszych min. Ty najprawdopodobniej w to nie wierzysz, wydaje Ci się to wymysłem wszystko!” (LEA I 189v). W grę wchodziło zapewne także pragnienie częściowego uniezależnienia się od rodziny (LEA I 167v; 193–193v; 196).

Charakterystyczne są opowieści Andronowskiej o pierwszych spotkaniach z Abramowskim:

Dzisiaj rano wstałam o... 9tej, więc Chodat³⁵ poszedł w trąbę. Wstydę się. – Wysłałam. Abr[amowski] wyszedł także. Spotkaliśmy się na schodach, szliśmy razem do uniwersytetu. Mówiliśmy coś o wykładach w Krakowie. Poza ramy szablonu studenckiego nie wyszliśmy. – Powiedział mi, że wyglądam bardzo dobrze. [LEA I 107–107v; <15 V 1901>]

Wiesz, co Abr[amowski] powiedział? „Dziwna rzecz, jak Wy mnie ogromnie przypominacie koleżankę Nelę”. ([...] ja nawet dosyć lubię, jak on tak patetycznie mówi, tak „smiesznie”; kiedy przypominałam [sobie], że to on zapewne z powodu jakania się – to zrobiło mi się przykro, że przedrzeźniłam). „Zupełnie mam złudzenie, jakbym z nią rozmawiał”. [LEA I 122; 20 V <1901>]

Jeszcze w lipcu, gdy podczas wspólnych wycieczek Emilia i Edward dyskutują o zdradzie, szczerości i relacjach pozamałżeńskich, w listach do Neli, w których rozmowy te są relacjonowane, padają zapewnienia typu: „Dzieciaku mój, moje złoto, moje ukochane! Nie myśl tylko, – to wcale nie znaczy, żebym się wybierała poślubić kogoś – to taka tylko wymiana zdań *fin de siècle*” (LEA I 181; <7 VII 1901>). W końcu wszakże pojawia się słowo „narzeczony” i refleksje o naturze tego zbliżenia,

T. T. Jeża (właśc. Z. Miłkowskiego), Maria Miłkowska (1878–1907). Być może jednak do przypisu wkradł się błąd literowy i chodzi o Nelę Miłkowską.

³¹ M. Andronowska zapisała się na Wydział Humanistyczny i Nauk Społecznych w Genewie jako wolna słuchaczka jesienią 1901. Zob. *Liste des autorités [...], Semestre d'hiver 1901–1902*. Genève 1902, s. 23.

³² Dzieje genewskiej komuny domagają się dalszych badań. Ani w korespondencji Abramowskich, ani w listach i dziennikach E. Andronowskiej i Miłkowskiej z tego okresu nie udało mi się znaleźć wzmianek na temat owej wspólnoty, funkcjonującej – wedle Krzeczowskiego – między 1901 a 1902 rokiem.

³³ Na początku maja E. Andronowska przeprowadza się do mieszkania przy Rue Goetz-Monin 12 (LEA I 77), gdzie jej sąsiadem będzie m.in. Abramowski.

³⁴ List E. Abramowskiego ze Stefanina, z 19 VIII 1901 (LED I 4; 14), adresowany jest już do „Emilii Abramowskiej”.

³⁵ Robert Chodat – profesor botaniki, a w latach 1898–1910 rektor Uniwersytetu w Genewie, promotor pracy doktorskiej G. Iwanowskiej-Balickiej. Na wykłady Chodата uczęszczała też E. Andronowska.

z jednej strony „nieoczekiwanego”, z drugiej istniejącego „od dawna” (LEA I 189v–190v; b. d. <1901>):

Czasem mi się wydaje, a nawet przeważnie, że go kocham – [...] czasem miewam wątpliwości – o, których on wie [...]. – On dosyć dobrze scharakteryzował moje uczucie. Mówił, że go kocham, nie odczuwając w nim silnie mężczyzny – i to racja. Domieszka zmysłów w tym uczuciu jest naturalnie, lecz jest dużo czegoś subtelного, delikatnego i uczucie opiekuńcze [...]. [LEA I 190; b. d. <1901>]

Serdeczna więź emocjonalna łączyła ich co najmniej do sierpnia 1915 (w zachowanej korespondencji są znaczące luki), chociaż zarówno w początkowym, jak i końcowym okresie ich małżeństwo przypominało relacje siostrzano-braterskie. Jesienią 1901 Andronowska donosi Miłkowskiej: „Stosunek nasz jest niezmiernie jasny, pogodny, przyjacielski z wykluczeniem niemal zupełnym sfery zmysłowej” (LEA I 210; 30 X 1901). 8 I 1914 pisze do męża: „Jak się czujesz, niepokoi mię to trochę. Ale prawda, że dobrze? I że Żbikunka za dwa miesiące przyjedzie [...] zdrowszy i dzielny?” (LEM III 1). Abramowski zaś wyznaje 9 II 1915: „Ty moja słoneczna dziewczynko! Co za los wstrętny, żeby nie móc być z Tobą [...]. Bardzo Cię kocham, moja mała córeczko, bardzo, bardzo, i ciągle jestem z Tobą” (LED III 126). W ich relacji na pewno nie brakowało porozumienia, miłości ani wzajemnego zainteresowania. Trudno sobie zresztą wyobrazić, aby Abramowski związał się z nieciekawą kobietą. „Nikt nie był obojętny wobec niego” – to słowa Dąbrowskiej³⁶. Samotyhowa z kolei wspominała:

Dziwny człowiek, o tajemniczym uroku osobistym, o zachwycającej inteligencji, o wytwornej bezpośredniości [...]. Posiadał w rzadkim stopniu rozwinięty [...] dar zbliżania się do ludzi. [...] Nieproszeni, zwierzali mu tajemnice i w jego obecności przeżywali afirmację własnej istoty. [...] ożywiał i powielał ich poczucie własnej wartości³⁷.

Również osobowość i aparycja Andronowskiej były niepospolite. Świadcza o tym przede wszystkim listy Abramowskiego, który ujawnia w nich poetycką stronę swojej natury:

Wiesz, moja malutka, że dotąd jeszcze nie wierzę w to, że nie jesteś ze mną; ciągle wydaje mi się, że jesteś gdzieś w wagonie i mimo woli szukam Ciebie. Jestem znużony bardzo, senny, i nie myślę o niczym, nie zdaję sobie nawet jasno sprawy z tego, żeś Ty naprawdę już odjechała – czuję tylko, że jakiś ogromny smutek legł we mnie, że naokoło wszystko się zaćmiło, znędźniało i stało się czymś ciężkim. Stoisz mi ciągle w oczach – [...] całego mnie przenikasz. [...] Mój ty jedynaczku kochany, Ty nie wiesz nawet, czym Ty dla mnie jesteś, cała moja dusza przeszła do Ciebie i do Ciebie należy zupełnie i w całości. [...] Nigdy już takiego głupiego lata nie będzie, nie chcę wcale rozłączać się z Muśką [...]. Ty moja czarodziejko złota, Ty mój ptaku wiosenny, wszystko jest piękne, ukochane i dobre, z czym Ty się łączysz. [LED I 1–1v; <1901>]

Moje dziecko złote, moja mała, jakże to źle być bez Ciebie! Będę się starał zaraz wziąć się do roboty jak najbardziej intensywniej i znaleźć w sobie dostateczną moc opierania się cierpieniom tęsknoty i żalu, bo inaczej zjadłoby mię one chyba zupełnie. [...]. Chciałbym [...] móc pojechać teraz do Barnaułu. I będę spieszył się z wykończeniem swych robót, aby móc tak zrobić. Ściskam Ciebie, moja malutka dziewczynko, bardzo, bardzo, E. [LED I 2v; <sierpień 1901>]

³⁶ Dąbrowska, *op. cit.*, s. 17.

³⁷ N. Samotyhowa, *Edward Abramowski i jego poglądy*, s. 8. Zob. L. Krzywicki, *Wspomnienia*. T. 2. Warszawa 1958, s. 316–317.

Gdy noc zapada i gwiazdy zapalają się, ścigam Ciebie myślą po jakichś nieznanych przestrzeniach i zdaje mi się, że gdzieś ścigam Ciebie w jakiś tajemniczy sposób, że moje ramię astralne obejmuje Ciebie, że [...] zbliżam się do Ciebie, i pieszczę, i całuję moją świętą, moją jedyną. [LED I 6; 20 VIII (1901)]

Czytelników tej korespondencji uderzają dwie rzeczy: „koczowniczy” tryb życia Abramowskich³⁸ oraz czułość i troska pomimo sporów czy problemów. Krótsze i dłuższe rozstania – powodowane chorobą Edwarda, jego zajęciami pisarskimi bądź naukowymi, sytuacją polityczną (kłopoty z przekraczaniem granic między zaborami, a po wybuchu Wielkiej Wojny z przedostaniem się na ziemie polskie), problemami zdrowotnymi Emilii, jej chęcią zwiedzenia Europy, wreszcie sprawami rodzinnymi obojga – rodziły tęsknotę i prowokowały nieporozumienia. Nie były jednak niczym wyjątkowym na tle młodej inteligencji tego czasu.

Uwagi komentatorów³⁹ o niedobranii Abramowskich mają wprawdzie potwierdzenie w kilku zapisach z *Dziennika* Emilii oraz w niektórych listach, lecz w dokumentach osobistych obu stron widoczne są także starania o przezwycięzenie kryzysów i znalezienie satysfakcjonującego *modus vivendi*. Emilia np. prędko zdaje sobie sprawę z ambiwalencji swoich uczuć; dostrzega konflikty wynikające z różnicy charakterów i własną niechęć wobec, po pierwsze, instytucji małżeństwa, po drugie – ludzi chorych. Edward z kolei miewa wahania nastrojów, oczekuje potwierdzenia swej wyjątkowości. Jak konstatuje Emilia w lutym 1903:

Jego dotknąć, to świat się wstrząsa w posadach [...]. Ja go czasem szczerze nienawidzę. Potem, kiedy ja się gniewam – zaczynają się zdenerwowania, czarne melancholie – marzenia o samobójstwie [...] ⁴⁰.

Stąd wcześniej rodzi się myśl o rozstaniu: „Zdaje mi się, że najlepiej by było – gdybyśmy sobie wzajemnie wrócili dawną swobodę – i tak też uczynię. Trwanie w takim stosunku to dobrowolne obniżanie się” – zapisuje młoda żona w maju 1903⁴¹. 15 IX stwierdza:

lubię go bardzo – mogłabym być jego przyjaciółką – ale reszta – uczucie kochanki, ulatnia się szybko i bez śladu. Teraz właśnie jest epoka przełomowa. Muszę przerwać moje dotychczasowe stosunki [...] i stanąć na stopie koleżeńskiej. [...] małżeństwo [...] jest stworzone chyba na to, żeby ludzi sobie wzajemnie zbrzydzić, stosunki ich zepsuć i zbanalizować, wykoszlawić. Zresztą u nas jest jeszcze specjalnie trudniejszym zgodne pożycie. Przy tym nieszczęście chciało, że u E[duarda] okazała się tuberkuloza – musi on się leczyć – a dla mnie człowiek niedomagający i kawęczący – to jest chyba tylko na to, żeby mnie rozdrażnić. Od najwcześniejszego dzieciństwa swego nienawidziłam ludzi ciągle niedomagających – nawet chwilami szczerze nie cierpiałam za to swojej własnej matki, mojej biednej mamusi kochanej. Naturalnie muszę z nim być, bo inaczej on nie może. Był beze mnie 3 tygodnie w Zakop[anem] i strasznie tęsknił, pisał co dzień listy straszne – pojechałam i jestem teraz z nim już 6 tygodni w Szwajcarii. [...] Ja się nie nadaję na ofiarę, ani na żonę! [...] Ja się buntuję przeciwko poświęceniu swoich upodobań, potrzeb, żądań – nawet bodajby w imię miłości bliźniego. Jestem straszna egoistka [...] ⁴².

³⁸ N. Samotyhowa, *Edward Abramowski i jego poglądy*, s. 12.

³⁹ Zob. Krzeczkowski, *op. cit.*, s. 40. – Krzywicki, *op. cit.*, s. 323. – Giełżyński, *op. cit.*, s. 69–70.

⁴⁰ *Dziennik oraz inne zapiski Emilii z Andronowskich*, k. 27 (16 V 1903). Zob. LEA I 209v–210.

⁴¹ *Ibidem*, k. 28v.

⁴² *Ibidem*, k. 30–31v.

Kilka miesięcy później stwierdza: „żyć z nim nie mogę – nie mogę go znosić po prostu czasem – a czasem go kocham – i ta rozterka denerwuje mnie najwięcej”⁴³. Sprzeczne uczucia będą długo towarzyszyć Emilii⁴⁴, do oficjalnego rozstania nie dojdzie jednak przez kolejne lata, chociaż, jak wspomniałam, dość szybko pojawia się pomysł separacji. W *Dzienniku* pod datą 16 V 1903 znajduje się notatka:

Teraz on jedzie za granicę – rozstaniemy się na kilka miesięcy. Bardzo to dobrze pod każdym względem. Będzie czas obmyśleć. Potem stosownie do tego, jak mi się to będzie przedstawiało – pojedę gdzie indziej niż on lub też zupełnie zmienię swoje postępowanie z nim [...] – a prawdopodobniejsze, że się rozstanę. Znadto nerwowo mam dla niego charakter [...]”⁴⁵.

Mimo wewnętrznych oporów Emilia podporządkuje własne zainteresowania i potrzeby planom męża. Godzi się na brak stałego miejsca zamieszkania, a z czasem dostrzeże zalety takiego układu. O tym, że w pewnym momencie wybrała życie w oddaleniu od Abramowskiego, świadczą przede wszystkim jej dłuższe podróże – samotne, w towarzystwie matki, którejs z siostr bądź Neli. Konsekwencją pobytu za granicą w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej było zresztą kilka lat spędzonych z dala od bliskich. Zarazem wciąż powracają w listach zapewnienia tęsknoty, miłości i oddania. Przywołajmy kilka przykładów:

Edam mój ukochany, wczoraj otrzymałam list Twój. Tak na te listy czekam, tak bym chciała żeby przychodziły często, często, żebym nigdy do skrzynki na próżno nie zaglądała. [LEM I 3; 14 XI 1902]

jak bym ja chciała przynieść Ci dużo, dużo szczęścia, słońca, jasności [...]. I tak Ciebie kocham, że chyba musi się to stać. [...] precz, wszystkie zmyry, cierpienia, nędze życia od mojego ukochanego, – nie, nie, on do mnie należy... [LEM I 54–55v; 17 I <1904>]

Wiesz, tak mi bardzo miło jest myśleć, żeśmy nie zatracili swojej przyjaźni i że poza wszystkim – Ty jesteś moim przyjacielem, któremu ja ufam i wierzę. [LEM I 28; <1903>]

Listka od Ciebie nie ma [...]. Jak się czujesz, niepokoi mię to trochę. Ale prawda, że dobrze? I że Żbikunka za dwa miesiące przyjedzie odwiedzić Dziabę zdrów i dzielny? [LEM III 1; b. d. <8 I 1914>]

Nie zmienia się to nawet wówczas, gdy w Andronowskiej dojrzewa decyzja o oficjalnym rozstaniu, hamowana jedynie przez strach przed pogorszeniem się stanu Edwarda i społecznym ostracyzmem. Wiosną 1913 roku Emilia zamierza zająć się formalnościami rozwodowymi, ważnymi dla niej tym bardziej, że zacieśnia się jej znajomość z Waryńskim⁴⁶, lecz wobec niechętniej postawy Abramowskiego porzuca ów pomysł⁴⁷. Oboje pozostają sobie bardzo bliscy.

⁴³ *Ibidem*, k. 35v (17 IV 1904). Przywołane słowa poprzedza znamienna uwaga (*ibidem*, k. 35): „Znowu zasiadam do tego kajetu, który Edward nazywa swoją »czarną księgą«, gdyż dowodzi, iż piszę wtedy tylko, gdy jestem na niego zła”.

⁴⁴ Zob. *ibidem*, k. 29v (16 V 1903): „Czyniąc krok, który nas związał, byłam jeszcze dzieckiem – nie rozróżniałam dobrze, co robię. To jest rzecz znacznie więcej skomplikowana [...], niż się wydawać może i zwykle wydaje. Więc trzeba mieć odwagę za cenę kilku chwil nieprzyjemnych uratować siebie”.

⁴⁵ *Ibidem*, k. 29.

⁴⁶ 20 IV 1913 w liście do Samotyhowej pojawia się następująca wzmianka: „T[adeusz] [...] strasznie zdenerwowany, zupełnie chory. [...] – No, a w domu co się dzieć będzie, to nie wiem. Skończenie świata” (LEA IV 102v).

⁴⁷ Zob. LEA IV 104v–105 (9 V 1913): „W początku lipca T[adeusz] prawdopodobnie jedzie na Ural –

Prawda, Żbikunczko, że Ty się bidunką nie czujesz – prawda, powiedz? Bo i czemuż miałbyś czuć się biednym, kiedy Ty masz i zawsze mieć będziesz siostrzyczkę Dziabę? A ja naprawdę jestem i będę względem Ciebie uczciwą – i nie łudząc Cię, mówię, że współżycie duchowe między nami nie ustanie i ustać nie może. Chybabyś Ty się zmienił, ale nie bardzo w to wierzę. Nie chciałabym tylko, żeby życie Twoje było smutne – ale ono przecież może być pomimo moją nieobecność pogodne, prawda? [...] A ciekawa jestem, czy Ty jesteś zdolny wytrwać w tym uczuciu – w takich warunkach niesprzyjających? – Ciekawam, czy to będzie wielki skandal i czy mnie ludzie będą bardzo szarpali, jeżeli różne rzeczy staną się przed zmianą papierów? A przecież zmiana papierów jest dla Ciebie rzeczą drażliwą – i dlatego ja nie spieszyłam z nią – chociaż już mogła być załatwiona. [...] A powiedz, jak Ty myślisz obiektywnie – czy to mnie odgrodzi od społeczeństwa? [LEM III 5–6; 28 I 1914]

Wymowna jest w tym kontekście również reakcja żony na wieść o uczuciu Abramowskiego do kobiety o imieniu Janina. Emilia prosi o więcej informacji, dziękuje za szczerość i przez kolejne miesiące utrzymuje z mężem żywy kontakt listowy; zaprasza go nawet do Brukseli. 23 VI 1914 oznajmia: „Bardzo dobrze zrobiłeś, Żbikunko, żeś mi otwarcie napisał. [...] Był to dla mnie cios – rzecz, w którą jeszcze nie mogę uwierzyć. Ale między nami powinna być przede wszystkim szczerość” (LEM III 59). Padają pytania: „Czy to przyjaźń? Napisz mi co o niej [...]. Jaką ona jest, jakie są Wasze stosunki, o czym rozmawiacie ze sobą, czy mówicie o sobie” (LEM III 53v; 31 V 1914). W kolejnych listach docieka:

Gdzie jest teraz p. J[anina]. Kiedy wraca do Warsz[awy]. Kiedy masz zamiar z nią się widzieć. – Czy często pisuje ona – i pisujesz Ty. [...] dotychczas nie dowiedziałam się, czy jesteście na Ty? Czy jesteście zakochani? [LEM III 68–68v; b. d. <lato 1914>]

Stwarza to wrażenie, że nowa kobieta w otoczeniu męża zasiała w niej ziarno zazdrości, mimo że sama Emilia już rok wcześniej „postanowił[a] sobie inne życie urządzić” (LEA IV 102v; 20 IV 1913):

Ty mówisz, że to co innego niż z Locią – tak, powierzchownie co innego. – Ale Locia nie wchodziła w moją dziedzinę, a p. J[anina] wchodzi. Ona jest moją rywalką. A ja się na drugie miejsce – ani na podział zgodzić nie mogę. To jest dla mnie takie bolesne, że nie ma rzeczy wiecznych, pozawarunkowych [...]. Że Żbikunka nie jest rycerzem „wiecznym sercem”. [LEM III 73–73v; b. d. <1914>]⁴⁸

Związek Abramowskich rozwijał się zatem między pożądaniem a przywiązaniem siostrzano-braterskim, natomiast pragnienie bycia razem zderzało się z realiami życia (i częstymi rozłakami) oraz potrzebą dystansu (wyrażaną od pewnego momentu głównie przez Emilię). Przyjrzyjmy się bliżej dynamice tej relacji.

wszystko się tak płacze. Sytuacja jest rzeczywiście przez swoją niejasność [...] niemiłą – i niczego nie chciałabym tak bardziej, jak żeby się to zmieniło. Ale z naturą E[dwarda] czyż to jest łatwe? On niczemu formalnie się nie sprzeciwia – ale uniemożliwia mi to przez swoje stanowisko w tej sprawie. [...] Toteż jestem zdecydowana [...] sprawę tę ujawnić i kroki potrzebne przedsięwziąć. – Wszystko wikła też stan zdrowia Edw[arda] – a właściwie jego stan psychiczny – bo to przecież od tego wszystko zależy”.

⁴⁸ Zob. LEA IV 154v (6 I 1915). Emilia była osobą bardzo dyskretną i rzadko mówiła wprost o relacjach Abramowskiego z innymi kobietami, chociaż cierpiała z ich powodu. W roku 1913 skarżyła się np. przyjaciółce na zachowanie męża: „do Kosowa jedzie [...], żeby romansować na prawo i na lewo, bo uważa, że cnota nie »popłaca«. [...] mówi [...], że [...] tylko używanie życia ma sens. To jest kwintesencja nowej filozofii” (LEA IV 104; 2 V 1913).

Abramowscy w świetle listów – miłość, wsparcie, tęsknota i przyjaźń

W pierwszych latach po ślubie na plan pierwszy wysuwa się dbałość o zdrowie i sukces naukowy Abramowskiego. W jego listach powtarzają się skargi się na niemoc twórczą podczas nieobecności Emilii, można więc sądzić, że wchodzi ona w rolę opiekuńczej żony, pozostającej w tle, i skutecznie tłumi wszelkie niejednoznaczne uczucia wobec męża:

Jestem bez Ciebie gorszy, zwięziony wewnątrz, niewolnik nieokreślonych strachów, i żadna, najmniejsza iskra radości rozpaść się we mnie nie może, nawet wtedy, gdy piszę i pracuję. O, jakież to straszne, jakie marne życie bez Ciebie! [LED I 19; b. d. <1902>]

Prawda, że Ty już prędko przyjedziesz i że my już nigdy nie powtórzymy tej męczącej, złej [...] próby? – Dni spędzam przeważnie pisać i czytając, na zwykłym miejscu, w naszym pokoju, rzadko z kim rozmawiam, bo miałbym tylko ochotę rozmawiać o Tobie [...]. Piszę jednak mało, idzie mi to powoli, gorzej idzie, niż szło przy Tobie, zanadto często myśl moja jest gdzie indziej [...]. Zobaczysz za to, gdy już przyjedziesz, jak będzie dobrze, wezmę się wtedy do pracy bardzo intensywniej i wszystko pokonczę. [LED I 21–21v; b. d. <1902>]

Ogromnie żałuję, że Ciebie nie ma tutaj [...], tak mi brak jest kogoś bliższego, żeby się z nim podzielić tym wszystkim, co pisałem, a co dla mnie takie ważne jest. Ogromnie mi brak Ciebie – czuję często jakąś nieznośną pustkę [...], potrzebuję wymiany myśli, często pociechy, dodania wiary, pomówienia o wątpliwościach różnych, a wszystko to muszę w sobie zdusić i stłamsić. Czasem nawet napada mnie uczucie zniechęcenia do tego, co robię, jakaś apatia, myśl ponura, że to nikogo nie obchodzi [...]. Ale to wszystko są zmyły samotności, zmyły ciężkie, czasem tak ciężkie, że mógłbym jak dziecko płakać [...] Teraz, gdy przepisuję swoje rzeczy, to przy każdym ustępie stają mi w oczach te chwile i okoliczności, które towarzyszyły memu pisaniu [...] dni w Château-d'Oex, [...] takie piękne, takie rajskie różne rozmowy z Tobą, różne małe troski i oczekiwania [...]. Ach, jak tam było dobrze wtedy! I nic dziwnego, że tam było tak dobrze, bo tam był ten czar, to piękno, to źródło życia, którym jest dla mnie jedna, nad świat i życie droższa istota, moja czarodziejka [...], baśń moja. [LED I 74–75; 8 I <1904>]

W świetle tych wyznań Emilia jawi się jako inspiratorka, kobieta motywująca i mobilizująca męża do pracy twórczej⁴⁹. Przez kolejne lata będzie ona dbać o sprawy naukowo-organizacyjne Abramowskiego, w razie potrzeby wytykając mu brak wytrwałości i apelując o rozsądek:

Moja myszko szarenika, droga [...]. Chciałabym z Tobą poważnie pomówić. [...] Zrozumiej, że musisz się do labor[atorium] odnieść bardzo poważnie, że m u s i s z być dobrym kierownikiem, który naprawdę w to dużo wkłada z siebie, i nie tylko z dziedziny fantazji. Ja chcę, ja w y m a g a m od Ciebie, żebyś był kierownikiem, któremu nie można zrobić żadnego zarzutu – żebyś zaprzestał być tym, co rzuca pomysły, które inni nieudolnie i wypaczając wykonują – to taka dotychczas b e z o w o c n a rola! To życie wyłącznie w świecie teorii! To zabawa w coś, co nie jest! Musisz być kowalem – lub niczym – o ile nie chcesz wskrzesić czasów świętych mistyków. [...] Musisz teraz pokazać mnie, sobie, światu, że umiesz być czymś – i to teraz – czas jest chyba najwyższy [...]. Albo teraz – albo wcale! Znużyły mnie już te wieczne przeszkody, które Ci stają na drodze. Dlatego że jesteś za granicą – a nie w kraju, albo dlatego, że jesteś w kraju – a nie za granicą – albo dlatego, że mnie nie ma przy Tobie – albo jeszcze dla czegośkolwiek – i tak wiecznie. Nie można wiecznie być dzieckiem. Wiesz dobrze, że rachunek sumienia nie tylko dla mnie jest potrzebny – i jeżeli ten czas obrócisz na zniechęcenie, przygnębienie, tęsknotę i zagłębianie się w siebie – a raczej na przepędzenie dni, aby szły – to wielkich rezultatów z tego nie

⁴⁹ W roku 1904 dostrzegalna jest istotna zmiana w tej relacji: z listów Andronowskiej wynika, iż przemysłała wówczas wiele spraw, a jej miłość do Abramowskiego się pogłębiła.

będzie. Ja z Tobą takim ani tygodnia nie zostanę! Mam tego tak dosyć – przecież nieraz mówiliśmy o tym. [LEM I 142–143; b. d. <listopad 1910>]

Przytaczam te wyimki w przekonaniu, że warto uwzględnić rolę Emilii analizując proces twórczy Abramowskiego. Można sądzić, iż obecność oraz osobowość żony dostarczały mu nie tylko istotnych impulsów umysłowych, ale także – lub przede wszystkim – niezbędnego mu poczucia bliskości i stabilizacji. Przywołajmy jako ilustrację tej obserwacji fragmenty trzech listów:

Ty słoneczna moja, Ty może nie wiesz nawet, jakie bogactwo, jaką jasność wprowadziłaś do duszy mojej! Ach, żeby tylko już być z Tobą [...] [LED I 9v; b. d. <1901>]

dopiero przy Tobie będę mógł pisać z całym swobodnym, spokojnym rozpędem myśli. Teraz często bywa, że po godzinach całych nie mogę nic robić, napada mię martwota jakaś, coś ciężkiego przytłacza mózg i serce [...]. [LED I 24v; b. d. <18 XI 1902>]

Milko, Milko, kiedy Ty tu będziesz? Choć nie chcę poddawać się temu i opieram się, jak mogę, ale męczy mnie strasznie tęsknota za Tobą. Dziewczyno Ty moja droga, jak ja bezustannie marzę o Tobie, jak ja Cię pieścę całą potęgą swej wyobraźni [...]. Oddałbym wszystko za jedną Twoją pieśczętę, za jeden uścisk Twój, wszystko, wszystko [...]. [LED I 128–128v; b. d. <1905>]

Co więcej, studia nad podświadomością, wydane w Paryżu w roku 1914, a zatem w czasie, gdy Emilia poważnie myśli o rozwodzie, dedykuje Abramowski żonie, o której mówi czule, uwypuklając jej udział w powstaniu tych koncepcji. Zważywszy na niełatwe relacje małżeńskie w latach poprzedzających ukazanie się tej pracy, należy założyć, że Edward wyolbrzymia rolę Emilii, kiedy przypisuje jej „prawdziwe” autorstwo swoich idei. Musiały wszelako istnieć powody, dla których zdecydował się złożyć jej ten hołd, i nie była to raczej jedynie chęć zatrzymania żony przy sobie:

DO MOJEJ ŻONY

MADAME EMILII ABRAMOWSKIEJ

Do Ciebie, moja przyjaciółko, należy ta wieloletnia praca badawcza, gdyż Tobie tylko zawdzięczam wszystkie godziny inspiracji i energii umysłowej. Jeśli są w tym dziele jakieś nowe idee, które wnoszę do Nauki, to pochodzą one z Twojego umysłu i Ty jesteś ich prawdziwym autorem⁵⁰.

Warto przyjrzeć się dalej „koczowniczemu” życiu Abramowskich. Wyjazdy obojga wiążą się ze sprawami rodzinnymi, majątkowymi i zdrowotnymi. Podróżuje Emilia (do Barnału, na Litwę, po kontynentalnej Europie), częściej jednak dłuższe rozstania spowodowane są chyba potrzebą uregulowania różnych kwestii finansowych przez jej męża, jego kuracjami i chęcią przebywania w rodzinnym Stefaninie⁵¹. W swoim *Dzienniku* Emilia notuje np. 17 IV 1904: „Edward jest na Ukrainie – od 6 czy siedmiu tygodni, wydzierżawia majątek – pojechał tam na 6 dni. Jak zawsze”⁵². Abramowski jednak także cierpi przez częste niewidzenia:

⁵⁰ E. Abramowski, *Le Subconscient normal. Nouvelles recherches expérimentales*, Paris 1914, s. [2]. Oryginał brzmi następująco: „C'est à Toi, mon amie, qu'appartient ce travail de longues études, puisque c'est à Toi seule que je dois toutes mes heures d'inspiration et d'énergie mentale. S'il y a dans cet ouvrage quelques idées nouvelles, que j'apporte à la Science, ces idées viennent de Ton esprit et Tu en es le véritable auteur”.

⁵¹ Zob. Krzeczkowski, *op. cit.*, s. 13–15.

⁵² *Dziennik oraz inne zapiski Emilii z Andronowskich*, k. 35v.

Chciałbym, tak samo jak Ty, aby przyszłe lato należało wyłącznie do nas, żeby już nie trzeba było jeździć do Barnauiu, żebyśmy mogli z zupełną swobodą urządzić sobie coś bardzo miłego, coś takiego, co by nam dawało ogromne bogactwo życia wewnętrznego; gdy myślę zresztą o naszym przyszłym życiu wspólnym, przychodzi mi do głowy tysiączne obrazy różnych światów nieznanych, pociągających, z których czerpać będzie można niezliczone skarby ducha. [LED I 9v; b. d. <sierpień 1901>]

Nomadyczny styl życia miał zalety i wady. Dawał, po pierwsze, poczucie wolności, zwłaszcza w latach niezakłócanych troskami materialnymi; po drugie – pozwalał na zredukowanie potencjalnych konfliktów oraz prozaicznych stron życia, które irytowały żonę Abramowskiego:

Edek, Ty nie znasz całej głębi mojego kochania [...]. Edziu, widzisz, jakie jest uczucie moje, gdy jest oczyszczone od tych małych drobiazków pospolitego życia. O, Edek, zróbmy, by nigdy już one nam nie brudziły, odsuńmy je daleko od siebie! Zrób, bym Cię nigdy nie widziała w szarym, małym życiu! [LEM I 54–55; 17 I <1904>]

Podróże stają się z czasem odskocznią od codzienności; dzięki nim Emilia zaczęła realizować własne pragnienia, chociaż w razie potrzeby gotowa będzie zająć się mężem:

Przedemną Twoją fotografią – tego Ciebie, którego poznałam. Ile cierpienia w Twoich oczach! [...]. Ja tak pragnę swojego odrodzenia, ja się muszę odrodzić, muszę z siebie otrząsnąć wiele rzeczy złych i wiem, wiem, że mi w tym nie przeszkodziś. [...] we współżyciu trzeba mieć dużo intuicji, wzajemnego rozumienia się i wyrobień, by nie przeszkadzać. Chciałabym, byśmy to życie takie krótkie – tak szybko zmierzające ku końcowi, nie zmarnowali i będę się starała, by ono było pięknym. [LEM I 54–55; 17 I <1904>]

A ja tak dużo o „szareńkim” myślałam i myślę, i jeżeli on myśli, że się o nim zapomina, to się mocno myli. Napisz mi dokładnie, jak jest ze zdrowiem. Jeżeli koniecznie będzie potrzeba, naturalnie ja przyjadę, ale wołałabym móc zostać tu jeszcze jakie dwa tygodnie przynajmniej. [LEM II 102v–103; 29 V 1913]

Edward natomiast znosi samotność bardzo źle. W jego listach dominują tęsknota oraz niecierpliwe oczekiwanie na spotkanie. Kiedy Abramowski pisze o swoich snach i odczuciach, w jego wyznaniach pobrzmiewają nuty niemal histeryczne:

Moja najdroższa i moja jedyna, jak mi brak Ciebie. Wszystkie czary świata i wszystkie dobra dusz[yl] za Ciebie bym oddał, bo widzę, że one w Tobie tylko są dla mnie teraz [...]. Co chwila budziłem się z bijącym sercem i uwagą natężoną na coś, co działo się w przyległych pokojach, i zdawało mi się, że słyszę jakieś chodzenia i szepty i coś jakby zbliżało się do mnie. Potem zasnąłem snem głębokim i byłeś Ty ze mną. Nie widziałem Cię, nie miałem snów żadnych, a tylko w jakiś ślepy i głuchy sposób, śpiąc, czułem Twą obecność. Zbudziłem się w tym mniemaniu, że jestem w Genewie i że za ścianą Ty jesteś. [LED I 5–5v; 19–20 VIII <1901>]

Smutno jest przede wszystkim dlatego, że wczorajsza poczta nie przyniosła mi żadnego listu od Ciebie [...] – zmora niepokoju znowu obudziła się we mnie, rozsiadła się w duszy i gnębi, rodząc myśli trwożliwe i przykre. Och, przyjeźdź tutaj, po raz pierwszy czuję się tak bardzo zgnębiony i po raz pierwszy obudziła się z taką siłą ta dziwaczna obawa, wobec której umysł pozostaje bezsilnym, żeś Ty jesteś [!] tylko istotą ze snu... [LED I 15; 19 VIII <1901>⁵³]

⁵³ Zapewne pomyłka nadawcy. List, datowany na „19 sierpnia, niedziela”, pisany był raczej innego dnia (prawdopodobnie w 1901 lub 1902 roku). 19 VIII 1901 był poniedziałek, 19 VIII 1902 – wtorek. Jedynie 19 VIII 1900 wypadał w niedzielę, lecz wówczas Edward nie znał jeszcze bliżej Emilii.

Moja ty złota, moja jedyna, dopiero jedna doba upłynęła od rozstania się z Tobą, a taką męczącą pustkę czuję w sobie i naokoło siebie, taki brak dziecka mego! Nie myślałem, że to tak strasznie ciężko bez Ciebie. Cały dzień wczorajszy był dla mnie jakimś ciężkim snem, pełnym zmór. Po odjechaniu pociągu poszedłem do lasu i tam jeszcze rozmawiałem z Tobą, pieściłem się Twoim obrazem; byłem sam, wszystko wydawało mi się takim smutnym, ponurym. I przyjazd do domu był taki przykry – nie mogę oswoić się z tym, że Ciebie tu nie ma, ciągle czekam, że wyjdiesz stąd; pokoje wydają mi się strasznie puste, bez życia, jakieś martwe. [LED I 17; b. d. <1902>]

Od paru dni jestem czegoś ogromnie niespokojny o Ciebie, i to tak bardzo, że gdybym choć trochę więcej sił miał, tobym zaraz przyjechał. Różne głupie myśli przyszły mi do głowy, które staram się odpędzać, ale pomimo to napastują. W części tłumaczę to tym, że przeczytałem w gazetach o katastrofie teatru w Czikago⁵⁴ i stąd [...] myśli niepokojące i chęć proszenia Ciebie, żebyś teraz nie chodziła do teatru [...]. [LED I 73; 2 I <1904>]

zmiłuj się, nie zostawiaj mnie tak długo bez żadnej wiadomości, nie wiem nawet, czy w Krakowie jesteś ani gdzie Ciebie szukać, przecież to bardzo ciężko tutaj tak siedzieć! Gdybym miał za co, tobym zaraz przyjechał do Was. [LED II 3; b. d. <1906>]

Nerwowość Abramowskiego, przesadnie martwiącego się o stan żony, a prawdopodobnie potrzebującego po prostu uwagi i towarzystwa zaufanej, życzliwej osoby, bywała męcząca, lecz w latach 1913–1914 związek na odległość wydawał się Emilii jedynym środkiem przeciwdziałania morfinizmowi męża. Abramowski nie akceptował decyzji o rozłące. Obawiał się samotności, błagał wprost żonę, by go nie opuszczała i nadal utrzymywała kontakt:

Bądź naprawdę moją siostrzyczką i nie zawieź mnie, wszystko może się stać, ale żyć bez Ciebie nie będę mógł. Bez Ciebie czuję się tak samotny zupełnie, tak odarty ze wszystkiego, że wątpię, czybym zdobył się na cokolwiek w życiu, muszę Ciebie zawsze mieć i Ciebie kochać, muszę wiedzieć, że jesteś moją rodziną, żeby przez życie dalej pójść. [LED II 124; b. d. <lipiec 1913>]

Ona zaś wyjaśniała raz po raz uspokajająco:

Ja do Ciebie będę często pisała, nic między nami nie zmienione. Ja jestem do Ciebie bardzo przywiązana, za bardzo może, i zawsze będę [...] – Ty do Dziaby przyjedziesz, więc o cóż chodzi? Czyż nie lepiej teraz niż przed kilku laty? I Ty sam nie chciałbyś powrotu poprzedniego – ja [...] uważam, że nasz stosunek obecny nie da się nawet porównać do tego, co było.

Czy Ty w tym wytrwasz wierny Dziobie? To zobaczymy, w tym się okaże, jakie było uczucie. [LEM III 9v–10; 2 II 1914]

Trudność, jaką dla Abramowskiego stanowiło przebywanie z dala od bliskiej kobiety, jego niepokój, problemy ze skupieniem się na pracy naukowej – to jedna negatywna strona takiego trybu życia. Dla Emilii funkcjonowanie w podróży było niekorzystne z innych powodów. Po pierwsze, musiała się pożegnać na szereg lat z myślą o własnym „gniazdku”; po drugie, taki stan rzeczy przeszkadzał jej w podjęciu systematycznego zajęcia, o którym przez jakiś czas myślała:

Ach, jak nam pokrzyżowała wszystko ta Twoja nieoczekiwana choroba! Miałam być już w Zakopanem i pracować, a tak... to pewno przepadnie dla mnie znowu cała zima, bo przecież nie przypuszczasz, bym mogła w tych warunkach pracować – jak w ogóle w Warszawie za dorywczym pobylem – przynajmniej

⁵⁴ Chodzi o pożar i zawalenie się Teatru Iroquis w Chicago 30 XII 1903, kiedy to śmierć poniosły setki osób, głównie dzieci z matkami, oglądające komediowy spektakl o Sinobrodym.

pracować systematycznie. Doprawdy czasem rozpacz mię ogarnia, kiedy [...] skończą się te rozmaite przykre niespodzianki i niezdeterminowania, kiedy [...] będziemy układać i wypełniać nasze plany. [LEM I 49–50; 4 I 1904]

Wymowne są także skargi Emilii na przymusową izolację w Szwajcarii, brak wieści od bliskich, męczącą sytuację zawieszenia:

Niepokój o Ciebie, gdzie jesteś, co się z Tobą dzieje? [...] Gdzie rodzina, gdzie Nela, Erazm⁵⁵? [...] Czy ja jestem zrujnowana? Jak się skomunikować? Jak długo będzie trwał ten stan niepewności dręczącej... [LEM III 137v; 11 VIII 1915]

W jednym z listów nazywa siebie nawet „psem bezdomnym”⁵⁶. Wypowiedź ta nawiązuje do jej wieloletniego trybu życia toczącego się między pensjonatami, hotelami i mieszkaniami rodziny oraz znajomych, bez własnego miejsca dającego poczucie zakorzenienia. Warto wszelako dodać, że jeszcze w grudniu 1914 Edward radzi żonie, jak się urządzić w Genewie (pokój w pensjonacie, analogicznie do czasów studenckich) i przesyła jej pieniądze, ona zaś zapewnia: „ciagle mi stoisz przed oczyma i ciagle myślę o Tobie” (LEM III 109v; 7 XII 1914).

Kolejną cechą, jaką zwraca uwagę w omawianej korespondencji, jest chęć szybkiego wyjaśniania nieporozumień, zwłaszcza ze strony Emilii. Czyni ona to w sposób zdradzający wysoką samoświadomość i determinację. Szczególnie w późniejszych latach związku jasno wyraża własne potrzeby i przywołuje też trudne momenty, zapewniając zarazem o swoich uczuciach:

Wczoraj otrzymałam Twój telegram. Czy mam się bawić w dyplomację, czy pisać Ci prawdę? Jeżeli mam być dyplomatką – powtórzę Ci to wszystko, co mówiłam przed Twoim wyjazdem. Gdybym chciała powiedzieć prawdę, musiałabym Ci powiedzieć rzeczy – których nawet mówić nie umiem [...]. Musiałabym Ci powiedzieć, że żyć bez Ciebie nie mogę i nie chcę, nie umiem, że chcę Ciebie, że chcę, byś przy mnie był w tej chwili, że chcę się do Ciebie przytulić, poczuć się Twoją [...]. Tęsknię za Tobą. Nie ma mowy, żebyśmy byli daleko od siebie dłużej nad miesiąc, ale ja i tego miesiąca nie chcę, i jeżeli Ty nie będziesz mógł przyjechać tu chociaż na kilka dni, po paru tygodniach ja do Ciebie przyjadę. Jestem niewolnicą swojego kochania – zdaje mi się, że jeszcze nigdy Cię tak nie kochałam. Nie przeszkadzaj mi kochać siebie, a będziesz tak szalenie, bez pamięci kochany, całą duszą, całym jestestwem. Pamiętaj, o czym mówiliśmy, albo lepiej nie pamiętaj o niczym – tylko mnie kochaj. Nie chcę rozumieć, nie chcę analizować, przewidywać – tylko kochać, kochać, tak jak ja w tej chwili Cię kocham, z całą potęgą, z całym oddaniem się kobiecego uczucia. Chcę Ci [...] stworzyć życie piękne, jasne, młode, chcę, żebyś odpoczął w nim, żebyś się rozwinął [...]. Chcę, żeby patrząc na Ciebie, mówiono: jak on szczęśliwy, jaki on kochany...

Jest w tym kochaniu, w tym oddaniu się pewna niewolniczość, przeciwko której buntowałam się zawsze wewnętrznie – bunt ten odzywa się i teraz – ale chcę zamknąć na to oczy, wszak to dla Ciebie, dla Ciebie... Całuję Cię, ukochany, gorąco, tulę Cię [...]. [LEM I 137–138v; 17 X 1909]

Leżę, patrzę w płomień i rozmyślam o wielu rzeczach, bo przecież mam o czym i tematu mi nie brakuje! Dzisiaj mi się przypomniało, nie wiem czemu, La Tour – i jak oni wilią Nowego Roku się pokłócili, i z małpią szybkością koldrę [podpieli] tak szybko ze złości – że aż zdziwieni na siebie popatrzyli, że już skończyli! Pamiętasz? A przecież o wiele biedna Zbikunczka teraz lepiej się czuje niż wtedy! Żadnego porównania, prawda? Wtedy to był choreńki i bez punktu oparcia – a teraz pewny siebie i z gruntem, prawda? W tamtej zimie są przyjemne wspomnienia – ale na ogół to ona była bardzo smutna i nie chciałabym, żeby się powtórzyła. [LEM III 4–4v; 27 I 1914]

⁵⁵ Erazm Samotyha (1886–1963) – drugi mąż N. Samotyhowej, nauczyciel, przyrodnik.

⁵⁶ *Listy Emilii z Andronowskich [...] do męża, Tadeusza Waryńskiego*, k. 3 (18 XI 1915).

Wracając do skłonności obojga do stanów przygnębienia, trzeba dodać, że Abramowski w początkowych latach małżeństwa stara się podnosić Emilię na duchu, chociaż sam zmagają się z depresją od czasu śmierci pierwszej żony, a jego rozpaczliwe listy do Andronowskiej można odczytywać jako wyraz lęku przed utratą kolejnej najbliższej osoby. Emilię widział jako duchową i życiową kotwicę, bo istotnie, w tym związku to ona okazuje się stroną bardziej praktyczną i silniejszą psychicznie. Oboje jednak wspierają się w chwilach słabości czy zwątpienia. Gdy Andronowska skarży się na „smutek jałowy”, mąż radzi:

nie poddawaj się temu uczuciu; [...] przecież to my sami świat stwarzamy i wszędzie w nim jesteśmy, i zamiast ginać beznadziejnie i tragicznie, przeobrażamy się tylko w nieskończonym szeregu istnień różnych. [LED I 13; 14/27 VIII 1901]

Emilia z kolei przypomina: „Wiesz, że zawsze masz Twoją kochającą Muškę. Przyjeżdżaj, postaramy się być szczęśliwi, postaramy się być dobrzy, odpędzimy wspólnie wszystko zło z naszego życia [...]” (LEM I 30v; 12 XII 1903). A 7 lat później, zirytowana brakiem konsekwencji męża i jego skłonnością do roztrząsania (niezwykle wyimaginowanych) niepowodzeń, strofuje go:

Wyrób w sobie choć odrobinę hartu! Bądź mężczyzną choć trochę – a nie słabym, wiecznym dzieckiem! I teraz dla Ciebie laboratorium i inne rzeczy z tym związane powinny być na pierwszym miejscu – a urządzenie sobie gniazdka – na drugim. [LEM I 143–144; <listopad 1910>]

Abramowski stara się, jak potrafi i na ile pozwala mu na to stan zdrowia, zadbać o sprawy ekonomiczne. W lipcu 1913, poważnie chory, pisze: „muszę ratować Stefanin, zreformować to wszystko. Ale pamiętaj, że i to robię dla Ciebie tylko, bo chcę żebyś miała swój własny miły dom, który by i po mojej śmierci był Twoim” (LED II 124v). To jednak Emilia jest głosem rozsądku w chwilach, gdy jej mąż zabiera się do realizacji niezbyt przemyślanych zmian w Stefaninie lub zaniedbuje prace nad laboratorium. Sprowadza go wówczas na ziemię, świadoma, że Edward ma w sobie zdecydowanie więcej z marzyciela niż z działacza:

Dzisiaj otrzymałam Twój 2^{gi} list z [akopanego]. Jaką Ty masz histerię! Jak Ty wszystko przyjmujesz z nadwrażliwością jakąś. Nie mówię, że to nie są rzeczy ważne, ale nie można tak się łamać przy najmniejszym podmuchu. Mój drogi, „sei hart!” – Ja wiem, że Ty masz wrażliwą duszę dziecka, ale ja boję się czasem, żeś taki „niehartowny”.

Bądź spokojniejszy, pracuj, nie rozpaczaj. [LEM I 30; 11 XII 1903]

Cóż to za projekt tego młyna? Jestem pewna, że jeżeli kto skorzysta z tego – to nie Ty – a jeżeli stracisz, to Ty. Doprawdy, bądź przezorany, proszę Cię, i postępuj jak gospodarz. Żadnych, proszę Cię, zmian nie rób – powtarzam Ci. [LEM II 17; 29 III 1911]

Jednym z najistotniejszych zagadnień poruszanych w omawianej korespondencji są problemy Abramowskiego z płucami i sercem, chociaż i kondycja zdrowotna Emilii pozostawia sporo do życzenia. Ten wzajemnie opiekuńczy wymiar ich związku w pewnym momencie urasta do rangi jednego z lejtmotywów listów. Edward oto przypomina żonie:

Moja mała, dopóki Ci katar zupełnie nie przejdzie, nie jedź, bo jeszcze byś mogła przeziębć się, jadąc tyle drogi [...], a przy tym koniecznie, ale to koniecznie kup sobie ciepłe futro. [...] A zrobiłaś, dziecko, to, o co cię prosiłem – byłaś u doktora? Nie zapomnij tego. [...]

Spraw sobie także kalosze głębokie, bo [...] nie będziesz mogła chodzić po śniegu. [LED I 24–25; b. d. <18 XI 1902>]

W innym miejscu cieszy się, że Samotyhowa pielęgnuje Emilię w czasie rozłaki: „Uspokaja mnie, co prawda, zawsze ta myśl, że jesteś z Nela i że ona także dba o Ciebie” (LED I 30; b. d. <listopad 1902>). Jednak mimo różnych dolegliwości nękających Andronowską, od roku 1903, kiedy to zdiagnozowano u Edwarda poważną chorobę, temat ten powraca w jej listach nieustannie. Oto kilka przykładów:

Jadę na Litwę na parę dni, powracam stamtąd, biorę paszport i jadę do Ciebie. Jedziemy gdzieś do kraju słońca. [...] Tymczasem staraj się być zdrow, wesół, prędko już będę z Tobą, mój Ty bidaku małejki. [...] Jestem niespokojna o Ciebie, proszę Cię koniecznie, żebyś wezwał Janiszewskiego i żeby ten powiedział, co Ci jest. Gdyby było coś nowego i poważniejszego, telegraficznie zawiadam mnie o tym. Proszę Cię, spełnij tę moją prośbę. [LEM I 18–18v; b. d. <7 VI 1903>]

Moje biedne chore dziecko, bądź spokojne. Ja przyjadę do ciebie i albo zostaniemy w Zakopanem, albo gdzieś indziej wyjedziemy. Będziemy w górach ze 6 tygodni, potem, jeżeli będziesz mógł, pojedziemy na parę tygodni na Syberię, jeżeli zaś doktor nie pozwoli, to urządzę Ciebie gdzieś już zdrowego i spokojniejszego, – a sama pojedzie na krótko do domu. Proszę Ciebie bardzo, wystrzegaj się, żeby się nie zaziębić i nie zachorować. [LEM I 21–21v; b. d. <30 VI 1903>]

Jutro rano wysyłam Ci pieniądze, 50 r. Proszę Cię bardzo, żebyś koniecznie sobie serdak kupił, bo tutaj mrozi się zaczynają i stanowczo za zimno by Ci było w palcie [...]. Kup ładny bardzo, proszę Cię. [LEM I 31–31v; 15 XII 1903]

Wiesz, gdyby pieniądze były na gwałt potrzebne, paręset franków mam jeszcze ze sobą – to mogłabym Ci posłać – napisz tylko. [LEM III 103; 29 V 1913]

Z myślą o wygodzie męża Emilia kupuje drobne elementy wyposażenia mieszkania, np. prysznic (zapewne w formie przypominającej konew) czy lampę „specjalną, do zajęć wieczornych patentowaną”, która „nie jest na pozór ładna, ale ma być doskonała dla wzroku”. Andronowska tłumaczy: „Uważam, że drogie oczy moje (nie własne) nie powinny się wysilać przy pracy” (LEM I 13v; 19 XI 1902). W wyższym stopniu niż u jej męża wykształcony zmysł praktyczny pozwala także spojrzeć na pewne słabości i zachowania Abramowskiego z dystansem; w początkach małżeństwa Emilia stara się nawet podchodzić z poczuciem humoru do stanu zdrowia męża:

Nie martw się, mój drogi, że jesteś osłabiony i czasem nie możesz pracować, [...] przepracowałeś się i trzeba Ci koniecznie odpoczynku w górach, ale to bezwarunkowo, koniecznie, musisz mi odpocząć i poprawić się, już dawno Ci się to należy. [LEM I 6; 14 XI <1902>]

Widzisz, nie trzeba było chorować bez Muśki... A wiesz, że mnie leżenie właśnie na nerwy bardzo dobrze robi i uspokaja. Pozbawaj się prędzej swojej gorączki, czy tam p o d g o r a c z k i, i wstawaj. Co do kwestii Twego przyjazdu – to w sprawie interesu nie mówiłam jeszcze z nikim, ale Edku, przecież Ty musisz przyjechać do Warszawy, chociażby dla tego, żeby Ci sprawić palto watowane i futro – przecież Ty w Zakopanem nie będziesz w łóżku ciagle leżał – a wyjść na styczniowe mrozy tam w Twoim palcie podszytym wiatrem to przecież pewny bronchit albo i gorzej, zapalenie płuc. Ja na to pozwolić nie mogę, kochanie moje [...]. Rozważ to wszystko, proszę Cię [...] – tylko pamiętaj, że musisz mieć ciepłe rzeczy na zimę – musiałbyś dla tego jechać do Krakowa albo sprowadzić sobie z Krakowa, bo drogich swiństw zakopiańskich przecież nie sposób kupować. Kup sobie serdak koniecznie. Powtarzam Ci w każdym liście. [LEM I 28v–29v; b. d. <1903>]

Troska, jak wspominałam, jest wzajemna. Edward również martwi się o stan zdrowia żony. Szczególnie okresy kilkutygodniowego, a czasami zaledwie kilkudniowego milczenia wywołują u niego zdenerwowanie i lęk. Te przesadne reakcje budzą z kolei opór Emilii, która, z jednej strony, dostrzega ich niszczący wpływ na Abramowskiego, z drugiej – nie chce być obiektem plotek:

Nic mi nie jest, już jutro wstanę, więc nie masz powodu do niepokojenia się. I w ogóle takie niepokoje bezprzyczynowe są oznaką zdenerwowania – i powinny być opanowywane, a nie hodowane – czyż nie prawda? Ja na przykład, gdy jestem niezdrowa lub zdenerwowana, mam bardzo często różne niepokoje, obawy, smutne przecucia, płaczę często – a jednak staram się to w rękę trzymać, zdając sobie [...] sprawę, że obiektywnej podstawy nie ma. Przecież i Ty tak samo powinienesz robić, o ile życie ma być możliwe i możliwy jakiś *modus vivendi*. [...] Więc jeżeli chcesz mojego szczęścia i dla nas znośnego życia, powinienesz panować nad grą nerwów – nad przywidzeniami i niepokojami – niemającymi podstawy konkretnej. [LEM III 9–9v; 2 II 1914]

Nie telegrafuj i nie zapytuj o mnie nikogo oprócz mnie samej, bo to dziwnie wygląda, jakbym ja Tobie o sobie nie dawała wiadomości. [LEM III 118v; 28 II 1915]

Lecz to problemy Edwarda są poważniejszej natury, a wymówki i upomnienia Emilii nabierają szczególnego znaczenia w kontekście jego pogłębiającego się nałogu narkotycznego. Abramowski usiłuje ukrywać swoje uzależnienie i mimo obietnic przerywa kolejne kuracje:

Gdy tylko pomyślę o tym, że Ciebie mógłbym stracić, że nie miałbym dla kogo już żyć, to czuję, jak chwyta mnie oblęd i beznadziejna rozpacz. Tylko dla Ciebie mogę teraz walczyć ze sobą, walczyć z chorobą, z przeciwnościami, dążyć do [...] lepszego życia. Straciłem wszystko, co miałem drogiego, mam tylko Ciebie jedną i jedyną. [...]

Od niedzieli biorę się do leczenia się. Wytrwam w tym na pewno. Jeżeliby nie, to już musiałbym pożegnać się z życiem. Ale wytrwam. [...]

Straszna moja dola jest, zważyło się wszystko, co mogło zważyć się, ale da Bóg, że przezwyciężę. Tylko kochaj mnie i pamiętaj o mnie! [LED II 124–124v; b. d. <lipiec 1913>]

Emilia, przebywając wiosną w podróży we Florencji, a następnie w Horodcu, nalega na kontynuację leczenia:

Napisz mi dokładnie, jak to jest z pieniędzmi [...]. Ile masz teraz? [...] Tylko na Boga, zostań w Zakopanem, to Ci robi dobrze. Czy Ty znowu nie zaczynasz używać rozmaitych „świństw”? Błagam Cię, nie rób tego, przecież to błędne koło. Miej tyle odwagi, żebyś z tym zerwał. Ja się okropnie tych narkotyków boję i nie chcę ich. Zrób to dla mnie, żebyś wytrwał w postanowieniu nieużywania ich. [LEM I 102–102v; 29 V 1913]

Mój drogi Żbikunko, jak się czujesz, czyś dobrze dojechał? [...] Proszę Ciebie, żebyś był grzeczny, leżał, spełniał wszystko, co trzeba, nie męczył się, „spał”, jak Ty mówisz. Napisz mi, co Ci zastrzykują i w jakich ilościach [...]. Czy bierzesz weronał na sen, czy śpisz bez weronału? Nie obawiaj się, Dziaba nie będzie krzyczała i złościła się [...]. [LEM III 105–105v; b. d. <lato 1913>]

Mój kochany Żbikuniu, tak mię bardzo to smuci, że Ty jesteś taki niewytrwały i tak prędko się zrażasz. Kilka deszczowych zimnych dni, parę niemiłych wrażeń – i ot, już wszystko w łeb bierze [...]. Dlaczego nie nakazać sobie trochę cierpliwości? Przecież tak nie można! Proszę Cię, żebyś został w Kosowie⁵⁷ i leczyl się, zrób to dla mnie. [...]

⁵⁷ Chodzi o uzdrowisko Kosów Huculski i Zakład Przyrodolecniczy doktora Apolinarego Tarnawskie-

Prawda, że jesteś uczciwy – i jak obiecałeś, więcej już nie używasz morfiny ani żadnych narkotyków? Błagam Cię, zostań w Kosowie [...]. [LEM III 106–107v; <1913>]

Sprawa staje się na tyle poważna, że Emilia uzależnia spotkania z mężem od tego, czy zaprzestanie on brania morfiny. W jednym z listów z Paryża grozi mu nawet pobytem w zakładzie zamkniętym. Ultimatum to nie spełnia swojej roli, w dodatku obok Abramowskiego pojawiają się inne kobiety.

Kochany mój, dużo myślę o Tobie. Jest mi bardzo smutno, bo ja widzę, że Ty wciąż odwlekasz, szukasz pretekstów do odwołania chwili zupełnego zerwania z narkotykiem. Byłeś na tak już dobrej drodze – i teraz znowu, zdaje się, cofnąłeś się. To jest okropne, że masz narkotyk w ręku. Wiesz przecież dobrze, że żaden nałogowiec nie może oprzeć się pokusie, w tym się zawiera choroba – więc po co się narażasz na pokusę? [...] Ja żądam od Ciebie, żebyś nie brał sam morfiny od Patockiego⁵⁸, tylko p. Erazm – albo Nela, i żeby oni się tym tylko zajmowali [...]. To jest niemożliwe, tak się ciągnąć bez końca nie może. Jeżeli tak będzie, będę zmuszona zająć się tym, żeby Cię umieścić w jakimś zakładzie zamkniętym, [...] żeby Cię odzwyczaili. Widzisz, Żbikunko, jaki Ty jesteś niedobry. Ja tak się chcę z Tobą zobaczyć prędzej – a Ty odwlekasz chwilę wyzdrowienia, pozbycia się nałogu, chwilę zobaczenia się ze mną przez to samo. Czyż Ty nie chcesz zobaczyć Dziaby? [LEM III 44–45; 30 IV 1914]

Kolejne kuracje, planowane i przerywane, są stałym tematem listów z 1914 i 1915 roku. Niekiedy Emilia wyraża gotowość towarzyszenia mężowi w sanatorium. Ich drogi jednak coraz częściej się rozchodzą od roku 1911, zwłaszcza że Emilia nie przepada za Stefaninem, pełnym pamiątek po pierwszej żonie Abramowskiego i jego siostrze Marii⁵⁹. Wyznawała mężowi:

Z zobaczeniem się zaczekamy, aż powrócisz do Warszawy. – Do Stefanina nie pojadę. Zawsze pobyt tam dla mnie złączony jest z nieprzyjemnością – po co więc mam tego szukać. Tego się ma aż nadto wszędzie. Przy tym nie chcę być w Stef[aninie] w charakterze gościa – i może główna nawet przyczyna – a tak by było. Musisz więc skwitować z mego tam towarzystwa. [LEM II 20v; 3 IV 1911]

Godną uwagi kwestią są też finanse – zagadnienie o tyle interesujące, że idee socjalistyczne i spółdzielcze głoszone przez Abramowskiego prowokują do pytań o jego sytuację ekonomiczną, o źródła dochodów i gospodarowanie nimi. „Niepokornym” nie wypadało myśleć o własnym statusie materialnym⁶⁰. Korespondencja małżeńska umożliwia poznanie tej dziedziny życia Abramowskich i, znowu, wskazuje na wymykającą się schematom postawę Emilii, która wspiera męża i pod tym względem. W jej listach próżno szukać wyrzutów związanych z niepewną sytuacją materialną małżeństwa; przeciwnie. „Do widzenia, mój chłopaku najdroższy, bądź mi zdrow – troski materialne zostaw mnie” – pisze do męża latem 1903 (LEM I 19v). Kiedy indziej tłumaczy mu:

pieniądze będziesz miał, nie krępuj się niczym – [...] napisz, wiele Ci przysłać pieniędzy. Nie pisz sumy minimalnej, nie będę miała żadnych trudności z wysłaniem Ci pieniędzy. – Swoje zaś zapracowane pieniądze nie używaj na „życie”. Niech one będą na coś Tobie bliskiego. [LEM I 29–29v, b. d. <1903>]

Formułuje nawet deklarację swojego stosunku do kwestii ekonomicznych:

go. Zob. LED II 119 (28 VI 1911): „Do Kosowa już zapowiedziałem, że przyjeżdżamy w pierwszej połowie lipca, a pieniądze pośle Tarnawskiemu Gronkiewicz [...]”.

⁵⁸ Najprawdopodobniej mowa o warszawskim neurologu dr. Adamie Stefanie Patockim.

⁵⁹ Zob. LEA I 204v–205; LEA I 207–208; LEA II 16v–17.

⁶⁰ Zob. Mencwel, *op. cit.*, s. 115.

jeżeli Ci będą potrzebne pieniądze, napisz do mnie – o to Cię bardzo proszę – mój złoty – dla mnie to będzie taką przyjemnością Ci wysłać. Dobrze? Obiecujesz mi to? Czyż to nie byłoby dziwną rzeczą, żebyś się krepował? Edżku, ja nie chcę komfortu, [...] byle tylko być z Tobą, nie rozłączać się. Jeżeli Ty teraz masz mało pieniędzy, to urządzimy się skromniej, ale bez Ciebie nie pojadę do Zakopanego ani nie chcę być nigdzie. [...] Zresztą wspólnotę majątkową odczuwam jako rzecz zupełnie naturalną [...] – a liczenie się i dzielenie jako wstrętne, obrzydliwe. [LEM I 62v–63; 23 X 1904]

Sprawy pieniężne bywają jednak źródłem nieporozumień. Od roku 1910 Emilia dość często domaga się określonych kwot, niezbędnych do pokrycia kosztów podróży, pensjonatów czy hoteli oraz leczenia. W tym czasie niekiedy złości się, że mało przewidujący mąż wybrał niezbyt szybką lub nie dość bezpieczną formę transferu. Dobrze ilustruje te problemy garść cytatów:

Przyslij mi prędzej pieniądze, i to jak najwięcej [...] – napisz przynaglać Zygmunta [chodzi o Zygmunta Pietkiewicza, szwagra Abramowskiego – M. B.], żebym nie potrzebowała czekać znowu do lipca na tę ratę, bo mnie przecież będą potrzebne na wiosenne ubranie – nie mam zamiaru chodzić bez ubrania dla niewypłacalności wierzycieli. [LEM II 6v; Arco, 6 III 1911]

Przynaglasz mię do wyjazdu [...] – ale jestem zupełnie unieruchomiona przez brak pieniędzy. – Dotychczas tych zapowiadanych i wysłanych [300] rubli nie otrzymałam [...]. Nie chcę Ci robić wyrzutów ani przykrości – ale co za pomysł wysłać pieniądze przekazem z Rosji? Wiesz przecie, że kiedy wysyłałam jakiś Twój dług z Warsz[awy] do Krak[owa] i chodziło o pośpiech – powiedziano mi na poczcie, że pieniądze te przekazem będą szły minimum 2 tygodnie. [LEM II 9–9v; Bruksela, 16 III 1911]

Edward odpowiada raz spokojnie, innym razem ze zdenerwowaniem: „Postaram się usunąć Twoje kłopoty. Dziś jeszcze, a najdalej jutro wyślę Ci, ile tylko będę mógł dostać [...]. I do Hipolita [tj. jednego z braci Andronowskiej – M. B.] także napiszę [...], żeby Ci wysłał zaraz” (LED II 114; 16 VI 1911). Nie znaczy to bynajmniej, że Emilia jest na utrzymaniu Abramowskiego. Nadal, jeśli może, przesyła mu pieniądze, zapewniając, iż tych nie zabraknie (dzięki jej części spadku i rodzinie). Tak dzieje się chociażby w wypadku trudności finansowych Edwarda w sanatorium w Kosowie, spowodowanych najprawdopodobniej błędnymi obliczeniami przyszłych kosztów kuracji:

Bardzo mi jest przykro, że się tak stało [...]. Przecież miało Ci wystarczyć do Kosowa i jeszcze zostać na pierwszy czas przeszło 100 rs. [...]. Nie kłopotz się o pieniądze. Tylko miej postanowienie siedzenia w Kosowie i leczenia się – a ja Ci pieniądze dostanę. [LEM III 106v–107; Florencja, b. d. <1913>]

Co więcej, Andronowscy ratują z opresji Stefanin. Ten rodzinny majątek w guberni kijowskiej jest długo głównym źródłem utrzymania Abramowskich. W młodości Edward dostaje zasiłki od ojca, lecz i później zdany jest na dochody z dzierżawy i uprawy roli. W lutym 1908, przebywając w Instytucie Socjologii Solvaya w Brukseli, zastanawia się np. nad tym, skąd pozyskać 500 rubli na pilne zobowiązania i kolejne środki na życie. W liście do zarządcy majątku, Czesława Pietkiewicza, brata Zygmunta, wdowca po Marii z domu Abramowskiej, zapowiada: „Z początkiem kwietnia będą nam konieczne potrzebne pieniądze ze Stefanina, gdyż nasze interesy stoją dziś marnie”⁶¹. Nie widząc innych możliwości, proponuje,

⁶¹ Korespondencja i papiery Edwarda Abramowskiego z lat 1907–1923. Bibl. Narodowa, rkps 2927 II; mf 41271; k. 5a [!] (25 II 1908).

aby „oddać ziemię chłopom, po cenie wyższej, a własne gospodarstwo rozpocząć dopiero w przyszłym roku”⁶². Kilka lat później zmuszony jest prosić matkę Andronowskiej o pożyczkę: „bo nie ma innego ratunku. Jeżeli od niej nie dostanę, to grozi ruina domu, a wtedy i Stefanin sprzedam” (LED II 124; b. d. <1913>).

Emilii długo obce są poważniejsze troski natury materialnej. Dopiero w obliczu Wielkiej Wojny zdaje sobie ona sprawę z niepewnych podstaw własnej egzystencji, zależnej od zysków z majątku Edwarda i swojej rodziny, od dostępności pieniędzy ulokowanych w (nie zawsze wypłacalnych) bankach, od stosunków między Rosją a Szwajcarią, wreszcie od funkcjonowania poczty. W tym czasie Abramowski myśli o przeprowadzce do mieszkania Idalii Miłkowskiej. Jest coraz słabszy, choć stara się pracować, jak donosi w karcie do żony, ostatniej zachowanej w zbiorach Samotyhowej:

Moja złotenka! Przez kilka dni nie pisałem do Ciebie, bo tak złożyło się, że musiałem także odbyć coś w rodzaju influenzy. Z tego powodu jeszcze siedzę w pokoju i nie wychodzę. Dziwna rzecz, ale jak tylko mam przenieść się do p. Miłk[owskiej], zaraz występuje jakaś choroba i muszę znowu odkładać. To już może 10 raz z rzędu tak jest. Gdybym był przesadny, to doprawdy, musiałoby to zrobić wrażenie. Już tak chciałem tam przenieść się – nawet szafę lustrzaną zabrałem z ul. Szopena – a tu znowu każą siedzieć. [...] Co za los wstrętny, żeby nie móc być z Tobą [...]. [LED II 126; 9 II 1915]

Niebanalna, skomplikowana relacja Abramowskich znajduje odzwierciedlenie w języku ich listów, do którego mogę się tutaj jedynie krótko odnieść. Niewątpliwie to Edward, zwłaszcza w pierwszym okresie małżeństwa, jest stroną celebrującą ten związek, ba, upajającą się nowym uczuciem. Emilia zachowuje większą wstrzeźliwość albo po prostu brak jej literackiego wyrobienia, umiejętności mówienia o własnych emocjach w sposób podniosły i wyrafinowany. Z jednej strony, napotykamy w ich listach tradycyjne określenia („najdroższy”, „ukochana”) i wiele kreatywnych zdrobnień: „Muśka”, „Milka”, „Mileńka”, „Mi”, „Bajeczka” (np. „Moja Ty złota, moja jedyna, [...] Moja Ty Bajeczko”; „Bajeczko jedyna”; „Najukochańsze moje, wiosenne moje dziecko”; „Mi moja, Mi najdroższa”; „Moja złota dziewczynko”; „Muśko moja złota”; „Moja znajdenko najdroższa”; „życie moje, jedyna moja”). Z drugiej, styl ich epistolograficznej komunikacji potwierdza, że oboje wychodzili poza utrwalone społeczną konwencją role męża-(dorosłego) mężczyzny i żony-kobiety.

Łączy się to ze specyfiką tego związku, który nosił wyraźne cechy miłości siostrzano-braterskiej, i z charakterami obojga partnerów, ale również z przemianami społecznymi, zwłaszcza z emancypacją kobiet oraz z jej konsekwencjami dla obyczajowości. Abramowski nazywa Emilię określeniami rodzaju męskiego, np. „Mój Ty jedynaczku kochany”. W innym miejscu *explicitie* wskazuje na spłot przyjaźni, miłości między rodzeństwem oraz więzi erotycznej: „Milko moja jedyna, siostrzyczko i kochanko moja”. Niekiedy zaś mówi o sobie w liczbie mnogiej i wprowadza wątek relacji matka-dziecko: „Żbikunka i Żbi[kotk]a ściskają serdecznie swoją Mamuszkę i z upragnieniem ją wyczekują”. Podobnie Emilia czasami pisze, używając formuł typowych dla listów kierowanych do bliskich mężczyzn, jak: „Edek mój ukochany”, „mój chłopaku najdroższy”, „Kochany Żbikuniu”. W wielu wypadkach

⁶² *Ibidem*.

gra wszelako konwencjami, wchodząc w role opiekunki, kochanki, przyjaciółki, siostry, wreszcie córki. Spójrzmy na kilka takich zestawień: „Edek Ty mój, Żbikunko Ty moja mała”, „panie Edwardzie”, „miły szczurku”, „moja bidunka”, „Moje biedne chore dziecko”, „myszko szarenka”. O sobie mówi: „Twoja Bajeczka mała, biedna i bardzo kochająca”, czy też: „Życzę Ci [...], żebyś [...] nie zapominał o siostrzyczce. [...] Ona [...] zawsze pamięta i kocha braciszka, i często o nim myśli” (LEM III 104–104v; 30 VIII 1913). Następujące dwa wyimki również unaoczniają, jak szeroki był wachlarz małżeńskich ról:

List Twój [...] zrobił na mnie wrażenie, że słabniesz, mój Ty mały, że potrzebujesz czuć, wiedzieć, jeszcze raz upewnić się, że Muśka o swoich dzieciach [!] nie zapomniła. Nie, nie, nie zapomniła, bardzo, ogromnie ich kocha, tak rzewnie czasem wspomina o swojej Żbikunce [...]. Niech mi moja mała będzie grzeczna [...]. (LEM I 5v–6; 14 XI 1902)

Kończę już, żeby zaraz wrzucić list. Prawda, jaka córeczka porządna? Tak wszystko porządnie, rozsądnie swymi koszlawymi literkami opisała Tatusiowi. (LEM I 140v; 11 XI 1910)

Zdarzają się też pomysłowe żarty, jak kartka stylizowana na telegram o treści: „Biedna Muśka Twoja umiera. Jeżeli możesz, przyjdź zaraz”; na dolnej części złożonej na pół stronicy figuruje dopisek: „Tylko nie myśl, że mi naprawdę coś się złego dzieje” (LEM I 42; b. d.).

Listy Abramowskich odzwierciedlają zatem urozmaicony charakter relacji damsko-męskich wśród radykalnej inteligencji, które przywykliśmy uważać za skonwencjonalizowane i sztywne, a które niejednokrotnie bywały żywe i spontaniczne. Wnikliwa analiza owej korespondencji (niniejszy artykuł zaś stanowi jedynie wstęp do tych badań) pozwoliłaby nie tylko lepiej poznać ten wymiar związków miłosnych czy partnerskich wśród reprezentantów „niepokornych”. Odsłoniłaby także słabiej znaną, prywatną, emocjonalną „twarz” Abramowskiego oraz przywróciłaby pamięci zbiorowej postać Andronowskiej (i losy jej rodziny)⁶³. Przystudiowanie tych dokumentów, a w dalszej kolejności spuścizny Neli Samotyhowej i Zdzisława Jełowickiego, umożliwić powinno ponadto rekonstrukcję zależności między realnymi przyjaźniami a ideami propagowanymi w szkicu Abramowskiego *Związki przyjaźni*, który głosi, iż przyjaźń to „najważniejsza rzecz, podstawowa, która [...] rozstrzygnęłaby wszystkie zagadnienia i dała oręż [...] niezwyciężony, do zwalczania zła”⁶⁴. Tak właśnie było – co uzmysławia nam lektura ich listów – w wypadku relacji Edwarda i Emilii.

⁶³ Jeden z listów Neli do Emilii zawiera pytanie, które może sugerować, że Abramowscy zrezygnowali z posiadania potomstwa: „Edw[ard] twierdzi, że u Ciebie instynkt macierzyński jest bardzo rozwinięty – że chcesz mieć dzieci i do możliwości tego faktu o wiele mniej egoistycznie odnosisz się od niego. Zdziwiłam się, ale on tak kategorycznie twierdził, że tak jest, iż powiedziałem, że zapytam Ciebie o to. Więc pytam i proszę, odpowiedz mi pełną prawdę. Że ten instynkt jest, to wiem, ale wątpiałam w jego siłę” (*Listy Anieli Samotyhowej do Emilii z Andronowskich [...]*, t. 1: 1898–1925, k. 38v [2 VII 1905]).

⁶⁴ E. Abramowski, *Związki przyjaźni*. W: *Pisma. Pierwsze zbiorowe wydanie dzieł treści filozoficznej i społecznej*. Oprac., przedm. K. Krzeczkowski. T. 1. Warszawa 1924, s. 357.

Abstract

MONIKA BEDNARCZUK University of Białystok
ORCID: 0000-0003-3490-3446

**LOVE, FRIENDSHIP, AND SILENCE (OF BIOGRAPHERS) THE CORRESPONDENCE
BETWEEN EDWARD ABRAMOWSKI AND EMILIA NÉE ANDRONOWSKA**

Despite a growing interest in the radical Polish intelligentsia of the late 19th and early 20th centuries, relatively little is known about their personal lives and negotiating intimate relationships. Edward Abramowski is a conspicuous example of an influential and popular political activist whose biography still contains many gaps. This article examines the correspondence between him and his second wife, Emilia, née Andronowska. Emilia was the daughter of a Russian mother and a Polish father exiled to Siberia after the uprising of 1863. She met Abramowski in Geneva, where she studied, and they married in 1901. Their relationship went through different stages. There were periods of love and periods of friendship, when the couple lived separately and addressed each other as “little brother” and “little sister.” Their letters reveal a close and “modern” marriage relationship in which both parties did not adhere to traditional gender roles.

ANDRZEJ KARCZ Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa

O POWOJENNEJ DZIAŁALNOŚCI I WZAJEMNYCH RELACJACH MANFREDA KRIDLA I WIKTORA WEINTRAUBA PUBLIKACJE – LISTY – DOKUMENTY

1

Kiedy pod koniec wojny Wiktor Weintraub redagował w Jerozolimie wydawany za pieniądze rządowe emigracyjny dwutygodnik polityczno-literacki „W Drodze”, do współpracy z pismem namawiał listownie profesora Manfreda Kridla, który – po wydostaniu się z ogarniętej wojną Europy – wykładał wówczas na małej uczelni amerykańskiej Smith College w Northampton, niedaleko od Bostonu. Weintraub poznał Kridla w 1935 roku na lwowskim zjeździe polonistów, a będąc w Jerozolimie, musiał sobie o tym przypomnieć, gdy zobaczył tamtejszą edycję *Pana Tadeusza* ze wstępem i w opracowaniu Kridla¹. Poemat opublikowało Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego jako tom 13 „Szkolnej Biblioteczki na Wschodzie”. Wtedy, w Jerozolimie, Weintraub podobnie przygotował w tej samej serii wydania innych utworów klasyki polskiej literatury: *Trenów* i *Odprawy posłów greckich* Kochanowskiego, a także pism Krasickiego². W odpowiedzi na list Weintrauba z początkiem 1945 roku Kridl przesłał do jerozolimskiego dwutygodnika swój publikowany już wcześniej artykuł o tematyce politycznej *Psychologia sowietystów*³. Chciał najpierw przekazać do druku szkic *Zadania demokracji polskiej*, ale zmienny bieg wydarzeń ostatnich miesięcy wojny wymagał ciągłej korekty tekstu i opóźniał jego zakończenie⁴. Z kolei propozycji przygotowania dla periodyku większej rozprawy o Conradzie w 20 rocznicę śmierci pisarza badacz, który już przed 1939 rokiem zajmował się tym tematem, z powodu innych zobowiązań po prostu nie przyjął.

¹ A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz, czyli Ostatni zajazd na Litwie*. Oprac. M. Kridl. Jerozolima 1943.

² J. Kochanowski: *Treny*. Wstęp, objaśn. W. Weintraub. Jerozolima 1943; *Odprawa posłów greckich*. Oprac., wstęp W. Weintraub. Jerozolima 1943. – I. Krasicki, *Wybór pism*. Oprac. W. Weintraub. Jerozolima 1944. Pełniejszą listę publikacji Weintrauba z okresu wojny (m.in. w czasopiśmie „W Drodze” i „Wiadomości Polskie”) zawiera praca J. Czachowskiej, M. K. Maciejewskiej, T. Tyszkiewicz *Literatura polska i teatr w latach II wojny światowej. Bibliografia* (t. 2. Wrocław 1984, s. 153).

³ M. Kridl, *Psychologia sowietystów*. „Świt” (Nowy Jork) 1944, nr 31/32. Przedruk: „Robotnik Polski w Wielkiej Brytanii” 1945, nr 3. Dwutygodnik „W Drodze” ostatecznie – jak się wydaje – tego artykułu, będącego reakcją na książkę zbiorową *W przededniu* (New York 1944), nie opublikował.

⁴ Artykuł, który był streszczeniem odczytu dla Stowarzyszenia Prawników Polskich w Stanach Zjednoczonych, w końcu ukazał się w piśmie „Robotnik Polski w Wielkiej Brytanii” (1944, nr 7).

Od przyjazdu do Ameryki we wrześniu 1940 przez cały okres wojny Kridl zajęty był uniwersytecką pracą dydaktyczną oraz wygłaszaniem – głównie w związku ze swoją działalnością polityczną – wielu publicznych wykładów i odczytów popularyzujących wiedzę o Polsce, jej kulturze i historii⁵. Pochłaniało go też przygotowywanie różnorodnych publikacji: wspomnień, artykułów, rozpraw, tomu zbiorowego i podręcznika literatury polskiej⁶. Spośród nich Weintraub chciał przedrukować w Jerozolimie – jak wynika z korespondencji z Kridlem – tom *For Your Freedom and Ours*, ale do tego nie doszło⁷.

Na początku kwietnia 1945 Weintraub opuścił Bliski Wschód i przeniósł się do Londynu, gdzie zaczął redagować inne pismo rządu polskiego na uchodźstwie, tym razem anglojęzyczny „Polish Fortnightly Review”. Jak podają źródła, przez dwa lata kierował też kwartalnikiem „Teki Historyczne”, periodykiem Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii. Po zakończeniu wojny dalej utrzymywał kontakt listowny z Kridlem. Obaj przekazywali sobie informacje o własnej pracy naukowej, przesyłali czasem kopie swoich publikacji, dopytywali się nawzajem o książki różnych autorów, powiadamiali o losach i działalności innych badaczy. W liście z 15 V 1945 Weintraub donosił Kridlowi, że oprócz nudnych obowiązków redakcyjnych ma obecnie, po sześciu latach wojny, okazję do korzystania z „uczciwej” biblioteki w Londynie i że mógłby przeprowadzić jakąś kwerendę dla swego amerykańskiego korespondenta, gdyby ten sobie życzył. Pisał też, że zbiera materiały do rozprawy o sowieckiej historiografii:

Temat to dość daleki od moich dotychczasowych zainteresowań, ale mnie w tej chwili pasjonuje. Nie wiem, czy uda mi się opracować całokształt sprawy – bardzo to rozległy temat – ale w każdym bądź

⁵ Więcej szczegółów na ten temat podaje córka uczonego E. Kridl Valkenier (*Manfred Kridl. Uczony, pedagog, działacz polityczny*. „Archiwum Emigracji. Studia, Szkice, Dokumenty” 2006, z. 1/2).

⁶ Zob. np. M. Kridl: *Adam Mickiewicz: The National Poet of Poland, 1798–1855*. W zb.: *Great Men and Women of Poland*. Ed. S. P. Mizwa. New York 1941; *Wacław Berent, 1873–1940*. „The Slavonic Year-Book” 1941; *Polish Literature Abroad*. „Books Abroad” 1942, nr 4; *O pierwszej sowieckiej okupacji Wilna*. „Nowa Polska” 1944, z. 2; *Russian Formalism*. „The American Bookman” 1944, nr 1; *Franciszek Siedlecki*. W zb.: *Straty kultury polskiej 1939–1944*. T. 1. Red. A. Ordęga [właśc. J. Hulewicz], T. Terlecki. Glasgow 1945; *Literatura polska (na tle rozwoju kultury)*. New York 1945; *Mickiewicz as Poet and Political Leader*. „Bulletin of the Polish Institute of Arts and Sciences in America” 1945, nr 3/4; *Poland and Russia in the Past and in the Future*. „Journal of Central European Affairs” 1945, nr 2; *Polish Literature*. W zb.: *Poland*. Ed. B. E. Schmitt. Berkeley 1945; *Present Ideological Trends in Poland*. „The Journal of Educational Sociology” 1945, nr 8. – *For Your Freedom and Ours: Polish Progressive Spirit through the Centuries*. Ed. M. Kridl, W. Malinowski, J. Wittlin. Transl. L. Krzyżanowski. New York 1943 (wersja polska: *Polska myśl demokratyczna w ciągu wieków. Antologia*. Oprac. M. Kridl, W. Malinowski, J. Wittlin. New York 1945). Pełniejszą listę publikacji Kridla z okresu wojny zawiera bibliografia Czachowskiej, Maciejewskiej, Tyszkiewicz (op. cit., t. 1 (1983)).

⁷ Zob. W. Weintraub, list do M. Kridla, z 21 X 1944 (mpis; format A4). Manfred Kridl Papers, 1925–1974. Bakhmeteff Archive, Rare Book and Manuscript Library. Columbia University, Nowy Jork, sygn. BAR Ms Coll/Kridl, Box 2. Z tego archiwum pochodzą wszystkie cytowane i przywołane tu listy W. Weintrauba do Kridla. Pisownię wraz z interpunkcją uwspółcześniono. Za pomoc w uzyskaniu kopii korespondencji obydwu badaczy, a także innych dokumentów składam podziękowanie pani Ninie Hoffman i panu Pawłowi Bemowi.

razie na dwa studia o Tarlem i o Wipperze mam już sporo, i to, jak mi się widzi, bardzo ciekawego materiału. Tentuje mnie też myśl napisania szkicu o Swficie⁸.

Planowane prace o historykach rosyjskich Jewgieniju Tarlem i Robercie Wipperze czy artykuł o Jonathanie Swficie świadczyły o niezwykle szerokich horyzontach myślowych Weintrauba⁹. Charakteryzowały one całą jego ówczesną, ale i późniejszą twórczość publicystyczną, krytyczną i historycznoliteracką. W okresie londyńskim zajmował go szczególnie temat kultury rosyjskiej oraz jej recepcji na Zachodzie, co znalazło wyraz w kilku jego publikacjach będących wersjami uprzednio wygłoszonych wykładów¹⁰. Pociągały go też sprawy kultury angielskiej. Weintraub był autorem rozprawy poświęconej historii dyplomacji europejskiej w wieku XIX *Marx, Palmerston i sprawa polska*, a także szkiców biograficznych oraz licznych recenzji książkowych zamieszczanych na łamach angielskiego kwartalnika naukowego „The Slavonic and East European Review”, londyńskich „Wiadomości” i paryskiej „Kultura”, w której regularnie ogłaszał teksty m.in. w dziale *Książki angielskie*¹¹. Z czasem jednak badacz coraz bardziej skupiał swe wysiłki na literaturze polskiej, a więc powracał do swoich dawniejszych zainteresowań i głównego przedmiotu badań, jakim było piśmiennictwo staropolskie, zwłaszcza poezja Kochanowskiego¹². Coraz częściej zajmowała go również twórczość Mickiewicza, która po wojnie wyznaczył drugi ważny nurt pracy naukowej Weintrauba.

Poprzez problematykę poezji wielkiego romantyka Weintraub jako historyk literatury zbliżał się zainteresowaniami do Kridla, autora m.in. – by przywołać przykładowo – monografii wydanej przed pierwszą wojną światową *Mickiewicz i Lamennais* czy rozprawy na podobny temat ogłoszonej w języku angielskim wiele lat po wyemigrowaniu do Ameryki¹³. Co ciekawe, Weintraub był także autorem porównawczego szkicu poświęconego Félicité Lamennais’mu i Mickiewiczowi¹⁴. A mniej więcej w tym samym czasie, kiedy powstała ta druga z wymienionych prac Kridla, napisał takie teksty, jak *Mickiewicz i Margaret Fuller*, *Mickiewicz and Bakunin*, *Nieznany artykuł Mickiewicza* i *Adam Mickiewicz: The Mystic Politician*, kilka lat

⁸ W. Weintraub, list do M. Kridla, z 15 V 1945 (mpis; format A5).

⁹ Z tych zapowiadanych dzieł zob. 60-stronicową rozprawę *Blaski i nędze dziejów życia prof. Tarlego* (Newtown 1948) oraz artykuł *Dwie wersje „Iwana Groźnego”* (w zb.: *Szósta kolumna*. Londyn 1946).

¹⁰ W. Weintraub: *Prądy i zagadnienia kulturalne w ZSSR*. Londyn 1949; *Rosja w kulturze Zachodu*. Londyn 1949; *Studia rusycystyczne na Zachodzie*. Londyn 1949.

¹¹ W. Weintraub, *Marx, Palmerston i sprawa polska*. „Kultura” (Paryż) 1950, nr 12. Zob. też np. W. Weintraub: *Pod wezwaniem Tacyta*. „Wiadomości” (Londyn) 1948, nr 8; *Fredro-klasyk*. „Kultura” (Paryż) 1948, nr 5; *Shaw o sobie*. Jw., 1949, nr 2; *George Orwell*. Jw., 1950, nr 4; *Aleksander Brückner, 1856–1938*. „The Slavonic and East European Review” 1946, nr 64. Zob. też recenzje W. Weintrauba drukowane w tym ostatnim z wymienionych czasopiśmie: 1947, nry 65, 66; 1948, nry 67, 68; 1949, nr 70; 1950, nr 72; 1951, nr 74.

¹² Zob. W. Weintraub, *Kochanowski’s Renaissance Manifesto*. „The Slavonic and East European Review” 1952, nr 75. Warto przypomnieć, że badacz w 1930 roku uzyskał doktorat na podstawie rozprawy *Styl Jana Kochanowskiego* (opublikowana: Kraków 1932).

¹³ M. Kridl: *Mickiewicz i Lamennais. Studium porównawcze*. Warszawa 1909; *Two Champions of a New Christianity: Lamennais and Mickiewicz*. „Comparative Literature” 1952, nr 3.

¹⁴ W. Weintraub, *Mickiewicz, Lamennais and Biblical Prose*. W zb.: *For Roman Jakobson. Essays on the Occasion of His Sixtieth Birthday, 11 October 1956*. Ed. M. Halle. The Hague 1956.

później przygotował zaś monografię w języku angielskim *The Poetry of Adam Mickiewicz*¹⁵. Jej wydanie miało miejsce po opublikowaniu nieco wcześniej, w roku 1951, księgi zbiorowej *Adam Mickiewicz. Poet of Poland*, przygotowanej pod redakcją Kridla i zawierającej dwa jego artykuły poświęcone wieszczowi¹⁶. Księga ta, ogłoszona drukiem w Nowym Jorku, jak najbardziej zaciekała Weintrauba, toteż niezwłocznie sporządził on dla londyńskiego pisma, z którym współpracował, jej wnikliwe, niewolne od krytycznych uwag, omówienie¹⁷. Z kolei kiedy w 1954 roku Weintraub wydał wspomnianą już monografię *The Poetry of Adam Mickiewicz*, w sposób niemal naturalny rola jej recenzenta przypadła Kridlowi. Publikacja jego opinii jednak nie od razu doszła do skutku – amerykański periodyk „The American Slavic and East European Review”, który zaproponował Kridlowi sporządzenie zwięzłego omówienia, nie zgodził się na dłuższą wypowiedź krytyczną, jaką badacz chciał przygotować. Kridl donosił o tym wszystkim Weintraubowi w liście z 29 I 1955, po otrzymaniu od niego egzemplarza książki. Ostatecznie ową recenzję opublikował – wraz z innym swoim tekstem o Mickiewiczu – rok później w pierwszym numerze nowego czasopisma niemieckiego „Die Welt der Slaven”¹⁸.

Te przykładowo wymienione prace – w większości upamiętniające w świecie 150 rocznicę urodzin lub 100 rocznicę śmierci Adama Mickiewicza – wskazywały dość wyraźnie na pewne podobieństwo i bliskość zainteresowań historycznoliterackich obydwu korespondentów. Recenzje dokumentowały to wprost. Sygnalizowały też, że poczynania naukowe jednego nie były obojętne drugiemu¹⁹.

2

Wyjątkowy etap kontaktów między badaczami przypada na koniec lat czterdziestych. To okres, kiedy Weintraub po dwóch latach rezydowania w Londynie zaczął snuć plany dotyczące znalezienia nowej posady. Rozważał nade wszystko widoki na pod-

¹⁵ W. Weintraub: *Mickiewicz i Margaret Fuller*. „Wiadomości” (Londyn) 1947, nr 51/52; *Mickiewicz and Bakunin*. „The Slavonic and East European Review” 1949, nr 70; *Nieznany artykuł Mickiewicza*. „Teki Historyczne” 1950, nr 1; *Adam Mickiewicz, the Mystic-Politician*. „Harvard Slavic Studies” t. 1 (1953); *The Poetry of Adam Mickiewicz*. 's-Gravenhage 1954. Zob. też W. Weintraub, *Adam Mickiewicz 1798–1855: A Biographical Sketch*. W zb.: *Adam Mickiewicz in World Literature. A Symposium*. Ed. W. Lednicki. Berkeley 1956.

¹⁶ *Adam Mickiewicz. Poet of Poland. A Symposium*. Ed. M. Kridl. New York 1951. Owe dwa artykuły M. Kridla to: *Adam Mickiewicz (1798–1855)* i *Mickiewicz on America and the American Potato*. Pierwszy z nich był drukowany wcześniej w „The American Slavic and East European Review” (1948, nr 4).

¹⁷ W. Weintraub, [recenzja bez tytułu]. „The Slavonic and East European Review” 1952, nr 75. Recenzja była też powodem krótkiej listownej polemiki między korespondentami na temat umieszczonego w księdze artykułu J. Wittlina. Weintraub krytykował tego autora (w którego obronie stawał Kridl) za „niefortunne sformułowania” w interpretacji *Pana Tadeusza*, zwłaszcza za uznanie idei uwolnienia chłopów z poddaństwa za „rewolucyjną”.

¹⁸ M. Kridl: [recenzja bez tytułu]. „Die Welt der Slaven” t. 1 (1956); *Um einen richtigen Zugang zum Leben und Werke Adam Mickiewicz. Überlegungen am 100. Jahrestage seines Todes*. Jw.

¹⁹ Należy w tym miejscu wskazać jeszcze jedną tego typu recenzję: omówienie przez W. Weintrauba książki Kridla *An Anthology of Polish Literature* – zob. „Slavic and East European Journal” 1957, nr 3.

jęcie pracy naukowej w Ameryce. W tej sprawie zwrócił się z pytaniem do Kridla w liście z 19 I 1947:

czy można prosić Pana Profesora o informacje, czy i jakie są możliwości dla polonisty znalezienia zajęcia w Stanach Zjednoczonych? Ja tu dotychczas daję sobie radę, ale na dalszą metę nie widzę możliwości znalezienia tutaj takiego zaczepienia, które by miało związek czy z pracą naukową, czy z pisarską. Przez rok miałem wykłady zleczone w School of Slavonic Studies, ale to się skończyło, zresztą było tak skromnie opłacane, że żadnej podstawy utrzymania nie dawało. W New Yorku mam wuję, który mnie bardzo na przyjazd namawia, nie chciałbym jednak jechać tak, abym był potem zmuszonym chwytąć się zajęć nie mających nic wspólnego z moimi zainteresowaniami. Dlatego będę Panu Profesorowi ogromnie zobowiązany za poinformowanie mnie co do możliwości amerykańskich. Dla informacji dodaję, że angielskim i w mowie, i w piśmie władam względnie dobrze²⁰.

Kridl odpowiedział w liście z 2 III 1947, w którym zarysował trudną sytuację polonistyki w powojennej Ameryce:

Co do Pańskiej sprawy, to niestety niewiele pocieszającego mogę donieść. Możliwości dla polonisty w Stanach są bardzo słabe, jeżeli nie żadne. W całej Ameryce istnieją dwie czy trzy „katedry” polonistyki, zajmowane przez docentów, częściowo Amerykanów (Coleman w N[ew] Yorku), częściowo Amerykanów polskiego pochodzenia (E. Zawacki w Wisconsin) – ale i te mają bardzo mało słuchaczy i właściwie ledwie żyją. [...] Ja sam w Smith College miałem w całej mojej praktyce najwyżej 5–6 studentek w ciągu roku. Wszystko pcha się obecnie na rosyjski. Polska nikogo nie obchodzi. Jeżeli Pan zna dobrze rosyjski, to raczej z tym widoki byłyby lepsze, choć kolegia i uniwersytety starają się przede wszystkim o rodowitych Rosjan, choćby bez żadnych kwalifikacyj naukowych czy pedagogicznych²¹.

W kolejnym liście do Kridla, datowanym 18 III 1947, Weintraub stwierdzał: „Widzę, że właściwie moje możliwości uniwersyteckie są żadne, bo nauki rosyjskiego nie mógłbym się podjąć”. Badacz, który interesował się kulturą rosyjską i na jej temat publikował, nie czuł się więc wystarczająco kompetentny. Wyznał nawet wprost: „mówię po rosyjsku złym akcentem i nie najpoprawniej”. Stwierdził brak swoich „możliwości uniwersyteckich” przede wszystkim dlatego, że nie było wtedy w Ameryce – jak go informował Kridl – posady dla specjalisty w dziedzinie literatury polskiej, czyli faktycznym obszarze zainteresowań naukowych Weintrauba. Sytuacja jednak uległa zmianie trzy lata później, gdy wskazywana „możliwość” niespodziewanie się pojawiła. Wtedy badacz umiejętnie ją wykorzystał – w 1950 roku otrzymał zaproszenie i podjął pracę wykładowcy (*visiting lecturer*) języka polskiego oraz literatury na Harvard University. Tak zakończył swój 5-letni pobyt w Londynie i przeniósł się do USA.

Biorąc pod uwagę trudną sytuację polonistyki w Ameryce, to – jak pisał Kridl – że „Polska nikogo nie obchodzi”, uzyskanie w tamtym czasie posady przez badacza-polonistę na tak prestiżowym uniwersytecie było niezwykle istotnym wydarzeniem. Nieomal zbiegło się ono z objęciem przez Kridla dwa lata wcześniej, w 1948 roku, nowo utworzonej Katedry Kultury Polskiej im. Adama Mickiewicza na Columbia University, innej liczącej się uczelni amerykańskiej. W przywoływanych tu listach

²⁰ W. Weintraub, list do M. Kridla, z 19 I 1947 (mpis; format A5).

²¹ M. Kridl, list do W. Weintrauba, z 2 III 1947 (mpis; format A4). Archiwum Wiktora Weintrauba, Bibl. Jagiellońska, Kraków, sygn. Przyb. 290/07, korespondencja, t. 31. Z tego źródła pochodzą wszystkie cytowane i przywoływane tu listy M. Kridla adresowane do Weintrauba. Pisownię wraz z interpunkcją uwspółcześniono.

nie ma, niestety, wzmianki na temat tych doniosłych faktów, by nie powiedzieć: wydarzeń przełomowych tak w życiu i działalności naukowej obydwu badaczy, jak i w dziejach powojennego literaturoznawstwa polskiego za granicą. Rzeczywiście, wiele na to wskazuje, że nie wszystkie listy, które Kridl i Weintraub pisali do siebie, zachowały się. Niewykluczone, iż tylko część z nich została złożona w bibliotecznych archiwach uniwersytetów w Krakowie i w Nowym Jorku. Dostępny zbiór korespondencji – trzeba dopowiedzieć i wyjaśnić – obejmuje okres 12 lat (1944–1956) i składa się z 43 listów i kart pocztowych, przy czym większość z nich jest datowana po roku 1951. Tylko dwa listy – przykładowo – są z czasów wojny, aż 17 pochodzi z 1952, z roku 1956 zachowały się natomiast tylko dwa. Luka w korespondencji między marcem 1947 a kwietniem 1951, czyli z okresu wydarzeń omawianych w tym miejscu, jak najwyraźniej pokazuje niekompletność czy nieciągłość archiwalnego zbioru.

Na wiele pytań nasuwających się przy komentowaniu przedstawianych spraw nie ma więc w listach odpowiedzi. Nie wiadomo np., czy w momencie gdy niespodziewanie pojawiła się możliwość otrzymania posady na Harvardzie, profesor Kridl, tak sceptycznie i trzeźwo postrzegający sytuację uniwersyteckiej polonistyki w powojennej Ameryce i mający dużo doświadczenia w tamtejszych sprawach akademickich, służył jakakolwiek radą czy pomocą Weintraubowi – znacznie młodszemu i mniej obytemu koledze, który nie znał realiów świata za oceanem, a tym bardziej tamtejszych uczelni. Nie wiadomo też, czy Kridl informował go wcześniej, że sam zmienia miejsce pracy i że obejmuje katedrę na Columbii, co było – ale to już historia opisana gdzie indziej²² – bardzo głośną wtedy sprawą (m.in. z udziałem Czesława Miłosza), i to nie bez uwikłań politycznych. Interesująca musiała być treść niezachowanych czy niedostępnych listów (jeśli one rzeczywiście powstały!), które wymienili między sobą obydwaj badacze w tym przełomowym dla siebie i dla zagranicznego literaturoznawstwa polskiego okresie.

Po przeniesieniu się Weintrauba za ocean obaj znaleźli się w bliskiej geograficznie odległości od siebie. Wprawdzie nie zamieszkali w tym samym stanie Massachusetts (gdy Weintraub przybył do Cambridge, Kridl już przeprowadził się z Northampton do Nowego Jorku), niemniej jednak byli niedaleko od siebie i ich kontakty nie musiały odtąd ograniczać się do wymiany listów. Wynika z nich, że Weintraub od czasu do czasu przyjeżdżał do Nowego Jorku i tam spotykał się z Kridlem²³. Pełniąc obowiązki wykładowców literatury polskiej na prestiżowych uczelniach amerykańskich, znajdowali się teraz w podobnej sytuacji zawodowej, co musiało przyczynić się do ułatwienia wzajemnych stosunków. Listy wysyłane od początku 1951 roku podpowiadają, że – w istocie – badacze utrzymywali ze sobą w tamtym czasie dość regularną łączność.

²² Zob. na ten temat np. S. A. Blejwas: *The Adam Mickiewicz Chair of Polish Culture: Columbia University and the Cold War (1948–1954). Part 1*. „The Polish Review” 1991, nr 3; *The Adam Mickiewicz Chair of Polish Culture: Columbia University and the Cold War (1948–1954). Part 2*. Jw., nr 4.

²³ W liście z 18 V 1952 W. Weintraub powiadamiał M. Kridla: „Będę w N[ew] Yorku gdzieś około 10 czerwca, ale jeśli Panu nie sprawiło większego kłopotu przysłanie mi maszynopisu tu wcześniej, byłbym za to wdzięczny” (mpis; format A4 papieru firmowego Harvard University). M. Kridl odpowiadał w liście z 2 VI tego roku: „wyjeżdżam z N[owego] J[orku] na 2 tygodnie [...]. Żałuję, że nie zobaczę się z Panem około 10 czerwca. Będę natomiast w N[owym] J[orku] prawdopodobnie przez cały lipiec i sierpień, proszę więc zająć przy okazji” (rkps; 2 kartki formatu A6).

Spośród zainteresowań historycznoliterackich, które były im w owym okresie bliskie, na czoło wysuwał się – oprócz oczywiście badań nad Mickiewiczem²⁴ – temat dorobku naukowego Wacława Borowego. Zarówno Weintraub, jak i Kridl byli autorami pośmiertnych wspomnień poświęconych temu darzonemu przez nich sympatią, zmarłemu w 1950 roku badaczowi literatury²⁵. O ich przygotowywaniu do druku nawzajem się informowali, a gdy tylko tekst Weintrauba się ukazał, jego autor przesłał kopię Kridlowi. „Dziękuję bardzo za odbitkę artykułu o Borowym” – pisał 9 X 1951 w odpowiedzi adresat – „Przeczytałem go z przyjemnością i znalazłem sporo szczegółów nieznanych mi lub zapomnianych”. Nazwisko tego uczonego często było wymieniane w przywoływanych listach. Zarówno Kridl, jak i Weintraub z perspektywy emigracji śledzili bowiem wojenne i powojenne losy Borowego – podobnie jak i innych znajomych im ludzi polskiej nauki – a po jego śmierci „nadzorowali” edycję londyńską drugiego i zmienionego wydania antologii poezji polskiej, zbioru, który Borowy opracował przed laty²⁶.

Stąd w listach pojawia się wątek dotyczący kontaktów z wdową po badaczu. „Pani Borowa” – jak nazywali ją obaj korespondenci – pisywała bowiem do Kridla i Weintrauba, nieraz prosząc jednego o przekazanie jakiejś wiadomości drugiemu z tego powodu, że nie wszystkie pochodzące z Polski listy, karty czy paczki docierały do adresatów²⁷. Obu ponaglała do dopilnowania wydania wspomnianej antologii,

²⁴ Tu w korespondencji można przeczytać o udzielanej sobie pomocy. Na kartce pocztowej z 1 IV 1951 W. Weintraub pisał do M. Kridla: „Przy okazji prośba: Czy nie ma Pan przypadkiem tomów listów Mickiewicza z lat po 1831? Tutaj żadnego wydania nie ma. Kwerenda Biblioteki zdołała wytopić tylko egzemplarz w wydaniu Reitera w N[owo] J[orskiej] Public Library, która książkę nie wypożycza, mnie zaś wyjechać w najbliższych tygodniach do [New] Y[orku] byłoby nieporęczne. Gdyby Pan przypadkiem egz[emplarz] taki miał, byłbym bardzo wdzięczny za wypożyczenie. Zwrócę w ciągu tygodnia – 10 dni. Potrzebne mi to do wykończenia pracy o mistycznej polityce Mickiewicza” (rkps; kartka pocztowa).

12 IV M. Kridl odpowiadał pisząc m.in.: „Niestety, nie posiadam takiego rarytasu (na tutejszym gruncie), jak *Korespondencja* Mickiewicza. Rozpytywałem się o to pomiędzy ludźmi, ale bez rezultatu (stąd opóźnienie w odpowiedzi). Niech Pan spróbuje zwrócić się do Edmunda Zawackiego, profesora w University of Wisconsin, Madison [...]. Gdyby chodziło o określonych kilka lub kilkanaście stron, opłaciłoby się zrobić fotostat z egz[emplarza] Public Library – 25 centów za 2 strony. Mogłbym to Panu załatwić albo proszę napisać wprost do Bersteina, którego Pan pewnie zna” (rkps; format A6).

²⁵ W. Weintraub, *Wacław Borowy*, „Wiadomości” (Londyn) 1951, nr 17. – M. Kridl, *Wacław Borowy and His Role in Polish Literary Scholarship*, „The American Slavic and East European Review” 1951, nr 4. Obaj badacze byli też – warto wskazać – autorami recenzji książki W. Borowego *O poezji polskiej w wieku XVIII* (Kraków 1948). Zob. W. Weintraub, *Poezja i nie-poezja w literaturze polskiej XVIII-go w.*, „Kultura” (Paryż) 1948, nr 7. – M. Kridl, [recenzja bez tytułu], „The American Slavic and East European Review” 1950, nr 3.

²⁶ Zob. *Od Kochanowskiego do Staffa. Antologia liryki polskiej*. Oprac. W. Borowy. Londyn 1954. Pierwsze wydanie ukazało się w 1930 roku we Lwowie.

²⁷ W tej swoistej poczcie „okólnikowej” korespondencja z wdową po Borowym miała – oprócz Kridla i Weintrauba – jeszcze dwóch innych odbiorców rezydujących w Ameryce: W. Lednickiego i K. Wierzyńskiego. Nie są oni często przywoływani, ale np. w treści kartki do W. Weintrauba, datowanej przez M. Kridla 23 I 1953, można przeczytać słowa dające wyobrażenie o tej niezwykle wymia-

której maszynopis wysyłała Kridlowi partiami w maju, w lipcu i we wrześniu 1952. Zanim Kridl przekazał go dalej Weintraubowi, donosił mu w liście z 27 VII 1952:

Są tam ciekawe, nieznanne – według mnie – korzystne zmiany. Zasięg autorów wybiega daleko poza Staffa, tak że tytuł I wyd[ania] nie będzie chyba mógł być utrzymany. Pewnego rodzaju *curiosum* jest uwzględnianie z współczesnych poetów tylko zmarłych (!).

Weintraub, który korespondował w tej sprawie z wydawcą w Londynie – Katolickim Ośrodkiem Wydawniczym „Veritas” – wyrażał obawy, czy przesłanie za granicę maszynopisu, i w ogóle cały projekt, nie zaszkodzi Borowej, która kontaktowała się z nimi z Warszawy, gdzie mieszkała (a były wczesne lata pięćdziesiąte!). Pełniony nadzór – ostatecznie przez Weintrauba – nad opublikowaniem antologii oznaczał podpisanie umowy z wydawcą i „dopilnowanie uczciwej korekty” tekstu. W końcowej fazie projektu Weintraub regularnie informował Kridla o przygotowywaniu książki, narzekał na zbyt skromną jej oprawę i „brzydką czcionkę”. Pomimo włożonego wysiłku nie był zadowolony i z góry wiedział, że „tom ani się mierzyć graficznie nie będzie mógł z pierwszym wydaniem” (list z 3 XII 1953).

Antologia Borowego stanowi jeden z główniejszych wątków tematycznych przywoływanej korespondencji. Osoba badacza jest przedmiotem zwęższej wymiany zdań, odnoszących się także do innych jego planów naukowych i prac, takich jak np. podjęte przez niego i nieskończone z powodu śmierci przygotowanie do druku *Dzienników* Żeromskiego. Weintraub pisał też Kridlowi, że nosi się z zamiarem opracowania i wydania, z własnym wstępem, wyboru anglojęzycznych szkiców publikowanych przez Borowego przed wojną w londyńskim „The Slavonic and East European Review”.

Ale w wielu listach przewijają się też nazwiska innych historyków literatury, niejednokrotnie osób, które korespondenci, zwłaszcza Kridl, znali osobiście głównie ze współpracy czy kontaktów w Polsce okresu przedwojennego (m.in. Stanisław Adamczewski, Konrad Górski, Julian Krzyżanowski, Wacław Kubacki, Tadeusz Mikulski, Stanisław Pigoń, Irena Sławińska). W listach są obecni ponadto pisarze, szczególnie klasycy literatury polskiej. Poza Mickiewiczem wspomniani są Sienkiewicz i Norwid. Ich nazwiska pojawiają się w związku z próbami poszukiwania w Ameryce ich dzieł lub materiałów dotyczących ich życia i twórczości. W jednym z listów Kridl – spełniając życzenie Krzyżanowskiego z Polski – poruszył temat korespondencji Sienkiewicza, mającej rzekomo znajdować się u wnuka tłumacza jego utworów czy też u amerykańskiego wydawcy pisarza. Weintraub, poproszony przez Kridla, udał się do owej oficyny w Bostonie, ale odnalazł tam tylko jeden list Sienkiewicza, i „to nie bardzo ciekawy”, o czym doniósł swemu korespondentowi 23 X 1952, przesyłając mu fotostat tego listu. Podobnie innym razem Kridl pytał Weintrauba – na prośbę Sławińskiej, swojej uczennicy w przedwojennym Wilnie – o Norwida. Chciał wiedzieć, czy Weintraub ma wiadomości o „jakichś nowych materiałach”. W odpowiedzi uzyskał informację, że nie, oraz dopowiedzenie, iż podejmowane już przez innych próby dotarcia do ewentualnych amerykańskich norwidianów, np. rysunków poety, nie przyniosły rezultatów. Ale nazwisko Norwida obaj kore-

nie pocztowej: „Załączam list p. Borowej, wysłany przez Holandię, a przeznaczony dla »czwórki amerykańskiej«, tj. zapewne dla Pana, Wierzyńskiego, Lednickiego i mnie”.

spondenci przywoływali nie tylko z powodu owych poszukiwań. W tamtym czasie Kridl przygotował krótką recenzję *Vade-mecum* wydanego w 1947 roku w Warszawie, a Weintraub napisał rozprawę porównawczą na temat polskiego poety i Puszkina²⁸ i po opublikowaniu przesłał jej kopię Kridlowi. Ten, jako uważny czytelnik i wymagający krytyk, w krótkim liście z 18 XII 1954 wypomnił Weintraubowi kilka nieścisłości w jego pracy, zwłaszcza dotyczących języka:

Przy sposobności potwierdzam z podziękowaniem odbiór odbitki ciekawego artykułu *Norwid-Puskin...* Mam nadzieję, że się Pan nie pogniewa, jeżeli zauważę, że więcej tam Lenartowicza niż Puszkina i że jakoś pomieszała się Panu „sierść” z s z c z e c i n a, skoro Pan tłumaczy „sierść” = „hog’s bristles” i dopatruje się w tym słowie czegoś „repulsive”, czego w tekście, jako żywo, trudno się dopatrzeć. Pewne wątpliwości wywołuje również twierdzenie, jakoby słowo „Moskal” miało już w owym czasie to pogardliwe zabarwienie, jakiego nabyło później²⁹.

W listach można – w istocie – przeczytać o niejednej różnicy zdań, a nawet zaobserwować, że relacje między badaczami, choć pełne życzliwości, nie zawsze układały się harmonijnie (niewykluczone, iż tym należy w jakiś sposób tłumaczyć luki w tej korespondencji?). Weintraub, młodszy od Kridla o 26 lat, nie ukrywał swojego szacunku do starszego wiekiem i wyższego rangą kolegi, uznanego profesora o dużym dorobku. Kridl zaś wydawał się w tych kontaktach bardziej powściągliwy i – ogólnie rzecz ujmując – był nastawiony krytycznie wobec naukowych poczyniń doktora Weintrauba. Widać to najwyraźniej w ocenie, jaką wystawił mu w trakcie jego starań – po czterech latach pracy na Harvardzie – o uzyskanie tzw. *tenure* uniwersyteckiego. Było to w tym przypadku stanowisko i tytuł profesora nadzwyczajnego (*associate professor*), mające zapewnić Weintraubowi zdobycie po okresie próbnym stałej i dożywotniej posady, umożliwiając mu tym samym samodzielne kierowanie programem polonistyki. Na gruncie amerykańskim Kridl był, oczywiście, wyjątkowym znawcą twórczości naukowej Weintrauba, dlatego też władze Harvardu zwróciły się do niego z prośbą o pełnienie funkcji jednego z członków komisji oceniającej dorobek badawczy kandydata. Po wielu latach Weintraub opisał we wspomnieniach prace tej komisji, a także rolę, jaką w jej obradach miał odegrać profesor Kridl:

W czasie deliberacji zwołanego *ad hoc* komitetu, który miał zadecydować, czy przyznać mi katedrę, czy też nie, mimo woli przysłużył mi się zaproszony do tego komitetu Kridl. Poznałem go w r. 1936 [!] na lwowskim zjeździe polonistów. [...] Teraz w komitecie, jak mi to zdradził potem jeden z jego członków, dowodził, iż nie można mnie jako historyka literatury traktować na serio, bo, po pierwsze, w metodach jestem eklektykiem (co jest prawdą), a po drugie mam rozstrzelone zainteresowania i obok literatury zajmuję się też biografistyką, reformacją, historiografią i diabli wiedzą czym. Okazało się, że nie mógł mnie lepiej zarekomendować³⁰.

Być może, opisane wydarzenie dużo wyjaśnia we wzajemnych stosunkach obydwu badaczy, niewykluczone, że wskazuje na większy, niż się wydaje, dzielący

²⁸ M. Kridl, [recenzja bez tytułu], „The American Slavic and East European Review” 1954, nr 1. – W. Weintraub, *Norwid – Pushkin: Norwid’s „Spartacus” and the „Onegin” Stanza*. „Harvard Slavic Studies” t. 2 (1954).

²⁹ M. Kridl, list do W. Weintrauba, z 18 XII 1954 (rkps; format A5).

³⁰ W. Weintraub, *Szkic autobiografii*. W: *O współczesnych i o sobie. Wspomnienia, sylwetki, szkice literackie*. Red. S. Barańczak. Kraków 1994, s. 35.

ich dystans. Odsłania na pewno tę stronę relacji, której nie komentowali w listach do siebie. Czy – znów nasuwają się pytania – jakieś uwagi w tej sprawie zawierały fragmenty korespondencji, które nie zachowały się lub nie znalazły w archiwach? Niewątpliwie, autorzy listów unikali bezpośrednich wypowiedzi na trudne dla siebie tematy. Kridl, krytycznie odnoszący się do prac naukowych Weintrauba, najpewniej działał z największą dyskrecją, kiedy zasiadał w komisji, ale i w okresie późniejszym. Weintraubowi zaś nie wypadało proponować wymiany zdań w materii dotyczącej bezpośrednio jego własnej osoby.

Jeżeli zdziwienie może budzić rola Kridla w komisji oceniającej ówczesną działalność naukową jego młodszego kolegi, to należałoby w tym miejscu przypomnieć i wyjaśnić postawę oraz poglądy badacza, który jeszcze przed wojną – jako twórca metody integralnej i jeden z założycieli polskiej szkoły formalnej – toczył „boje” o nową naukę o literaturze³¹, właśnie o naukę odrzucającą m.in. eklektyzm w podejściu do sztuki pisarskiej. Formalistycznie ukierunkowany Kridl był bardzo konsekwentny i nie akceptował badań literatury, w których dzieło pisarza nie jest wyłącznym przedmiotem uwagi. Tymczasem Weintraub, mający „rozstrzelone zainteresowania” i zajmujący się np. biografistyką, takie właśnie badania – w oczach Kridla – reprezentował.

Z takiego stanowiska i przekonań Kridla – podobnie jak ze wspomnienia Weintrauba o roli profesora w komisji oceniającej – można w istocie wysnuć wniosek o niezwykle krytycznym lub wręcz negatywnym stosunku Kridla do pracy naukowej Weintrauba. Ale czy rzeczywiście wystawiona ocena była tak jednoznacznie ujemna?

4

Obok listów w archiwum Manfreda Kridla na Columbii znajduje się kilkustronicowy, odręcznie napisany angielski tekst jego przemówienia na posiedzeniu wspomnianej komisji na Harvardzie w dniu 28 IV 1954. Dokument zawiera ocenę dorobku naukowego Weintrauba oraz opinię na temat samego przebiegu postępowania w sprawie obsadzenia stanowiska, o które starał się Weintraub i na które rekomendowały go władze harwardzkiego Wydziału Slawistyki. Kridl, ubolewający nad trudną sytuacją polonistyki w USA, wyraził zadowolenie z faktu, że znakomity uniwersytet zdecydował o ufundowaniu stałej posady dla specjalisty w dziedzinie literatury polskiej. Badacz dostrzegł w tym znak, iż amerykańskie uczelnie uświadomiły sobie doniosłość *Polish studies* i, być może, przestały utożsamiać slawistykę tylko z rusycystyką. Zarazem Kridl wyraził zastrzeżenie co do klarowności ustanawianej katedry, gdyż zauważył, że w dokumentach raz mówi się o polonistyce, innym razem o slawistyce. Ale najbardziej zaniepokoiło go to, że pośród zgromadzonych 10 rekomendacji, entuzjastycznie popierających kandydaturę Weintrauba, co najmniej 6 było autorstwa osób, które nie są specjalistami od literatury

³¹ Zob. M. Kridl, *Boje Wilna i Warszawy o nową naukę o literaturze*. „Pamiętnik Literacki” 1957, z. 2.

polskiej, a z pozostałych 4 głosów tylko 2 lub 3 mogły uchodzić za należące do znawców, aczkolwiek takich, którzy nie zajmują się wyłącznie tą jedną dyscypliną³².

W swoim wystąpieniu Kridl nade wszystko skomentował wizerunek Wiktora Weintrauba, jaki się wyłonił z przedstawionych rekomendacji – entuzjastycznych i nieraz przesadnych, a nawet nieodpowiedzialnych, prezentujących kandydata jako autorytet w dziedzinie literatury polskiej wszystkich epok i jako znawcę twórczości każdego polskiego pisarza. Kridla dziwiło to, że pośród opinii i ocen były wyłącznie pochwały, że nie znalazły się tam zastrzeżenia czy wyrazy krytyki, że tylko czasem zawarto uwagi o pewnych „ograniczeniach” talentu i wiedzy kandydata. Jak podsumował Kridl: „Jednym słowem, doskonały ideał bez skaz, najlepszy ekspert nie tylko swego pokolenia, ale ze wszystkich żyjących historyków literatury polskiej”³³. W tym miejscu Kridl wyraził nawet protest, by bronić, jak wyjaśnił, reputacji wybitnych literaturoznawców pracujących w Polsce. Dodał, że jako osoba skromna doktor Weintraub byłby sam zdumiony i zawstydzony, gdyby przeczytał te wszystkie pochwały odnoszące się do niego. Kridl sformułował więc swoją opinię – wyważoną, powściągliwą, omawiającą mocne i słabe strony kandydata:

dr W[eintraub] jest niewątpliwie dobrym naukowcem i posiada potencjał mogący przysporzyć mu bardziej znacznego uznania w jego dyscyplinie. Jest uczonym, a nawet erudyta, zajmującym się różnymi obszarami kultury polskiej. Jego rozprawy i artykuły przeważnie stanowią większy lub mniejszy wkład w podejmowaną problematykę, zawsze właściwie udokumentowane, z ogromem przypisów pokazujących, że jest on dobrze czytany i w tym względzie metodologicznie bez zarzutu. Lista jego publikacji odsłania rozmaite tematy, zarówno literackie, jak i nieliterackie, którymi jest zainteresowany: językoznawcze, edytorskie, porównawcze, biograficzne i bibliograficzne, historyczne, a nawet polityczne.

Kridl podkreślił, że publikacje te dotyczą głównie literatury polskiej XVI oraz XVII wieku, choć jest też kilka takich, które poświęcone są epoce romantyzmu, zwłaszcza poezji Mickiewicza. Dodawał: „Trzeba stwierdzić obiektywnie, że wśród tych prac nie ma rzeczy nieudanych, bezwartościowych, napisanych niedbale czy nieprzemyślanych”.

Oprócz tych pozytywnych ocen dorobku naukowego Weintrauba w swoim wystąpieniu Kridl zawarł jednak sporo uwag krytycznych. Podstawowy zarzut skierował pod adresem tradycyjnego warsztatu, jakim w swoich pracach posługiwał się starający się o tę posadę badacz. Dlatego – padało stwierdzenie –

jego [tj. Weintrauba] studia zawierają niewiele odkryć, nowych spojrzeń czy perspektyw, choć można znaleźć w nich dużo „odkryć” dotyczących szczegółów i oryginalnych interpretacji. Nie ma w jego pracach wielu twórczych teorii, które są – mimo wszystko – celem każdej nauki. Nie interesują go kwestie teoretyczne, dlatego też zajmując się dziełami literackimi operuje głównie tradycyjnymi schematami.

³² Kridl wyliczył szczegółowo, choć nie przywołał wszystkich nazwisk: trzech filologów-sławiści, jeden profesor literatury porównawczej, jeden literatury francuskiej (W. Folkierski), jeden powszechnej (M. Kukiel), jeden profesor literatury rosyjskiej nauczający też języka polskiego (W. Lednicki), jeden profesor literatury słowiańskiej, rosyjskiej i polskiej (C. Backvis), historyk kultury polskiej (S. Kot) oraz były profesor polskiej historii i literatury (W. J. Rose). Pozostałe, niewymienione przez Kridla nazwiska, to – według dokumentacji i listów polecających – A. B. Lord, R. Jakobson, R. Poggioli, H. G. Lunt.

³³ M. Kridl, *Ad hoc Committee, Harvard, April 28, 1954* (rkps; ss. 6; format A4). Dalsze cytaty pochodzą z tego źródła.

Kridl jednoznacznie wysuwał zastrzeżenie dotyczące braku nastawienia teoretycznego w podejściu Weintrauba do literatury. Mówił, że „jest on raczej historykiem kultury niż literatury” i że „to oczywiście wpływa na jego stosunek do dzieł literackich, w których poszukuje on przede wszystkim elementów i wartości kulturowych i ideologicznych, a nie artystycznych”. Wiele jego prac, wskazał Kridl, nawet nie dotyczy literatury. I komentował dalej:

Nie ma on [tj. Weintraub] umiejętności syntetyzowania, uogólniania, [...] wyciągania wniosków. Erudycja jako znajomość faktów nie wystarcza, takiej znajomości musi towarzyszyć oryginalna i stylizująca interpretacja tych faktów i zdolność nowego objaśniania problemów.

Wydawać by się mogło, że „formalistycznie” nastawiony badacz literatury, jakim był Kridl, jednak znajdzie coś pozytywnego przynajmniej w książce Weintrauba *Styl Jana Kochanowskiego*. Tymczasem również i pod adresem tej pracy skierował wiele zarzutów. Odnosiły się one do nieskuteczności metody zastosowanej przez autora, krytykowały go za pominięcie najnowszych w tamtych latach zdobyczy literaturoznawstwa:

Bez wątpienia jego [tj. Weintrauba] książka o stylu Kochanowskiego stanowi wartościowy wkład w naukę, ale podąża znów według starego wzorca kolekcjonowania i liczenia figur poetyckich oraz tropów, w większej mierze bez analizowania ich w kontekście i w ich rozmaitych formach ekspresji, bez prezentowania jasnego obrazu języka poety. Książkę opublikowano w 1932 roku i nie można jej uznać za pracę na poziomie współczesnych osiągnięć w Europie Zachodniej (K. Vossler i jego szkoła) i w Rosji (formaliści).

Opinia Kridla przedstawiona komisji – trzeba to uwzględnić – była reakcją na niefortunny sposób zaprezentowania kandydata w procesie obsadzania uniwersyteckiego stanowiska profesora literatury polskiej. Była tym samym – co należy dopowiedzieć i wyjaśnić – próbą obrony dyscypliny, upomnieniem się o wysoki standard i jakość literaturoznawstwa polskiego, stanowiła wyraz troski o jego poziom. Nie należy w tym widzieć ataku na Weintrauba czy braku solidarnego wsparcia ze strony starszego kolegi. Kridl jedynie zwracał uwagę komisji na fakt, że popierany tak entuzjastycznie kandydat jest w większym stopniu historykiem kultury niż badaczem literatury polskiej. W przywoływanym dokumencie podkreślił: „Artykuły o życiu rosyjskiego historyka Tarle czy o Marksie, Palmerstonie, Bakuninie itp. czy o imperializmie sowieckim nie mogą w żaden sposób uchodzić za mające cokolwiek wspólnego z literaturą”. Tym bardziej nie można, twierdził, uważać kandydata za – jak wynikało z przedstawionych rekomendacji – największego żyjącego historyka literatury polskiej. Uświadamiał, że najlepiej wykwalifikowani specjaliści, jakich poszukuje uniwersytet, są w Polsce (choć – przyznał – trudno nie widzieć przeszkód natury politycznej, gdyby chodziło o sprowadzenie kogoś zza żelaznej kurtyny). Tak czy inaczej, w toczącym się postępowaniu uniwersytet powinien – podpowiadał Kridl – poważnie rozpatrzyć kandydaturę także innych osób, jak chociażby Zbigniew Folejewski z University of Wisconsin³⁴. Kridl przywołał go

³⁴ Wśród dokumentów w archiwum Kridla znajduje się kopia listu kierownika Wydziału Sławistyki Harvardu, w którym powiadamia on dziekana uczelni o przebiegu postępowania. Wydział – czytamy w tym piśmie, dokonał „porównania” kandydatury Weintrauba z trzema innymi ewentualnymi

przykładowo – a znał dobrze swojego wileńskiego ucznia sprzed wojny – i zestawił jego równie dobre kwalifikacje z osiągnięciami Weintrauba. Próbował tym samym skomentować jakość procesu obsadzania stanowiska, wskazać, że byłby on skuteczniejszy, gdyby przeprowadzono go w sposób zrównoważony i bezstronny, tzn. bez przesadnych pochwał pod adresem jednego, z góry wybranego kandydata, słowem – gdyby o zdanie oraz ocenę poproszono bardziej kompetentnych recenzentów i opiniodawców. Kridl przykładowo też wymienił nazwiska osób, które miał na myśli (m.in. Edwarda Zawackiego, Dmitrija Czyżewskiego, Zygmunta Lubicza Zalesskiego, a także wspomnianego wcześniej Folejewskiego).

Ostatecznie, po wyrażeniu wszystkich uwag i zastrzeżeń oraz po wyjaśnieniu, że w swoim wystąpieniu starał się być tylko szczerzy i obiektywny, Kridl przychylił się do preferencji Wydziału Slawistyki Harvardu. Oświadczył, iż popiera Wiktora Weintrauba na stanowisko profesora literatury polskiej³⁵. Jeśli kandydat je otrzyma – brzmiała konkluzja przemowy – będzie umiał satysfakcjonująco wypełnić wszystkie swoje obowiązki.

5

Weintraub był zatrudniony na Harvardzie (od 1959 roku jako *full professor*) przez następne dwa dziesięciolecia, do przejścia na emeryturę w 1978 roku. Publikował liczne prace historycznoliterackie, pośród których główne miejsce zajęły studia o Kochanowskim i Mickiewiczu³⁶. Współtworzył dzieje powojennego literaturoznawstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych. Po śmierci Kridla w lutym 1957 i po zamknięciu prowadzonej przez niego katedry na Columbii to właśnie program na Harvardzie pod kierownictwem Weintrauba – od 1971 roku w postaci formalnie ustanowionej katedry (Alfred Jurzykowski Chair of Polish Language and Literature) – przejął rolę najsilniejszego ośrodka studiów polonistyki literaturoznawczej w powojennej Ameryce³⁷.

kandydatami, badaczami takimi jak C. Backvis, F. Whitfield i właśnie Folejewski – uznając Weintrauba za najbardziej kompetentnego i najlepszego w dyscyplinie („*the best man in the field*”, „*an outstanding scholar in the field of Polish literature and culture*”). Według Kridla takie ogólne zestawienie, bez bliższego przyjrzenia się sylwetkom i osiągnięciom poszczególnych uczonych, nie wystarczało w procesie wyłonienia najsilniejszego kandydata.

³⁵ Oznajmił: „*I think that the University authorities can be advised to appoint Dr. W[eintraub] to the position proposed by the Slavic Dept.* [Uważam, że władzom uniwersytetu można zarekomendować mianowanie dr. Weintrauba na stanowisko proponowane przez Wydział Slawistyki].”

³⁶ Poza już tu przywołanymi szkicami, artykułami i studiami zob. przykładowo inne, późniejsze prace W. Weintrauba: *Literature as Prophecy: Scholarship and Martinist Poetics in Mickiewicz's Parisian Lectures*. 's-Gravenhage 1959; „*Pan Tadeusz*” – *an Antiprophetic Poem*. „Zagadnienia Rodzajów Literackich” 1964, z. 1; *Profecja i profesura. Mickiewicz, Michelet i Quinet*. Warszawa 1975; *Od Reja do Boya*. Warszawa 1977; *Rzecz czarnolesska*. Kraków 1977; *Poeta i prorok. Rzecz o profetyzmie Mickiewicza*. Warszawa 1982; *Kochanowski's Fame*. W zb.: *The Polish Renaissance in Its European Context*. Ed. S. Fiszman. Bloomington 1988.

³⁷ Wtórowała mu – od 1960 roku – polonistka na University of California w Berkeley po objęciu stanowiska profesora przez Cz. Miłosza, który zajął je po odejściu Lednickiego, trudniącego się głównie rusycystyką. Poeta wcześniej z Francji dopytywał w listach – co warto tu dopowiedzieć – właśnie Weintrauba (także w rozmowach z nim w Paryżu) o możliwości znalezienia dla siebie posady na uczelni w Stanach. Weintraub w tej sprawie podejmował zaś „życziwe zabiegi”, przygoto-

Działalność obydwu badaczy jako profesorów literatury polskiej na amerykańskich uniwersytetach miała szczególnie charakter, dyktowany – ogólnie rzecz ujmując – wymogami programów nauczania i warunkami obcej kultury³⁸. Wychodziła często poza wąskie pole jednej literatury narodowej, była uprawianiem slawistyki i komparatystyki, dotyczyła zjawisk szeroko rozumianej humanistyki, przeobrażała się czasem w swoiste badania kulturowe. Licznie przywoływane tu tytuły różnych publikacji Kridla i Weintrauba unaoczniają specyfikę i zakres tej działalności. Część prac stanowiła oczywiście wynik wysiłków podejmowanych, zwłaszcza na początku emigracji obu badaczy, w ramach ich aktywności nie tyle naukowej, co publicystycznej i popularyzatorskiej. Ale pisanie o tradycjach polskiej demokracji, sowieckiej okupacji Wilna, prądach kulturowych w Rosji czy dyplomacji w Europie XIX wieku nie było dominującym zajęciem. Nie było nim też wygłaszanie odczytów, aczkolwiek redagowanie tekstów czy – jak w przypadku Kridla – przygotowywanie antologii lub tomu zbiorowego odciągało od rzeczywistej aktywności naukowej. W każdym razie zarówno Kridl, jak i Weintraub nigdy całkowicie nie zaniedbali głównego przedmiotu swoich badań i o literaturze polskiej pisali także wtedy, gdy koncentrowali się na innych, mniej związanych z literaturą tematach czy czynnościach. Rozpatrywanie jej zjawisk i problemów we wskazywanej szerszej perspektywie – slawistycznej, komparatystycznej, kulturowej – zrodziło prace takie jak Kridla *The First Polish Translation of the „Słowo”* czy Weintrauba *Norwid – Pushkin, Mickiewicz and Bakunin* i *Kraśiński and Reeve*³⁹. Do tego nurtu w pewnym sensie należały też publikacje porównawcze Kridla wyrosłe z jego przedwojennych zainteresowań – studium o Mickiewiczu i Lamennais’em ogłoszone w „Comparative Literature” czy nawet artykuł o rosyjskim formalizmie wydrukowany w periodyku „The American Bookman”. Bezsprzecznie w ów nurt wpisywały się powojenne studia Weintrauba poświęcone związkom twórczości i wykładów Mickiewicza z myślą Saint-Martina. Ale – tu nasuwa się pytanie – czy takie ukierunkowanie i ta szersza perspektywa komparatystyczna wykorzystywane przez badaczy umacniały za każdym razem status literaturoznawstwa polskiego uprawianego w Ameryce?

Z jednej strony, studia nad rodzimym piśmiennictwem niewątpliwie wzbogacało oddziaływanie obcej kultury, a obierany porównawczy punkt widzenia ujawniał ukryte dotąd jakości badanego przedmiotu. Z drugiej strony, było w tym (lub mogło

wywał rekomendacje dla Miłosza i zgłaszał jego kandydaturę. Zob. listy Cz. Miłosza do W. Weintrauba, z 21 III i 23 IV 1959, 20 I i 29 II 1960. Archiwum Wiktora Weintrauba. Bibl. Jagiellońska, Kraków, sygn. Przyb. 299/07, t. 40.

³⁸ Na temat warunków i specyficzności, także dziejów, badań polonistycznych w Ameryce zob. np. M. J. Mikoś, *Zarys historii polonistyki w Ameryce Północnej*. Katowice 2012 (tu w przypisach obszerna bibliografia prac poświęconych tym zagadnieniom). – H. Filipowicz, A. Karcz, T. Trojanowska, wstęp w: *Polonistyka po amerykańsku. Badania nad literaturą polską w Ameryce Północnej (1990–2005)*. Red. H. Filipowicz, A. Karcz, T. Trojanowska. Warszawa 2005. – E. M. Thompson, *Slavic but Not Russian: Invisible and Mute*. „Porównania” nr 16 (2015). Zob. też numer specjalny kwartalnika „Postscriptum” (2001, nr 1/2).

³⁹ M. Kridl, *The First Polish Translation of the „Słowo”*. W zb.: *Russian Epic Studies*. Ed. R. Jakobson, E. J. Simmons. Philadelphia 1949 (artykuł był omówieniem pierwszego tłumaczenia na język polski arcydzieła literatury staroruskiej *Słowo o wyprawie Igora*). – W. Weintraub, *Kraśiński and Reeve*. „The Polish Review” 1960, nr 2 (przedruk w zb.: *Zygmunt Kraśiński: Romantic Universalist*. Ed. W. Lednicki. New York 1964).

być) wszakże pewnego rodzaju zacieranie jego wyrazistości czy odrębności, traktowanie go jako tylko jednego z wielu przedmiotów i prowadzonych badań. Stawało się to wyraźne zwłaszcza, gdy zainteresowaniem obejmowano – a komparatystyka może temu sprzyjać – zjawiska kulturowe odległe od literatury. Z taką praktyką nie potrafił pogodzić się Kridl, który – nieustraszenie stając w ogóle w obronie autonomii dyscypliny – już przed wojną m.in. w książce *Wstęp do badań nad dziełem literackim* (1936) wskazywał, że wykraczanie poza granice literaturoznawstwa ku innym obszarom wiedzy czy dyscyplinom nie służy jego wzbogaceniu, lecz grozi zniekształceniem. W badaniach prowadzonych w Ameryce zauważał ten proces w szczególnym nasileniu, obserwując, jak literatura polska, traktowana właśnie jako tylko jeden z przedmiotów, jest spychana na bok, jak się ją pomniejsza, a nawet pomija. Dostrzegał jej niekorzystne miejsce i marginalizację już w samej strukturze programu studiów istniejących na wydziałach sławistycznych uczelni amerykańskich. Z podejrzliwością i krytycznie – jak widać było – spoglądał nawet na sam proces obsadzania uniwersyteckiego stanowiska profesora literatury polskiej. Zależało mu na tym, żeby na Harvardzie zatrudniono nie tylko najlepszego specjalistę, ale i żeby nie było wątpliwości co do tego, czy ma on wykonywać obowiązki polonisty czy sławisty (co zwykle na uczelni amerykańskiej znaczyło: rusycysty). Na ten właśnie temat pisał Kridl w liście z 7 I 1955 do zainteresowanego posadą uniwersytecką Miłosza. Prawie żalił się poecie, utyskując na los kończącej swoje istnienie katedry literatury polskiej na Columbii, którą sam przez siedem lat prowadził i którą Miłosz pomagał kiedyś, jako dyplomata, utworzyć. Narzekał też na brak podobnie zinstytucjonalizowanych programów na innych uczelniach w Ameryce, a zwłaszcza na fakt, że jeśli już profesorzy-poloniści tam wykładają – zamiennie znów przywoływał przykład Folejewskiego i Weintrauba – to muszą przeobrażać się w specjalistów od „innych rzeczy »słowiańskich«”⁴⁰.

Z trudem więc przychodziło Kridlowi dostosowywać własną pracę naukową, nastawioną na literaturę polską i pojmowaną autonomicznie, do wskazanych wymogów i warunków, ukierunkowań i perspektyw. Z kolei Weintraubowi jako eklektykowi nie sprawiało to – jak się wydaje – większych kłopotów. Raczej bez oporów łączył on w swoich badaniach rozmaite metody i podejścia, wykorzystywał z rozmachem różne zjawiska szeroko rozumianej kultury, zajmując się raz tą, drugim razem inną epoką historyczną, niejednokrotnie odsuwając ściśle pojętą literaturę na plan dalszy i stając się – jak w przypadku swoich studiów nad Mickiewiczem – historykiem

⁴⁰ M. Kridl (cyt. za: Cz. Miłosz, „*Mój wileński opiekun*”. *Listy do Manfreda Kridla (1946–1955)*. Z uzupełnieniem o listy Manfreda Kridla i addendum. Z autografu do druku przygot., słowem wstępnym, przypisami i notą edytorską opatrzył A. Karcz. Toruń 2005, s. 63) pisał: „Studia polonistyczne [na Columbia University] będą utrzymane, ale w jakiej formie, to trudno obecnie przewidzieć. Osobna katedra polska z »pełną profesurą« nie »opłaca się« (za mało studentów), bez wydatnego subsydium więc nie da się utrzymać. To jest smutna i »naga« prawda, jasno stawiana przez administrację Uniwersytetu. Takich katedr zresztą nigdzie w Ameryce nie ma. Folejewski jest profesorem filologii słowiańskiej, Weintraub »literatur słowiańskich« – obaj wykładają [literaturę] polską jako j e d n z przedmiotów (Weintr[aub] więcej niż Folej[ewski]). Możliwe więc, że i Col[umbia] zechce zastosować podobny system, tj. wymagać od przyszłego polonisty, aby uczył innych rzeczy »słowiańskich« i w ten sposób zgromadził więcej studentów”.

idei⁴¹. Taką jego postawę Kridl opisał w cytowanym tu wcześniej i omawianym dokumencie-wystąpieniu, nazywając ją poszukiwaniem w utworach literackich „przede wszystkim elementów oraz wartości kulturowych i ideologicznych, a nie artystycznych”. Dla Kridla, literaturoznawcy o podejściu formalistycznym, najważniejsze bowiem były te ostatnie – interesowało go analizowanie właśnie artyzmu, chwytów literackich, fikcjonalności, użycia języka, a także wszystkiego, co czyni literaturę dziełem sztuki.

Kridl starał się – w niesprzyjających „okolicznościach amerykańskich”⁴² – w miarę możliwości pozostać wierny swoim przedwojennym przekonaniom i uprawiać badania nad literaturą jako odrębną dyscyplinę, badania nade wszystko ukierunkowane teoretycznie, formalistycznie. To podejście da się już zaobserwować w wyrażonej przez niego opinii pod adresem Weintrauba – w postawieniu mu zarzutu, że „nie interesują go kwestie teoretyczne”, w nieprzychylniej ocenie jego prac, w których nie ma „wielu twórczych teorii”⁴³. Kridla natomiast absorbowwały one stale, choć mógł się nimi naprawdę zająć czy raczej częściowo do nich powrócić dopiero w późniejszym okresie swojej emigracji trwającej 16 lat⁴⁴. Dokumentują to jego publikacje oraz prace niewydane.

Przywołując te dokonania, w pierwszym rzędzie trzeba umieścić dzieła, które badacz wydał⁴⁵, ale nie wolno zapominać też o tych, których nie zdążył przygotować

⁴¹ Tę cechę postawy badacza podkreśliła Z. Stefanowska (Wiktor Weintraub <10 kwietnia 1908 – 14 lipca 1988>). „Pamiętnik Literacki” 1991, z. 1, s. 319).

⁴² Do opisywanych tu trudnych warunków działalności naukowej trzeba dodać wynikające z nich odczucia i ogólny stan wewnętrzny badacza, dochodzące do głosu zwłaszcza na początku jego emigracji. W listach Kridla można bowiem przeczytać o jego poczuciu rozdarcia i osamotnienia na obczyźnie, o jego braku wiary w celowość i sensowność wykonywanej pracy w Ameryce, o niedostatku satysfakcji. Zob. *Korespondencja Marii Renaty Mayenowej i Manfreda Kridla*. Oprac. B. Chodźko. W zb.: *Obecność. Maria Renata Mayenowa (1908–1988)*. Red. B. Chodźko, E. Feliksiak, M. Olesiewicz. Białystok 2006 (zwłaszcza listy z datą 23 V 1946, 18 III 1950, 16 XI 1952).

⁴³ W istocie, Weintraub nie był autorem prac ściśle teoretycznoliterackich. Rozprawą o takim charakterze jest jedynie tekst *Wyznaczniki stylu realistycznego* („Pamiętnik Literacki” 1961, z. 2). Natomiast szkic na temat historii polskiego formalizmu, w którym W. Weintraub (*A Political Gloss to the History of the Polish Formalist Movement*. W zb.: *Russian Formalism: A Retrospective Glance. A Festschrift in Honor of Victor Erlich*. Ed. R. L. Jackson, S. Rudy. New Haven – Columbus 1985) – co trzeba tutaj wskazać – pisze m.in. o Kridlu, tylko pośrednio dotyczy problemów teorii literatury.

⁴⁴ Kridl Valkenier (*op. cit.*, s. 362) wskazała, że jej ojciec zaczął pisać o „własnej pracy w dziedzinie teorii literatury [...] w swoim drugim ośmioletnim amerykańskim”.

⁴⁵ Na powstały w Ameryce i ogłoszony drukiem dorobek M. Kridla z zakresu teorii literatury składają się – już tu przywołane – artykuły *Russian Formalism* (1944) i *The First Polish Translation of the „Slovo”* (1947) oraz rozprawa *The Integral Method of Literary Scholarship: Theses for Discussion* („Comparative Literature” 1951, nr 1). Pracą teoretycznoliteracką – najpewniej fragmentami przygotowywanej książki – jest też wydana pośmiertnie po polsku, częściowo tłumaczona z angielskiego, *Sprawa realizmu w powieści* (Przeł. J. Frenzel. „Pamiętnik Literacki” 1958, z. 1). Spośród innych publikacji z tamtego okresu nastawienie teoretyczne badacza widoczne jest również w studium *The Lyric Poems of Julius Slowacki* (s-Gravenhage 1958; wersja w języku polskim: *Juliusza Słowackiego liryki*. „Roczniki Humanistyczne” 1959, nr 1. Zob. *Die Struktur der lyrischen Gedichte von J. Slowacki*. W zb.: *Festschrift für Dmytro Čyževskij zum 60. Geburtstag am 23 März 1954*. Berlin 1954) oraz w artykułach recenzyjnych ogłoszonych w „The American Slavic and East Euro-

do druku, a których maszynopisy znalazły się w archiwum⁴⁶. Zarówno jedno, jak i drugie mogą świadczyć o niemałym zaangażowaniu i wysiłku ich autora na rzecz teorii literatury, odsłaniają także jego zamierzenia i plany w tym obszarze badań. O niektórych z nich sam pisał już w 1946 roku w liście do Marii Renaty Mayenowej, swojej byłej uczennicy wileńskiej:

Myszę o wydaniu angielskim mego *Wstępu do badań [nad dziełem literackim]*, oczywiście w odpowiedniej przeróbce dla czytelników obcych, oraz o *Poetyce*, a przynajmniej na razie *Strukturze dzieła literackiego*, ale to jest robota na długi czas⁴⁷.

Dziesięć lat później, również w liście do Mayenowej, pisał podobnie o swoich projektach i poczynaniach, choć ze wskazaniem na napotymane przeszkody, które utrudniały mu pracę naukową:

Mimo to wszystko [tj. zły stan zdrowia – A. K.] jakoś się żyje i pracuje, jeżeli można nazwać pracą układanie antologii dla cudzoziemców i pisanie podręczników dla tejże publiczności. Wreszcie zbuntowałem się przeciw temu i od kilku lat zbieram materiały do studium o powieści tzw. klasycznej, romantycznej i realistycznej w literaturach europejskich. Nad polonistyką tutaj w zasadzie naukowo nie można pracować z powodu braku materiałów, bibliotek itp. Toteż nieliczni poloniści tutejsi wyczerpują się w „popularyzacji”. Smutny żywot nie tylko ich, ale i innych intelektualistów, poetów, pisarzy [...]⁴⁸.

Wszystkie wysiłki badacza dotyczące teorii literatury – a zatem i planowane studia lub wersje anglojęzyczne przedwojennych prac czy to o poetyce, strukturze dzieła, czy na temat powieści – porównane z jego rozprawami historycznoliterackimi powstałymi w Ameryce, wydają się skromniejszym osiągnięciem. Więcej bowiem było tu zamierzeń i projektów aniżeli dokonań. Przeszkody i niesprzyjające warunki wynikały również – rzecz nie bez znaczenia – z atmosfery intelektualnej i z określonych wymogów pracy uniwersyteckiej. Z tego powodu – pomimo planów i zaan-

pean Review” (1950, nr 4; 1952, nr 3). Na łamach tego czasopisma – rzecz ważna – Kridl umieścił recenzje wydanych po 1945 roku książek teoretycznoliterackich autorstwa swoich byłych uczniów wileńskich i przedwojennych współpracowników z polskiej szkoły formalnej: *Stylistyka teoretyczna w Polsce* pod redakcją K. Budzyka (Warszawa 1946), M. R. Mayenowej *Poetyka opisowa. Opis utworu literackiego* (Warszawa 1949), M. Rzeuskiej „*Chłopi*” Reymonta (Warszawa 1950), I. Sławińskiej *Tragedia w epoce Młodej Polski. Z zagadnień struktury dramatu* (Toruń 1948), Cz. Zgorzelskiego *Duma, poprzedniczka ballady* (Toruń 1949). Pozostałe książki teoretycznoliterackie, których recenzje M. Kridl opublikował we wskazanych dwóch numerach czasopisma, to: M. Dłuskiej *Studia z historii i teorii wersyfikacji polskiej* (t. 1. Kraków 1948; t. 2 (1950)); S. Furmanika *Podstawy wersyfikacji polskiej (nauka o wierszu polskim)* (Warszawa 1947) i S. Skwarczyńskiej *Systematyka głównych kierunków w badaniach literackich* (Łódź 1948).

⁴⁶ Uwagę przykuwa nade wszystko ukierunkowana formalistycznie, nieskończona książka *The Short Stories of Erskine Caldwell* (mpis, ss. 61). W archiwum znajduje się też 7-stronicowy, gęsto zadrukowany maszynopis o tytule *What is Theory of Literature?*

⁴⁷ M. Kridl, list do M. R. Mayenowej, z 23 V 1946. W zb.: *Obecność*, s. 90. Należy dopowiedzieć, że w archiwum Kridla znajduje się maszynopis pracy *Introduction to the Study of Literary Works*, wskazujący, że badacz w istocie przygotowywał tłumaczenie czy angielskojęzyczną wersję swojej przedwojennej książki *Wstęp do badań nad dziełem literackim*. Niewykluczone, że częściowym wynikiem tych starań była oparta na owej książce (jak poinformował autor w przypisie) wspomniana rozprawa *The Integral Method of Literary Scholarship*.

⁴⁸ M. Kridl, list do M. R. Mayenowej, z 12 VI 1956. W zb.: *Obecność*, s. 112.

gażowania – badacz po prostu nie wierzył w powodzenie swoich działań na gruncie teorii literatury. Pisał o tych sprawach w już cytowanym liście do Mayenowej:

Zainteresowanie zagadnieniami teoretycznymi w Ameryce jest b[ardzo] n[ie]k[ie] [...]. W uniwersytetach i kolegiach panuje filologiczno-historyczny duch pierwszej połowy XIX w. [...], ponieważ wykładam tu „literatury słowiańskie”, więc muszę sporo czasu poświęcać rzeczom rosyjskim i czeskim, co również odrywa od spraw teoretycznych⁴⁹.

Publikacje, które mimo wszystko udało mu się przygotować i które dotyczyły wskazanej problematyki – najważniejsze rozprawy wydane drukiem to *Russian Formalism* i *The Integral Method of Literary Scholarship* – nie były liczne i nie zdołały mieć znaczącego oddźwięku. Można wprawdzie usiłować dowodzić, że ówczesne osiągnięcia Kridla w teorii literatury są – zakładając wiarygodność takiego miernika – uznane przez amerykańskich literaturoznawców, a jego prace są cytowane⁵⁰, jednak chyba twierdzenie takie nie ma silnych podstaw. Albowiem tylko w studiach Victora Erlicha (zresztą polonisty wykształconego w latach trzydziestych XX wieku w Warszawie, autora pracy magisterskiej i kilku artykułów o Stanisławie Brzozowskim, po wojnie zaś doktoranta piszącego dysertację pod kierunkiem Romana Jakobsona na Columbii w okresie, gdy wykładał tam Kridl), zwłaszcza w jego przełomowej książce z 1955 roku *Russian Formalism: History – Doctrine*, Kridl jest naprawdę silnie obecny, a jego osiągnięcia zostały parokrotnie przywołane i bliżej omówione. Są to oczywiście uwagi nawiązujące do jego dawniejszych dokonań, tych z okresu Dwudziestolecia międzywojennego, do jego ówczesnych zasług dla formalizmu w badaniach literackich, mniej zaś do wysiłków podejmowanych przez niego na emigracji w Ameryce. Erlich bowiem tylko w jednym zdaniu – raz w swojej książce i raz we wcześniejszym artykule – wymienił rozprawę Kridla z 1944 roku o rosyjskim formalizmie, pisząc pochlebnie, że w USA tekst ten dostarczył podstawowych informacji o owym kierunku badań⁵¹. Pomimo tych faktów, rozpowszechnianie idei formalistycznych w powojennej Ameryce – jak po latach zauważył Folejewski – praktycznie odbyło się bez udziału Kridla⁵². Nie tylko za krótko, w istocie, dane mu było pracować naukowo za oceanem, ale i – co jest tu wciąż podkreślane – w zbyt niesprzyjających warunkach. Wszystkie te czynniki sprawiły, iż Kridl jako teoretyk nie mógł odegrać w Ameryce większej roli⁵³. Czy słusznie więc stawia się

⁴⁹ Kridl, list do Mayenowej, z 23 V 1946, s. 90.

⁵⁰ Zob. Kridl Valkenier, *op. cit.*, s. 362.

⁵¹ V. Erlich: *Russian Formalism – In Perspective*, „The Journal of Aesthetics and Art Criticism” 1954, nr 2, s. 216; *Russian Formalism: History – Doctrine*. Wyd. 3. New Haven – London 1981, s. 273 (pierwodruk: ’s-Gravenhage 1955); wymieniony artykuł złożył się na ostatni rozdział książki Erlicha. Gdyby poszukiwać nazwiska Kridla w innych podobnych anglojęzycznych źródłach wydanych tuż po wojnie, znajdzie się nie tyle sporadyczne odwołania do jego konkretnych dokonań, co tytuł którejś z jego prac umieszczony w bibliografii. Jako przykład zwraca uwagę zawierająca taką pozycję, przełomowa i mająca wiele wydań książka R. Welleka i A. Warrena *Theory of Literature* (New York 1947).

⁵² Z. Folejewski, „Formalism” in *Polish Literary Scholarship*, „Slavic Review” 1972, nr 3. Były wileński uczeń Kridla trafnie wskazał, że zasługa ta przypadła w zamian takim badaczom jak Jakobson i Wellek.

⁵³ Czy wysiłki teoretyczne Kridla przyniosły jakiś efekt pośród jego amerykańskich uczniów? W toku zajęć poświęconych literaturze i kulturze polskiej, czy szerzej: słowiańskiej, na Columbia Univer-

mu zarzut, że to przez niego w kluczowym momencie okresu powojennego polska teoria literatury czy nawet całe rodzime literaturoznawstwo straciły szansę, by zaistnieć na światowej scenie?⁵⁴

6

Zarówno Manfred Kridl, jak i Wiktor Weintraub przeszli do historii polskiej nauki o literaturze jako wybitni znawcy przedmiotu. Pierwszy z nich tytuł ten zdobył już swoim dorobkiem przedwojennym. Drugi, badacz młodszy, pracował na jego uzyskanie w okresie spędzonym na obczyźnie po 1945 roku. Obaj działając poza krajem jako profesorowie literatury – także występując w roli krytyków, redaktorów i publicystów – byli bardzo czynni i twórczy, co dokumentują przede wszystkim ich liczne publikacje, ale również maszynopisy prac niewydanych, listy, dokumenty i inne materiały znajdujące się w archiwach. O aktywności tych badaczy świadczy ponadto – niebędąca tutaj przedmiotem dokładniejszego oglądu – ich wieloletnia praca dydaktyczna utrwalona czy to w tytułach i zapisach treści uniwersyteckich wykładów, w notatkach czy we wspomnieniach uczniów amerykańskich⁵⁵.

Powojenne zasługi obu profesorów mają swoje umiejscowienie głównie na polu historycznoliterackim (także krytycznym, co można dostrzec po uwzględnieniu licznych recenzji książkowych i szkiców ich autorstwa). Uwagę przykuwa szeroki zakres podejmowanych i prowadzonych badań. Obszar studiów Weintrauba rozciągał się od literatury staropolskiej (powracająca refleksja nad „rzeczą czarnoleską”), przez epokę romantyzmu (tu najistotniejszy temat profetyzmu Mickiewicza), do współczesności (szkice o poetach, krytykach i historykach literatury)⁵⁶. Kridl zaś – oprócz opracowań edytorskich i przygotowania tomu zbiorowego *Adam Mickiewicz*:

sity profesor informował swoich słuchaczy o bliskich mu problemach teorii literatury. Prowadził na ten temat np. seminarium doktorskie, a – w semestrze zimowym 1956 – kurs pt. *Introduction to Literary Theory in the Slavic Countries*. Niewykluczone, że wskazywane oddziaływanie stało się widoczne (nie zawsze w jasny sposób) dopiero po wielu latach, co może uświadamiać wydana w 1981 roku książka *Psychologism and Psychoaesthetics: A Historical and Critical View of Their Relations* (Amsterdam–Philadelphia) J. F i z e r a, byłego ucznia Kridla. Autor zawarł w niej fragment swej dysertacji doktorskiej pisanej pod kierunkiem polskiego profesora, co podkreślił w podziękowaniach na początku książki, rozpoczynając ją słowami: „*Typically this book originated in the early fifties in a graduate seminar at Columbia University conducted by the late Professor Manfred Kridl* [W odniesieniu do tematu książki ta powstała we wczesnych latach pięćdziesiątych na seminarium podyplomowym prowadzonym na Columbia University przez – już nieżyjącego – profesora Manfreda Kridla]” (s. VII).

⁵⁴ Zob. D. Ulicka, *Przegapiona okazja*. „Teksty Drugie” 2018, nr 6.

⁵⁵ Zob. np. Z. Wardzinski, *Manfred Kridl*, „The Polish Review” 2000, nr 2. – R. A. Maguire, *Manfred Kridl*. W zb.: *Between Lvov, New York, and Ulysses’ Ithaca. Józef Wittlin: Poet, Essayist, Novelist*. Red. A. Frajlich. Toruń – New York 2001. – M. G. Levine, *Wiktor Weintraub: Professing Polish Studies in America*. W zb.: jw.

⁵⁶ Niezwykłą rozległość tematyczną prac naukowych i krytycznoliterackich badacza zaakcentował m.in. jego następca na katedrze harwardzkiej S. Barańczak (*Wiktor Weintraub (1908–1988)*. „Slavic and East European Journal” 1988, nr 4). Do ostatniego z wyliczonych zakresów należały również omówienia książkowe, które Weintraub publikował – w latach pięćdziesiątych podobnie jak Kridl – w czasopiśmie „The American Slavic and East European Review” (np. 1955, nr 2; 1957, nr 4; 1958, nr 4; 1959, nr 3; 1960, nr 4). Kontynuował przygotowywanie recenzji dla tego periodyku w kolejnych latach, kiedy wychodził on pod zmienionym tytułem jako „Slavic Review”.

Poet of Poland oraz kompendiów *A Survey of Polish Literature and Culture* i *An Anthology of Polish Literature* – kontynuował analizę poezji Mickiewicza, także Słowackiego, i sięgał po najnowsze książki innych polskich literaturoznawców pozostając, jak przed wojną, czujnym obserwatorem i krytykiem współczesnej nauki o literaturze. Tę stronę jego działalności dokumentują recenzje zamieszczone m.in. na łamach „The American Slavic and East European Review” czy znajdujący się w archiwum tekst pracy *Mickiewicz w powojennej krytyce polskiej*.

Swoimi wysiłkami Kridl i Weintraub przyczynili się do faktycznego wzmocnienia literaturoznawstwa polskiego uprawianego w Ameryce, co było dokonaniem zupełnie niezwykłym również ze względu na okoliczności, w jakich uczeni ci prowadzili swoją działalność. Kridl stale powracał do komentowania tego stanu rzeczy, co rusz wskazując jego głębokie przyczyny. Pisał np.: „ciągle tu robimy wysiłki, aby wzbudzić większe zainteresowanie dla spraw polskich, ale trudne to wobec wiekowej obojętności dla narodów, którym się »nie powiodło« w historii”⁵⁷. Pewną rekompensatą dla badaczy było to, że – pomimo przeciwności – wywierali oni wpływ na studia historycznoliterackie w Polsce. Uprawiali naukę na obczyźnie, w emigracyjnych warunkach, lecz pozostawali w kontakcie z krajem, dokąd docierały ich dzieła, chociaż w okresie pierwszych kilkunastu lat po wojnie z opóźnieniem i nie bez przeszkód⁵⁸.

Korespondencja, publikacje i dokumenty stanowią ważne świadectwo aktywności naukowej i dowód dokonania dwóch wybitnych polskich badaczy literatury, którym po wojnie przyszło żyć i pracować za granicą. Pozwalają one dostrzec podobieństwo ich doświadczeń, częściową bliskość zainteresowań, rzucają światło na wzajemne relacje i kontakty, pokazują podejmowane próby współpracy. Odsłaniają zarazem szersze tło ich działalności, objaśniając tym samym sytuację literaturoznawstwa polskiego w Ameryce okresu powojennego. Ogólniej rzecz ujmując, są przywołane listy, publikacje i dokumenty zapisem ważnego rozdziału historii dyscypliny, powstałego w trudnym czasie tam, gdzie „Polska nikogo nie obchodzi”.

Abstract

ANDRZEJ KARCZ Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences,
Warsaw

ORCID: 0000-0002-1553-991X

ON THE POSTWAR ACTIVITY AND MUTUAL RELATIONS OF MANFRED KRIDL AND WIKTOR WEINTRAUB PUBLICATIONS—LETTERS—DOCUMENTS

The article focuses on two Polish literary scholars, Manfred Kridl and Wiktor Weintraub, who, after leaving Poland during World War II, lived and worked in exile in the United States of America. In order

⁵⁷ M. Kridl, list do Mayenowej, z 18 III 1950, s. 99.

⁵⁸ Faktycznie zaczęło to mieć miejsce dopiero po tzw. odwilży 1956 roku. Pierwszą pracę M. Kridla – powstałą w 1947 roku szkic wspomnieniowy *Boje Wilna i Warszawy o nową naukę o literaturze* – opublikowano w Polsce 10 lat później, w roku śmierci badacza. Po upływie kolejnych dwóch lat wydrukowano – po wojnie pierwszą – rozprawę W. Weintrauba, tłumaczenie tekstu z 1952 roku: *Manifest renesansowy Kochanowskiego* (Przeł. M. Skroczyńska. „Pamiętnik Literacki” 1959, z. 3/4). Na łamach tego pisma w następnych latach ukazało się około 20 prac badacza.

to describe their postwar activities and mutual relations, attention is paid to the published and unpublished works of the two scholars, their correspondence, and other documents deposited in library archives. Despite the difference in age, Kridl and Weintraub had much in common in their academic pursuits: as historians of Polish literature they both had similar interests and both worked as professors at prestigious American universities (Kridl at Columbia and Weintraub at Harvard). These facts, as well as the scholars' attempts to collaborate with each other, are among the topics covered in the article. The other issues discussed here include the contrast between the two scholars, especially Kridl's critical evaluation of Weintraub's research efforts and Kridl's concern for literary theory to which Weintraub seemed indifferent. In assessing their postwar scholarly activities, the argument is presented that despite the adverse circumstances of the life in exile both Kridl and Weintraub were remarkably successful. Their highest achievements lay in Polish literary history and in strengthening Polish studies in America.

„PRZYZYNY MELANCHOLII” BARBARY IŁAKOWICZ

Do druku podał
MARCIN WOŁK Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń

Uwagami interpretacyjnymi opatrzyła
EWA OWCZARZ Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń

Prezentowany dialog jest jedyną znaną pamiątką – nie tylko tekstową, ale w ogóle jakąkolwiek – po Barbarze Iłakowicz, matce Kazimiery Iłakowiczówny i jej starszej siostry Barbary Czerwijowskiej. Autorka urodziła się prawdopodobnie w roku 1856 w Wilnie. Jej ojciec, Zygmunt Iłakowicz, za młodu był – według relacji Czerwijowskiej – lektorem języka angielskiego na Uniwersytecie Wileńskim, a raczej w Cesarskiej Wileńskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej, powstałej po likwidacji uniwersytetu przez cara Mikołaja I¹. Barbara Iłakowicz ukończyła prowadzoną przez zakon szarytek żeńską szkołę średnią w Rennes we Francji (długoletnią nauczycielką i wychowawczynią była tam jej starsza siostra, Walentyna Iłakowicz – s. Wincenta, później, w latach 1905–1906, przełożona Domu Ubogich fundacji Anny i Ludwika Helclów w Krakowie²). Otrzymała staranne wykształcenie m.in. w zakresie języków obcych i muzyki. Po powrocie do kraju jako 18-latką podjęła pracę nauczycielki prywatnej, początkowo w należącym do rodziny Sokołowskich majątku Istalsno koło Lucyna na Witebszczyźnie (gdzie zaręczyła się z Michałem Stabrowskim, wkrótce zmarłym), a po kilku latach w Wilnie, ucząc języka francuskiego i angielskiego oraz muzyki. Obracając się w kręgu postępowej inteligencji, brała też udział w konspiracyjnej działalności samokształceniowej i patriotycznej.

Jako członkini chóru przy kościele św. Janów w Wilnie poznała adwokata Klemensa Sabbę Zana (1852–1889), najmłodszego syna poety Tomasza Zana – „Promienistego”. Klemens Zan był żonaty, miał kilkoro dzieci. Między nim a Barbarą Iłakowicz wywiązał się romans, który przekształcił się w trwały związek, ale Klemens Zan nie opuścił pierwszej rodziny. *Przyczyny melancholii* Barbara Iłakowicz pisała prawdopodobnie pod koniec roku 1885, we wczesnym okresie ich związku, będąc już w ciąży z Zanem. W roku 1886 (data niepewna), gdy ciąża stała się widoczna, autorka dialogu wyjechała do Dyneburga (dziś: Daugavpils na Łotwie), do swojego

¹ Źródłem informacji biograficznych o Barbarze Iłakowicz i jej rodzicach są wspomnienia jej starszej córki, Barbary Czerwijowskiej, oraz nieliczne i fragmentaryczne wspomnienia Kazimiery Iłakowiczówny. Zob. B. Czerwijowska, *Wspomnienia*. Oprac. M. Bizior-Dombrowska, M. Wołk, M. Woźniak. Toruń 2022 [w druku].

² Zob. M. Reinhard-Chlanda, *Dom Ubogich Fundacji im. Ludwika i Anny Helclów w Krakowie*. Kraków 2003, s. 78 (nazwisko omyłkowo podane jako „Walentyna Słakowicz”).

brata Jakuba Iłakowicza, by tam urodzić pierwszą córkę, Barbarę³. Dziecko – ochrzczone 7 VI 1886 jako córka szkolnej przyjaciółki matki, a zarazem jej kuzynki, Barbary z Jasiewiczów, i Gustawa Wołka – oddano do mamki; kiedy jednak zaczęło poważnie chorować, Barbara Iłakowicz odebrała je i wychowywała odtąd sama. Zamieszkała w pobliżu Ostrej Bramy, przy ulicy Sierockiej, u swojej ciotki Roberty Paszkowskiej, tam też nadal spotykała się z Klemensem Zanem. Po kilku latach, w 1888 lub 1889 roku (tu data jest jeszcze bardziej niepewna), urodziła im się druga córka – Kazimiera Iłakowicz, którą później oficjalnie uznali za swoje dziecko Jakub i Eugenia Iłakowiczowie⁴. Wiosną 1889 Klemens Zan zginął w nie wyjaśnionych do dziś okolicznościach, zastrzelony w pociagu pod Wilnem; pochowano go na cmentarzu na Rossie⁵. Barbara Iłakowicz, chorująca od dawna na gruźlicę, zmarła 27 IX 1893 w należącym do jej krewnych, Stanisława i Julii Raczkowskich, majątku Śniegi, gdzie spędzała z dziećmi lato, i spoczęła na cmentarzu w Dubinkach (dzisiaj: Dubingiai na Litwie)⁶.

Jej córki wychowywały się odtąd przez większość czasu osobno – Barbara Wołek w rodzinach Karpowiczów i Wołków, a Kazimiera Iłakowiczówna w domu Zofii z Plater-Zyberków Buynowej (jako nastolatka pod opiekę tej ostatniej trafiła również Barbara)⁷. Obie przejęły zdolności lingwistyczne i zacięcie pedagogiczne matki, z wyboru lub konieczności przez całe życie okresowo zajmowały się pracą tłumaczeniową oraz nauczaniem. W wypadku Kazimierzy Iłakowiczówny doszedł do tego jeszcze niezwykle talent literacki, a postać „matki Barbary” (jak ją nazywała dla odróżnienia od „matki Zofii”) i wspomnienia najwcześniejszego dzieciństwa powracają w wielu utworach poetki. Barbara Wołek także pisała wiersze, publikując je w młodości pod pseudonimem „Barbara Zan” lub „Barbara Zanówna”⁸. Siostry nigdy nie zamieszkały razem na dłużej, utrzymywały jednak ze sobą kontakt przez

³ Czerwijowska (op. cit., s. 66) przypuszcza, że mogła się urodzić o rok wcześniej.

⁴ Metrykę Kazimierzy Iłakowiczówny spisano dopiero w 1893 roku, po jej chrzcie, wstecznie odtwarzając daty i być może dopasowując je do przysposobienia dziewczynki przez inną rodzinę. Z kolei Barbara Wołek (nazwisko Czerwijowska nosiła po mężu, Janie Czerwijowskim, poślubionym w roku 1914) została zgłoszona jako dziecko Gustawa i Barbary Wołków urodzone i zmarłe podczas zesłania na Syberii. Wszystkie te komplikacje – a w wypadku Iłakowiczówny jeszcze jej własne manipulacje metrykalne w późniejszych latach – sprawiły, że ustalenie rzeczywistych dat urodzenia dzieci Barbary Iłakowicz wydaje się dziś niemal niemożliwe.

⁵ Różne relacje, hipotezy i domysły na temat przyczyn jego śmierci – od zabójstwa kryminalnego, przez mord polityczny, po samobójstwo – pojawiają się we wspomnieniach Czerwijowskiej, a także np. w artykule M. Korniłowiczówny *Wnuczka Promienistego Tomasza* („Odra” 1983, nr 9) oraz w książce J. Kuciel-Frydryszak *Iłła. Opowieść o Kazimierze Iłakowiczównie* (Warszawa 2017).

⁶ Zob. Czerwijowska, op. cit., s. 111. Nawiązania do pogrzebu pojawiają się też w utworach K. Iłakowiczówny – zarówno poetyckich (*Grób w Dubinkach* i *Grób dubiniecki* z tomu *Słownik litewski*), jak prozatorskich (*Bywało także i tak z Niewczesnych wynurzeń*).

⁷ Szczegółowe informacje na ten temat zob. Czerwijowska, op. cit. – Kuciel-Frydryszak, op. cit.

⁸ Drukowała je m.in. w „Chimerze” (1907), „Słowie Polskim” i „Naszym Kraju” (w latach 1907–1909), „Kurierze Polskim” (1923), „Bluszczu” (1927) i „Pamiętniku Warszawskim” (1930). Po roku 1930 Czerwijowska nie ogłaszała już żadnych utworów poetyckich, powstawały one jednak jeszcze po drugiej wojnie światowej (ich maszynopisy sporządzone przez B. Łopatko-Derlicką zachowały się, podobnie jak prezentowany tutaj autograf dialogu, w Archiwum prywatnym Zbigniewa

całe życie, wspierając się wzajemnie i intensywnie korespondując⁹. Nawiązały również stosunki – w wypadku Czerwijowskiej bliskie – z przyrodnim rodzeństwem: dziećmi Klemensa Zana z oficjalnego małżeństwa, zwłaszcza Olgierdem Zanem (1887–1945), a także jego żoną, Jadwigą z Moraczewskich-Trzecieckich Zanową (1891–1964), oraz, już w okresie powojennym, z Julią Zan (1889–1982), wówczas kierowniczką administracji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Przedstawiany tu nieprofesjonalny utwór Barbary Iłakowicz, sytuujący się na pograniczu intymistyki i literatury, wydaje się ważny i wart opublikowania z kilku powodów. Wymieńmy je tu, bynajmniej ich nie hierarchizując, należą bowiem do bardzo różnych zakresów. Po pierwsze, *Przyczyny melancholii* stanowią wyjątkowe, zupełnie dotychczas nie znane źródło dla badań nad biografią i rodowodem Barbary Czerwijowskiej i Kazimierzy Iłakowiczówny, będąc najpewniej jedynym dokumentem pozostałym po ich matce – skreślonym własną ręką świadectwem rozterek, jakie wywoływał w niej związek z Klemensem Zanem. Tendencja do mitologizowania postaci ojca Kazimierzy Iłakowiczówny, przejawiająca się w niektórych wypowiedziach poświęconych poetce¹⁰, będzie musiała zmierzyć się z innym obrazem, jaki się wyłania z dialogu spisane przez jej matkę (choć oczywiście nie należy *Przyczyn melancholii* traktować jako odwzorowania rzeczywistej rozmowy, a nawet jeśli tak – trzeba pamiętać, że jest to relacja sporządzona przez jedną ze stron).

Po drugie, ten dialogowy tekst stanowi szczególny kulturowy dokument epoki – przełomu trzeciej i czwartej ćwierci XIX wieku – obrazujący normy obyczajowe owego czasu, zwłaszcza obowiązujące w środowisku miejskiej inteligencji o ziemiańskim rodowodzie. Poświadcza, z jednej strony, trwałość i siłę oddziaływania romantycznych wzorców przeżywania oraz wyrażania uczuć (a zarazem ich przełamywanie się w zderzeniu z materią życia), z drugiej zaś – dokumentuje sferę w jawnym obiegu tej kultury pomijaną: istnienie podziemia aborcyjnego, a także wiedzę o nim również w środowisku szlacheckim, z którym nie bywa zazwyczaj kojarzone.

Po trzecie wreszcie, jest to dokument kobiecej historii XIX-wiecznej Polski, świadectwo dylematów prywatnych i zawodowych osoby, która utrzymując się z własnej pracy (dziś jej sytuację łączylibyśmy z prekariatem), mimo zależności emocjonalnej i, częściowo, ekonomicznej od mężczyzny, nie rezygnuje z autonomii i podmiotowości. Rozterki związane z rolą „kochanki” (to słowo ani razu w tekście nie pada), nieplanowaną ciążą (traktowaną bardzo fizjologicznie, choć równocześnie poddaną refleksji etycznej) i jej wpływem na sytuację zawodową, wreszcie z aborcją lub samobójstwem jako jedynymi dającymi się wyobrazić rozwiązaniami problemów, pojawiają się tu w rozwiniętej formie, jakiej nie spotkamy – przynajmniej w oficjalnym piśmiennictwie polskim – aż do czasu działalności publicystycznej i literackiej

Wołka). Zob. *Spis publikacji Barbary Czerwijowskiej*. Oprac. M. Wołk. W: Czerwijowska, *op. cit.*

⁹ Część tej korespondencji ukazała się w tomie K. Iłakowiczówny *Listy do siostry Barbary Czerwijowskiej z lat 1946–1959* (Oprac., wstęp, przypisy L. Marzec. Poznań 2014).

¹⁰ Zob. np. Kornilowiczówna, *op. cit.* Tezy tego artykułu bywają powtarzane w popularnych źródłach internetowych, np. w serwisach genealogicznych takich jak Geni (na stronie: <https://www.geni.com/people/Klemens-Zan/6000000022375837655> <data dostępu: 17 IV 2021>).

Gabrieli Zapolskiej. Nie mając w tym zakresie żadnych zapewne wzorców, Barbara Iłakowicz mówi o własnych rozterkach i doświadczeniach śmiało, w pierwszej osobie, bez maski fikcji literackiej i bez osłony, którą mogłoby dawać spełnianie misji społecznej. Odwagi wymagało nie tylko napisanie takiego tekstu, lecz także decyzja powierzenia go innej osobie, nawet najbliższej, wiążąca się przecież z prawdopodobieństwem choćby mimowolnego upublicznienia wyznania.

Problem aborcji był w środowisku ziemiańsko-inteligenckim w XIX wieku „wiedzą sekretną”. Literatura tego okresu przed Zapolską (ale i autorka *Żabusi* również) radziła sobie z ową kwestią, obrazując ją na przykładach służących, aktorek itp., bo – jak pisze o seksualności Hélène Cixous – „w służącej jest to, co stłumione w jej pani”¹¹; kucharki, posługaczki, pokojowe „mówiły” więc w literaturze, aby wyrazić nie siebie, lecz udręki kobiecości. *Przyczyny melancholii* to tekst w tym względzie otwarty i odważny, miejscami wręcz przejmujący, szczególnie w partiach, gdzie męskiej melancholii, jakże nieokreślonej, a w każdym razie nie sięgającej sensu istnienia, przeciwstawiono samotność i bezbronność kobiety wobec tragicznych dylematów, niewymijalnych pułapek egzystencji ów sens istnienia czasem kwestionujących. To próba rozmowy na temat, który był poza dyskusją, tabuizowany, nie nazywany wprost. W *Przyczynach melancholii* widzimy odwagę przyznania sobie przez kobietę prawa do dysponowania własnym ciałem i szczególnie rodzaj wiwisekcji związku, co w tej epoce na pewno nie dotyczyło domeny kobiecej.

Tytuł, wyraz „nadświadomości” tekstu, a zarazem jeden ze śladów jego literackiej organizacji, wprowadza istotny dla epoki problem melancholii, nie bez cienia ironii wobec męskiej pozy. Na pozór heroiczne niedopuszczanie innych do tajemnicy smutku, tęsknota o nieokreślonych horyzontach, nieukojenie i brak wszelkiej aktywności – tak przejawia się w tekście „podmiot słaby” melancholii¹². Zza nieszczelnej maski romantycznej wychyla się twarz mężczyzny egotyka, nie dającego oparcia partnerce. Melancholia kobieca jest czynna, działająca. Wewnętrzna moc pozwala autorce – niemal u progu załamania – rozpoznać własną sytuację egzystencjalną i wyjść z rozpacz, porzucić myśl o samobójstwie, usensownić istnienie. Pisanie staje się terapią.

Tekst Barbary Iłakowicz jest interesujący nie tylko w tym, co mówi bezpośrednio, ale również w swojej „nieświadomości”, w tym, co tu bezgłośnie, zawarte w międzysłowniu albo niewidzialne dla samej autorki z powodu ulegania wzorcom językowym, stereotypom społecznym – czy może raczej z powodu niemożności wyjścia poza gotowe formuły. To w dużej mierze wynik strategii autorskiej, odsłaniającej niepożądaną deszyfrację, a zarazem zabezpieczającą przed nią. Anonimowość instancji nadawczych, w przyjętej strategii oczywista (brak nawet inicjałów), zyskuje niespodziewany walor uniwersalizacji treści. Poza namysłem autorskim, przynajmniej w płaszczyźnie retorycznej, wypowiedziana bez dystansu ironii, jako ewident-

¹¹ Cyt. za: K. Kłosińska, *Ciało, pożądanie, ubranie. O wczesnych powieściach Gabrieli Zapolskiej*. Kraków 1999, s. 131. Zwykle jest to w literaturze seksualność zdegradowana, jak u B. Prusa w *Emancypantkach* (1890), gdzie tego typu „kłopoty” spotykają damę klasową czy aktorkę.

¹² Odwołuję się tu do inspirujących rozważań M. Bieńczyka (*Oczy Dürera. O melancholii romantycznej*. Warszawa 2002, s. 17).

na, jest np. różnica w swobodzie obyczajowej mężczyzny i kobiety. Podwójny standard w tym względzie (tak oburzający potem Zofię Nałkowską¹³) jest przyswojony i oswojony. Barbara Iłakowicz zdaje się akceptować fakt, iż w odbiorze społecznym, jak pisze: „nie ty jesteś uwodzicielem, ale ja uwodzicielką”. Podobnie jak to, że tylko mężczyzna ma honor, kobieta zaś cześć, na której straży powinien stać mężczyzna. W *Przyczynach melancholii* kobieta takiego strażnika nie potrzebuje, jest niezależna, lecz sama siebie musi w tej „woli mocy” utwierdzić, jak wyznaje autorka: „nie mam się za zhańbioną; [...] nie czuję, żebym przestała być uczciwą kobietą, odkąd cię kocham”. Odrzuca też możliwość małżeństwa jako przykrywkę swej „hańby”, choć partner skłania się ku tej hipokryzji społecznej. Widać tu ważną oznakę kobiecej samoświadomości. Barbara Iłakowicz postrzega siebie jako równą w honorze, próbuje – z subiektywnej perspektywy – osłabić arbitralność rozstrzygnięć społecznych. W ten sposób „feminizuje” istotną wartość godności osobistej¹⁴.

W tekst Barbary Iłakowicz wpisany został bezwiednie dramat „niewypowiedalności”, niemożności uchylenia się przed słowem, które zamazuje sytuację. Ta odważna kobieta swój problem określa zgodnie z językowym uzusem epoki, medykalizującym wszystko, co związane z biologią kobiety; ciąża więc to choroba, a „powrócić do normalnego stanu zdrowia” oznacza urodzić lub poddać się aborcji. Do stanu chorobowego (jako szaleństwo, pomieszanie zmysłów, „nerwy”) zalicza się też według partnera tego dialogu kobieca aktywność słowna, konieczność wypowiedzenia siebie. Uleganie konwenansowi językowemu nie jest tu może całkiem bezrefleksyjne. „Ładne” mówienie o „nieładnych” sprawach wolno uznać za ustępstwo w kwestiach estetycznych (istotnych w XIX wieku w odniesieniu do wysłowień kobiecych), lecz nie etycznych. Problem ważny dla partnerów dialogu – wyrażany tak oględnie – nie znika, staje się jednak mniej czytelny dla niepożądanego odbiorcy. Oprócz kamuflażu językowego pewnych sposobów zabezpieczeń można się doszukać w wyborze formy listu, stosowanej niekonsekwentnie, ale narzucającej się jako zamysł wstępny autorki. Kult prywatnej korespondencji, który zrodził się w Europie w XVIII wieku, związał na dobre list nie tylko z doświadczeniem osobistym, lecz – niejako w następstwie – z szacunkiem dla intymności i z nietykalnością korespondencji prywatnej¹⁵. Niekonsekwencja w stosowaniu formy listowej, widoczna w wahaniach pisowni zaimków¹⁶, staje się odbiciem oscylowania autorki między subiektywnym prywatnym doznaniem, które zmierza do utajnienia, a obiektywnym, społecznym problemem, który należałoby uwidocznnić. Omawiany dialog czytać się bowiem daje także jako tekst „w sprawie”.

Przyczyny melancholii stanowią więc również udokumentowanie wysiłku „wstę-

¹³ Zob. np. G. Borkowska, *Cudzoziemki. Studia o polskiej prozie kobiecej*. Warszawa 1996. – H. Kirchner, *Nałkowska, albo Życie pisane*. Warszawa 2011.

¹⁴ Ciekawie wypowiadała się o tym zagadnieniu E. Kraskowska w pracy *Czytelnik jako kobieta. Wokół literatury i teorii* (Poznań 2007).

¹⁵ Zob. I. Watt, *Narodziny powieści. Studia o Defoe’em, Richardsonie i Fieldingu*. Przeł. A. Kreczmar. Warszawa 1973, s. 207–209.

¹⁶ W początkowej części tekstu B. Iłakowicz, zgodnie z konwencją epistolarną, zaimek drugiej osoby liczby pojedynczej w zwrotach do partnera rozmowy zapisuje wielką literą, później od tego odstępkuje, choć niekonsekwentnie (odnotowano to w przypisach do niniejszej edycji). Zaimki odnoszące się do partnerki pisane są konsekwentnie małą literą.

powania” kobiecego „w tekst”, „napisania siebie”, wypowiedzenia swojego doświadczenia swoim głosem, uwolnienia się od bycia opisywaną i przedstawianą¹⁷. Mężczyzna (partner dialogu) jest tu jak XIX-wieczny krytyk, który stwierdza, iż pisząc, kobieta „wylewa potoki słów zbytecznych”¹⁸. Na zarzut, że mówi dużo i nie pozwala mu dojść do głosu, partnerka reaguje znamienne: „to mój dzień dzisiaj, nie zawsze się jest usposobioną do wypowiedzenia wszystkiego; słuchaj lepiej, bo i coś mnie powiedzieć możesz?” Dialog poprowadzony zostaje tak, iż kobieta, niczego mężczyźnie nie zarzucając, akceptując jego patriarchalnie zagwarantowaną pozycję, równocześnie go marginalizuje, wręcz sprowadza do roli obiektu, który ona wybrała z wszystkimi konsekwencjami tego faktu, a więc diametralnie odwraca role. Paradoksalnie: w niedopowiedzeniu historii mężczyzny (stopniowe skracanie replik, niedopuszczanie do głosu) sama jego postać zyskuje głębię, staje się interesująca jako przedmiot takiej miłości.

Jeśli chodzi o formę narracyjną, Iłakowicz miała wiele wzorów, ale wszystko to były utwory operujące fikcją literacką. W latach czterdziestych XIX wieku ukazały się *Urywki z pamiętnika oryginalnie wychowanej kobiety* Ludwika Szyrmera. Była też Narcyza Żmichowska z powieściami, w których listy stawały się roztrząsaniem problemów „zastanawiających się nad sobą” kobiet¹⁹, byli Józef Ignacy Kraszewski i Eliza Orzeszkowa, a w latach siedemdziesiątych XIX wieku w prasie kobiecej publikowano sporo utworów w formie pierwszoosobowej: kartki, listy, rozdziały, fragmenty z notatnika, itp. W kilka lat po przypuszczalnej dacie powstania *Przyczyn melancholii* wyszła powieść *Kartki z życia kobiety* (1888) Józefy Kisielnickiej (Estei), poczytna, nagrodzona. Nieobce prozie polskiej (szczególnie jej odmianie sylwicznej) było wyodrębnianie dialogów w formie replik dwu dyskutantów, bez charakterystycznych powieściowych wprowadzeń (Tytus Szczeniowski, Ludwik Szyrmer, Henryk Rzewuski). Te powieściowe piguły sensu o kształcie zbliżonym do omawianego dialogu, nadające się do wyjęcia z całości, pełniły zapewne podwójną funkcję: zwracały uwagę na problem i odsyłały do pozaliterackiej rzeczywistości.

U Iłakowicz dość konwencjonalna forma literacka stanowi jednak medium dla wyznania osobistego, ściśle autobiograficznego, a nawet więcej – jej wypowiedź ma, niczym list, oddziaływać na adresata. Odkrywcza jest autorka nie w wynalezieniu formy, lecz takim jej spożytkowaniu, iż autentyczne doświadczenie kobiety – graniczne, zagrożone śmiercią – zostaje wyrażone na jej własnych zasadach: nie jako łzawa „kobiece” skarga, ale jako obdarzone mocą terapeutyczną rozeznanie się we „własnym jestestwie”. Interesujący wydaje się również fakt, że ten rodzaj intymistyki, pisany zwykle do szuflady i przekazywany ewentualnie w linii matriarchalnej (córkom, wnuczkom, siostrzenicom), tu znalazł adresata męskiego. Tak jakby namysł nad sobą kobiety refleksyjnej miał wywołać podobny namysł mężczyzny.

Tekst *Przyczyn melancholii* zachował się w papierach po Klemensie Zanie (Barbara Iłakowicz musiała mu go więc wręczyć lub przesać). W roku 1964 Julia Zan przekazała rękopis Barbarze Czerwijowskiej.

¹⁷ G. Borkowska, *Kobieta i mężczyzna w dyskursie feministycznym*. W zb.: *Kobiety w literaturze*. Red., wstęp L. Wiśniewska. Bydgoszcz 1999.

¹⁸ Cyt. za: Kłosińska, *op. cit.*, s. 22.

¹⁹ N. Żmichowska (Gabriella), *Czy to powieść?* Przedm. [T.] Boy-Żeleński. Warszawa 1929. Cyt. za: G. Borkowska, *Powieść, biografia i ethos historii w pismach Narcyzy Żmichowskiej*. „Litteraria Copernicana” 2017, nr 2, s. 40.

Gdy ta zmarła w 10 lat później, jego właścicielką stała się jej córka, Janina Czerwijowska, po jej śmierci zaś w 2007 roku odziedziczył go wraz z resztą domowego archiwum Zbigniew Wołk (który udzielił też zgody na niniejszą publikację manuskryptu). Tekst, niepodpisany, sporządzony jest starannie (z jedną tylko znaczącej poprawką, wynikała z powtórzenia przy przepisywaniu) wprawna, wyrobiona ręką, fioletowym atramentem, na 10 nienumerowanych, zapisanych obustronnie arkusikach papieru listowego (pochodzącego z dwóch zestawów: liliowego i seledynowego), złożonych wzdłuż krótszej krawędzi. Autograf przechowywany jest w kopercie (na pewno nie oryginalnej), opatrzonej przez Barbarę Czerwijowską informacją: „Pamiętka po mojej Matce Barbarze Iłakowicz znaleziona po śmierci ojca, Klemensa Zana, w jego biurku w r. 1889 w Wilnie. (Dostałam od Julci Zan 15.VIII.64 r. w Toruniu)”. Koperta włożona była za okładkę jednego z zeszytów zawierających rękopisy wspomnień Barbary Czerwijowskiej²⁰.

Przygotowując rękopis do druku, dokonano tylko niezbędnych poprawek, polegających głównie na uzupełnieniu i uwspółcześnieniu interpunkcji oraz ortografii. Zmodernizowano np.: „mojem” → „moin”; „waryacji” → „wariacji”; „pokuj” → „pokój”; „Na co [by] się to zdało.” → „Na co [by] się to zdało?” Ujednolicono tekst, zastępując małe litery na początku zdań wielkimi, np. „– ej smutne [...]” → „– Ej, smutne [...]”, oraz konsekwentnie wstawiając kropki po zaimkach sygnalizujących podmioty wypowiedzi poprzedzających poszczególne kwestie („On.”, „Ona.”) i na ich końcu, przez autorkę często pominięte. Pozostawiono multiplikację półpauz, pauz i wielokropków, np. „.... – – –”, jak również takie charakterystyczne wyrażenia, jak „najprzód”, „pomieszanie” (obocznie z „pomieszal”), „znerwowana”, „cós” (obocznie z „naprzód”, „pomieszal”, „coś”). Podkreślenia oznaczone w tekście oryginalnym linią ciągłą u dołu oddano spacją, np. „w y a n i e l i ł o s i e”. Formę zaimka drugiej osoby („ty”, „ci”, „ciebie”) ujednolicono do zapisu małą literą, przeważającego w tekście, szczegółowe informacje na temat wahań ortografii w tym zakresie umieszczając w przypisach. Wyrażenia obce złożono kursywą (sama autorka wyróżniła, przez podkreślenie, tylko jedno z nich: *status quo ante*). Tam, gdzie wydawało się to konieczne, dodano objaśnienia. Odczytania niepewne wskazano w komentarzach edytorskich. Wyrazy nieczytelne oznaczono: [---], nieliczne propozycje uzupełnień ujęto w nawiasy kwadratowe.

BARBARA IŁAKOWICZ

PRZYCZYNY MELANCHOLII (ROZMOWA)¹

Ona. – Czemu nie oddasz mi choć cząstki tego smutku, który ciebie² gniece, byłoby ci lżej z pewnością, a i mnie także. – A tak zamiast wiedzieć na pewno racje³, domyślam się ich tylko, albo stwarzam coraz to inne i coraz to gorsze.

On. – Na co [by] się to zdało? – Nie mam zwyczaju dzielić się moimi troskami i kłopotami nawet z osobami najbliższymi.

Ona. – Bardzo to źle. Jak się zachowujesz pod tym względem z innymi, mało to mnie obchodzi, przyznam, ale że do mnie nie masz ufności, boli mnie to bardzo. A doprawdy, gdybyś zechciał tylko, mogłabym ci dopomóc, albo pocieszyć przynajmniej: dopomóc w troskach, które mają mnie jako przyczynę, a pocieszyć

²⁰ Czerwijowska spisała wspomnienia z różnych okresów życia, w tym z pobytu na leczeniu przeciwgruźliczym na początku XX wieku w Zakopanem i Lovranie, gdzie poznała m.in. S. I. Witkiewicza. Więcej informacji o jej spuściźnie zob. M. Wołk, *Wstęp. Barbary Czerwijowskiej ścieżka obok drogi*. W: Czerwijowska, *op. cit.*

¹ Lekcja podtytułu nie jest pewna.

² Na pierwszych stronicach tekstu autorka zapisuje ten zaimek wielką literą, jak w liście, później z tego rezygnując, choć niekonsekwentnie. W dalszych komentarzach oznaczono miejsce przejścia na pisownię małą literą oraz pojedyncze przypadki wystąpienia wielkiej litery.

³ „Wiedzieć [...] racje” – znać powody, przyczyny.

może w tych, które z innych wypływają źródeł. Przyznaj, że jestem dla ciebie największą zgryzotą?

On. – Nie, doprawdy nie, różne przyczyny składają moją melancholię⁴, lepiej o tym nie myśleć i nie mówić. Jak tylko człowiek zacznie się zastanawiać nad swoim postępowaniem, to pewno znajdzie tysiąc przyczyn nie tylko do melancholii, ale nawet do wariacji.

Ona. – Mój Boże, żeby tak mówić, trzeba chyba mieć straszne wyrzuty sumienia, a tylko ja jedna mogę je sprawiać. Tak, ja to jestem nieszczęściem twojego życia.

On. – Daj temu pokój – w jaki sposób możesz być moim nieszczęściem, siedzisz cicho i spokojnie i żadnej mi szkody nie wyrządzasz, kochasz mnie... – – –

Ona. – Prawda, że kocham ciebie, ale czyżby moje przywiązanie miało być tylko egoizmem? Miłość moja dla ciebie przeszła już faz kilka, nie zmniejszyła się, tylko zmienił się jej charakter. Najprzód kochałam cię⁵ bezwiednie – potem nieprzytomnie – potem znowu zazdrośnie i chorobliwie – wreszcie wy a nie-
liło się moje uczucie – nie chcę, żebyś z mojej racji cierpiał cokolwiek bądź, a we wszystkich twoich udręczeniach widzę tylko siebie jako pośrednią czy bezpośrednią przyczynę; gdyby mnie nie było, nie byłoby w tobie żadnych walk, żadnych wyrzutów, żadnej melancholii może.

On. – Nieprawda, nie byłoby tego, to byłoby coś innego, gorszego może.

Ona. – Słabo się bronisz. – Nie mogłeś na nic gorszego natrafić. Wszelki inny stosunek nielegalny nie byłby cię tak męczył, bo albo by cię do niczego nie zobowiązywał, jeśliś wybrał osobę niegodną szacunku, albo nielegalność okryłaby się płaszczykiem cudzej legalności, cudzych praw – a z tym każdemu wygodnie. – Można jeszcze wszystko zmienić, przywrócić do *status quo ante*⁶. Ja jedna jestem winna w tym wszystkim, nie powinnam była słuchać ani wierzyć, ani poddawać się – zginać raczej, niż ciebie zgubić, zdawało mi się wówczas, że dobrze robię, to tak trudno dobrowolnie sprawić boleść kochanej osobie.

On. – A ty, czy nie miewasz żadnych wyrzutów sumienia, czy nie masz żadnych smutków, zgryzot – zwątpień?

Ona. – Wyrzutów sumienia – nie. Dziwna rzecz... Z początku nie mogłam się pogodzić z położeniem, w które mię stawiał nasz stosunek, była to walka jeszcze dawnych przekonań, przyzwyczajęń; z czasem wyrozumowałam i wyrobiłam w sobie spokój i rezygnację. Smutek i melancholię schowałam tak głęboko, żeby nikt ich nie dojrzał, a czy zaglądają one do mnie z tych głębi, to moja tajemnica. Zgryzoty są;⁷ twoje smutki są moją zgryzotą: tak bym chciała cię widzieć szczęśliwym, ciągle rozmyślam nad tym, co by to zrobić, żebyś był spokojnym i zadowolonym w domu i za domem. Co do zwątpień – tak – któż by ich nie miał? – jedno tylko niewątpliwe, że możesz ode mnie wymagać wszystkiego, co tylko uważasz za dobre dla siebie i swoich, a nie spotkasz jawnej ani rozpacz, ani oporu. Nie myślę pozować na ofiarę ani mówić o poświęceniu, nie przyzna-

⁴ Kontekst wskazuje, że autorka używa tego terminu w rozumieniu medycznym, na oznaczenie depresji psychicznej, a nie tylko stanu przygnębienia.

⁵ Od tego miejsca przeważa pisownia zaimek małą literą: „cię”, „ciebie”, „ty”.

⁶ *Status quo ante* (łac.) – stan poprzedni.

⁷ Średnik można odczytać także jako „i”.

ję ani jednej, ani drugiego tam, gdzie jest przywiązanie. Dwa razy chciałam zerwać wszelką z tobą znajomość, dwa razy, od września⁸ rozumiem – los, widać, i moje słabe siły przeszkodziły temu.

On. – Kiedyż to było, i dlaczego?

Ona. – Było to najpierw, kiedy Wereszczakowie⁹ tak gwałtownie chcieli mię mieć u siebie – nie mogłam im przyrzec, bom nie była pewną, czy nie zaszły jakie zmiany fizyczne we mnie¹⁰. Teraz widzę, za późno wprowadzie, żem mogła śmiało przyjąć to miejsce, które by nas rozdzieliło na zawsze; ty sam pragnąłeś wtedy bardzo rozłączenia.

On. – Tak – to prawda – proponowałem je jeszcze na Antokolu¹¹, aleś nie chciała o nim słyszeć i powiedziałaś, że nie opuścisz mnie aż do śmierci.

Ona. – To prawda, szaloną byłam i schorowaną wtedy – pamiętam: leżałeś na kuszetce¹² zimny, lodowaty i sztywny jak drewno; odpychałeś mię prawie, i to nie ten jeden raz tylko, a ja bezrozumna, zamiast cię oswobodzić, uwolnić, czepiałam się ciebie jak tonący ostatniej deski zbawienia; żałuję teraz i chciałabym szczerze zło wyrządzone naprawić. W końcu mego pobytu na Antokolu nie kochałeś mnie wcale, dlaczego?

On. – Znudziłaś i zmęczyłaś mnie swoją chorobą, narzekaniem, melancholią i łzami, i listami wreszcie.

Ona. – Tak, wiem o tym – o jak małe przeciwności rozbija się miłość nasza, jak w nas mało pobłażliwości. – Ej, smutne antokolskie¹³ czasy, pełne cierpienia i upokorzeń, smutny wrzesień cały; wspomnienia chwil bolesnych wracają czasem jak fala i zalewają serce goryczą, nienawidzę wtedy siebie za to, żem je zniosła, a ciebie – żeś mi je sprawił.

On. – Zostaw te wspomnienia, a powiedz lepiej, kiedy to po raz drugi chciałaś ze mną zerwać.

Ona. – Było to, kiedyś w końcu września wyjechał do domu, a pożegnał się ze mną tak niegrzecznie, pogardliwie prawie.

On. – Nie pamiętam, jak to było i dlaczego miałem być niegrzecznym, jestem zawsze jednostajny¹⁴ dla wszystkich.

Ona. – Tym lepiej, że nie pamiętasz – otóż po tym wyjeździe zawrzałam oburzeniem na siebie. – Jak to, ten człowiek przychodzi do mnie jak na pokutę, okazuje mi chłód i niechęć, a ja mam się nad nim rozplywać. Dość tego, rozstaniemy się. Zdecydowałam, uspokoiłam się, lżej mi jakoś nawet było na duszy; zaczęłam odwiedzać wszystkich znajomych, byłam swobodna i wesoła prawie; dowiedziałam się wreszcie, żeś wrócił, popełniłam wtedy straszną omyłkę, zamiast ci

⁸ Zapewne chodzi o 1885 rok. Nazwa miesiąca w całym tekście pisana jest wielką literą.

⁹ Nie udało się ustalić, o kogo dokładnie chodzi.

¹⁰ Tzn.: czy nie jestem w ciąży.

¹¹ Antokol – lewobrzeżna dzielnica Wilna z kościołem św. Piotra i Pawła i pałacem Sapiehów.

¹² Kuszетка (z franc.) – kanapka, sofka, kozetka lub podobny mebel do leżenia.

¹³ Przysłowienie zapisane w rękopisie wielką literą. W tym miejscu autografu znajduje się kilkunastu-metrowa plama z rozmazanego atramentu (przecinająca słowa „rozbija”, „mało”, „Antokolskie”, „upokorzeń” i „wspomnienia”), jak od łzy. Plama ta nosi ślady osuszenia bibułą lub tkaniną i nie utrudnia odczytania tekstu. Jest to jedyny taki ślad w rękopisie.

¹⁴ Jednostajny – tu: taki sam.

napisać krótko, węzłowato, że się więcej nie zobaczymy, zechciało mi się powiedzieć ci to w żywe oczy i zobaczyć raz jeszcze, czułam się uzbrojoną dobrze, chłodną, rozważną, niewzruszoną, nie chciałam ci pokazać, że ten krok kosztuje mnie cokolwiek: chłód za chłód, pogarda za pogardę. Napisałam do ciebie kartkę, prosząc, żebyś się ze mną widział. Przyszedłeś: ale zamiast zimnego i wzgardliwego wróciłeś serdeczny i jakby uradowany, że mnie widzisz, nie śmiałam już być surową, gniew mój zaczął się rozplýwać, a już kiedyś mię serdecznie przytulił do siebie, zapomniałam wszystkie gorycze, żale, urazy... – takie to nieroztropne, słabe serce moje. Dlaczego wróciłeś inny, niż wyjechałeś?

On. (*Uśmiecha się i nic nie odpowiada.*)

Ona. – A wiesz, jakie ja przypuszczam racje? Alboś względem mnie zawinił i pożałował tego – alboś się przekonał, że z bliskich ci osób to ja pewno najbardziej cię kocham, i wróciłeś. Zaś te wszystkie przebyte cierpienia u a n i e l i ł y moje uczucia, zrobiły mnie jeszcze pobłażliwszą, wyrozumialszą, cierpliwszą, kocham cię więcej i lepiej niż pierwej, zdolna jestem bez szemrania ponieść dla twego szczęścia choćby największą ofiarę (choć ofiarą to nie będzie): zdolna jestem opuścić cię przed moją śmiercią, jeśli to uważasz za potrzebne dla siebie – mogę nawet chętnie odebrać sobie życie, jeśli ci ono w czymkolwiek zawadza. Nie jest to ani szczytnym, ani wielkim, ani heroicznym, to, co mówię i co wypełnić mogę, jest to tak proste i szczere, jak moja miłość dla ciebie. Kocham ciebie nade wszystko i ciebie mam jednego, ja nikomu niepotrzebna na świecie, jeśli bym jeszcze nie przynosząc korzyści, szkodę miała wyrządzać swym życiem, wolę stokroć nie żyć.

On. – Mówisz tak dużo i z takim zapalem, że trudno ci przerwać, a mnie nic powiedzieć nie pozwalasz. Posłuchaj....

Ona. – Nie, nie, to mój dzień dzisiaj, nie zawsze się jest usposobioną do wypowiedzenia wszystkiego; słuchaj lepiej, bo i cóż mnie powiedzieć możesz? Że mojej śmierci nie żadasz, wierzę – żem ci potrzebna – wątpię; że wszystko dobrze będzie – nie. Wiesz, jaki miałam zamiar? Ale cóż, kiedy moje zamiary nie przychodzą do skutku i nie mogę ich długo ukryć – sam nic nie mówisz, a ze mnie wydobywasz, co tylko zechcesz.

On. – No dobrze, jakież więc zamiar miałaś, nie wiem, chyba tego nie wydobył jeszcze.

Ona. – Wydobyłeś tajemnicę – a raz ona odkryta, zamiar staje się niewykonalnym, bo ty przeszkodzisz. Zamiar był taki. Upewniać cię, że żadnych zmian fizjologicznych nie ma we mnie¹⁵, pobyć w Wilnie, póki mi zdrowie pozwoli, a potem zniknąć, nie ze świata, ale z horyzontu tutejszego – zachorować, wyzdrowieć i het gdzie daleko bakałarzyć, bakałarzyć i bakałarzyć¹⁶. Zamiar ten wreszcie upaść musiał dla braku funduszków – wszystko się rozbija o pieniądze, najlepsze chęci bez nich w nic się obracają. Pozostaje wykonać tenże sam projekt, tylko z twoim współudziałem – ja ryzykuję życie – ty pieniądze: jeśli wyjdę cało – rozstaniemy się, jeśli się próba nie uda, też się rozstaniemy.

On. – Co za szaleństwa ta kobieta wygaduje, jakże ja mogę zgodzić się na coś po-

¹⁵ Zamiast „we mnie” można odczytać: „znamion”.

¹⁶ Bakałarzyć – dawniej: uczyć; w XIX wieku zwłaszcza: udzielać lekcji po domach.

- dobnego? Nie tylko nie pozwoliłbym narażać życia, ale [nawet] jeśli by miało zdrowie twoje choć cokolwiek na tym ucierpieć, jeszcze bym się opierał.
- Ona. – Dobrze serce tak, nie inaczej, mówić ci każe, dobre serce i brak zastanowienia. Nie obejmujesz chyba myślą tych wszystkich kłopotów, komplikacji, wydatków wreszcie, na które ja narażić cię mogę.
- On. – Głupstwem są wydatki, ciągle o nich mówisz, są inne ważniejsze względy.
- Ona. – Wszystkie są ważne dla ciebie. Tam, gdzie masz jedną rodzinę do wyżywienia i ledwie ci na to środki wystarczają, coś poczniesz, kiedy drugą przyjmiesz na swoje ramiona? A najgorszą dla ciebie męczarnią jest to, co ja nazywam rozdwojeniem, i tam cię coś trzyma, i tu cię coś pociąga. Dla silnego człowieka niczym by to było, ale ty jesteś nerwowy jak najslabsza kobieta, to cię męczy i zameczy, jeśli mniejszej przeszkody z drogi nie usuniesz. A we wszystkim ja jedyna, wielka winowajczyni. Wtedy, kiedy mi proponowałeś ucieczkę za kraj świata, zrobiłam dobrze, żem ci¹⁷ nie chciała odbierać rodziny, za to jedno powinieneś mnie błogosławić, alem ciężko zbłądziła, żem sama nie uciekła, tym bardziej żem czuła tego konieczność.
- On. – Bardzo jesteś wspaniałomyślna, biorąc na siebie tyle winy; co się stało, [to się] nie odstanie, próżne są i bezużyteczne te niewczesne żale; pozwól, że zbiję twoje zarzuty i zacznę cię bronić . . . — . . .
- Ona. – Nie, daremnie, zostawmy przeszłość, przedstawię ci dalej smutną przyszłość. Przyjdzie chwila, gdzie przestanę pracować, nie dlatego, żeby mi brakło sił i ochoty, ale dla racji bardzo jasnych, i nie potrzebuję mówić o nich; wyjeżdżam z Wilna, bo inaczej kompromituję ciebie, w ślad za mną, a raczej wraz ze mną, idą wydatki, bo nie mam z czego żyć i nikt mi pracy nie da, przez pogardę choćby. – Gardzę ja wzdargą ludzką i nie dbam o nic, póki ciebie nie narażam, szacunek mój własny wystarcza mi, ludzkiego zaś potrzebuję o tyle, o ile mi chleb potrzebny. – Ale idę dalej. Przychodzi choroba: przypuścić można trzy, nawet cztery ewentualności w tym razie: 1^o Wszystko idzie pomyślnie, jest nas dwoje – trzecia sługa – cały dom jednym słowem. – Czy dziecko, filozoficznie, jak Jean Jacques, oddać do domu podrzutków¹⁸, czy je hodować samej? 2^o Matka umiera, dziecko zostaje – co z nim poczniesz? 3^o Matka żyje – dziecko umiera – to mniej by ci sprawiło kłopotu. – 4^o I matka¹⁹, i dziecko umierają, to najlepsze byłoby rozwiązanie, nie zostałoby ani samotnych²⁰, ani sierot.
- On. – A ja?
- Ona. – Ty? – Zapominasz prędko, sam powiadasz teraz, że nie masz czasu mnie kochać – tak samo nie będziesz miał czasu boleć i pamiętać.
- On. – Niedobra jesteś i złośliwa.
- Ona. – Nie. A ty mówiąc to, com powyżej przytoczyła, powiedziałeś wielką prawdę. Gdybyś miał czas zajęty, pracą rozumiem, jeszcze ongiś w domu [---]²¹, nie

¹⁷ W rękopisie poprawione z „Ci” na „ci” lub odwrotnie.

¹⁸ J.-J. Rousseau miał kilkoro nieślubnych dzieci ze swoją partnerką Th. Levasseur; jak opowiada w *Wyznaniach* – wszystkie bez skrupułów i wbrew woli ich matki kazał oddać do przytułku.

¹⁹ W autografie wyraz „Matka” zapisany wielką literą.

²⁰ Zamiast „samotnych” można też odczytać „smutnych”.

²¹ Nazwisko właściciela domu nieczytelne: Dajhcza? Dajchera? Dajchesa?

byłbyś nawet zwrócił na mnie uwagi i uniknął wszystkich bied, jakie wraz ze mną spadły na ciebie.

On. – Ciągłe coś nowego na siebie zwalasz i siebie jedną czynisz przyczyną moich zmartwień, kiedy ja mam tysiące innych racji, których się nie domyślasz nawet.

Ona. – Tak sądzisz? Mylisz się bardzo, nie potrzebuję się domyślać, bo znam je wszystkie, jeśli nie szczegółowo, to przynajmniej ogólnie, jeśli ci o nich nie mówię, to przez delikatność jedynie i nie chcąc drażliwych poruszać kwestii. W każdym razie zdaje mi się, że największe udrczenie to owo rozdwojenie uczuć i obowiązków, o którym już wspomniałam: dobry jesteś, nie chciałbyś nikogo zasmucić, uczciwy jesteś, przykro ci żyć fałszem; cenisz opinię, mnie uważasz jako plamę na swym imieniu i chciałbyś ukryć jak najgłębiej; znowu, – przyzwyczaiłeś się do mnie i zaciągnąłeś, w swoim przekonaniu, pewne względem mnie obowiązki, trudno ci mnie porzucić. Słaby jesteś, nerwowy, stąd rozdrażnienie i melancholia. Przyznaj, że to wszystko prawda?

On. – Po części może tak, ale niezupełnie.

Ona. – W czym, proszę, niezupełnie, chyba w tym, że się w szczegóły nie wdaję, ale to trudno, bo nimi można całe zapełnić tomy.

On. – Mówisz ciągle o moich troskach, moich przykrościach, albo sama ich nie masz, czemu o swoich milczysz?

Ona. – Przypuśćmy, że nie mam. Otóż wracam do tego, że najlepszym rozwiązaniem tego gordyjskiego węzła byłaby moja śmierć. Nie mówi przeze mnie melancholia, broń Boże, przeciwnie – chce mi się żyć, ale mówi głębokie przekonanie, że to jedyny sposób usunięcia wszelkich trudności i smutków tak przyszłych, jak teraźniejszych. Szkoda, że nie ma takiego dobrodzieja, który by mnie zastrzelił zniechcąco, z ukrycia, bo nie mogłabym przyjąć z rezygnacją śmierci, widząc wymierzony ku sobie rewolwer, błagałabym wtedy na klęczkach o życie, takie serce tchórzowskie bije w moich piersiach.

On. – Et, głupstwa pleciesz, i nieprawdopodobne przypuszczasz sytuację, nikt cię nie zabije, sama też sobie życia nie odbierzesz, będziesz żyć i jakoś to będzie.

Ona. – Wszystko być może, mówię tylko, co by najlepszym było w danym razie. *À propos* jeszcze jedno. Nie mówiłam ci²² dotąd, że jest jedna osoba na świecie, która zna całe moje dzieje prócz zaszłych we mnie zmian fizycznych, otóż upewniła mnie, że w razie nieszczęścia znajdzie dla mnie prawną osłonę. Znam tę osłonę, jest to człowiek niemłody, nadzwyczajnej dobroci i wielki mój przyjaciel, jestem pewną, że okryłby mnie chętnie swoim nazwiskiem i opieką przed hańbą – ale nie uwierzysz, jaki mam wstręt do tego środka, wolę raczej umrzeć ukamienowaną. Zresztą w moim własnym przekonaniu – nie mam się za zhańbioną; nie byłabym tak spokojną, a nawet nie wiem, czy mogłabym cię kochać, gdybym znajdowała tę miłość potępienia godną, nieuczciwą, występłą. Nie wiem, może to zaślepienie, ale nie czuję, żebym przestała być uczciwą kobietą, odkąd cię kocham. A ty co myślisz o tym środku?

On. – Ja? – A cóż? Może to i dobrze byłoby dla ciebie – – – – –

Ona. – Ale nie chodzi tu o mnie! Zapominasz ciągle, że nasz stosunek jest taki, że

²² Zaimek zapisany w tym miejscu wielką literą.

nie ty mnie, ale ja ciebie kompromituję, że ja o nic nie dbam, a ty o wszystko, że ja niczego się nie lękam, a ty wszystkiego, że ja na nic się nie narażam, a ty na wiele. – Zapominasz, że nie ja jestem pokrzywdzoną, ale ty, że nie ja właściwie, ale ty potrzebujesz osłony – że nie ty jesteś uwodzicielem, ale ja uwodzicielką, czy zrozumiałeś nareszcie?

On. – Nie, nic wcale, a nawet coraz to mniej rozumiem; wpadasz w taki entuzjazm, że się obawiam, czy nie pomieszał ci zmysłów.

Ona. – Bądź spokojny! Jestem zdrową na umyśle, ale czy na długo?

On. – Cóż to, myślisz pomieszania dostać, nie męcz mnie proszę; zły to znak, kiedy zaczynasz pisać, zaczną się zaraz łyzy, nerwy... Jeśli widzisz, że mam dużo utrapień, to po cóż dorzucasz jeszcze, powiedz?

Ona. – Nie chcę dodać, chcę ująć, bo widzę, że nad siły twoje. Ponieważ nie pozwalasz sobie zastanawiać się, ja myślę za ciebie i dla ciebie; ruszyć się nie śmiem podług własnego przekonania, bo nie chcę ci sprawić przykrości lub smutku, przed myślą twego zmartwienia wszystkie moje pomysły rozwiewają się, chcę właśnie, żeby myśl, pomysł mój, przyjęty i pochwalony przez ciebie, został wykonany za wspólną zgodą. Innej nie widzę rady jak usunięcie się moje. Teraz pora ku temu najstosowniejsza: smutek u ciebie w domu, dziecko chore, matka zboliała, zostań przy nich na zawsze duszą i ciałem, a mnie zostaw mnie samej.

On. – Mówisz, jakby cię nic nie obchodziło rozstanie ze mną, decydujesz tak jakby nie o sobie.

Ona. – Muszę, inaczej nie mogłabym może tak spokojnie i rozsądnie radzić, muszę tym bardziej, że czuję się winną, że cię nie uwolniłam, kiedyś sam o to prosił, kiedyś przyznał, że chłodniej mogąc teraz zastanawiać się, znajdujesz nasz stosunek niemożliwym – itd. Eh, jak ja dobrze pamiętam każde słowo, coś mi wtedy powiedział, a które mnie bolały, jakbyś nożem razy zadawał. Jeśli mi to przed kilku miesiącami mogłeś zaproponować, czemu teraz nie możesz? Nic się przecie nie zmieniło, a ja zamiast upierać się, gotowa wykonać twoją wolę, bo wtedy byłam szalona, chora, słaba, teraz zaś, chociaż więcej może cię kocham, nie ma samolubstwa w moim sercu.

On. – Przypuśćmy, że się rozstajemy, co z sobą poczniesz, gdzie się obrócisz?

Ona. – Muszę naprzód powrócić do normalnego stanu zdrowia, żeby móc pracować; wyjeżdżam do miasta jakiegokolwiek i jeśli można, za pomocą jakiej dobrze opłaconej „Mądrej Kobiety” pozbywam się zawadzanego mi w życiu ciężaru; smutno pomyśleć, że co innym kobietom szczęście przynosi, mnie tyle sprawia udręczenia; ale nie o tym chciałam mówić – jeśliby się taka „Minerwa” nie znalazła, to już ja sobie sama dam rady. Trudność w tym leży, że trzeba to zrobić natychmiast albo nigdy – bo to, co jest dzisiaj jeszcze niczym prawie, za kilka tygodni będzie żywym stworzeniem, które trzeba będzie zabić, żeby się go pozbyć — a i dla mnie samej im później, tym niebezpieczniej, i chociaż śmierć moja byłaby pożądaną jako rozwiązanie wszystkich trudności, tobie może nie byłaby przyjemną, bo gotów byłbyś ją sobie wyrzucać w swojej dobroci. Widzisz więc, że trzeba się prędko decydować. Biedne to stworzenie, nad którego zagładą tak już wcześniej rozmyśla matka — oszczędziłabym mu tylko złej doli, nic więcej. A może to byłby bohater jaki?..... A! Nic by nie było i nic nie będzie. Wierzę

w przeczucia swoje. Myśl moja, zaglądając w przyszłość, nie znajduje tam nic – pusto, zimno! To chyba śmierć. Nie jestem ani rozdrażniona, ani znerwowana, przeciwnie, jestem tak spokojna jak nigdy: wciąż mi się zdaje, że zanim przyjdą przykre chwile, zdarzy się coś takiego, co mię uwolni od wszelkich możliwych w moim położeniu udręczeń – nie zdaję sobie sprawy, co to będzie ani jak, ani kiedy, ale ot, czuję coś takiego nieokreślonego, miałołby to c ó ś być też śmiercią? Można ją przypuszczać dla tych chyba racji: sił żywotnych mam bardzo mało, a jak ten zasób podzieli się między dwa organizmy, to nie wiem, jak oboje na tym podziale wyjdziemy. Będzie to prawdziwa walka o byt, a może oboje zginiemy, żeby ustąpić miejsca komu potrzebniejszemu od nas na świecie²³. Ale i śmierć niech będzie błogosławiona, jeśli po sobie zostawi pozostałym spokój i szczęście.

Abstract

BARBARA IŁAKOWICZ'S "PRZYCZYNY MELANCHOLII" ("REASONS OF MELENCHOLY")

Edited by

MARCIN WOŁK Nicolaus Copernicus University, Toruń

ORCID: 0000-0002-5103-7730

Interpretive notes by

EWA OW CZARZ Nicolaus Copernicus University, Toruń

The article contains a presentation and an edition of a 19th c. autobiographical piece in a dialogue form entitled *Przyczyny melancholii. (Rozmowa)* (*Reasons of Melancholy. (A Conversation)*) by Barbara Iłakowicz (1856–1893). The piece, found in a private archive, is crucial not only as a document of its time and as a source that enriches the state of art about family relations of the poetess Kazimiera Iłakowiczówna, the author's daughter. It is first and foremost an interesting herstory document of the 19th c. Poland and Lithuania: a testimony of personal and professional dilemmas of a woman of noble-yeoman origin and earning her living by her own work. Regardless of emotional and partially financial dependency on a male, Barbara Iłakowicz does not resign from subjective autonomy and agency. The text openly touches such issues as, *e.g.*, abortion and a woman's right to decide about herself.

²³ Aluzja do koncepcji ewolucjonistycznej Ch. Darwina. Polskie wydanie jego dzieła *O powstawaniu gatunków drogą naturalnego doboru, czyli O utrzymywaniu się doskonalszych ras istot organicznych w walce o byt* ukazało się w 1873 roku. B. Iłakowicz mogła je czytać także w oryginale, mogła też znać omówienia np. z prasy.

3. R E C E N Z J E I P R Z E G L A D Y

Pamiętnik Literacki CXIII, 2022, z. 1, PL ISSN 0031-0514

DOI: 10.18318/pl.2022.1.19

MARCIN KULA Uniwersytet Warszawski

HUMANISTYKA UNIWERSYTECKA W WARSZAWIE DAWNO TEMU, CORAZ DAWNIEJ...

Joanna Schiller-Walicka, *NAUKI HUMANISTYCZNE NA UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM. PIERWSZE STULECIE 1816–1915*. Warszawa 2020. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, ss. 268. „Monumenta Universitatis Varsoviensis. 1816–2016”.

NAUKI HUMANISTYCZNE NA UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM. DRUGIE STULECIE 1915–2016. [Autorzy: Jerzy Axer, Waldemar Baraniewski, Andrzej Bogusławski, Maria Krzysztof Byrski, Jacek Hołówka, Tomasz Kizwalter, Piotr Majewski, Piotr M. Majewski, Andrzej Mencwel, Piotr Salwa, Henryk Samsonowicz, Jolanta Sierakowska-Dyndy, Piotr Skubiszewski, Wojciech Tygielski, Marek Wąsowicz, Dorota Zamojska. Redaktorzy: Joanna Schiller-Walicka, Wojciech Tygielski]. Warszawa 2020. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, ss. 308. „Monumenta Universitatis Varsoviensis. 1816–2016”.

Recenzowane tomy musiały być bardzo trudne do przygotowania. Pisało je wielu autorów, z których każdy inaczej wyobraził sobie własny tekst. Pierwszy z tomów, poświęcony stuleciu 1816–1915, to klasyczny, erudycyjny wykład – w oczywisty sposób stanowi rezultat wieloletnich i skoncentrowanych na tym zagadnieniu studiów Joanny Schiller-Walickiej. Czytelnicy będą doń sięgać jako do bogatego źródła informacji. Część zajmująca się okresem międzywojennym czyta się łatwiej, w głowie pozostaje też więcej problemów. Przedstawienie czasów okupacji jest krótkim esejem. Trudno było go rozbudowywać, skoro został osobno ujęty w serii „Monumentów”. Nad choćby względną jednolitością wywiadów, uzupełniających publikację, w ogóle nie udało się zapanować – co nie dziwi, skoro wśród autorów było wielu pytających i tyluż odpowiadających. Dobór wypytywanych naukowców z natury rzeczy musiał być subiektywny. Niektóre z wywiadów są barwne, dobrze się je czyta, ich uczestnicy sięgają wstecz dalej, niż najprawdopodobniej było przewidywane w planie całości. Pokrywają jednak – choć trochę bałaganiarsko, jak to w wywiadach przy kawie – okres lat 1945–1956. Prawda też, że wobec pewnych elementów obrazu ukazanego w tej części książki jej odbiorcy najpewniej zgłoszą wątpliwości rodzące się na tle merytorycznym bądź osobistym. Trzeba wszakże ów obraz zaakceptować jako jeden z możliwych. Redaktorowi trudno przecież zmieniać poglądy wyrażone przez rozmówców w wywiadach.

Twórca bądź twórcy koncepcji całości musieli zmierzyć się również z wymagającymi problemami merytorycznymi – jak np. z pytaniem, czym właściwie się zajmuje-

my, gdy omawiamy 200 lat nauk humanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Czy uwzględniamy okresy, w których uczelnia z założenia nie była polska, nawet jeśli niejeden Polak w niej nauczał i niejeden Polak się w niej uczył? Czy mówiąc o dorobku naukowym, mamy też na myśli profesorów rosyjskich tylko okresowo tu przysłanych? Takie pytania nie stają przed historykami ani w Cambridge, ani w Oksfordzie, mimo że tamtejsze uniwersytety istnieją dłużej. Mogą natomiast stawać przed historykiem, dajmy na to, uczelni w Indiach. Można je również zadawać w wypadku Wrocławia – choć tamten *casus* jest jeszcze inny z uwagi na wymianę ludności. Nasi Koledzy z Wrocławia umieścili na ścianie swojego budynku tablicę z nazwiskami miejscowych niemieckich noblistów. Na UW tablicę ku czci Rosjanina prof. Michaiła Siemionowicza Cwieta umieszczono, ale stosując pewien, znaczący unik (napisano, że nauczał w danym gmachu, a nie w uczelni).

W ogóle trudność w referowaniu stworzyło autorom parokrotne zaczynanie na UW od początku. Nie było oczywiste, co z dawnego dorobku przenoszono przez wstrząsy dziejowe i reorganizacje nauki. Ciekawe mogłoby być porównanie (pytanie, w jakim stopniu adekwatne) takich okoliczności z sytuacjami ponawiania pracy uczelni w Niemczech, a zwłaszcza na obszarze niegdysiejszej NRD.

Przed autorami koncepcji obu tomów musiały stawać też dalsze problemy, choć już nie tak specyficzne dla miejsca i czasu. W jakim stopniu wydzielać Uniwersytet i jego dorobek z całego nurtu pracy naukowej w danym mieście i w kraju? Jak rozłączyć to, co ci sami ludzie robili na uczelni, od tego, co przedstawiali w Towarzystwie Warszawskim Przyjaciół Nauk lub w Wolnej Wszechnicy Polskiej, a następnie np. w Polskiej Akademii Nauk? Przecież w pewnym okresie PRL te same osoby bywały zatrudnione w UW i w PAN, a jeszcze później jednocześnie w różnych uczelniach. W odniesieniu do pierwszego stulecia autorka rozstrzygnęła istniejące wątpliwości, idąc zdecydowanie w kierunku inkluzywnym, co zyskuje moją aprobatę. Dostrzegła polskie elementy nawet na skądinąd rosyjskiej uczelni. Przytacza zróżnicowane oceny naukowego dorobku Ciesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. W późniejszych partiach publikacji sygnalizowane zagadnienia rozwiązywano jednak rozmaicie.

W pracy autorów musiało stawać pytanie, jak szeroko zarysowywać sylwetki wymienianych naukowców. To, że prof. Włodzimierz Antoniewicz jako rektor wprowadzał ghetto ławkowe, jest – jeśli nie przeoczyłem – wspomniane tylko zupełnie marginesowo. Informacja o proteście niektórych profesorów przeciw temu posunięciu nie pojawia się. Zgoda, że nie było to elementem twórczości zawodowej ani w wypadku rektora, ani jego polemistów. Humanista wypowiada się jednak nie tylko przez pisanie tekstów o, powiedzmy, Sarmatach.

Przy podejmowaniu takiego dzieła pojawia się kwestia, czy mówiąc o dorobku naukowym środowiska bierzemy pod uwagę dorobek zapamiętany przez następne pokolenia i, zwłaszcza, dorobek luminarzy (to też zresztą kwalifikacja subiektywna!), czy zależy nam na historii instytucji. W drugim wypadku nie można ograniczać się do najwybitniejszych, a czasem nawet dopiero *ex post* uznanych za takich. Czy należy jednak omawiać nauczycieli akademickich (używam terminologii współczesnej), którzy w różnych momentach bywali rekrutowani na podstawie przesłanek politycznych, dorobku nie mieli żadnego lub fatalny, ale odegrali pewną rolę w życiu

uczelnii oraz oddziaływali na uprawianą w niej naukę i dydaktykę? Co robić z ludźmi, którzy zdyskredytowali się paskudną polityką, w tym wobec uniwersytetu, ale przecież mieli wpływ na uprawiane w jego ramach nauki humanistyczne? Autorzy przyjęli rozmaite rozwiązania w obliczu takich dylematów. Nikt nie wspomina jednak chyba żadnego wykładowcy UW, który tam trafił przez pomyłkę, który był po prostu zerem... Trudno uwierzyć, ażeby tacy nigdy się nie zdarzali. Prawda, że mimo wszystkich zawiloci łatwiej zgodzić się co do tego, kto był dobry, niż co do tego, kto się nie sprawdził – no i większości z nas sprawiłoby przykrość wytykanie takich osób palcem.

W przygotowywaniu koncepcji dzieła nasuwało się zapewne pytanie, w jakim stopniu koncentrować wykład wokół referowanych dzieł i zagadnień, a w jakim dostrzec, że dotyczy on problemów znacznie szerszych, łącznie z danymi dyscyplinami naukowymi jako takimi, z życiem akademickim *sensu largo* czy wręcz z nauką jako zjawiskiem. Dla mnie najbardziej interesujące były sprawy ogólniejsze, które pojawiały się w akuracie czytanych tekstach, a jeszcze lepiej w kilku tekstach. Przecież np. sygnalizowane w książce liczne problemy podniesione przez Joachima Lelewela niezmiennie są istotne w kwestii pożądanego kształtu historiografii. *Historyka* Marcellego Handelsmana pozostaje pozycją wciąż aktualną – co zresztą, niestety, może świadczyć o zbyt powolnej ewolucji naszej dyscypliny. Nadal ważne jest i warte przemyślenia przez nas – ale w całej rozciągłości! – stanowisko Handelsmana, następująco przekazane przez Dorotę Zamojską:

Historia, dążąc do tego samego celu co inne nauki humanistyczne – a więc poszerzenia wiedzy oraz głębszego zrozumienia człowieka i otaczającego świata – ma bardzo wyraźną specyfikę. Wynika ona z faktu, że historyk nigdy nie bada rzeczywistości „w ogóle”, ale zawsze skupia się na konkretnym wycinku przeszłości (postaci, wydarzeniu, procesie, epoce, społeczeństwie). Takie określenie celów poznania historycznego jest konsekwencją jednoznacznie postawionego przekonania, że „Każde zjawisko historyczne dokonywa się w czasie raz jeden i więcej się nie powtarza”. Zatem „zadaniem nauki historycznej [jest] ustalanie faktów jednostkowych, w związku z faktami poprzedzającymi i następującymi, wiązanie ich w opis procesu jednorazowego, czyli wiązanie faktów z życia człowieka z ogólnym rozwojem danego społeczeństwa, narodu lub państwa w ramach warunków życia rzeczywistego”.

Nie znaczy to jednak, że historyk rezygnuje z uogólniania wniosków płynących ze swoich studiów: „W historii [...] występuje także dążenie do formuł o wartości dla szerokich łańcuchów rozwojowych. Usiłuje ona zrozumieć, wyjaśnić zjawiska, sploty zjawisk masowych, społecznych, co więcej, nie ogranicza się ona w badaniach do ludzi, ale sięga do odrębnego, od ludzi usamodzielnionego świata kultury [...]. W zakresie nauk humanistycznych pomiędzy historią a pokrewnymi jej naukami klasyfikacyjnymi zachodzi stosunek zależności i dopełniania wzajemnego”. [*Drugie stulecie 1915–2016*, s. 69]

Przywołane w publikacji badania Antona Siemionowicza Budiłowicza, który uznał język polski za narzecze na równi z kaszubskim czy serbołużyckim, przywołają na myśl bardzo wiele sporów, toczonych we wczorajszym i dzisiejszym świecie, czy dany sposób mówienia jest językiem (poczynając od jidisz). Przedstawiony w książce nacisk na uprawianie słowianoznawstwa, czego zapleczem było przekonanie o jedności Słowian i dążenie do jej wzmocnienia, nasuwa refleksje znacznie szersze, prowadzące np. też do problematyki jedności muzułmanów czy Arabów. Kwestia orientacji Polski na Wschód lub na Zachód pozostaje zresztą nadal żywa, nawet jeśli kategoria „Słowianie” jest już dziś słabo zauważalna wśród nas. Wspominana w dziele rola argumentów historycznych w przyjmowaniu różnych opcji

politycznych to zjawisko trwające do dziś w wielu krajach. Opinia Józefa Kazimierza Plebańskiego, historyka ze Szkoły Głównej, że „nie mógł już, a może i nie chciał, mówić o narodowym charakterze historii, ostro krytykował związek historyków z polityką [...]” (*Pierwsze stulecie 1816–1915*, s. 119), brzmi jakby trochę aktualnie. Informacja o blokowaniu przez PRL-owskie Ministerstwo Kultury i Sztuki druku książek poświęconych dawnej sztuce sakralnej (zob. *Drugie stulecie 1915–2016*, s. 283) również, przynajmniej mnie, kojarzy się np. z popieraniem pewnych muzeów, a działaniem przeciw innym obecnie. Przeważnie jednak sam musiałem wyprowadzać takie lub podobne wnioski ogólniejsze czy też wnioskować o długim trwaniu zjawisk.

Historyk najczęściej chce, nieraz wręcz powinien rozpatrywać zjawiska w kontekście ich czasów. Sam jednak patrzyłem na treści omawianej książki z dzisiejszego punktu widzenia. Zastanawiałem się, co z ukazywanych zjawisk należało i należy do „długiego trwania”, a co się w jakimś momencie skończyło w dziejach humanistyki.

Do spraw ogólnych, o jakich myśli się przy lekturze recenzowanego dzieła, należy samo istnienie instytucji uniwersytetu – instytucji zmiennej, ale zarazem nadzwyczajnie trwałej. Gdy Władysław Tatarkiewicz pisze w odniesieniu do początków swoich wykładów z filozofii na UW: „Nie wiem, czy wiele nauczyłem słuchaczy, ale wykładając, sam się wiele nauczyłem” (*Drugie stulecie 1915–2016*, s. 32), to oddaje nie tylko własne uczucia. W ramach trwałości uczelni jako pewnej instytucji ciekawa jest też niezmiennosc niektórych problemów – takich jak np. kwestia obecności teologii (teologii różnych wyznań) w jej strukturze. Gdy się czyta o tym zagadnieniu, to myśl biegnie ku naszym, co najmniej wczorajszym dyskusjom.

Ciekawą szerszą sprawą, widoczną w toku autorskiego referowania, jest kształtowanie się refleksji naukowej jako odrębnego zjawiska. Wszak czas omówiony w tomie *Pierwsze stulecie 1816–1915* to okres powstawania dzieł fundamentalnych dla warsztatu naszej humanistyki (prace Samuela Bogumiła Lindego czy, powiedzmy, Karola Estreichera). Niektóre przytoczone w książce obserwacje są pyszne – jak np. ta dotycząca r. 1821:

Władze Wydziału protestowały przeciwko nauce gry na instrumentach w pomieszczeniach uniwersyteckich, uważając ją za „niepoważną”, zakłócającą ich powagę, ciszę i spokój. Dziekan [Feliks] Bentkowski groził nawet dymisją, jeśli miałoby dojść do muzykowania w murach uczelni, i w ten sposób cel władz został osiągnięty. Nie było natomiast sprzeciwu co do nauczania teoretycznego, wobec czego pozostał wykład z teorii muzyki, odbywający się w audytorium uniwersyteckim, a także nauka generalbasu „we względzie gramatycznym, retorycznym i estetycznym”. [*Pierwsze stulecie 1816–1915*, s. 96]

Pytanie, którego autorzy już nie postawili – choć np. w wypowiedzi Marii Krzysztofa Byrskiego da się dostrzec owo zagadnienie – to pytanie, czy granice świata nauki znów się dziś może rozmywają (politycy i nauki polityczne; pisarze i poloniści; specjaliści z zakresu historii oraz cywilizacji różnych krajów i służba dyplomatyczna).

Ku ogólnym rozważaniom prowadzi widoczna w omawianej książce kwestia kształtowania się rozmaitych dyscyplin naukowych, a z czasem ich rozdzielenie do tego stopnia, że rzadko rozmawiamy między sobą na tematy zawodowe wśród

przedstawicieli różnych specjalności, i do tego stopnia, że okazało się niemożliwe znalezienie autora, który napisałby w tej książce tekst o naukach humanistycznych na UW po 1956 r. (stąd przyjęta formuła wywiadów, w których każdy z rozmówców wypowiada się na temat własnego poletka). Oczywiście, wszyscy popieramy integrację nauk, ale nacisk na pochwałę tego zjawiska wydaje się refleksem jej faktycznego braku.

Z zainteresowaniem przeczytałem wyznanie Cezarii Baudouin de Courtenay Ehrenkreutzowej, która przyznawała, że najbardziej obawiała się oceny swego wykładu habilitacyjnego przez logików: „Bałam się logików, którzy krytykują wszystkie wykłady, ale znaleźli podobno, że zbudowany mój był dobrze” (1922; *Drugie stulecie 1915–2016*, s. 28). Miałem wrażenie takie, jakbym słyszał pełne troski o poziom naukowy oraz o interdyscyplinarność głosy wielu naszych kolegów, wywodzących, że z punktu widzenia ich dyscypliny dyskutowany tekst (wykład, praca habilitacyjna...) nie spełnia właściwych kryteriów. Według mnie Jerzy Axer w wywiadzie udzielonym Markowi Wąsowiczowi nie ma racji, gdy mówi:

Proponuję, żebyśmy przedmiotem rozmowy uczynili właśnie przekraczanie granic dyscyplin, ich przenikanie się wzajemne, co było, moim zdaniem, dla Uniwersytetu Warszawskiego bardzo charakterystyczne. [*Drugie stulecie 1915–2016*, s. 120]

Moim zdaniem, właśnie nie było. Prawda, że sam prof. Axer zrobił bardzo dużo dla interdyscyplinarności, a skądinąd dostrzega także powojenne tendencje rozczłonkowujące uczelnię i naukę.

Z pożytkiem można obserwować w recenzowanym dziele rozkwity i zmniejszanie się wagi różnych dyscyplin. Przykładem słowianoznawstwo lub obszernie omawiana w książce filologia klasyczna – dziś oczywiście istniejąca, ale nie mająca takiego znaczenia jak dawniej, na niektórych kierunkach nauczana chyba już tylko rezydualnie. Czytelnikowi nasuwa się pytanie: kto kształtuje dyscypliny? Także pytanie o wpływ wielkich indywidualności na naukę w ogóle, a na wyodrębnienie się dyscyplin w szczególności. Ciekawe są uwagi o znaczeniu działań Włodzimierza Antoniewicza dla postępu badań archeologicznych czy pracy Cezarii Baudouin de Courtenay Ehrenkreutzowej dla rozwoju etnografii w wersji mniej więcej dzisiejszej. Z tego punktu widzenia były oczywiście dla mnie zajmujące sylwetki wielu profesorów oraz ich uczniów z okresu międzywojennego – razem tworzyli oni bowiem grupę, która mimo wojny i późniejszych zmian uczyła moje pokolenie. Może ktoś, z podobnie motywowanym zainteresowaniem, będzie kiedyś czytał studium historyczno-naukoznawcze o nas.

Do spraw ogólnych, nasuwających się przy lekturze, należy polityczne uwarunkowanie uprawiania nauki, w tym nauki akademickiej. Nieraz w świecie zdarzało się, występujące także w dziejach Polski, traktowanie uczelni jako uniwersytetu z polityczną misją. Carski Uniwersytet w Warszawie miał propagować rosyjską naukę i kulturę na kresach. Czy analogiczne zadanie wyznaczano polskim uczelniom we Lwowie i w Wilnie w okresie międzywojennym? Nie wiem. Jaka rolę miał mieć uniwersytet polski projektowany w Wilnie po 1989 roku? Też nie wiem, ale Litwini podejrzewali, że niedobra.

Bliska problemom politycznym, rzutującym na naukę, była oczywiście w Polsce

sprawa narodowa. Same dzieje uniwersytetu oraz składu grona wykładowców są częścią zagadnień niepodległościowych. Joanna Schiller-Walicka stara się pokazywać badania rosyjskich uczonych jako takie. W tomie jej autorstwa ciekawie pojawia się jednak kwestia, czy oni mogli wyjść ze swojej roli przedstawicieli siły dominującej. Gdy Osip Osipowicz Perwolf opublikował broszurę *O razvitii wzaimosti u narodow sławianskich*, Aleksander Brückner replikował, że faktycznie jest ona dowodem „bezowocności sympatii i wzajemności słowiańskich” (*Pierwsze stulecie 1816–1915*, s. 195). Po latach Frantz Fanon, ideolog dążenia Algierii do niepodległości, pisał, że biały w koloniach nie przestaje być białym¹. Tu nasuwa się pytanie, czy można być neutralnym badaczem w obliczu takich niechęci, a nawet konfliktów – choć w opracowaniu Schiller-Walickiej szczęśliwie widać, wbrew dzisiejszej wizji, że Polacy pod zaborami nie tylko walczyli, ale w całych okresach żyli codziennym życiem. Zwrócono też uwagę na elementy zagadnienia rosyjskości uczelni dziś znane tylko niewielu z nas – jak np. na kwestię, kim byli rosyjscy profesorowie w Warszawie, jak oni się dobierali i jak ich dobierano, także skąd pochodzili w ramach ogromnego Imperium. To jest ciekawa sprawa w polityce rosyjskiej, powtarzająca się *nb.* w kwestiach dotyczących przemieszczeń wojska i wojskowych. Pada również istotne pytanie o to, co sądzili rosyjscy naukowcy w Warszawie o polskości/rosyjskości Uniwersytetu.

Elementem związku uprawiania nauki na uczelni z polityką jest powracający w obu tomach wątek marzenia kolejnych władz państwowych o posiadaniu liczącego się głosu w zakresie doboru kadry i różnych spraw uczelni – choć w *Pierwszym stuleciu 1816–1915* podkreślono, że nie dotyczyło to samych treści badawczych (tym kolejne władze zainteresowały się widać później). Mało natomiast w tekście mówi się o formach zarządzania nauką (do rozliczania za pomocą punktów i parametryzacji włącznie!). Ciekawa jest pewna, nieraz napawająca optymizmem, zdolność uczelni do manewrowania na polu prowadzonej wobec niej polityki. W rozmowie z Waldemarem Baraniewskim Piotr Skubiszewski wspomina, że w ramach wykładów o sztuce krajów demokracji ludowej uczono po prostu o sztuce czeskiej, bułgarskiej czy węgierskiej (zob. *Drugie stulecie 1915–2016*, s. 256–257). Równie dobrze mogą opowiedzieć, jak to, jakimś przypadkiem, przedmiot „Historia narodów Związku Radzieckiego” bardzo umiarkowanie sięgał do okresu po r. 1917, albo o rocznicowych numerach czasopism historycznych wypełnianych materiałami z możliwie dawniejszej historii danego kraju.

Niekiedy nie sposób oddzielić zagadnienia rozwoju, ewentualnie także zaniku dyscyplin, od kwestii politycznych (narodowych). Nie da się tego zrobić w wypadku słowianoznawstwa, swego czasu bardzo rozwiniętego. W Cesarskim Uniwersytecie było ono kierunkiem wyraźnie dominującym, mającym przyczyniać się do reslawizacji Polaków. W pewnym stopniu odgrywało rolę w polityce rusyfikacyjnej. W *Pierwszym stuleciu 1816–1915* zostało to interesująco omówione, autorka zaprezentowała też różne uwikłania sprawy. Łącznie z pokazaniem miejsca UW w badaniach słowianoznawczych stanowi to jeden z ciekawszych wątków tego tomu – może dlatego, że owa problematyka jest dziś właściwie zapomniana, a słowianoznawstwo prak-

¹ F. Fanon, *Wykłęty lud ziemi*. Przeł. H. Tygielska. Przedm. E. Reklajtis. Pośl. J. P. Sartre. Warszawa 1985, s. 22–23.

tycznie nie istnieje jako pewna całość. W rozbiciu na grupy językowe jest chyba zmarginalizowane.

Nie da się oddzielić polityki od kwestii rozwoju i upadku dyscypliny uznanej za naukową w wypadku marksizmu jako pola wyodrębnionego w strukturze akademickiej i uczynionego podstawowym w aktywności naukowej niektórych pracowników (o późniejszej ewolucji na UW myśli związanej z dorobkiem Marksa zajmującą mówi w wywiadzie Andrzej Mencwel). Wręcz nasilanie się i zanikanie zainteresowań naukowych jest ciekawe w kontekście pozanaukowych uwarunkowań tych zjawisk. Należały do nich istota polskości czy relacje polsko-rosyjskie. Po odzyskaniu niepodległości nawet w wykładach Kazimierza Twardowskiego postulat dobrego definiowania łączony był z obowiązkami porządnej pracy w odrodzonym państwie. Tadeusz Wałek-Czarnecki interesował się kwestią narodową w starożytności (zostawmy na boku dyskusję całej sprawy, istotne, że się interesował). Zdzisław Zmigrzyder-Konopka – dodam od siebie – badał historię Żydów, co pewno też mniej lub bardziej bezpośrednio było warunkowane tym, wśród czego żył.

Nawiasem: zwróciłem uwagę na Zmigrzydery-Konopkę, gdyż był on profesorem mego Ojca, Witolda Kuli². Pozwolę sobie nawet przytoczyć parę zdań z obszernego tekstu, jaki Zmigrzyder-Konopka wygłosił w grudniu 1937 na Zjeździe Delegatów Związku Żydów Uczestników Walk o Niepodległość Polski. Odnosząc się do deklaracji Obozu Zjednoczenia Narodowego, mówił m.in.:

My trzymamy się zasady niewchodzenia do świątyni duszy człowieka, ale bronimy również świątyni duszy własnej i stwierdzamy, iż Żydzi, jako obywatele, chcący Państwu służyć, nie są obywatelami o gorszej etyce³.

Odnosząc się do rewii 11 XI w Krakowie, napomknął, że „sztandar nasz, noszący na drzewcu najwyższe Godło Państwowe, został zbezczeszczony dlatego, że nieśli go obywatele-Żydzi”⁴. Rozwijał jeszcze wiele spraw, ale dodam tylko, że w 1938 r. Zmigrzyder-Konopka został senatorem RP (z nominacji prezydenckiej) – co było dlań znaczące w kontekście reprezentacji sprawy żydowskiej. Łatwo zatem wytłumaczyć sobie przyczyny wzmacniające jego zainteresowania historią Żydów.

Wracając do głównego wątku, zaryzykuję twierdzenie, że Kazimierz Tymieniecki był istotnie uwarunkowany sytuacją, gdy uzasadniał tezę o istnieniu osad miejskich na ziemiach polskich jeszcze przed kolonizacją na prawie niemieckim. Marceli Handelsman, a także Ludwik Widorski zajmowali się problematyką narodu. Iles lat później wielu z nas, historyków, też było pod wpływem wydarzeń, gdy poświęciło się badaniom komunizmu.

Ciekawe wydaje się uparte trwanie w dziejach Polski, czy regionu, niektórych idei występujących w nauce uprawianej na UW. W omawianej książce pisze się np. o XIX-wiecznym przekonaniu o cywilizacyjnej roli świata słowiańskiego. Bardzo

² M. Kula, *Profesor i uczeń*, „Przegląd Humanistyczny” 2006, nr 2.

³ *III-ci Walny Zjazd Delegatów Związku Żydów Uczestników Walk o Niepodległość Polski w Krakowie, dnia 5 XII 1937 r. Referat ideowy Związku, wygłoszony przez kapitana rezerwy Prof. Dr. Zdzisława Zmigrzydery-Konopkę*. B. m. r., s. 7.

⁴ *Ibidem*, s. 8.

cenne jest przypomnienie, że takie idee w Polsce funkcjonowały, a dzielali je nawet ludzie, którzy zostali zapomniani z zupełnie innych myśli i dokonań – jak Stanisław Staszic:

Powstanie w 1815 r. Królestwa Polskiego pod berłem Aleksandra I znacznie wzmocniło słowiańskie idee wśród Polaków, wzbogacając je o wymiar jednoznacznie polityczny w postaci uznania prymatu Rosji oraz akceptacji polsko-rosyjskiej unii dynastycznej jako początku procesu jednoczenia Słowian. W uzasadnieniu tej idei główną rolę odegrał Staszic jako autor słynnego wystąpienia w TWPN w sierpniu 1815 r. pt. *Myśli o równowadze politycznej w Europie*. Dowodził w nim, że Polacy i Rosjanie połączeni są nie tylko pokrewieństwem języków i kultur, ale także wspólnym posłannictwem dziejowym. W przeszłości bronili Europy przed najazdami ludów azjatyckich, obecnie powinni wspólnie działać na rzecz zjednoczenia Słowian, mającego służyć sprawie pokoju i sprawiedliwości w skali ogólnoeuropejskiej. Polska była twórczynią tej idei, do Rosji należeć będzie jej polityczna realizacja. [*Pierwsze stulecie 1816–1915*, s. 77]

Takie idee są obecne do dziś w Rosji, a ich odmianą jest, wprawdzie ograniczona do Polski, myśl premiera Mateusza Morawieckiego, że Polska ma „rechryścianizować” Europę – w moim przekonaniu będąca wyrazem albo megalomanii narodowej, albo kompensacji kompleksów (co może być zbieżne).

Ciekawa jest siła trwania w nauce polskiej, jak w ogóle w Polsce, zainteresowania historią. Czy wynikało i wynika to z faktu wielokrotnych odrodzeń i ponownego startu, czy z szukania swoistej kotwicy i źródeł optymizmu? Ten wątek pojawia się w książce w odniesieniu do okresu międzywojennego – ale przecież jest aktualny chociażby dosłownie dziś. Czasem przy lekturze można odnieść wrażenie, że historia służy psychoterapii narodu:

Od początku XIX w. historia zajęła w polskiej kulturze szczególne miejsce, daleko wykraczające poza ramy jednej z wielu dyscyplin akademickich. Tocząc wielką dyskusję o przyczynach upadku państwa polskiego, historycy stali się kimś w rodzaju narodowych psychoterapeutów, a jednocześnie dostarczycieli „naukowych” argumentów dla przedstawicieli ważniejszych opcji politycznych. Sami politycy zresztą też próbowali ubierać swoje koncepcje w szaty dzieł historycznych, a i historycy nie stronili od zaangażowania politycznego.

W okresie I wojny światowej tendencje te się zaostrzyły. Siła wpływu argumentów historycznych na postawy polityczne społeczeństwa była na tyle duża, że musiano uwzględnić ją przy doborze wykładów historii dla UW. [*Drugie stulecie 1915–2016*, s. 61–62]

Przypomnijmy, że mowa tu o początkach XX wieku.

Bardzo interesujące było dla mnie nawracające w książce zagadnienie peryferyjności Polski i polskiej akademii, w tym UW. Czasami jest ono stawiane dosłownie, czasami ujawnia się pośrednio, np. przy omawianiu kontaktów zagranicznych polskiej nauki. Także poprzez zapewnianie, że nas doceniano. W formie, która dziś brzmi kuriozalnie, pojawiało się ono dawniej np. w tym, co pisał w 1911 r. Henryk Struve:

nasi filozofowie – Wroński, Trentowski, Libelt, Cieszkowski – obstawali przy kierowniczej misji filozofii polskiej w stosunku do rozwoju filozofii powszechnej i bronili tych aspiracji na podstawie swych poglądów historiozoficznych. [cyt. z: *Pierwsze stulecie 1816–1915*, s. 109]

Zagadnienie peryferyjności i reagowania na nią można zdecydowanie rozszerzać. Kraje w dziejach peryferyjne miały i mają na ogół relatywnie niezłe uniwersytety

i przerośniętą inteligencję, dla której światowe centra stanowią punkt odniesienia. Dla tej inteligencji aktywność intelektualna bywała ucieczką w myślenie, tym łatwiejszą, gdy podstawowym narzędziem badań stawał się własny umysł (logika, filozofia, szkoła lwowsko-warszawska, później historia idei na UW). Stefan Czarnowski był uczonym „peryferyjnym”, myślącym tak ciekawie, że wyraźnie nie doceniano go w Polsce, a zarazem pozostawał w kontakcie z elitą francuskich socjologów, dla których był widać interesujący. Jego książka o św. Patryku (czyli nie związana z Polską, choć w moim przekonaniu przez tutejszy klimat uwarunkowana) weszła do literatury światowej⁵. Pozostaje jednak faktem, że Czarnowski pisał z Warszawy do Paryża jak do stolicy świata. Fernand Braudel mówił kiedyś o pewnym historyku polskim, że gdyby znajdował się na jego miejscu w Paryżu, to mógłby odegrać jego rolę – ale pozostaje faktem, że to Braudel był w Paryżu. Socjologowie brazylijscy, podobnie jak powieściopisarze latynoamerykańscy, byli w jakimś sensie „produktem” peryferyjności swoich krajów, a zarazem weszli do światowej elity intelektualnej. Polakom udało się to w mniejszym stopniu. Rzecz jasna, przyczyniła się do tego odmiennność ustrojowa Polski w okresie 1945–1989, kiedy to, o czym wielokrotnie powtarza się w książce (co zresztą oczywiste), istniały różne trudności dla kontaktów – ale humanistyka zachodnia chciała mieć te kontakty. W końcu to za czasów PRL prof. Jan Szczepański pełnił funkcję przewodniczącego Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologicznego – doprawdy, nie będąc tam powołany jako dyplomata „z klucza” (a nawet jeśli może trochę „z klucza”, to nie tylko „z klucza” i nie jako dyplomata). Nie był to jedyny taki *casus*. W wypadku Polski można jednak pytać także o to, czy należy ją uznać za peryferyjną względem Rosji. Odpowiedź byłaby trudna, zależałaby od typu spraw. W książce mówi się o zainteresowaniu Polską w Rosji, w tym wśród profesury rosyjskiej do lat dziewięćdziesiątych XIX wieku. Po roku 1989 nieraz zdumiewaliśmy się, jak wielu kolegów na wschód od Bugu znało język polski – nie z domu, ale z uczenia się.

W kontekście peryferyjności Polski ciekawa jest wypowiedź Andrzeja Mencwela w jego rozmowie z Tomaszem Kizwalterem:

Nigdy się nie znajdziemy w centrum, bo publikujemy w peryferyjnym języku, jesteśmy w peryferyjnym położeniu itd. Ale nie psuje mi to samopoczucia; mogę powiedzieć, że osobiście nie mam tego poczucia krzywdy i żalu, na które pokoleniami cierpieli Polacy. Przyjmuję tę sytuację. Wiemy przecież, że wystarczy byle głupstwo napisać po amerykańsku, jak na przykład o końcu historii, i proszę bardzo – zyskuje się rozgłos światowy. Trudno, nie będziemy Ameryką. Ale może to i lepiej! A jeśli chodzi o całość kształtu, to ja bym powiedział – znowu nawiązując do tej metafory czy metonimii przeciągu – że peryferie to jest takie miejsce, w którym przeciągi i łapanie się tych wiejących wiatrów bardzo często zastępują rzeczywistą orientację w świecie i w tym, co naprawdę w nim ważne. A to bywa dotkliwie i bolesne. [Drugie stulecie 1915–2016, s. 238–239]

Jak wspomniałem, niestety, takie szersze rozważania czytelnik na ogół musi prowadzić sam. Jeśli się pojawiają, to raczej w niektórych wywiadach, nie zaś w zwartych tekstach podstawowych. Cała książka pisana jest w stylu częstym u historyków. My zbieramy i przekazujemy fakty, a reszta należy do czytelnika, niech

⁵ S. Czarnowski, *Le Culte des héros et ses conditions sociales. Saint Patrick héros national de l'Irlande*. Préf. H. Hubert. Paris 1919.

on wyciąga szersze wnioski. No cóż, jeżeli na UW dobrze wykształciliśmy owego czytelnika, to wyniesie on z tego dzieła więcej niż możliwość sprawdzenia pewnych faktów. Jeśli nie, to one też mu się przydadzą. Ja z pożytkiem znalazłem np. stanowiska takie jak Jana Kazimierza Plebańskiego, o którym Schiller-Walicka mówi:

Plebański zdecydowanie występował [...] przeciwko uprawianiu historii pragmatycznej, za prawdziwe jej zadanie – jako nauki – uznał wykrywanie zasad i praw rządzących narodami, a nie zbieranie niezliczonych szczegółów, które, choć może ciekawe, nie mają większego znaczenia w poszukiwaniu prawidłowości życia społecznego. [*Pierwsze stulecie 1816–1915*, s. 120–121]

Zostawmy na boku, jak Plebański rozumiał te prawidłowości.

Zaciekawili mnie też przedstawione w książce poglądy Dmitrija Moisiejewicza Pietruszewskiego:

Stwierdzał na przykład, że dzięki efektywnym studiom komparatystycznym widać jasno, że ustrój feudalny nie był lokalnym produktem rozwoju średniowiecznej Europy, ale elementy tej formacji mogą być zauważalne w starożytnej Grecji i Rzymie, w dawnych cywilizacjach wschodnich, wśród ludów słowiańskich, a także u Arabów, w Chinach i Japonii. W tym ujęciu feudalizm, rozumiany na ogół jako czysto historyczna kategoria, staje się ewidentnie kategorią socjologiczną. Uważał, że konfrontowanie zjawisk pozornie nieporównywalnych, na przykład urzędów Imperium Rzymskiego i Rusi Moskiewskiej, może rzucić jasne światło na polityczny i społeczny rozwój tej ostatniej. Porównanie organizacji rzymskich kolonii z moskiewskim poddaństwem uderza podobieństwem tych instytucji i przyczyn, które je wywoływały. [za George'em Vernadskym; *Pierwsze stulecie 1816–1916*, s. 145–146]

Mogę tylko dodać, że swego czasu z entuzjazmem przeczytałem tekst Ludwika Krzywickiego o feudalizmie w historii Mongolii – opartym wszakże nie na własności ziemi, lecz stad zwierząt⁶.

Przy lekturze części książki zawierającej wywiady z naukowcami – przeprowadzone *nb.* też przez naukowców – dowiedziałem się o wielu sprawach dla mnie nowych.

Z pożytkiem przeczytałem rozmowę Wojciecha Tygielskiego z Jackiem Hołówką. Prawda, że miejscami była ona dla mnie trudna do zrozumienia jako dla historyka wykształconego na UW (to przyczynek do interdyscyplinarności, za którą wszyscy jesteśmy). Moje zainteresowanie wywiadem Piotra Majewskiego z Henrykiem Samsonowiczem było innej natury – czytałem bowiem ich wymianę zdań jako tekst o własnym podwórku. Nie powinienem zresztą w takim wypadku zabierać głosu w roli recenzenta.

Najciekawsza była dla mnie rozmowa Jolanty Sierakowskiej-Dyndo z Marią Krzysztofem Byrskim. Treści w niej zawarte właśnie pokazują, jak cenna jest najszerszej rozumiana interdyscyplinarność. Mowa tam o, powiedzmy, dawnej sile oddziaływania kultury i języka perskiego w dziejach Polski (nic o tym nie wiedziałem!). Przypomniane są sarmatyzm czy moda na kobierce perskie. Bardzo cenię uwagi o roli orientalistyki, a raczej roli, jaką ona powinna odgrywać w kształceniu polskiego inteligenta. Także obserwacje o negatywach niedoceniań orientalistyki na przykładzie błędów popełnionych przez Amerykanów w trakcie operacji w Iraku

⁶ L. Krzywicki, *Ustroje społeczno-gospodarcze w okresie dzikości i barbarzyństwa*. Warszawa 1914, s. 254.

(politycy, niezależnie od słów Byrskiego, i tak będą robić swoje, o czym on wie). Zasadniczo podzielam tę opinię profesora:

orientalistyka powinna kształcić nie tylko orientalistów, ale powinniśmy kształcić polskiego inteligenta, który wie, jak korzystać z tego, co my, orientaliści, robimy, który wie, że chcąc zrozumieć islam, powinien zacząć od przeczytania *Koranu*, który orientaliści dla niego przełożyli. [*Drugie stulecie 1915–2016*, s. 175]

Przy lekturze tego zdania przychodzi na myśl sprawa szersza: w jakim stopniu to, czym zajmuje się cała humanistyka uniwersytecka, oddziałuje w ogóle na społeczeństwo i jego instytucje. Niby społeczeństwo, podobnie jak pracownicy poszczególnych instytucji – to m.in. nasi absolwenci. W tym sensie nasz wpływ jest w oczywisty sposób wręcz duży. Niekiedy wydaje mi się jednak mniejszy. Może zresztą, co samo w sobie nie byłoby złe, jest niemały, ale niejednorodny – jak cały Uniwersytet, szczęśliwie, nie jest jednolity. Z tego punktu widzenia ciekawie czyta się wspomniany już wcześniej wywiad Kizwaltera z Mencwelem. Dużo wnosi on zarówno do wiedzy o UW w czasach najnowszych, jak, powiedzmy, do poznania uwarunkowań humanistyki przez politykę, nie tylko tę oddziałującą bezpośrednio, ale głęboko zakodowaną w myśleniu.

Zaskoczyło mnie, że w żadnym właściwie wywiadzie prawie nie ma akcentów krytycznych: ani dotyczących dyscyplin reprezentowanych przez rozmówców, ani uczelni; mało kto ma wątpliwości co do czegokolwiek... Tymczasem o kontakcie Szymona Askenazego z UW dałoby się coś powiedzieć, nieprawdaż? Przywoływany poprzednio Zdzisław Zmigryder-Konopka pojawia się jako „wychowanek Uniwersytetu”. Nie doczytamy się jednak informacji, że nie został w nim zatrudniony, najpewniej (trudno to udowodnić!) jako obywatel polski z rodziny żydowskiej. Z innych spraw – chyba tylko prof. Axer porusza wątek tradycjonalizmu środowiskowego i trudności wprowadzania nowości. No cóż, pozostaje pogratulować innym rozmówcom samozadowolenia.

Niezależnie od wszystkich moich wątpliwości – mówię bowiem je odnośnie do różnych spraw i odnośnie do niektórych treści książki – uważam, że przeczytałem ją z pożytkiem. Naprawdę!

Abstract

MARCIN KULA University of Warsaw
ORCID: 0000-0002-5161-5027

UNIVERSITY HUMANITIES IN WARSAW LONG TIME AGO, LONGER AND LONGER...

The essay is written on the margin of two volumes devoted to the humanities in a series of books published to commemorate the 200 Years of the University of Warsaw. The author discusses the issues placed in the articles and interviews with professors that both volumes contain. His special interest is placed on the shaping of scientific reflection as a separate discipline of thinking, as well as on longevity of some issues and on lessening the importance of other ones. He is preoccupied with the role of the University of Warsaw as, on the one hand, a tool used by the Russians in Poland's Russification and, on the other hand, with the place of the university in national life. He also focuses his attention on the conditions of conducting studies in the circumstances the scholars experienced and the university's functioning against the political context. Each of the aforementioned matters reflected the expansion of individual academic disciplines developed at the university. A review of the disciplines as research and didactic fields is intrinsic value of the volumes in question.

FILOLOGICZNE (ITE)RACJE, CZYLI RZECZ O „WIELOCZYNNIKOWYCH ZADANIACH POZNAWCZYCH” I SPOSOBACH NA ICH ROZWIĄZYWANIE

Krzysztof Skibski, POEZJA JAKO ITERATURA. RELACJE MIĘDZY ELEMENTAMI JEZYKA POETYCKIEGO W WIERSZU WOLNYM. (Recenzenci: Witold Sadowski, Małgorzata Witaszek-Samborska. Indeks nazwisk: Alicja Przybyszewska). Poznań 2017. Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, ss. 304. Seria „Filologia Polska”. Nr 184.

„Poezja jako literatura”. Fraza zapisana na okładce rozprawy Krzysztofa Skibskiego elektryzuje – wszystko jedno, czy rzecz wpadnie w ręce profesjonalnego czy całkowicie przygodnego odbiorcy (co empirycznie poświadcza przykład moich dzieci – uczniów podstawówki). Tytuł wytrąca z kolein percepcyjnych, zmusza do ponownego odczytania i do dociekań (nieważne, ile odbiorca ma za sobą literaturoznawczych lektur). Nieprawdopodobne, żeby w takim miejscu ostała się krzycząca literówka; dodanie „l” nieszczególnie zresztą frazę usensownia. A zatem – koncept autorski, nie zaś karygodne przeoczenie edytorskie. Może wobec tego idzie o waloryzację językowego „kalekowania”? Może to kolejny, po poststrukturalistycznym, zwrot ku temu, co obarczone błędem, zmyłone, z pozoru niepełnowartościowe?¹ Czy może wyjaśnień szukać trzeba w jeszcze innych przestrzeniach?

Skibski szybko – w pierwszych akapitach wstępu – rozwiewa wątpliwości. „Iteratura” odsyła, naturalnie, do literatury, kluczowa okazuje się tu jednak ukryta w tytule „iteracja”. Poezja widziana jako iteratura to zatem „literatura swoista, której odbiór warunkowany jest powtórzeniem nieprostym, anachronicznym (bo specjalnie zawieszonym w czasie), realizującym się w osobiwej pętli zadania pozornie zamkniętego i w układzie o ograniczonym stopniu swobody” (s. 12). Poetycka iteratura najdoskonalej wciela się w wiersz wolny – uprzedstrzenniony, swoście autonomizujący wersy, czytany przez badacza nie przez pryzmat braku (numeryczności), ale w perspektywie własnych oryginalnych zdobyczy i pozytywnej charakterystyki. Z jednej strony, to charakterystyka nienowa dla odbiorców obeznanych ze współczesnymi studiami wersologicznymi², nad nią wszakże nadbudowuje autor kolejne, zaprojek-

¹ Dowodem powracającego zainteresowania tego rodzaju studiami może być np. dwutomowa publikacja *Understanding Misunderstanding* (Ed. T. Brzostowska-Tereszkiewicz, M. Rembowska-Płuciennik, B. Śniecikowska. T. 1: *Cross-Cultural Translation*; t. 2: *Artistic Practices*. Berlin 2019–2020), pokłosie międzynarodowej konferencji interdyscyplinarnej *Poetics of Misunderstanding* zorganizowanej w Instytucie Badań Literackich PAN w grudniu 2017.

² Skibski pisze o tym na s. 26: „Wiersz wolny składa się [...] z wersów, które są ekwiwalentne, relacyjne, ale nie muszą być syntagmatycznie kompletne. Wchodzą ze sobą w relacje w obrębie tekstu (są to relacje graficzne, syntagmatyczne, semantyczne i inne). Wszystkie elementy tekstu w wierszu wolnym mają wartość semantyczną (także znaki ortograficzne i interpunkcyjne) oraz współtworzą spójność tekstu na poziomie pojęciowym. Każda zaś numeryczność, ślad regularności, elementy konwencji obecne w tekście mają – w ramach wartości semantycznych – także wartość intertekstualną”.

towane już wedle własnych pomysłów, piętro refleksji wersologiczno-językoznawczo-antropologicznej. To w wielu punktach nowa, świeża perspektywa oglądu „wieloczynnikowego zadania poznawczego”, jak określa Skibski wiersz wolny (s. 27).

Z drugiej jednak strony, monografię Skibskiego cechuje pewna anachroniczność (rozumiana wszakże inaczej niż w przywołanym wcześniej cytacie). To nie jest książka „na czasie” – autor nie płynie na fali nowości metodologicznych, nie daje się porwać wartkim (nowo)humanistycznym prądom, nie szuka błyskotliwych luster intersemiotycznych czy transkulturowych dla swych tekstowych bohaterów. Wykonuje za to solidną robotę laboratoryjną, precyzyjnie łącząc narzędzia literaturoznawcze i językoznawcze, pieczołowicie sprawdzając ich operacyjność, a w razie potrzeby wyostrzając je i przemodelowując. Nie brak mu także odwagi i wynalazczości – jeśli we wcześniejszej refleksji naukowej nie stworzono pojęciowego „oprządkowania” koniecznego dla dociekań prowadzonych przez Skibskiego, badacz formułuje i definiuje nowe terminy (jest ich w rozprawie naprawdę niemało, ale też – wcale nie za dużo). Co istotne, enuncjacje teoretyczne każdorazowo zweryfikowane zostają w praktyce interpretacyjnej – książka obfituje w intrygujące analizy najnowszej polskiej poezji (dzięki obszernym cytatom zyskuje też ciekawy rys antologijny). Rozprawa poświadcza przy tym znakomitą orientację autora w najnowszych rodzimych badaniach nad wierszem i składnią (inna sprawa, że nieco brakuje tu odniesień do studiów obcojęzycznych, a te mogłyby stanowić dla ustaleń teoretycznych Skibskiego cenny punkt odniesienia). *Poezja jako literatura* jest pracą swoście holistyczną, filologicznie transdyscyplinarną. To rzecz przede wszystkim dla fachowców (i osób do tego grona aspirujących), zmuszająca odbiorcę do używania szerokiego arsenału narzędzi, w jakie wyposażyły go wcześniejsze lektury językoznawcze i poetologiczne oraz, naturalnie, sama monografia Skibskiego.

Bardzo ważna w książce okazuje się także sama płaszczyzna wysłowienia. Solidność dyskursu nie niweluje jego językowej finezji. Odkrywczość i lekkość wysłowienia przyćmiewane bywają jednak hermetycznością znacznych partii wywodu. Wydaje się, że nośność pracy mogłaby być dużo większa, gdyby kluczowe części rozdziałów napisano nieco mniej gęstym językiem. Odbiorca zmuszony zostaje do wielokrotnej (iteracyjnej!) lektury licznych passusów tekstu. Nie bez trudu deszyfruje sensy ciasno, hermetycznie „upakowane” w poszczególnych partiach rozprawy, składających się na spójną wersologiczno-językoznawczą mozaikę. Jednak przecież precyzja wywodu nie musi wcale oznaczać jego skrajnej kondensacji. W swojej recenzji często przywoływać będę sformułowania badacza – zarówno te o wielkiej gęstości teoretycznej (parafraza grozi tu zresztą zniekształceniem konstruktów pojęciowych), jak i te, które świeżo, poetycko (!), a niekiedy także aksjologicznie, opisują fenomeny niełatwe do językowego unieruchomienia. Chwilami trudno uwierzyć, że cytaty zaczerpnięto z jednej monografii.

Pierwsza, najobszerniejsza i, w moim odczuciu, najbardziej odkrywcza część rozprawy poświęcona została problematyce kondensacji w wierszu wolnym. Autor rozpoczyna od opisania kluczowych poetologicznych założeń pracy. To przekonanie (wywodzone m.in. z rozpoznania Artura Grabowskiego³) o samodzielności

³ A. Grabowski, *Wiersz. Forma i sens*. Kraków 1999. (W kontekście rozpoznania Skibskiego i zajmujących go koncepcji poetologicznych bardzo ciekawie wybrzmiewają m.in. artykuły J. Orskiej

i swoistej pełnowartościowości poszczególnych wersów czy, mówiąc precyzyjniej, o „ekwiwalencji i osobliwym zrównaniu jednostek wersowych, ale nie na prawach części kontynuowanego tekstu o specyficznej formie utrwalenia, tylko – określonego sposobu kształtowania tekstu” (s. 32). Nie oznacza to bynajmniej kresu „myślenia składnią” (jest ono dla rozprawy Skibskiego fundamentalne), lecz daje asumpt do „analizy syntagmatycznego potencjału wersów i ich ewentualnej łączliwości w tekście” (s. 32, przypis 28).

Kolejnym kluczem do formy wiersza wolnego – retardacyjnej w swej istocie – jest, jak przekonuje badacz, graficzność (tu rozprawa wiele zawdzięcza kanonicznej już pracy Witolda Sadowskiego⁴), dająca czytelnikowi „możliwość osobliwego błędzenia w tekście [...]” (s. 35), a jednocześnie pozwalająca na odbiór paralelny z percepcją dzieła malarskiego. Wiersz wolny widzieć można zatem nie jako rozłożony na wersy komunikat, ale jako „dyskursywną i przestrzenną instalację, w której realizuje się pewien semiotyczny projekt” (s. 42). Tekst nie jest wszak „podzielony na wersy, a składa się z wersów [...]” (s. 108). O specyfice formy decyduje wreszcie wspomniana już powtarzalność w procesie odbioru, czytelnicze „działanie w pętli” (s. 36), niezbywalna „wielokrotność wewnątrztekstowa” (s. 39) (tu patronem rozważań okazuje się Kazimierz Bartoszyński⁵). Skibski następnie precyzyjnie tłumaczy, jak rozumieć relacyjność wersów, niedeterminowaną ich bezpośrednim następstwem w wierszu. Za jedno z najistotniejszych osiągnięć rozprawy uznają wszakże opisanie elipsy wersowej – zjawiska, o którym, o ile wiem, zgodnie milczą dotychczasowe studia nad wierszem. Skibski precyzyjnie wylicza fundamentalne różnice między elipsą wersową a na pierwszy rzut oka niemal tożsamą z nią przerzutnią. Tę pierwszą charakteryzuje jako „cechę takich wersów, których potencja formalno-znaczeniowa w ujęciu analitycznym (potencjalna autonomia wersu) wskazuje na konieczność uzupełnienia do postaci akceptowalnej ze względu na wartość syntagmatyczną” (s. 68). Szczegółowy, wielostronny (i wielostronicowy) opis oraz znakomicie dobrane egzemplifikacje literackie właściwie uniemożliwiają niezrozumienie tego ważnego konstruktów badawczego. Za wyjątkowo interesujące uznają fragmenty dotyczące eliptyczności wersowej w tekstach, które odznaczają się paralelizacją, oraz wypowiedzi na temat morfologicznej elipsy wersowej (bardzo dobrze zilustrowane przykładami z poezji Roberta Tekielego i Joanny Mueller).

Praca nad pozytywną charakterystyką wiersza wolnego wiedzie następnie ku, niezmiennie krzyżowanym z problematyką syntagmatyki, refleksjom na temat tabularności. Zrazu definiuje ją autor jako przestrzenność „unieważniającą prymarną funkcję następstwa linijek [...]” (s. 102, przypis 105) – tak daleko idąca teza budzić może sprzeciw odbiorcy, tym bardziej że w moim odczuciu nie bronią jej zapisane na kolejnych stronicach analizy wierszy. Następnie Skibski przyznaje, mimo wszystko, iż „linearność jako domena kompetencji czytelniczych stanowi

⟨*Jak „działa” wiersz? O składni zdania awangardowego*. „Forum Poetyki” 2017, nr 10⟩ i J. Grądziel-Wójcik ⟨*Rozważania o wierszu*. „Teksty Drugie” 2002, nr 4⟩.) W recenzji nie odnotowuję, rzecz jasna, wszystkich istotnych dla wyводу Skibskiego inspiracji teoretycznych, przywołuję jedynie te o kluczowym znaczeniu dla podstawowych poetologicznych założeń książki.

⁴ W. Sadowski, *Wiersz wolny jako tekst graficzny*. Kraków 2004.

⁵ K. Bartoszyński, *O lekturze wielokrotnej*. „Pamiętnik Literacki” 1990, z. 4.

integralny, lecz jednak niesamodzielny element lektury tekstu w wierszu wolnym” (s. 122), a:

Ostateczny projekt interpretacyjny wiersza określany jest [...] przez tabularność, ale niejako wtórna, poprzedzoną sprawdzianem linearności, czyli testem na spójność motywowaną regułami zwyczajowymi. [s. 123]

Analityczno-interpretacyjny wywód (badanie wierszy m.in. Krystyny Miłobędzkiej, Roberta Tekielego, Jacka Gutorowa, Julii Fiedorczuk) wydatnie poświadcza istnienie silnych, znaczeniowych relacji: przestrzenność–linearność. W tej części rozważań bardzo brakuje mi jednak głębszego namysłu nad typografią oraz układami bliskimi chwytom poezji wizualnej i konkretnej, których (przynajmniej: delikatne) sygnały pojawiają się w analizowanych przez badacza tekstach. Na rozwinięcie i ukazanie na szerszym tle historycznokulturowym i socjologicznym zasługuje także jedna z postawionych przez badacza (i porzuconych w toku dalszych dociekań) tez. Zdaniem Skibskiego:

tabularność nie jest rewelacją nowych mediów ani upowszechnionej przez nie zmiany w percypowaniu tekstów, a jest zjawiskiem typowym dla poezji, w której pojawiło się wraz z pojęciem wiersza wolnego. [s. 106]

Druga, najkrótsza, część rozprawy poświęcona została innemu ukutowi przez badacza pojęciu – akomodacji poetyckiej. Skibski obficie czerpie z wcześniejszych studiów nad stylem i składnią, przedstawia jednak własną koncepcję, opierającą się np. na opisie korelacji między wielorakością ról składniowych poszczególnych słów a mechanizmami relacyjności wersów. Akomodację poetycką rozumieć można (choćby) jako „wzajemne dopasowanie się wersowych syntagm doraźnych do syntaktycznych wymagań wersów relacyjnych [...]” (s. 127, przypis 124), które „oznacza potrzebę negocjowania sensów, ponieważ [akomodacja – B. Ś.] sankcjonuje [...] relacje oryginalne, które często wymagają czytania wielokrotnego [...]” (s. 130, przypis 129). Skibski z powodzeniem dowodzi, iż tak postrzegana akomodacja stoi u podstaw licznych operacji sensotwórczych, m.in. percepcji metafor. Składnia okazuje się zatem, po raz kolejny, kluczem do czytania poezji. W przypadku części przedstawionych analiz czytelnik odnosi jednak wrażenie, że nowe narzędzie terminologiczne nie zostało w pełni wyzyskane, że dla zaprezentowanych opisów i interpretacji jego wytworzenie nie było wcale niezbędne.

Trzeci rozdział książki to drobiazgowe studium procesu reminiscencji frazeologicznej w iteracyjnym odbiorze wiersza wolnego. Autor precyzyjnie omawia działanie sygnałów frazeologiczności, ewokacji frazeologicznej, konotacji frazeologicznej, śladu frazeologicznego, supozycji frazeologicznej (ponownie dowodząc, iż kreatywność pojęciotwórczą warto łączyć z doskonałą orientacją w tzw. stanie badań). Po raz pierwszy w swych dociekaniach sięga po metody empiryczne, ciekawie zestawiając przy tym własny projekt ze słynnym eksperymentem Stanleya Fisha. (Żałuję tylko, że podobnych studiów doświadczalnych nie przeprowadził Skibski, pracując nad – najbardziej z mojej perspektywy interesującą – problematyką elipsy wersowej.) Intrygującym intersemiotycznym odniesieniem jest tu z kolei sztuka Michaela Frayna *Czego nie widać* (*Noises off*). Wywiedziona z niej i wykorzystywana w poszczególnych podrozdziałach „teatralna metafora” (s. 171) doskonale uzmy-

sławia ukryte reguły działania frazeologizmów – a także ich najdelikatniejszych nawet sygnałów – w iteracyjnej pętli czytelniczej. Za interesujące i inspirujące (choć niekiedy też dyskusyjne) uznają również uwagi o „mechanizmach metaforyzacyjnych” związanych z „odbiosem śladu frazeologicznego” (s. 189).

Ostatnia część monografii Skibskiego to *Próby iteracyjne* – pięć szkiców analitycznych poświęconych twórczości wybitnych polskich poetów: Ewie Lipskiej, Julii Hartwig, Urszuli Koziół, Jerzemu Ficowskiemu i Tadeuszowi Różewiczowi. Badacz weryfikuje tu przydatność omówionych wcześniej konstruktów teoretycznych, a także (jakby tych było mało!) wprowadza dodatkowe pojęcia przydatne w opisie i interpretacji przywoływanych utworów. Za najciekawsze uznają (być może przez wzgląd na własne preferencje czytelnicze) analizy tekstów Koziół i Ficowskiego. Mówiąc o „językowych precjozach” autorki *Fugi* – oraz o ich „szlifie” (s. 235), „barwie i masie” (s. 236), „czystości” (s. 244) – Skibski precyzyjnie analizuje zaskakujące diatezy, tropi ślady frazeologiczne, bada akomodację i elipsy wersowe. Przedmiotem szkicu o poezji Ficowskiego jest natomiast „żywiół palimpsestowości” (s. 245), widziany m.in. w różnorodnych przejawach poetyckiej podwójności i dwutorowości, w reminiscencjach frazeologicznych i działaniu parentez wersowych. Trudno odmówić sobie przyjemności przywołania fragmentów analizy badacza (tytułowa palimpsestowość zdaje się praktykę tę uprawomocniać):

Język poza językiem to zdziwione sobą słowa, to nowe relacje gramatyczne, zderzenia wielopokoleniowych przytoczeń z różnych stron, a także – najsilniej – efekt wolności jednostek języka – ich prawo do nieszlachetnego pochodzenia i burzliwych biografii. [s. 246–247]

Nie wszystkie spostrzeżenia Skibskiego uznają za równie celne (nie pierwszy raz zdarza się Skibskiemu widzieć reminiscencje frazeologiczne tam, gdzie ja ich – mimo usilnych prób – dostrzec nie potrafię). Mimo to traktuję szkic jako przykład doskonałej analizy filologicznej; za zasługę poczytuję autorowi także samo przypomnienie znakomitej, a rzadko przywoływanej i opisywanej, poezji Ficowskiego⁶.

Lektura wszystkich „prób iteracyjnych” nie pozostawia wątpliwości: prezentowane na kartach monografii bogate instrumentarium pojęciowe sprawdza się w działaniu – nie tylko w analizie wypreparowanych fragmentów wierszy ilustrujących poszczególne zagadnienia teoretyczne, ale też w znacznie szerszych opisach idiolektów twórczych. Takie zwieńczenie gęstej problemowo rozprawy to także cenna poznawczo – i niosąca niekłamana przyjemność – nagroda dla czytelnika.

I jeszcze kilka refleksji na temat całości monografii. Zaskakuje pewne niewyważenie wywodu. W przypisach kryje się mnóstwo wyjaśnień i definicji kluczowych dla rozwoju narracji badawczej (dotyczących m.in. rozumienia pojęć tak fundamentalnych dla pracy, jak ekwiwalencja, eliptyczność wersowa, tabularność, akomodacja poetycka). Uwagi tam pomieszczone częstokroć zasługują na (poczesne!) miejsce w tekście głównym. Z drugiej strony, sporo zbędnego zamieszania robią stwierdzenia formułowane na marginesie zasadniczych rozpoznań recenzowanej książki – uwagi,

⁶ Podzielim zdumienie badacza, że ta poznaczona „kawałkami pokruszonej historii” (s. 246) twórczość nie doczekała się licznych, wieloaspektowych studiów.

których pominięcie nie byłoby dla wyводу najmniejszym uszczerbkiem, a które zaburzają tok lektury, domagając się doprecyzowań, otwierając wielkie, nietknięte już piórem Skibskiego, przestrzenie badawcze. Myślę tu zarówno o zagadnieniach z zakresu historii kultury, jak i o problemach teoretycznych. Taką niedopowiedzianą, jątrzącą kwestią jest – skądinąd fascynująca – sprawa relacji wiersza wolnego i starych, obrosłych genologiczną tradycją form gatunkowych. Kilkakrotnie określa badacz bezrymowe wiersze wolne dzielone na cztero- i trójwersowe strofoidy jako sonety (pisze nawet o „Klasycznej formie wiersza sonetowego”! (s. 49)). W zestawieniu choćby z subtelными rozpoznaniem dotyczącymi frazeologizmów w wierszu wolnym tego rodzaju ostre przyporządkowania zaskakują. I zaostrzają apetyt na precyzyjniejsze, bardziej zniuansowane dociekania. (Zogniskowane na wierszu wolnym badania łączące perspektywy wersologiczną i genologiczną *nb.* mogłyby zaowocować kolejną znakomitą monografią.)

Inną kontrowersyjną kwestią jest opisanie rodzimego futuryzmu jako „Z początku nieznacznie tylko faszyzującego [...]” (s. 18) – rzekome faszyzowanie wymagałoby obszernych wyjaśnień i doprecyzowań. Za zdecydowanie nazbyt generalizujące, i nieco krzywdzące dla powstającej wówczas poezji metrycznej i jej autorów, uznaję uwagi o roli wiersza wolnego w PRL-u. Wedle Skibskiego:

wybór formy [...] nieregularnej, nienumerycznej, czyli formy, która przywołuje reguły, ale z nimi ostentacyjnie polemizuje [...], jest przede wszystkim wyborem wolności [...] słowa [artystycznego – B. Ś.] w ogóle, wolności języka [...]. [s. 22]

Również związki liberatury i wiersza wolnego (wspomniane na s. 24) domagają się szerokich transdyscyplinarnych rozpoznań – albo pozostawienia na inną okazję badawczą. Zupełnie nie przekonuje mnie wreszcie koncept wiersza wolnego stającego się „*alter ego* człowieka czytającego (świat)” (s. 24).

Rażą także drobne, ale sensotwórcze potknięcia. Wspomnę o dwóch, które wprawiły mnie w największe zakłopotanie. *Disappointment* (tytuł wiersza Tadeusza Pióry) to ‘rozczarowanie’, a nie ‘nieporozumienie’ – na tym drugim znaczeniu, płynącym *nb.* z nieporozumienia, zbudowano jednak ważny fragment analizy (s. 51). W opisie wiersza Krzysztofa Karaska *Wyznanie* mowa z kolei o „wersie, poprzedzonym przecinkiem, rozpoczynającym się od zaimka względnego [...]” (s. 137) – wszystko się zgadza, poza... przecinkiem właśnie (a interpunkcja jest w wierszu wolnym, i jego interpretacji, elementem nie do przecenienia, o czym zresztą Skibski wielokrotnie przekonuje).

Wskazane uszczerbki nie umniejszają wszakże wartości monografii. Krzysztof Skibski napisał bardzo ważną i bardzo dojrzałą naukowo książkę. To jedno z najistotniejszych w ostatnich latach studiów z zakresu wersologii, lektura obowiązkowa dla wszystkich badaczy wiersza wolnego i, szerzej, poezji ostatnich dekad. Sądzę, że rozprawa może być także ogromnie interesująca i inspirująca dla językoznawców, pokazuje bowiem m.in., w jaki sposób wykorzystywać w dociekaniaх poetologicznych „twardą” lingwistykę. To solidna robota filologiczna, praca, jakich obecnie mało, a jakich dzisiejsi badacze bardzo potrzebują – choć nie zawsze chyba są tego świadomi.

Abstract

BEATA ŚNIECIKOWSKA Institute of Literary Research of the Polish Academy
of Sciences, Warsaw
ORCID: 0000-0003-0099-5792

**PHILOLOGICAL (ITE)RATIONS, OR ON "MULTIFACED COGNITIVE TASKS" AND WAYS TO
SOLVE THEM**

The review discusses Krzysztof Skibski's book *Poetry as an Iterature. The Relationship between Elements of Poetic Language and Free Verse*. In the reviewer's opinion, it is an innovative study of non-numerical poem seen not from the perspective of deficit (regularity), but by the features peculiar to that form that is non-existent in other versification systems. The researcher successfully employs both linguistic and literary tools, as well as develops new cognitive constructs. Multiple (iterative) reading, connected with, e.g., form spaciousness, verse relations, presence of verse ellipses, and phraseological reminiscences are made the key to free verse reception.

DOI: 10.18318/pl.2022.1.21

BARTŁOMIEJ KUCZKOWSKI Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń

POLONISTYKA CHAOTYCZNA?

Marek Pieniążek, POLONISTYKA PERFORMATYWNA. O HUMANISTYCZNYCH TECHNOLOGIACH WYTWARZANIA ŚWIATÓW. (Recenzent: Jerzy Kaniewski). Kraków (2018). (Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”), ss. 372, 4 nlb.

W XXI wieku perspektywa różnie rozumianej performatywności i performansu zadowoliła się w polskim dyskursie humanistycznym w takim stopniu, że już nie dziwi nas łączenie tych określeń z innymi, zazwyczaj bardziej precyzyjnymi semantycznie kategoriami. Badacze tematu – i rodzimi, i zachodni, których myśl przyswoiły polskim naukowcom przekłady – mówią tedy o „zwrocie performatywnym” (tom pod redakcją Lilianny Bieszczad) lub „performatycznym” (Anna Burzyńska), o „estetyce performatywności” (Erika Fischer-Lichte), o „humanizmie performatywnym” Gombrowicza (Alfred Gall), o „performansie technonauki i sztuki” (Mateusz Borowski, Małgorzata Sugiera), a nawet o „portrecie performatywnym” (Ewelina Woźniak-Czech). Nie zawsze poprzestaje się jednak na zawężonych ujęciach – ostatecznie więc cały świat odbieramy jako globalny performans, w którym uczestniczymy (Richard Schechner, Jon McKenzie)¹.

¹ Zob. *Zwrot performatywny w estetyce*. Red. L. Bieszczad. Kraków 2013. – A. Burzyńska, *Dekonstrukcja, polityka i performatyka*. Kraków 2013. – E. Fischer-Lichte, *Estetyka performatywności*. Przeł. M. Borowski, M. Sugiera. Kraków 2008. – A. Gall, *Humanizm performatywny. Polemika z filozofią w praktyce literackiej Witolda Gombrowicza*. Przeł. G. Sowinski. Kraków 2011. – M. Borowski, M. Sugiera, *Sztuczne natury. Performanse technonauki i sztuki*. Kraków 2016. – E. Woźniak-Czech, *Portret performatywny. Ślad, wymazywanie*,

Kategorię performatywności szeroko stosuje również Marek Pieniążek w monografii *Polonistyka performatywna. O humanistycznych technologiach wytwarzania światów*. Autor skupił się na kilku różnych dziedzinach, takich jak dydaktyka szkolna i uniwersytecka, praca w klubach literackich, analiza i interpretacja literatury regionalnej, teatrologia i edukacja teatralna. Dobór zagadnień, zinterpretowanych za pomocą nadal mglistej znaczeniowo – wbrew temu, co zdaje się sugerować obszerna literatura przedmiotu – performatywności, z pewnością wymaga rzetelnych wyjaśnień, w których autor powinien zdać sprawę ze swego rozumienia tytułowego terminu oraz wykazać, że wspólny mianownik spajający dyskursy nie został wybrany arbitralnie czy podyktowany modą. Takie oczekiwania bynajmniej nie są tylko wyrazem konserwatywnego przywiązania do konwencjonalnej konstrukcji dyskursu naukowego czy próbą hamowania inwencji badacza, który przy użyciu nowoczesnej metodologii mierzy się ze starymi problemami. Należy bowiem zauważyć, że wszyscy wymienieni autorzy prac o performansie podejmują wysiłki zmierzające do precyzacji pojęć.

Oczywiście nie ma tu miejsca na referowanie kolejnych rozpoznań znaczeniowych, istotne jest natomiast przypomnienie trudności, które doskonale uświadamiają sobie komentatorzy performansów. Problematyczny wydaje się już sam sposób przekładania terminu „performatywny” na język polski. Pokrewne – ale niewystarczające – są określenia: „przedstawiający”, „odegrany”, „teatralny” i „dramatyczny”². Rodzi to konieczność wprowadzania ścisłych definicji i wykazania przydatności tej kategorii, zwłaszcza że performatyka jako dyscyplina akademicka charakteryzuje się otwartością:

Każde wydarzenie, działanie, zachowanie można rozpatrywać „jako” performans. [...] w XXI wieku zanikają jasne granice między tym, co „jest” performansem, a tym, co tylko „jako” performans traktujemy. To część generalnego trendu zmierzającego ku zatarciu granic³.

Precyzja, którą trzeba postulować, jest jednak trudna do osiągnięcia, ponieważ omawiane terminy „często spotyka się w tak różnych kontekstach, że wydają się one pozbawione jakiegokolwiek wspólnej podstawy semantycznej”⁴. Problemy definicyjne związane z performatywnością rychło stały się częścią obiegowej opinii na jej temat, a nawet rodzajem mitu, który miał usprawiedliwiać rezygnację badaczy z podjęcia głębokiej refleksji nad znaczeniem modnego terminu⁵. Brak utrwalonego rozumienia kluczowych pojęć skutkuje chaotycznym pluralizmem dyskursu na

nieobecność. Poznań 2018. – R. Schechner, *Performatyka. Wstęp*. Przeł. T. Kubikowski. Red. przekł. M. Rochowski. Wrocław 2006. – J. McKenzie, *Performuj albo... Od dyscypliny do performansu*. Przeł. T. Kubikowski. Kraków 2011.

² A. Krajewska, *Dramatyczna teoria literatury. Zarys problematyki*. Poznań 2009, s. 122–123.

³ Schechner, *op. cit.*, s. 65.

⁴ M. Carlson, *Performans*. Przeł. E. Kubikowska. Red. nauk. wyd. pol. T. Kubikowski. Warszawa 2007, s. 25.

⁵ Ten mit został znakomicie rozpoznany i obalony przez J. Wachowskiego (*Performans*, Gdańsk 2011). Jego diagnozy i analizy prowadzą do wykazania charakterystycznych cech performansów, rzekomo niedefiniowalnych i chimerycznych. Są to przede wszystkim działania somatyczne, działania naruszające stan równowagi i w szczególny sposób nastawione na odbiorcę.

temat performansu – każdy z badaczy pojmuje go nieco inaczej i akcentuje inne jego cechy⁶.

Autorzy eksplorujący tę problematykę muszą okiełznać ów chaos i wytłumaczyć, jak rozumieją kategorie performatywności i performansu. W jaki sposób czyni to Pieniążek, który tą perspektywą chce objąć – jak sugeruje tytuł publikacji – polonistykę w ogóle? We wstępie czytamy, że performatywność „scala koncepcje kształcenia językowego, literackiego i kulturowego w obszarze aktywizowania i personalizowania procesu dydaktycznego” (s. 11). W pierwszym rozdziale, dotyczącym edukacji, autor posługuje się tytułowym określeniem swobodnie, pisząc np. o „performatywnym badaniu odbioru *Panoramy racławickiej*” (s. 27), o „performatywnym wytworzeniu źródłowej autentyczności” (s. 32), o „performatywnie upodmiotowionym dyskursie edukacyjnym” i „performatywnym uczestnictwie w świecie lektur” (s. 61), o „performatywnym rozgrywaniu” opinii nauczyciela i klasy (s. 68), wreszcie o „performatywnym autofeedbacku” interakcji lekcyjnych (s. 69). To tylko kilka przykładów, ilustrują one jednak istotny mankament monografii. Nie znajdziemy w niej, niestety, przejrzystej definicji „polonistyki performatywnej”, zupełnie jakby autor przyjmował, że termin ten jest powszechnie zrozumiały i nie wymaga uzasadnień. Oczywiście, wnikliwa lektura *Polonistyki performatywnej* pozwoli odbiorcy skonstruować taką definicję na własny użytek. Wiele wątpliwości rozwiązać może również zapoznanie się z klasycznymi publikacjami poświęconymi performatyce, o których zresztą autor wspomina⁷. Ale czy da się to potraktować jako wystarczające usprawiedliwienie? Raczej nie, zwłaszcza że mówimy o książce ważnej nie tylko dla specjalistów, którym nieobce jest pole problemowe performatywności, lecz także dla nauczycieli. Jeśli weźmie się pod uwagę chociażby ograniczenia instytucjonalne i administracyjne szkolnej edukacji oraz jej systemowe uwikłania, trafnie i przekonująco diagnozowane przez Pieniążka, trudno wymagać, by szkolni poloniści mieli czas na studiowanie zawłości i subtelności performatyki. Można przypuszczać, że nie jest im to potrzebne. Dlatego zamiast hermetycznych i abstrakcyjnych wywodów konieczne byłoby skierowanie do nich instruktywnego komunikatu dotyczącego praktyki dydaktycznej. Tego warunku z pewnością nie spełniają postulaty autora – np.:

Poetyka dyskursu edukacyjnego byłaby [...] nienormatywną, wydobywaną z artystycznych i naukowych świadectw technik bycia (w ujęciu Michela de Certeau), wiedzą o transgresywnej inwencji i energii potrzebnej do uaktywnienia projektującego siebie aktora społecznego (Bruno Latour). [s. 58–59]

Zaproponowana przez autora konstrukcja dyskursu, wprowadzająca czytelnika *in medias res*, niestety może wykluczać wielu potencjalnych odbiorców.

Ta obserwacja nie unieważnia wszakże cennych rozpoznań Pieniążka. Bez wątpienia walorem proponowanego ujęcia jest postawiona ze znanstwem i erudycją

⁶ Zob. Borowski, Sugiera, *op. cit.*, s. 9.

⁷ Poza wymienionymi monografiami warto przywołać dwie prace szczególnie pouczające i problematyzujące podstawowe zagadnienia: *Performans, performatywność, performer. Próby definicji i analizy krytyczne*. Red. E. Bał, W. Świątkowska. Kraków 2013. – *Performatyka. Terytoria*. Red. E. Bał, D. Kosiński. Kraków 2017.

diagnoza stanu szkolnej polonistyki, uwzględniająca nie tylko metodologię wykorzystywaną w lekturze tekstu z uczniami (dominujący strukturalizm i, jak powiada autor, „tekstocentryzm”), ale także analizę oficjalnych dokumentów (kolejnych wersji podstawy programowej) i zależności systemu edukacji od sytuacji politycznej kraju. Zwłaszcza ostatni aspekt zasługuje na uwagę: Pieniążek z nieufnością odnosi się zarówno do wizji szkolnictwa proponowanej przez rząd „neoliberalny” (ze względu na dominujący w niej „język ekonomicznej wymiany” <s. 41>) i uleganie szkodliwym tendencjom globalnym, np. „strukturalnej maszynie punktacyjno-kompetencyjnej” <s. 40>), jak i do koncepcji wyznawanej przez rząd „prawicowy” (groźnej przez anachroniczność, możliwą służbę „doraźnej polityce” <s. 45>) i „zamykanie się na wpływy współczesności” <s. 44>). Należy podkreślić odwagę badawczą autora, który podjął się ryzykownej analizy, wymagającej dużej ostrożności językowej i aksjologicznej. Choć wywody Pieniążka w pewnym momencie zdają się niebezpiecznie zbliżać do oceny bieżącej sytuacji politycznej, to przecież – odczytywane całościowo, bez złośliwej tendencji do izolowania z kontekstu pojedynczych określeń – nie przekraczają tej granicy. Ukazują natomiast surową, lecz dobrze uzasadnioną opinię badacza na temat oświatowych zaniedbań kolejnych gabinetów rządzących.

Projektowana w monografii wizja edukacji performatywnej niewątpliwie może być inspirująca i wskazywać pozytywne kierunki zmian. Trudno nie zgodzić się z następującym stwierdzeniem:

w szkołach ogarniętych „szaleń systemowości” nie ma miejsca na filtrowanie nadmiaru współczesnych doświadczeń uczniów, [...] nauczyciel ignoruje potrzebę uwzględniania doświadczeń ucznia i komponowania jego tożsamości w niepowtarzalną całość. [s. 50]

Odpowiedź na poszukiwania młodych ludzi miałoby stanowić odwoływanie się do ich własnego doświadczenia, osadzonego w warunkach płynnej nowoczesności, w świecie cyberaktywności „podmiotów transmedialnych” (s. 213), będących ciągle *online*. Proponowane przez Pieniążka nowe sposoby odczytywania tekstów kultury bywają błyskotliwe – jak wtedy, gdy mówi on o lekcji muzealnej poświęconej *Panoramie racławickiej* czy o *Iliadzie*, którą można umiejętnie przywrócić uczniowskiej uwadze, przywołując jej recepcję filmową i teatralną. Autor nie wybiera więc eskapizmu, nie odwraca się od współczesnego świata. Zaletą *Polonistyki performatywnej* jest niewątpliwie nastawienie na odnalezienie miejsca polonistyki w świecie gwałtownych przemian technologicznych i aksjologicznych, na przełamanie popularnej postawy łatwej, efektownej, ale w istocie jałowej krytyki porządku świata bliskiego wchodzącym w dorosłe życie pokoleniom.

Nie wszystkie założenia „polonistyki performatywnej” są jednak równie przekonujące. Wydaje się, że koncepcja ta wymaga dalszych dyskusji i uwzględnienia co najmniej kilku problemów. Zastrzeżenia budzi np. wielokrotnie powracające na kartach książki radykalne, dualistyczne przeciwstawienie tradycyjnego „tekstocentryzmu”, głównie w postaci strukturalistycznej interpretacji ukierunkowanej na estetykę i kształt językowy utworów, „performatywnym grom lekturowym” (s. 182), prowadzonym na podstawie uczniowskich asocjacji i wykorzystującym doświadczenia bliskie młodym czytelnikom. Choć ta druga metoda, stosowana odpowiedzialnie przez doświadczonego nauczyciela, może uatrakcyjnić niektóre lekcje języka pol-

skiego, dostrzegalbym tu również niebezpieczeństwo. Ograniczanie przekazywania uczniom systematycznej, uporządkowanej wiedzy i zbyt duże poleganie na ich pełnych inwencji skojarzeniach własnych nie musi przyczynić się ani do rozwoju intelektualnego młodzieży, ani do jej lepszej orientacji w świecie. Uczniowie trzeciej klasy gimnazjum, zapytani o wrażenia z lektury *Balladyny*, w pierwszej kolejności wskazywali na naiwność i ograniczenia intelektualne bohaterki dramatu Słowackiego – jak można, dziwili się, dać się tak łatwo zdemaskować, nie zadbać o skuteczniejszą realizację znakomitego, atrakcyjnego planu podporządkowania sobie świata przez godne aprobaty zbrodnie? Przykład ten, jeden z wielu, dowodzi, że – mówiąc językiem performatyki – aktywizacja „afektywności”, podobnie jak pobudzanie odbiorcy do „performowania siebie”, może raczej uzupełniać analizę dzieła w całym jego uposażeniu i usytuowaniu w odpowiednich kontekstach, ale nie powinno jej zastępować.

Innymi słowy, istnieje możliwość, że interpretacja performatywna, zbudowana na afektach i odwołaniach do egzystencji ucznia, będzie związana nie z takim czy innym dziełem literackim, ale z jego karykaturą lub postacią okaleczoną niczym bałamutny bryk. Wiązanie szkolnej lektury z tekstem to oczywiście stanowisko przeciwne polonistyce performatywnej i zwalczane przez nią jako „przeestetyzowane, historycznoliterackie i strukturalne modele odbioru” (s. 73). Nakreślone tu polemiczne nastawienie propozycji Pieniążka domagałoby się jednak rozwinięcia. Po pierwsze, porównaniu odczytania performatywnego jako metody pracy na lekcji z interpretacją „tekstocentryczną” autor nie poświęcił należytej uwagi, co może prowokować do binarnego widzenia problemu i postrzegania performatywności jako burzycielskiej⁸. Po drugie, praktyka nauczycielska pokazuje, że za wiele problemów w szkolnej pracy z tekstem odpowiada nie uproszczony strukturalizm (lub inna metoda interpretacji), ale trudność w zrozumieniu tekstu dzieła przez uczniów. Nie trzeba wcale uruchamiać hermeneutycznej aparatury pojęciowej, by dostrzec, że kłopoty sprawia młodym odbiorcom obcowanie z utworem już na poziomie semantyki poszczególnych słów i związków między nimi, a więc postępowanie prymarne względem zastosowania jakiegokolwiek metody interpretacji całościowej. Wobec tego należałoby rozważyć, jak można uzgodnić atrakcyjne dla ucznia praktyki performatywne z odczytywaniem podstawowych sensów tekstu. Jest to tym bardziej konieczne, że niezrozumienie fundamentalnych znaczeń utworu musi mieć istotny wpływ na działania odbiorcy-performera. Aby w ogóle możliwe było „skomponowanie jego tożsamości”, co stanowi przecież cel polonistyki performatywnej, warto wskazać uczniowi drogę nie asocjacyjnej dowolności i nieskrepowanego pluralizmu, lecz porównywania własnego doświadczenia świata z uniwersalnymi problemami. Jerzy Jarzębski słusznie postuluje taki typ lektury szkolnej, „w której trakcie da-

⁸ Być może jest to zresztą interpretacja niezgodna z myślą autora. Sugerowałoby to zastrzeżenie: „Przede wszystkim trzeba zauważyć nowy status tekstu i nowy model kultury dominujący w praktykach społecznych w obecnych czasach. Niemniej koniec z podległością całkiem niedawno jeszcze autorytarnym metodologiom nie oznacza odwrotu od literatury. Zarówno historia literatury, jak i funkcjonalne metody interpretacji są w omawianym tu projekcie bardzo istotne” (s. 73). Z dalszych wywodów nie dowiadujemy się jednak, jakie miejsce w polonistyce performatywnej przewiduje Pieniążek dla owych metod.

żymy do rekonstrukcji świadomości różnych epok i charakterystycznej dla nich poetyki, konfrontując tę historyczną świadomość z dzisiejszą. Bez takich konfrontacji trudno byłoby zrozumieć, na czym polega w literaturze renesans, romantyzm czy XX-wieczna awangarda, trudno też byłoby pojąć, w jakim miejscu dziejów znajdujemy się tu i teraz”⁹.

Jak się wydaje, te propozycje uzupełnień trzeba jednak kierować do autora po lekturze nie tylko *Polonistyki performatywnej*, ale również jego wcześniejszej pracy *Uczeń jako aktor kulturowy. Polonistyka szkolna w warunkach płynnej nowoczesności* (2013). Projekt performatywnej dydaktyki szkolnej jest w tamtej publikacji wyraźnie zarysowany i głęboko przemyślany, oparty nie tylko na analizie obowiązujących schematów i nawyków oceniania uczniów, podręczników szkolnych i proponowanych w nich ujęć lektury, ale przede wszystkim – stworzony po hospitacji kilkuset lekcji i odbyciu wielogodzinnych rozmów z nauczycielami¹⁰. Publikacja odznacza się także czytelnym, instruktywnym dyskursem, obejmującym opis metody, przykładowe scenariusze lekcji dla nauczycieli wraz z określonymi celami dydaktycznymi do realizacji¹¹. Pozostaje zatem żałować, że z tak inspirującego narzędzia i bardzo potrzebnego projektu znajdziemy na kartach *Polonistyki performatywnej* tylko wybrane – być może niefortunnie – hasła, a łączność między publikacjami została zbyt słabo zaznaczona: zaledwie krótką wstępną uwagą dotyczącą przeniesienia akcentów na „rolę kultury audiowizualnej, technologii komunikacyjnej oraz afektów i podmiotu »wyzwalającego się« z wyobraźni kreowanej przez tekstowe światy” (s. 12). Utrudnia to odbiór koncepcji Pieniażka i ogranicza możliwości jej zastosowania w pracy nauczycielskiej.

Jednakże *Polonistyka performatywna* nie koncentruje się wyłącznie na dydaktyce szkolnej. Przenikliwie i nowatorskie analizy proponuje Pieniażek w rozdziale *Poetyka performatyki społecznej*, zwłaszcza we fragmentach poświęconych klubom literackim, gdzie wykorzystuje własne bogate doświadczenie z działalności Klubu Literackiego w Olkuszu, pracy redakcyjnej, pedagogicznej, wydawniczej i krytycznej z lokalnymi literatami. Bardzo ciekawe wydaje się wpisanie tych działań w refleksję nad dynamiką kultury współczesnej, czego przykładem jest obserwacja postawy debiutujących pisarzy, którzy przyswajają sobie „wzorce z mediów, z marnych internetowych portali literackich oraz z utworów modnych i nagradzanych twórców, co wygasza u wielu autorów zainteresowanie jednostkowością ich własnego doświadczenia” (s. 113). W rezultacie nie tworzą oni wartościowej literatury, która miałaby wpływ na emocje i tożsamość odbiorców, ale są jedynie „kompulsywnymi producentami literatury” (s. 114). Tę celną diagnozę można by wykorzystać również do dalszych analiz w innych, nie dość eksplorowanych obszarach. Myślę tu o pracy redaktorskiej nad publikacjami powstałymi w ramach świętującego triumfy modelu *self-publishing*, w tym jego szczególnego rodzaju – *vanity publishing*, w którym

⁹ J. Jarzębski, *Interpretacja w edukacji polonistycznej*. W zb.: *Przyszłość polonistyki. Koncepcje – rewizje – przemiany*. Red. A. Dziadek, K. Kłosiński, F. Mazurkiewicz. Katowice 2013, s. 80.

¹⁰ Zob. M. Pieniażek, *Uczeń jako aktor kulturowy. Polonistyka szkolna w warunkach płynnej nowoczesności*. Kraków 2013, s. 147, przypis 1.

¹¹ Zob. *ibidem*, s. 168–190 (rozdz. *Metoda nauczania: uczeń jako aktor kulturowy*).

autor częściowo pokrywa koszty publikacji książki przez wydawnictwo¹². Podobnie jak Pieniążkowi „wystarczy analiza kilku spotkań autorskich” (s. 114), by odróżnić pisarza budującego wspólnotę od producenta literatury, tak też doświadczony redaktor po lekturze nieraz kilku zdań potrafi dokonać wstępnego wartościowania utworu.

Interesujący jest również zawarty w rozdziale *Ku sprawczej mocy języka i afektu – polonista w nurtach art@science* drobiazgowy i erudycyjny opis aktywności poszukującego tożsamości podmiotu w świecie 2.0, napędzanym technologią i coraz wyraźniejszym przekraczaniem granic doświadczeń właściwych nowoczesności. Pieniążek odważnie diagnozuje świat znajdujący się w stanie ciągłej przemiany: „Pamiętane z codziennego doświadczenia klasyczne kształty świata i sposoby działania opisywany mobilny performans demistyfikuje jako zestaw starych dekoracji” (s. 204). Jeśli jednak „performatywny sposób uczestnictwa w świecie to stawianie nowych zarysów horyzontu, który odpowiada naszym pragnieniom i rezonuje z nimi” (s. 204) – to jak nauczyć się rozpoznawać te pragnienia? Czy byłyby to tylko ciągłe eksperymenty podmiotu na samym sobie i świecie, mogące prowadzić do klęski poznawczej i egzystencjalnej? Autor *Polonistyki performatywnej* przywołuje przykład takiej porażki:

Dominik, bohater *Sali samobójców*, był bezradny wobec pokus ponowoczesności. Nie umiał skonfrontować swoich pragnień, planów, zrealizowanych i niezrealizowanych pomysłów z możliwościami i najbliższym kontekstem kulturowym. [s. 209]

Czy wobec takich trudności w radzeniu sobie z przytłaczającymi bodźcami cyberświata nie powinniśmy, oprócz twórczego wykorzystywania technologii i budowania wspólnoty afektywnej, skupić się w pracy polonistycznej na próbie obrony – to prawda, że może rozpaczliwej – sfery dającej podmiotowi choćby minimum stabilności tożsamościowej? Jako potencjalny dalszy kierunek rozwoju polonistyki performatywnej warto w tym miejscu zaproponować skonfrontowanie jej z kategorią myślenia krytycznego, które, odpowiednio przepracowane i dowartościowane w edukacji, stałoby się swoistą samoobroną dla myślącej jednostki¹³, narzędziem selekcji informacji, przed którymi – jak słusznie powiada Pieniążek – nie ma ucieczki: „tylko zrozpaczony idealista chciałby wracać w modernistyczne więzienia tekstowo skonstruowanego sensu” (s. 218). Pojęcie myślenia krytycznego zostało już wprowadzone do polskiego dyskursu pedagogicznego¹⁴, ale wciąż kryje w sobie nierozpoznane możliwości. Wydaje się, że nie ogranicza się ono tylko do rygorów

¹² Cenne rozpoznania w zakresie tego modelu na gruncie polskim poczyniła K. Kasperek (*Self-publishing – zarys najważniejszych problemów*. „Sztuka Edycji” 2016, nr 2).

¹³ Moją intuicję dobrze oddaje tytuł książki N. Baillargeona *Krótki kurs samoobrony intelektualnej* (Przeł. B. Baran. Pruszków 2011). Oczywiście mam przy tym na myśli potrzebę rzetelnego i naukowego opracowania zagadnienia, nie zaś poprzestawanie na jego popularnym i poradnikowym, atrakcyjnym marketingowo charakterze.

¹⁴ Zob. I. Czaja-Chudyba, *Myślenie krytyczne w kontekstach edukacji wczesnoszkolnej – uwarunkowania nieobecności*. Kraków 2013. – T. Garstka, *Psychopedagogiczne mity. Jak zachować naukowy sceptycyzm w edukacji i wychowaniu*. Warszawa 2016, rozdz. 2: *Kompetencja krytycznego myślenia*. – E. Wasilewska-Kamińska, *Myślenie krytyczne jako cel kształcenia na przykładzie systemów edukacyjnych USA i Kanady*. Warszawa 2016. Najciekawszą publikacją uj-

logicznych w przeprowadzaniu rozumowań, ale również gra ważną rolę w „performowaniu siebie” i własnej tożsamości.

Widać więc, że przedstawiony przez Pieniążka projekt jest cenny i z pewnością może inspirować do dalszych studiów. Jednocześnie nie sposób pominąć wyraźnych niedostatków kompozycyjnych, negatywnie wpływających na spójność całości. Poza zauważonym już brakiem funkcjonalnej definicji „performatywności” uderzać musi maniera opisywania osobistych przeżyć autora na marginesie rozważań naukowych. Taki sentymentalny ton pobrzmiewa choćby w rozdziale dotyczącym polonistyki akademickiej, we wspomnieniach o ks. Józefie Tischnerze i Janie Błońskim, o organizacji wieczorów w Piwnicy „Pod Baranami” lub o spotkaniu z teatrem Tadeusza Kantora czy z Jerzym Harasymowiczem (s. 167). Naturalnie, nie wolno odbierać autorowi prawa do takiego sposobu ujmowania przemyśleń. Wydaje się jednak, że osobiste partie tekstu co najwyżej luźno łączą się z głównym tokiem wywodu i służą raczej skierowaniu uwagi odbiorcy na autora, a projekt polonistyki performatywnej nie straciłby nic na ich usunięciu z książki. Gdy Pieniążek pisze np. o życiu literackim, w którym uczestniczył:

Stanisław Stabro, Adam Zagajewski, Bronisław Maj byli w tamtych latach żywymi autorytetami literatury, słuchanymi i czytanimi z kolejnych tomików i książek. Warto przy okazji przypomnieć, iż z estetyką ich tekstów bardzo silnie kontrastowały ówczesne wystąpienia Marcina Świetlickiego i innych poetów „bruLionu” [...]. [s. 169]

– do kogo właściwie kieruje swoje słowa? Mówi wszak o sprawach oczywistych nie tylko dla badaczy humanistyki, ale również dla wszystkich osób choć trochę zainteresowanych polską kulturą¹⁵. Gdy zestawieć te uwagi z hermetycznym dyskursem wielu pozostałych części monografii, zwłaszcza tych dotyczących mobilnego performerów i relacji transmedialnego „ja” ze światem, okaże się, że trudno byłoby zaprojektować odbiorcę wpisane w tekst *Polonistyki performatywnej*.

Choć recenzowana monografia zawiera wiele trafnych i cennych spostrzeżeń, niektóre z nich giną w chaotycznym dyskursie. Początkowe rozważania dotyczą polonistyki szkolnej, następnie autor przechodzi do działalności klubów literackich, by za chwilę analizować historyczną przestrzeń, podolkuska gwarę i konstrukcję bohaterów przedwojennego tomu opowiadań *Po dniówce* Jana Waśniewskiego (wznowionego dzięki staraniom Pieniążka w 2009 roku). Ze sfery lokalności przenosimy się potem w makrokosmos doświadczeń kulturowych mobilnego performe-

mujać myślenie krytyczne z punktu widzenia logiki jest monografia A. Kisielewicz *Logika i argumentacja. Praktyczny kurs krytycznego myślenia* (Warszawa 2017).

¹⁵ Warto zaznaczyć, że „oczywistość” niektórych rozpoznań Pieniążka domagałaby się jednak rewizji. Tak np. autor *Zimnych krajów* wielokrotnie i konsekwentnie odcinał się od etykiety „poety bruLionu” – zob. M. Świetlicki, *Autobiografia. Nieprzysiadalność*. Rozmawia R. Księżyk. Kraków 2017, s. 124–126: „W redakcji bruLionu» byłem zwykłym kolesiem, który czyta teksty i czasem publikuje. W *«Tygodniku Powszechnym»* opublikowałem o wiele więcej wierszy niż w bruLionie», a nikt nie nazwał mnie poetą *«Tygodnika Powszechnego»*. Moment dziejowy spowodował, że mówią na mnie poeta bruLionu». Trzeba jakoś szufladkować, ale ja tego nie czuję. bruLion” to był ciekawy epizod z mojej młodości. Ten epizod nie może jednak rzutować na moje późniejsze życie. bruLion» rzutuje na wszystko w przypadku Tekielego, nie moim. To Robert Tekiel jest tak naprawdę poetą bruLionu». Nie ja”.

ra, by po mozolnej wędrówce zawrócić z szerokiej drogi, prosto ku... szkole i edukacji teatralnej w Polsce, przy okazji wspominając postać Kantora. Spoiwem monografii, którym – powtórzmy – powinna być precyzyjnie zbudowana definicja tytułowej „polonistyki performatywnej”, staje się tedy historia zainteresowań naukowych autora. W nocie bibliograficznej Pieniążek przyznaje zresztą, że wykorzystał obszerne fragmenty swych dawnych publikacji i referatów (s. 325). Niestety – ze szkodą dla autonomii pracy i merytorycznej strony całości.

Mimo wszystko warto dalej śledzić rozwój tego i innych projektów, które śmiało podejmują zmagania z ponowoczesnością. Trudne to bowiem zadanie: dokonać opisu ponowoczesnego świata, którego zasadą jest zmiana. Trzeba jednak zapytać: czy szeroko pojmowana performatywność wystarczy, by podołać tak ambitnemu zadaniu? Nie można tego wykluczyć. Zauważmy na koniec, że Pieniążek na kartach swej publikacji wielokrotnie wskazuje na zagrożenie, jakie niosą ze sobą zachodnie metodologie i dyskursy naukowe:

kompletując terminologię potrzebną do opisu doświadczania współczesności, łatwo domknąć ów proces w wymiarach ujmowanych przez wybrane kategorie (najczęściej będące częścią dyskursów wytwarzanych na zachodnich uniwersytetach) i utopić w pozorowanej uniwersalności tych kategorii specyfikę dramatu dziejącego się w polu rodzimej, polskiej i słowiańskiej, kultury. [s. 225]

Czy możemy mieć jednak gwarancję, że badania nad performansem – które przecież przyszły do nas właśnie z Zachodu¹⁶ – są czymś więcej niż kolejną modą naukową? Dlaczego właśnie one miałyby stanowić wyjątek i służyć czemuś więcej niż reprodukcji abstrakcyjnego „systemu eksperckiego”?¹⁷ Pieniążek nie odpowiada jasno na te pytania, ale mimo wyrażonych tu wątpliwości jego próba przemiany często anachronicznej i spetryfikowanej polonistyki w dziedzinę odpowiadającą na wezwanie współczesnego świata jest wartościowa i godna uwagi.

Abstract

BARTŁOMIEJ KUCZKOWSKI Nicolaus Copernicus University, Toruń
ORCID: 0000-0002-3458-9381

CHAOTIC POLISH STUDIES?

The review refers to Marek Pieniążek's book *Polonistyka performatywna. O humanistycznych technologiach wytwarzania światów* (*Performative Polish Studies. On Humanistic Technologies of Creating Worlds*, 2018). The reviewer focuses his attention on the title term of performativity and its applicability in the contexts of various problems within the humanities, including Polish Studies didactics. Then, he goes on to investigate the advantages and shortcomings of “performative education,” which he sets against “textocentrism” understood in structuralist spirit, and also reflects on the possibilities of employing Pieniążek's conception into teaching practice. Ultimately, he discusses other fields of applicability of “performative Polish Studies,” e.g. into social space dynamics, literary life in the age of the Internet, the trend art and science.

¹⁶ Zob. A. Burzyńska, *Dekonstrukcja, polityka i performatyka*. Kraków 2013, s. 243–245, 251–252.

¹⁷ A. Giddens, *Nowoczesność i tożsamość. „Ja” i społeczeństwo w epoce późnej nowoczesności*. Przeł. A. Szulżycka. Warszawa 2001, s. 26–28.